

JAN DOBRACZYŃSKI

Najeźdźcy

„MiS”

Pamięci przyjaciół:

Ks. Edwarda Detkensa zamordowanego w Dachau
Czesława Polkowskiego zamordowanego w Dachau
Lecha Faszczy zamordowanego w Dachau
Józefa Dańkowskiego zamordowanego w Lublinie
Tadeusza Fabiani zamordowanego w Palmirach
Stanisława Piaseckiego zamordowanego w Palmirach
Konstantego Chalickiego poległego podczas kampanii 1939 r.
Jana Bajkowskiego zamordowanego w Warszawie
Andrzeja Mikułowskiego zamordowanego na Pawiaku
Ks. Jana Salamuchy zamordowanego w powstaniu
Stanisława Miłaszewskiego zamordowanego w powstaniu
Konstantego Radziwiłła zamordowanego w Modlinie
Stanisława Rostworowskiego zamordowanego na Montelupich
Stanisława Czechowicza zamordowanego w powstaniu
Jerzego Wiszniewskiego zamordowanego w powstaniu
Stanisława Bielańskiego zamordowanego w powstaniu
Olgerda Kostro zamordowanego w powstaniu
Janusza Jeżewskiego zmarłego wskutek choroby spowodowanej wojną

tę powieść poświęcam

*Et dimitte nobis debita nostra,
Sicut et nos dimittimus debitoribus nostris.
Si enim dimiseritis hominibus peccata
eorum, dimittet et vobis Pater
vester caelestis delicta vestra.*

(Math. VI, 12. 14—15)

VON RECKOWIE

I

Herbert i Walter ucieszyli się, kiedy oficer służbowy powiedział im, że są przydzieleni do tego samego szwadronu. Zupełnie przypadkowo spotkali się tej nocy w pociągu: Herberta wezwanie mobilizacyjne zaskoczyło w Schwarzenberge, gdzie kończył wakacje u stryja Ernesta; Waltera odnalazło w górach, w okolicach Salzburga, tam bowiem odbywał tego lata wytrwałą pieszą włóczęgę. Żaden z nich w wojnę nie wierzył. Prawdopodobnie miał to być znowu jeden z tych wspaniałych pochodów, które wódz organizował niemal corocznie, a którymi entuzjazmowała się młodzież, żałując w duchu, że znakomity sprzęt wojenny, kupiony za cenę ofiar całego narodu, nie może być wypróbowany w walce.

Opole spało, kiedy podchorążowie przemknęli przez jego ulice ciemnoszarym KDF-em, przysłanym przez pułk na stację. Pełni poszanowania dla czekającego ich zaszczytu powołania w szeregi oficerów armii nie omieszkali stawić się na apel w swych własnych eleganckich mundurach. Uwieńczone srebrnym paskiem nowiutkie czapki o wygiętym do góry przodzie, na którym rozpiął swe skrzydła orzeł dzierzący w szponach Hakenkreuz, miały w sobie zuchwałą wdzięk. Zielonkawe Waffenrocki z kołnierzami obszytymi srebrnym galonem Feldfebla oraz szare spodnie dopełniały całości, będącej wyrazem najgorętszych aspiracji całego narodu, i najwyższej kategorii wartości człowieka. Obaj młodzi studenci prawa czuli się dopiero od chwili włożenia munduru prawdziwymi Niemcami.

Samochód, prowadzony pewnie przez żołnierza w polowej furazerce, z przeraźliwym piskiem hamulców zatrzymał się przed bramą koszar. Budynki, doskonale zaciemnione, zdawały się spać w mrokach sierpniowej nocy i dopiero kiedy minęli bramę, przed którą chodził miarowym, twardym krokiem wartownik, ujrzeli pełen gorączki ruch szykującego się obozu. Warczały samochody migające błękitnym światłem latarń, kręcili się tu i tam żołnierze. Oddziały „cywilów”, które co chwila trójkami nadchodziły z dworca, wsiąkały w czerń drzwi poszczególnych budynków, by po jakimś czasie wyjść stamtąd już w mundurach, chrzęszcząc po kamieniach gwoździami butów. Stukały karabiny, ciężko stawiane na ziemię, sucho szczękała amunicja, którą wpychano w skórzane ładownice.

Przed kancelarią połową stał sznur motocykli. Kierowcy nie scho-

dzili z siodełek, trwając w podniecającej gotowości. Oficerowie wchodzili i wychodzili. Coraz mniej było okrągłych czapek, łosio-
wych rękawiczek i sztyletów na długim pendencie, coraz więcej
furażerek, hełmów, mapników, lornetek, ciężkich pistoletów. Koń-
czyło się wojsko „od święta”, wojsko jako jeszcze jeden typ mundu-
ru, zaczynało się powszechne panowanie czterokieszeniowej kurtki
koloru feldgrau.

Herbert i Walter dobili się wreszcie do adiutanta. Gruby, czerwony na twarzy blondyn w okularach spływał potem. Co chwila zrywał się, biegł poprzez pokój do kasyna lub na podwórze, wracał, siadał przy biurku, przrzucał przyniesione podczas jego nieobecności papiery, krzyczał na zmianę w jeden z trzech telefonów, którymi był obstawiony, a w przerwach łakomie pożerał bułkę z różową szynką.

Podchorążowie stuknęli na progu obcasami.

— Panie kapitanie, Oberfeldwebel Köstring melduje swoje przybycie...

— A, Köstring... — adiutant postawił „ptaszka” na długiej liście. — Czołem, panie podchorąży. A kto z panem? Z kolei Walter wykrzyczał formułę meldunku:

— Feldwebel von Recke melduje swoje przybycie...

— Doskonale. Czołem, baronie. No, no, nie będę was dziś „cu-
kał”, bo nie mam na to czasu. Zdejmijcie z siebie prędko galowe
mundury i dobrze je zapakujcie. Przydadzą się w Warszawie. Polki
są diablo ładne — wiem coś o tym. Przydzielam was obu do drugiego
szwadronu. Zaraz się tam zameldujecie.

Schwycił słuchawkę telefonu, który dzwonił.

— Halo, halo... Ja... Hauptmann Körner... Jawohl...

Nie odejmując słuchawki od ucha dał im ręką znak, że mogą iść. Zasalutowali i wyszli.

— Świetnie się składa, Herbercie, że będziemy razem. — Walter nie mógł pohamować swej radości.

— Ja także bardzo się cieszę.

— Ale kto może dowodzić drugim szwadronem? Dwa lata temu ty byłeś w pierwszym, a ja w trzecim. Drugim wtedy dowodził ten suchy, wysoki kapitan... Jakżeż on się nazywał?

— Mnie też uciekło to z pamięci. Ale mniejsza o to. I tak na pewno teraz jest ktoś inny.

— Wiesz — Walter zatrzymał się — trzeba zaraz napisać Gerdzie, że jesteśmy razem.

Przyjaźń między Walterem a Herbertem datowała się od ławy szkolnej. Rzecz szczególna: gdy się po raz pierwszy ujrzeli w szkole, zapałali do siebie niczym nie wytłumaczoną niechęcią. Herbert, starszy i silniejszy, zaczął od prześladowania Waltera, tamten zaś mścił się na nim nie podpowiadając mu lub podpowiadając źle. Młody baron von Recke, delikatniejszy i słabszy od Herberta, był od

kolegi zdolniejszy i gdyby nie pewna wielkopańska lekkomyślność, a także niepokojący duch buntu przeciwko koszarowej niemal dyscyplinie, jaka panowała w berlińskim gimnazjum, do którego obaj uczęszczali, łatwo mógłby być pierwszym uczniem. Wiele mu jednak na tym nie zależało, zaś zadowolenie znajdował nie w dobrych stopniach, ale w złośliwej drwinie, jakiej nie szczędził ani kolegom, ani nauczycielom.

Gimnazjum Waltera i Herberta było jedną z tych konserwatywnych, na mocnej dyscyplinie opartych uczelni, które stanowią pierwszy etap wiedzy młodzieży wschodnich obszarów Rzeszy. Ostała się ona i zachowała swój charakter zarówno w latach powojennego zamętu, jak i wtedy, gdy rozkład moralny groził stolicy Niemiec. Nie dotknęły jej fermenty społeczne ani zepsucie obyczajów. Dyrektor gimnazjum, Otto Vollrath, doktor filozofii i — co ważniejsze — podpułkownik w stanie spoczynku, stał na straży dawnego porządku, wierząc głęboko, że czasy murzyńskich teatrów, homoseksualizmu i samobójstw muszą się skończyć, zaś Rzesza zawsze potrzebować będzie zastępu młodych ludzi, wdrożonych do fryderycjańskiego rygoru i bismarckowskiej twardości, pielęgnujących w sercach ideał żołnierza-zdobywcy, pełnych dumy i zawsze pomnych krzywd, jakie wielkiemu narodowi niemieckiemu wyrządziła plutokracja Zachodu.

Herbert dopasował się od razu do kierunku szkoły. Chłopak miał naturę łatwą, ulegającą szybko wpływom zewnętrznym. Wcześniej osierocony wychowywał się przy stryju, niemłodym już wdowcu, który podobnie jak dyrektor Vollrath żył wciąż jeszcze tradycjami cesarstwa i wcale nie sądził, jakoby to one pchnęły Rzeszę do klęski. Herbert miał w sobie pewne elementy surowego patriotyzmu, z którym nigdy nie próbował dyskutować. Patriotyzm ten rozwinęła szkoła, potem już w wyższych klasach dzieła dokonała partia, której Herbert stał się gorliwym członkiem.

Inną drogą szedł rozwój Waltera. Jego ojciec, Bawarczyk z pochodzenia, zbiedniały arystokrata, założył pod Berlinem fabrykę drobnych przedmiotów. Fabryczka rozwinęła się, co sprawiło, że rodzina, choć się dobrze nad Sprewą nie czuła, pozostała tutaj na stałe.

Baron miał usposobienie pogodne, lubił ciągnąć piwo w sobotę i niedzielę, trochę zanadto oglądał się za dziewczętami... W interesach był solidny. Bardzo przywiązał się do swej fabryki, toteż tracił humor, gdy mówiono przy nim, że szalejący kryzys niesie śmierć niemieckiemu przemysłowi. Nie był także entuzjastą zarządzeń, które kazały mu liczyć się we wszystkim z decyzją urzędów pracy.

Matka Waltera mogła uchodzić za prawdziwy wzór Niemki. Jako panna robiła niestrudzenie serwetki, obrusiki i laufferki nawet nie marząc o tym, że ona, skromna mieszczańska, wyjdzie za mąż za barona. Wprawdzie nie bogatego, ale zawsze barona. Zostawszy panią

baronową nie przestała być sobą; dalej robiła serwetki i obrusiki, sterczała godzinami przy kuchni nad różnymi przysmakami, zajmowała się gorliwie dziećmi, a w chwilach wolnych grywała na skrzypcach.

Jej poglądy, które czasami i tylko w kole bliskich znajomych wygłaszała, wydawały się zgoła dziwaczne. Wcale na przykład nie czuła nienawiści do Francuzów za to, że skradli Rzeszy Alzację i Lotaryngię, wcale nie złościła się na Polaków, którzy odbudowali własne państwo i przez ziemie niemieckie osiągnęli dostęp do morza, a wreszcie wcale nie pogardzała zdrajcami. Poza tym kochała dzieci do szaleństwa — dając przy tym pierwszeństwo jasnowłosemu Walterowi przed jego siostrą, czarnooką i ciemnowłosą Gerdą — i tylko o ich przyszłości zwykła była marzyć. Wojna w jej pojęciu mogła zawsze przynieść jakieś nieszczęście. Dlatego wołała do nikogo nie żywić pretensji. Z całym światem gotowa była żyć w świętej zgodzie.

Jeszcze dziwniejsze poglądy miał jej brat Walter. Ten dzielił tylko ludzi na grających i niegrających, a muzyka była dla niego wyrocznią we wszystkich ziemskich zjawiskach. Naturalnie z tak ograniczonym światopoglądem nie ożenił się, nie został ani oficerem, ani przemysłowcem, ani kupcem. Nie był nawet muzykiem. Wegetował na jakiejś posiadce w prywatnym biurze, gdzie robił mało, zarabiając zresztą jeszcze mniej. Za to wiosną i latem włóczył się po polach i zagajnikach, grał na skrzypcach lub nucił jakieś własnej kompozycji melodie. Właściwie przebywał stale w domu von Recków, bo w mieście nie umiał wytrwać, fabryka zaś była za miastem w pięknej okolicy.

Lubili się bardzo z Walterem. Toteż nieraz dwaj Walterzy — duży i mały — szli w dębowe laski i znikali wśród drzew na całe godziny. Grali razem, śpiewali, toczyli ze sobą nie kończące się nigdy rozmowy. Stary dziwak otwierał przed siostrzeńcem swoje serce, a było w nim więcej bogactw, niżby się to wydawać mogło po niedowarzonych opiniach, wygłaszanych przezeń wobec ludzi. Nikt by na pewno nie przypuszczał, że ten człowiek tyle wie i tyle umie. Rysował, malował, kochał się w drzeworytnictwie, nosił się z albumami mistrzów pędzla czy rylca, pokazywał te rzeczy siostrzeńcowi i kazał mu je podziwiać. Uczył chłopca kochać wiedzę, sztukę i odkrywać piękno natury. Poza tym pisał poezje i czytał je chłopcu swym trochę nosowym, ale pięknym jeszcze i głębokim głosem.

Kiedy Walter trafił do berlińskiego gimnazjum, poczuł, że mu tego wszystkiego brakuje. Na sztukę nie było tu miejsca, choć się o niej dużo mówiło, a raczej wspominało, podkreślając wciąż wielkość wkładu niemieckiego ducha w tę dziedzinę twórczości ludzkiej. Niemcy — głosili nauczyciele — są najbardziej utalentowanym i najbardziej czułym na sztukę narodem, bo wywodzą się z rdzennego pnia rasy nordyckiej, nosicieli wszelkich duchowych bogactw. Żydzi i inni Azjaci, a także krótkogłowe ludy śródziemnomorskie

nic nigdy nie stworzyli. Bo czyż nie niemiecką krew mieli w żyłach: Rembrandt, Rubens, Tycjan, Van Dyck, Velasquez, Rafael, Botticelli, Cervantes, Holbein, Corneille, Rousseau, Voltaire, Homer...? Nawet Tomasz z Akwinu był germańskim Longobardem. A Dante Alighieri? Nordyk czystej krwi! Sztuka jest przejawem nordyckości, przez sztukę wypowiada się religijne uczucie niemczyzny.

Takie ujęcie nie bardzo odpowiadało Walterowi. Ale że nie posiadał sił do otwartego buntu, ograniczał się tylko do zjadliwej krytyki. Wyrobiło się w nim ironiczno-zaczepne usposobienie, skłonne do kontrowersji tam, gdzie chodziło o zaatakowanie dogmatów, jakimi żyło jego otoczenie. Dzięki zręczności i wiedzy brał zwykle górę nad przeciwnikami, którzy nawet nie próbowali z nim dyskutować. Z takim usposobieniem byłby w szkole znienawidzony, gdyby nie to, że poza dyskusją w stosunkach z kolegami potrafił być serdecznym chłopakiem gotowym do każdej usługi i grzeczności.

To sprawiło, iż pierwotna niechęć między Herbertem i Walterem zamieniła się w szczerą sympatię. Herbert, który także garnął się do prawdziwej przyjaźni, przestał zwracać uwagę na złośliwe krytyki Waltera traktując je jako słowa bez znaczenia. Walter, choć się buntował w słowach, w życiu siedł biernie za bardziej energicznym kolegą poddając się jego decyzjom i służąc ideałom Herberta, które nie zawsze były jego ideałami.

Obaj wcześniej znaleźli się w szeregach Hitlerjugend, w tym samym Kameradschafcie. Herbert za wyteżoną pracę — której poświęcał wiele czasu, nieraz ze szkodą dla nauki — dobił się szybko stopnia Kameradschaftsführera, a potem poszedł wyżej. Walter ze swoim niepoprawnym krytycyzmem zaledwie pod koniec nauki awansował na Rottenführera. Obaj byli przydzieleni do oddziału Motor-HJ, obaj chcieli ukończyć wykszolenie lotnicze we Flieger-HJ, ale wobec nawału kandydatów musieli czekać.

Po maturze przyszedł Werkhalbjahr i służba wojskowa. Tak się złożyło, że odbywali ją razem w tym samym dziesiątym pułku zmotoryzowanych dragonów opolskich. W październiku 1938 roku zajmowali Sudety. Okupacja Czech zastała ich już w rezerwie, na ławie uniwersytetu berlińskiego.

Prawdę mówiąc, żaden z nich nie wiedział, jaki ma sobie wydział obrać. Herbert, któremu partia obiecywała stanowisko w administracji państwowej, zdecydował się po namyśle na prawo. Walter myślał poważnie o studiach muzycznych, ale tymczasem — zapisał się także na prawo...

Obaj byli teraz członkami partii i SA. Naturalnie Waltera skłonił do tego Herbert, który coraz mocniej wciągał się do ruchu narodo-wo-socjalistycznego. Nosili okrągłe czapki z czarnym wierzchem — będące oznaką grupy berlińsko-brandenburskiej — oraz bagnetiki w brązowej pochwie. Mieli stopnie: Herbert aż Obertruppenführera, Walter Scharführera. Odbywali nieustanne ćwiczenia.

Herbert często przebywał w domu przyjaciela i zżył się z jego rodziną. Baron von Recke kiwał głową i uśmiechał się lekko, słuchając, jak Köstring rozwijał z zapałem zasady nowego ruchu. W rzeczywistości fabrykanta i zubożałego arystokratę mało zachwycał narodowy socjalizm. Wolałby, żeby jego syn należał do jakiejś wesołej korporacji i zamiast ćwiczyć się wciąż w strzelaniu i prowadzeniu samochodu, szukał raczej rozrywki w komerszach piwnych, zaś szczęścia w miłości. Nigdy jednak tego poglądu nie wyrażał głośno. Bo i po co? Widać nadeszły nowe czasy i nowi ludzie, nie ma więc sensu stawać postępowi na drodze. Po ojcu odziedziczył Walter brak odwagi w przeprowadzaniu własnych poglądów, jeżeli były sprzeczne z powszechną opinią.

Z baronową, zajętą serwetkami i kuchnią, trudno było na temat zasad narodowo-socjalistycznych dyskutować. Pozostawała jeszcze siostra Waltera, Gerda, o rok od brata młodsza. Ta była fanatyczną zwolenniczką ruchu i współpracowała z nim z całym zapałem najpierw jako członkini Jungmädel, a potem Bund Deutscher-Mädel.

Gerda nie miała krytycyzmu brata ani jego ukrytych skłonności ku niewojowniczemu pięknu. Obce jej także było ustępliwe stanowisko ojca. Miała naturę kota, który chodzi własnymi drogami. Zmysłowa, ładna, choć jej ciało przeładowane rozwiniętymi mięskami wydawało się nieco przyciężkie, mniej entuzjasmowała się problemami społecznymi i politycznymi ruchu narodowo-socjalistycznego, ile raczej szukała w tej doktrynie ujęcia dla swej bujnej, namiętnej natury. Życie na stopie koleżeńskiej z mężczyznami odpowiadało jej w takim samym stopniu, w jakim matce ślęczenie nad serwetkami i lauferkami. Przeczuwała intuicyjnie, że ruch, który tyle dał mężczyznom wyzwalać w nich głęboko ukryte instynkty, nie może nie dać tego samego kobiecie.

Początkowo, w czasach szkolnych, Herbert mało zwracał uwagi na dziewczynę. Dość długo przeżywał okres, w którym „dziewczyńskie” sprawy — jakieś szeptki, tajemnicze miny — tylko drażnią młodego mężczyznę. Potem wszedł w wiek, w którym chłopak poszukuje już towarzystwa dziewcząt, a pogardliwe „Mädchen” czy nawet „Magd” ustępuje miejsca „Fräulein”. Dzięki Gerdzie, która zawsze była otoczona rojem koleżanek, nie zabrakło mu pierwszych miłosnych podbojów; ale gdy na różnych Katarzynach, Lizach i Agnieszkach stąpił ostrze budzącego się głodu uczuć — wtedy dostrzegł siostrę swego przyjaciela. Gerda była doskonałym towarzyszem. Z nią mógł mówić bez końca o ruchu, o planach, o ostatnich mowach wodza, rozumiał ją i ona jego rozumiała. Podziwiała szybkie posuwanie się Herberta po drabinie hierarchii partyjnej. Imponował jej ten żywiołowy temperament młodego nordyka. Jakby chcąc mu dorównać, z większym jeszcze zapałem rzuciła się w wir pracy organizacyjnej.

Nieoczekiwanie pewnego dnia stwierdzili oboje, że są w sobie zakochani. Może inna była podbudowa uczuć u każdego z nich:

Gerda kochała w Herbercie przede wszystkim twardego hitlerowca, pełnego zapału, energii i siły woli; natomiast Herbert, tęskniący trochę za ciepłym uczuciem kobiecych, których nie zaznał ani w pozabawionym matki domu rodzinnym, ani u stryja, szukał w Gerdzie czułości, podziwu i miękości.

W lipcu zdecydowali się ogłosić oficjalnie swoje zaręczyny. Baronstwo von Recke na wieść o tym zachowali dyplomatyczne milczenie i tylko Walter upił się z zachwytu do nieprzytomności.

We wrześniu postanowili we trójkę wyruszyć na włoczęgę górską. W tym celu Walter, najwytrawniejszy z nich trojga alpinista, już na miesiąc wcześniej płatał się w okolicach Salzburga, obmyślając projekty wycieczek. Gerda pojechała tymczasem na obóz dziewcząt pod Szczecin, Herbert zaś do Schwarzenberge, do stryja.

Nagle ogłoszona mobilizacja ściągnęła obu chłopców do Opolą.

Poprzez mroczne, lecz pełne gorączkowego życia koszary przebili się do rejonu drugiego szwadronu. Trafili tu akurat na chwilę rozdawania mundurów i rynsztunku. Żołnierze pchali się do magazynu i wracali stamtąd, uginając się pod brzemieniem wojskowego oporządzenia. Ciężkie banie hełmów, furażerki, karabiny, łopatki, siekiery, bagnety po prostu fruwały w powietrzu. Brzęczały blaszane pudełka od masek. W sypialniach żołnierze na rozwiniętych kocach rozbierali uważnie „wyfasowane” karabiny maszynowe, by je oczyścić z żółtej wazeliny.

Siedzący w kancelarii podoficer powiedział podchorążym, że żadnego z oficerów szwadronu nie ma w tej chwili w rejonie. Nie wiedząc, co ze sobą robić, poszli do magazynu i tu wpadli w objęcia szefa, który pocąc się, złoszcząc, krzycząc i łajając żołnierzy pilnował wydawania sprzętu.

— Dzień dobry — powitał obu chłopców. — Doskonale, że panowie już są. Pomożecie mi trochę. Hej — ryknął w tej chwili głosem tak przerażającym, że aż wszyscy zadrżeli — ty ofermo jakaś! Wybrałeś sobie, prawda, buty najmniejsze, aby ci zgrabnie na tych twoich kopytkach leżały? A potem przyjdiesz, prawda, do mnie i będziesz skomlał: „Panie szefie, nogi mnie bołą, buty mnie cisną...” Ja ci dam małe buty! Ja ci dam skomlenie! Zrozumiałeś! — Nagle i niespodziewanie przeszedł na ton całkowicie dobroduszny: — Nogi zgubisz, chłopcze, w takich butach, jak ci przyjdzie za Polakami gonić. Bo Polacy to łaźić umięją... Bierz inne! — znowu rozdarł się na całe gardło.

Choć miał głos lwa, i to lwa głodnego, obaj podchorążowie spostrzegli, że żołnierze przyjmowali na wesoło krzyki szefa. Zresztą kto by popatrzył uważniej na grubą różową twarz, na krótkie rudawe, sterczące do góry włosy i haczykowaty nos, prędko by doszedł do przekonania, że Oberfeldwebel Michel Kurz nie jest strasznym

człowiekiem. W błękitnych oczach podoficera malowała się dobroć, w grubych fałdach skóry, które spływały z policzków, wesołość.

— No i co? — pytał. — Jak panom przeszła droga? Nie spodziewali się pewno panowie wczoraj, że dziś będą maszerować.

Kiwnęli głowami. Herbert rzekł stanowczo:

— Zajmiemy „korytarz”, oswobodzimy Gdańsk i będzie koniec.

Kurz spojrzął ku niemu

— Bez walki?

— Któż by się ośmielił z nami walczyć? Polacy? Ech, pokrzyczą i uspokoją się. Zresztą ich żołnierz nie chce wojny. Pułki ukraińskie i białoruskie już się buntują. A cały ten krzyk robi się tylko za żydowskie pieniądze...

— Ano, dobrze by to było, panie podchorąży. Dałby Bóg. Bo mnie, szczerze mówiąc, diablo nie chciało się od żony i malców odjeżdżać. Druga wojna. Jak jechałem na tamtą, byłem dopiero dwa tygodnie po ślubie. Moja Katarzyna to strasznie płakała, jakem ją wtedy opuszczał. Obiecywałem, że prędko wrócę. Tak wszyscy gadali. Ale do licha z takimi obietnicami. Wojna miała się skończyć w pół roku, bo Francja była słaba, a dla Anglii — opowiadano — żaden interes wojować w Europie...

— Polska to nie Francja czy Anglia, panie szefie — niepostrzeżenie dla samego siebie Herbert przybrał ton mentorski, który spotykał u wykładowców i instruktorów politycznych w partii. — Zresztą dziś ani Francja, w której jest więcej Murzynów i Żydów niż Francuzów, ani Anglia z jej kłopotami zamorskimi nie są straszne. A już tym bardziej Polska. To przecież kraj samych mniejszości.

— Pewnie... — Kurz pokiwał głową. — Byłem w Polsce podczas zeszłej wojny. Dziewczyny tam ładne. A Polacy — bitne chłopcy... — Resztę wspomnień szef utopił we wściekłym okrzyku: — Mówiłem ci, durniu, abyś tamtych karabinów nie ruszał! Ma, idiota, całą stertę obok, to nie, musi pchać się z łapami po tamte!

Herbert począł mu wtórować. Nawykły do głośnych komend w oddziałach partyjnych i wojskowych doszedł do tego, że nie przemawiał do żołnierzy inaczej jak krzykiem. Nawet by mu przez myśl nie przeszło, że może istnieć wojsko, w którym krzyk nie byłby formą porozumienia się zwierzchnika z podwładnym. Krzyczano na niego, teraz on krzyczał na żołnierzy. Wiedział, że nawet żołnierze, pokłóciwszy się między sobą, będą sobie wymyślać grzmiącym rykiem.

To tylko Walter swoim ironicznym tonem i cichym głosem wiecznego opozycjonisty powiadał: „Że też wy się odezwać nie potraficie bez krzyku. Każda rozmowa jest u was komendą, a każda komenda — wrzaskiem”.

Wreszcie sprzęt wojenny został żołnierzom wydany i szef z podchorążymi przeszedł z magazynu do kancelarii. Stanęli przy oknie zakrytym szczelnie czarnym papierem i zapalili papierosy.

— Ano, zaczyna się — podjął Kurz. — Jestem czegoś markotny i wciąż mi w pamięci stoją tamte lata. Dużo ich było, do licha. Człowiek tęsknił do żony, teraz będzie tęsknił do żony i dzieci. Pokażę panom podchorążym moich malców.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni duży wyświechtany portfel i po dłuższym grzebaniu wyjął zeń fotografię korpulentnej kobiety, otoczonej czworgiem dzieci. Chłopcy mieli kuse tyrolskie spodniki na wyszywanych szelkach.

— Najstarszy Hans — ojciec uśmiechnął się na wspomnienie pierworodnego. — Pójdzie teraz z oddziałami pracy. Zuch chłopak. Żeby go panowie widzieli... Matka oczy gubi... Potem idzie Teresa, potem Antoni. Ten słaby, bo bardzo długo chorował. Najmłodszy Ernest...

Popatrzył na fotografię z wielką miłością, a potem schował ją z powrotem do portfela.

— Tak mi do nich tęskno, jakbym nie miał ich nigdy zobaczyć — wyznał.

Herbert zaśmiał się hałaśliwie.

— Przesada, panie szefie. Wróci pan do nich. Krzyż Żelazny pan przywiezie i syn pański własnym KDF-em wozic pana będzie. Za dwa tygodnie będzie koniec, zobaczy pan.

— Będzie albo nie będzie — nie znający się na pedagogice postępowania społecznego Walter musiał wtrącić swoje trzy grosze.

— Wszyscy są zdania, że Polska nawet się nie ośmieli bronić — zaoponował surowo Herbert.

— Och, wszyscy. Wszyscy to strasznie mgliste słowo. Robieś wywiad z tymi wszystkimi?

Z tobą go nie robiłem. Nie biorę pod uwagę zdań postrzeleńców.

— Postrzeleńcy stanowią także odsetek „wszystkich”.

— Wyrzucam ich poza nawias.

— Żeby ci potem tylko nawias nie został.

— Nie bój się. Ależ z ciebie dialektyk. Nadałbyś się bolszewikom.

— Już tam do nich pojechał Ribbentrop. Podobno zawiózł im egzemplarz „Mitu” z odpowiednimi skreśleniami...

Herbert spiorunował przyjaciela groźnym spojrzeniem. Walter jest niemożliwy: gotów ze wszystkiego kpić i do tego przy ludziach. Całą pracę propagandową może zniszczyć jedno takie odezwanie.

Przez chwilę zaciągali się dymem. Na korytarzu, na kamiennej podłodze chrzęściły podkute buty. Z dala od izb żołnierskich dochodziły krzykliwe rozmowy.

— Podczas zeszłej wojny byłem w Polsce — Kurz powrócił do swoich wspomnień. — Staliśmy przez parę tygodni w Warszawie.

Nieładne miasto: brudne, pełne Żydów. Ale ludzie niczego sobie... Spotykałem się z pewną dziewczyną... Bardzo była zgrabna i miła.

Zamilkł, szukając w pamięci obrazu owej Frani, która pozwoliła mu wtedy prawić sobie komplementy i łaskawie przyjmowała „fasowane” produkty. Warszawę pamiętał najlepiej z czasów, gdy wkraczali do niej. Uderzyły go wtedy dwujęzyczne szyldy na sklepach, chłopcy w ściśniętych lakierowanym pasem bluzach, śmieszne dorożki, stróże z blachami na czapkach.

— Ale tam się podobno zmieniło — podjął znowu. — Dziwni ludzie ci Polacy. Kiedyśmy do nich przyszli, zdawać by się mogło, że powitają nas z radością, bośmy ich przecież uwolnili od Moskali. Ale oni patrzyli na nas wilkiem, i to każdy. Trudno było z jakąś dziewczyną zawrzeć znajomość i dopiero potem, gdy ich głód ścisnął, to jedna i druga dała się namówić. Naturalnie za jedzenie... Bez tego nic... Aż dziwne. Z naszych każda poleci na spacerowanie z żołnierzem...

— A u nich nie? — spytał Walter.

— Nie.

— Nie chce spacerować z żołnierzem polskim czy niemieckim?

— Ty zawsze stawiasz głupie pytania. — Herbert mówił to z pozorą niedbałością, choć wewnątrz kipił z gniewu.

— Chcę sprecyzować dokładnie zarzut pana szefa w stosunku do Polek.

— Sprecyzujesz go sobie po wojnie.

— Jeżeli mogę wcześniej... — ale nie oponował. Właściwie nie miał zamiaru złościć Herberta. I tak czuł, że mu w końcu ustąpi.

Tymczasem Köstring zrobił Kurzowi mały wykład:

— Wódz obiecał Polakom nietykalność ich ziemi i dostęp do morza. Z ich dyktatorem Piłsudskim porozumiał się doskonale. Ale Piłsudski zmarł, a Polacy nie mogą pojąć...

Walter ziewał kilkakrotnie w czasie tego przydługiego pouczenia. Nudził się. Wszystko, co mówił Herbert, znał na pamięć — tyle razy mówiono to im na odprawach Sturmów, Sturmbanów i Standartów. Aż dziwne, że się jeszcze nie znudziło Herbertowi tak chlapać językiem. A szef wygląda na morowego chłopca. Jakież on paradny ze swymi straszliwymi krzykami, których nikt się nie lęka. Wcale nie przypomina tych osławionych pruskich podoficerów, o jakich pisuje się w powieściach. Zresztą może się zmieni w ogniu walki.

W końcu nie mógł wytrzymać i aby przerwać Köstringowi zapytał Kurza:

— A kto nami dowodzi?

— Major doktor Fillies — Kurz odruchowo wyprężył się, wymawiając nazwisko swego zwierzchnika.

— Jakież on, dobry czy zły?

Szef, zanim odpowiedział, spojrział uważnie na Herberta. Wyczuł już charakter obu podchorążych, wołał więc nie spieszyć się z odpowiedzią, nim się nie przekona, czy spodoba się ona Köstringowi. Nie wyczytawszy nic na twarzy Herberta powiedział wymijająco:

— Dobry oficer...

— Ale czy bardzo wymagający?

Tym razem pytał się Köstring i to takim tonem, że Kurz zrozumiał od razu, iż czujny SA-mann schodzi tym pytaniem z piedestału swego rygoryzmu. Zamrugał wesoło błękitnym okiem, ocienionym rudawymi rzęsami.

— Ot, taki sobie. Bardzo wygodny, więc wszystko chciałby mieć za siebie zrobione. Przyjdzie — zaraz raport. Popatrzy, przetrze okulary, spyta, czy nie ma czego nowego, pochrząka, papierosa wypali — a potem idzie. Ech, z nim by nie było kłopotu.

— Ale ma pewno zastępcę?

— O właśnie. Ten siedzi tu cały czas, nosa z koszar nie wysunie. Wszędzie jest. Człowiek żadnej roboty sam zrobić nie może, zawsze i wszędzie czuje za plecami jego wzrok. A jak lubi krytykować. Bywało, kończę z żołnierzami musztrę, już daję komendę: „Do koszar — biegiem marsz”, a tu nagle gdzieś zza drzewa wychodzi pan porucznik. „Stój! — krzyczy — źle zrobione. Dalej prowadzić ćwiczenia.” I tak czasem godzinami, że i obiadu nie ma kiedy zjeść.

— To kiepsko... — skrzywił się Walter.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle gwałtowny trzask obcasów w korytarzu ostrzegł ich, że któryś z oficerów idzie do kancelarii. Rozległy się energiczne, szybkie kroki i w drzwiach stanął wysoki porucznik w furazerce na głowie. Wszyscy trzej stanęli na baczność, ale zaraz Walter i Herbert jednogłośnie krzyknęli:

— Hugo!

Oficer obrzucił obu podchorążych gniewnym błyskiem stalowych oczu. Zimno powiedział:

— Panowie się zapominają. Tu koszary — nie sala tańca.

Potem zwrócił się do Kurza:

— Niech no szef zobaczy, jaki burdel macie w kuchni: garnki brudne, woda jeszcze się nie gotuje, kuchty drzemią po kątach. Za dziesięć minut chcę widzieć wszystko w porządku.

Kurz zasalutował i wyszedł z kancelarii.

II

Stali przed nim ze spuszczoneymi głowami, zawstydzeni swoim zachowaniem, aż oficer wybuchnął krótkim wesołym śmiechem. Ostro, brutalną pieśczętą uderzył ich po ramionach.

— No, nie przejmujcie się, chłopcy. Musiałem was zbesztać: nie wypada, byście mi mówili „ty” wobec podoficera. Ale jak jesteśmy sami — wszystko będzie po staremu. Nie stójcie tak z głupimi mianami. Dawnoście przyjechali?

— Pociągiem o drugiej — odparł Herbert dość sztywnym głosem.

Byli zaskoczeni powitaniem. Wprawdzie Hugo uchodził za rygorystę, ale nie do tego znów stopnia, żeby zawstydzać swoich partyjnych kolegów wobec obcych. Wyczytał widać ten wyrzut w ich twarzach, bo znowu się roześmiał.

— Widzę, że ciągle jeszcze dmiecie się na mnie. Buuu... A może któryś z was pójdzie do mamusi poskarżyć się, jak go przyjęto w pułku?

W miarę jak mówił, gasł w nich gniew. Teraz słyszeli znowu Hugona, najlepszego instruktora w partii, pełnego zawsze zapału, energii, a także przyjaźni i życzliwości dla młodszych kolegów.

— Ryknąłeś tak na nas... A myśmy się ucieszyli, że będziesz nami dowodził — tłumaczył mu Herbert.

— To nie powód, do licha, by mi się rzucać na szyję. Bądźcie mężczyznami. „Hugo”, i zapominam o dyscyplinie wojskowej. Tak nie można, zwłaszcza dziś, gdy wróg stoi przed naszymi granicami, urągając naszej potędze — wesoły głos porucznika niepostrzeżenie nabrał wyrazu i siły. — Honor Niemca każe nam w takim momencie zapomnieć o wszystkich słabościach i sentymencikach, poza jedynym uczuciem nienawiści.

Stuknął obcasem w ziemię, jakby dla zaakcentowania ostatnich słów, a młodzi podchorążowie spojrzeli na niego z uznaniem. Obaj byli pod urokiem tego dwudziestoosmioletniego mężczyzny, który przez kilka lat kierował nimi najpierw w szeregach Hitlerjugend, potem w Sturmabteilung, potem w Kraftfahrkorps. Hugo był wyjątkowo zdolnym, ale i wyjątkowo ambitnym instruktorem. Jego oddział musiał być zawsze najlepszym oddziałem — i zawsze zresztą palmę pierwszeństwa zdobywał. Dla młodego Sturmführera nie istniało w życiu nic poza partią; podobno zaczynał kiedyś jakieś studia, wiadano o nim, że chodził przez pewien czas na politechnikę — ale to było wszystko, co o jego prywatnym życiu można było powiedzieć. Nikt nigdy nie słyszał o jego domu rodzinnym, o rodzicach, nikt go nigdy nie widział spacerującego z panią, nikt go nie widział nawet zainteresowanego kobietą.

Hugo Kostrzewa wypłynął nieoczekiwanie z mroku, gdy partia walczyła z komunistami o władzę. Podobno był przyjacielem Horsta Wessela, podobno był na ty z Baldurem von Schirachem. Na ulicy Hamburga padł ranny od kul przeciwników. Lecz krew przelana na ołtarzu walki o narodowo-socjalistyczną przyszłość nie wyniosła go na szczyty hierarchii partyjnej. Gdy inni, niewiele odeń starsi, a nawet rówieśnicy, pieli się szybko po stopniach tytułów i zaszczytów, on pracą zawziętą i codzienną dobijał się stanowisk, nad którymi

tamci przelatywali. W górnych piętrach partii znali go wszyscy. Sam wódz kilkakrotnie rozmawiał z Kostrzewą i chwalił postępy wyszkolonej przez niego młodzieży. Jeśli trzeba było na jakimś odcinku wzmóc tempo działalności, jeśli jakaś grupa nie rozwijała się należycie — wtedy posyłano tam Hugona. On zaś szybko robił porządek. Orał sam, ale razem z nim orał cały zespół. Nie należał do złotoustych mówców, którzy w pouczeniach zamykają całą pracę instruktorską. Jeśli miał mówić — mówił krótko, zwięźle, po wojskowemu. I zaraz przechodził do komendy, do pracy w terenie, do ćwiczeń.

Był to mężczyzna wysoki, barczysty, prosty jak świeca, już samym wyglądem zwracający uwagę wrażliwych na piękno sylwetki męskiej. Miał twarz pociągłą, cerę jasną, pokrytą złotym nalotem opalenizny, równy, prosty, niemal klasyczny w swej linii nos, wąskie usta nad miękkim zarysem podbródka, i włosy o lnianej barwie, które lekko falując opadały do tyłu. Głęboko osadzone oczy kolorem przypominały oksydowane ostrze bagnetu. Wokół nich zbiegały się niezliczone drobne zmarszczki — pamiątka częstych wypraw motocyklem, samochodem, motorówką lub samolotem.

Będąc doskonałym kierownikiem oddziałów ludzkich, był również wybornym kierowcą każdego mechanicznego pojazdu. Hugo upajał się po prostu pędem. Kiedy prowadził samochód lub motocykl, nie każdy miał odwagę mu towarzyszyć, choć wiadano, że nigdy nie miał poważniejszego wypadku. Z miejsca ruszał z ogromną szybkością, nie zwalniając ani na zakrętach, ani podczas mijania innych aut.

Zresztą w każdej dziedzinie sportu wznosił się ponad przeciętność. Uprawiał z zamiłowaniem lekkoatletykę, boksował się, pływał, grał w tenisa, strzelał, nie stronił nawet od jazdy konnej. Nie chodziło mu zresztą o rekordy. Rekord — zwykł być mówić — potrzebny jest temu, kto służy Rzeszy jako sportowiec. Ja jej służę jako instruktor partii. Dlatego muszę się znać na każdym sporcie, a nie zasklepiac się w jednej tylko specjalności.

W ostatnim roku Hugo oddał swój Sturm komu innemu, a sam przeszedł do NS-Fliegerkorps. Obiecywał Herbertowi i Walterowi, że ich później także tam pociągnie. Obu młodym uśmiechało się latanie — ale widać w nawale zajęć Hugo zapomniał o tym. Sądził, iż zostanie zmobilizowany już jako lotnik, byli więc zdziwieni widząc go w Opolu.

— Nie skończyłem przeszkolenia — tłumaczył im — więc mnie odkomenderowano tutaj. Na rozprawę powietrzną z Polską znajdując się inni; a gdy przyjdzie z kolei nowa wojna, wtedy już i ja pofrunę.

— Nowa wojna? — Walter podniósł głowę.

— Cóż cię tak przeraziło?

— Przeraziło? Nie. Ale dotychczas gotów byłem twierdzić, że wojny nie chcemy. Tak przynajmniej mówiono, a ja w to święcie

wierzyłem. Tymczasem dziś, na progu rozprawy z Polską, mówisz już o nowych wojnach, i to takim tonem, jakbyś ich sobie życzył.

— Wojny są prawem życia, Walterze. Tylko w walce kształtuje się dusza narodu i tylko zwycięstwo uczy dbać o cześć i honor.

— Zgoda. Ale myślę, że ilekroć w ten sposób mówimy o wojnie, mamy na myśli wojnę obronną, względnie wojnę, podjętą w imię jakichś wzniosłych, ogólnoludzkich ideałów. Tymczasem — wybacz — ale choć jestem członkiem partii, SA, NSKK, Deutsche Studentenbund — tudzież innych organizacji, nie mogę zrozumieć celu naszej wyprawy na wschód. Bo jeżeliby chodziło tylko o los Niemców prześladowanych w Polsce...

— Uważasz, że to mało?

— Uważam, że to bardzo dużo — aby nie milczeć. Ale chyba za mało — aby wojować.

— Widzisz, Hugonie, Walter nic się nie zmienił. Jak dawniej nie bierze życia prosto, ale się doszukuje jakichś „sensów” czy „bez-sensów” i żąda odpowiedzi.

— Rzeczywiście. Zawsze w nim więcej filozofa niż żołnierza. A szkoda.

— Dlaczego? — Walter nie porzucił swego tonu grzecznie agresywnego.

— Żołnierze tworzą imperia, filozofowie umieją je tylko rozkładać swymi doktrynami. Cezar, Napoleon czy Fryderyk byli tylko żołnierzami.

— Może, ale cóż ostatecznie dobrego z tego wynikło? Właśnie Cezara wykończył filozof Brutus, zaś stary Fryc bawił się często w filozofa, w Antymachiavella, co jest dowodem, że patrzył na świat nie tylko z punktu widzenia karabinu, który po to istnieje, aby zeń strzelać, ale także...

— Fryderyk uczył nas honoru, obowiązku i odwagi. To są pojęcia proste, intuicyjnie wysnute z ducha rasy. Nie nazywam głoszenia ich filozofią. Bawienie się w filozofa — to wchodzenie w jakieś pseudokontakty z istotami zaziemskimi, odwracające człowieka od narzuconych mu przez życie obowiązków dla zaspokojenia manii snucia pustych marzeń.

— Powiedziałeś to pięknie. Co najmniej jak sam Rosenberg. Ale ja zawsze mam w pamięci Lawrence’a, który napisał, że kwintesencją człowieczeństwa są jądra...

Hugo skrzywił się z niesmakiem.

— Cechą rasy czystej — rzekł — jest czystość. Bastardy i mieszańce rodzą same świństwa. Chwileczkę...

Do kancelarii wszedł szef, aby zameldować Kostrzewie, że w kuchni porządek został już przywrócony, a śniadanie będzie można za godzinę wydawać. Poza tym pan major przysłał ordynansa z zawiadomieniem, że nie może przyjść do rejonu przed dziewiątą, po-

leca więc panu porucznikowi, aby zrobił przegląd szwadronu ze specjalnym uwzględnieniem broni. W oczach Kostrzewy błysnęło zadowolenie. Cieszył się zawsze, kiedy mógł na swoje barki wziąć całość starania o szwadron. Nie nadawał się na biernego wykonawcę rozkazów. Spojrzał na zegarek.

— Godzina za pięć czwarta. O piątej szef wyda śniadanie, o pół do szóstej — rozkazy padały twardo, jakby wystukiwane młotkiem po stole — chcę widzieć szwadron na podwórzu. W pełnym uzbrojeniu. Panowie — zwrócił się do podchorążych — jesteście do czasu zbiórki wolni. Zjedzcie teraz śniadanie. Bądźcie za pół godziny w kasynie — dodał ciszej — pogadamy jeszcze.

Wyciągnął z bocznej kieszeni cynfoliowe pudełko z papierosami. Niedbale, wprost wargami, wziął z pudełka papierosa. Szef podał mu zapaloną zapalkę. Kostrzewa pociągnął, kiwnął głową i przesu-
nawszy ruchem warg papierosa w kąt ust, podniósł rękę.

— Heil!

Odpowiedzieli mu gestem partyjnego pozdrowienia — Kurz zasa-
lutował. W korytarzu znów trzasnęły obcasy służbowego żołnierza, obok którego przeszedł Hugo.

Szef przymrużył filuternie oko.

— Mamy półtorej godziny spokoju — powiedział.

Parsknęli śmiechem.

— Ale się z Hugona zrobiła zrzęda — wydziwiał Walter.

— Tak, mógł z nami inaczej rozmawiać — przyznał Herbert.

Poprosili Kurza, aby im wskazał pokój, gdzie mogą się przebrać. Poprzez wyszczotkowane korytarze, pełne gotyckich napisów nawo-
lujących do czystości, zawieszone zarządzeniami oraz arkuszami gazetki ściennej, wyszli na dziedziniec. Niepostrzeżenie spoza drzew i dachów wstawał wczesny dzień sierpniowy. Złota pręga blasku, którą widzieli poprzednio daleko na horyzoncie, teraz rozlewać się poczęła po całym niebie. Szarość przedświtu przechodziła w różo-
wość. Niewyraźnie przedtem rysujące się kontury przedmiotów teraz coraz ostrzej odcinały się płaszczyznami blasku i cienia.

— Będzie piękny, słoneczny dzień — zauważył Walter.

— O tak — zgodził się Kurz — śliczny mamy sierpień. Pewno moi malcy leżą cały dzień na słońcu i łowią ryby. Ogromnie lubimy chodzić z wędkami nad rzekę. Zdejmujemy wtedy buty, kładziemy się na trawie; moja stara smaruje chleb i przygotowuje podwieczorek. Och, co za życie. Człek pali sobie fajkę, na dzieci patrzy i jest ze wszystkiego zadowolony.

— A w czym pan szef pracuje?

— Mam ze szwagrem warsztacik, w którym składamy i reperujemy rowery, a gdy trzeba, to i motory. Nie można narzekać — dobrze idzie. Rower ma u nas każdy, więc stale jakąś robotę się chwyci. Żeby tak tylko zawsze.

Weszli znowu w drzwi budynku. W korytarzu paliły się jeszcze lampki elektryczne, lecz w blasku dnia wydawały się dziwnie bezsilne i tylko połyskiwały pod sufitem niby szklane kule z choinki. Obaj podchorążowie nie czuli zmęczenia; piękny dzień budził w nich nowe siły. Ich myśli pobiegły w tym samym kierunku: ku tej nagle poczynającej budzić zainteresowanie granicy wschodniej, za którą znęcano się nad Niemcami i za którą śmiesznie uzbrojone wojska polskie stały w zuchwałym pogotowiu. Na myśl o tym Herberta zawsze ogarniał gniew. Walter spokojnie patrzył na nabrzmiewający konflikt; raczej interesował go on, niż złościł.

Teraz jednak i on poczuł, że się w nim budzi zapal bojowy i pragnienie sławy. Walter z całym swoim krytycyzmem i niegermańską chyba dobroduszością miał w żyłach krew żołnierza, tego żołnierza z opowiadań chłopięcych, zawsze zwycięskiego i zawsze w boju szlachetnego.

Szybko włożyli polowe mundury, przygotowali hełmy i oprządzenia. Pogwizdując wesoło, pomaszerowali do kasyna. Mimo wczesnej godziny było tu już pełno. Przy stolikach siedzieli oficerowie popijając kawę. W kącie zobaczyli Kostrzewę. Ale zanim siedli obok niego, złożyli mu prawie ze środka sali ceremonialny ukłon wojskowy.

— Dobrze — pochwalił ich — zaczynacie wyglądać na wojsko.

Jasnowłosa dziewczyna w białym fartuchu przyniosła kawę i pokrajany chleb na talerzu. Wzięli się z apetytem do jedzenia. Hugo, który już zjadł poprzednio śniadanie, zapalił papierosa.

Herbert wskazał ręką na leżącą obok gazetę.

— Co piszą?

— Że nasza cierpliwość już bliska wyczerpania.

— Więc idziemy na Polskę?

— Naturalnie.

— Bez wojny?

— Raczej przeciwnie. Nasz sztab jest zdania, iż Polacy będą się bili, tym bardziej że im sojusz z Anglią zawrócił w głowie. To są nawet dobrzy żołnierze. Ale tylko żołnierze — bez broni, bez dowództwa. Bombowców nie mają, ich samoloty pościgowe są wolniejsze od naszych Dornierów i Junkersów. Niech to wam wystarczy.

— I ja czytałem, że tam ludzie boją się wojny, a bunt w pułkach ukraińskich i białoruskich są na porządku dziennym...

Hugo utkwiał w Herbercie spojrzenie swych chłodnych, siwych oczu.

— Nie. O buntach nic nie słyszałem. Wręcz przeciwnie: nasi obserwatorzy twierdzą, że Polacy rwą się do wojny, a nawet wierzą w swoje zwycięstwo. Naturalnie, o buntach możecie mówić. To są wiadomości, które biura propagandy celowo rozpuszczają między ludźmi. Takie rzeczy należą do rekwizytów dzisiejszej wojny.

— Nie pochwalam takich rekwizytów — wtrącił Walter.

— Wobec tego mogę ci powiedzieć, że źle pojmujesz swoje zadania partyjne. Wiesz przecież, iż współpraca z biurem propagandy jest obowiązkiem każdego członka partii. Tylko dzięki niej potrafiemy odróżnić propagandowe chwytły lub akty czystej polityki od nakazów wcielanej w życie idei.

Herbert nieświadomie dla samego siebie wyprężył się cały. Słowa Hugona brzmiały dla niego jak rozkaz. Natomiast oczy Waltera zmrużyły się, usta skrzywił grymas ironii.

— Ach, więc chwytły propagandowe i czysta polityka. Wieczna polityka, która pozwala chować ideały w kieszeń, by nie przeszkadzały w rozgrywce. Tylko — zaciągnął się mocno dymem — tylko powiedz mi, Herbercie, jak odróżnić akty polityki od ewentualnych skrętów idei? Bo przyznasz...

Kostrzewa przerwał mu ruchem ręki.

— Każda idea zmienia swe formy. Ale tylko formy, mości baronie. Cel jej natomiast nie zmienia się nigdy. Tym bardziej gdy tym celem jest rzecz największa na świecie — Niemcy.

— Kto wie, czy takich samych celów nie głoszą także Włosi, Anglicy, Rosjanie, może nawet Polacy.

— Może, lecz wynikają one z bezkrytycznego spojrzenia, które nie uwzględnia naturalnych różnic rasowych.

— Więc zawsze: „Deutschland, Deutschland über alles”?

— Czyżbyś wątpił?

Walter chwilę milczał.

— Właściwie nie. W rzeczy samej w głębi serca cieszę się, że jestem Niemcem, i nie chciałbym być ani Francuzem, ani Anglikiem, ani Polakiem. Moim jednak zdaniem należy pozostawić innym ich złudzenia. Na nich opiera się harmonia świata, bo każdy człowiek jest jak ów ślimak zamknięty w skorupie, a przekonany, iż włada całym światem.

— Takim złudom trzeba kłaść koniec.

— Och, dlaczego? Czy marząc o wielkości mojej ojczyzny, muszę jednocześnie pragnąć upadku mojego sąsiada? Czyż wielkość jednego kraju pociąga za sobą nieuchronnie katastrofę drugiego? Ty stawiasz to jako pewnik i jako życiową konieczność. Inni myślą tak samo, lecz brutalność wyznania pokrywają kłamstwem. Bo czyż nie kłamstwem jest „czysta polityka” i „chwytły propagandowe”? Kłamstwem, które zdolne jest zachwiać najsolidniejszą ideą.

— Nigdy się nie zachwieją wierzenia wyrosłe z nurtu krwi.

— A jeżeli, Hugonie?

— Przeczysz oczywiście — rzucił niecierpliwie Herbert.

Kostrzewa starannie otrzepał popiół z papierosa. Potem podjął:

— Wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem krwi. Krew nie kłamie, krew nie ludzi. Trzeba mieć tylko oczy otwarte na tę nową mistykę.

— Lękam się, że ta nowa mistyka nie przemawia do mnie dostatecznie wyraźnie. Boję się także, że znajdujecie u ludzi już niezwykłych myśli im samym nie znane.

— Jeżeli były nie znane, dowodzi to tylko, że świadomość jeszcze się w nich nie obudziła. Nieświadomość zawsze poprzedza świadomość. Wybucho z niej jak strumień, który tryska z ziemi.

— Z tej ziemi tutaj?

Spojrzeni sobie w oczy i Hugo dojrzał we wzroku Waltera ironię. Lecz powstrzymał się przed wybuchem gniewu. Znając od dawna von Reckego wiedział, że chłopak jest zbyt subtelny, aby mógł naprawdę mówić złościwości.

— Nie bawmy się w geografów — rzekł chłodno.

Napili się kawy. Spojrzeli na zegarki.

— Jeszcze jest trochę czasu.

Köstring znowu wziął gazetę.

— A cóż Włochy, Hugonie?

— Pójdą z nami, gdy będzie trzeba.

— Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy.

Znowu Walter zaatakował.

— A czy to będzie akt „czystej polityki”, czy też przejaw zrozumienia nowej mistyki u Mussoliniego?

— Raczej akt polityki z naszej strony.

— Więc przyjaźń wodzów, mowy, wizyty...

— Są wyrazem wzajemnego zrozumienia się dwóch artystycznie czujących dusz. Tylko że artystyczne odczucie u Führera wpływa z rasowych bogactw ducha niemieckiego, u Mussoliniego zaś jest dodatkiem do interesu.

— Nie wiedziałem, że tak nisko cenisz naszych sprzymierzeńców.

— Byłem tam i widziałem. Pokazywano mi maszerujące oddziały Balili, czarnych koszul, żołnierzy. Sypano jak z rękawa dumnymi tytułami: „Synowie wilczycy”, „5 czerwiec”, „Desperata”... A tymczasem... To są ludzie, którzy nie umieją zerwać z przeszłością. Ona im leży kamieniem na barkach, przytłacza, przykuwa do kościołów i ruin, Włosi od wieków byli handlarzami. Ale gdy inni sprzedawali dywany, olejki, korzenie, oni przemieniali na grosze swe największe świętości. Swą przeszłość. Każdy Włoch to duchowy ekshibicjonista. U nich wyrosła cała kasta organistów, przewodników, dziadów podkościelnych. I tym to organistom, przewodnikom i dziadom kazano tworzyć imperium. Czyste kpiny. Od dawna w krew dawnych Rzymian wsiąknęła trucizna katolicyzmu. Czy my mamy kościoły i ruiny? Nie. Pozbyliśmy się tego śmiecia, które więzi ducha. Oni są

niewolnikami swoich gruzów. I już nimi pozostaną. Przez długie wieki będą sprzedawali szczątki swej przeszłości zblazowanym Amerykanom. Nie ma obawy, aby im materiału zabrakło, bo przecież pobożną przeszłość wytwarza bez przerwy watykańska fabryczka...

— Obrażasz, Hugonie, uczucia Herberta.

Köstring zaczerwienił się. Wykrzyknął:

— Nic podobnego! To moi rodzice byli katolikami. Ja kpię z katolicyzmu, z papieża i ze wszystkich tych bujd!

— Och, nie broń się tak — Hugo uśmiechnął się lekko. — Powiedz raczej Walterowi: jestem najpierw Niemcem, potem mogę być nawet katolikiem. Jako Niemiec posiadam duszę wolną, która kocha męstwo i cześć, a nienawidzi słabości i pokory. W katolicyzmie jest dużo rzeczy wartościowych. Na przykład powaga hierarchii kościelnej. Jezus, jeżeli Go uwolnimy z oparów cierpiętnictwa, nie wygląda tak żałośnie mdło, jak Go nam malują.

Nieoczekiwanie ktoś stanął przy stoliku.

— Dzień dobry. Pozwolicie, że przysiądę się do was?

Zerwali się z miejsc, by oddać należyte honory kapitanowi Körnerowi.

— Dobrze, dobrze. Dziękuję — mówił grubas sadowiąc się wygodnie. — Uff! Alem się zmęczył. Diabło pracowita noc. Ani chwili spokoju. Od telefonów mało mi bębunki nie popękały. Łapa mnie boli, tyle się napisałem i napodpisywałem. Do licha z taką robotą! Wolałbym być już w polu. Fräulein — kawy. Ale prędko!

— Kiedy wyruszamy, panie kapitanie?

— Och, Köstring. To niedyskretne pytanie. Chcesz, bym ci zdradzał tajemnice wojskowe? Ale żebyś się zbytnio nie niepokoił, powiem ci w zaufaniu: dziś.

— Hura!

— Nie krzycz tak, bo ci nie dam pić kawy. Do licha, poruczniku. Słaby u was panuje rygor w drugim szwadronie, bardzo słaby.

— Dopiero przyjechali, panie kapitanie. Ale ja im dam szkołę...

— No, to już się wolę wstawić za nimi, bo wiem, że z panem i bez moich skarg ciężkie będą mieli życie. Prędko zostaniesz generałem, Kostrzewa. Masz twarz, która pasuje do czerwonej patki.

— Dziękuję za piękne nadzieje. Bo tymczasem...

— Tymczasem jesteś zastępcą Filliesa, który jest naukowcem wsadzonym w wojenne buty i wolałby zajmować się swoją archeologią niż szwadronem. Więc droga otwarta. Kariera stoi przed panem.

— Papierosa, panie kapitanie?

— Dziękuję. Kawa. Fräulein! Czy długo będę jeszcze na nią czekał? Lada chwila ktoś tu po mnie przyjdzie. Aha — o czymżeście tak zawzięcie gadali przed moim przyjściem?

— Podziwialiśmy głębię uczuć religijnych Köstringa — rzekł Walter.

— Nie, raczej usiłowaliśmy czegoś nauczyć barona. Bo on jak był, tak pozostał pacyfistą, utopistą i w ogóle postrzeleńcem — bronił się Herbert.

— Prawda, Köstring jest katolikiem — Körner roześmiał się wesoło. — No, ale chyba nie martwisz się, że będziesz niedługo wyprawiał do Bozi takich samych jak ty katolików? A baron? Jak brzmi formuła pańskiego wyznania religijnego?

— Mętnie.

Adiutant nasypał cztery kopiaste łyżeczki cukru do filiżanki i zaczął starannie mieszać kawę. Hugo milcząc puszczał w górę kłęby dymu. Za oknami, gdzieś w rejonie pierwszego szwadronu, rozległa się trąbka.

— Polacy pewno się teraz modlą w obawie o swoją skórę — powiedział Körner, biorąc z kolei chleb. — Ale trzeba przyznać, że czasami to lepiej umieć się modlić...

— Nie zgadzam się z tym, panie kapitanie — zaprotestował Kostrzewa. — W modlitwie jest słabość istoty, która sama nie umie przeciwstawić się niebezpieczeństwu. Natomiast jeżeli chodzi o uczucia tak zwane religijne, to ani modlitwa, ani kościół nie są potrzebne. Wystarczy sztuka. Naturalnie, nie tak, jak ją pojmuje Walter. Dla niego sztuka ma wartość sama w sobie. To błąd. Ona powinna być jak trąbka, która wzywa ludzi na zbiórkę.

— Co za straszny utylitaryzm. — Walter podniósł natychmiast rękawicę. — Może wołając żołnierzy do kotła z zupą, każesz im zagrać „Dziewiątą symfonię”? Nie. Sztuka ma naprawdę swoje własne cele. Służy pięknu...

— Bzdury! Sztuka ma tylko jeden cel przed sobą: musi wyzwolić czyn.

— Czyn? Sztuka ukazuje nieraz brak czynu, upadek, tragedię, śmierć. Choćby Hamlet. A Zygfyrd, symbol niemczyzny, ginie z ręki mordercy...

— Zygfyrd jest symbolem niemczyzny tylko dla ciebie i grubych Michałków. Nagi tors, złote włosy, miecz... To dobre w kinie, ale nie w życiu.

Körner poruszył się niespokojnie na krzeselku.

— Zdaje się, poruczniku, że pan trochę przesadza.

Hugo potrząsnął głową.

— Nie przesadzam. To von Recke, kapitanie, powinien mieć za symbol Zygfyryda. Upajałby się jak tamten miłością, pieśnią słowików. Walczyłby ze smokami. Szcherbiłby miecz dla niepotrzebnych spraw.

— Czyż jest coś piękniejszego na świecie niż walka ze smokami!

Walter wykrzyknął te słowa tonem prowokującym. Na jego twarz wystąpiły rumieńce, z warg zniknął ironiczny półuśmiech. Lecz Kostrzewa ciągnął dalej:

— Kto walczy w marzeniach ze smokami, ten w życiu zaczyna zwalczać wiatraki. Nasze ideały są rzeczywiste jak chleb i wolność. Gdy się im służy, warto rzucić na szalę nawet swe imię...

Wszyscy trzej spojrzeli na niego niepewnie, wzrokiem pełnym zdziwienia.

— Imię? Nie rozumiem pana, poruczniku.

— Imię? Co masz na myśli, Hugonie?

Młody oficer wpił w przestrzeń swój twardy wzrok. Jego sucha, ściągła twarz zastygła w kamienną maskę.

— Tak — powiedział wolno — imię. Istnieje bohater, którego tradycja ubrała w szaty nieomal diabelskie. Przypomina mi się z lat szkolnych ujrzana na ekranie sylwetka: czarny płaszcz, czarna zbroja, hełm, oko przewiązane także czarną taśmą...

— Czyżby Hagen, Hugonie?

— Hagen von Tronje. Oto prawdziwe wcielenie niemczyzny. Głupcy zrobili zeń wściekłego starca. Hagen poddał się odważnie fali oczerniającej go tradycji. Gardził nią tak, jak tymi wszystkimi, którzy wokół niego lekliwie a podle szeptali. Bez lęku cisnął oszczepem, by zabić księżycową hydrę, tego szaleńca, który chciał zamienić ziemię w krainę baśni. Wytłukł jego smoki, jego karłów, podarł czapkę niewidkę, cisnął skarb w nurty Renu. I choć także sam na końcu zginął, wiedział, że przecież nie na próżno umiera. Trucizna trubadurstwa została wydarta z krwi niemieckiej. Nie ma już dla niej miejsca!

— Twoja mistyka, Hugonie — próbował odgryźć się Walter — zaraża prawie o wiarę w Opatrzność. Naturalnie w katolicką Opatrzność. A tymczasem jest wręcz odwrotnie. To twój Zygfyrd żyje ekstazą chrześcijańską. Dodać mu tylko trochę sofizmatów kościelnych, a rzuci miecz, rozda swój skarb między ubogich i pójdzie w ślady świętego Franciszka. Albo zaawansuje na świętego w stylu Jerzego czy Marcina. Naród niemiecki pozostał wierny nauce Harena. Jeśli wylewał krew, to nie w romantycznych pojedynkach, ale w walce o prawa najszlachetniejszej krwi. Jeśli podbijał, to nie dlatego, że był chciwy podboju, ale dlatego, by ofiarować podbitym najwyższą kulturę i dźwignąć ich na wyższy poziom rozwoju. Naśladowano nas — jakże nieudolnie. Takie były podboje angielskiego, francuskiego, włoskiego, japońskiego imperializmu. Lecz tamci nie pojmują jednego: gdy ich kuszą dorywcze zyski, nasza walka jest misją.

Przy stoliku zapanowało milczenie. Walter zdawał się ustępować pod naporem energii Kostrzewy. Ale jeszcze nie chciał skapitulować.

— Zapomniałeś, Hugonie, o Krimhildzie...

W tej chwili do kasyna wszedł podoficer w hełmie zapiętym służ-

bowo. Rozejrzawszy się między stolikami skierował się prosto do kapitana Körnera. Coś mu powiedział. Adiutant pułku cicho zakławszy podniósł się z krzesła.

— Niestety, muszę iść. To, co pan mówił, jest dla mnie trochę skomplikowane, panie poruczniku. Ale bardzo ciekawe. I na pewno słuszne. Pan dużo czytał?

— Czytałem, myślałem, panie kapitanie.

— Hm, myśmy dawniej nie sięgali tak głęboko. Inne były czasy. Ale rozumieliśmy tak samo jak pan. I cesarz mówił... Och, nie przypominę już sobie jego słów. Nie mam daru pamięci. Lecz zupełnie tak, jak pan dzisiaj. Wie pan co? Musi pan kiedy przyjść razem z podchorążym do mnie, podyskutujemy wtedy dłużej.

Podoficer znowu stanął w drzwiach kasyna.

— Dobrze, dobrze. Już idę. Zdaje się, że przynosi rozkaz wymarszu. Ale dziwne, panie poruczniku, że pan taki zachwycony tą wojną...

— Dlaczego panie kapitanie?

— No, bo pan nosi takie nieniemieckie nazwisko. Ha, ha, ha! — adiutant wybuchnął śmiechem. — Wygląda ono na polskie. Co? Co?

Hugo zeszywniał. Szara bladeść ogarnęła jego smagłe policzki.

— Jestem Niemcem i oficerem armii niemieckiej, panie kapitanie — powiedział chłodno.

III

Rozkaz wymarszu przyszedł rzeczywiście; około południa pierwsze oddziały zaczęły ładować się na ciężarowe samochody i odjeżdżać w kierunku wschodnim. Skwarny dzień sierpniowy męczył żołnierzy, przygniecionych ładunkiem plecaków, hełmów, karabinów, masek, ładownic. Ludność na ulicach witała przejeżdżające auta gromkim: Heil! Sieg! Hoch!

Szwadron drugi miał odjechać na końcu, więc podchorążowie płatali się po pustoszejących koszarach, nie bardzo wiedząc, co ze sobą robić. Obiad zjedli w kasynie, ale sami bez Hugona, gdyż ten wyjechał motocyklem w celu wybrania kwater dla szwadronu. Po obiedzie, zakropionym butelką wina, zasiedli obaj do pisania listów do Gerdy. Walter tworzył po chłopięcemu, skrobiąc ołówkiem, który wciąż gryzł w zębach. Stawiał ogromne litery i przeskakiwał z tematu na temat. Pisał:

„Wyobraź sobie, jedziemy dziś na wojnę. Nie mogę w to jeszcze uwierzyć. Wojna — to słowo brzmi tajemniczo i pięknie. Naturalnie, ciągle mi dzwoni w uszach pieśń Volkera, którą wiesz, jak lubię. Jej słowa zawsze mnie upajały, a najwięcej zachwycam się zakoń-

czeniu, które w chwili obecnej stało się nawet aktualne: A «teraz śmierć nam może do tańca grać...»

Naszym dowódcą jest major doktor Fillies, chuda tyka, w cywilu profesor archeologii w Jenie. Uff! strasznie nudny. Grzebał się ostatnio w jakichś resztkach koło Wolina i ciągle o tym opowiada Herbertowi, który tego z rozkoszą słucha, i mnie, od czego uciekam jak od arytmetyki. Zastępcą jego jest, wyobraź sobie i staraj się zgadnąć, ale że nigdy nie zgadniesz, więc ci napiszę: Hugo Kostrzewa. Chyba to nazwisko nie jest ci obce, bośmy o nim tyle opowiadali. Byczy chłopak z Hugona, choć nas z miejsca zrugał jak smarkaczy. Klóczę się z nim często, naturalnie w sprawach nie mających z wojskowością nic wspólnego, ale równocześnie serdecznie go podziwiam. Jako oficer nie ma sobie równego, więc chyba pod jego ręką laurów nam nie zabraknie.

Mamy także bardzo miłego szefa. Taki sobie majsterek gdzieś z Westfalii, zakochany po uszy w swej starej, która wcale Wenery (pokazywał nam fotografię) nie przypomina, i w swoich smarkaczach. W sercu słodycz, łagodność, lecz za to ma głos tak straszliwy, że na samo jego brzmienie nasze konie — gdyby w porę nie zostały zastąpione przez samochody pancerne, ciężarowe oraz motocykle — stawałyby dęba ze strachu i unosiły do stajni spłoszonych jeźdźców...”

Podczas gdy Walter na rogu stolika tworzył swoją epistołę i zapijał każde dłuższe zdanie łykiem oranżady, na tym samym blacie Herbert, ze znacznie większym namaszczeniem, układał list do narzeczonej. Papier listowy został po chwili namysłu dobrany, pióro świeżo napełnione atramentem, na stole pod papierem listowym rozłożona gazeta. Lecz choć wszystkie prace przygotowawcze zostały ukończone, słowa wolno spływały na błękitny papier. Köstringa opuściła nagle cała jego energia, nieugiętość i zapał bojowy. Jakby w rozłożonej ćwiartce papieru ujrzał nagle oblicze rozkwitającej miłości, która go oderwała od bohaterskich pragnień i groźnie męskich poczynań.

„Najdroższa moja Gertie — pisał — przyszła więc chwila oczekiwana, groźna i wspaniała zarazem, w której mogę ofiarować wodzowi i narodowi samego siebie. Dumny jestem z tego i dumny jestem ze zwycięstwa, które musi przyjść jutro. Ale gdybym mógł w tym momencie, który mnie od walki oddziela, jeszcze raz ujrzeć ciebie, byłbym niewypowiedzianie szczęśliwszy, niż jestem, siedząc przy stoliku oficerskiego kasyna i szukając w twarzy siedzącego naprzeciw Waltera twoich drogich rysów...”

Młody podchorąży przerwał pisanie i zapatrzył się w gałęzie drzew, kołyszące się łagodnie przed otwartymi oknami kasyna. Walter z niepohamowaną energią dalej gryzmolił swój list, przygryzając usta i przekręcając komicznie głowę, jakby nie pisał, ale rysował. W kasynie nie było już nikogo, tylko usługująca Fräulein klęczała

na krzeselku i odwrócona plecami do chłopców czytała pozostawioną gazetę. Herbert wrócił do pisania:

„Kocham cię, Gertie, z całego serca. Kocham cię ogromnie. Widzę już w marzeniach przyszły nasz dom i życie, pełne radości, szczęścia i ofiarnej pracy dla dobra ojczyzny. Jakżebym pragnął w tej chwili ucałować twoje usta, tak gorąco, jak wówczas nad rzeką...”

Siłą niemal oderwał się od tej wizji.

„Jestem bardzo zadowolony, służąc pod komendą naszego przyjaciela i instruktora partyjnego, Hugona Kostrzewy. Nieraz ci o nim mówiłem, zresztą widziałas go kilkakrotnie. Jest to człowiek, którego na próżno staram się naśladować. I wiesz, choć jestem zazdrosny o ciebie i nie zniósłbym myśli, że możesz kochać innego, to jednak może w jednym wypadku umiałbym się z taką tragedią pogodzić — gdybyś pokochała Hugona... Ty go nie potrafiłaś ocenić: pamiętam, jak mówiłaś wtedy na popisie sportowym, że za takim mężczyzną kobiety nigdy nie pobiegną. To niemożliwe. On jest taki miły i dzielny. Wprawdzie sam Kostrzewa zdaje się nie widzieć kobiet, ale to dlatego, że jest zanadto przejęty swoją pracą. Każdym swym słowem skierowuje nasze myśli na drogę obowiązku. Jestem szczęśliwy gdy mogę iść ślepo za jego rozkazami. Walter po swojemu sprzecza się z nim i mówi rzeczy, w które prawdopodobnie sam nie wierzy...”

Znowu zatrzymał się na chwilę, aby dać folgę marzeniom. Na szczęście przywołane nagle wspomnienie Hugona pchnęło jego myśl w kierunku bohaterskich rojeń i ofiarnych zmagañ. Znowu znalazł się w świecie mu bliższym, w świecie dnia codziennego, nad którym górował wpływ partii, Hugona i wodza, budząc w nim energię czynu i odtrącając słabowite marzenia miłosne, które odzywały się gdzieś w głębi serca. Sam nie wiedział, dlaczego jego uczucia do Gerdy, żyjącej przecież tymi samymi co i on ideałami, miały w sobie także jakby jeszcze inny posmak, nie związany z osobą panny von Recke, a przecież dziwnie swojski. Czasami sam siebie nie mógł zrozumieć.

Trzeba było już kończyć. Herbert spojrział na zegarek i po raz ostatni wrócił do listu.

„Bądź zdrowa, kochana Gertie. Nie wiem, kiedy znowu będę mógł do ciebie napisać. Ale ty może już jutro będziesz czytała w pismach o naszych zwycięstwach. Całuję cię. Twój Herbert.”

Złożył starannie papier, wsunął go w wąską kopertę. Wypisał na kopercie adres i wreszcie zalepił ją, przeciągając wargami po nagumowanym brzegu.

— No, Walterze, jeszcze nie skończył?

Przed Walterem piętrzył się stos zapisanych kartek, a na każdej podchorąży stawał u góry wielki, kolejny numer, tym potrzebniejszy, że kartki były rozmaitych wymiarów, o powystrzępianych nieraz brzegach.

— Już kończę. Och, ja musiałem o wszystkim napisać. Każ mi,

proszę, podać jeszcze jedną szklanekę oranżady, ale koniecznie bardzo zimnej. I bądź tak dobry, nie denerwuj się.

Z nową energią zaatakował papier. Fräulein przyniosła zamówiony napój. Postawiła go przed Walterem. Przy sposobności zaczęła zbierać ze stolika opróżnione naczynia. Jak mogła, przeciągała tę pracę. Nie chciało się jej rozstawać z tymi młodymi ludźmi. Od jutra kasyno nie będzie już czynne, ją zaś czeka inna, może mniej miła praca.

Nachylając się nad stołem, otarła się piśszczotliwie, choć pozornie przypadkowo o ramię Herberta. Jednak podchorąży zachował zimną krew i nie dał się sprowokować. Był nawet trochę zły za tę zaczepkę w obliczu listu do Gerdy.

Walter, który zauważył zalotny gest kelnerki, wykorzystał go jako temat do nowej pół strony listu. Pisał:

„Bo wyobraź sobie, kochana siostrzyczko, Herbert jest przerażająco wstydlivy i broni się przed zaczepkami zameżnych i niezameżnych kobiet niczym cnotliwy Józef przed atakami żony Putyfara. Oceniając to z punktu widzenia mego przyszłego szwagrostwa, muszę uznać tę defensywę za cechę wybitnie dodatnią. Patrząc jednak na rzecz całą ze stanowiska ideałów partyjnych, nie mogę się powstrzymać od słów surowej krytyki. My, narodowi socjaliści, a specjalnie należący do grupy berlińsko-brandenburskiej, uznajemy w działaniu tylko ofensywę, potępiamy zaś defensywę. Defensywa jest metodą Polaków, Francuzów oraz wykolejonych arystokratów. Defensywa dowodzi niższości krwi, słabości mięśni oraz niewczuwania się w mistykę rasy. Kostrzewa nie był nigdy w defensywie. Doktor archeologii Fillies nie był nigdy w defensywie. Von Reckowie (od czasu znalezienia się w SA) nie byli w defensywie. Tego samego życzę więc i twemu przyszłemu, bodaj nawet za cenę pogrzebania przezeń ideałów Lohengrina-łabędzia i cnotliwej Elzy, których to ostatnich nie należy utożsamiać z innym łabędziem rodzaju męskiego oraz z pewną niecnotliwą Ledą...”

IV

Na północny wschód od Opola, za bagniskami Małej Panwi, zaczynają się gęste i czarne lasy. Otaczają one z obu stron Oleśno, podchodzą pod samą granicę. Po drugiej stronie lasów, już na pobliskim brzegu, tkwią Krzepice. Trochę dalej Kłobuck. Jeszcze o kilkadziesiąt kilometrów w kierunku południowym — Częstochowa.

Dwaj podchorążowie nie odrywali wzroku od mapy, po której przesuwiał się palec Hugona. W skromnej chacie, wybranej na kwatery kancelarii szwadronu, był jeszcze szef Kurz oraz dwóch starszych podoficerów.

Kostrzewa położył obok siebie dwie sztabówki: jedną niemiecką,

szarą z brązowo znaczoneymi warstwicami, drugą polską, na której rozlewały się zielone plamy lasu i plątały błękitne żyłki rzek.

— Porównajcie sobie, panowie, nazwy miejscowości. Nie zapomnijcie o użyciu słownika.

Chwilę trwała cisza, w której słyhać było tylko pełen emocji przyspieszony oddech ludzi. Wreszcie Walter rzucił półgłosem:

— Patrząc na ich mapy nie widzi się wcale Niemiec. Jakiś Kluczbork, Oleśno, Głupczyce... i dalej: Wałbrzych, Bolesławiec, Żagań, ba, pod samym Berlinem mamy Chociebuż.

Jeden z podoficerów roześmiał się twardo:

— Przyjdą czasy, kiedy będziemy się dziwili, że naszą Warszawą nazywają jeszcze Warszawą.

Hugo stuknięciem ołówka uciszył te rozmowy.

— Tak, macie, panowie, słuszność. Depczemy po ziemi, która odegrała pewną rolę w historii polskiego narodu. Polacy mogliby się wiele z tego nauczyć. Bo póki żyli w promieniach niemieckiej kultury, póty wolno im było ciągnąć pług po nadodrzańskiej ziemi. Potem wzgardzili naszą opieką i próbowali się buntować. Więc zepchnęliśmy ich w dorzecze Wisły. Zamiast przyjąć wyrok dziejów w pokorze, targnęli się znowu na nasze ziemie i korzystając z poparcia plutokracji Zachodu sięgnęli aż do Warty. Krótki triumf. Dziś odrzucimy ich za Wisłę i na tym zakończy się historia. Bo historii, moi panowie, nie tworzy mały naród, skazany przez Opatrzność na wieczną służbę innym.

Chwilę milczał, potem znowu powrócił do wyjaśnień:

— W Krzepicach, jak doniósł nasz wywiad, stoi pułk kawalerii. Naturalnie są to jednostki, z którymi nie ma się co liczyć. Pierwszy pas obronny znajduje się na linii Warty. Jego wartość militarna jest żadna: kozły hiszpańskie, drut i okopy. Mówię to wszystkim panom, ponieważ z sytuacji zdaje się wynikać, że lada chwila ruszymy...

Spojrzał na zegarek.

— Zarządzam pełne pogotowie. Nikt nie może spać. Szwadron musi być gotowy do natychmiastowego wymarszu.

Podoficerowie wyszli. Pozostał tylko Kurz i podchorążowie.

— Szefie — Kostrzewa stawiał ołówkiem znaki w otwartym notatniku — śniadanie musi pan mieć gotowe.

— Już zarządziłem, panie poruczniku.

— Papierosa, szefie?

— Dziękuję bardzo.

— Jakże samopoczucie?

— Dobrze, panie poruczniku. Ano cóż — wojna. Dla mnie to nie nowość. Dobrze by tylko było, żeby znowu nie trwała cztery lata. Bo wtedy pewno bym nie wrócił...

— Głupstwa pan opowiada, szefie.

— Cóż robić. Widać to starość, panie poruczniku, bo na tamtej wojnie tom nie myślał ani przez chwilę, że mogę zginąć. A człek był przecież w ciężkich przeprawach. W Prusach z Hindenburgiem przeciw Samsonowowi. Potem w ofensywie pod Verdun... Przyjechało się na urlop, to znów żona jęczała, że jeść nie ma co, palić nie ma czym. Brr! Przykro wspominać tamte czasy. Co tu dużo gadać: źle było, tylko że o śmierci człowiek nie myślał. Młodość go trzymała, panie poruczniku. Wyobrażał sobie, że kiedy się do swego domu dorwie, to same tylko miody spijać będzie. Ale nie narzekam. Dużo radosnych chwil z żoną przeżyłem, dużo z dzieci pociechy zaznałem...

— Zazna pan jeszcze.

— Dziękuję, panie poruczniku

Zamilkli. Podoficer postął jeszcze trochę, potem trzasnął obcasami, zasalutował i odszedł. Po chwili z uliczki między rzędami chat doleciał jego groźny stentorowy głos. Szef beształ kucharza.

Noc przygniatała ziemię. Na niebie paliły się gwiazdy. Wietrzyk chwiał gałęziami drzew. Przestrzeń oddychała niespokojnie, jakby gdzieś w mroku pracowały olbrzymie płuca. Czas posuwał się nieustępliwie.

Walter stanął w otwartym oknie, przeciągnął się. Na poły sobie, na poły nocy zaczął deklamować:

Brzęczą znużonych rycerzy bronie,
Choć w mroku nocy wszystko śpi.
Tylko gwiazdami niebo płonie
I tylko śmierć czuwa u drzwi,

Wstań, moja pieśni,
Zapłoń najjaśniej
I uleć w mrok...

Urwał. Głos utonął w ciszy niby kamień rzucony w ciemną studnię. Jakby w odpowiedzi przestrzeń zagadała szelestem gałęzi i bardzo dalekim szczekaniem psa. Blżej chrzęściły kroki rontu, spacerującego miarowo wzdłuż uliczki.

— Przemieniłeś się teraz w Volkera, Zygfriedzie — głos Hugona doszedł z ciemnej głębi izby i tylko iskierka palącego się papierosa wskazywała miejsce, gdzie siedział Kostrzewa,

— Tak, Hugonie. Zygfried nie umiera. Przechodzi w inne ciało, w inne życie. Poetyzuje... Czasami kpi...

— Skończyły się już czasy kpin i poezji.

— Moje życie dowodzi, że się jeszcze nie skończyły.

— Twoje życie niczego nie dowodzi. Jesteś jednym z tych na poły ślepych ludzi, dla których objawienie dwudziestego wieku nie stało się dostatecznie jasną błyskawicą. Ale czy chcesz, czy nie chcesz,

musisz iść za nami. I to jest twoim losem, że po drodze pełnej blasku wleciesz się opornie, zbuntowany, zły. Lecz nie opuścisz bratnich szeregów, które stoją „od Kłajpedy aż do Mozy, od Adygi aż po Belt”.

Zamilkł i znowu cisza nocna wkradła się przez otwarte okno izby. Mrok oblepiał kąty, czaił się w załomach szaf i łózek, na których piętrzyły się piramidy poduszek. Trzasnęła wyschnięta rama okienna.

— Mówisz, że muszę iść z wami? Może... Lecz gdzie mam iść? Czy każesz mi żeglować do Islandii, w pogoni za złudą Brunhildy, czy podejmować wyprawy przeciwko Attyli?

— Och, nie. Tamto to były wyprawy w krainę baśni. Dziś przyszła chwila, kiedy życie zaćmiło bajkę i otworzyło przed nami czarowniejszą drogę. Wielki naród mocarnym zrywem ramion rozdziera krępujące go więzy. Idzie naprzód, my zaś pędzimy w tej fali pełni radości, zapału i szczęścia. Na taką wyprawę cię wzywam, Walterze. Wołam cię, abyś szedł z nami po zwycięstwo.

Głos młodego oficera mocno zahuczał w głębi izby. Herbert poczuł niby prąd elektryczny na ramionach.

Kostrzewa ciągnął:

— Małe narody trudzą się, by wytłumaczyć światu, dlaczego skrzywdziły swego równie małego sąsiada. Lecz wielki naród nie zdaje rachunków przed nikim. Bóg czy los, który włada światem, uczynił go wielkim. Włożył w jego pierś pragnienie bez granic...

Nieoczekiwanie zaczęło szarzeć. Zbitą bryłę mroku rozsadził przeblask nadchodzącego dnia. Gwiazdy szklily się jeszcze na niebie, świeżość nocy nie ustąpiła. A przecież dzień zbliżał się i dawał znać o sobie szeregiem nieuchwytnych, nie dających się określić przemian.

Na tle okna wyraźniej zarysowała się sylwetka siedzącego Waltera.

— Rozumiem człowieka — mówił młody baron von Recke — lecz nie rozumiem tłumu... Wierzę w wielkie porywy jednostki, nie wiem natomiast, czy takie same porywy zdolne są poruszyć masy.

— Czyżbyś ty, członek partii, wątpił w ruch narodowo-socjalistyczny?

Hugo cierpliwie oczekiwał odpowiedzi.

— No nie... Naturalnie, że nie...

— Więc?

Z końca wsi doszła ich uszu pieśń, śpiewana na kilka głosów przez żołnierzy. Tęska i piękna melodia. Powtarzane jak skarga słowo „Heimat” tłukło się żałośnie w wąskiej uliczce śląskiej wioski.

Walter zrobił ręką ruch ucinający dyskusję.

— Słuchajcie. Jak pięknie śpiewają.

Było cicho ciszą poranka i pieśń, która płynęła równo gdzieś z sza-

rej dali, nie mąciła tego spokoju, ale zdawała się weń wsiąkać i napępniać senną melancholią serca ludzkie. Walter jakby obawiając się spłoszyć czar chwili położył dłoń na ustach.

— Och — powiedział wreszcie — czy pamiętacie? „Was ist die Heimat? Ist's die Scholle, darauf deines Vaters Haus gebaut!” Poezja. Tworzy ją człowiek. Tłumy umieją tylko krzyczeć: panem et circenses! Brot und Freiheit! Gdyby można było poezją napęścić życie każdego człowieka...

W ulicze rozległy się przyspieszone stapania. Ktoś szedł krokiem zdradzającym zdenerwowanie. Zbyt mocno i zbyt gwałtownie otwarta furka poleciała w tył. Potem w progu ukazał się Kurz z kartką w ręku.

— Panie poruczniku... — głos mu się załamał z podniecenia — wyruszamy...

Zerwali się na równe nogi. Krzyki i nawoływania zmąciły ciszę. Potem w pełną spokojną i harmonijną atmosferę wrześnie poranka wdarły się dźwięki gwizdków, warkot motorów, szczęk żelaza. Urwała się pieśń. Nad wsią zawisł groźny hurkot wojny już samym swym dźwiękiem zabijający. Aż wreszcie wybuchnęła straszliwa kanonada armat.

Błyski wschodzącego słońca ślizgały się po dachach domów, wpadały w okna chat i złościły ramy świętych obrazów nad łózkami. Zlewały się w jedno z płomieniami wybuchów, od których zadrżała ziemia między Odrą a Wartą, między Odrą a Prypecią.

Opór wojsk polskich na linii górnej Warty został złamany. Masowy nalot bombowców na niebronione niczym tyły, zniszczenie dworców, poprzerwanie linii kolejowych, panika wywołana na zatłoczonych szosach — zrobiły swoje. Reszty dokonały niemieckie dywizje pancerne, uderzając z niepokromioną siłą i wbijając się stalowymi zagonami w bezkształtną masę armii polskiej. Krwią spłynął Wieluń, z którego wyparto jakąś piechotę. Trupami koni i ludzi napełniły się lasy między Praszka a Częstochową, bo tamtędy właśnie runęła główna masa armii generała von Reichenau i po brzuchach kawalerii generała Rommla przebiła się aż po Bełchatów.

W ciągu pierwszego i drugiego dnia wojny dziesiąty pułk dragonów opolskich szedł w dalszej linii za kolumną pancerną, toteż wcale nie zakosztował walki. Jechano piaszczystymi, polskimi drogami, wzdłuż których leżały ciała obrońców w zielonobrazowych mundurach, i niezliczone trupy ludności cywilnej. Połamany sprzęt wojenny pokrywał gęsto pola razem z resztkami roztrzęsionego dobytku. Wsie spotykane po drodze były przeważnie opuszczone, drogi i szosy nosiły ślady straszliwego popłochu. Kobiety z dziećmi na rękach, mężczyźni o bladych twarzach i trzęsących się ustach, ogarnięci posuwającą się naprzód zwycięską armią, siedzieli na brzegach szosy i zdawać się mogło, że niczego więcej nie oczekiwali poza śmiercią. Walter,

który prowadził pluton rowerzystów, był tak zaintrygowany oplakany wyglądem ludzi, że zatrzymawszy się na jakimś postoju podszedł ze słownikiem w rękę do siedzącej pod drzewem starszej kobiety. Miała twarz inteligentki. Siwe włosy były rozsypane, z oczu ujętych w ciężkie wory i starczo podpuchłych powiek płynęły łzy na pomarszczone policzki. Nabrzmiała od żył dłoń obejmowała krzywiznę ciężkiej, hebanowej laski, druga gładziła pieścizotliwym ruchem czworokanciastą czapkę polskiego żołnierza. Walter zatrzymał się o parę kroków. Z trudnością sformułował bardzo proste zdanie w tym przeładowanym samogłoskami języku.

— Czy pani pomóc?

Kobieta wstrząsnęła się. Nagle w jej rysach dokonała się zadziwiająca zmiana. Znikł bez śladu wyraz bólu i apatii, twarz przybrała wyraz dumy i nieprzystępności. Szare wyblakłe oczy błysnęły wyniośle. Powiedziała po niemiecku z doskonałym akcentem:

— Nein, danke. Sie können mir nicht helfen...

Von Recke był zaskoczony. Chciał się jeszcze o coś spytać, lecz tak go speszył głos kobiety, że umilkł. Nieznajoma wyraźnie nie chciała z nim rozmawiać. W roztargnieniu stał przed nią. Kobieta z trudem wstała i ciężko wspierając się na lasce odeszła w stronę chat. Czapkę żołnierską przyciskała do piersi.

— Co za zaciętość w tych Polakach — mówił Walter w chwili potem do Herberta. — Można by sądzić, że oni nas naprawdę aż tak nienawidzą, jak to ostatnio pisano w gazetach. Zawsze myślałem, że gazety przesadzają.

— To naród głupców — Köstring prowadził swój rower ścieżką obok szosy. — O co im chodzi? O kawałek ziemi, na której mieszka więcej Niemców niż Polaków? I dla tego kawałka ziemi rozpoczynają wojnę, której wygrać nie mogą.

— Jednak nasi żołnierze cenią żołnierzy polskich. A nawet jakby ich się trochę bali...

— Bali? Nasi żołnierze nie boją się nikogo.

Walter wzruszył ramionami.

— Mówisz komunały jak sam Goebbels. Mnie chodzi o pewną reakcję psychiczną, całkowicie zrozumiałą. Ale patrz — jakie oczy.

Kilku żołnierzy otaczało na drodze może sześćioletnią dziewczynkę. Dziecko, widać śmiertelnie wystraszone, wodziło błędnym wzrokiem po twarzach otaczających je mężczyzn. W gorączkowo rozszerzonych źrenicach czaił się lęk jak u prowadzonego na śmierć zwierzęcia.

— Skąd to dziecko? — spytał Herbert.

Żołnierze pospieszyli z wyjaśnieniami. Kilkadziesiąt metrów dalej na zakręcie szosy rozbił się motocykl, którym uciekała polska rodzina. Prowadzący motor mężczyzna, kobieta oraz trzyletni chłopczyk zginęli na miejscu. Tylko ta mała wyszła z życiem. Żołnierze

wydobyli ją spomiędzy szczątków motocykla i trupów rodziców. Lecz mała broniła się. Odpychała ich, biła pięściami, szarpała, jakby sądziła, że chcą ją skrzywdzić. Próżno przemawiali do niej pieszczotliwymi imionami swych Mizzi, Katie, Lote, Elsie. Nawet łagodny ton ich głosów nie mógł usunąć z jej twarzy wyrazu trwogi.

— Wstrząs nerwowy — rzekł Walter. — Zresztą zupełnie zrozumiały. Znaleźć się nagle wśród trupów swoich najbliższych.

Jeden z żołnierzy przemówił do dziecka po polsku. I wtedy stał się cud: na bladej twarzyczce dziewczynki ukazał się lekki rumieniec, spojrzenie zaś utraciło raptem błędny wyraz. Natychmiast prawie coś tamtemu odpowiedziała i podeszła ku niemu. Żołnierz roześmiał się:

— Mówi, żebym ją bronił od Niemców, bo Niemcy zabijają dzieci...

Dziecko, które szło ufnie z wyciągniętymi rękami ku żołnierzowi, nagle się zatrzymało. Znowu w jego oczach ukazało się przerażenie, a usta wygięły się w podkówkę. Cofnęła się, zasłoniła rączkami twarz. Na zakryte policzki wypełził krwawy rumieniec. Nieoczekiwanie odwróciła się, odepchnęła stojących na drodze żołnierzy i pobiegła w pole. Nikt jej nie gonił, a ona biegła z jakąś rozpaczliwą wytrwałością, aż znikła pośród drzew. Plutony wolno ruszyły w dalszą drogę.

Herbert wyjął papierośnicę i zapalił papierosa. Zaproponował Walterowi. Ale młody baron szedł tak pogrążony w swych myślach, że tylko milcząco potrząsnął głową. Nie miał ochoty palić, tak samo, jak nie miał w tej chwili ochoty na żarty.

Następnego ranka uderzono na Bełchatów. Od wczesnego świtu rozpętała się zaciekle walka artyleryjska, a potem w głuchy huk dział, łomot i furkot pocisków wdarł się męczący stukot karabinów maszynowych. Wrzaskliwa broń zanosila się seriami trzasków niby kaszlem.

Kolumna czołgów ruszyła od razu naprzód. Z głuchym chrzęstem — niby ogromne chrząszcze szeleszczące twardymi pokrywkami — sunął wóz za wozem. Lekkie czołgi już poprzednio wysłedziły pozycję nieprzyjaciela, który obsadził skraj małego lasku. Teraz ciężkie wozy rozwinęły się w linię i w łoskocie dział i karabinów maszynowych ruszyły do natarcia. Z lasu na powitanie zaszczeakały krótko i twardo armatki przeciwpancerne. Słup ognia trysnął z jednego, a potem z drugiego czołgu i płonący wóz stanął ciężko. Ale linia szła niepowstrzymanie naprzód.

Równocześnie w górze zawarczały samoloty. Wspaniale zsynchronizowana akcja bojowa pozwalała rozpocząć w tym samym czasie atak z ziemi i z powietrza. Czarne ptaki znaczone krzyżami krążyły nad lasem, rzucając nań bomby i rwąc gałęzie ogniem karabinów

maszynowych. Nie dający się rozbić na poszczególne dźwięki grzechot mitraliej lotniczych wdzierał się niby ostry nóż w głuche i dziwnie poważne salwy armat.

A jednak las się bronił. Tu i tam kłęby dymu unosiły się nad sosnami, działka przeciwpancerne cichły jedno za drugim. Mimo to opór trwał. Gdy zabrakło artylerii przeciwpancernej, a czołgi podjechały blisko, rozstukały się karabiny przeciwpancerne. Herbert i Walter, którzy leżąc na ziemi patrzyli przez lornetki na bitwę, nie mogli powstrzymać słów uznania.

— Mocno siedzą — rzekł Köstring.

— Tak. A przecież musi być im ciepło. Gdy patrzę na ten atak, to mi się wydaje, że widzę walkę cywilizacji z pierwotnością. Cywilizacja rzuca do boju czołgi, samochody pancerne, samoloty, natomiast pierwotność, która nie ma nic, a wszystko może w walce stracić, ofiarowuje siebie samą...

Ostry gwizdek podniósł ich na nogi. Zbiegli w mgnieniu oka w małą kotlinkę, gdzie siedział cały szwadron obok swoich rowerów. Ujrzeni Filliesa w hełmie, z mapnikiem w dłoni; obok niego stał Hugo. Major głosem suchym, chyba tym samym, jakim zwykle wykładał swym słuchaczom o zdobyczach archeologii i odkryciach praniemieckich zabytków na wschodnich rubieżach Rzeszy, wydawał rozkazy. A więc: szwadron musi odciąć obrońców lasu od podstawy operacyjnej, która mieści się prawdopodobnie w takiej to a takiej wsi. Pierwszy pluton podchorążego von Recke razem z porucznikiem Kostrzewą idzie jako straż przednia. Reszta za nimi. Wymarsz natychmiast. Naprzód!

Wyjechali od razu, pedałuąc zawzięcie po wąskiej drodze, pociętej głębokimi koleinami, które są utrapieniem rowerzysty. Szwadron poprzedzały dwa lekkie auta pancerne, za nimi dopiero postępował Hugo i Walter z pierwszym plutonem. Boczna droga wyprowadziła ich na gościniec wysadzany drzewami. Łoskot walki dolatywał do nich gdzieś z boku, zaś porywisty wiatr, rzekłbyś wywołany toczącą się w pobliżu bitwą, szarpał gałęziami drzew i zrywał liście. Szosa była pusta, jakby ją kto wymiółł. Tylko kilka ciał ludzkich walało się na jej brzegach. Dalej szwadron minął rozbitą kuchnię polową, resztki potrzaskanego samochodu i parę trupów końskich z potwornie wzdętymi brzuchami. Po kilkunastu minutach jazdy teren podniósł się i wtedy można było zobaczyć, że objeżdżają broniący się lasek. Spośród drzew tej zaimprovizowanej pozycji unosiły się gęstsze niż poprzednio kłęby dymu, zaś kilka samolotów krążyło nad nią w górze niby stado żarłocznego plectwa. Tak, ci ludzie bronili się z nieporównaną zaciętością. Lecz wreszcie i ich opór został przełamany. Naprzód kilka postaci ludzkich wyrwało się spośród drzew i poczęło biec ku leżącej za lasem wsi. Z odległości wydawało się, że nie są to żywi ludzie, ale kulki rozsypanej rtęci toczące się przez pole. Początkowo było ich bardzo mało, potem liczba uciekających wzrosła, wreszcie ze dwustu czy trzystu ludzi wysypało się na łąkę.

Samoloty zniżając się były w nich z góry ogniem karabinów maszynowych, toteż figurki w mundurach koloru khaki zaścielały gęsto pole swoimi ciałami. Ale ci, co ocalili, biegli dalej, jakby wierząc, że umkną na swych ludzkich słabych nogach potężnym motorom BMW.

Hugo wetknął w usta gwizdek i nagle ostry świst przeszył powietrze. Młody oficer miał twarz pobladłą, skupioną, ale spokojną. Głosem opanowanym, takim samym, jakim zawsze wydawał rozkazy podczas ćwiczeń partyjnych, polecił plutonowi zejść z rowerów i rozsypać się tyralierką w prawo od gościńca. Tak więc, gdy rozbici Polacy cofali się do wioski, pluton von Reckego, a za nim cały szwadron, ogarniał z drugiej strony skraj tej samej wioski, dysząc chęcią schwytania nieprzyjaciela w dwa ognie.

W kilka chwil potem mieli już pod ostrzałem szeroką wiejską drogę, na którą wbiegli pierwsi uciekinierzy spod lasu. Mimo odległości żołnierze widzieli purpurowe z wysiłku i zlane potem twarze tamtych. Wielkie worki od masek, które w biegu zawędrowały aż pod gardło, bagnety, łopatkki, chlebaki, karabiny i ładownice — ile to wszystko musiało sprawiać kłopotu ludziom, którzy przed chwilą wygrali wyścig ze śmiercią i wyczerpani dopadli opłotków wioski. Ledwo przybiegli, już dali nura w cień drzew i stamtąd poczęli wyprowadzać swoje konie. Utkwiwszy lewą nogą w strzemieniu, podskakiwali na prawej nie mogąc się zdobyć na dostatecznie mocne odbicie, gdy tymczasem zniecierpliwione i zdenerwowane wierzchowce kręciły się w miejscu jak wściekłe.

Na twarzy Kostrzewy ukazał się ironiczny półuśmiech. Zwrócił głowę w stronę Filliesa, czekając cierpliwie, kiedy major poleci strzelać. Jakoż rozkaz przyszedł, i zaraz w pełną zamieszania uliczkę wioski runął ogień karabinów maszynowych. Konie i ludzie splątali się w tumanach kurzu. Zaskoczony przeciwnik, nie mając gdzie uciekać, walił się trupem w pyłe drogi. Od zapalających pocisków płonęły domy.

Walter przesunął się na czworakach do Hugona. Jeżeli Kostrzewa imponował zawsze młodemu podchorążemu, to przecież dzisiaj zachwyty barona dla swego dowódcy wzrósł jeszcze bardziej. Von Recke nie czuł trwogi, zresztą nie doświadczył dotychczas żadnego niebezpieczeństwa, ale był podniecony. Policzki mu pały, dłonie drżały. Wołałby rzucić się na wroga, niż tak trwać w odległości i zabijać przeciwników tylko dzięki lepszej broni. Bezczyność wprawiała go w gorączkę, toteż podziwiał Kostrzewę, który pełen chłodnego opanowania kierował ogniem szwadronu. Twarz oficera była jak wykuta z marmuru. Zaciśnął wąskie usta, zmarszczył brwi. Wydawał się patrzącemu prawdziwym bogiem wojny, a raczej może bogiem zniszczenia, bowiem w spojrzeniu stalowych, wbitych w dal oczu malowało się nieugięte pragnienie nie tylko zwyciężenia, ale i wygubienia przeciwników. Walter musiał go podziwiać, choć równocześnie spiętrzała się w nim fala buntu.

— Hugonie — zawołał gwałtownie — to nie bitwa, ale jatka...

Oficer nie odrywał oczu od lornetki. Leżąc na małym wzgórku, wpatrzony w rząd chat przed nimi, których dachy wieńczyły kłęby dymu i czerwone języki ognia, odparł:

— Czego byś chciał?

Walter czuł całą śmieszność swego okrzyku, lecz mimo to powiedział:

— Wolałbym uderzyć na nich... Wiedziałbym, że ich zwycięzę własnym ramieniem lub też oni mi się poddadzą...

— O, nie. Oni się nie poddadzą. Może później, gdy złamiemy ich kręgosłup. Ale jeszcze nie dziś. Ich opór trzeba przełamać. Niech giną, skoro zapomnieli, że są niewolnikami.

— Chcesz, by się nimi czuli?

— Niewolnik wystarczy, by ciągnąć pług niemiecki.

W tej chwili stała się rzecz nieoczekiwana. Spoza chałup wyrwał się w pole oddział kawalerzystów i wyciągniętym galopem, jak oszalały, rzucił się w stronę leżącego na wzgórzach szwadronu. Zatupały kopyta końskie na twardej ziemi, a spoza łbów z rozwianymi grzywami błysnęła szabla lub lanca. Konie szły z nieporównanym impetem. Można by sądzić, że same zrozumiały, iż jedyna droga do wolności wiedzie poprzez nieprzyjaciół. Było to oczywiste szaleństwo, lecz tak nieoczekiwane, że ten i tamten z żołnierzy stracił głowę i zamiast strzelać zerwał się do ucieczki. Tych jednak osadził na miejscu ostry głos Kostrzewy. Młody porucznik od razu zapanował nad sytuacją. Krzyknął na obsługę cekaemów, którą miał pod bokiem, i kazał skierować strumień pocisków prosto w pierś nadlatujących centaurów. W mgnieniu oka połowa ich leżała na ziemi. Konie wspiwały się i waliły do tyłu albo padały łbem naprzód, wyrzucając wysoko w górę tylne nogi. Jeźdźcy zlatywali z siodeł, gubiąc szable i lance. Ale reszta szła jak burza, nie powstrzymana niczym. Próżne szaleństwo. Jeszcze moment, a zostało tylko ośmiu ludzi obląkanie szarżujących na rozstawione na pozycjach cekaemy. Zaraz potem dwóch dalszych padło. Walter przysunął się do Hugona.

— Ocal ich — krzyknął — to bohaterowie!

— Oszalałeś?

Zostało tylko czterech, a potem trzech przeciwników. Ale ci dopadli już linii niemieckiej. Mignęły szable. Trzech śmiazków rąbało z góry napotkanych przeciwników. I już, już zdawało się, że się przewrą. Ale karabiny maszynowe czuwały. Jeden z koni runął na kolana, zaś jeździec przeleciał mu przez głowę, bryzgając krwią. Jeszcze tylko ostatni koń, wspaniały, złocisty kasztan z białymi chrapami, niósł swego pana w stronę pobliskich zarośli. Migwały w powietrzu białe pęciny i złocił się gęsty ogon puszczony na wiatr. Wokół konia kurzyła się ziemia, w którą bił rój pocisków.

Nagle jeździec pochylił się w tył i ciężko machnął kozła poprzez

zad koński. Kasztan jego tego nie spostrzegł — pocwałował dalej. Po krótkiej chwili zniknął wśród krzewów.

Wtedy Walter zerwał się z ziemi i nie bacząc na to, że może go trafić jakaś zabłąkana kula, podbiegł do leżącego. Ciało było wpół-zwinięte. Dźwignął tamtego za ramiona. Podniósł jego twarz do góry. Ujrzał otwarte oczy i blade policzki, po których spływała krew. Szalony kawalerzysta żył jeszcze, ale leciał podchorążemu przez ręce. Ostatnim wysiłkiem odwrócił twarz od Waltera, zacisnął usta. I tak — wpółodwrócony — skonał.

Szwadron spędzał noc w jakiejś wiosce, którą ominęła wojna. W chatach można było znaleźć masło, mleko, jajka. Obaj podchorążowie wraz z Hugonem wzięli sobie na kwatery izbę w nowym domu, w sąsiedztwie Filliesa, który zmęczony dniem walki, po nieskończeniu długich ablucjach ułożył się wreszcie do snu. Noc była ciepła, gwiazdy płonęły jaskrawo na wysokim stropie nieba. Trzej młodzi ludzie w piżamach siedzieli obok otwartego okna, paląc papierosy. Z pobliskich stodół i zabudowań gospodarczych dolatywał gwar obozowiska. We wsi oprócz szwadronu stała kompania samochodów pancernych, więc wszystkie kwatery były szczelnie nabite ludźmi, a ciężkie cielska aut bojowych czerniały wzdłuż drogi.

Obu podchorążych zmęczyła cały dzień trwająca bitwa, rozkoszowali się więc nocnym odpoczynkiem. Nie chciało im się nawet spać. Po upalnym dniu, ciepła, ale pełna rześkich podmuchów noc wydawała się orzeźwiającą kąpielą, w której zanurza się zmęczony długą drogą wędrowiec.

— I cóż, Zygfrydzie — rozległ się drwiący głos Hugona — czy ci wciąż żal wystrzelanych Polaków?

Oficer siedział rozparty na krześle. Rozpiął piżamę i poddawał pieszczocie nocy nagą, gładką pierś. Jego męski, stanowczy profil odcinał się śmiałym konturem na tle ściany, oświetlonej stojącą na stole świecą, podczas gdy tysiąc cieniów i półcieniów pełzało po gładko wygolonej twarzy.

— Nie odpowiadasz? Czy to ja mam deklamować za ciebie:

Pamięć triumfów nicią rudną
Tka kanwę dziejów dawnych lat:
Słyszę, jak tarcze głucho dudnią —
Ptak zwycięstw na sztandarach siadł.

Lecz Walter milczał. Nawet ukochana „Pieśń” Volkera nie wywała go z zadumy. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał jakichś roztopionych w ciszy odgłosów.

— Walterze! — w głosie Hugona zabrzmiało zniecierpliwienie. — Obudź się!

— Nie śpię. Słucham. Czego chcesz?

— Pytam, czy ci żal tych wytluczonych Polaków?

— Nie. Cóż znaczy życie kilkudziesięciu czy nawet kilkuset ludzi, którzy się dzielnie bronili, wobec tego, co wszystkim Polakom ma przynieść ta wojna?

— Polakom? Cóż to znowu za kpiny?

— Żadne kpiny. Jestem śmiertelnie poważny. Staram się jedynie myśleć tak jak ty, muszę bowiem oprzeć na czymś moją wiarę w sens wojny. Cztery dni temu wyobrażałem sobie, że wyruszam na rozprawę przeciwko narodowi, którego władcy ciemną naszych współbraci. Sądziłem, że mam do czynienia, ot, z karną wyprawą przeciw bandzie szaleńców, rozbijających dobre stosunki sąsiedzkie między narodami. Obecnie muszę zmienić zdanie. Przede wszystkim nie widzę tu naszych rodaków. Owszem, witają nas jacyś ludzie, których niemczyzna jest dla mnie równie niezrozumiała jak gaworzenie niemowłęcia. Ludzie — notabene o twarzach kryminalistów. Nawet gdy śpiewają „Weichsel und Warthe” i podnoszą prawicę, nie potrafią wzbudzić we mnie zaufania. Dalej — przekonałem się, że to nie przywódcy państwa polskiego walczą z nami. To cały naród z nami walczy. Ci nawet, którzy walczyć nie umieją, potępiają nas spojrzeniem. Nie, nie uwierzę, aby tu nas ktoś oczekiwał jako wybawiciela. Zresztą w tym kraju wszystko jest inne. U nas chata chacie podobna, płot płotowi. Tutaj zaś każda chata inna, choć ledwie się trzyma na czterech węglach, płot rzadko pomalowany, a najczęściej rozwalony. Niepodobny ten kraj do naszego. Gotów jestem parsknąć śmiechem w nos każdemu, kto mi będzie opowiadał, że to jest mniej kulturalna część Rzeszy. I ci ludzie są inni. Zupełnie inni.

— Masz rację. Bo oni się urodzili na niewolników, my — na panów przyszłości. Dlatego też skazani są na ciągnięcie pługa, a my temu pługowi wskazujemy kierunek. Kiedy natomiast Polak się zbuntuje, stać go tylko na to, by urwać konia od zaprzęgu i na tym koniu szarżować, dzierżąc w dłoni lancę Don Kichota. My z takim przeciwnikiem w szranki nie pójdziemy.

Walter wstał, przeszedł się kilka razy tam i z powrotem przez izbę.

— A jednak oni nie chcą naszej cywilizacji... Kostrzewa wrzucił ramionami.

— Istot niższych nikt się nie pyta o zdanie.

W tej samej chwili spokojną ciszę nocy rozdarł huk prędko następujących po sobie wybuchów, a potem gwałtowna strzelanina.

Fontanny ognia tryskały między opłotkami. Zmieszane krzyki, tupot, jęki, eksplozje rozrywających się zbiorników z benzyną napępniały ulicę wioski. W powietrzu śmigały odłamki żelaza, pociski, części porwanych przez wybuchy płotów.

Hugo błyskawicznie chwycił pistolet i tak jak stał w pizamie wybiegł na podwórze; za nim obaj podchorążowie.

Ogarnął ich mrok, w cieniach którego przebiegali jacyś ludzie. Swoi czy obcy — nie sposób było stwierdzić. Zresztą krzyczeli tylko żołnierze niemieccy, bo przeciwnicy walczyli w głuchym milczeniu. Herbertowi kilka razy zdawało się, że widzi koło siebie człowieka w mundurze o jaśniejszym odcieniu niż mundur niemiecki. Ale bał się strzelać, nie wiedząc, czy nie trafi przypadkiem swojego. Hugo znikł mu z oczu — słyszał tylko w pobliżu dźwięczny głos oficera:

— Do mnie! Do mnie!

Ale niełatwo było zebrać żołnierzy i opanować zamieszanie. Nagle zaskoczeni przez niespodziewany napad, bici przez przeciwników, których nie widzieli i niewątpliwie przekonani o wielkiej przewadze liczebnej wroga, Niemcy biegali teraz w kółko, kryli się po kątach lub rzucali się na pierwszego spotkanego człowieka, często swego towarzysza, z którym zacięcie walczyli.

— Spokój! Do mnie!

Kostrzewa przedzierał się przez biegnącą jak stado baranów gromadę uciekających żołnierzy. Nagle z mroku wychynął jakiś człowiek i skoczył na oficera. W rękę trzymał karabin z nagim bagnietem na lufie. Byłby nim ugodził Hugona w pierś, gdyby ten szybko nie uskoczył w tył.

— Swój, idioto! — przed oficerem zamajaczyła czarna kurtka samochodziarza. Ale tamten, jak oszalały, znowu zamachnął się potężnie na Kostrzewę. Hugo musiał się cofać, aż wszedł na idącego za nim Herberta.

— Uważaj, przed nami jakiś bałwan...

Odskoczyli teraz obaj, bo tamten natarł na nich z impetem. Kiedy przebiegał obok podchorążego, Herbert poczuł zięjący z ust żołnierza zapach wódki.

— On jest pijany! — krzyknął. — Spróbuję podstawić mu nogę.

W tej chwili żołnierz rzucił się na oficera. Hugo znowu odskoczył, lecz jednocześnie poczuł, że dotyka plecami płotu. Nie mógł się dalej cofać. Szalencie zbliżał się doń z bronią wzniesioną do ciosu. Nie było chwili do stracenia. Oficer wyciągnął przed siebie dłoń z pistoletem i — wystrzelił prosto w pierś samochodziarza. Tamten runął na ziemię.

Kostrzewa przeskoczył leżącego i pobiegł dalej w kierunku małego placu, który był przewidziany jako miejsce alarmowe. Za nim pędził Herbert. Zamieszanie wciąż rosło. W ciemnościach niewidzialni przeciwnicy musieli zadawać groźne ciosy, bo biegnący coraz częściej potykali się o leżące ciała. Napad został zorganizowany po mistrzowsku, a straty zadane kolumnie samochodowej musiały być bardzo dotkliwe. Auta płonęły wielkim słupem ognia, ogarnięta pożarem amunicja i benzyna wybuchały raz po raz. Lecz gdy krwawe języki rozjaśniły pod koniec walki ulice wioski, a plutony zdołały się wreszcie sformować, już napastników nie było. Utonęli w mrokach nocy równie szybko i niespodziewanie, jak z nich wypadli. I tylko

plonący tabor oraz mnóstwo ciał walających się pod parkanami mówiły o walce, która się tu przed chwilą toczyła. Kostrzewa zarządził apel. Przyszedł tymczasem Fillies w gumowym płaszczu na granatowej piżamie i w hełmie na głowie. W czasie kilka minut zaledwie trwającej walki nikt majora nie widział ani jego głosu nie słyszał, choć ordynans zapewniał, że obudził go zaraz po pierwszym wystrzale. Dowódca szwadronu był zły. Suchym głosem zwrócił uwagę Hugonowi, że to on ponosi odpowiedzialność za skutki napadu, ponieważ na pewno nie ubezpieczył szwadronu na postoju. Następnie polecił ukarać żołnierzy za to, że nie umieli się zachować w czasie walki. Kostrzewa zagryzł wargi, twarz jego pobladła. Był tak ambitny, że najbliższy zarzut sprawiał mu po prostu ból fizyczny. Poza tym zbyt dobrze znał swoje obowiązki, aby taki Fillies miał mu o nich przypominać. Szwadron był ubezpieczony przez jednostkę piechoty, która stała w sąsiedniej, bardziej wysuniętej w stronę nieprzyjaciela wiosce. Niezależnie od tego Kostrzewa powystawiał warty i ronty. O wszystkim myślał, choć był tylko zastępcą dowódcy szwadronu. Sam dowódca, przyjechawszy na postój, ograniczył swe czynności do wybrania dla siebie kwatery oraz do wysłania kilkunastu żołnierzy na poszukiwanie odpowiednio dużej miednicy, w której mógłby zrobić sobie niasiadówkę. Do diabła z hemoroidami Filliesa!

— O, pan porucznik jest wściekły — powiedział Kurz na ucho Herbertowi. Dawne obawy, jakie stary podoficer żywił w stosunku do Köstringa, rozwiały się w ciągu ostatnich dni. Szef bardzo polubił tego młodego hitlerowca, który w rzeczywistości nie był wcale takim rygorystą, na jakiego wyglądał. Ale ulubieńcem szefa został Walter.

— Gdzież to pan baron?

— Prawda, nie ma Waltera. Czyżby mu się co stało? Hugonie... Panie poruczniku, melduję nieobecność podchorążego von Recke.

Ale w chwili gdy Köstring zwrócił się do Kostrzewy, z mroku, który kręgiem otaczał plac oświetlony blaskiem plonących samochodów, wypłynął Walter. Podchorąży mrużył oczy przed blaskiem. Gdyby nie groza, która wisiała nad szwadronem przybierając obecnie formę gniewu obu oficerów, prawdopodobnie wszyscy ryknęliby śmiechem na widok dowódcy pierwszego plutonu. Walter ubrany był w piżamę, ale ta zwisała na nim w strzępach, odkrywając najnieoczekiwanej rozległe połączenie ciał. Jedną nogawką była urwana, lewy rękaw pokryty krwawymi plamami. W rękę podchorąży trzymał wielki pistolet. Podszedł do Kostrzewy.

— Jesteś ranny? — zapytał oficer.

— Głupstwo, małe zadrapanie. Ale mam za to jeńca. Wskazał za siebie ręką. Dwóch żołnierzy prowadziło człowieka w mundurze koloru khaki.

— Brawo! — Mimo ciągłego gniewu, jaki nim miotał, Hugo po-

trafił zachować zimną krew i udzielić pochwały, na którą podchorąży niewątpliwie zasłużył. — Jakżeś go zdobył?

— Ach, to cała historia. Pozwolisz, że ci ją opowiem w domu, a nie tutaj?

— Dobrze, idź. Ja tam zaraz przyjdę. Uratowałeś honor szwadronu. Przesłuchamy tego ptaszka.

Znowu zwrócił się do stojącego wciąż szwadronu. Tym razem głos oficera zabrzmiał gniewem, niemal wściekłością.

— Zachowaliście się jak bydło! Jak głupie, niekarne bydło. To jest świństwo. Jeszcze nie miałem podwładnych, którzy uciekaliby jak cieleta. I przed kim? Przed Polakami. Wy, Niemcy. Zhańbiliście się. Rozumiecie? To świństwo, świństwo!

Chodził tam i z powrotem przed szeregiem, a wyraz „Schweine-rei” nie schodził mu z pogardliwie ściśniętych warg. Szwadron stał na baczność, i tylko z tyłu, pod parkanem, kręcili się sanitariusze opatrując rannych. Wreszcie oficer machnął ręką.

— Będziecie ukarani. A teraz: abtreten!

Rozbiegli się tupając ciężko podkutymi butami. Hugo zaś, założywszy ręce za siebie, poszedł wolno w stronę kwatery. Żuł gniew na Filliesa, na szwadron, na cały świat. Uświadomił sobie nie bez pewnej goryczy, że przed wybuchem wojny był jako instruktor partyjny jednostką bardziej niezależną niż obecnie jako zastępca dowódcy szwadronu. Wojna przekonała go o istnieniu mechanizmu, którego zadaniem było formowanie innej niż przedwojenna hierarchii. W tej nowej hierarchii profesor archeologii, przy całej swej wojskowej niezdarności, stał nieporównanie wyżej niż człowiek w stylu Kostrzewy, który życie ofiarował służbie narodu i państwa. Fillies nic nie robił, a przecież posiadał władzę. On zdierał siły w pracy, by za to otrzymać tylko naganę.

Przed domem stali dwaj żołnierze pilnując jeńca. Lecz Hugo nie spojrział w tamtą stronę. Szybko wszedł do izby. Obaj podchorążowie siedzieli przy stole, paląc papierosy i popijając herbatę.

— No więc, Walterze, opowiadaj, jak złapałeś tego Polaka — Kostrzewa starał się zapanować nad gniewem.

— Właściwie to nie ja jego, ale on mnie złapał — von Recke był w świetnym humorze. Nocna przygoda napełniła go dumą. — Razem z wami wybiegłem z chaty, ale gdy wyście popędzili od razu w stronę placu alarmowego, ja się zatrzymałem, bo zobaczyłem jakiegoś człowieka na płocie. Złapałem tamtego za nogę, on zaś skoczył mi na głowę i przewrócił. Tarzaliśmy się jak wściekli, a do tego w miejscu, które czcigodny właściciel nieruchomości przeznaczył na skład wszelkiego świństwa jak: pobite butelki, kawałki drutu i stare żelastwo. Mój przeciwnik okazał się na dobitkę diabło silnym człowiekiem. Zdusił mnie i powłókł za sobą aż pod parkan. Potem, jak wynioskowałem z rozmaitych chrząstów, postanowił wysłać mnie do Walhalii. Przypomniałem sobie jednak to, co mówił kapitan Körner,

że w Polsce każdy szewc umie po francusku. Więc w tym pięknym języku zwróciłem się grzecznie do mego przeciwnika z zapytaniem, czy pragnie mnie uśmiercić. Odpowiedział również po francusku, że i owszem, a to dlatego, iż jestem bandytą, złodziejem, szują i kanalią. W ogóle używał wielu określeń, z których nie wszystkie rozumiałem... Poza tym miałem wrażenie, że był podniecony, bo kilkakrotnie powtarzał: bandit, crapaud, salaud, może zresztą dla wzmocnienia efektu. Nie mogłem zrozumieć, skąd mnie ten pan zna tak dobrze, więc spytałem go, czym mu zawiniłem. Odburknął, wcale nieuprzejmie, że jestem Niemcem, jednym z tych, którzy mordują dzieci i kobiety i bombardują bezbronne miasta. Wtedy powiedziałem...

— Zaproponowałeś mu pewno pojedynek?

— Nie. Zaaplikowałem mu jeden z waszych niezwalczonych argumentów, podyktowanych przez samego Goebbelsa. Ale on zaśmiał się urągliwie i odpowiedział innym, wierzcie mi, równie oczywistym argumentem, przypominającym zresztą mój własny wykreśniony a rebours. Słowo daję, oba były nie do zbicia. Dodał także, że ten, kto nie chce wojny, nie wchodzi komuś na jego ziemię. Ale choć się pieklił, widziałem, że już gotów ze mną dyskutować, a o ukatrupieniu mnie nie myśli. Nagle pojawili się dwaj nasi żołnierze. Role się zmieniły, to on był teraz jeńcem. Pytam go, czy nie cofa swej opinii o nas. Odpowiedział bardzo gwałtownie, że nie. Jeszcze raz zadałem mu to pytanie obiecując puścić wolno, jeżeli zmieni swój pogląd o nas...

— Gdybyś go puścił, postawiłbym cię przed sąd polowy.

— Dziękuję. Mój Polak ocalił mnie od smutnych następstw mej lekkomyślności, bo jeszcze raz powtórzył swoje crapaud i bandit. Poza tym zaczął się nam wydzierać, więc musieliśmy związać mu ręce. To chyba wszystko.

— Jesteś niepoprawny, Walterze. Ale nie tracę nadziei, że zrobimy z ciebie jeszcze człowieka. Zobaczymy teraz, co twój jeńiec nam powie.

Wychylił się przez okno i kazał żołnierzom wprowadzić Polaka do izby. Jeniec wszedł, przestępując ostrożnie wysoki próg. Stanąwszy w kręgu światła, wyprostował się. Był to mężczyzna młody, doskonale zbudowany. Tak wzrostem jak i twarzą przypominał nieco Hugona. Miał również szerokie ramiona, wysokie czoło uwieńczone falą jasnych, opadających do tyłu włosów, szare oczy, prosty, zuchwały nos i delikatne, o kobiecym niemal wykroju usta. Ubrany był w mundur. Na nogach miał wysokie buty, do których przytwierdzone były ostrogi o niezmiernie długim szlenuku, lekko pobrząkujące przy każdym kroku jeńca.

Podszedł do stołu i zatrzymał się w postawie wyczekującej. Może uważał, że przeciwnicy powinni go poprosić, aby usiadł, bo wyraz chmurnej pogardy ocienił jego usta.

Kostrzewa zwrócił się do Waltera:

— Tłumacz moje pytania na francuski.

Z kolei zapytał jeńca:

— Imię?

— Bohdan Suchorzewski.

— Stopień?

— Wachmistrz, podchorąży rezerwy.

— Pułk?

Jeniec uśmiechnął się ironicznie.

— O to może pan nie pytać, bo nie odpowiem. Wiem, co mi wolno mówić.

Kostrzewa skinął na żołnierzy.

— Obszukać go.

Przerzucili kieszenie jeńca, ale nic ciekawego nie znaleźli. Była tam tylko fotografia młodej kobiety, obrazek świętej Teresy, chustka, scyzoryk, dwa kluczyki, kalendarzyk. Podczas rewizji Suchorzewski stał nieporuszony, uśmiechając się dumnie a zarazem pogardliwie i tylko gdy Kostrzewa zaczął przyglądać się twarzy kobiety, zmarszczka gniewu pojawiła się między brwiami Polaka.

— Zwrócić to wszystko jeńcowi — polecił oficer.

Polak kiwnięciem głowy podziękował za zwrot drobiazgów. Po-tem rzekł do Waltera:

— Idąc na wyprawę każdy z nas pamiętał, aby nic ze sobą nie brać, co by wam, panowie Niemcy, mogło się przydać.

Hugo usłyszawszy to zapytał:

— Ilu was było?

Tamten uśmiechnął się chełpliwie.

— Tylko trzydziestu.

— Trzydziestu zbójów.

— Trzydziestu żołnierzy, którzy nie wahali się uderzyć na prze-ważających liczbą wrogów. Ale u nas w Polsce nie liczy się przeciwników. Wystarczy, że znamy ich podłość.

— Ach tak? — Kostrzewa wpił szare oczy w twarz tamtego. — Nienawidzisz nas, panie wachmistrzu?

— Nienawidzę was. Gardzę wami. Tylko Niemcy potrafią walczyć tak, jak wy walczycie. Lata upłyną, a świat pamiętać będzie wasze okrucieństwo wobec bezbronnych, waszą żądzę panowania, waszą zaborczość.

Zmierzyli się wzrokiem, twardo, nieustępliwie. Rzec by można: dwaj pierwotni wojownicy, którzy zanim rozpoczną walkę, obrzucają się wzajem gniewnymi słowy.

— I cóż jeszcze, panie deklamatorze? — nieoczekiwanie Kostrze-wa wyrzekł te słowa po polsku. Podoficerowie drgnęli i spojrzeli na niego zdziwieni: nie wiedzieli, że władza tak dobrze tym językiem.

Ale jeniec jakby tego nie spostrzegł.

— Nic — odpowiedział po polsku. — To tylko, że będziemy się bronili i nigdy się bronić nie przestaniemy. Nie złamiecie nas.

— Złamiemy. Pojutrze najdalej wejdziemy do Warszawy.

— Zobaczymy.

— Tak, zobaczymy. Ale pana uwolnię od tej smutnej ostateczności. Zostanie pan dziś jeszcze rozstrzelany...

Ostatnie słowo Kostrzewa wypowiedział znowu po niemiecku. Usłyszawszy je Walter przerwał tłumaczenie. Zwrócił głowę w stronę Hugona, jakby oczekując wyjaśnienia. Oficer jednak miał twarz tak groźną, że nie sposób było wątpić w stanowczość jego słów. I wtedy von Recke zdobył się na protest:

— Nie możesz go rozstrzelać, Hugonie.

Kostrzewa, pełen wściekłości, zwrócił się ku niemu.

— Co? Dlaczego nie mogę? Kto mi zabroni? Może pan, panie podchorąży?

Płomień gniewu zaczerwienił policzki Waltera.

— To mój jeńiec.

— Nie ma prywatnych jeńców. Każdy jeńiec jest jeńcem Wehrmachtu. O jego życiu decyduje dowódca oddziału, który wziął go do niewoli. Zastępuję dowódcę, więc z całą stanowczością i nieodwołalnie twierdzę: za udział w zbójckim napadzie na armię niemiecką i za obrazę słowną narodu niemieckiego ten człowiek zostanie rozstrzelany.

Walter zerwał się na równe nogi.

— Nie. Nie rozstrzelasz go!

Oficer niecierpliwie postąpił ku Walterowi. Wyglądało, że rzuci się na chłopca. Ale opanował się. Głosem ostrym jak świst szpicruty powiedział:

— Podchorąży. Przywołuję pana do porządku!

Ale już nic nie mogło powstrzymać Waltera, który dygotał cały z podniecenia.

— Nie przywołasz mnie do żadnego porządku, Hugonie. Nie zmusisz do milczenia. Ten człowiek nie zabił mnie, choć mógł to zrobić. Nie jest żadnym zbójcą i ty wiesz o tym dobrze. Nie obraził także narodu niemieckiego. Nie mógł go przecież obrazić przypisując mu nieprawdziwe cechy. Lecz ja wiem, dlaczego chcesz go zabić...

Kostrzewa kazał wyjść żołnierzom razem z jeńcem. Wtedy zagryzł wargi i cofnął się w kąt pokoju, jakby pozwalając tym gestem na wszystkie szaleństwa Waltera.

— Czy myślisz, że nie wiem, dlaczego ich aż tak nienawidzisz? — pieniał się podchorąży. — Nie chciałem dotychczas mówić o tym głośno. Ale teraz... powiem... powiem...

Kostrzewa rzucił chrapliwie:

— Powiedz!

— Przecież tak jak ty żaden Niemiec się nie nazywa... Przecież ty...

Błyskawica gniewu zapaliła się w oczach Hugona. Zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na podchorążego. Krzyknął:

— Milcz!

— Będę milczał, jeżeli tamtego nie rozstrzelasz.

— Milcz! Dość tego! Złamałeś dyscyplinę wojskową. Jak smarcacz, jak głupi rekrut. Aż mnie ręce świerzbią, żeby cię zbić... I jego rozstrzelam, i ciebie każę rozstrzelać... Głupcze! Precz stąd. Obejmujesz służbę podoficera szwadronu i będziesz ją tak długo pełnił, aż cię sam zwolnię. Ruszaj! No! Jeszcze jedno słowo, a każę ci odebrać pas. I wtedy... Prędej!

Walter stojąc na środku pokoju wyraźnie walczył ze sobą. Wrozdzona uległość wiodła zacięty bój z porywem gniewu. Ale ten gniew już się wyczerpał. Chłopiec poczuł się zmęczony. Stał ze spuszczoną głową i patrzył na końce swoich butów. Potem ciężko, nie podnosząc głowy, wyszedł z pokoju.

Hugo wiódł za nim wzrokiem, aż tamten zniknął za drzwiami.

V

Armia von Reichenau rozdzieliła się. Część jej pomaszzerowała w kierunku Warszawy, by już wieczorem siódmego września znaleźć się na Ochocie. Część zaś posunęła się w kierunku Sandomierza z zadaniem wywalczenia sobie przeprawy przez Wisłę. Dziesiąty pułk dragonów skierował się na Warszawę i idąc w drugiej linii był świadkiem niespodzianki, jaką zgotowała wjeżdżającym czołgom stolica Polski. Wydawałoby się, że w siódmym dniu wojny, gdy cała armia polska albo cofa się bezładnie za Wisłę, albo otoczona w rejonie Kutna i Łowicza bije się z rozpaczliwą determinacją, czoło kolumny pancernej nie spotka żadnego oporu na ulicach opuszczonego miasta. Lecz było inaczej. Na Grójeckiej, na Szczęśliwickiej, nawet na placu Narutowicza uderzyli na czołgi żołnierze zmieszani z tłumem ulicznym. Oblano wozy naftą i benzyną, wystrzelano załogę, wycięto w pień patrole, które za pierwszymi czołgami weszły na ulice, odrzucono Niemców aż na Okęcie. Szwadron Filliesa, który stał już na szosie pod Raszynem, musiał cofnąć się bocznymi drogami w kierunku Komorowa. Po raz pierwszy nocowano w lesie, nie mogąc nawet marzyć o żadnych wygodach. Noc była ciepła, ale mglista. Nad wilgotnymi lasami unosiły się opary. W dali, spowite mrokiem, niby śpiące a pełne życia miasto zdawało się czaić do nowego skoku. Żołnierze milczeli. Rozmowy nie kleiły się. Dziwnie ponury nastrój zapanował w szwadronie.

Nad ranem pchnięto ich znowu do tyłu. Na niebie kręciły się samoloty niemieckie, raz po raz kierując się ku miastu. Z dala docho-

dział głuchy huk wystrzałów. Koło południa podciągnięto artylerię na stanowiska, i rozpoczęto ostrzeliwanie miasta. Ale i przeciwnik nie milczał. Ogień dział polskich spędził z szosy stojące na niej kolumny.

— Udają Alkazar — powiedział do Waltera jeden z podoficerów. — Ale Franco jest nasz i nie przyjdzie ich ocalić.

Żart nie wywołał jednak zapału wśród idących obok żołnierzy. Ten sam poważny nastrój, jaki panował w pierwszym dniu wojny, a który się nieco rozproszył, gdy ujrano klęski przeciwników, na nowo pojawił się wśród żołnierzy. Zaczęto się już przyzwyczajać do tego, że armia polska będzie się cofała bez końca, aż nagle to głupie miasto sprzeciwiło się tym nadziejom.

Jakby na pociechę spadła między żołnierzy dziesiątego pułku dragonów pocztą. Herbert odnalazł w stosie listów swego plutonu wąską długą kopertę, na której wypisano mocnym, trochę zbyt okrągłym pismem jego imię i nazwisko. Droga Gerda! Czym prędzej oddał resztę listów żołnierzom, a sam usiadł pod sosną i rozerwał kopertę. Las szumiał nad nim majestatycznie, a długie złociste pnie sosen kiwały się powoli. Z dala dochodził monotony huk dział i szczekanie karabinów maszynowych.

Gerda pisała:

„Kochany Bertie. Na pierwszą wieść o rozpoczęciu działań wojennych zaczęłam pisać do ciebie list. Ale obecnie pisanina mi nie w głowie, gdyż wciąż jestem podniecona rozwijającymi się zdarzeniami. Wiele moich koleżanek teraz dopiero żegna swoich chłopców. Ja zaś jestem dumna wiedząc, że ty walczysz już na froncie i będziesz miał czas okryć się chwałą i zasłużyć na awans i odznaczenie.

Zresztą wszyscy twierdzą, że wojna nie potrwa długo. Za parę dni powinniście wkroczyć do Warszawy, a wtedy będzie koniec. Już prawie oczekuję twego powrotu i wyobrażam sobie, jak on będzie wyglądał...

Na pożegnanie całuję cię mocno jak jeszcze nigdy. Często brak mi ciebie. Już dawno nikt mnie nie pocałował...”

Ogarnął go wiew gorących uczuć, które emanowały z listu. Zdawał sobie sprawę, że płynie z tych słów naprawdę wielka fala namiętności. Herbert zachował w pamięci wspomnienie pewnego wieczoru. Wracali oboje z jakiejś zabawy i szli pustymi ulicami stolicy, przytuleni do siebie, zajęci sobą bez reszty. W wąwozie ulic słychać było ich głośnie kroki. Z wygaszonych okien, z płonących jaskrawo latarń spływała na nich cisza śpiącego miasta, tak bardzo nastrajająca do serdecznych zwierzeń. Herbert opowiadał Gerdzie o swych pracach partyjnych. Nagle dziewczyna zatrzymała się. Szybko zarzuciła ręce na szyję Köstringa i mocno przycisnęła usta do jego warg. Och, ten pocałunek na pustej ulicy, w kręgu pełnych wyrozu-

miałości spojrzeń okien, ileż on w sobie zawierał żaru, ile niewyraźnej słowami namiętności. Stali tak przyciśnięci do siebie, aż spłoszył ich policjant, który wynurzył się nagle z amfilady ulic. Ruszyli dalej w swoją drogę, ale wzrok Herberta pobiegł spiesznie ku twarzy dziewczyny i szukał w tych rozchylonych jeszcze wargach, w blasku czarnych, skrytych za długimi rzęsami oczu śladów płonącego przed chwilą uczucia. Dziewczyna powiedziała: „Kocham cię...” Minęło ich wolno jadące auto. Żółty blask latarni ślizgał się po ciemnych witrynach sklepów. Szofer w białym kitlu trwał nieporuszenie przy kierownicy. Kiedy auto mijало ich, na tle jasnej ulicy, w wykroju okienka mogli zobaczyć cienie dwóch głów przytulonych do siebie. Herbert przycisnął ramię Gerdy. „Najdroższa” — szeptał. Słowa rwały mu się na wargach. Szli jak pijani nie zdając sobie sprawy z tego, dokąd idą. Przed nimi wyrósł ciemny łuk Brandenburskiej Bramy. Znowu przemknęło kilka aut, potem motocykl policyjny. Na niebie nasiąkłym różowością łuny paliły się blade gwiazdy. Droga ich nie miała zda się końca. Lecz w pewnej chwili Herberta ogarnął niepokój; wyrrywając się nastrojowi szepnął: „Trzeba wracać...” Zobaczył na jej twarzy zmarszczkę gniewu. Zapytała ostro: „Chcesz wracać?” Stał przed nią onieśmielony, niepewny. „Dobrze, wracajmy.” Ale dorzuciła okrutnie: „Jeżeli nie będziesz takim, jakim cię widzę — odejść od ciebie!” Herberta przebiegł dreszcz.

Dziś wszystko się zmieniło. Wojna uczyniła go dojrzałszym, pewniejszym siebie, śmielszym. Chociaż sam niewiele dotychczas walczył, czuł, że i na niego spadają laury przysługujące armii. Uważał to za rzecz najzupełniej słuszną.

Po raz drugi przebiegł wzrokiem list, szukając szczegółów, które uszły pierwszemu, pobieżnemu czytaniu. Gerda obiecywała mu wysłać paczkę żywnościową; prosiła, aby robił fotografie i aby pozdrowił Waltera, do którego teraz nie pisze.

„List Waltera był jak zwykle pełen humoru. Poproś go, aby nie zniechęcał się tym, że mu nie odpisuję, by nadal opowiadał o waszym życiu...”

Ktoś stanął obok, więc Köstring podniósł głowę. Hugo paląc papierosa przyglądał mu się spoza smugi błękitnego dymu.

— Liścik od najdroższej, Bert?

— Tak. Od Gerdy. Mówiłem ci, że mamy się pobrać...

Oficer chwilę palił w milczeniu.

— Czy ona jest taka sama jak Walter? — zapytał wreszcie.

— Ach, nie. Ona wierzy w to, co ja i w co ty wierzysz. Zresztą Walter jest także nasz, tylko on się lubi wygłupiać. Ale Gerda jest inna.

Kostrzewa zaczął spacerować między drzewami. Ręce miał założone do tyłu, papierosa przesunął na bok ust. Spod zielonej fura-

żerki wysuwały się falą jasne włosy. Ściągnięta twarz wyrażała jak zwykle stanowczość.

— Cieszę się — powiedział — jeśli tak jest. Należysz do ludzi, którzy są potrzebni wielkiej Rzeszy. Walter ma wiele zalet, ale zaczynam się obawiać, że ze swoim brakiem dyscypliny może źle skończyć. Jego Niemcy — to Niemcy Minesängerów, Zygfyrdów i Karolów Moorów. Niemcy, które już się skończyły. To były Niemcy wiecznych bajął o wielkości. Dziś nadeszła epoka wcielania wielkości w życie. Nie czas na słowa.

Zatoczył ręką szeroki krąg.

— Chyba słyszysz, Herbercie, jak stąpa przyszłość?

Wsparłszy się dłonią o niską gałąź, wbił wzrok gdzieś w gęstwinię splątanych pni i liści, prześwieconą słońcem.

— Dla niej warto ofiarować samego siebie. I to nie tylko raz jeden, ale codziennie, zawsze i całkowicie.

Herbert podniósł na mówiącego wzrok pełen podziwu:

— Gdy tak mówisz, Hugonie, czuję, że nigdy nie potrafię ciebie naśladować...

Kostrzewa wzruszył ramionami.

— Mnie naśladować? Wcale nie o to chodzi, Bert. Trzeba żyć idea, trzeba dążyć do jej wcielenia, trzeba dostosować tętno swej krwi do tętna całego narodu. My, Niemcy, niestety, zanadto cenimy wygodę, a ta wygoda zabija w nas siłę. Chcielibyśmy zbawiać świat nie zdejmując z nóg ciepłych pantofli. A kto chce podjąć walkę o wielkość, ten nie może nosić pantofli, nie wolno mu się babrać w rozkoszach domowego łoża i ogniska.

— Czyżbyś twierdził, że życie rodzinne osłabia naszą siłę? Hugonie, sam wiesz, jak bardzo Niemcom potrzeba dzieci.

— Wiem o tym. Ale co innego sprawa dzieci, a co innego sprawa tego, co się nazywa życiem rodzinnym. Nie twierdzą, mój drogi, że męczyzna powinien unikać kobiet. Lecz życie rodzinne to grzebanie się w wąskim kręgu codziennych kłopotów i powinno być przynajmniej dla kierowników narodu zamknięte. I patrz: wódz kocha dzieci, ale sam wyrzekł się ojcostwa. Kto kieruje innymi, kto się wznosi ponad tłum, tego nie powinno kępować żadne bliskie przywiązanie. Podoba mi się życie mnichów. Jeszcze krok dalej, a jesteśmy obok rycerzy zakonu krzyżackiego. Ci byli prawdziwymi nosicielami ducha niemieckiego i szli w przedniej straży naszego Drang nach Osten. A nawet wówczas, gdy odwróciliśmy się od wielkiego szlaku Niedźwiedzia, Lwa i Ottonów, oni pełnili dalej swą misję.

Młody oficer mówił żywo, chodząc tam i z powrotem między drzewami. Herbert milczał. Jego miłość do Gerdy i jego pogodne marzenie o własnym domu, żonie, dzieciach zostało tymi słowami sprowadzone do nicości. Podziwiał Hugona, ale zdawał sobie sprawę, że nie nadąza za lotem Kostrzewy. Hugo był naprawdę wcieleniem

plowowłosej bestii, która potężnymi skokami wyprzedza tłum. Nawet przez pewien czas w kole znajomych Hugona powtarzano sobie na ucho ploteczkę o rzekomo homoseksualistycznych skłonnościach młodego członka partii. Ale Herbert wiedział dobrze, że to są tylko zawistne obmowy wywołane nieskazitelnie czystą, dziewiczą niemal postawą życiową Hugona. Nigdy młody instruktor nie obdarzał swoich podwładnych czymś więcej niż przyjaźnią, surową męską przyjaźnią. W jego życiu, przepojonym jedną tylko myślą, nie było miejsca na nic, co nie wiązało się z partią i narodem.

Lecz Köstring mimo zapału, jaki go ożywiał, i przywiązania do ideałów głoszonych przez narodowy socjalizm, miał jeszcze inne pragnienia. Może jego głód uczuć nie byłby tak wielki, gdyby w dzieciństwie doznał więcej serdeczności. Na stryja Ernesta nie powinien był narzekać. Ale cóż mógł mu dać zdziwaczały wdowiec poza czysto materialną opieką? Matki nie pamiętał, ciotka Helena była przy nim zbyt krótko. Potem wychowywały go kolejno: surowa szkoła, zdyscyplinowana bardziej niż wojsko, partia, wreszcie armia. Napępniały one jego umysł ideałami niemczyzny, wprzęgały w rydwan wiecznej gotowości do walki z groźnymi ojczyźnie wrogami, nauczyły czujności, uporu, wytrwałości i hartu. Lecz jednocześnie wyczerpały go tym wszystkim. Jakiż byłby szczęśliwy, gdyby tę ekstazę wojenną mógł przeplatać chwilami pogodnej miłości.

Przeciwno tym wizjom wyrastały surowe słowa Kostrzewy. I po raz pierwszy może Köstring poczuł ciężar idei, której poświęcił życie. Lecz nagły poryw buntu zgasł w sercu podchorążego równie szybko, jak się zapalił. Odruchowo sprężył się w postawie posłusznego żołnierza. Wprawdzie pozostało w nim przekonanie, że nikt nie wydrze z serca miłości do Gerdy ani jego planów nie przekreśli, ale z lekkomyślnością swego wieku przesunął te sprawy w dziedzinę dalekiej, a niejasno jeszcze kształtującej się przyszłości. Jakoś tam będzie... Gdyby każde słowo Hugona trzeba było brać dosłownie... Ach, nie. Takie rzeczy są niby ubranie na wyrost, które zawsze się zderze, zanim zdołamy dorosnąć do jego rozmiarów.

Hugo kiwnął mu ręką i odszedł, uderzając się niecierpliwie witką po cholewie buta. Od paru dni był trochę rozdrażniony. W gruncie rzeczy żałował codziennych dyskusji z Walterem, które urwały się od czasu rozstrzelania polskiego podchorążego. Von Recke spełniał swoje obowiązki wzorowo, w stosunkach służbowych zachował pełną grzeczności formę — lecz w chwilach wolnych wyraźnie unikał porucznika. Oficer, idąc pozornie niedbale przez las, nie spuszczał go z oka. Walter siedział obok samochodu z amunicją i rozmawiał z Kurzem. Kostrzewa pamiętał Waltera jako piętnastoletniego chłopca w bardzo krótkich majteczkach, który wykonywał wszystkie polecenia swego instruktora nie bez krytycznego uśmiešku na ustach. Kostrzewa starał się tych min nie widzieć. Postanowił wychować tamtego na dzielnego członka partii, a wytknąwszy sobie pewien cel zwykł był nie zrażać się trudnościami. Poza tym cenił Waltera

więcej niż innych chłopców, uświadamiając sobie przy tym, jak bardzo chciałby go przerobić. Nie przymusić do ślepego posłuchu, ale przekonać.

Idąc przez las, w którym pod drzewami biwakowały grupki żołnierzy, natknął się na Filliesa. Major siedział pod wielką sosną, na eleganckim kocu w szkocką kratę. Dwóch ordynansów kręciło się obok: jeden czyścił buty oficera, drugi otwierał właśnie puszkę z pasztetem. Fillies był tylko w skarpetkach, w czarnych bawełnianych skarpetkach, na których wielkimi literami został wyszyty monogram: D.O.F. D oznaczało tu doktora, dla mocniejszego podkreślenia, że bawełniane skarpetki należą nie do jakiegoś tam Filliesa, ale doktora archeologii, profesora uniwersytetu w Jenie. Rozpięty mundur i rozchełstana koszula ukazywały białą pierś, pokrytą puszystym żółtawym włosiem. Takie same żółte włosy, w dostatecznej jeszcze ilości ponad uszami, ale w bardzo już skromnej na szczycie głowy, upiękślały długą czaszkę nordyka. W długich, białych palcach Fillies trzymał filiżankę z herbatą i wolno popijał gorący płyn.

Kostrzewa oddał oficerowi należny ukłon, profesor zaś — od paru tygodni major służby czynnej — odpowiedział mu kiwnięciem głowy. Przy tym żółty kosmyk włosów zaczynający się gdzieś nad lewym uchem — nakrywający czaszkę i kończący się nad prawym — spadł mu na czoło. Major odgarnął „nieposłuszne” włosy i uśmiechnął się do Kostrzewy zapraszając go ruchem ręki, aby usiadł na skraju kraciastego pledu. Wydawał się wcieleniem żywej, lecz dystygowanej radości.

— Dostałem list od żony — nie omieszkał pochwalić się swemu zastępcy. Wskazał na wielką kopertę, gdzie drobniutkim i przerażająco kształtnym maczkiem zdobnym w figlarne zakrętasy było wypisane jego nazwisko oraz tytuł naukowy. Dobre cztery ćwiartki papieru, szczelnie zapełnione pismem, rozpychały wnętrze koperty. — Píše mi żona, panie poruczniku, że wysłała do mnie paczkę żywnościową, a w niej pasztet z drobiu. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie pasztety umie robić moja małżonka. Zresztą w ogóle jest doskonałą gospodynią. Jak tylko paczka nadejdzie, zaproszę pana, aby pan popróbowwał...

— Dziękuję bardzo, panie majorze.

— Przypuszczam, że tu w polu będę mógł lepiej niż dawniej ocenić smak pasztetu, choć zawsze byłem wielbicielem wyrobów mojej żony. Pamiętam, że wracając z wykładów zastanawiałem się zawsze, co też za niespodziankę zrobiła mi żona na obiad. Na przykład zupa piwna. Ach, takiej zupy nie znajdzie pan nawet w Monachium. Do tego świeże, gorące jeszcze bułeczki... Tych ostatnich dawno już nie jedliśmy... Trudno — zwycięstwa okupuje się ofiarami.

— Niewątpliwie...

— Ostatnio żona kupowała często gęsi. Dobrze upieczona gęś warta jest, jak to się mówi, grzechu. A do tego ogromna wartość kalo-

ryczna. Teraz nawet, kiedy jestem czymś zajęty, przypominam sobie smak jej piersi i wtedy czuję ślinkę w ustach. Tak, cóż — wojna — trzeba ją przetrwać. Słuchaj, Franz, mój chłopcze, jeszcze nie otworzyłeś tej puszki?

Ordynans podał dowódcy szwadronu otwartą puszkę. Oficer pochylił nad nią swój długi wąski nos i wciągnął ze znanstwem woń konserwy. Skinął z uznaniem głową.

— Może być, ostatecznie... Wprawdzie to nie domowy wyrób, ale gdy się nie ma wyboru... Zdobyłem tę puszkę z jakiegoś polskiego samochodu. Oni jednak wiedzieli, co dobre, ci Polacy.

— Przynajmniej jedna zaleta, panie majorze, bo ja w nich widzę same wady. Nie są to ani żołnierze, ani politycy, ani dobrzy gospodarze.

Fillies nabrał pasztetu z puszki, po czym rozsmarował go grubą warstwą na chlebie. Oparł się o drzewo i spokojnie wziął się do jedzenia, słuchając słów Kostrzewy z lekkim uśmiechem na ustach i łagodnym kiwaniem głowy — gestem charakterystycznym dla profesorów, wysłuchujących odpowiedzi studentów.

— Tak... tak... Pańska obserwacja jest słuszna, panie poruczniku. Tak. Pan należy do młodszego pokolenia, które ostatecznie nie miało jeszcze możliwości dużo widzieć. Ale myśmy wiele na ten temat mówili i pisali. Jak panu pewnie wiadomo, przeprowadzałem w ciągu ostatnich dwóch lat prace wykopaliskowe na Wolinie. Miały one ogromne znaczenie naukowe, gdyż wykazywały niezbicie, że pod nalotem szczątków pozostawionych na tych ziemiach przez ludy słowiańskie znaleźć można ślady starogermańskiej kultury Gotów, a może i Burgundów. Wydałem na ten temat cztery broszury, które niewątpliwie są panu znane: „Die Germanen an der Oder-Mündung” i kilka innych. Dwóch docentów pracowało w terenie pod moim kierunkiem. Zdjęliśmy powierzchnię ziemi na przestrzeni...

Hugo również nabrał sobie pasztetu starając się nim zająć i zagłuszyć gadaninę Filliesa. W ciągu tych paru dni wojny major opowiadał mu już kilkakrotnie o odkryciach wolińskich. Należało się więc obawiać, że jeżeli kampania potrwa dłużej, Hugo będzie umiał na pamięć ten nudny i naszpikowany statystyką wykład. Kątem oka poszukał Waltera. Von Recke i szef wciąż siedzieli koło auta z amunicją.

— Postawiłem tezę — Fillies ciągnął dalej monotonnym i bezbarwnym głosem — że podczas gdy ludy germańskie walczyły na zachodzie z państwem rzymskim i spychały coraz bardziej ludy celtyckie, które Rzym popierał, przybysze słowiańscy wtargnęli na ziemie germańskie trzebiąc tu po barbarzyńsku naszą kulturę. Dlatego te ich zabytki sięgnęły, a nawet przekroczyły w kilku miejscach Odrę. Zresztą bardzo nieliczne zabytki. Nie zdołały one pokryć pamiątek kultury Herrenvolku...

Major oblizwał wargi i rozejrzał się, jakby czegoś szukał.

— Franz, gdzie tu były marynowane grzyby?

— Jawohl, Herr Major.

— Poszukaj mi ich... Żeby pan wiedział, panie poruczniku, jakie marynaty potrafi robić moja żona. Coś znakomitego. Był kiedyś u nas na obiedzie sam generał von Keitel. Cztery razy dobierał.

— Mam nadzieję, panie majorze, że po tej wojnie znikną ostatnie pamiątki słowiańskie na ziemiach między Odrą i Wartą.

— Znikną, ale to nie dlatego, panie poruczniku, że wy, młodzi, tak zdecydowaliście. Wiem, jak wysokie macie o sobie mniemanie. Ale nie zapominajcie o naszych pracach, o naszych staraniach, o naszych ofiarach w służbie Rzeszy — nas starszych. Nie lubię zresztą mówić o sobie, ale moja kilkuletnia praca na stanowisku profesora archeologii przyniosła ogromne rezultaty. Głosu nauki słucha cały świat. Moje broszurki o odkryciach wolińskich były wysyłane uczonym na obu półkulach...

Major kazał sobie podać puszkę kompotu z ananasa i powoli, delectując się, popijał sok łyżeczką. Mdląco-słodki smak owocu przypominał mu gruszki, z których profesorowa Lotta Fillies umiała robić znakomite kompoty, o czym nie omieszkał powiadomić Kostrzewy. Ale Hugo nie dał się oderwać od bardziej interesującego go tematu.

— Gdzie jest, zdaniem pana majora, granica zasięgu, ku której możemy dążyć w marszu na wschód? Wisła, Bug czy Dniepr?

Fillies nie odpowiedział od razu. Miał to miłe przyzwyczajenie większości uczonych, którzy zaskoczeni nagłym pytaniem udają, że nie rozumieją, każą je sobie nieskończenie długo powtarzać, w końcu zaś wypowiadają enigmatyczną opinię, nic nie wyjaśniającą. Major jedynie w materiach gastronomicznych oraz w sprawie odkryć wolińskich był w stanie odpowiadać ex abrupto. Przymknął więc oczy i powiedział tonem prorokującego jogi:

— Opinie są bardzo różne, często nawet ze sobą sprzeczne. Kilka szkół naukowych wypowiadało się w tym względzie, lecz tylko życie i jedynie życie wybierze spośród nich właściwą. Tak, tak. Dla nas to nie jest problem i pracowaliśmy nad jego rozwiązaniem od dawna. Postępowaliśmy konsekwentnie i planowo. Osobiście mam pewne zastrzeżenia co do zbyt pośpiesznej akcji...

— Miecz, panie majorze, rozcina pewniej węzły konfliktów...

— Słusznie, drogi panie, słusznie, pod warunkiem jednak, że nie spadnie zbyt wcześnie. Cios pośpieszny rani — zabija zaś tylko wykalkulowane, doskonale wyliczone, uderzenie. Nie wystarczy zahartować muskuły do walki, trzeba także i umysł włączyć do działania. Bo może przyjść chwila, kiedy losy walki rozstrzygać się będą nie w polu, lecz na biurku uczonego...

Major połknął rybim ruchem czekoladkę z likierem, po czym

dyskretnie podrapał się w wiecznie swędzące go miejsce. Był już trochę zmęczony przedłużającą się rozmową.

— Odjeżdżamy stąd, panie poruczniku.

— Tak? Czy wolno wiedzieć, w jakim kierunku?

— Sam go jeszcze nie znam. Czekam na bliższe rozkazy. W każdym razie dowództwo uznało, że udział lekkich jednostek jest zbędny przy oblężeniu miasta. Należy więc oczekiwać, iż wyruszymy śladami armii generała von Reichenau.

Major chrząknął znacząco i zajął się swymi paznokciami starannie oczyszczonymi i opiłowanymi. Nagłe przeniesienie zainteresowania z rozmowy na paznokcie oraz lakoniczność w odpowiedziach dowodziły, że profesor ma już zupełnie dosyć pogawędki ze swym zastępcą. Jeszcze raz leniwym ruchem sięgnął po czekoladkę, dyskretnie przeciągnął się, przebierając palcami w czarnych skarpetkach. Ordynans, nie czekając na rozkaz, wydobyl z walizki poduszeczkę w białej poszewce z wyhaftowanymi na rogach kwiatkami.

— Ach, so... — major jeszcze starał się okazać zainteresowanie dla słów Kostrzewy, który mu mówił o szwadronie. — Ach, so... — ziewnął. — Oczy mi się kleją. Pan też pójdzie się zdrzemnąć?

— Przejdę się po szwadronie.

— Bardzo dobrze... Widzę, że się pan stara, panie poruczniku. To bardzo dobrze... Może będzie pan łaskaw dopilnować dziś wszystkiego w szwadronie. A na przyszły raz ja pana zastąpię — Fillies uśmiechnął się nieomal słodko.

— Dziękuję...

Hugo skłonił się i ruszył w stronę biwakujących żołnierzy szczerze przekonany, iż taki dzień nigdy nie nadejdzie.

VI

Jechali przez kraj zniszczony, noszący ślady gwałtownych nalołów. Wzdłuż szosy to po lewej, to po prawej stronie widzieli leje bomb lotniczych. Trupy ludzkie poznikały już z szos, a tylko gdzieś w boku walały się ciała zabitych koni, okropne, krwawe, nabrzmięte, wydzielające mdlącą woń rozkładu. Wszystkie wsie w bok od drogi leżały w gruzach, a ludność z nich puciekąła. Sterczały tylko ku niebu okopcone kominy w otoczeniu szaroczarnych kup popiołu.

Od czasu do czasu szosa biegła między ścianami lasu. Wtedy jeden z plutonów zsiadał z rowerów i obejmował służbę ochronną na bokach drogi. Wiedzano bowiem, że w lasach są jeszcze oddziały polskie, przeważnie rozproszone i błędnie snujące się wśród drzew, lecz czasami zaczajone i zuchwale napadające na posuwające się po drogach kolumny. Od czasu kiedy Polacy wytłukli ręcznymi grana-

tami załogę ciężarowego auta, nie wolno było oddziałom maszerować szosami po nocy.

Nad Wisłą huczały wciąż armaty — to walczono wokół Dębina. W Kozienicach dziesiąty pułk dragonów spotkał się z pułkiem piechoty, który poprzedniego dnia starał się sforsować Wisłę, lecz został odrzucony przez Polaków i w zaciętej walce stracił cały batalion. Żołnierze byli rozgoryczeni, gdyż wywiad lotniczy poprzedniego dnia stwierdził, że koncentracja wojsk nieprzyjacielskich w rejonie Garwolina została zbombardowana i żadne niebezpieczeństwo z tamtej strony nie grozi. Tymczasem właśnie od Garwolina pod osłoną nocy nadciągnęła jakaś piechota, która skutecznie przeciwstawiała się uderzeniu niemieckiemu. Żołnierze mieli pretensję do swego dowódcztwa; nikt z nich nie pragnął przecież walczyć z Polakami jak równy z równym: zwyciężanie nieprzyjaciela dzięki lepszej broni uważali za rzecz naturalną.

Walter jechał na końcu kolumny szwadronu, obok szefa. Złoty humor von Reckego mocno ostatnio się zaćmił. Od chwili awantury z Hugonem chłopak nie mógł pozbyć się uczucia dziwnej niechęci do swego dowódcy, a równocześnie ciążyła mu ona jak ołów. Mimo sporów i zapalczywych dyskusji serdeczny stosunek Waltera do Kostrzewy nie ulegał zmianie. Oddaliwszy się od przyjaciela na chwilę, powracał zaraz w krąg przyciągania i wpływu swego instruktora; nie umiał wytrwać w samotności. Obecny, dłuższy już czas trwający konflikt doprowadził go do takiego stanu ducha, w którym kolejno albo starał się zapomnieć o całej awanturze i zbagatelizować swoje sprzeciwy, albo też wybuchał nową falą buntu przeciwko Hugonowi. Miał uczucie człowieka, który znalazł się bez jednego mocnego punktu oparcia na rzucanym falami okręcie.

W ostatniej poczcie znalazł krótki list od matki. Baronowa zaklinała syna na wszystkie świętości, aby uważał na swoje zdrowie, a więc: nie pił przypadkiem brudnej wody, unikał starannie wilgoci jesiennych wieczorów, stale nosił ciepłe skarpetki i tak dalej. List rozdrażnił Waltera. Wydawało mu się, że te wszystkie błahostki jakby pomniejszały i bagatelizowały jego rozterkę. Wolałby, aby matka uderzyła w tej chwili w strunę wielkich słów, które wywierały zawsze wpływ na Waltera i które potrafiłyby w tej chwili wzmocnić jego słabnącą postawę.

Herberta znał dostatecznie długo, aby z góry wiedzieć, że opowie się on prędzej za Hugonem niż za nim. Autorytet starszego rangą był dla Köstringa rzeczą świętą. Walter czuł się więc samotny i opuszczony. Do rozmowy pozostał mu tylko jeden szef.

— Nie ma się czym przejmować, panie podchorąży — powiedział pocziwy Kurz. — Ja tam rozumiem dobrze pana podchorążego, ale pan porucznik jest bardzo twardy. Jeśli raz sobie powiedział, że Polaków trzeba zabijać, to słowa dotrzyma, choćby nie wiem co.

Jechali obok siebie. Przed nimi długa kolumna rowerzystów wznosiła tumany białego kurzu. Wreszcie spoza chorowitych drze-

wiek oceniających szosę wyrzwała na prawo od drogi w półrozbita wieża kościelna. Mijali właśnie jakąś wieś. Od czoła przyszedł rozkaz zatrzymania się na postój.

Walter rzucił czujnym spojrzeniem na swój pluton, a potem wszedł między szczątki spalonych chat. Zabrał ze sobą aparat fotograficzny. Tu i tam pstrykał jakiś fragment ruin. Na koniec, w poszukiwaniu ciekawego tematu, zawędrował przed kościół.

Rozłupane drzwi wisiały jeszcze na zawiasach. Prawdopodobnie były zamknięte, gdy bomba trafiła w główną nawę, toteż masa wypartego powietrza strzaskała zamek i powydzieraa z drzwi poszczególne deski. Walter wszedł do środka. Od razu osiadł mu na rzęsach kurz wapienny, wirujący w pełnym przeciągów wnętrzu, przedostawał się do gardła i nosa; podchorąży zaczął kaszleć, chrząkać i spluwać, zanim przyzwyczyił się jako tako do panującej wśród ruin atmosfery.

Wskutek wybuchu runęła prawa ściana kościoła grzebiąc pod stosem kamieni boczną nawę oraz część głównej. Spod odłamków muru wyglądały tu i ówdzie resztki zmiażdżonych ławek, ukazując patrzącemu, obok kawałków ciemniejszej, wyklęczanej przez tłumy powierzchni, całe płaty białego, świeżo rozdartego drzewa. Zwęglone belki leżały na poprzek, a jedna z nich ostrym kaniem rozcięła od góry do dołu obraz świętej Teresy w bocznym ołtarzu. Trzymające się ram płótno łopotało teraz na przeciągu i Walter widział wciąż rękę obejmującą miłośnie pęk różnokolorowych róż.

Przestąpił zwał drzewa i kamieni, spiętrzony obok marmurowej kropielnicy, i wszedł do wnętrza. Rozwalony kościół zdawał się być pełen życia, bo nie tylko ptaki krążyły między pozostałymi rusztowaniami sklepienia, ale i wiatr, który poruszał festonami podartych obrazów, serwet, kap i żałobnych chorągwi, napełniał życiem — budził tajemnicze szmery. Zaledwie Walter przekroczył próg kościoła, znalazł się jakby w innym świecie, w świecie niepokojących szelestów, stukań i łomotów, a jednocześnie w świecie powagi i majestatu, nie umniejszonego przez straszliwe zniszczenie. Raczej przeciwnie: można by sądzić, że ta skromna wiejska świątynia, obrócona w gruzy, nabrała powagi i godności, jakby to okrutne okaleczenie zadane jej przez bomby było koniecznym dopełnieniem zawartej w niej treści i jej dobitnym unaocznieniem.

Von Recke zagłębiał się coraz dalej między zwaliska. Gdzieś między ławkami, pod stosem gruzu, ujrzał wystającą rękę. Była mała, pomarszczona, sina i brudna. Musiała należeć do kobiety starej. Na środkowym palcu widniała szeroka, srebrna obrączka, wokół dłoni okręcony był różaniec.

Walter wstrząsnął się. Idąc w głąb kościoła był ciągle pod wrażeniem ujranej ręki; aż odskoczył, gdy wydało mu się nagle, że widzi ciało ludzkie rzucone niby łachman między gruzy. Ale był to tylko wielki krucyfiks strącony na ziemię ze ściany naprzeciw ambony

i przygniatający sobą figurę Jezusa. W nierealnym otoczeniu rozwalonego kościoła przygnieciona figura Chrystusa wydawała się wcieleniem realizmu: Chrystus wyglądał jak człowiek przywalony zbyt wielkim ciężarem, próżno usiłujący wydrzeć się spod niego.

Nie zdając sobie niemal sprawy z tego, co robi, Walter chwycił krucyfiks i chciał go odwrócić. Ale dół krzyża znajdował się pod gruzami, których nie sposób było poruszyć. Porzucił tę pracę; pozostało w nim jednak uczucie zawstydy: miał wrażenie, że został wśród gruzów pogrzebanego żywcem człowieka.

Poszedł dalej i wkrótce stanął naprzeciw niskiej barierki oddzielającej ołtarz od kościoła. Tabernakulum było otwarte. Widać proboszcz zdażył ocalić jego wnętrze. Smutkiem i opuszczeniem wiało od tych szeroko otwartych drzwi, zza których widać było wyłoczone wnętrze. Walter przypomniał sobie uczucie, jakiego doznawał odwiedzając kościoły katolickie. Jego wzrok biegł przede wszystkim ku zamkniętemu przybytkowi wyniesionemu ponad ołtarz, i nigdy nie opuszczało go wrażenie, że właśnie poza tymi małymi drzwiczkami znajduje się jądro tajemnicy, wyjaśniającej trwałość i siłę katolicyzmu oraz ten dziwny nastrój, dzięki któremu najbardziej opuszczony kościół nie wydaje się nigdy pusty.

Tutaj „Święte Świętych” stało otworem dla oczu profana. Biały obrus fałdował się na mienie i zsuwał jednym końcem na ziemię, podczas gdy drugi przytrzymywał ciężki, przewrócony świecznik. Nad ołtarzem figurka Matki Bożej rozkładała dłonie, z których tryskały złote promienie łask. Lecz gdy cała postać tchnęła spokojem, łagodnością i dobrocią, rozbita odłamkiem bomby twarz Matki Jezusowej z jakimś niewypowiedzianym bólem patrzyła czarną dziurą na Waltera. Znowu przebiegł go dreszcz. Ogarnęło go uczucie składające się z grozy, lęku i wstydu. Minął barierkę, stanął na stopniach ołtarza. Pod nogami chrzęścił gruz i strącone z ołtarza wota: srebrne i złote serduszka, ręce, nogi — pamiątki przyniesione tutaj przez tych, którzy doznali Łaski. Walter przypomniał sobie zwiedzane w swym życiu kościoły i te niezliczone ołtarze, wokół których złościły się tysiące takich właśnie serc, rąk czy nóg. Oto widomy znak związku, jaki istnieje między zamkniętą szafką cyborium a modlitwą wiernych. Lecz nigdy może rzeczywistość ujawniających się w kościele dzieł nie uderzyła tak mocno młodego podchorążego jak właśnie teraz. W protestanckich zborach widział harmonię zbiorowej modlitwy, słyszał piękne nauki i piękne pieśni. Było tam wszystko, na co się umiał zdobyć człowiek i ku czemu potrafiło się wznieść ludzkie słowo. W czasie śpiewania hymnów w jednym z przestronnych i czystych zborów berlińskich czuł niemal, jak się wszyscy wznosili ku górze, wlatywali na skrzydłach artystycznego zapachu. Jakżeż od tego odbijał ten kościół ze złotymi obrzydliwymi figurami swych świętych na ołtarzach i opasłymi aniołkami, w pół tylko osłoniętymi sztywną szatą, z ohydnyymi malowidłami na ścianach, z fałszywym śpiewem wiernych, wiecznie wybrudzoną posadzką... Lecz mimo tego właśnie

tu żyła pamięć spełnionych dobrodziejstw. Choć ustały śpiewy, choć rozpadły się figury, choć przestały przemawiać dzieła rąk i ust ludzkich, kościół nie był pusty...

Walter przysiadł na barierze i pogrążył się w myślach. Przed nim zwisał na długim łańcuchu kaganek z czerwonym szkiełkiem, w którym jeszcze pełzał ostatkiem sił drżący płomyk. Konał, a przecież nie przestawał pełnić swej służby przed ołtarzem. I cały kościół ciągle z nim żył. Szept modlitw pokoleń, przekuty na blaszki wotów, nie umilkł; skrzyp klęczników, wygniatanych kolanami ludzi, nie ucichł; blask świec, które się tu przez lata paliły, nie wygasł.

Czymże jest ta mdła w swym wyrazie figura Bożej Matki w porównaniu z pięknem torsu Afrodyty czy Herkulesa, wyczarowanego dłutem greckiego rzeźbiarza? Czymże jest nędzna litografia przedstawiająca małą Karmelitankę — wobec arcydzieł Rembrandta, Van Dycka, Rubensa? Nędzny wysiłek ludzki, pozbawiony bogactw ducha i siły geniuszu. A jednak ta nędza żyje. To ona wykrzesuje nowe piękno w duszach ludzkich. To ona przez wieki prowadzi do nadczołwieczeństwa.

Rzućmy bombę lotniczą na muzeum sztuki — cóż z niego zostanie? Stos potrząskanych posągów, nad którymi można płakać, ale których łzy nie wskrzeszą; strzępy popalonych obrazów, które nigdy już nie zapłoną barwami. Bomba czy kula unicestwi ludzką twórczość zabijając artystę. Wspaniała maszyna na zawsze zdolna jest wydrzeć ludzkości mglistą glorię Schönbrunn, filigranową koronkę murów Sans-Souci, twardy masyw Brandenburskiej Bramy lub nowożytnie piękno Berlińskiego Domu. Rzućmy bombę na świątynię protestancką. Najpiękniejszy zbór po jednym ciosie będzie niczym. Ale ten kościół zdruzgotany, odarty z ozdób, pełen woni rozkładających się ciał babek proszalnych, które pogrzebała wałęsa się ściana, pozostał dalej kościołem. I choćbyśmy nie pozwolili ludziom odbudować go, przyjdą do ruin i w ruinach modlić się będą. Przygodny artysta wiejski naprawi uszkodzoną figurkę Maryi, cieśla zbije dwie heblowane deski i postawi nowy krucyfiks. W szafce ze zwykłego drzewa zamieszka Hostia. Lecz to wystarczy. Znowu odrodzi się więź stosunków Bożych i ludzkich. Ludzie będą działać niezdarnie, źle, prymitywnie, ale Bóg przemieni ich pracę w dzieło sztuki.

Mijały chwile. Walter siedział zgarbiony, ze wzrokiem wbitym uparcie w porozrzucone na podłodze wota.

Wreszcie wstał i poszedł ku drzwiom kościoła. Przez rozbite ściany wpały do wnętrza świątyni promienie słońca i ślizgały się po stosach gruzów, oświetlając rozbity w kącie konfesjonał.

Mała, śmieszna budka — tyle razy wykpiwana — runęła ciężko na bok. Spośród czarnych, stłoczonych desek wyglądał skrawek zapomnianej stuły. Na posypanym pyłem klęczniku wałęsa się książka do nabożeństwa.

Walter stanął, przed konfesjonałem. Tak, jeżeli tam, przed ołta-

rzem, ogniskowało się życie kościoła, to tutaj, w obrębie tych kraktek mieszkała jego mądrość. Mądrość, która głosi, że człowieka nie usprawiedliwia ani krew, ani urodzenie, ani przynależność do najszlachetniejszych ras, ale Łaska. Jej zaś zwiastunem jest fioletowa stuła na ramionach księdza. Łaska, spływająca tak często, że nie starczyłoby ścian wszystkich kościołów razem, gdyby ludzie zechcieli każde jej objawienie znaczyć złotym czy srebrnym wotum.

Znowu skierował się ku wyjściu. Ostatni raz spojrzął w stronę ołtarza. Kaganek właśnie zgasł; szara wstęga dymu sunęła wolno ku górze.

W drzwiach kościoła spotkał Herberta.

— Robiłeś zdjęcia? — spytał Köstring przyjaciela.

— Nie.

Było to powiedziane tak dziwnym głosem, że Herbert podniósł na Waltera zdumiony wzrok.

— To po coś tam chodził?

Walter odwrócił głowę i przez chwilę patrzył na dalekie zielone pola skąpane w złotym słońcu, na ciemniejący na horyzoncie las, na bladobłękitne niebo, po którym płynęły puszyste obłoczki.

— Chciałem zobaczyć, co może jedna bomba lotnicza.

— I cóż, trzepnęli ich dobrze?

Na opalonej twarzy Waltera pojawił się wyraz szyderstwa.

— Wcale nie tak dobrze, jakby można było przypuszczać. Źle jest, Bert. Nasze bomby zawodzą.

— Czyżby? No, przecież nie chodziło o rozbicie tego kościoła. Gdyby na jego miejscu stał magazyn z amunicją, na pewno wyleciałby w powietrze. Uśmiechasz się?

— Tak. Ten kościół zawiera w sobie tyle energii, że tym bardziej powinien był wylecieć w powietrze. A przecież — nie wyleciał. Bomba zawałała tylko jedną ścianę.

Köstring wzruszył ramionami.

— Ty znowu jakieś bzdury! To nie ma sensu.

— Przeciwnie. To ma sens. To jest sprawa, za którą kiedyś będziemy musieli zdawać rachunek.

— Jaka sprawa? Przed kim?

— Przed własnym sumieniem przede wszystkim. A może doszedłeś do przekonania, że go nie posiadamy? Nie, panie katoliku. Okazuje się, że jeszcze mamy sumienie, a piękno widzimy także w kościele katolickim, chociaż nie byliśmy w nim ochrzczeni. Ten kościół otrzymał bolesny cios. A przecież patrz: on ciągle żyje. Wejdz do środka i zobacz: jego piękno nie wyparowało przez rozbity sufit. Widzę je ciągle. Niemożliwe, abyś ty jego nie spostrzegł. A jeżeli tak jest, to chyba sam przyznasz, że się spisują nasze bomby.

Herbert położył dłoń na klamce, jakby chciał naprawdę wejść do

środku. Ale nie wszedł. Szydercze słowa Waltera świstały mu koło uszu. Ach, jaki ten Walter jest nieznośny. I on uważał przecież, że ten kościół, podkopany z jednej strony lejmem od bomby, ze zgruchotanym dachem i ścianą, jest godną pożałowania ofiarą wojny. Ale wojna jest wojną, a winę za jej bezwzględność ponosi tylko ten, kto ją wywołuje. Nie oni.

— Nie rozumiem, dlaczego się oburzasz — rzekł. — Bomba była prawdopodobnie wymierzona w jakiś inny cel na drodze. Mała niedokładność zawsze się może zdarzyć. Ba, widziałem większe. W rezultacie trzepnęło w ten kościół. Choć się nie uważam za wierzącego, przyznaję, że mi go żal. Nie widzę jednak powodu, by zachwycać się jego pięknnością. Ot, kościół jak tyle innych, raczej brzydki niż ładny. Wywali się jeden, postawią drugi, taki sam. Oby nie było większych zmartwień.

Walter uśmiechnął się.

— Niewątpliwie. Po cóż mamy się martwić? Niech się martwią Polacy.

Köstring skinął głową.

— Całe szczęście, że się nie upierasz. Ostatnio jesteś taki dziwny... Po co było drażnić Hugona? Przecież to morowy chłopak. No, wracamy do szwadronu. Zapalisz?

Lecz von Recke stał wsparty o odrzwia kościoła, jakby jeszcze nie skończył mówić. Na pogodnej zwykle twarzy młodego podchorążego malowała się bolesna zaciętość. Wyglądał jak człowiek, który jest na tropie niemiłych dla siebie odkryć, ale który postanowił śmiało spojrzeć w twarz prawdzie.

— Powiedz, Bert, czy jesteś przekonany, że to Polacy będą się martwili o rozbity kościół?

Herbert zaśmiał się.

— No, chyba. Przecież to fanatycy. Wierzą, że ich zbawi „czarna Madonna” albo jakiś święty. W każdym razie nie mam zamiaru wyręczać ich w tym zmartwieniu.

Walter chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy akurat trębacz dał hasło odmarszu. Obaj młodzi podchorążowie pośpieszyli więc w stronę szwadronu. Milczeli. Wreszcie gdy mieli już sięść na rowery, Herbert powrócił do przerwanej rozmowy:

— Co miałeś na myśli pytając, czy sądzę, że to Polacy będą się martwili zburzonym kościołem? Nie zrozumiałem ciebie.

Walter przełożył nogę przez ramę roweru.

— Zdobyte w walce orężnej kolonie — powiedział przez zęby — przechodzą na własność zwycięzcy. To on planuje uszczęśliwiający kraj inwestycje. Krajowcy nie mają nic do gadania.

VII

Tego jeszcze dnia pułk przekroczył Wisłę w okolicach Zawichostu i ruszył szybkim marszem w kierunku Kraśnika. Komunikaty OKW mówiły o beznadziejnym oporze Warszawy i Modlina, o bezskutecznych próbach wyrwania się na południe otoczonej pod Kutnem armii. Ale równocześnie rozeszła się między żołnierzami lakoniczna wiadomość o przekroczeniu przez armię radziecką wschodniej granicy Polski. Nie wiadano, co o tym sądzić. Czy miał to być sprzymierzeniec, który wychodził naprzeciw zwycięskim wojskom niemieckim, czy też wypoczęty rywal, gotów stoczyć bój o łup nie przez siebie zdobyty? Pisma mówiły dość niejasno o zawartym swego czasu porozumieniu. Lecz z rozkazów, które nadawała radiostacja przy dowództwie armii, wynikało, że chodzi o szybkie obsadzenie wszystkich punktów strategicznych, do których Rosjanie mogliby zgłosić pretensje.

Czerwony ołówek przyłożony do linijki z podziałką wykreślił kierunek na Lublin. Nie liczone się z oporem tego niewielkiego miasta, ponieważ zostało przed tygodniem zbombardowane i utraciło kontakt z Warszawą na skutek obsadzenia szosy przez oddziały, które dzień przedtem zajęły Dęblin.

Tym razem nie knięty dotychczas w walkach pułk dziesiąty dragonów miał iść w straży przedniej, zaś szwadron majora Filliesa na szpicie. Po otrzymaniu rozkazu wraz z poleceniem rozpoczęcia marszu wczesnym rankiem, szwadron drugi rozłożył się obozem w jakiejś małej, na wpół spalonej wsi. O spaniu nie mogło być mowy. Jeden z plutonów objął straż, reszta żołnierzy siedziała pod drzewami klnąc głośno, ponieważ w kilku ocalałych chatach nie mogli się wszyscy pomieścić, zaś noc zapowiadała się wietrzna i dżdżysta. Fillies zarządził odprawę, na którą stawili się wszyscy dowódcy plutonów. Profesor archeologii był podniecony otrzymanym zadaniem, a jednocześnie wściekły z powodu, który wymaga dokładniejszego opisu. W ostatnim liście doktorowej Fillies znajdowała się wzmianka o wysłaniu w ślad za profesorem znakomitego, domowej roboty pasztetu z drobiu. Pasztet nie podróżował sam, ale wraz z innymi drobiazgami, które kochająca małżonka chciała jednocześnie mężowi dostarczyć. W paczce, obok innych rzeczy, znajdowała się para włochatych wełnianych skarpetek, pudełko z talkiem, krem do twarzy oraz papierowa torebka, zawierająca dezynfekcyjny środek: kalihiper-manganicum. Ktoś, kto dba o czystość i myje się codziennie w innej miednicy, nie wiadomo przez kogo przedtem używanej, musi zachować należyłą ostrożność, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pewne przykre schorzenie, będące pono cierniem, ale i znamię prawdziwego filozofa.

Jak to było i kiedy to było, historia nie mówi wyraźnie. Dość że paczka doktorowej Fillies wyleciała z samochodu pocztowego i została rozdeptana przez niezgrabnego żołnierza. But był podkuty,

a pasztet miał się sam rozplýwać w ustach... W rezultacie w paczce nastąpiło sprzężenie: wełna skarpetek została zaimpregnowana pasztetem, przysypana talkiem, wzbogacona preparatami wchodzącymi w skład kremu oraz zdezynfekowana przez kalihpermanganicum.

Przesyłka profesorowej dotarła więc do rąk majora w żalonym stanie, wywołując straszliwy wybuch gniewu. Fillies skłął pocztę i wymógł telefonicznie na komendancie oddalonej składnicy pocztowej przyrzeczenie, że niezdarny żołnierz zostanie surowo ukarany. Wreszcie zasadził obu ordynansów do oczyszczania pasztetu z nabytych po drodze dodatków. Praca ich jednak była daremna i dzieło rąk profesorowej powędrowało na śmietnik. Odprawa w takich warunkach przypominała burzę z grzmotami. Major kręcił się na jedynym w izbie stołku jak na palu męczarni, wydając rozkazy głosem rozkapryśzonego i za wszelką cenę starającego się przyczepić do czegoś dziecka.

— Jutro wkraczymy do Lublina, a nasz szwadron idzie w przedniej straży maszerującej armii. Panowie rozumieją: na walkę się wprawdzie nie zanosi, ponieważ nieprzyjaciel jest już całkowicie rozbity, ale w czasie wojny należy się zawsze liczyć z niespodzianką. Dlatego też żądam od panów — tak, żądam od panów — i czynię panów odpowiedzialnymi za postawę żołnierzy wobec nieprzyjaciela. Nie może być mowy o ucieczce, jaka miała miejsce w czasie nocnego napadu...

Zwrócił się do Kostrzewy:

— Pan pójdzie jutro z plutonem szpicy. Pozwalam, by pan wybrał sobie pluton według własnego upodobania. Tylko proszę wszystko ułożyć i przygotować zawczasu. Konieczne jest silne zabezpieczenie od czoła i od boków. Zresztą chciałbym, aby mi pan o wszystkim złożył raport jeszcze dziś. Powiedzmy za godzinę. Tylko nie później, gdyż muszę się położyć. Od rana mam okropną migrenę. Zna pan to? Ucisk czaszki tutaj i tutaj... To bardzo przykre. Pana nigdy głowa nie boli? O, jaki pan szczęśliwy. I jeszcze pana poproszę: niech pan obejdzie szwadron, sprawdzi służbowych i wartowników. Ale koniecznie dokładnie, bo inaczej musiałbym sam...

— Zawsze sprawdzam wszystko dokładnie, panie majorze.

— Koniecznie trzeba dokładnie sprawdzić. Żeby znowu nie było jakichś niedociągnięć jak wtedy.

— Wtedy, panie majorze, nie było u nas żadnych niedociągnięć.

— Musiały przecież być, skoro nas napadnięto. Więc niech pan wszystko dokładnie posprawdza i przyjdzie do mnie z raportem. Co to, deszcz pada?

Rzeczywiście: chmurne niebo rozplakało się nagle rześistą ulewą. Fale deszczu tryskały z mroku, zalewając wszystko. Żołnierze tłoczyli się w chatkach i tylko wartownicy ociekając wodą obok lśniącego od wilgoci sprzętu trwali na swych stanowiskach.

— Pada, panie majorze.

— To dlatego głowa mnie boli. Niech pan sobie wyobrazi, panie poruczniku, opłacam zawsze każdą zmianę pogody okropną migreną. Żona umie ją leczyć — kładzie mi kompres z gorącej wody na głowę i wtedy leżę z nim parę godzin bez ruchu. To zawsze pomaga. Nie wiem po prostu, jak się będę mógł jutro ruszać... Bardzo nie w porę przychodzi ten ból. Trzeba, żeby mi przygotowali gorącą wodę. Spróbujemy się wyleczyć. Panie szefie, niech pan będzie tak dobry i krzyknie na mego Franza, aby zagotował wodę. Dziękuję panu. To już wszystko. Dziękuję panom. Więc koniecznie jutro musi wszystko wypaść dobrze. Specjalnie zobowiązuję panów. A pan, panie poruczniku, niech pan już do mnie nie przychodzi... Położę się zaraz, a do pana mam zaufanie, że pan moje polecenia dobrze wykona. Aha, niech pan będzie jeszcze tak dobry i napisze raport do pułkownika. Bardzo panu dziękuję. Na przyszły raz, gdy pana będzie bolała głowa...

— Mnie nigdy głowa nie boli, panie majorze.

— Ale może panu co innego dokuczać. Wtedy ja pana zastąpię. No, dziękuję panom. Proszę dopilnować, aby żołnierze czuwali.

Fillies podniósł się ciężko od stołu. Wierny ordynans niósł już gorącą wodę w kubku i ręcznik.

Podoficerowie wychodzili okrywając się płaszczami, bo deszcz lał ciągle. Kostrzewa w gumowym płaszczu zapiętym pod szyję stał ociągając się w środku izby. Skinął na Köstringa i von Reckego:

— Poczekaście — powiedział — wyjdziemy razem. — Skłoniwszy się Filliesowi, który leżał na chłopskiej pierzynie z wyrazem bólu na twarzy i dawał sobie ściągać buty ordynansowi, wyszli do sieni. Tu obu podchorążych zatrzymał Kostrzewa.

Za wysokim progiem płakała noc strumieniami wody. Prostokąt otwartych drzwi słabo odcinał się od czarnego tła mroku.

— Walterze — głos Kostrzewy brzmiał obco, niechętnie, jakby trochę gniewnie. — Miałem wziąć ciebie i twój pluton na szpicę. Ale zdecydowałem się, że tego nie zrobię. Czy wiesz, dlaczego?

— Czy uważasz mnie za tchórza?

— Nie. Tchórzem nie jesteś, ale nie jesteś też człowiekiem wojny. Masz serce, które łatwo oszukać, zmamić, odwieść od celu, do jakiego winno dążyć. Mógłbyś okazać litość tam, gdzie potrzebna jest tylko odwaga.

Chwilę trwało milczenie, tylko deszcz bił o ziemię i służywał strugami wody od wysokiej podmurówki domu w stronę podwórza. Po-tem powiedział Walter:

— Obrażasz mnie, Hugonie... Ale ja nie mam do ciebie żalu. Nie rozumiemy się po prostu... Trudno. Powiedz mi tylko jedno: w czym można mnie oszukać i zmamić? Co jest celem, do którego moje serce ma dążyć?

— Celem twego serca winno być zwycięstwo, ponieważ twe serce jest sercem Niemca.

— Dziękuję. Ale zwycięstwo zwycięstwu nierówne. Chcę ci przypomnieć twoje własne słowa. Mówiłeś: idziemy walczyć z narodem, który nie jest godzien samodzielnego bytu. To Sklavenvolk. Wszystko, cokolwiek posiada, otrzymał od nas. Ale on to dobrodziejstwo odrzucił i w porywie barbarzyńskiej pasji uciska naszych braci. Czy źle powtarzam?

— Dobrze powtarzasz.

— Dodawałeś także: trzeba tym ludziom wydrzeć zęby z paszczy i odjąć im ziemię, na której żyją nasi bracia. Czy tak?

— Tak, Walterze. To wszystko mówiłem. Niczemu nie zaprzeczam.

— Chwileczkę jeszcze. Przyszedłem tutaj i spojrzałem w twarz zwyciężonych. Ujrzałem w ich oczach zawziętość lub grozę, lecz wyczytałem w ich spojrzeniu coś więcej niż gniew złodzieja, któremu odbieramy skradziony łup. Poza tym, przyznaję, zostali dla mnie zagadką. Spoglądałem także na ruiny tutejszych kościołów... Wystarczyło mi to. Wiem teraz i z całą stanowczością twierdzę, że ludzie których zwyciężyliśmy, mają swoje własne życie. To nie jest żaden Sklavenvolk. Nie, stanowczo nic nie daje nam prawa do panowania nad nimi. Rozumiałbym, gdyby chodziło o jakiś skrawek ziemi spornej. Ale odpowiedz mi szczerze, Hugonie, odpowiedz tak szczerze jak mówić trzeba, gdy się stoi w przededniu bitwy, niebezpieczeństwa, może śmierci, odpowiedz mi — co ma być tu, na tej ziemi, gdzie wszystko jest inne niż u nas, gdzie człowiek, a nawet i trawa żyją innym, obcym dla nas życiem. Co ma tu być?

Kostrzewa postawił kołnierz, sprawdził raz jeszcze, czy wszystkie guziki zapięte. Przez chwilę milcząc obcisnął na swej kształtnej figurze jakieś niewidoczne fałdy. Potem włożył ręce w kieszenie i stojąc w drzwiach przed moknącym w falach deszczu podwórkiem odpowiedział krótko, jednym tylko słowem:

— Niemcy.

VIII

— Już druga poczta nadeszła, a ja wciąż nie mam żadnej wiadomości od żony — skarżył się Walterowi Kurz.

Obaj stali na skraju drogi, na której w szarej mgle przedświt wyciągała się kolumna straży przedniej: na przedzie trzy lekkie samochody pancerne, za nimi rowerzyści. Herbert powiał ręką Walterowi. Dopiero gdy ostatni rower zniknął za zakrętem drogi, pomknął szosą motocykl wiozący Hugona. Kostrzewa był to na przodzie, to znów w tyle szpicy, ogarniając spojrzeniem oddziałek Köstringa niby pies powierzone sobie stado.

Jechali pełni bojowej fantazji, ale do południa nikogo na drodze nie spotkali. Kraj ciągnący się po obu stronach szosy był tak mało dotknięty przez wojnę, że można tu było prawie wątpić w jej istnienie. Po szarym i mglistym przedpołudniu wymotało się z powicia chmur słońce i rozpałiło na błękitnym niebie. Dzień zrobił się przesłiczny, ciepły i bezwietrzny. Cisza i spokój jesieni spajały się z dojrzalą powagą ustępującego lata. Od pół niosło zapachem świeżo zoranej ziemi, bo mimo wojny tu i tam wznoszono pługiem chrześcące ścierniska.

Pluton Köstringa minął Kraśnik. Ponieważ zbliżano się do Lublina, przyszedł rozkaz od dowództwa pułku, aby cały szwadron jechał w małej odległości za plutonem szpicy, gotów do natychmiastowej walki. Za to samochody pancerne oderwały się od czoła kolumny i pojechały na dalekie zwiady.

Przed plutonem wyrósł tymczasem las; żołnierze zaczęli ostrzeż pedałować, aby jak najszybciej dotrzeć do jego końca. Hugo jechał zaraz za czwórką szperaczy; na jego twarzy zastygł wyraz skupienia i uwagi. Lecz czołowi rowerzyści dojechawszy do ostatnich drzew dali znak ręką, że droga wolna.

Przed nimi jak okiem sięgnąć nie było nikogo. Głucha cisza leżała ciężko na szosie; przerywał ją jedynie chrzest rowerów i popukanie motocykla Kostrzewy. Warkot oddalonych samochodów zwiadowczych zatonął bez echa w bezmiarze falistych pól.

Zaraz za lasem droga wykręciła łukiem i przechodziła przez środek niewielkiej wioski, a potem wspinała się na szczyt pagórka.

Kostrzewa jednym spojrzeniem objął sytuację i porównał ją z mapą. Kiwnął głową. Powiedział do Köstringa, który stał obok motocykla, trzymając swój rower za kierownicę:

— Teraz możemy zrobić skok za tamten grzbiet... Jedźmy.

Lecz w tejże chwili zamarli w bezruchu. W powietrzu tak spokojnym, że słychać było szybki oddech czekających na rozkaz żołnierzy i brzęk przelatującej muchy, rozległ się daleki łoskot salwy karabinu maszynowego. Jeden... potem drugi. I znowu cisza bardziej niepokojąca, przysłuszana uderzeniami krwi w żyłach.

Kostrzewa zmarszczył brwi. Szybkim ruchem wsunął mapę do futerału i wyskoczył z kosza. Skinął na jednego z żołnierzy, aby mu odstąpił swój rower.

— Herbercie... Naprzód!

Pluton wyjechał z lasu. Szybko minęli zakręt i wpadli między opłotki opustoszałej wsi. Przed nimi leżała biała i prosta wstęga szosy, równomiernie podnosząca się do góry. Rozgrzane powietrze drżało lekko i mąciło wzrok. Jeden z żołnierzy zawołał:

— Panie poruczniku, nasz zwiadowca wraca!

Na szczycie garbu ukazała się sylwetka samochodu, która szybko zaczęła rosnać w oczach. Wkrótce już widać było czarne krzyże na

błotnikach. Podczas gdy pierwszy samochód zbliżał się z wielką szybkością do wsi, zza wzgórza wychynęły także dwa pozostałe.

Widząc stojącego na szosie Hugona samochód zwolnił, potem stanął. Odskoczyły drzwiczki i w otworze ukazał się spocony, czerwony na twarzy podoficer w czarnej kurcie i furażerce. Raportował:

— Nieprzyjacielskie samochody przed nami.

— Ile? Jak daleko?

— Niedaleko. Najwyżej dwa kilometry... Rozpoczęli z miejsca ogień.

— Ale ile było tych samochodów?

Tymczasem nadjechały pozostałe auta wywiadowcze. Jedno z nich miało kilka dziur w przedniej tarczy i zranionego w ramię kierowcę.

— No więc, ile było tych samochodów? — złościł się Kostrzewa.

— Widzieliśmy trzy. Trzy auta ciężarowe napchane ludźmi, którzy zaczęli od razu strzelać... Nie rzuciliby się na nas, gdyby za nimi nie stała większa siła. Od razu cofnęliśmy się...

— Trzeba było wpieryw rozpoznać.

— Wykluczone, panie poruczniku. Bili do nas jak do kaczek z małej odległości.

— A wyście stchórzyli! Psiakrew z takim wojskiem! Zawracać! Naprzód! Idziemy za wami!

Właśnie do wsi wkraczał z drugiej strony Fillies na czele reszty szwadronu. Już z daleka wołał do Hugona swym piskliwym głosem:

— Co się stało?!

— Samochody zobaczyły Polaków i uciekły nie rozpoznawszy nieprzyjaciela. Dałem im rozkaz, aby zawróciły. Idę naprzód z plutonem.

— Stać! Dokąd pan idzie? Gdzie panu tak pilno? Samochody do tyłu. Pluton podchorążego von Recke — do tyłu. Obsadzić brzeg lasu. Będziemy obserwowali zbliżenie się Polaków, a gdyby okazali się zbyt silni, wycofamy się.

Hugo przygryzł wargi. Zarządzenia zwierzchnika nie podobały mu się wcale. Podeszedł blisko do Filliesa i rzekł ściszym głosem:

— Panie majorze, tam jest może jakaś nic nie znacząca grupka...

— Co mi pan opowiada!

— Zatrzymujemy armię...

— Panie poruczniku, ja tu rozkazuję. Mała grupka. A pan ma może cały pułk? Poczekamy, przekonamy się i wtedy pójdziemy dalej.

Fillies żywo gestykułował; gadał jak nakręcona katarynka. Trzykrotnie już wkładał hełm i trzykrotnie go zdejmował, przekonawszy się, że żelazny garnek zbyt dotkliwie uciska delikatną głowę uczonego. Upewniwszy się, że pluton Waltera zabezpiecza mu tyły, lekko odsapnął. Teraz wiedział, że nie spotka go żadna niespodzianka, do

niespodzianek profesor archeologii, zur Zeit major czynnej służby, czuł wyraźne uprzedzenie. Powiedział do Hugona tonem nieco przystępniejszym:

— Pan wie, z Polakami nigdy nie wiadomo...

W tej samej chwili ze skraju wsi nadbiegli żołnierze.

— Panie majorze! Auta nieprzyjacielskie na szosie!

Rzeczywiście: z góry pędził ku wsi jeden samochód, za nim drugi, potem trzeci. Hugo szybko przyłożył lornetkę do oczu. Ujrzał ciężarówki napełnione ludźmi. Młody oficer błyskawicznie zorientował się w sytuacji.

— Köstring! Pluton na skraj wsi! Maszynki na szosę!

Żołnierze Herberta już odrzucili do rowu rowery i biegli z karabinami w rękach. Kostrzewa wydawał dalej rozkazy:

— Ciężkie karabiny maszynowe tam, za chałupę, pluton Feldwebela Klinga na prawe skrzydło!...

— Stój! — Fillies, którego nagłe ukazanie się nieprzyjaciela pozbawiło na pewien czas głosu, wybuchnął hermafrodytycznym zawodzeniem: — Stój! Ciężkie karabiny z powrotem do lasu. Pluton Klinga w tył. Zasłaniać odwrót!

— Dlaczego odwrót? — Kostrzewa nagle zapomniał o swym zwykłym poszanowaniu hierarchii wojskowej. — Tam są tylko trzy ciężarowe samochody, panie majorze. Żywa dusza nie powinna ujść.

W tej samej chwili uderzyła w nich fala ognia. To Polacy zeskokczywszy z samochodów natychmiast rozpoczęli walkę. Trzask karabinów maszynowych wdarł się ogłuszającą wrzawą w wąską ulicę wioski. Dwóch żołnierzy padło. Reszta rzuciła się w stronę rowów. Ale znowu dwóch rozciągnęło się na ziemi. Jeden z leżących miał hełm rozdarty na strzępy przez pocisk przeciwpancerny.

— Panie majorze! — darł się Kostrzewa stojąc na pustej szosie i nie zwracając uwagi na zawodzące koło niego pociski. — Cekaemy muszą iść na stanowisko, bo nas tamci wytluką!

Ale Fillies przycisnąwszy się całym ciałem do parkanu nie odpowiadał i tylko cofał się tyłem jak rak. Trzask niezliczonych wystrzałów ogłuszył żołnierzy. Spłoszeni brakiem decyzji u swego dowódcy nie wiedzieli, co mają robić, a czując tuż nieprzyjaciela, zerkali do tyłu. Hugo wyciągnął pistolet z pochwy. Widząc, że już nie zapanuje nad ogólnym rozgardiaszem pragnął przynajmniej ocalić pluton Herberta, który walczył rozpaczliwie na skraju wsi.

— Feldwebel Kling, z plutonem za mną!

Żołnierze ciężko dźwigali się z ziemi. Kule padały koło nich jak deszcz. Jeden, a wkrótce potem drugi żołnierz upadł bezwładnie na twarz.

— Prędezej!

Lecz jeszcze nie zrobili dziesięciu kroków, kiedy ujrzeli biegną-

cych ku sobie żołnierzy plutonu Köstringa. Ci uciekali, ile sił w nogach, rzucając sprzęt i karabiny. Goniły ich pociski przeciwników, których sylwetki wyrosły nagle w uliczce wioski. Na czele biegł człowiek w cywilnym, gabardynowym płaszczu.

Herbert porwany falą uciekających zrównał się z idącym do przodu Hugonem. Twarz chłopca drżała rozpaczą, w otwarte usta chwycił z trudem powietrze.

— Nie mogę ich zatrzymać! — wołał żałośnie.

— Zurück! — Oficer skierował pistolet w kierunku uciekających żołnierzy. — Zurück!

Jeden i drugi zatrzymał się, ale reszta uciekała dalej. Ta wylekciona banda zaraziła swym strachem żołnierzy plutonu Klinga. Oni także poczuli się cofać lub zbiegać z szosy do rowów. Hugona ogarnęła furia i gniew, kłął, wymyślał, bił pistoletem przebiegających koło niego uciekinierów. Na próżno. Fala ludzi niosła go do tyłu. Ledwo wydarł się z jej objęć. Obok niego wszystko uciekało. Zdawało mu się, że słyszy piskliwy głos Filliesa: major gnał także na swych długich nogach w stronę lasu. Herbert gdzieś zniknął. Koło Kostrzewy zostało tylko paru żołnierzy, równie jak on zdeterminowanych. Polacy podchodzili coraz bliżej. Bicz ognia smagał szosę. Jedna z chałup zaczęła się palić.

Nadchodzi śmierć — uświadomił sobie Kostrzewa.

A przecież przeciwnik był o wiele od nich słabszy. Przeklęci Polacy! Ponadto oddział, który ich napadł, nie był oddziałem wojskowym. Sylwetki posuwające się szybko wzdłuż szosy nie miały na sobie zielonych, wojskowych mundurów, ale odzież cywilną. Za to jak strzelali! Był to po prostu huragan ognia, który trzymał żołnierzy Hugona przyciśniętych do ziemi. Kto się podniósł, ten padał. „Jeżeli nie zginę — pomyślał oficer — czeka mnie niewola.”

Wstrząsnął się z obrzydzenia i porwawszy leżący obok karabin zaczął szybko strzelać. Dławiła go złość. Wszyscy uciekli: i Fillies, i Herbert, i oba plutony. Szczególnie na myśl o majorze zalewała Hugona fala gniewu. Gdyby to on był dowódcą szwadronu! Od razu poszedłby naprzód, rozproszyłby nieprzyjaciół w polu, gdzie nie mogliby stawiać oporu, unikałby natomiast walki wśród chat, bo tutaj mała grupka, dobrze uzbrojona, mogła zaszkodzić całemu szwadronowi. Dlaczego poddano go komendzie tego idioty? Przecież inni, młodzi jak on porucznicy, pełnili bardziej samodzielne funkcje.

Nagle posłyszał tupot nóg i grupka żołnierzy przybiegła od tyłu układając się na ziemi, obok garstki obrońców. Czyżby szwadron wracał do walki? Niestety, był to tylko drobny oddziałek, jakieś pół plutonu. Obrzucił wzrokiem przybyłych żołnierzy. Zobaczył koło siebie Waltera. Von Recke krzyczał doń z odległości jakichś dziesięciu kroków. Lecz głos podchorążego ginął w jazgocie karabinów maszynowych. Doleciały go tylko słowa:

— Wszyscy... Uciekli... Wróciłem!...

W tej samej chwili stukot wystrzałów przycichł. Równocześnie żołnierze posłyszeli groźne „hura” przeciwników. Polacy biegli do ostatecznego szturmu. W ciągu jakiejś niepojęcie krótkiej chwili Hugo zobaczył przed sobą kilku chłopców z karabinami w rękach. Potem ujrzał swoich, jak rzucają broń i podnoszą ręce do góry: „Nie poddam się” — przebiegło mu przez głowę. Strzelił z pistoletu: raz, drugi, trzeci, ale za każdym razem chybiał. Potem dostrzegł, że jeden z przeciwników — puciołowaty chłopak w harcerskim ubraniu — dźwignął ręczny karabin maszynowy i spod pachy, nie celując, strzelił. Hugo jednak nie został trafiony, tylko jakieś ciało zważyło mu się pod nogi. Zrobiło się prawie cicho. Jakiś mężczyzna ubrany po cywilnemu, a tylko w furazerce wojskowej powiedział po niemiecku:

— Proszę się poddać.

— Nie.

Tamten wzruszył ramionami. Walka już ustała, zwycięzcy odebrali broń żołnierzom. Podjechały samochody, na które ładowano pośpiesznie rzucone na drodze rowery, karabiny i hełmy. Niektórzy z napastników zbliżyli się do leżących. Rannych wkładano na samochody, zabitych zostawiano. Kostrzewa poczuł całą śmieszność dalszego oporu. Zdjął więc pas z pistoletem oraz torbę polową i oddał stojącemu przed nim mężczyźnie, który był widocznie dowódcą polskiego oddziału. Tamten zasalutował i wskazał mu ręką samochód. Hugo przeszedł z dumnie podniesioną głową; miał twarz pozornie obojętną i tylko usta krzywił mu wyraz pogardy, skrywający wewnętrzną wściekłość. Tymczasem w autach kończono układanie zdobycznego sprzętu i ostatnich rannych. Jednego z nich niesiono ostrożnie na płaszczu, potem zaś ułożono delikatnie między leżącymi na stosie rowerami. Kostrzewa spojrzał obojętnie na szarżalą i skrzywioną twarz. Nagle zdumiał się, rozpoznawszy w zmienionych przez ból rysach Waltera.

— Jesteś ranny? — pochylił się nad podchorążym. Auto ruszyło potem gazem. Natłoczony sprzęt zaczął podskakiwać na nierównej szosie. Von Recke jęknął.

— Spokojnie, biedaku — powiedział Hugo. — Pewno zawiozą cię do szpitala.

Rowery zsuwały się uderzając rannego po głowie. Walter jęczał raz po raz. Dwóch chłopców tej młodzieńczej armii, która zwyciężyła szwadron doktora Filliesa, starało się go ochraniać przed ciosami. Ale góry żelastwa, podrzucanej na każdym wyboju, trudno było upilnować.

Dopiero po paru minutach wjechali na nieco równiejszy odcinek. Walter przestał jęczeć. Powracała mu przytomność i pamięć. Opanowało go jednak tak straszliwe osłabienie, że każdy ruch sprawiał mu ból, zaś na brzuchu i na nogach czuł jakby okropny ciężar, który go miażdżył. Uśmiechnął się do jednego ze stojących obok chłopców i wyszeptał słabą, zacerpniętą ze słownika polszczyzną:

— Kamerad... ja prosić... ten ciężar od nogi zdjąć...

Tamten potrzęsnał głową i również się uśmiechnął. Wysiłając się na niemiecką powiedział:

— Dort nichts... Verstehen Sie? Nichts...

Walter dał oczami znak, że rozumie. Podniósł głowę i popatrzył w niebo, które kiwało się nad nim spokojnym wahadłowym ruchem. Doznał zawrotu głowy podobnie jak w dzieciństwie, kiedy bujał się na huśtawce z głową zwróconą ku górze. Wzrok jego ześliznął się na pochylonych nad nim ludzi. Ci dwaj chłopcy, Kostrzewa... Czuł zawsze podziw dla niego, ten zaś podziw był formą głębokiej męskiej miłości, zrodzonej przez przyjaźń. Ale w tej chwili, choć nie umiałby tego wyjaśnić — nie widział różnicy między tymi trzema pochylonymi nad sobą twarzami. Doznawał nawet złudzenia, że jest to jedna i ta sama twarz, która mu się w oczach dwoi, troi, twarz patrząca nań z wyrzutem, choć bez gniewu. Zaczęły nim trząść dreszcze. Ciężar na brzuchu i nogach stał się jeszcze dotkliwszy, spieczona wargi i stwardniały język domagały się wody. Lecz nie prosił o nią: wiedział, że jej nie mają. Przytomność nie opuszczała go ani na chwilę.

Jakby z oddali doleciały go słowa wypowiedziane przez jednego z młodocianych żołnierzy. Choć ten mówił po polsku, Walter go rozumiał. „Umiera...” Ale kto? Czyżby on? Nie, to niemożliwe. Przecież on wie o wszystkim, co się koło niego dzieje, a umierający nie może mieć tak jasnej świadomości. Zostali rozbici. Fillies uciekł. Jego pluton też nie chciał iść do walki, więc tylko z grupką żołnierzy pobiegł na odsiecz Hugonowi. Potem do niego strzelano... Nie, strzelano do Hugona, ale on chciał go zasłonić. Upadł... Hugo powiedział, że go wiozą do szpitala. Ci chłopcy mają takie miłe twarze. Dlaczego nie może zagrać z nimi w tenisa? Musi ich nienawidzić? Kto tak powiedział? Dlaczego? On nie chce nikogo nienawidzić...

Doznał jakby rozdwojenia świadomości: wiedział, że go wiozą, że jest ranny, a jednocześnie zdawało mu się ciągle, iż się przemienił w Volkera... Zamek został otoczony przez Mongołów... Towarzysze giną... On musi ich pocieszyć. I dlatego zaśpiewa im:

Droga ojczyzno — kraju zielony,
Gdzie wicher górski w oczy dmie
I winnych krzewów zgina korony,
A Ren błękitny burzy się.

I maj jest nad nami,
Gdy drżącymi ustami
Mówię: kocham cię...

„Kogo kocham?” — zadaje sobie pytanie Walter. Zwid Volkera znikł, przed jego oczami pojawia się teraz nawa wiejskiego kościoła. „Nie kochałem dotąd żadnej dziewczyny...” — ta myśl zaczyna

go teraz tortuować. „I skąd ten kościół, i to wspomnienia miłości, której nie było...?” Mignęła mu przed oczami sylwetka Matki Bożej z tamtego ołtarza: aha — ktoś zreperował figurę, bo Maryja ma już twarz i patrzy spokojnie w oczy Waltera. Teraz znowu Volker śpiewa: „Ptak zwycięstwa na sztandarach siadł”. „Co za zwycięstwo? Jakie zwycięstwo? Nie kochałem nigdy żadnej dziewczyny. Moje serce jest wolne... Nie całowałem nigdy...”

„Nie kochałem nigdy? To nieprawda!” Dreszcz wstrząsa ciałem Waltera, świdrujący ból zaczyna szarpać mu wnętrzności, ale von Recke uśmiecha się. To nieprawda, że on nigdy nie kochał. Jego miłość była piękniejsza niż miłość do dziewczyny o czerwonych gorących ustach. Nigdy nie umiał sobie dobrze wyobrazić tego, co kochał. Było to morze nieporównanych blasków, kolorów czy kształtów, których tylko odbicie widział w pieśni Geibela czy w chorałach Bacha... Piękno nie nazwane, piękno nie znane. Piękno, które przeczuwał, ale którego nie widział. Ku niemu musi teraz zdążyć... Musi iść... Tylko ten ciężar na nogach...

Głowa Waltera potoczyła się bezwładnie. Oddech zamarł na wargach.

IX

Najnudniejsze były niedziele. W dni powszednie cały czas mieli wypełniony pracą w koszarach. Jeżeli nie latali, to uczyli się, ćwiczyli żołnierzy, czytali, grali w karty... W niedzielę jednak każdy z nich odczuwał nieprzepatą potrzebę oderwania się od atmosfery codziennych zajęć. Sama nawet możliwość pozostania w koszarach napełniała ich obrzydzeniem. Zaraz więc po obiedzie wsiadali do czerwonego tramwaju, który stukając wesoło wiozł ich do miasta, wzdłuż szarej i wypranej z jakiegokolwiek wdzięku szosy. Zagłębiali się w wąwozy ulic oblepionych zszarzałym śniegiem i zastawionych murem ohydnych, o poobtlukiwanych fasadach domów. Miasto kładło im przed oczy swoje rany jak bezwstydną żebrak, który siedząc na bruku odsłania pokryte wrzodami ciało. Nie było wesołości w tych oknach martwo pozabijanych płatami dykty, w tych czerwonych od roztartej na pył cegły szczerbach, w tych gruzach, które się tu i tam piętrzyły. W chodnikach widziało się dziury, a zapchane śniegiem i odłamkami gruzu rozkopy były ostatnim wspomnieniem barykad, na których broniło się miasto.

Nie lepiej zresztą było na głównych ulicach, ku którym wiozł ich tramwaj. Szkielety spalonych kamienic spotykało się na każdym kroku. Nowy Świat robił makabryczne wrażenie.

Chodnikami przewalał się czarny tłum ludzi. Stojący na przecięciu ulic brzuchaci członkowie SA regulowali ruch pałeczkami. Zima była tak ostra, że każdy wkładał na siebie wszystko, co tylko posiadał najcieplejszego, bez troski o to, czy poszczególne części garde-

roby harmonizują ze sobą. Kobiety w spodniach narciarskich i w białych wołokowych butach, mężczyźni z szyjami omotanymi szalikami, w nausznikach i kaloszach stanowili charakterystyczne sylwetki. Poza tym każdy coś niósł ze sobą w plecaku, w worku, w teczce, w torbie, w paczce... „Co oni tak noszą?” — nieraz zapytywał kolegów Herbert. Odpowiadali mu żartami i wybuchali wesołym śmiechem. Ich beztraska radość brzmiała obco w tym mieście ruin, gdzie nikt się nie śmiał i gdzie każdy kuląc się z zimna niósł prędko w wielkim plecaku nieznanne przedmioty.

Spacer po ulicach miasta wśród tego tłumu ubranego jak tłum robotników nie należał do przyjemności. Lepiej już było iść do cukierni. Oficerowie wchodzili kolejno, zostawiali w rękach ugrzecznionego portiera swe szare sukienne lub skórzane płaszcze oraz czapki o zawiadacko wygiętym dekle. Jakiś pan o twarzy nie pasującej do odgrywanej roli, ubrany w smoking, kłaniał się im wymawiając fatalnym akcentem kilka niemieckich słów. Następnie prowadził ich do wolnego stolika. Idąc przez gęsto zapchaną salę wymieniali ze sobą głośne uwagi, pewni, że ich nikt nie rozumie. Ich twarde i niskie głosy, wyrobione przez wielokrotnie powtarzaną komendę, rozlegały się jak grzmot na tle miękkiej paplaniny Polaków.

Potem przychodziła kelnerka w czarnej sukience z białym fartuskiem i z dużą torbą na ramieniu. Miała twarz starannie umalowaną, na palcach pierścionki. Były to podobno „panie z towarzystwa”, tak przynajmniej mówił im maître d'hôtel, które do pracy zmusiła wojenna sytuacja. Kelnerka również uśmiechała się do oficerów. Wiedziała, jak jest po niemiecku kawa, herbata, ciastko. Gdy żądało się od niej czegoś innego, odpowiadała: „Sehr gut” i odchodziła, by przynieść ciastko z kawą lub herbatą. Młodzi oficerowie kpili z niej prosząc, by im przyniosła jakąś miłą dziewczynkę. Uśmiechała się wesoło: „Ach, so, sehr gut...” Szła między stolikami kołysząc się w biodrach i uśmiechając się na wszystkie strony. Potem powracała i przynosiła na tacy ciastka. Stawiała je na stoliku nie dyskretnym gestem zawodowej kelnerki, ale z pełnym wdziękiem pochyleniem całego ciała. „Bitte... Der Kuchen mit Schlagsahne...” Oficer, dusząc się ze śmiechu, upiera się, że on nie o to prosił. Robiła wtedy domyślną minę: „Ich verstehe. Noch etwas von dem Kuchen...” Nie dosięgały jej żadne kpiny.

W cukierni była również estrada, na estradzie fortepian lub pianino. W pewnym momencie zjawiał się na podniesieniu jakiś mężczyzna. Wśród najbliższych, otaczających estradę stolików zrywały się ciche, krótkie oklaski. Ulubieniec kiwał prędko głową i zaczynał grać. Poziom muzyki był różny. Czasami można było usłyszeć doskonale odegrane utwory, innym razem zupełnie nędzne produkcje. Na estradzie zmieniali się wykonawcy; niekiedy solistów zastępował zespół. Każdy utwór zapowiadano po niemiecku, dodając zaraz uwagi po polsku. Słowa te musiały zawierać więcej niż suchą zapo-

wieść, bo sala reagowała na nie uśmiechami, szmerem zdziwienia lub potakującym kiwaniem głów.

Oficerowie wodzili spojrzeniem po sąsiednich stolikach. Ludzi w cukierni było dużo. Kobiety miały ładne, dyskretnie umalowane twarze i skromne toalety. Rozmawiały ze sobą wesoło i wodziły ciekawym wzrokiem po sąsiednich stolikach, jakby widok innych przybyłych do cukierni kobiet był główną atrakcją tego wieczoru.

Z estrady płynął śpiew lub muzyka. Oficerowie wypalali nieskończoną ilość papierosów i czekali cierpliwie końca występów. Po ostatnim marszu odegranym przez orkiestrę wszyscy pchali się ku wyjściu. Kiedyś przystojny i zawsze wesoły Karol Lahm zaczął jedną z kobiet. Stała samotnie przed lustrem i długo poprawiała loczki wyglądające spod futrzanej czapki. Oficer powiedział z humorem: „A może pójdziemy na spacer?” Kobieta uśmiechnęła się i widać było, że zrozumiała propozycję. Jednak nie odpowiedziała. Obrzuciła niezdecydowanym spojrzeniem wychodzące na zaśnieszoną ulicę pary. Kobiety patrzyły na nią uważnie. W ich oczach malował się jakiś nieokreślony wyrzut. Wreszcie szepnęła: „Może kiedy indziej...” I zaraz wyszła. Nie próbowali jej gonić, nie próbowali nawiązywać nowych znajomości. Którejś niedzieli, gdy cukiernia była wyjątkowo przepelniona, maître d’hôtel dosadził ich do stolika zajętego przez dwie młode kobiety i jedną starszą. Zawsze elegancki podporucznik Wolfgang Schneditz uważał za stosowne przeprosić panie za nieoczekiwane towarzystwo. Kobiety odpowiedziały mu dość czystą niemieczyną, że bardzo im miło podzielić się stolikiem na ten wieczór. Starsza z nich, chyba matka, rzekła:

— Człowiek gotów jest nawet stać, aby posłuchać muzyki.

Był to jeden z nielicznych, trochę ciekawszych wieczorów. Zaczęli rozmawiać o muzyce, potem przeszli na sprawy polityki. Starsza dama spytała:

— Kiedyż będzie koniec tej strasznej wojny?

Zaśmiali się krótko, hałaśliwie, po chłopcem. Ale właściwie — cóż mogli odpowiedzieć. Wielu z nich dopiero w tydzień albo później po zakończeniu kampanii polskiej uświadomiło sobie, że Anglia i Francja są także z nimi w wojnie. Obecnie zima już się prawie kończy — a co przyniesie wiosna? Niespodziankę na wschodzie czy na zachodzie? Ale tym miłym paniom warto coś pocieszającego powiedzieć.

— W lipcu skończymy z Francją, a w sierpniu z Anglią — rzekł Köstring. — We wrześniu będziemy z powrotem w domu...

Jeszcze rozmawiali o tym i tamtym. Wreszcie program się skończył. Oficerowie gotowi byli odprowadzić nowo poznane panie do domu. Jednak kobiety nie chciały o tym słyszeć: — „Pójdziemy same... to bardzo daleko”. — Młodzi ludzie wyczuli nagle rezerwę, której poprzednio nie było. Ukłonili się na pożegnanie, nie bez uczucia pewnego zawodu. I jak zwykle wyszli sami z cukierni.

Ruch uliczny o tej porze miał charakterystycznie gwałtowne tempo. Ostatnie dwadzieścia pięć minut przed godziną policyjną, po której już nie wolno było Polakom opuszczać domów. Zajechał tramwaj i ludzie zapełnili go szczelnie. Motorniczy obejrzał się, czy ktoś jeszcze nie został, i póty nie ruszył, aż nadbiegła jakaś gruba pani z szyją okręconą lisem.

Na trotuarze, w świetle lamp wiszących wysoko na słupach, zostali tylko oficerowie, paru chłopców — żebraków skamlających jęczącymi głosami o datek, sprzedawca baloników i prostytutka, która wołała na nich: „Komm! komm!”

Szli płosząc swymi grubymi głosami ciszę wyludniających się coraz bardziej ulic. Na chodnikach błysnęły w świetle lamp małe igiełki szronu. Było bardzo zimno.

Czasami zachodzili jeszcze do nocnych, przeznaczonych tylko dla nich lokali. Ale tam nudzili się jeszcze bardziej. Żaden z nich nie mógł długo wytrzymać w atmosferze przesyconej dymem tytoniowym i oparami alkoholu, patrząc na idiotyczno-pornograficzne występy tak zwanych artystów, słuchając wyświechtanych powiedzeń spędzonych tutaj kobiet i obrzydliwego płaszczenia się służby. Niektórzy z samych już nudów zaczęli chodzić z dziewczynami do separatek na piętra. Ale wracali wykrzywieni: każda z tych „fordanserek” była także nałogową żebraczką. Wypraszały od nich po parę marek na fryzjera albo dla chorej matki...

Wreszcie wychodzili na ulicę i wlekli się do tramwaju, który w pewnych godzinach odwoził do koszar rozproszonych po mieście żołnierzy. Każdy był zły na zmarnowane popołudnie i na myśl o tym, że jutro zaczyna się znowu szary, zwykły dzień. Mróz malował okna tramwaju tak grubo, że nawet chuchając nie można było dodrapać się szyb. Od żołnierzy, którzy z nimi wracali, często wiało wódką. Śmieli się głośno i chrypliwie wspominając jakieś tam swoje sukcesy ze sprzedajnymi dziewczynami. Herbert paląc papierosa myślał o ostatnim liście Gerdy i obliczał, kiedy może oczekiwać następnego. I tak w mdłym blasku lamp tramwajowych schodziła im droga na Okęcie. Potem w zupełnym już mroku szli szosą ku lotnisku wraz z całym tłumem żołnierzy. Przed budynkiem, w którym mieściły się pokoje oficerów, mówili sobie dobranoc. Herbert, zanim się położył, stawał zawsze przed drzwiami sąsiedniego pokoju i jeżeli spod drzwi padała na korytarz smuga światła, pukał i wchodził do środka. Smugę tę widać było do późnej godziny. W pokoju zastawał Kostrzewę ubranego w piżamę, który coś czytał, kreślił lub obliczał. Hugo podniósł na wchodzącego zmęczony wzrok.

— To już tak późno? Zupełnie zapomniałem o czasie... A może się kawy napijesz? Siądź, powiedz, coście robili.

Herbert wzruszył ramionami.

— Jak zwykle nic. Nuda, nędza i mróz. Najpierw nie chce mi się siedzieć w koszarach, a potem klnę sam siebie, że polazłem do tego

przekłętogo miasta. Niekulturalne byłoby. Z nimi słowa nie można zamienić. Jakbyśmy żyli wśród Negrów w głębi Afryki.

— To nie chodź, a nie będziesz kłął. Ja się nie nudzę. Obliczyłem dzisiaj dokładnie wszystkie szanse lotu eskadry na Londyn. Cudna wyprawa. Niech mi tylko dadzą kilka „Me” do osłony, a wyrznię bombami w Picadilly... Choć trzeba przyznać, że w obecnej sytuacji lot nad Londyn jest diablo ciężki. Nie mamy odpowiednio bliskich baz. Warto by wybić okno na Atlantyk. Ale wtedy biada wyspiarzom!

Rozmawiali tak jeszcze przez chwilę, a potem Herbert szedł do siebie spać.

X

Od poniedziałku rozpoczynała się wytężona praca. Kurs oficerów przydzielonych ze wszystkich broni do lotnictwa szkolił się pod okiem starszych kolegów — starszych nie wiekiem, ale lotniczym doświadczeniem — „weteranów” kampanii hiszpańskiej i „Feldzugu” w Polsce. Na Okęciu pojawili się zdobywcy Żelaznych Krzyży: ponury kapitan von Heinemann, elegancki porucznik Leyhauser, dziko odważny porucznik von Bothmer, dziecinny podporucznik Stimpel. Ci byli mistrzami ewolucji powietrznych. Wykłady prowadził pułkownik Fiebig o twarzy okrutnego sępa; piękny jak rzeźba antyczna kapitan Castell; wreszcie kuzyn von Recków kapitan baron von Schönborn. Szkolenie postępowało szybko, bo przecież kurs składał się z doborowego materiału ludzkiego, z członków partii, z których każdy należał do NSKK albo do NSFK. Przeważnie byli to świeżo mianowani porucznicy, jak Köstring, Lahm, Schneditz, kilku podporuczników i dwóch kapitanów: Kostrzewa i Hozzel. Wszyscy oczekiwali, że Kostrzewa zostanie starszym kursu, bo choć Hozzel był odeń wiekiem starszy i posiadał zalety doskonałego oficera lotnictwa, to jednak trudno mu było konkurować z Hugonem. Ten już dziś zdumiewał instruktorów zuchwałością powietrznych ewolucji; motory znał doskonale, a jednocześnie umiał połączyć odwagę wykonawcy z zimną kalkulacją dowódcy. W lotnictwie odnalazł to, czego mu dotychczas żadna inna broń nie dała: samodzielność decyzji. Z tą samą determinacją, z jaką wkładał wszystkie swe myśli i siły w ukochaną pracę, zajął się obecnie przyswajaniem sobie umiejętności walki powietrznej.

Wbrew oczekiwaniom Hozzela zrobiono starszym kursu. Hugo pozornie nie zwrócił na to uwagi, i tylko jeden Herbert, który umiał już czytać w marmurowej twarzy swego przyjaciela, odnalazł w nieznanym skrzywieniu jego ust ślad doznanego zawodu. Gdy decyzja została ogłoszona, młodzi oficerowie przyszli do Hugona z niezręcznymi słowami współczucia.

Ale Kostrzewa wybuchnął śmiechem. Współczucie? Niech je zainoszą Hozzelowi. Będzie musiał teraz zająć się zbórkami, raportami

mi i straci część tych cennych godzin przeznaczonych na teoretyczne studia. On, Kostrzewa, bardziej ceni naukę niż wątpliwy zaszczyt starszeństwa.

Rano ubierali się w ciepłe kamizelki i wychodzili na lotnisko. Mróz zwarzył trawę i skuł ziemię tak mocno, że czuli ją pod stopami niby twarde kamień. Równomiernie szare niebo rozpięło nad nimi swój baldachim. Zacierali ręce, śmiali się głośno i dowcipkowali, potem wciągali na siebie kombinezony. Samoloty już czekały na nich. Obok szkolnych gruchotów stały tu ogromne bojowe Heinkle zwane „Łopatami”, których trapezowate skrzydła, z lekka wygięte do tyłu, wyglądały jak skrzydła ptaka szykującego się do lotu. Obok nich słynne „Stuki” — Junkersy o skrzydłach wyłamanych w kształt litery W, z budką na wierzchu i z trójramiennym śmigłem, zawrotnie szybkie Messerschmitty, dwumotorowe pościgowce z podwójnymi ogonami. Kurs miał zapoznać się z każdym typem samolotu, więc także Dornier, tak zwany „latający ołówek”, znajdował się na skraju lotniska, zaś zwiadowczy Fieseler, górnopłat na wysokich bocianich nogach, stał nieco dalej. Ostatni był Henschel, mały samolot artyleryjski.

Oficerowie zatrzymywali się przed samolotami, na których tego dnia mieli latać. Owijali szyję szalikiem, na nogi wciągali długie, filcowe buty. Kończyli palenie papierosów i wciąż dowcipkowali. Wokół samolotów uwijał się personel pomocniczy — żołnierze w szarych, krótkich kurtkach, spod których wyzierały ich szerokie biodra i nogi w niekształtnych buciskach.

Potem wsiadali tworząc po dwóch, trzech czy czterech załogę samolotu, zależnie od typu aparatu. Instruktorzy już z nimi nie latali; ostatnio zaczęła się specjalizacja. Oficerom przeznaczonym do eskadr bombardujących powierzono samoloty ciężkie, innym przydzielono myśliwce i pościgowce. Hugo i Herbert nie opuszczali „Stuki”. Nikt tak pewnie jak Kostrzewa nie potrafił sprowadzić samolotu do lotu nurkowego i tak zuchwale wyrównywać, zda się w ostatniej chwili, przed roztrzaskaniem maszyny o ziemię. Köstring został odkomenderowany na „Stukę” dzięki protekcji Hugona. „Będziemy razem — powiedział Kostrzewa — może uda nam się dostać do jednej eskadry.”

Herbert przystał na to z radością. Był zaskoczony, że Hugo tak szybko zapomniał o jego niesławnej ucieczce z szosy pod Lublinem. Z jakim okropnym uczuciem wkraczał wówczas szwadron do wsi, w której pozostawił swoich towarzyszy. Wieś płonąła, na szosie leżało kilka trupów. Köstringowi biło serce, kiedy pochylał się nad każdym zabitym. Fillies krzychał stojąc na szosie, jakby pragnął krzykiem obronić się przed głuchą ciszą klęski. Żołnierze przeklinali półgłosem. Nie czuli się winni — całą winę spychali na swego niesympatycznego dowódcę, którego niedołęstwo spowodowało śmierć ich kolegów. Żałowano Waltera i żałowano Hugona, o których losie nic nie wiedzieli. I Herbert ze zdziwieniem spostrzegł, że łagodny,

dobroduszny Walter i surowy, wymagający Hugo mieli równie wielu przyjaciół w szwadronie.

Gdy w dwa dni później weszli do Lublina, Herbert odnalazł w szpitalu rannych ze swego szwadronu. Żołnierze powiedzieli mu, że Kostrzewa dostał się do niewoli i został zabrany przez cofające się z miasta wojska. Walter natomiast umarł, nim go dowieziono do szpitala. „Strasznie był raniony — mówili — wpakowano mu w brzuch z sześć kul.” Köstring poszedł do kaplicy w gmachu lubelskiego uniwersytetu. Stały tam trumny, w których znajdowały się ciała zabitych kolegów. Przy jednej napisał ktoś na białej karcie czerwoną kredką: „Feldwebel Freiherr Walter von Recke, 21 Jahre”. Herbert nie mógł pogodzić się z myślą, że w tej skrzynce spoczywa jego przyjaciel. Nie ma Waltera? W uszach szumiał mu jeszcze jego głos, słyszał przekomarzanie się i nieszkodliwe, choć zacięte dysputy. Teraz tamten zamilkł. Nagle przekroczył próg, za którym znajduje się to wieczne nieznane, tak odległe i tak nierealne dla młodości.

Było to coś, z czym Köstring nie mógł się pogodzić. Próżno rozglądał się po kaplicy, próżno starał się skupić myśli. Za drzwiami w ogrodzie uniwersyteckim warczały samochody i krzyczeli żołnierze. Wysoko pod sufitem między porozbijanymi oknami krążyły ptaki. Wielki obraz przedstawiający Ukrzyżowanie natrętnie nasuwał się przed oczy Herberta, ukazując mu szarosiłą twarz umierającego Chrystusa i bolesną chudość Jego ciała. Pusta kaplica, porozsuwane krzesła, szczątki szkła pod nogami, nagie ołtarze, z których zdjęto obrusy... Cztery trumny stojące obok siebie na podłodze, cztery zwykłe, czarne trumny bez ozdób... W tej drugiej od lewa — Walter... Trudno uwierzyć! Aż się ręce wyciągają, aby zrzucić pokrywę, spojrzeć w twarz przyjaciela. Lecz pokrywę już zabito, zresztą nie starczyłoby Herbertowi odwagi. Gdy przyklęknął obok trumny, owionęła go słodkawa woń rozkładu: „Trupy z rozdartym brzuchem gniją szybko” — ktoś kiedyś powiedział przy nim. Przebiegł go dreszcz. Właściwie po co tu siedzi? Dopiero przed chwilą przyszedł, a już miał ochotę wyjść. Kilka astrów, które kupił w kwiaciarni, położył na trumnie, i nawet to, że dotknął przy tym dłonią wieka, napełniało go grozą. Czuł nieopanowaną chęć ucieczki z tej ponurej kaplicy, od trumny przyjaciela, od projektów, które jeszcze przed pół godziną robił. Z odległości śmierć wydawała mu się zjawiskiem majestatycznym, pełnym patosu, a może także i smętnej poezji. Wyobrażał sobie trumnę w powodzi kwiatów, wśród żółtych promieni świec, w której leżałby Walter, uśmiechnięty, niemal radosny. Nic z tego. Trumna prosta, ciężka. Żadnych kwiatów poza wyschłym zielskiem na ołtarzach. Pył, kurz, śmiecie. Odłamki szkła. Stracone tynki i czerwone szczątki rozbitych dachówek... Posępny kościół z tym tragicznym obrazem naprzeciw kazalnicy, zanurzony w półmrok jesiennego dżdżystego dnia. I cisza. Okropna cisza, którą chciałoby się zagłuszyć za wszelką cenę.

Jakis chłód zwarzył w sercu Herberta ogień zwykłego zapалу. Je-

żeli wszystko będzie miało taki koniec... Czuł się wtedy tak bardzo samotny, że nawet pamięć miłości do Gerdy gdzieś zaginęła. Właściwie — stwierdził gorzko — nie powinno się żałować Waltera. On wczoraj, Herbert może jutro. Beznadziejny los, który każe umierać ludziom, w chwili gdy rwą się do życia i radości. Gdzież tu piękno rycerskiej śmierci? Walter poszedł ze słonecznym czołem naprzeciw niebezpieczeństwu. Wszyscy uciekli, tylko on jeden powrócił do boju. Zginął jak bohater. A teraz leży w pustym, zaśmieconym kościele. Jutro ktoś go pogrzebie nie troszcząc się wcale o to, kogo oddaje ziemi.

Herbert dławił się w tej ponurej atmosferze. Wstał z krzesła, na którym poprzednio usiadł, i postanowił iść. Trzeba było tylko pożegnać jakoś tego, tak niepojęcie zmienionego Waltera. Tylko jak? Nie poda mu przecież dłoni, nie pożegna go głośnym słowem. Walter należał już do innego świata — do świata, który nienawidzi głośnych słów i nie uznaje uścisków. Między przyjaciółmi zamarło dawne porozumienie. Stojąc między krzesłami Herbert kołysał się na nogach pełen niezdecydowania. Nie wiedział wciąż, jak ma postąpić. Wreszcie poszedł ku drzwiom. Wziął za klamkę. Jeszcze się odwrócił i jakieś dawne przyzwyczajenie omal nie zmusiło go do ukłęknięcia. Cztery trumny ciemniały na podłodze niby pnie zwalonych drzew. Na wieku drugiej od lewa błękitniały przyniesione kwiatki.

Tego samego dnia wyjechali z Lublina. Gdy w tydzień potem szwadron przejeżdżał w powrotnej drodze przez miasto, pokazano Herbertowi na miejscowym cmentarzu żółty nasyp grobu. Cieśla zrobił niski, biały krzyż, na którym wypisał nazwisko Waltera. Köstring chciał położyć na grobie wiązanek kwiatów, ale już żadnych kwiatów nie mógł w mieście dostać.

Czasami zdarzało się, że wylatywali razem z Hugonem tym samym samolotem. Köstring, w miarę jak się oswajał z lataniem, nabierał ochoty do tych karkołomnych wypraw. Gdy sam prowadził maszynę, skupiał uwagę, starannie i ostrożnie pchał samolot pod wysoki pułap białych, rozmazanych obłoków. Siedząc przy drążku nie palił, nie rozmawiał, ograniczał się do niezbędnych tylko uwag. Zanim rzucił się w dół, sprawdzał wszystko z pedanterią, oglądał każdy szczegół, który mógłby wywołać katastrofę, zawczasu otwierał hamulce powietrzne i wtedy dopiero dawał nurka w mglistą przestrzeń. Pędząc w dół zmuszał się do spokoju; mimo to, gdy wreszcie wyprowadził samolot do lotu poziomego, czuł, jak mu serce bije niespokojnie. Wiele go kosztowały te loty. Był po nich jak wyssany z sił. I choć z jednej strony nie mógłby już wyrzec się lotnictwa, z drugiej zjadało mu ono nerwy. Zresztą nie tylko jemu. Wielu z tych chłopców, tak hałaśliwie wesółych w godzinach odpoczynku, lecąc żyło tylko jedną myślą: czy zrobili wszystko, co zapewnia maszynie bezpieczny lot.

Zupełnie inaczej czuł się lecąc w towarzystwie Hugona. Kostrzewa posiadał dar pamiętania o każdym szczegółiku, bez potrzeby zaprzątania sobie tym głowy w czasie lotu. Tkwiło w nim jednocześnie jakieś dzikie pożądanie szybkości i radosne lubowanie się poczuciem bliskiego niebezpieczeństwa. Patrząc na śmiałą postać przyjaciela, rozpartą w fotelu pilota, Köstringowi zdawało się, że część zuchwałej pewności tamtego udziela się i jemu. Lot przestawał być denerwującym wysilaniem pamięci i uwagi, a zamieniał się w fantastyczną podróż w krainę niepodobieństwa. Od razu wystrzelali świecą w szare niebo. Silnik grał żywym warkotem, ziemia leciała w dół i ugiwała się niby miska, którą garncarz wprawił w ruch obrotowy. Otwarty ku górze horyzont ziemski nagle się zaciemniał, bo oko sięgające zwykle ponad powierzchnię ziemi teraz uciekało od jasnego morza błękitu, a powracało w dół. Odmieniał się całkowicie punkt patrzenia człowieka: już nie spoglądał w górę, ale z góry śledził to, co się działo w dole. Samolot zaś niby dziki zwierz, który wyrwał się z klatki, ryczał triumfalnie, unosząc ich dalej i dalej. Ogromna plama miasta rozpościerała się coraz szerzej. Im wyżej się wznosili, tym więcej widzieli płaskich dachów, ulic niby korytarzy w ogromnym mrowisku, a potem białych, porżniętych ciemnymi liniami dróg, mglistych zagajników, wreszcie na zachodzie ciemną, zwartą plamę lasu.

Motor zanosił się od warkotu i pchał samolot w objęcia wiatru. Skrzydła lekko drżały i wyginały się elastycznie. Hugo zataczał łuk, kładąc Junkersa nieco na bok. Pod sobą mieli teraz szosę przecinającą białą linię pól, na szosie jadące zaprzęgi. Do drogi tuliły się domki, mignął kościół bodący przestrzeń swą wieżą, niepojęcie mały, zagubiony w bezmiarze szczegółów. Wiatr wył na krawędziach skrzydeł.

Teraz lecieli nad lasem. Wyciągnął się on ostrym, długim jęzorem w stronę miasta, czerniał ponurą, zbitą masą sosen. Tu i tam migwały polanki lub linie duktów nakryte nie dość starannie pióropuszcami gałęzi. Gdzieś na skraju lasu ujrzeli żółto-niebieski wagonik elektrycznej kolejki, który mozolnie odbywał swą drogę między szczęściami stacji. Owalne stawy pokryte lodem wyglądały z góry niby kraterzy wygasłych wulkanów lub jak ogromne leje od bomb lotniczych. Na którymś ze stawów ślizgały się dzieci: widać było maleńkie figurki na białej błyszczącej tafli lodowej.

Hugo wyprowadził samolot do góry ostrą spiralą, aż zatoneł w mglistych oparach. Chwilę lecieli równo. Potem od razu pilot rzucił maszynę nosem w dół...

Straszliwy gwizd motoru szarpał nerwy na strzepy. Wyrwali się z tumanów białej mgły i gnali na łeb na szyję ku ziemi. Płachty śniegu, prostokąty pól, skrzyżowania dróg, drzewa, stawy, las, wszystko to leciało im na spotkanie, w uszach dzwoniły dzwonki, oddech zamierał w piersi, serce biło rozpaczliwie, całe ciało poddawało się

do tyłu i wciskało w oparcie fotela, jakby chcąc się przeciwstawić oszłamiającemu pędowi.

Kostrzewa prowadził samolot pewną ręką i dopiero na samym dole, kiedy już zdawało się, że wyrzną w białą powierzchnię stawu, dźwignął drążek. Szkielet „Stuki” drgnął boleśnie; każda belka, każde wiązanie jęcząc wydzierało się z miażdżących objęć ziemi. Skrzydła przeciwstawiły się sile ciężenia, choć straszliwa powietrzna kristiania o mało nie rozszarpała w strzępy zielonego samolotu.

XI

— Wolę latać na „Stuce” — mówił w kasynie Hugo paląc papierosa i wygodnie rozpierając się w fotelu — niż na jakimkolwiek innym typie. Niewątpliwie bohaterami powietrza staną się piloci samolotów myśliwskich, ale mnie nie zależy na ich laurach. Lotnictwo służy do tego przede wszystkim, by przynosić bomby na tyły nieprzyjaciela. Jest to jego głównym zadaniem, które pragnę wypełnić. O nic innego mi nie chodzi. /

Herbert kiwał potakująco głową, pijąc wolno piwo ze szklanki. Za oknami padał mokry śnieg i wiatr szarpał gałęziami drzew.

— Dzisiejsza wojna — ciągnął Kostrzewa — nie zna na szczęście walk pozycyjnych. O zwycięstwie decyduje czołg i samolot: pierwszy przedzierając się przez najsilniejsze umocnienia, drugi atakując najsłabsze miejsca przeciwnika. Jakaż armia nie ucieknie z pozycji, gdy się dowie, że jej stolica została zamieniona w gruzy?

Herbert zajęty własnymi myślami, dalekimi od poruszanych przez Hugona tematów, milcząco potakiwał. Kostrzewa zauważył to.

— Otrzymałeś list od najdroższej?

— Dostałem...

— Obiekt uczuć nie zmienił się? Ciągle ta siostra Waltera?

— Tak.

Kapitan niedbałym ruchem pochylił butelkę i lał do szklanki pieniący się płyn. Ale spod przymrużonych powiek obserwował Herberta.

— Czy pamiętasz — rzekł wreszcie — co ci kiedyś mówiłem na temat małżeństwa?

— Owszem, Hugonie.

— To dobrze. Ostatnia mowa Hessa powinna cię była przekonać, że nie ja jeden wyznaję takie poglądy. Hess zadał mocny cios instytucji zwanej małżeństwem.

— Czy nie przeceniasz jego słów? Chodzi przecież o sytuację wyjątkową, o stan wojny, w której ginie bądź co bądź wielu...

Hugo machnął pogardliwie ręką.

— W dzisiejszej wojnie śmiertelność nie jest taka duża. Dawniej walczone zadając sobie wzajem krwawe i bolesne rany, które póty nie unieszkodliwiły przeciwnika, póki nie skonał z upływu krwi. Dziś od razu łamie się kręgosłup. Wojna nabiera charakteru humanitarnego. Nie każdy, kto się nawinie pod lufę, ginie. Natomiast zręczną polityką służby bezpieczeństwa oczyszcza się bezsilne ciało wroga z elementów szkodliwych. Na tym polega współczesna strategia. Toteż „sytuację wyjątkową”, o której mówisz, można zupełnie wyeliminować z rozważań.

Herbert spuścił głowę. Nigdy nie próbował ani nie czuł potrzeby przeciwstawiania się Hugonowi, ale z drugiej strony trudno mu było pogodzić się z surowym stanowiskiem Kostrzewy. Ten zaś ciągnął dalej:

— „Pełna cześć dla matki nieślubnego dziecka” powiedział Hess. Słusznie. O takie właśnie chodzi. Kobieta powinna tylko po to należeć do mężczyzny, aby otrzymać od niego dziecko. Pamiętasz Zaratustrę? „Wszystko w kobiecie jest zagadką i wszystko w kobiecie ma jedno rozwiązanie: zwie się ono brzemiennością”. Reszta jest dodatkiem, stworzonym przez wygodnictwo i ucieczkę mężczyzn od ich głównego życiowego zadania: od walki. Taki Fillies... — Hugo skrzywił się na samo wspomnienie swego dawnego dowódcy — jest na pewno idealnym małżonkiem. Ale spytaj się, ile dzieci dał Rzeczy? Na pewno żadnego albo tylko jedno. Dlaczego? Bo kocha swoją Lottę i nie chce jej zbytnio... utrudzać. Zresztą jak by to wyglądało, gdyby pani profesorowa chodziła z kupą bachorów? W rezultacie on nic nie daje ojczyźnie, bo się troszczy o zdrowie żony, ona nic także nie daje — bo dba o wygląd małżonka. Pfuj, wstrętne stadło. Kobieta powinna mieć dziecko od mężczyzny, którego pożąda. Musi to być Niemiec i żołnierz, bezwzględnie zdrow. Niech sobie Żydzi i katolicy tworzą „dozgonne” związki. Polsce one nic nie pomogły i nie pomogą.

Od czasu jak był jeńcem, pogardliwy stosunek Kostrzewy do Polaków przerodził się w nienawiść. Nie mógł zapomnieć tej garstki źle ubranych wyrostków, którzy go schwytali i powieźli do Lublina. Przeszedł badanie w komendzie miasta. Pytał go jakiś siwawy pułkownik. Hugo odpowiadał mu krótko, z gniewem. Po rozmowie poczęstowano go papierosami, czarną kawą, szynką i razowym chlebem. Położył się spać na kanapie w pustej kancelarii. Za oknami chodził wartownik. Na brudnych ścianach wisiały portrety Piłsudskiego, Rydza-Śmigłego, Mościckiego. Kiedy w dziewięć dni później wrócił do pułku, nikt go nie zdołał skłonić, by opowiedział coś niecoś o swych przygodach. Wszystko się w nim burzyło na wspomnienie tamtej niewoli. A przecież nikt go nie obraził, nikt nie przymusił do czynu niegodnego oficera niemieckiego. Przeciwnie. Nieprzyjaciele byli nieoczekiwanie grzeczni. Jacyś oficerowie, którzy jechali tym samym samochodem wiozącym do Chełma ujętych jeńców, starali się nawiązać z nim rozmowę. Udawał, że nie rozumie ani ich szkol-

nej niemczyzny, ani silenia się na język angielski. Siedział nadęty, zły, patrząc z pogardą na ciągnące od tyłu nieskończone tabory i kupki żołnierzy z rozbitych dywizji.

W Chełmie znowu był przesłuchiwany. Korzystając z okazji powiedział tym głupim oficerom, że za tydzień nie będzie już Polski. Byli oburzeni: „Przecież Warszawa się broni...” „Zobaczymy, czy będzie się bronić za tydzień...” — odburknął urągliwie. „Francja i Anglia też walczą”. Roześmiał się. „To nieprawda — cisnął im w oczy — Francja i Anglia sprzedały was.”

Został zamknięty w jakimś pokoju. Podano mu tam jedzenie przyniesione z kasyna oficerskiego. Przebył w swojej celi dwa długie dni. Ale trzeciego nikt mu nic nie przyniósł do jedzenia ani nie wprowadził do ustępu. Ze złością kopał drzwi, krzyczał, wreszcie rozbił okno krzesłem. I tym razem nikt nie przyszedł, nikt się nim nie zainteresował. Dopiero pod wieczór posłyszał na korytarzu ciężkie kroki kilku ludzi. Szczęknął klucz i do pokoju wpakowało się czterech czy pięciu ludzi w długich, piaskowego koloru płaszczach i w okrągłych czapkach z czerwoną gwiazdą nad daszkami. Nie rozumiał tego, co mówili. W końcu domyślił się, że ma opuścić pokój. Wyszedł. Żołnierze szli za nim pokrzykując coś w swoim śpiewnym języku. Na dziedzińcu był cały tłum żołnierzy radzieckich, toteż zaraz otoczył Kostrzewę krąg ciekawych twarzy.

W pewnej chwili do koła wpuszczono polskiego oficera. Był to niski kapitan z czarnymi wąsikami, w miękkiej, zielonej rogatywce. Kapitan powiedział dość poprawną niemczyzną:

„Skończyły się pańskie kłopoty, panie poruczniku. Polecono mi panu zakomunikować, że jeszcze dziś wszyscy Niemcy zostaną odesłani do Brześcia, a stamtąd powrócą do swoich”.

„Ach so...” — Kostrzewa niegrzecznie odwrócił się tyłem do Polaka. Nie powiedział nawet „dziękuję”.

Tego wieczoru nie odezwał się już. Köstring także milczał.

Był zgnębiony postawą Hugona. Zresztą list Gerdy, który miał w kieszeni, zajmował wszystkie jego myśli i sprawiał, że serce biło mocniej niż zwykle.

XII

Mała hala dworcowa pełna była ludzi przepychających się w różnych kierunkach. Z góry lało się mdłe światło; nadawało twarzom barwę ziemistą i tonęło głucho w czarnym bagnie, które pokrywało deski podłogi. Kioski z gazetami i czworokątne okna płonęły jaskrawym, żółtym blaskiem. Ponad szalowaniem z prostych nie heblowanych desek, zakrywającym okopcone mury, wznosiła się wyżej biała boczna ściana pokryta szeregiem płaskorzeźb — ciężkich i brzydkich — symbolizujących różne zawody. Ten dworzec, wciąż jeszcze

nie ukończony, a już dwukrotnie spalony, robił wyjątkowo żalodne wrażenie. Jednak pasował do tego czarnego, obdartego tłumu, wylewającego się z przejść między barierkami, i do tych żołnierzy obładowanych wypchanymi plecakami, którzy zawalali pół hallu, szurgali okutymi butami po drewnianej podłodze, kurzyli papierosy i rozmawiali ze sobą gardłowym głosem. Nad wszystkim ryczał głośnik, a jego nosowe: Achtung! Achtung! Personenzug nach Kutno... — rozbrzmiewało groźnie, niby jakieś ostrzeżenie rzucane od czasu do czasu pod adresem czekających.

Herbert przeszedł przez środek poczekalni. Tłum rozstępował się przed nim. Szereg rąk w zielonych wełnianych rękawiczkach podnosiło się do furażerek lub wyprężało w geście partyjnego pozdrowienia. Oficer oddawał ukłony niedbałym ruchem ręki, przypominającym nieświadomie sposób bycia Hugona — tę pozorną ospałość, poza którą kryła się czujna, napięta uwaga. Kolejarz mocnym ruchem ręki odgarnął tłum cisnący się do wyjścia i zrobił Köstringowi przejście. Ukłonił się. Młodego oficera ubawiła ta służalczość. Polacy patrzyli nań zwykle tak, jakby go wcale nie widzieli, lub obrzucali ponuro zawziętym spojrzeniem. Grzeczni byli rzadko, usłużni nigdy. Herbert nie uważał za słuszne odpowiedzieć na ukłon. Przeszedł obok tamtego wyniosły, dumny, wyprostowany. Drewniane schody drżały pod nogami i głucho dudniły. Zeszedł na dół. Latarnie płonęły, oświetlając gładkie perony i ciemne rowy torów. Oświetlone od wewnątrz zegary — po jednym na każdym peronie — wyprężyły się w szereg niby wartownicy pełniący służbę. Kilku tragarzy w wyswiechtanych ubraniach i dwóch żołnierzy z blachami „Feldgendarmerie” na piersiach spacerowało tam i z powrotem, czekając na przybycie berlińskiego kuriera. Pociąg się spóźniał. Köstring zapalił papierosa i zaczął chodzić po zimnym peronie. Tam na górze zaczęła się już na dobre odwilż, ale tutaj od nagich ścian i żelaznych podpór zawiewało lodem. Herbert opanował przejmujące uczucie chłodu. Byłby zawstydzony, gdyby ktoś zauważył, że może mu być zimno.

Wreszcie megafon zapowiedział nadejście pociągu. Czarna bryła lokomotywy zasłoniła blask dnia, który się wdzierał do podziemnej hali peronów od strony wykopu. Wagony mknęły wzdłuż wysokich chodników. Kolejarz z czerwonym pasem kierownika pociągu krzyknął: „Warschau! Hauptbahnhof!” Z trzaskiem zaczęły się otwierać drzwi wagonów.

Od razu zobaczył Gerdę. Dziewczyna miała na sobie mały kapełusz, brązowe futerko i grube sportowe półbuciki, włożone na jasne, wełniane skarpetki. Powitała go okrzykiem radości:

— Bert!

Przebiegło mu przez głowę, że nie powinien ujawniać swych uczuć na tym peronie, który napełnił się nagle tłumem śpieszących ludzi. Ale już ogarnęły go ramiona Gerdy, załśniły jej czarne oczy. Nie mógł więc nie pocałować ust dziewczyny, gdy musnęła wargami jego wargi.

— Bert... kochany... Tyle czasu cię nie widziałam!

— Nic się nie zmieniłaś — popatrzył na jej rozpromienioną twarz, czarne oczy, na białe zęby, widoczne spoza rozchylonych lekko warg, na ciemnokasztanowate włosy, które wysuwały się spod kapelusza, i choć to zupełnie nie pasowało do zachowawczo chłodnej postawy oficera, przytulił ją znowu do siebie.

Potrącono ich. Odwrócił się gniewnie i zobaczył przerażoną twarz tragarza. Wydawało mu się jednak, że nie ma sensu wymyślać tamtemu, gdy trzyma się w ramionach ukochaną. Wziął więc dziewczynę pod rękę i skierował się ku schodom.

— Bałam się, że nie będziesz mógł być na dworcu — mówiła Gerda.

— Przecież napisałaś...

— Ale ty masz zajęcia, służbę, lataasz. Latałeś dzisiaj?

— Latałem rano. Ale mów mi o sobie.

Powiem, wszystko powiem. Och, jak się cieszę, że cię widzę. Mój ty bohaterze! Czy wiesz, że nie widzieliśmy się od lipca? Prawie dziewięć miesięcy. I taka jestem z ciebie dumna...

Ścisnęła go mocno za rękę i zatrzymawszy się na chwilę, popatrzyła nań pełnym miłości spojrzeniem. Schody się skończyły, weszli do poczekalni.

— Gdzie chcesz teraz iść? — spytał Köstring.

— Wszystko mi jedno, abym się tylko mogła z tobą nagadać.

— Chodźmy do cukierni.

— Dobrze... Gdzie chcesz... Nawet sobie nie wyobrażasz, Bert, jak pyszniłam się tobą. Szczególnie od czasu, kiedy zostałeś lotnikiem. Chyba teraz kocham ciebie jeszcze więcej.

Mówiła prędko, nie odrywając ani na chwilę wzroku od jego twarzy. W nim zaś pod wpływem tego spojrzenia, które czuł nawet wówczas, gdy w stronę Gerdy nie patrzył, mieszała się jasność myśli i oparowywała go gwałtowna chęć schwywania dziewczyny w ramiona i trzymania jej tak bez końca. Zapomniał, że otaczają ich ludzie. Dopiero chłodne, wilgotne powietrze ulicy przywróciło mu utraconą równowagę.

— Gertie...

Odpowiedziała uśmiechem.

— Myślę wciąż o twoich lotach. Tak bym chciała lecieć kiedyś razem z tobą. Musisz być najdzielniejszym z pilotów i sławny jak Richthofen...

— Nie przesadzaj, kochanie...

— Ależ nie. Tak być musi. Przecież jesteś moim lotnikiem. Ach, jakże się cieszę. Więc to jest ta szalona Warszawa? Wcale nie widzę, aby była zrównana z ziemią.

— Stoi jeszcze...

— Wyobrażałam sobie gorzej. Prawda, są jakieś ruiny tu i tu. Nie żałowaliście ich chyba? Ach, zapomniałam, że ciebie tutaj nie było. Jaka ja jestem głupia, wyobrażam sobie, że byłeś wszędzie tam, gdzie odkryła się sławą nasza armia. O patrz, cały dom zwalony.

Wprowadził ją do cukierni. Poszli po schodach do sali na piętrze, gdzie było luźniej. Na dole grała orkiestra, a tłum ludzi kłębił się wokół zbitych ciasno stolików. Dzwoniły łyżeczki, szklanki, kelnerzy w białych kurtkach przeciskali się między krzesłami.

— Jak tu pełno — zdziwiła się, kiedy z góry spojrzała na salę. — Czy to jakieś polskie święto?

— Nie, tu zawsze taki tłok. A świąt polskich już nie ma i nie będzie.

Spojrzała mu w oczy wzrokiem, w którym jaśniało uznanie.

— Takim cię kocham, Bert.

Siedli przy stoliku. Herbert w przelocie położył dłoń na jej dłoni i poczuł, jak palce kobiety zacisnęły się na jego palcach. Serce biło mu niespokojnym rytmem spotęgowanym przez długie chwile smutków i tęsknoty. Kiedyś sądził, że wystarczy Gerde ujrzeć, aby jego szczęście było całkowite. Teraz czuł, że wszystko mu stoi na drodze i wszystko umniejsza radość z ich spotkania — i ta cukiernia, w której znajdowali się pod okiem obserwujących ich ludzi, i to obce, niemiłe miasto, w którym nie mieli innego schronienia poza cukiernią.

Kelner stanął obok nich niby natrętne, białe widmo. Straszliwą niemczyzną spytał Köstringa, czym może służyć.

— Co będziesz piła, maleńka?

— Ach, wszystko mi jedno. Mam ochotę jedynie na rozmowę z tobą.

Resztki męskiego hartu topniały w Herbercie. Trzeba jednak było odprawić to pokraczne stworzenie, które czekało w uprzejmej, lekko pochylonej postawie.

— Zdecyduj się jednak...

— A więc dobrze... Czekoladę... I niech on sobie stąd idzie.

Kelner odszedł. Oni zaś szukali wzajem swoich oczu. Z ust padały wyrazy nic nie znaczące, rwane, zapelniające te minuty, które powinny były być poświęcone pocałunkom.

— Czekałem każdego twojego listu. Po prostu miejsca sobie nie mogłem znaleźć, kiedy poczta się spóźniała.

— Ani ja. Czytałam o waszych zwycięstwach w komunikatach i zawsze sobie wyobrażałam, że jesteś tam, gdzie triumf największy. Byłam z tego dumna, choć czasami trochę się bałam o ciebie. Zwłaszcza od czasu, gdy przysłała wiadomość o Walterze...

To wspomnienie stanęło między nimi i zwróciło ich myśli na inne tory.

— A co rodzice, gdy się o tym dowiedzieli?

— Matka rozpacziała. Nawet sobie wyobrazić nie możesz, do jakiego stopnia dała się ponieść rozpacz. Ojciec chodził ponury i kilka razy zapomniał się w słowach... Ale nie trzeba go winić, on bardzo kochał Waltera... Wszyscy go zresztą żalowali. Sam przyznasz, że był świetnym towarzyszem. Teraz się uciszyło. Matka rozdaje fotografię Waltera znajomym...

Wyjęła z torebki i położyła na stoliku małą fotografię w czarnej, żałobnej obwódce.

— To dla ciebie.

Z fotografii patrzyła na nich pogodna twarz Waltera. Jasne włosy, gładko zaczesane do tyłu, uwydatniały szerokie czoło, równy nos, oczy i usta pełne tłumionych uśmiezków.

Herbert schował fotografię do portfela. Przez pewien czas trwało milczenie: nastrój miłości, na chwilę spłoszony, znowu powracał.

— Nic mi jeszcze nie powiedziałaś o twoim obecnym życiu, Bert. Przecież ja jestem taka ciekawa: jak się czujesz latając? Jakich masz kolegów? Mów.

— A kochasz mnie?

— Ani, ani. Miałabym też kogo kochać.

— Wobec tego nic nie powiem.

— Powiedz. No, może odrobinę cię Kocham.

Ogarniało ich rozmarzenie, zapomnieli w ogóle, gdzie są i o czym mówią. Słowa były rzeczą nieistotną i dopiero za nimi kryła się w pełnych treści chwilach milczenia, w gorących spojrzeniach, w czułych zbliżeniach, które sprawiały, że dreszcz przebiegał całe ciało — prawdziwa istota ich uczuć. Nie, ta sala z żółtymi wyściełanymi krzesłami zastawiona stolikami na wygiętych nóżkach i oświetlona lampami w szklanych żyrandolach, nie nadawała się ani na przybytek zwierzeń, ani na świątynię uczuć. Jakże tu rozmawiać ze sobą po rocznym niemal niewidzeniu, po tylu dniach tęsknot i niepokołów? Każdą chwilę zapomnienia opłacali nagłym powrotem do rzeczywistości, tym przykrzejszym, że nie umieli zdać sobie sprawy z tego, czy w momentach zapomnienia nie ujawnili zbyt jaskrawo lub, co gorzej, śmiesznie swych uczuć. Co chwila Herbert, to znowu Gerda przerywali rozmowę uwagami: — Widzisz, jak ten bałwan kelner patrzy na nas... Tamci przy stoliku nie spuszczają z nas wzroku. Do licha, ani na chwilę nie można o tych gapiach zapomnieć.

Z dołu dolatywała muzyka i gwar głosów przepelnionej sali. Przy bufecie w głębi kelnerzy porozumiewali się sykaniem.

— Jutro znowu będziesz latał?

— Naturalnie. Teraz latamy codziennie.

— Będę niespokojna. Póki cię nie zobaczyłam, nie myślałam, że może ci grozić niebezpieczeństwo. Ale od jutra będę się lękała.

— Moja słodka, moja droga...

— Naturalnie to jest dziecinada, ale ja ciebie kocham. Choć z drugiej strony nie byłbyś mi na pewno tak drogi, gdybym nie wiedziała, że się narażasz na niebezpieczeństwo. Nie zniosłabym myśli, że inny mógłby cię prześcignąć w odwadze. Chcę być z ciebie dumna, Bert, bo tylko wtedy ciebie kocham, kiedy drzę z zachwytu na twój widok.

Znowu utonęli w sobie wzrokiem, znowu na parę chwil zapomnieli, że są zamknięci w czterech ścianach. Tym razem Herbert pierwszy powrócił do rzeczywistości.

— Gdzie się zatrzymasz?

— Nie wiem. Ale to głupstwo. Jest tu przecież jakaś niemiecka gospoda.

— Trzeba będzie poszukać. Masz rzeczy na stacji?

— Och, nie. Tylko torbę, którą zostawiliśmy w szatni.

— To możemy się nie śpieszyć.

— Naturalnie, kochany. Musisz mi jeszcze mówić o sobie.

— Już mówię. Ale może jeszcze kazać ci coś podać?

— Ostatecznie — dobrze. Od rana nic nie jadłam.

— I nic mi dotychczas nie powiedziałaś? Och, Gertie, jesteś nie-
możliwa.

Był zachwycony jej poświęceniem, jej oddaniem, jej miłością. I choć uczucie, które napełniało serce Herberta, wywoływało w jego umyśle zamęt, to jednak słodka świadomość władzy nad trzepoczącym się sercem kobiety budziła w nim pragnienie pochylenia się nad ukochaną, gładzenia jej włosów, noszenia jej na rękach. Miłość narastała w nim jak fala morska. Nie było to już nieśmiałe uczucie chłopca, niepewne i pełne wahań. Miłość Herberta dojrzała, nabrała mocy, wyrazu i gwałtowności. Ciepłe poddanie się kobiety wzbierało wybuchem namiętności.

— Chodź — zaproponował — pójdziemy do restauracji. Będziemy szaleć. Porywam cię.

W jej oczach wyczytał zgodę na każde szaleństwo, więc szybko rzuciwszy pieniądze kelnerowi wziął Gerdę pod ramię i poprowadził ją ku schodom. Przeszli skrajem zatłoczonej sali. W szatni podano im płaszcze.

— Która to może być godzina? — zapytała.

— Po cóż ci godzina? Jesteś ze mną.

Zaśmiała się wesoło.

— Rzeczywiście, zapomnijmy o godzinie.

Wyszli na ulicę tonącą w wilgotnej mgle. Sterty zlodowaciałego śniegu na chodnikach topniały wolno i strugi czarnej wody ściekały na trotuar. Mały chłopak, którego spotkali przed drzwiami cukierni, niósł torbę Gerdy. Na ulicach był jeszcze ożywiony ruch.

W sąsiedztwie znajdowała się restauracja. Za chwilę byli na sali,

pełnej charakterystycznego brzęku szkła i męskich głosów. Kelnerzy z tacami uwijali się szybko. Mundury górowały tu ilością nad ciemnymi garniturami cywilnych. Poczuli się w atmosferze mniej obcej: język niemiecki panował na sali, hałaśliwe zaś wybuchy wesołości przypominały koleżeńskie spotkania młodzieży z HJ i BDM.

Usiedli w kącie sali przy małym stoliku, na którym paliła się lampa w kształcie grzyba. Obejmował ich krąg blasku, podczas gdy reszta sali pozostawała w mroku i tylko światło z wielkiego żyrandola na środku odbijało się w lśniącym zwierciadle wywoskowanej i ogołoconej ze stolików posadzki. Zasłonięci z boku palmami, oddzieleni od pełnej ruchu sali przestrzenią cienia mogli czuć się bliżsi.

— Co będziesz jadła?

— Wszystko, co dadzą... Tylko prędko, bo zaśpiewam: Wir haben Hunger, Hunger, Hunger... Zresztą, co by tu można było zjeść?

— Co zechcesz. To prawdziwa kopalnia jedzenia ta Polska. Aż czasami dziwię się, dlaczego tutaj tak mało ludzi naprawdę zdrowych i dobrze wyrośniętych. Wszyscy wyglądają na głodnych, chodzą zgarbieni, jakby nie uprawiali żadnych sportów. Gdy się na nich patrzy, nie sposób nie przyznać racji Hugonowi.

— Kostrzewie?

— Tak. Prawda, jeszcze ci nie mówiłem, że Hugo jest ze mną na kursie. Ach, co to za wspaniały chłopak. Byłabyś zachwycona, gdybyś go poznała.

Wydęła lekko wargi.

— Nie mogę się zachwycać człowiekiem, który mi ciebie zabiera.

Uśmiechnął się.

— Tak źle nie jest. Ciebie kocham i jestem całkowicie twój. Hugona zaś podziwiam, szanuję i cenię. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak się człowiek dobrze czuje, gdy słyszy rozkaz z takich ust jak jego. Hugo jest wcieloną wolą. Kiedy jestem przy nim, wiem, że każda rzecz, której on żąda, musi być zrobiona. Bo jego słowo — to rozkaz, a jego rozkaz — to potęga.

— Nie mów mi o nim...

Z radosnym uśmiechem na ustach ucałował jej rękę.

— Już milczę. Chcę ci tylko jeszcze powiedzieć, że choć tak bardzo cenię go i poważam, to jednak są sprawy, z którymi się zgodzić nie mogę. Czy wiesz, że on nie znosi kobiet i gardzi małżeństwem? Dziwne ma na ten temat poglądy... Wydaje mi się czasami po prostu, że on... jak by to powiedzieć... wyznaje jakąś religię... Głosi celibat... Przypomina mi to księży czy zakonników katolickich...

Gerda sięgnęła do papierošnicy Herberta. Pełnym wdzięku ruchem zwróciła głowę ku oficerowi i zetknęła swój papieros z jego papierosem. Ten tak popularny gest „odpalania” robił wrażenie jakiegoś dziwnego pocałunku udzielonego za pośrednictwem białej pałecz-

ki. Nabrawszy dymu wypuściła go ze stulonych w karminową rurkę warg.

— Ach, dosyć. Nie chcę już nic o nim słyszeć.

Herbert patrzył na dziewczynę rozkochanym wzrokiem i czuł jeszcze większą radość widząc, że jest o niego zazdrosna. Łagodne światło matowej żarówki tworzyło wokół nich mgłę miękkiego blasku, w którym twarz Gerdy zdawała się być piękniejsza niż zwykle. Pąsowe usta obejmowały papierosa z wyrazem zmysłowego łakomstwa, w ciemnych oczach, lekko zmrużonych, płonął ogień wewnętrzznego podniecenia. Jakąż radością byłoby zbliżyć usta do tamtych ust i czuć na policzkach ciepło jej policzków, a na czole łaskotanie włosów. Herbert ledwie zdołał się wyrwać z tego nastroju.

— Co słyhać w kraju?

— Po staremu. Młodzi się cieszą, starzy jak zwykle narzekają. Czasem myślę, że byłoby dobrze, aby już wymarło to pokolenie drżące wciąż przed głodem. Nie myślą o zwycięstwie, lecz zatrują sobie życie oczekiwaniem na źle kraszoną brukiew. Złość bierze.

Skinął głową. Ona zaś zniżyła głos do szeptu:

— Wódz był ciężko chory. Ale już się czuje dobrze.

— Coś tu u nas gadano o tym, ale bez ładu i składu.

— Dlatego na otwarciu kanału był Hess. On także mówił do kobiet.

— Jak ci się podobało?

Kelner podszedł z flaszką zamówionego wina. Z wąskiej butelki lał się do kieliszków złoty płyn.

Zaskoczyła go odpowiedzią.

— Nadzwyczajne. Pięknie powiedział. Pomyśl — od czasów greckich nie było w dziejach świata oświadczenia, które by z równą mocą uświęcało miłość. Miłość czystą, wyzwoloną z wszelkich więzów. Dziecko może być tylko owocem uczuć. Zresztą nie chodzi tu o nie. Chodzi o sankcję dla miłości — dla każdej miłości.

Poczuł jakby ukłucie w piersi.

— Ty tak mówisz, Gertie? Wygląda, jakbyś zapomniała o naszym przyszyłym małżeństwie.

Potrząsnęła głową.

— Nie, naturalnie, że nie. Nasze małżeństwo ma sens, ponieważ kocham ciebie. Nie powinieś wątpić w moje uczucie, Bert. Jesteś zresztą mężczyzną i do ciebie należy zmuszenie kobiety do kochania. Choćby tego nie chciała...

Patrzyła mu wyzywająco w oczy, śledząc uważnie każde drgnięcie twarzy chłopca. Te opalone na brąz policzki kryły w sobie tajemnicę. Nareszcie pragnęła ją odkryć. Ich spojrzenia spotkały się. Sala zaczęła wirować wokół nich, oni jednak patrzyli na siebie,

jakby chcieli wzajemnie przemóc swój wzrok. Tętna były im w skro-
niach, poprzez rozgorączkowane ciała przepływały dreszcze. Razem
podnieśli kieliszki i przytknęli je do warg. Ich dłonie spotkały się
pod blatem stołu i zacisnęły aż do bólu.

Obok nich wyrósł kelner w białej bluzie. Coś mówił. W pierwszej
chwili nie mogli go zrozumieć. W tym stanie oszołomienia wydał
im się zjawiskiem ohydny, obrzydliwym, nędznym, godnym naj-
wyższej pogardy.

— Rrraus! — warknął Köstring.

Tamten zgiął się w ukłonie, ale nie ustępował. Uśmiechnął się
przy tym boleśnie. Znowu zaczął gadać idiotycznie niezdatną niem-
czyzną.

— Co on mówi? Czego chce? — dopytywała się Gerda.

Wreszcie Herbert zrozumiał bełkot kelnera.

— Mówi, że muszą zamykać, że bardzo przeprasza, ale takie są
przepisy...

Podniosła wzrok na Köstringa.

— Która to godzina?

— Ósma dochodzi.

— Gdzie teraz pójdziemy? Nie chcę się z tobą rozstawać.

Przeszli przez opustoszałą zadymioną salę i ubrawszy się wyszli
na ulicę. Nerwowy ruch przechodniów zamierał. Powtórzyła pyta-
nie:

— Gdzie pójdziemy?

— Poczekaj. Myślę właśnie nad tym. Są tu lokale nocne, ale w bar-
dzo złym guście. Nie, tam iść nie warto. Chodźmy do niemieckiego
domu zajezdnego. Ulokujesz się tam, może będzie gdzie posiedzieć
i porozmawiać...

Szli wyludniającymi się, potem zupełnie pustymi ulicami. Czuli
się niemile wyrwani z nastroju. To miasto, puste o tak wczesnej
porze, robiło wrażenie makabryczne. Lekki przymrozek ściał lodem
kałuże na chodnikach. Auta wojskowe z wielką szybkością przela-
tywały jezdnię, hałasując w pustych korytarzach ulic.

Poszukał dłonią jej dłoni. Miał jeszcze tyle do omówienia z Gerdą,
tyle zwierzeń, tyle pytań. Ale podniecenie zgasiło chęć do rozmowy.
Już pierwszy pocałunek na dworcu wstrząsnął nim, a teraz jej wyzy-
wające słowa pozbawiły go reszty równowagi.

Oddała mu uścisk. Od półodgrodzonych barierami murów, od
rzeki płynącej w szerokim korycie nadlatywał mocny wiew przed-
wiośnia. W piersiach dziewczyny tłukło się niespokojne serce. Ona
także czuła, jak budzą się w niej nie znane dotąd pragnienia, jak
wybuchają z nieposkromioną niczym siłą. Był to jakby dalszy ciąg
oszołomienia, w jakim odbywała podróż. Ten chłopak, którego ko-
chała i przedtem, obecnie urósł mocą wyobraźni na jednego z tych,

kótrzy bezwzględnie zdobywają serca dziewcząt. Patrzyła na niego z zachwytem, coraz bezwładniej poddając się unoszącej ją fali.

Przekroczyli pustą jezdnię. Przed nimi czerniła się rozbita wieża dworcowa, naprzeciw niej zgruchotany od podstawy dom piętrzył się niekształtną masą cegieł i wygiętych belek.

Za chwilę byli już przed oświetlonymi oknami niemieckiego hotelu. W hallu panował gwar. Między zielonymi mundurami żołnierzy, szarymi — lotników, granatowymi — urzędników, czarnymi — kolejarzy, kawowymi — SA migały barwne suknie kobiet. Wszystkie krzesła były zajęte, wszystkie stoliki otoczone. Zatrzymali się na progu, zaskoczeni niemile tą ciasnotą.

Panienka w fartuszkach i czepeczku podeszła ku nim. Uśmiechając się wesoło do Herberta, wzięła Gerde protekcyjnym ruchem za ramię.

— Z ojczyzny? Ach, so... Bardzo, bardzo się cieszymy. Koleżanka pragnie zostać na sali czy też dać jej pokój?

— Chcemy spokojnie porozmawiać! — wybuchnęła Gerda.

Tamta uśmiechnęła się domyślnie.

— Więc pokój? Zaraz służę koleżance.

Wypchnęła ku nim jakiegoś chłopaka, który odebrał z rąk Köstringa torbę Gerdy i ruszył przed nimi w stronę schodów.

Panienka w fartuszkach była bardzo rozmowna. Należała do Fachausschuss für Schwesternwesen.

— A koleżanka? — zagadnęła Gerde, lecz nie czekając odpowiedzi trajkotała o swej pracy. Potem krzyczała na chłopca, bo ten jak błędny płatał się im pod nogami.

— Ach, ci Polacy, do niczego się nie nadają.

Chłopak dostał szturchańca w ramię twardą wysportowaną dłońią i w końcu znalazł właściwe drzwi.

— Prawda, jak tu miło? — pytała przewodniczka, nie dając im nawet czasu na rozejrzenie się po pokoiku. — Meble przysłano z Sicherheitspolizei. Nasi chłopcy odebrali je Żydom. Ledwieśmy im powiedzieli, że nie mamy czym umeblować domu, już w parę godzin mieliśmy dwa auta z meblami. Sami Żydzi wszystko pownosili i poustawiali. A teraz szyk, prawda?

Zapaliła lampkę obok łóżka, wyrównała ręką jakieś fałdy na kocu, którym była przykryta pościel. Poprawiła krzywo wiszący obrazek przedstawiający wodza. Jeszcze przez chwilę kręciła się po pokoju, wreszcie pożegnała ich skinieniem głowy.

Zostali sami, nagle onieśmieleni tą samotnością. Z dołu dochodził stłumiony gwar rozmawiających. Znad miękkich mebelków patrzyły na nich jasnoseledynowe ściany ozdobione portretami wodza, Göringa oraz Hessa. Męski, a jednocześnie młodzieńczy profil zastępcy szefa państwa przykuwał do siebie wzrok. Na półce leżał obowiązkowy egzemplarz „Mein Kampf”, obok ilustrowane broszury:

„Feldzug in Polen”, „Schlag auf Schlag”, numery „Wehrmacht”, „Adlera”, „Koralle”.

Nic do siebie nie mówiąc zdjęli płaszcze. Zdejmując kapelusz Gerda zburzyła sobie włosy, więc siadłszy przed lustrem zaczęła poprawiać fryzurę. Potem upudrowała policzki i dotknęła kredką warg.

Cisza, jaka ich otaczała, miała w sobie coś tajemniczego. Herbert szybkim ruchem zgasił światło. Pokój rozjaśniony tylko nocną lampką nabrał przytulniejszego wyglądu. Spłoszony w chwili przybycia do hotelu nastrój znowu się odradzał.

— Czemuś zgasił tamto światło? — Gerda zapadła głęboko w fotel.

— Chcesz, abym je znowu zapalił?

— Nie, nie zapalaj... — niski głos dziewczyny zdawał się zamierać.

Köstring stanął przed fotelem. Dziewczyna siedziała w nim wglębiona w miękkie oparcie. Oddychała prędko. Jej przegięte ciało zdawało się przeżyć pod żółtą bluzką.

— Gerdo... pochylił się nad nią. Nie odpowiedziała nic, tylko gwałtownym ruchem objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie. Ich usta nie szukały się długo. Z tym pocałunkiem gwałtownym i aż bolesnym — przedłużonym w nieskończoność, ogarnęła ich cięta gorączka. Dni życiowych doświadczeń, oczekiwania i oddalenia paliły ich wargi. Gasili niepokój namiętymi uściskami, przeżyli się we wzajemnym oplocie ramion. Zamierali z rozkoszy, by znowu z niepohamowaną energią dążyć ku sobie.

Nagłym ruchem Gerda wyrwała wtyczkę z kontaktu i pokój ogarnął mrok. Wśród nieprzeniknionych ciemności słychać było tylko ich zdyszane oddechy. Z wolna przez okna wkradać się zaczął drżący blask i kładł się plamami na suficie i na ścianach. Na pewno wydobyl z powicia nocy wiszące portrety: wąską twarz wodza z charakterystyczną falą włosów na czole, nalaną twarz marszałka — podobną do twarzy jowialnego Falstaffa — i zuchwały młodzieńczy profil zastępcy wodza Rzeszy...

XIII

Wśród przeraźliwego jęku i wizgu Junkers wyrównał już nad samą ziemią. Ciemna plama lotniska rozpięta poprzednio niby ekran przed budką pilota uciekła w dół, na jej miejsce zaś wyrosła ogromna, jasna przestrzeń nieba. Pod brzuchem „Stuki”, pod jej kółkami w opływowych osłonkach, które przypominały obciążone pazurami szpony drapieżnego ptaka, mknęły z niewiarygodną szybkością dachy domów. Köstring czuł jeszcze zamęt w głowie. Gdy mu Karolek Lahm położył dłoń na ramieniu i przekrzykując warkot motoru pytał, czy

przypadkiem nie oszalał, poczuł, jak dreszcz spóźnionego niepokoju przebiegł całe jego ciało. Zatoczył łuk kładąc maszynę tak mocno na bok, jak robił to tylko Kostrzewa. Wylądował. Koła „Stuki” podskakiwały na wilgotnej, odtającej ziemi. Köstring odrzucił pokrywę budki, zamknął motor. Świetlany krąg obracającego się śmigła zaczął się rozszczepiać na zarysy poszczególnych ramion. Za sobą słyszał niechętne fukanie Karolka:

— Zidiociałeś do reszty. Warszawa uderzyła ci na mózg. Nie leceć więcej z tobą, żebyś wiedział. Lubię akrobacje, ale w cyrku...

Herbert puścił te słowa mimo uszu. Myślał, że nie wysiadzie, taką czuł omdłałość w całym ciele. Ale już szli ku samolotowi koledzy, więc opanował się i z zimną miną zucha wyskoczył na skrzydło. Był przekonany, że obserwują go. Aby ich uprzedzić, zaczepnie szukał oczami ich oczu.

— Do licha — powiedział któryś — nie wiedziałem, żeś taki bohater. Zeszedłeś dzisiaj jeszcze niżej, niż to kiedykolwiek robił Kostrzewa.

— Albo on bohater, albo po prostu stracił głowę — dowcipkował inny. — Przyznaj się, że dopiero w ostatniej chwili przypomniałeś sobie o drażku.

— Już widziałem, jak maszyna wali się na ziemię, a z nią chluba wszystkich salonów, nasz Karolek.

— Słuchaj, Bert, dziewczyny wydrapałyby ci oczy, gdybyś im Lahma uśmiercił.

— Taki miły i ładny chłopczyk. A tańczy jak sam Willy Fritsch. Lahm wolno rozpinał kombinezon. Jedwabnym szalikiem otarł sobie czoło.

— Dajcie papierosa, chłopcy. Uff! Kości mnie bołą, jakbym kamienie dźwigał. Dobrze wam teraz dowcipkować, ale mnie nie było do żartów, kiedy zobaczyłem, jak ten wariat położył drażek. Wiem, że zawsze lata spokojnie. Ale dzisiaj — zacisnął zęby, zamknął oczy...

— I co jeszcze? — Herbert już się opanował. Stał obok narzekającego Karolka i spokojnie palił cienkie cygaro.

— Słowo wam daję, że zamknął oczy. Aż mnie kolka sparła. Jak ciotkę Luizę kocham, zamknął oczy.

Wybuchnęli wesołym śmiechem.

— No, skoro Karolek zaklina się na ciotkę Luizę...

— Phi, nie ma dziewczyny, której by na miłość ciotki nie upewniał, że kocha się pierwszy raz w życiu.

— Pierwszy raz? Kpicie chyba. Karolek nigdy pierwszy raz się nie kochał. Zawsze miał już za sobą tę jedną.

— Nie obrażajcie ciotki. Ma całą furę lat na karku i kamienicę na Unter den Linden. Jest starą panną, ale na domu nie cięży żadna

hipoteka. Lubi opowiadać o swoim zdrowiu, ale ma tylko jednego siostrzeńca: to znaczy mnie.

— Cudna okazja. Wiwat ciotka Luiza! Karolku, chodź, pociągnemy na twój rachunek. Trzeba oblać, że cię ten szalawiła nie zabił.

Szli roześmiani w stronę budynków. Wołali także i Köstringa, ale Herbert powiedział, że przyjdzie później. Musi jeszcze obejrzeć samolot, umyć się. W gruncie rzeczy nie życzył sobie w tej chwili towarzystwa. Sam nie wiedział, co ma myśleć o swoim dzisiejszym szaleństwie. Prawda, coś tam Gerdzie obiecywał. Gerda... Wróciło doń wspomnienie pokoju w niemieckim zajeździe, zanurzonego w purpurowym półmroku. Ledwo zdążył dziś rano do koszar na poranny apel. Wciąż jeszcze w jego sercu płonęła głucha, z głębi jego istoty dobywająca się radość. To, ku czemu z taką zawziętością parły zmysły, stało się faktem. Miał jeszcze na wargach słony smak rozgniecionych warg dziewczyny. I o ile poprzednio odczuwał pewien niepokój zastanawiając się, czy potrafi zdobyć Gerdę, o tyle dziś niepewność ustąpiła miejsca zadowoleniu. Herbert miał uczucie, że jakieś drzwi zatrzasnęły się za nim, zapewniając mu na zawsze posiadanie i miłość dziewczyny. Po miesiącach niespokojnego oczekiwania nadchodziło odprężenie, po dniach lęku nadszedł triumf. Ale ten triumf miał w nim także jakby swoje granice; jakby poczucie swej jednocześnie pełni i niepełni. Raz przeżyty, był już dosytem. Teraz trzeba mu było czegoś nowego, jakiejś odmiany, jakiegoś większego zadowolenia. Ta świadomość sprawiła, że śmieiej niż zwykle położył drążek. Zawsze staranny i pamiętający o każdym szczególe, dziś zapomniał po prostu kolejności przepisowych ruchów. Zamknął oczy. Karolek miał rację oskarżając go o to.

W końcu ruszył w stronę kasyna. Zamyślony, w ostatniej dopiero chwili spostrzegł, że ktoś stoi na drodze. Drgnął. Podniósł wzrok. Zobaczył Hugona.

Kostrzewa stał z rękami w kieszeniach, z papierosem w kąciuku ust. Mała furazerka układała się na jasnych włosach.

— Winszuję... — powiedział do Herberta, a w jego słowach zdawała się dźwięczeć ironia. — A cóż panna von Recke?

Rumieniec zapłonął na policzkach Köstringa.

— Nie rozumiem... Co miałaś na myśli, Hugonie?

— Ja? Och, nic. Podziwiałem twoją odwagę. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak śmiałego „nurka” jak twój dzisiejszy.

— Lecz cóż ma do tego Gerda?

— Odegrała, jak sądzę, rolę bodźca. Brawo! Nie myśl, że chcę cię obrazić. Mówię serio. Kobieta powinna dobywać z mężczyzny swoim wpływem cały właściwy mu hart i energię. To jest jedyna wartościowa rzecz, jaką tworzy tak zwana miłość. Zresztą — głupie słowo. Nie należy ono niewątpliwie do skarbcza pojęć nordyckich.

Zawrócili i poszli w stronę budynku mieszkalnego. Spoza strzę-

pów szarych, roztarganych chmur wyrzało mdłe, wczesnowiosenne słońce.

— Wychodzisz? — spytał Kostrzewa.

— Tak. Gerda przyjechała na trzy dni i na te trzy dni otrzymałem zwolnienie z popołudniowych zajęć.

— Ale wyjdiesz dopiero po obiedzie?

— O czwartej.

— Wobec tego zostaw tamtych krzykaczy i chodź do mnie. Każę przynieść obiad do pokoju. Dawno już z tobą nie rozmawiałem.

— Dobrze.

Weszli do pokoju Kostrzewy. Był to narożny pokój, duży i widny. Urządzenie zdradzało naturę jego właściciela. Skromne, wąskie łóżko, przykryte burym kocem. Nad nim portret wodza ubranego w skórzaną płaszcz, pod portretem odlew — pośmiertna maska Fryderyka Wielkiego. W środku pokoju duży stół zawałony książkami, mapami, skrawkami papieru, liniami, cyrklami, kątownikami. Pod ścianą drugi stół z lustrem i przyborami do golenia. Obok na wieszaku ubrania, pod łóżkiem buty. Zgarniając na bok papiery, aby uwolnić część stołu, Hugo odsłonił podręcznik do nauki języka polskiego.

— Uczysz się tego? — spytał Herbert. — Wydawało mi się, że już umiesz.

— Trochę umiem, ale chcę znać lepiej.

— Ja także usiłuję opanować język polski. Ale ciężko idzie.

— Trudny, bezwartościowy język...

Na stole królowały fachowe książki i broszury z zakresu lotnictwa. Poza tym spracowany egzemplarz „Mein Kampf”, „Der Mythos des XX Jahrhunderts”, kilka tomów Nietzschego, zbiór listów Fryderyka. Z obcych autorów Maurras po angielsku, Sorel również po angielsku. Książka polska w czerwonej okładce z wyłożonym tytułem „Niemcy, Rosja a kwestia polska”.

— Ileż ty rzeczy czytasz! — zdumiał się Köstring.

— Interesują mnie różne sprawy. Ale zostawmy książki — odrzucił je na etażerkę. — Wiesz, nad czym teraz ciągle myślę? Nad atakiem lotniczym na Londyn.

Rozwinął dużą mapę brytyjskich wysp, ku którym zmierzały z różnych punktów kontynentu europejskiego kolorowe linie.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, czym byłby w tej chwili desant w Anglii? — uderzył ręką w stół. — Końcem wojny. Francja skapitulowałaby wtedy od razu, mimo swej linii Maginota. Uderzyć należy błyskawicznie. Jeszcze prędzej, niż to robimy obecnie. Jesteśmy dumni, że w ciągu osiemnastu dni wykończyliśmy Polaków. Ale mnie się zdaje, że gdybyśmy uderzyli na nich w dniu, w którym Führer wpływał do Kłajpedy, kampania nie trwałaby nawet dziesięciu dni.

— Snujesz plany, Hugonie, jak Partenau Hessego.

— To jest obowiązkiem każdego oficera. Ale Partenau przeczuwał dopiero ruch narodowo-socjalistyczny. Dla niego rozgrywka na wschodzie była możliwa jedynie dzięki obojętności zachodu. Pamiętam z książki takie zdanie — recytował bez wysiłku: — „Na wschodzie tylko znaleźć można odpowiednie przestrzenie i możliwości do dokonania czegoś niebywałego... Zmienimy mapę Europy wschodniej, zmienimy ją na czas długi, jeśli tylko bogowie i los dopuszczą nas raz jeszcze do rozgrywki... Na zachodzie chcemy zachować pokój, niech więc nam dadzą zaprowadzić pokój na wschodzie, trwały pokój, inaczej znów stanie w ogniu cała Europa. Przypuszczam, że zostawią nas w spokoju...” O widzisz. Tak mówił uczestnik tamtej wojny, którą nazwano wielką, jakby już większej być nie mogło. My tak nie rozumiemy. Nasz Drang musi iść zarówno nach Osten, jak i nach Westen. Musi ogarnąć cały ziemski krąg. Na Niemczech ciąży odpowiedzialność za losy świata i za przyszłość białej rasy. Rozpoczęliśmy wojnę nie po to tylko, by zrobić „coś niezwykłego” tu w pobliżu, na sąsiednim wschodzie. Taka niezwykłość byłaby niezwykłością na niewielką miarę. My zrobimy rzecz, jakiej nigdy jeszcze nie było...

Mówiąc przechadzał się po pokoju. Jego męska twarz nabrała niebywałej twardości. Köstringowi przypomniała się rozmowa, jaką toczyli w kasynie opolskich koszar. Kostrzewa mówił wtedy o ideale Hageny von Tronje.

— Europa — ciągnął Hugo — zostanie zorganizowana na podstawie wierności zwierzchnictwu niemieckiemu i kulturze niemieckiej. Trzeba będzie wykluczyć z niej wpływy żydowskie oraz syryjsko-chrześcijańskie mity nakazujące faworyzowanie bezwartościowych i słabych kosztem zdrowych dziedzicznie i pełnowartościowych jednostek.

Pochylił się nad Herbertem, oparł dłonie o jego ramiona. Utkwił swój wzrok w jego oczach.

— Nieprawdaż, Bert? — zapytał.

— Ależ tak, Hugonie. Jestem tego samego zdania. Zresztą przekonaj, że choćbym myślał inaczej, twoje słowa zawsze potrafiły mnie przekonać.

— Jawohl. — Kostrzewa powiedział to przez zęby, nie odrywając uważnego wzroku od twarzy Herberta. Wydawałoby się, że szukał w oczach swego młodego przyjaciela czegoś, co mogłoby wyglądać na zaprzeczenie jego słów. Ale widocznie zdołał się pozbyć wszystkich wątpliwości, bo wyprostowawszy się rzucił niedbale: — Myślałem, że może zmieniała cię miłość do panny von Recke...

— Niesłusznie mnie posądzasz. Przede wszystkim jestem człowiekiem, który ma własne zdanie, nie dające się łatwo zmienić. Po wtóre, jak ci już mówiłem, Gerda jest całkowicie przekonana o słuszności naszej sprawy. Dam ci na to dowód. Gdy się zachwycałeś mową

Hessa, ja miałem, szczerze mówiąc, pewne zastrzeżenia... Nie zasadnicze, naturalnie. Otóż wczoraj usłyszałem z ust Gerdy te same słowa zachwyty dla przemówienia.

— Rzeczywiście? — Kostrzewa powiedział to głosem chłodnym.

Zjedli obiad, omawiając ostatnie nowiny polityczne. Armia Weyganda (to bluff — twierdził Hugo), zaciemnianie miast w Szwajcarii mowa króla Leopolda, ofensywa radziecka na Finlandię.

— Ta wojna — zauważył Herbert — jest przykrym porachunkiem, jednym z tych, które dokonują się zawsze na peryferiach wielkich działań wojennych. Ale Finlandia przyjęła bezmyślnie obietnicę Francji i Anglii. My zaś związani z wielkim planem działania nie mamy teraz czasu na sprawy rosyjskie.

Patrzył na mapę Półwyspu Karelskiego, gdzie zaznaczony był szpilkami zasięg radzieckiego natarcia. Herbert poruszył się niespokojnie:

— Wybacz... ale..., umówiłem się w pół do piątej.

— Z panną von Recke?

Stłumione niezadowolenie zadrzało w pytaniu Hugona. Herbert skinął głową. Kostrzewa uśmiechnął się lekko.

— No to idź. Naturalnie. Miałem dziś ochotę z tobą porozmawiać, ale możemy to przecież zrobić kiedy indziej. Ty masz przed sobą tylko trzy dni. Idź, Bert. Dobrej zabawy.

Wziął z etażerki czerwoną książkę ze złoto tłoczonym tytułem — tę polską książkę, którą poprzednio spostrzegł u niego Köstring — i kiedy młody podporucznik szykował się do wyjścia, on ze zmarszczonym czołem, z twarzą wyrażającą skupioną uwagę rozpoczął czytanie, kreśląc uwagi na marginesie stron.

XIV

— Nareszcie jesteś. Nie mogłam się ciebie doczekać.

Przywitał ją serdecznym uściskiem.

— Spieszyłem, jak tylko mogłem. Ale w ostatniej chwili zatrzymał mnie Kostrzewa. Och, nie rób takiej groźnej miny. On wcale nie chciał ciebie skrzywdzić. Po prostu dużo myśli, a potem lubi na ten temat swoich rozważań mówić. I wiesz — to satysfakcja go słuchać... Znowu się zmarszczyłaś?

— Prosiłam, byś mi nie opowiadał o tym twoim Kostrzewie. On mnie nic nie obchodzi.

— Dobrze. Powiedz mi, co dziś robiłaś?

Siedzieli w jednym fotelu, przytuleni do siebie. Słabe słońce kładło na szybach pokoju ostatnie przedwieczorne blaski.

— Chodziłam po Warszawie. Ohydne miasto. Ludzie tutejsi pa-

trzą na nas z takim wyrazem, jakby oczekiwali, że lada chwila padnie piorun z jasnego nieba i ku ich uciesze wszystkich nas powybija. Na ulicy nie otrzymasz od nich żadnej wskazówki. Wzruszają ramionami udając, że nie rozumieją po niemiecku. A na pewno rozumieją. Przynajmniej ci inteligenci o wygłodzonych twarzach. Jestem przekonana, że każdy z nich ma kieszenie pełne planów spisku lub sabotażu...

— Przesadzasz.

— Nie, nie. Wierz mi, znam się na ludziach. Czuję ich naturę na odległość. Polacy wciąż jeszcze z nami walczą. Wciąż stawiają opór i wciąż nas zmuszają do stosowania przemocy. Są słabi — ale zuchwali, hardzi, uparci. Naturalnie nie ci, z cukierni, których pokazywałeś mi wczoraj. Tych można kupić byle czym. Ale tamtych z ulicy, tego ponurego tłumu, niczym nie kupisz. Pobiliście ich wprawdzie, ale to jeszcze za mało.

W słowach Gerdy brzmiała zaciętość. Prawdopodobnie nie zdawała sobie nawet sprawy, dlaczego tak bardzo nienawidzi Polaków, dlaczego nie może mówić o nich inaczej jak z pogardą. Francuz, choć był wrogiem Rzeszy, imponował jej swą osławioną kulturą, swym smakiem, swym niewyraźnym w żadnym innym języku esprit. Anglik — to była znowu potęga, dla której czuło się szacunek, chociaż mówiono, że stoi ona na glinianych nogach. Ale zarówno Francuz, jak i Anglik mieli w swej narodowej psychice pewne zrozumiałe, pokrewne elementy. Tych brakło Polakom. Był to świat kierowany niepojętymi pobudkami, kraj fanatyzmu i anarchii, heroicnych cnót i najordynarniejszych przestępstw, słowem kraj kontrastów, obcych zrównoważonemu umysłowi nordyka.

— Mam nadzieję, że nie okazywałeś w tej walce litości?

W pamięci przemknęło wspomnienie polskiego podchorążego rozstrzelanego decyzją wojennego sądu. Ale nie powiedział nic o tym wydarzeniu. Właściwie nie lubił o nim ani mówić, ani myśleć.

Powrócił do tematu ich miłości. Krew znowu wartko płynęła w żyłach Herberta. Lecz gdy zapragnął Gerdę pocałować, dziewczyna wysunęła się z jego objęć.

— Nie, nie, Bert... Proszę cię...

Oddychała prędko, jakby ta odmowa wiele ją kosztowała,

— Chodź, pójdziemy na miasto, znajdziemy do cukierni.

Próbował się opierać.

— Tu jesteśmy sami, Gertie. A tam będzie tak jak wczoraj. Nie mam zresztą ochoty iść między ludzi.

— Chodźmy jednak... Przecież nie możesz bez przerwy mnie całować.

Opieszale podał jej krótkie futerko z brązowych źrebaków, które tak pięknie harmonizowało z jej kasztanowatymi włosami. Zapiął swój skórzany płaszcz. Przeszli przez wyludniony o tej porze hall.

Panienka, która ich wczoraj przyjęła, siedziała przy jednym ze stolików, zawzięcie coś wyszywając. Skinęła im wesoło głową.

— Życzę dobrej zabawy.

Ulica utonęła już w mroku. Ciepło dnia szybko ustępowało pod tchnieniem mroźnych podmuchów wiatru. Szli milcząc, jakby przełamując zadany sobie przymus. Pierwsza zaczęła mówić Gerda.

— Nawet jeszcze nie zapytałam, czy byłeś na grobie Waltera.

— Od października nie miałem okazji...

Stanął mu przed oczyma kopczyk usypany z gliniastej ziemi, nad nim biały krzyż oraz pęk zeschniętych kwiatów. I nagle uświadomił sobie, że wspomnienie Waltera już prawie zamarło w jego myślach. Brat Gerdy... Spojrzał ukradkiem na profil idącej obok dziewczyny, ale nie znalazł w nim podobieństwa do zabitego przyjaciela. Za to doświadczył niemiłego uczucia winy w stosunku do Waltera. W czym tkwiła ta wina? W tym może, że tak mało troszczył się o grób? Czy też...?

Ale już portier zdejmował z nich płaszcze, zaś maître d'hôtel, ubrany w smoking, pokazywał im uprzejmie drzwi prowadzące do sali.

— Bitte...

Orkiestra grała. Przy stolikach było tłoczno jak zawsze. Usiedli.

— Gdyby ci się udało pojechać do tego Lublina, sfotografuj grób, dobrze?

— Chętnie. Sam myślałem o tym.

Zapalił papierosa. Właśnie orkiestra skończyła grać i salą wstrząsnęła burza oklasków. Na estradę wyszła śpiewaczka. Była to kobieta jeszcze młoda, ale w jej oczach czaiło się zmęczenie i troska. Zaczęła śpiewać jedną z pieśni Czajkowskiego. Sala słuchała w milczeniu, tym głębszym, że czuła wyraźnie, jak artystka w słowa pieśni kładzie całą swoją mękę. I Herbert dał się ogarnąć fali współczucia dla tej kobiety w skromnej czarnej sukni, przybranej pod szyją białym żabocikiem. Toteż zaskoczyły go słowa Gerdy:

— Głupia małpa. Czas by je wszystkie uciszyć.

— Ostatecznie ładnie śpiewa...

Dziewczyna spojrzała bystro na Köstringa.

— Ładnie. Nie wiem. Wolałabym ją widzieć w obozie koncentracyjnym niż na estradzie. Oni wszyscy są mi nienawistni. Czasem mam wrażenie, że prawdziwym i jedynym wrogiem naszej wielkości są właśnie oni.

Zaśmiał się.

— Przesadzasz, Gertie. Nie znoszę ich i gardzę nimi, ale nie do tego stopnia, abym przypisywał im większą rolę, niż w rzeczywistości odgrywają.

Lecz dziewczyna nie dała się przekonać. Może jakieś wewnętrzne

podrażnienie dyktowało jej słowa gniewu i nienawiści, może pod wpływem tej smętnej rosyjskiej pieśni musiała wypowiedzieć z większą siłą swój sąd. Przez dłuższą chwilę przekonywała Herberta, że wszyscy Polacy powinni być wytrzebieni, zamknięci w obozach i więzieniach albo wyrzuceni na kraj świata. Na Syberię czy do Ameryki — wszystko jedno gdzie, aby tylko nie trzeba było na nich patrzeć.

Kelner wciąż nie przynosił zamówionej herbaty. Kiedy przecho-
dził obok, Gerda zawołała go. Był to czarnowłosy chłopak o zama-
szystych ruchach. Podszedł spiesźnie, uśmiechając się. Może sądził,
że dostanie duże zamówienie. Ale Gerda zwróciła się do Köstringa:

— Zwymyślaj go, proszę. On śmie kazać nam czekać...

Ostre słowa oficera wypowiedziane twardym głosem sprawiły
efekt niebywały. Od razu znikła pewność młodego kelnera; twarz
mu zbladła śmiertelnie, usta zaczęły drżeć. Nie wyglądał na czło-
wieka skarconego za tak niewinne, zda się, przestępstwo, jak chwi-
lowa niedbałość. Odszedł krokiem szybkim, zataczając się i potra-
cając o krzesła. Herbatę przyniósł już inny kelner, mały staruszek
z kępką siwych wąsów pod zawieszistym czerwonym nosem.

Znowu orkiestra przegrała kilka melodii, zaś łysawy bas odśpie-
wał kozacką dumkę. Czas płynął. Gerda opowiadała Herbertowi
o pracach Bund Deutscher Mädel. Była tam instruktorką. W najbli-
szym czasie grupa dziewcząt miała wyjechać do Czechosłowacji,
gdzie tworzyły się obozy dla Niemców wołyńskich. Przygotowywała
się także do obrony przeciwlotniczej. Gerdzie uśmiechał się już szary
mundur Nachrichthilferin oraz lotniczy orzełek z Hakenkreuzem
w szponach.

— Człabym się wówczas bliżej ciebie.

I nagle znowu zaczęli się szukać w tym zgiełku, wśród tych ludzi
zajętych rozmowami i muzyką. Gwarna sala ciążyła nad nimi niby
grożące burzą niebo nad cichą wioską.

Gdy cukiernię zamknięto, wyszli na ulicę. Policjanci w zielonych
płaszczach i ciężkich hełmach przejeżdżali na rowerach skrajem
jezdni. Grupka SA-mannów szła po przeciwległym chodniku śmie-
jąc się wesoło i wykrzykując jakieś żarty na całe gardło. Zaczął pa-
dać deszcz, zmywając potokami wody ostatnie resztki stwardniałego
i czarnego śniegu.

Powrócili do hotelu. Jeszcze posiedzieli w hallu przy stoliku, ale
i tutaj niedługo zrobiło się ciasno. Ich znajoma panienska flirtowała
zawzięcie z jakimś Oberscharführerem z Schutzstaffel. Przechodząc
koło nich zapytała wesoło:

— Jak tam zabawa?

— Tak sobie. Tutejsze cukiernie są nudne.

— Któż słyszał wysiadywać w cukierniach — zaśmiała się, kiwa-
jąc z dala ręką swemu towarzyszowi, aby się nie niecierpliwił. —

My zrobiliśmy inaczej. Robert wyrzucił jakichś Żydów z zajmowanego przez nich apartamentu, i zaraz tam pojedziemy. Będziemy pić, bawić się — za pomyślność wiosny. Może chcecie jechać z nami?

W jej oczach błysnął płomień roznamiętnienia. Idąc przeciągała jak kotka swe muskularne ciało. Ale oni potrząsnęli głowami.

— Chcemy jeszcze porozmawiać... Jutro rozstajemy się...

— Ach, już jutro? Współczuję...

Odeszła i przepychała się przez zatłoczony hali w kierunku swego esesmana, który tymczasem ładował butelki z wódką w kieszenie zielonego płaszcza. Po drodze jakiś Oberfeldwebel objął ją ramieniem, a ona uśmiechnęła się doń wcale nie urażona. Doszedłszy do szturmowca określiła się na palcach ze zręcznością baletnicy. Czyżby miała zamiar tańczyć — wbrew zakazowi — tam, w odebranych Żydom lokalu?

— Chodźmy na górę — powiedział Köstring.

— Jeszcze chwilę...

Odwlekała moment pójścia do pokoju wbrew własnym zmysłom, które dopominały się o nowe pieścizoty. Czowała jakiś hamulec, który sprzeciwiał się otwartym nagle swobodom. Gdyby Herbert ją porwał, gdyby przymusił iść ze sobą, wtedy na pewno nie odzywałyby się w niej te głosy. Miała jednak uczucie, że to nie on ją pociągał, ale jakby same wydarzenia pchały ją w jego ramiona.

Podniosła wzrok ku górze; z podświadomym zakłopotaniem szukała gdzieś na ścianach oparcia dla siebie. Wzrok jednak ześlizgiwał się po portretach Hitlera, Göringa, Hessa... „Tamta dziewczyna — myślała — postępuje znacznie prościej, śpiesząc wesoło ku drzwiom, poklepywana przez idącego z tyłu towarzysza. Dlaczego nie poddać się żądaniom ciała? Po co komplikować życie? Herbert jest miłym chłopcem...”

— Chodźmy zresztą... — powiedziała.

Kiedy szli po schodach, opadały z niej niby części odzieży dzisiejsze bezsensowne nastroje; Szybki oddech towarzysza rozpałał krew. Wreszcie poczuła się całkowicie wyzwolona. Poddała się ulegle rwącemu szybko rytmowi krwi: gdy poczuła usta Herberta na swoich ustach, odpowiedziała na pocałunek gwałtownym uściskiem.

XV

Dzień następny przyniósł rozstanie. Herbert przyjechał po Gerde do hotelu. Ten nieznośny kurier berliński musiał właśnie odchodzić tak wcześnie, że z popołudnia już nic nie mieli. Spakowawszy walizkę Gerdy, całowali się i tulili do siebie zapominając chwilami o czasie. Na ile znowu dni czy miesiący mieli się rozstać? Na jak

długo trzeba będzie zapomnieć o zuchwałych pieszczotach, o rozkoszy zatracenia się w sobie?

W czarnych oczach Gerdy było wzruszenie. Lecz choć rozstanie sprawiło jej przykrość, pilnowała się, by nie wypowiedzieć ani jednego słowa skargi. Wypadki musiały widać następować z nieubłaganą powolnością, ona zaś winna być posłuszna woli kierującej losami narodu; jeżeli kazała im ona trwać w męczącym oczekiwaniu, to jednocześnie uświęcała ich swobodną miłość. Gerda daleka była od gorzkiego poglądu, że łatwiej przyszedłoby jej rozstanie z Herbertem przed zdobytym doświadczeniem ostatnich dni i nocy.

— Będziesz pisał?

— Naturalnie, Gertie. Postaram się pisać częściej niż dotychczas. Ale tobie też nie wolno zapominać o mnie.

— Postaraj się pojechać do Lublina.

— Pojadę...

— Bert, patrz. Pozostało nam tylko jeszcze piętnaście minut. Zagadaliśmy się. Prędkiej, bierz walizkę, idziemy.

Zbiegli po schodach jak burza. W przejściu minęła ich znajoma panienska. Miała twarz żółtą, oczy podkrążone.

— Już idziecie?

— Już. Koniec urlopu... Do widzenia. Coś koleżanka źle dziś wygląda.

— Głowa mnie boli... Ach, żeby koleżanka wiedziała, co to za bydlę z tego Roberta. Wszystkie chłopy...

Nie dosłyszeli dalszych słów.

Przebiegli szybko ulicę. Dworzec mieli naprzeciwko. Żółty szescian wykładany kwadratowymi taflami, z jedną stroną jakby odciętą nożem, stał jak samobójca nad wykopem, w którym kursowały pociągi. Gerda podeszła do kasy.

— Kup mi, proszę, kilka pism.

Przyniósł jej „Erikę”, „Die Dame”, „Koralle”. Zeszli po drewnianych schodach na peron. Pociąg już stał. Przed otwartymi drzwiami wagonów kręciło się kilka osób.

— Ile mamy czasu do odjazdu?

— Trzy minuty.

Znalazł jej miejsce w przedziale drugiej klasy. Siedział tam tylko jakiś młody człowiek, bardzo przystojny, z odznaką partii w klapie marynarki. Herbert ulokowawszy Gerdę wrócił na peron, dziewczyna stanęła w oknie.

— Zaraz odjedziesz...

— Jeszcze minuta...

Naturalnie nie mieli sobie nic do powiedzenia w tym ostatnim momencie poprzedzającym odjazd.

— A nie zapomnisz?

— No, wiesz, za kogo mnie masz?

Wychyliła się z okna i zarzuciła mu ramiona na szyję. Jeszcze ostatni raz poczuł na wargach jej słodki, choć już pośpieszny pocałunek. Kolejarz przechodził wzdłuż ściany wagonów i zatrząskiwiał drzwiami. Herbert usłyszał okrzyk: — Achtung! — Odstąpił do tyłu. Gerda stała w oknie uśmiechnięta, z chusteczką w palcach. Zza niej wysunęła się uczesana głowa jej współtowarzysza przedziału.

— Abfahrt!

Wagony drgnęły i poczęły mknąć wzdłuż peronów. Twarz Gerdy od razu znikła z pola widzenia. Przez chwilę jeszcze oficer widział jej rękę z powiewającą chusteczką, potem czarny wąż wagonów wpadł w wąską gardziel, przez którą wiodła droga z tunelu do wykopu — wreszcie z gasnącym na skrócie czerwonym światłem znikł ostatni ślad odjeżdżającej. Turkot innych pociągów, gwar rozmów, ryk głośnika pochłonęły dalekie echa zagubionego w dali ekspresu.

Herbert wykręcił się na pięcie i ruszył w kierunku schodów. Głowę podniósł dumnie do góry, na twarzy zaś starał się zachować wyraz zimnej pogardy, przybierany zazwyczaj w otoczeniu Polaków. Szary, lśniący płaszcz lotnika mignął mu gdzieś z boku w załomie murów. Popatrzył uważniej i nagle wydał okrzyk zdumienia.

— Hugo!

Kostrzewa stał pod ścianą paląc papierosa. Na widok zdziwienia Köstringa uśmiechnął się ironicznie.

— Choć jesteś oficerem, muszę ci jednak zwrócić uwagę; nie krzyczy się na cały peron, zapominając jednocześnie o ukłonie woj-skowym.

— Masz rację, ale... skąd się tu wzięłeś? Przecież w tej chwili odbywa się wykład Bertrama, na którym chciałeś przecież być.

Kostrzewa śmiał się swym szczerym, suchym kostycznym śmiechem.

— Może sobie wyobrażasz, że chciałem cię śledzić? No, no, nie interesuje mnie zupełnie twoje czułe pożegnanie z panną von Recke, choć byłem jego mimowolnym świadkiem. Ładna dziewczyna — wiesz, wiesz.

Szli ku wyjściu. Kostrzewa mówił, natomiast Köstring, zły w głębi ducha na to, że Hugo był świadkiem jego pożegnania z panną von Recke, nie odzywał się ani słowem. Czuł także falę zazdrości na wspomnienie urodziwego młodego człowieka, który pojechał razem z Gerdą. Wreszcie nie chciało mu się wracać do codziennych zajęć. Trzy dni pobytu Gerdy wprowadziły zbyt wiele barw w jego szare życie. Nawet zwykłe przywiązanie do Hugona doznało przy tym jakby osłabienia. W każdym razie w tej chwili drażniły go słowa Kostrzewy.

Wyszli na ulicę. Powrotna fala mrozu wysuszyła chodniki i pokryła kałuże skrzącą się błonką lodu.

— Może zajdziemy do jakiejś restauracji! — zaproponował Hugo.

Ale Herbert odmówił. Czuł się rozżalony i zły. Był pewny, że każda restauracja będzie mu przypominała dzień wczorajszy potęgując jego smutek. Trochę opryskliwie odpowiedział:

— Nie chcę iść do żadnej knajpy.

Kostrzewa przyjął ten protest w milczeniu. Bez słowa poszli alejami w stronę mostu. Nad nimi noc rozpięła swój namiot nabijany świecidełkami gwiazd. W dole pod wiaduktem leżało Powiśle sznurami latarni wzdłuż ulic. Od rzeki skutej jeszcze lodem wiało nieprzyjemnym zimnem.

Zatrzymali się przy barierze mostu.

— Duch niemiecki — odezwał się Hugo jakby do własnych myśli — nie znosi przymusu. Nawet przymusu własnych uczuć czy słabości. Dlatego też może kroczyć zwycięsko poprzez świat, może łamać zapory i osiągać triumfy. Wolność — ten ideał niesiony na lufach naszych karabinów. Tę grę warto prowadzić, o tę stawkę warto się trudzić. Europa drży pod naszymi stopami. Jutro zdepczemy Francję i Anglię, pojutrze Bałkany i Rosję. W szarym przedświcie zbliżających się dni poczyna się legenda, która zaćmi legendy Napoleonów i Aleksandrów. I w takiej chwili ty, Herbercie, zatrzymujesz swe oczy na jednej kobiecie, chcesz z nią wiązać swój los. Cóż za małość? Kobieta powinna być tylko zabawką w twoich rękach. Baw się nią, póki cię potrafi bawić, ale zdław w sobie niemieckie tęsknoty. A gdy cię jedna kobieta znudzi, idź do drugiej. Bierz każdą, którą spotkasz na swej drodze. Spróbuj także, jak smakuje gwałt zadany opierającej się piękności. Ale nie więź w tym, do licha, swego serca. Bo serce to bogactwo, które tylko wielkiej sprawie winno być oddane. Słyszysz, Bert?

Lecz Köstring nie odpowiedział. Chmurnie patrzył na rzekę przywaloną nierównym, tu i tam spiętrzoną płaszczem lodu. Coraz mocniej marszczył brwi.

XVI

Gerda prosto z dworca wróciła do domu. Pocałowała w policzek matkę, której melancholii od czasu śmierci Waltera niczym nie można było rozproszyć, powitalnie wionęła ręką ojcu i zaraz poszła do łazienki zmyć z siebie kurz podróży w brudnym wagonie. Ubrana we włochaty kąpielowy szlafrok zjadła kolację dzieląc się z ojcem swymi uwagami o Warszawie. Baron pykał dymem z cygara i przysłuchiwał się z zaciekawieniem opisowi zbombardowanego miasta. Ale nie wypowiadał, jak zwykle, żadnej opinii.

Raz tylko w ostatnich czasach fabrykant uniósł się gniewem i powiedział więcej, niż mu na to pozwalała jego ugodowa postawa życiowa. Było to wtedy, gdy suche pismo urzędowe przyniosło do domu

von Recków wiadomość o śmierci Waltera. Baronowa ze straszliwym krzykiem rzuciła się na kanapę i głosem przerywanym przez łkanie wołała: „Walter, Walter!” Von Recke stał na środku pokoju nieruchomo, sztywno, niby rażony gromem. Tylko palce jego rąk robiły jakieś ruchy, jakby zaciskały się wokół niewidzialnej rękojeści, dźwigając w górę imaginowany rapier. Potem nagle wybuchnął potokiem słów: „Łotr! Złodziej! Żeby go zaraza zabiła za krew naszych dzieci! Za schamienie narodu! Żeby go...”

„Ojczy! Ojczy! — Gerda szarpała barona za ramię, pragnąc przerwać ten potok przekleństw. — Nie możesz tak mówić. Nie wolno ci tak mówić.”

Baronowa wciąż jęczała: „Walterze, o mój Walterze” i zanosiła się płaczem. Von Recke przestał kłać i tylko patrzył ponuro w oczy córki. Potem zacisnął pięści, zwrócił się ku drzwiom i tylko na odchodnym powiedział: „Jeszcze się doczekamy... Jeszcze zobaczymy... My będziemy cierpieli, ale i on szcześnie!”

Na tym skończył się jego wybuch. Od tego czasu powrócił do zwykłej równowagi. Jak dawniej rozmawiał o pogodzie, o fabryce, o znajomych i tylko wyraźnie unikał jakiegokolwiek wzmianki o Walterze. W sprawach polityki zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej słuchał innych, sam nie zabierając głosu. Znajomi — szczególnie ci, którzy widząc go rzadziej, łatwiej mogli zauważyć zachodzące w nim zmiany — twierdzili, że się nieprawdopodobnie postarzał w ciągu tej zimy. Gerda nie zwróciła jednak na to uwagi.

— Ale wiesz, tatku — mówiła teraz — oni wcale nie są tacy zniszczeni, jak można było przypuszczać czytając gazety.

— Nie ma domów zburzonych?

— No, są. Nawet dość dużo. Ale ludzi na ulicach także dużo. I żebyś wiedział, jacy niesympatyczni ci Polacy...

Po kolacji przeszła do swego pokoju. Spojrzała na zegarek: wpół do ósmej. Jeszcze wcześniej, nie ma co ze sobą robić. Czytać nie lubiła. Do czytania był Walter. Ona wołała chodzić po koleżankach, brać udział w zebraniach i ćwiczeniach, dyskutować, działać. Zajrzała do kalendarza. Ma dziś gimnastykę grupy instruktorek. Mogłaby się jeszcze ubrać i pójść. Ale nią miała ochoty. Ogarnęło ją rozleniwienie, chęć położenia się wcześniej do łóżka, rozluźnienia wszystkich mięśni wysportowanego ciała.

Powziąwszy tę decyzję, postanowiła jednak zaopatrzyć się w książkę; przeszła więc do sąsiedniego pokoju, który był dawniej pokojem Waltera, i otworzyła czarną lakierowaną szafę z książkami. Skrzyp drzwi przypomniał jej od razu brata. Często wieczorem, kiedy zasypiała, dochodził ją z drugiego pokoju ten dźwięk. Wiedziała wtedy, że Walter wciąż jeszcze czyta. Pokój był duży, ładny. Pod ścianą stało pianino, naprzeciw, pod oknem, biurko, zwykle zawalone stosem książek, dziś starannie sprzątnięte i tylko z fotografią Waltera pośrodku. Kilka drzeworytów na ścianach, brązowa rzeźba

przedstawiająca wspinającego się konia — na małym stoliczku w kącie. Wśród tych mebli brakło tylko ich właściciela pochylonego nad książką lub nad klawiaturą.

Gerda obrzuciła szybkim spojrzeniem księgozbiór. Nie wiedziała, co wybrać — książki nie przemawiały do niej wyglądem. Odstraszały ją dzieła zbiorowe Schillera, Goethego, Lessinga, Szekspira — zajmujące górne półki. Poczęła więc szperać wśród stosu zawalającego spód szafy. Leżały tam francuskie romanse obok detektywistycznych historii Leblanca, Wallace'a, Conan Doyle'a, tomiki wierszy obok starych gramatyk, dziełka filozoficzne obok pornograficznych powieści. W końcu wróciła do łóżka z tomikiem bajek Andersena. Ale czytanie prędko ją znudziło; zgasła światło i wyciągnęła się na łóżku. Rozkoszowała się jego miękkością i uczuciem zapadania się gdzieś w głąb. Potem przypomniała sobie Warszawę.

Właściwie nie była z siebie zadowolona. Poprzednio jej uczucia do Herberta miały w sobie nie obowiązującą lekkość. Kochała narzeczonego, ale myślała o nim niewiele. Tylko wówczas, gdy przychodził od niego list, stawał jej przed oczami w całej postaci. W pozostałych momentach zdawała sobie wprawdzie sprawę z tego, że istnieje, lecz była to świadomość dziwnie niekonkretna, urobiona raczej na podstawie rojeń o pewnym wzorze żołnierza i bohatera niż na podkładzie miłości. Z wolna ten drugi typ uczuć począł bardziej zwyciężać, toteż gdy nadeszła chwila wyjazdu do Warszawy, Gerda poczuła, że kocha Herberta równie mocno jak swój ideał. Ale ze spotkania wyniosła to samo wrażenie, jakiego doświadczała dawniej, że Herbert jest miłym chłopcem, z którym dobrze się rozmawia, który jest doskonałym towarzyszem, lecz... Ideał znowu odleciał, odcieleśnił się, na placu pozostał Herbert, obciążony balastem sentymentów, poddający się okolicznościom. Takiego narzeczonego można było lubić, nawet kochać, ale takiemu człowiekowi trudno się było oddawać. Tymczasem ona... Wstrząsnęła się odruchowo. Zaraz jednak rozsądek zaczął snuć pasmo swoich kontrargumentów. Właściwie do czego ją tamto zobowiązuje? Nie została przecież żoną Herberta; ofiarowała mu kilka chwil i — koniec. Uczyniła to, do czego uprawnia miłość. Ale jeżeli przyjazna sympatia — jakimi to słowami należałoby określić jej uczucia do Herberta — nie jest miłością, to... Znowu doznała niemiłego wstrząsu. Z przerażeniem — może nawet ze wstrętem — położyła dłoń na brzuchu. Prawda: tego jeszcze teraz poznać nie można. Tym gorzej. Jakżeż mogła o takiej rzeczy zapomnieć? Naturalnie, ten wiecznie naiwny Herbert także o tym nie pomyślał. A może sądził, że słowa Hessa stosują się właśnie do nich. Ona jednak zupełnie inaczej rozumiała otrzymaną wolność.

Budziła się często tej nocy, powracając za każdym razem do tych swych rozmyślań. Rano wstała zgaszona, zmęczona, nie wyspana. Pierwsze jej spojrzenie pobiegło w stronę kalendarza. Rano czeka ją praca w zespole BDM: szycie, krojenie, w przerwie śpiew i ćwiczenia z maskami.

Włożyła na siebie partyjną bluzę, czarną spódniczkę i z gołą głową — należało to do dobrego tonu — poszła do świetlicy. Małe dziewczynki, jej podwładne, witały ją radosnym okrzykiem.

— Heil'tler, Gerdo! Kochana Gerdziu, już wróciłaś? Jak to dobrze. Musisz nam zaraz opowiedzieć o wszystkim, co widziałaś. Chodź, chodź. Siadaj i opowiadaj.

— O czym mam wam opowiedzieć?

— Naturalnie o wszystkim. Czy Warszawa bardzo zniszczona? Jak wygląda? Ile tam jeszcze ludzi żyje? Co mają do jedzenia?

Otaczały ją wieńcem różowe buzie, jasne, zaczesane do góry włosy, bluzy, krawaty, małe rączki fruwały na kształt kwiatów w powietrzu.

— Warszawa jest poważnie zniszczona. Ale nie tak, jak na to zasługuje...

Opowiadała im jakiś czas, póki dzwonek nie wezwał wszystkie do pracowni. Zawarczały maszyny, gwar głosów przycichł.

Gerda podeszła bliżej do Ingi Fiedler, swojej przyjaciółki, również jak i ona instruktorki BDM. Inga była od Gerdy starsza o kilka lat i stała o kilka stopni wyżej w hierarchii partyjnej. Odznaczała się wielką energią, doświadczeniem i życzliwym stosunkiem do koleżanek. Dzisiaj pełniła funkcję komendantki świetlicy. Na widok zbliżającej się Gerdy powstała z krzesła i rzekła:

— Źle coś wyglądasz, Gertie. Czyżby cię droga tak zmęczyła?

— Droga — owszem, nie najgorsza. Poza tym prawie dziś spać nie mogłam.

— A to czemu?

Gerda wzruszyła ramionami na znak, że nie zna przyczyny bezsenności.

— Powiedz mi proszę, Ingo — przeszła od razu do innego tematu — czy ty znasz w SS Eugeniusza Peuckerta? Wiesz, taki wysoki, bardzo przystojny, o gładko zaczesanych włosach.

Panna Fiedler skinęła potakująco głową.

— Znam. Mówiono o nim ostatnio dość dużo. Miał zostać przydzielony do gestapo.

— Poznałam go... — Gerda bawiła się trzymanym w rękę nożem.

— W Warszawie?

— Nie, w pociągu.

— Podobał ci się?

— Tak... Dosyć...

Inga przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

— No, a Köstring?

— Ja wiem... Właśnie... To taki miły, dobry chłopak... — Gerda

mówiła coraz szczerzej, przechodząc do szeptu, gdy na sali robiła się cisza, a podnosząc głos w chwilach gwaru i warkotu. Przecież ją chyba Inga rozumie. Uczucia dziewcząt, takich jak ona, doznają zmian. A raczej... to trzeba sformułować inaczej: mężczyzna sam powinien wywoływać uczucia dziewczyny, na której mu zależy. Nie wolno mu czekać, aż jabłko samo spadnie pod nogi, a okoliczności i sytuacja pozwolą mu ją wziąć w ramiona. Peuckert... Uśpiony wciąż leciał w czarną paszczę nocy... Peuckert wcale jej o zdanie nie pytał, kiedy ogarnął ją ramieniem. No proszę, niech sama Inga przyzna, czy to nie jest naprawdę męska postawa?

— Niewątpliwie... Widzę, moja mała, że zaczynasz wkraczać na naszą ścieżkę.

— Co przez to rozumiesz?

Obie paliły papierosy. Pracujące dziewczęta zaczęły spoglądać ku swoim instruktorkom.

— Ingo, Gerdo, może byśmy zaczęły śpiewać?

— Naturalnie. Uwaga. Śpiewamy „Erikę”.

Dziewczynki podjęły zgodnym i pełnym harmonii chórem:

Auf der Heide blüht ein kleines Blümelein
Und das heisst Erika,
Heisst von hunderttausend kleinen Bienelein
Wird umschwärmt Erika...

Gdy już się na dobre rozśpiewały, instruktorki mogły powrócić do przerwanej rozmowy.

— Jesteś ciekawa, co ja nazywam naszą ścieżką? Och, Gertie, nie-szczęściem jest to, że dążymy wciąż ku mężczyźnie i zawsze się na nim zawodzimy. Może zresztą nie zawsze... Ale tylko nieliczne spośród nas znajdują tego wybranego, wymarzonego, jedyne.

— Albo wierzą, że takiego znalazły.

— To ostatecznie na jedno wychodzi. Lecz nawet taka autosugestia zdarza się rzadko. Teraz przynajmniej. Bo dawniej nasze matki starały się uwierzyć, że ten wybrany jest jednocześnie tym wymar-zonym...

— Twierdzisz, że były szczęśliwsze od nas?

— Nie wiem. Ale były spokojniejsze. Miały taką kłamkę, a gdy raz zapadła, wtedy choćby się działy rzeczy straszne — pozostawały.

— Pozostawały przy pustce. Nie zniosłabym tego.

— Myślę, że ja także. Albo musiałabym mieć inaczej urobioną psychikę. Gdybym na przykład wierzyła, że małżeństwo zawiera w sobie jakąś świętość, może bym i wytrzymała.

— Dlaczego nie śpiewacie? — dziewczynki zwróciły się do swych instruktorek. Prześpiewały już wszystkie zwrotki „Eriki” i czekały na dalszą komendę.

— Mamy do omówienia kilka ważnych spraw. Zresztą... — Inga spojrzała na zegarek — zaraz idziemy na plac. Jeszcze tylko kwadrans. Kończcie robotę.

Maszyny zawarczały niby przelatujący nisko nad dachami samolot. Panna Fiedler podjęła znowu:

— Biegniemy za złudą ideału mężczyzny. Nasz ruch pozwolił nam kroczyć śmiało na drodze miłości i nie liczyć się z żadnymi więzami. Dotychczas tylko mężczyzna tak postępował przelatując z kwiatka na kwiatek. Dzisiaj i my zdobyliśmy te męskie prawa. Mam wrazenie, żeśmy nigdy nie posiadały pełniejszej emancypacji.

Znowu spojrzała na zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut. Dziewczynki, bierzcie się do porządków. Tak, Gerdo, nasze matki i babki żyły w klatce i podobno czuły się dobrze. Myśmy wyszły z klatki, lecz...

— I ty, Ingo, czyś ty wyszła z klatki?

Komendantka pokiwała głową. Miała twarz krótką, szeroką, o krwistych rumieńcach na policzkach. Złotawe włosy ocieniały wysokie czoło.

— Ja? Naturalnie... Ale nie mogę powiedzieć, że zyskałam zadowolenie. Ciągle próbuję i wciąż nic. Ech, może będziesz szczęśliwsza.

Przez pół godziny biegały w maskach po placu, dźwigając się wzajemnie na noszach lub na ramionach. Potem odzwierna zawołała Gerde.

— Telefon do pani instruktorki.

Weszła na pierwsze piętro do kancelarii. Wzięła słuchawkę.

— Halo?

— Tu Peuckert. Czy panna von Recke?

— Tak, to ja. Słucham.

— Chcę się z panią dzisiaj zobaczyć.

— Nie pyta pan nawet, czy ja chcę tego spotkania...?

Posłyszała wybuch śmiechu.

— Ależ na pewno... Więc o czwartej w cukierni Köhlera. Przyjadę autem i zabiorę panią. Do zobaczenia.

Położyła słuchawkę i wolnym krokiem zeszła po schodach na podwórze. Peuckertowi powiedziała wczoraj, że go nie chce więcej widzieć. On zaś zaraz następnego dnia po przyjeździe telefonuje do niej. Inga ma rację — weszła na drogę, która jest drogą wszystkich dzisiejszych kobiet, i samo życie zmusza ją do fruwania. Dawniej jej matka czy babka słyszały zatraskujące się za nimi drzwi. Teraz żadnych drzwi nie ma... Żeby tylko była pewna...

Włożyła maskę i przyłączyła się do biegnących dziewcząt. Później kazała im maszerować wokół placu aż do chwili, gdy dzwonek w głębi budynku wezwał je wszystkie na śniadanie. O pierwszej zjawiła się

zastępczyni. Gerda mogła więc wracać do domu. Nie poszła jednak prosto do siebie, ale po drodze wstąpiła do kliniki uniwersyteckiej. Posługaczce kazała poprosić do poczekalni doktor Leni Lutzkendorff. Musiała czekać czas dłuższy, bo asystentka miała właśnie konsultację. Z nudów, zaczęła przerzucać leżące na stoliku czasopisma. Przeczytała jakiś artykuł o Karolu Wielkim i o armii Weyganda. Przez chwilę przyglądała się fotografii przedstawiającej szereg typów, zebranych ze wszystkich części świata. To był skład owej armii: jacyś francuscy „poilus”, brodaci żołnierze Legii Cudzoziemskiej, uśmiechnięci Australijczycy, Murzyni, Arabowie, Tonkińczycy, Hindusi, przeźrażliwie elegancyści oficerowie angielscy, Czesi, Polacy... Przypomniało się jej słyszane kiedyś przemówienie na temat słowiańskiego niebezpieczeństwa. Nawet zapamiętała cyfrę: Słowianie stanowią już w tej chwili czterdzieści sześć procent ludów europejskich.

— Dzień dobry, Gertie. Co cię do mnie sprowadza?

Leni było szczupła, drobna, prawie wiotka. Jej ciemnoblonde włosy opadały falą na szyję. Spod białego fartucha widać było nogi w cienkich pończochach.

Gerda zaprzyjaźniła się z nią przed dwoma laty na jakimś obozie wakacyjnym, gdzie Leni pełniła funkcję lekarki. Panna Lutzkendorff bardzo namawiała Gerdę do studiowania medycyny. „To nam daje prawdziwą niezależność” — mówiła. „I tak jesteśmy niezależne” — odpowiedziała Gerda. „Och nie — młoda lekarka była przeciwnego zdania — mężczyźni biją nas na każdym kroku.”

Leni mogła mieć dwadzieścia siedem lat, nie więcej. Podobno kochał się w niej kiedyś na zabój jeden z wyższych oficerów — pułkownik czy nawet generał — ale ona nie zwracała na niego uwagi. Potem jeden z profesorów ofiarował jej swe serce. Tym także pogardziła. Tak była przywiązana do swej niezależności, że na żadne sentymenty nie dała się nabrać. /

— Długoś na mnie czekała, biedaczko? Trzeba jednak było ratować pacjenta. Zresztą i tak nie wiadomo, czy co z niego będzie. Paskudne powikłanie... Ale ja ci do słowa dojść nie dam.

Siadły obok siebie na małej kanapce w kącie poczekalni. Leni objęła swym wąskim ramieniem muskularny tors przyjaciółki.

— Wyglądasz jak wcielenie zdrowia — zauważyła — więc chyba nie jesteś chora?

— Nie. Czuję się doskonale. I na pewno nic mi nie jest. Jeżeli wpadłam do ciebie — zresztą tylko po drodze — to po to, aby z tobą pogadać. Interesuje mnie pewna rzecz... Po co mam się grzebać w książkach, kiedy mogę ciebie spytać? Prawda?

— Prawda, kochanie...

— Więc... Tak, widzisz ogólnie... Chciałam się ciebie spytać... Ale nie myśl, że ja jestem całkiem głupia i nic w ogóle nie wiem...

— Na pewno wiesz w tej sprawie tyle, co każda inna dziewczyna.

— W „tej sprawie”? Skąd wiesz, o czym chciałam mówić?

Leni machnęła ręką.

— Temat oklepany. Masa dziewcząt przychodzi z tym do mnie. No powiedz, moja miła, ile to już tygodni nosisz się z tą tajemnicą. Bo przecież chyba nie miesięcy?

— Miesiące? Och, nie, nie. Zresztą mylisz się... Ja chciałam tylko zasadniczo... ogólnie...

Panna Lutzkendorff wybuchnęła śmiechem.

— Każda z was, Gertie, kiedy pierwszy raz spróbuje tej sztuki, przychodzi potem rozmawiać ogólnie i zasadniczo. Chcesz, mogę cię zbadać zaraz albo odłożymy to na potem. Nie powinnaś jednak z tym zbyt długo zwlekać...

Spojrzała uważnie w oczy Gerdy.

— Nie ucieszyłabyś się, mając dziecko od ukochanego żołnierza?

Na twarzy Gerdy zastygł wyraz niby przerażenia i wstrętu. Szarpnęła się gwałtownie do tyłu.

— Zlituj się... Dziecko? Teraz, kiedy człowiek rozrywany jest przez pracę? Zresztą... Wiesz, że nigdy nie uchybiłam obowiązkowi, jakie na mnie nakłada idea narodowo-socjalistyczna... Ale dziecko odebrałoby mi niezależność. Zamknęło wolność. Oderwało mnie od ruchu.

Leni kiwała potakująco głową.

— Masz niewątpliwie rację... Zresztą w ten sposób mówi każda z was. Nie wchodzę w to. Ale mówię ci po raz drugi: nie zwlekaj zbyt długo. Kiedy się zdecydujesz, a będziesz wiedziała, że musisz... Zawsze cię czekam, moja mała.

Poklepała ją małą dłonią po szerokich plecach opiętych partyjną bluzą. Przed nimi, na białej ścianie poczekalni wisiał portret wodza. Führer władczy gestem rozkładał ręce i zdawał się obejmować nimi całe wielkie Niemcy, rozpościerające się zwycięsko na wschód i na zachód: poza Ren i poza Wisłę, poza Bełt i poza łuk Karpat.

XVII

Porucznik Lahm wysyłał co miesiąc czuły list do ciotki Luizy, w którym z niepokojem wypytywał o jej cenne zdrowie; narzekał na lekarzy, nie umiejących postawić dostatecznie jasnej diagnozy, a wymagających honorarium, oraz nigdy nie omieszkła wspomnieć w słowach pełnych życzliwości — niemal miłości — o ohydnych, zapasionym ratlerze Puffiku, istocie stojącej najbliższej szkodrośliwego serca ciotki. Regularność tych listów była zastraszająca. W odpowiedzi Karolek otrzymywał list oraz paczkę. W liście były szczegółowo opisane wszystkie nowe i stare dolegliwości ciotki, tudzież: wzmiankowanego Puffika, bo ten przez serdeczną zażyłość ze swą karmi-

cielką odczuwał analogicznie. „Ci lekarze na niczym poznać się nie umięją — powtarzało się w listach. — Biedny Puffik. On nic powie-dzieć nie umie, ale ja wiem, że męcą go kwasy w żołądku i drętwie-nie tylnych łapek.”

Listów tych lekkomyślny młodzieniec wcale nie czytywał, nato-miast z zaciekawieniem zaglądał do paczki, którą w imieniu ciotki wysyłała mu jej dame de compagnie, Fräulein Berta. Zwykle między tabliczkami czekolady albo wśród pudełek z papierosami znajdował się dyszący tęsknotą liścik od biednej dame de compagnie, wzdycha-jącej do Karolka i wyobrażającej sobie, że po kilku spacerach z nią młody lotnik myśli tylko o niej. Ale Lahm z tupetem Herostratesa rzucił nie rozpieczętowane listy Fräulein Berty do pieca, co nie zna-czyło jednak, że wyrzekł się wszelkiego wpływu dame de compa-gnie na zawartość otrzymywanych paczek. Wręcz przeciwnie. Do niej także raz na miesiąc szedł krótki list, pełen mglistych obietnic i niesprecyzowanych zapewnień, uzupełniony wykazem przedmio-tów, których brak Karolek silnie odczuwał. List był przeważnie za-opatrzonej dyskretną uwagą, że przeszkodą w częstszej korespon-dencji jest brak czasu i gotówki, co wywoływało natychmiastową odpowiedź w formie pieniężnego przekazu od ciotki wraz z gorącym podiskiem od Fräulein Berty.

Ponieważ w końcu marca Lahm kończył dwudziesty drugi rok życia, jego list poprzedzający uroczystość był podwójnie długi i podwójnie serdeczny. Wysyłek ten nie chybił celu: obok olbrzymiej epistoły za-wierającej szczegółowy opis cierpień wątrobianych w dwóch wersjach: psiej i ludzkiej, nadeszła monumentalnych rozmiarów paczka z wi-nem, koniakiem, cygarami, papierosami i całą górą słodocy, między którymi znajdował się wspaniały tort, zrobiony dłońmi Fräulein Berty. Na torcie, zamiast świeczek, stały wieżyczki z lukru w liczbie dwudziestu sześciu, co było dowodem że romantyczna dame de compa-gnie dodała mu lekką rączką cztery lata, sobie zaś odjęła prawdo-podobnie dwa razy tyle, realizując w ten sposób gorąco pożądaną idealną równość.

Oficerowie, zebrani w kasynie na „oblewanie” urodzin, ujrawszy tort ryknęli straszliwym śmiechem.

— Hej, Karolek, kogo to obłupiłeś z lat?

— Może ty nosisz cudze lata, jak inni cudzą koszulę?

Lahm, nie stropiony, złamał cztery wieżyczki i włożył je do ust.

— Wygląda to, moi drodzy, na wróżbę, że jeszcze cztery lata bę-dziemy wojować.

— Wypłuj to! Mamy już dosyć Warszawy.

— Chyba że przeniosą nas gdzieś w okolice Biarritz.

— Albo na Sycylię.

— Albo do Tunisu.

— Ja wam powiem, gdzie nas przeniosą. Mam pewne informacje. Tylko sza! Pójdziemy do Klondike.

— Brawo. Puffika zaprzężemy do sanek.

— Ubierzemy się w karakuły ciotki Luizy...

— Dokopiami się złota...

— Karolek będzie tańczył z Indiankami. Może go z jakąś ożeniemy. Ustatkuje się nareszcie.

— Cicho, panowie! Kostrzewa chce mówić. Kostrzewa ma głos.

Hugo wesoło podniósł kielich do góry.

— Zastępując dziś tutaj nieobecnego chwilowo „starszego” kursu, pragnę oficjalnie w imieniu wszystkich zebranych wznieść zdrowie naszego kochanego Karolka. Wszyscy znamy jego zalety, więc nie potrzebuję tu o nich wspominać, wszyscy go kochamy, bo jest wami naszego kochania. A z poznania i z miłości wzrasta między nami szczerą i pełną siły męską przyjaźń. Mówię dziś o niej z dumą, jest to bowiem jedna z najpiękniejszych cech narodu niemieckiego, Freundschaft, Kameradschaft, Bundgenossenschaft — w jakim języku brzmią piękniej te pojęcia? Pijąc więc w tej chwili zdrowie Lahma, wypijmy równocześnie za naszą przyjaźń, dzięki której drzy przed nami świat. Za tę przyjaźń, której symbolem w haśle partyjnym „Freiheit und Brot” jest właśnie chleb — chleb przyjaźni i braterstwa...

— Raczej tort, Hugonie...

— Nie błaznujcie. Za przyjaźń i za Karolka.

— Hura! Hura! Hoch! Hoch! Heil!

Koledzy wśród nieopisanego wrzasku podnieśli Lahma i kilka razy podrzucili go do góry. Sala aż trzęsła się od wesołości. Gdy wreszcie zrobiło się nieco ciszej, jeden z oficerów zaproponował:

— Po wzniosłej mowie Hugona, który chciał nas koniecznie poczęstować chlebem, wypada coś wesołego zaintonować.

— Może: „Trink, trink, Brüderlein, trink”?

— Albo: „Soldaten müssen die Mädelein küssen...”

— Oszalałeś? Wypada coś poważnego.

— No to: „Über alles...”

Z kieliszkami w rękach zaintonowali zgodnym chórem:

Niemcy, Niemcy ponad wszystko,
Nad wszystko, co w świecie masz,
Zjednoczeni i zbratani
Na wroga kroczymy wraz.

Od Kłajpedy aż do Mozy.
Od Adygi aż po Belt —
Niemcy, Niemcy ponad wszystko
Ponad każde z Boga dzieł...

Po odśpiewaniu hymnu chwilę trwała cisza, a potem grzmot wesołości wybuchnął z nową siłą. Wszyscy ci młodzi chłopcy byli tacy zadowoleni z życia. Oto przepyszna wojna, jakiej się nikt nie spodziewał. Trzy tygodnie zwycięstw, a potem rok używania. Nie ma szkół, nie ma nauki, nie ma nawet męczących zbiorów i ćwiczeń partyjnych. Żadnych obowiązków, a za to całkowita niezależność i zwolnienie od nudnych, starych przykłów. Ech, wódz wiedział, jak postępować, aby zdobyć sobie chłopaków. Powiedział, że lepsza jest tęga pięść niż zdrowy mózg w schorowanym ciele. Więc któż im może czego zabronić, im, którzy są uskrzydloną pięścią narodu? Dla nich musi być najpiękniejszy uśmiech dziewczyny, dla nich KDF-y i BMW, dla nich najlepsze jedzenie i najmocniejsze wino. Świat wielkich możliwości stoi przed nimi otworem. Mogą zeń czerpać pełnymi garściami. Ile wlezie. Nawet rzeczy dawniej nie polecane stały teraz do dyspozycji szczęśliwych lotników. Nikt się nie gorszył dobrą wypitką, nikt nie potrzebował ściszać głosu, opowiadając o swych przeżyciach w domu publicznym. Samo dowództwo otwierało takie lokale, sprowadzając do nich najlepiej wyglądające i zdrowe dziewczęta. Niektóre z nich wyglądały, jakby znalazły się tam wbrew swojej woli: buntowały się i rozpaczały. Zresztą, kto wie, może te bunty i rozpacz były tylko robione, aby dostarczyć oficerom zupełnie nowych emocji? Przecież nikt by dziewcząt siłą nie sprowadzał do burdelu.

Major Bertram, wykładowca aeronawigacji, pochylił się ku siedzącemu obok Kostrzewie.

— Pan ma zawsze niesłychanie ciekawe powiedzenia. Choćby dzisiaj ta myśl o chlebie przyjaźni, której zresztą koledzy nie pozwolili panu rozwinąć. Czy pan to rozumie tak, jak katolicy rozumieją swoją komunie?

— Mniej więcej. Tylko że katolicyzm sprowadza realizm chleba do nie dającej się pojąć abstrakcji, ja natomiast chcę dla metafizycznych abstrakcji znaleźć realny wyraz. Chleb jest dla mnie rzeczą istniejącą materialnie, choć równocześnie proces przemiany zboża w chleb stanowi symbol zjawisk, przejawiających się w świecie naszego ducha. Pośród legend chrześcijańskich istnieje mit o kuszeniu Jezusa przez szatana...

— Właśnie o tym myślałem.

— Jest to zresztą przykład walki syryjsko-żydowskiej abstrakcji z aryjskim realizmem czynu. Szatan wciela obce elementy siły, te jednak przekonywająco przemawiają do Kuszonego...

Cały stół zatrząsł się nagle od śmiechu. To porucznik von Berg opowiedział jakiś doskonały kawał. Powtarzali go sobie, toteż śmiech się wznosił kaskadami, to znowu opadał. Wino lało się do nadstawianych kieliszków, oczy oficerów płonęły podnieceniem. Nastroje były doskonałe. Wszyscy mieli już w czubie.

— Tylko dziewczynek brakuje! — ktoś krzyknął.

Herbert pił i żartował z innymi zmywając potokami wina resztkę

tęsknoty za Gerdą. Było mu dobrze w tym beztrosko rozkrzyczanym gronie, wśród coraz mniej cenzuralnych żartów, poklepywań się po ramionach i zapewnień o przyjaźni. Jego dobry nastrój spowodowany był również tym, że wyrosła w nim twarda świadomość męskiej dojrzałości. W ramionach Gerdy dojrzała jego miłość — już nie lękliwa, pozbawiona wstydliwych powijaków. Rozbudzone zmysły grały niby regularnie pracujący motor samolotu. Po raz pierwszy myślał z całą zuchwałością — jak każdy inny chłopak — o płomiennych sprawach ciała, oddzielając je z większą niż kiedykolwiek łatwością od duchowych tęsknot.

— Karolku! — krzyczano przy stole — a jak tam było z piękną Zosią?

— Z Zosią? Wszystko w porządku. Tańczyłem z nią namiętnego focha, przy którym ugryzła mnie w ucho.

— Do licha! Co za dziewczyna!

— Posłuchajcie: ja miałem inną przygodę. To było w tramwaju. Wskakuję na pomost i widzę: bileterka jak malowanie. Dałem jej banknot pięciomarkowy, nie miała reszty...

W kącie Kostrzewa rozmawiał z Bertramem:

— Pan zna tezę o nordyckim pochodzeniu Ammonitów? — pyta major.

— Naturalnie. To mi zresztą tłumaczy, dlaczego nawet Jezus jest w tradycji niebieskookim blondynem. Ale Jego aryjski charakter został skrzywiony przez żydowskie otoczenie. Do nauk Proroka siły fałszerze pism doczepili słowa o miłowaniu nieprzyjaciół...

Nagle ktoś zawołał przekrzykując hałas:

— Zdrowie Kostrzewy, jedyne go trzeźwego człowieka!

Kapitan uśmiechnął się:

— Dziękuję. Chętnie wypiłbym wasze zdrowie, ale jesteście mało przytomni, a ja nie lubię pić z pijakami.

Do sali weszło kilku wykładowców, między nimi kierownik kursu. Pułkownik pochyliwszy się do ucha Kostrzewy coś mu szeptał. Wzrok kapitana zakrzepł w nagłej powadze. Na tle roześmianych twarzy te dwa oblicza odbijały się chłodnym kontrastem: poważne, surowe pułkownika i sprężone w nagłym skurczu woli Hugona. Rozbawieni oficerowie wzniesli kieliszki do góry:

— Zdrowie pana pułkownika!

Pułkownik Fiebig podziękował za ten toast skinieniem głowy. Z kolei sam powstał, uderzając nożem o brzeg talerza. Chór głosów z wolna się uciszał niby powierzchnia wzburzonego morza.

— Drodzy koledzy — zaczął pułkownik — dziękuję za życzenia i spieszę odpowiedzieć innymi, które was niewątpliwie zaskoczą. Kurs nasz, który miał się skończyć około piętnastego kwietnia, zamyka się z dniem dzisiejszym. Jutro ogłoszę wam nowe przydziały: dywizjony i eskadry, do których będziecie musieli niezwłocznie

odjechać. Co oznacza taki rozkaz, domyślacie się sami. Stajemy znowu przed zadaniem wyznaczonym nam przez wodza i musimy je wykonać dobrze. Zadania wyznaczone przez wodza są zawsze trudne, ale też i wspaniałe; życzę więc wam, panowie, abyście w próbie, która was czeka, zyskali sławę i zadowolenie. Za pomyślność naszych skrzydeł!

Powstali z chrzęstem. Kielichy wzniosły się w górę i twardo padł z ust oficerów krótki okrzyk: — Heil! — Ale po nim zapadła cisza. Wzrok trzydziestu oficerów szukał wzroku pułkownika. Nieszczery, zwarzony śmiech zabrzmiał na sali.

— Tym razem Anglia? — ktoś zapytał.

— Zaśpiewajmy — zaproponował Kostrzewa.

Dziwnie mdło zabrzmiały słowa „Horst Wessel-Lied”.

Naprzód, brązowe bataliony!
Szturmowych kolumn niech kroczy ćma,
W czarnej swastyce milionów wzrok utkwiony
Wolność i chleb dzień dzisiejszy da...

Po ostatniej zwrotce zapadła cisza. Poważny nastrój wywołany ogłoszoną nowiną spłoszył beztroski humor obecnych. Oficerowie milcząc kierowali się ku drzwiom. Oczekiwała ich teraz wojna z przeciwnikiem, o którym tyle razy im mówiono, że jest motorem wszystkich akcji godzących w wielkość Niemiec. Z przeciwnikiem, który wprawdzie był sam słaby, lecz który potrafił przed niedawnymi laty zmobilizować przeciwko nim cały świat.

Na podwórzu owiał ich rozgorączkowane głowy chłód nocy. Właśnie dwóch żołnierzy w hełmach, z karabinami, na których połyskiwały nagie bagnety, prowadziło swego kolegę bez pasa i czapki. Tamten — niemłody już mężczyzna z twarzą pocziwego rzemieślnika — powtarzał histerycznie, trzęsącym się głosem: „Nie pójdę. Nie pójdę...” Jego wytrzeszczone oczy spotkały się ze wzrokiem wychodzących oficerów. Wtedy spuścił głowę. Ale jeszcze raz potórzył głucho, ze zduszonej piersi: „Nie pójdę”.

XVIII

Pociąg monotonna stukał po szynach, a przyciemnione światło lampy napępniało mętym blaskiem wnętrze przedziału, ślizgając się po sylwetkach rozwalonych na ławkach mężczyzn. Oficerowie pozrzucali z siebie mundury i powkładali piżamy. Ich walizki wypełniały szczelnie półki, wieszaki ugięły się pod ciężarem szarych płaszczy i okrągłych czapek.

Kostrzewa wyszedł na korytarz i stanąwszy w oknie palił spokojnie papierosa. Czarna przestrzeń przesuwająca się wzdłuż okien wa-

gonów migiała tu i tam płonącymi światełkami. Poznań był za nimi. Najbliższą z większych stacji będzie Frankfurt.

Nad ranem dojadą do Berlina. Potem ekspres północny przywiezie ich do Lubeki. Jeszcze raz będą musieli się przesiąść, aż wreszcie staną na małej stacyjce nadmorskiej w Neustadt.

Od nie domkniętego okna na końcu długiego korytarza powiało chłodem. Hugo otulił się lepiej swą grubą bonżurką, strzepnął popiół z papierosa. Za oknami przedziału trzech jego młodych towarzyszy spało smacznie w półleżącej pozycji: Köstring, Lahm i Schneiditz.

Razem z nim zostali przydzieleni do tej samej eskadry w Neustadt. Hugo myślał o nich z przyjaźnią. Ci trzej stanowili zaczątek jego nowej grupy. Chciał ich urobić na wzór marzenia, które ciągle stało mu przed oczami i któremu on sam starał się być wierny. Zależało mu na tych młodych chłopcach widzących w nim swego przewodnika. O wpływ na nich, o ich przyjaźń gotów był nawet walczyć. Dużo zmartwienia kosztowała go śmierć Waltera — najwartościowszego spośród wszystkich. Nie wyglądało na to, by towarzyszący mu chłopcy byli zdolni do odszczepieństwa. Hugo wiedział z doświadczenia, że opór rodzi się nie w naturach przeciętnych, ale wybitnych, w tych, którzy jednocześnie są dla każdego instruktora i wychowawcy najpożądalszym łupem.

Dlatego też nie mógł nigdy bez uczucia żalu wspominać Waltera. Ten chłopak nie szedł jak inni jego koledzy po linii najmniejszego oporu, by znaleźć się nieuchronnie w gronie wyznawców masowych haseł. Szukał własnej drogi. Kostrzewa w gruncie rzeczy szanował go za tę arystokrację ducha i charakter umiejący się zdobyć na sprzeciwi. Różnili się poglądami, ale byli bliscy sobie postawą polegającą na stwarzaniu własnego światopoglądu. Hugo nie dlatego był hitlerowcem, że za wodzem od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego szły tłumy — on umiał nim być jeszcze wtedy gdy za Hakenkreuz na klapie czy na rękawie można było dostać kulą w łeb w mrocznym zaułku. Walter potrafił być humanistą, chociaż humanizm, demokrację, liberalizm i żydostwo potępiano na wschód i zachód od Szprewy.

Szczęknęły za nim przesuwane drzwi i oficer ujrzał szerokie bary wychodzącego z sąsiedniego przedziału mężczyzny. Kiedy tamten podniósł głowę, Kostrzewa zobaczył siwe włosy zaczesane gładko na skroniach, prosty nos nad kępką przystrzyżonych wąsów, twarz pełną zmarszczek. Stary pan wyjął z kieszeni cygara.

— Czy mogę pana prosić o ogień?

— Proszę.

Nieznamy pochylił się nad pełzającym płomieniem zapalniczki.

— Danke... Danke schön... — podniósł wzrok na Hugona, chwilę uważnie patrzył mu w twarz. — Czyżbym się mylił? Zdaje mi się, że kapitan Kostrzewa?

Powiedział wyraźnie: Kostrzewa, a nie jak inni Kostcewa.

— Tak, to ja.

— Kapitan Henryk Kostrzewa?

— Hugo Kostrzewa.

— Hugo... — znowu dłuższy czas patrzył mu prosto w oczy. — Hugo... — powtórzył kilkakrotnie. — Pan mnie nie poznaje, panie kapitanie? — zapytał wreszcie.

— Niestety, nie...

— A jednak ja pana poznałem po tylu latach. Zaraz przestanę pana intrygować. Czy pamięta pan rok tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy? Wycieczkę na pole bitwy pod Tannenbergiem?

— Pamiętam.

— Oprowadzałem was wówczas po pobojuwisku...

Teraz Kostrzewa wpatrzył się pilnie w twarz mówiącego. Nagle sprężył się cały.

— Pan generał von Grote.

Stary oficer lekko się uśmiechnął.

— A więc jednak pan mnie poznał. Bardzo się cieszę, spotykając pana po raz drugi w życiu. Przyzna pan jednak, że stara pamięć jest lepsza niż wasza, ludzi młodych. Bo wtedy zamieniliśmy ze sobą zaledwie kilka słów. Objaśniałem wam — pamięta pan? — genialny manewr Hindenburga. Potem siedliśmy na trawie. Wszyscy z apetytem jedli przyniesione ze sobą zapasy. Tylko pan podszedł do mnie i zapytał, czy to tu odbyła się krwawa walka Zakonu z Polakami. Wskazałem panu pobojuwisko i kamień położony w miejscu, gdzie padł bohaterski Ulrich von Jungingen. Pan stał w postawie wyrażającej najwyższy szacunek, a potem powiedział głosem nad miarę poważnym: „Czy sądzi pan, panie generale, że klęska zadana Rosjanom na tych polach jest dostatecznym odwetem za tamtą klęskę?”

— Pan generał tak doskonale pamięta. Jestem zdumiony...

— Och, zainteresował mnie pan swoim pytaniem. Muszę panu zdradzić, że pytałem potem nauczyciela o pana.

— Nie byłem dobrym uczniem.

— Tym się nie interesowałem. Dla mnie dobrym uczniem jest ten, który chce i potrafi uczynić z siebie posłuszne narzędzie swej woli.

— Lecz i ja pamiętam, panie generale, co mi pan wówczas odpowiedział. Zakreślił pan ręką krąg i rzekł: „Jesteśmy otoczeni wrogami, a każdy z nich czyha na naszą wielkość. Pamiętaj, przyjacielu, że nie wystarczy raz odrzucić wroga, a potem spocząć na laurach. Rozlanie krwi niemieckiej jest zniewagą, wołającą do nieba o pomstę. Lecz kto jej dokona, jeśli nie nasz własny miecz? Nasza wola jest wolą Opatrzności i nasz oręż jej orężem. Zostaliśmy stworzeni

po to, aby przez nasze zwycięstwo zstąpił na ziemię prawdziwy pokój”.

— Wspaniale. Trudno mi uwierzyć, że można przez trzynaście lat pamiętać tak dobrze cudze słowa.

— Zapadły mi one w duszę, panie generale.

Lokomotywa gwizdała przeraźliwie. Przejeżdżali koło jakiejś uśpionej w cieniach nocy stacji. Chwilę milczeli. Pierwszy podjął rozmowę stary generał.

— Mówiono mi o panu, kapitanie Kostrzewa. Dobrze mi o panu mówiono. Pan posuwa się w górę...

— Staram się iść tam, panie generale, gdzie mnie wzywa głos obowiązku.

— Lecz nawet na drodze wskazanej przez głos obowiązku można znaleźć zaszczyty, słowa uznania, odpowiednio wysokie stanowisko. Czyżby to pana nie pociągało? Czyżby pan od życia niczego nie pragnął?

Kostrzewa wpatrzył się w czarną dal nocy i skaczące plamy blasku na nasypach kolejowych, rzucane przez oświetlone okna wagonów.

— Niewątpliwie tak nie jest — przyznał. — Chciałbym móc kierować ludźmi, wychowywać ich, kreślić wielkie plany i wcielać je w życie...

— A jak tym planom na imię, panie kapitanie?

— Wszystkie plany, które układam, mają jedno imię: Niemcy.

— Poświęciłeś się całej pracy, kapitanie Kostrzewo. Lecz czego oczekujesz za to od swej ojczyzny? Uznania? Kierowniczego stanowiska? Wybacz, że się o to pytam. Lubię jednak wiedzieć, co myśłą o sobie młodzi.

— Panu generałowi chętnie odpowiem. Jeżeli czegoś oczekuję, to umożliwienia mi kontynuowania mej pracy. Sądzę, że wszystko inne — stanowisko kierownicze, o którym był łaskaw wspomnieć pan generał — stanie się wykładnikiem mego wysiłku.

— Nie zawsze człowiek bywa doceniony...

— Liczę się z tym, panie generale.

— Nie zawsze człowiek zostaje dostatecznie wcześniej doceniony. Mieliśmy tego przykład w historii. Słyszał pan pewno o tym Polaku Sułkowskim, który służył pod Napoleonem i podobno miał go przewyższać militarnymi zdolnościami...

— Gdyby go naprawdę przewyższał, panie generale, potrafiłby stanąć na miejscu zwycięzcy spod Jeny.

— Wierzysz więc mocno, kapitanie, że wola człowieka wyznacza całkowicie jego los?

— Wierzę, że wola tworzy człowieka.

Von Grote oparł dłoń na ramieniu Kostrzewy.

— Cieszę się, że pan tak myśli. Bardzo się cieszę. Niemcom potrzeba ludzi stworzonych przez wolę. Ludzie „górných” Niemiec nie zawsze rozumieją nas „kresowców”, posiadających taki właśnie typ myślenia. Pamiętam pana jako chłopca w powycieranym ubranku. Ale z tego, co wówczas powiedziałeś, wysnułem wniosek, że nie należysz do tłumu. Dziś przerosłeś go o głowę. Brawo! Na równinach tannenberskich poczynają się ludzie nieprzeciętni, ludzie stworzeni po to, by spuściznę Niemiec trzymać w dłoniach.

— Rzeczywiście, panie generale, wyrosłem na ziemi, którą uświęciło swą krwią rycerstwo teutońskiego zakonu. Wiem, co znaczy takie dziedzictwo.

— Lecz czy rozumiesz je dobrze, kapitanie Kostrzewo? Czy wiesz, jak się ono nazywa?

— Myślę, że wiem. To dziedzictwo zwię się wojną.

— Wojną bez pardonu, wojną bez miłosierdzia, którą prowadzi się na każdym polu i każdymi środkami.

— Jestem tylko żołnierzem, panie generale. To znaczy usunąłem z siebie wszystko, co nie jest pragnieniem walki i radością zwyciężania.

Stali naprzeciwko siebie przenikając się wzajemnie wzrokiem. Pociąg gwizdał na skrócie ukazując z prawa światła mijanego miasta.

— Zbąszyń — rzekł von Grote. — Rok temu mieliśmy tutaj granicę...

Kostrzewa wydał lekko usta.

— Dziś nie zatrzyma się tutaj nasz pociąg...

— Dziś mu zatrzymać się nie wolno. — Głos generała drżał najwyższym napięciem uczuć. — Dziś nadszedł dzień zerwania ze słabościami, kapitanie Kostrzewo. Ludzie urodzeni na tannenberskich polach nie oglądają się na zachód. Jeżeli Niemcy mają być tym, do czego je los powołał, muszą być nieubłagane w swym dążeniu przeciw biegowi słońca. Żadnego humanitaryzmu! Rozumiesz, kapitanie? Rozpoczęliście walkę posłuszni instynktowi rasy. Prowadziliście ją dobrze, ale nie doprowadziliście jej jeszcze do końca. Chcę was zakląć na pamięć Barbarossy, byście nie lekceważyli tej stugłowej hydry. Zachód wam nie ucieknie. Zachód zgnije i spadnie sam w nasze dłonie. Inaczej tutaj. Tutaj każdy: mężczyzna, kobieta czy dziecko jest naszym wrogiem. Nie wiercie, żeście ich pobili łamiąc ich armię. Z bronią w ręku są mniej dla was straszni niż w swym zaciekłym trwaniu. Nie wiercie im, gdy się gryzą ze sobą. Z całą swoją kłótnością są bardziej zwarci niż my. Nic ich odmienić nie zdoła i tylko śmierć potrafi ich zniszczyć. Musicie uczynić ich życie takim, aby im się żyć odechciało. Wy to potraficie — wiem, jak pozbywaliście się przeciwników. Więc dalej — do dzieła! Niech nas nie zatrzymuje płacz ich kobiet — są one bardziej stalowe niż nasze szturmowe kolumny. Zatkajcie uszy na lament ich dzieci. Zdławcie w sobie litość, jak zdławiliśmy ją my wszyscy, którzy siedzimy na ziemiach wschod-

niopruskich. Gdyby nie ten nasz wysiłek od ośmiuset już lat trwający, stracilibyśmy te ziemie. I jeśli ustaniemy w pracy, natychmiast je stracimy. Nie myślcie o jakichś obowiązkach humanitaryzmu. Humanitaryzm jest zbrodnią, jeżeli występuje przeciwko nam. Prawem naszym i prawem świata jest niemieckie zwycięstwo. Opatrzność stworzyła nas wilkami, więc musimy pożerać owce.

Urwał i dyszał ciężko. Jego jasnoniebieskie oczy, po starczemu wyblakłe, zdawały się szukać w szarych oczach Kostrzewy jakiegoś protestu czy zaprzeczenia. Drżące dłonie chwyciły poły bonzurki Kostrzewy.

— Czy tak właśnie myślisz, kapitanie? — pytał. — Czy o tym wszystkim pamiętasz? Czy lecąc z twarzą zwróconą na zachód niej zapomnisz, że twoja myśl musi być przykuta do granicy wschodniej?

Hugo nie odpowiedział od razu. Wzrok jego obiegnął sylwetkę staro generała, te szerokie ramiona, olbrzymie, choć dziś trzęsące się już dłonie, hardy, pruski kark, pociągłą twarz. Potem wyrwał przez okno w czerń uciekającej nocy, w szarą pustkę płaskich pól Wielkopolski. Za nimi pozostała granica, która, czuł to dobrze, już w tym miejscu nie wyrośnie. Wreszcie rzekł:

— Mam naturę obcą jakiegokolwiek połowiczności, panie generale. Toteż gdyby ktoś postawił przede mną alternatywę: wszystko albo trochę, odpowiedziałbym krótko: nie! wszystko albo nic!

W oczach generała mignął przelotny płomień. Coś jakby uczucie dumy, a jednocześnie złośliwego zadowolenia odmalowało się na jego suchej twarzy. Gestem protekcyjnym poklepał Hugona po ramieniu.

— Bardzo dobrze. Tak właśnie mówili wielcy Niemcy. Pamiętasz, kapitanie, ten dwuwiersz Göthego: „Die wenigen Bäume nicht mein eigen verderben mir den Weltbesitz?”

— Pamiętam, panie generale. A jeszcze lepiej pamiętam to, co mówi Lucyfer Milтона: „Lepiej panować w piekle, niż służyć w niebie...”

Znowu spojrzeli na siebie, po czym baron zaśmiał się krótko, lecz hałaśliwie. Z kieszeni kamizelki wyjął dwa grube cygara, jednym poczęstował Kostrzewę, drugie sam wziął w usta. Kapitan trzasnął zapalniczką i podał generałowi ogień. Zaciągnęli się równocześnie i równocześnie puścili pod niski sufit wagonu kłęb błękitnego dymu.

— Kapitanie Kostrzewo — rzekł von Grote — podczas urlopu chciałbym pana widzieć u siebie. Teraz jadę do Berlina i tam już zostaję. Czekam więc na pana. Będzie pan u mnie? Na pewno?

— Na pewno, panie generale.

W odpowiedzi Hugona nie było ani śladu uniżoności, choć zaproszenie sprawiło mu niewątpliwie przyjemność. Von Grote był jednym z przywódców wschodniopruskiej junkierskiej grupy, a poza tym

człowiekiem znanym. Już podczas poprzedniej wojny miał stopień generała. Ale Hugo zdziwiłby się bardzo, gdyby ujrzał, jak baron, znalazłszy się już sam w cieniach przedziału, sięgnął do portfela i wyjąwszy niewielką fotografię przyglądał się jej czas jakiś w skupieniu. Z fotografii bowiem — zwykłej odbitki zrobionej do legitymacji szkolnej — patrzyły spod dużego daszka czapki szare oczy Kostrzewy, a wąskie usta układały się w grymas nieustępliwego uporu.

XIX

Morze szumiało w srebrnej poświacie gwiazd. Od wielkiej płaszczyzny wodnej, po której biegły pienne pręgi, wiało przejmującym zimnem. Lotnisko było zmrożone, zlodowaciałe zielsko chrzęściło pod nogami.

Akurat wyszli z odprawy. Major Wiktor Kerschensteiner rozerwał przy nich kopertę z rozkazem i powiedział im o otrzymanych zadaniach. A więc eskadra „Much” ma rozpocząć z pierwszym świtem bombardowanie linii kolejowej Andalsres — Donbas — Harar — Oslo. Gdyby Anglikom udało się wylądować w Ronsdal, eskadra ma niezwłocznie zameldować się po dalsze rozkazy do Bergen. Gdyby natomiast w Bergen nie udał się desant niemiecki, należy wracać na lotnisko macierzyste.

Oficerowie kiwnęli głowami na znak, że rozkaz rozumieją. Chwacka to była eskadra. Dowódca major Kerschensteiner, jego zastępca kapitan Otto Runge, kapitanowie Hugo Kostrzewa i Maurycy Pfeffer, porucznicy Oskar Kuntze i Johan Hubek oraz podporucznicy Fritz Fay, Herbert Köstring, Karol Lahm i Wolfgang Schneditz.

— Może się napijemy? — zaproponował Kerschensteiner.

Ordynans przyniósł butelkę koniaku. Wychylił kieliszek za pomyślność całej wyprawy, drugi za pomyślność eskadry. Umysły poczęły żywiej trawić każdą myśl. Koniak był mocny, alkohol parował zeń aromatycznie. Znowu wypili. Teraz widzieli wszystko jasno i prosto. Każde zadanie wydawało się diablo łatwe. W parę godzin zająć Norwegię — to mi sztuka! Za zdrowie commodore Kerschensteina! Ordynans majora postawił drugą butelkę. Ten i tamten spojrzal na zegarek. Jeszcze kwadrans.

Czas leciał jak na skrzydłach. Wypolerowane przez mróz gwiazdy szkliły się jaskrawo na wysokim niebie. Morze ryczało, bijąc zaciekle w podstawę Półwyspu Jutlandzkiego.

— Trzymajcie się mocno — mówił dowódca eskadry.

Kerschensteiner miał twarz krótką, szeroką, o potężnej, ciężającej ku dołowi szczęce. Małe oczka biegały żywo po twarzach podwładnych, grube palce pokryte rudawymi włosami zaciskały się na nóżce kieliszka.

— Będziemy bili bez żadnej litości. — Podniósł kieliszek do góry: — Za celny lot naszych bomb!

— Hura! — zawołali młodzi, których alkohol napęlił niezwykłą fantazją. — Pokażemy Anglikom, co to znaczy zacząć z nami!

Podoficer służbowy zjawił się w progu meldując, że godzina odlotu nadeszła.

— Do samolotów!

Biegiem dopadli swoich stanowisk. Trójramienne śmigła już wylły — obsługa rozgrzała motory. Kiwnęli sobie wzajem rękoma, zamknęli budki. „Stuki” startowały jedna po drugiej unosząc się nad zwelnioną powierzchnią morza. Z wygiętych skrzydeł Junkersów ześliznął się na ziemię pierwszy szary brzask dnia.

Pod sobą mieli morze oraz pełną zatok i wyszarpięć krawędź półwyspu. Aarhus mignęło w dole ostatnim blaskiem gasnących lamp. Nad ziemią wisiały tumany mgły. W szparze nisko zwisających chmur ujrzeli zawaloną wojskiem szosę. Obok drogi wyłożono rozpoznawcze znaki niemieckie. A więc także i Dania?

Potem płynęli już nad morzem, ale krótko, bo zaraz na horyzoncie zarysowały się białe szczyty Norwegii. Przelecieli nad koronką fiordów; łańcuchy górskie poczęły się kłaść przed nimi i rozplaszczą ciemnymi, krętymi liniami dolin oraz śniegiem przysypanych zboczy. Miasta, osady, wsie, wciśnięte między góry, migwały tu i tam. W pewnym momencie wykwitło w sąsiedztwie skrajnego w kluczu samolotu kilka białych pióropuszków dymu. Strzelano do nich. Ale oni nie dali się zatrzymać. Rozkaz pędził dalej.

Dzień wstał słoneczny, bardzo piękny. Małe strzępiaste obłoczki gromadziły się w górze nie zaciemniając widoku. Wał górski skończył się wreszcie. Znowu ujrzeli porznięte fiordami wybrzeże i szare, zbałwanione morze. Pod nimi w głębi fiordu leżał port — cel ich wyprawy, a ku niemu przez morze zmierzały czarne cielska okrętów. Gdy tylko pojawili się nad portem, zaczęto do nich strzelać, ale na tej wysokości, na jakiej się obecnie znajdowali, pociski nic im nie mogli zrobić.

Kraźyli jak stado drapieżnych ptaków upatrujących sobie zdobycz. Potem od razu Junkers Kerschensteinera machnął nurka w dół. Śledzili go niecierpliwym spojrzeniem. Kiedy nagle wyrównał, ujrzeli w dole słupy dymu.

Rozpoczęła się walka. Ludzie w dole wysypywali się z wagonów i rozbiegali po krzakach, rowach czy budynkach. Kostrzewa wyrznięła dwiema na raz bombami w tor kolejowy. Tamci odpowiadali ogniem. Pociski armatnie mijały ich wśród przeraźliwego jazgotu, karabiny maszynowe tłukły po ścianach i po nadwoziach aparatów. Lotników ogarnął szal bojowy. Niby zgłodniałe ptactwo rzucali się wściekle na każdy cel, który krył lub mógł kryć ludzi. Pierwszy Hubek, niski blondyn o okrutnym i złośliwym uśmiechu, wpakował kilka bomb między domy miasteczka. Po nim zrobił to Lahm, wresz-

cie Köstring. Czarny dym buchnął spośród białych płaszczyzn zaśnieżonych dachów. Pozbywszy się ładunku bomb, samoloty zaczęły tłuc ogniem karabinów maszynowych po molo, gdzie płątały się zielone figurki żołnierzy, po pokładach okrętów, po stacji kolejowej, po wagonach, po torach, po domach. Po chwili jednak kapitan Pfeffer uciekł świecą w górę. Herbert, przelatując w pobliżu, ujrzał strzaskane koło i czarne dziury w bokach samolotu. Fay także lawirował ku górze, podszedłszy nieostrożnie w chwili skrętu pod ogień ukrytego na maszcie okrętowym karabinu maszynowego. Sygnał radiowy zastępcy komendanta eskadry wyrwał ich z upojenia walki. Po chwili lecieli już wysoko w kierunku Bergen.

Czujnie przelecieli nad Voss — bramą między szczytami Lönehorgie i Handalsnut. Ale wzdłuż linii kolejowej Voss — Oslo leżały już rozpoznawcze znaki niemieckie. Zatoczyli krąg nad kąpiącym się w blaskach słońca fiordem Hardanger. Z ziemi przyszedł rozkaz: lądować.

„Stuki” — jedna za drugą — siadały na zaśnieżonym lotnisku bergeńskim. Wokół lotniska w pośpiechu rozstawiały się działa przeciwlotnicze i kilka Messerschmittów gotowych do lotu czekało na nieprzyjaciela.

Wyskoczyli z kabin. A więc już na ziemi norweskiej. Z dala dochodziło głucho dudnienie armat i jazgot karabinów maszynowych. Grupa oficerów w skórzanych płaszczach stała na środku lotniska. Po chwili przybiegł do tej grupy jakiś porucznik wołając Kerschensteinera, aby zameldował się u generała Milcha.

Oficerowie rozejrzawszy się po lotnisku zaczęli sprawdzać swoje aparaty. Kilka z nich miało dziury od kul karabinowych. Pfeffer ledwo zdołał wylądować mając zgruchotane podwozie. Fayowi ogień karabinów maszynowych zerwał pokrywę kabiny i zranił w ramię obserwatora. Od Messerschmittów podeszło do nich kilku oficerów. Podawali im ręce.

— Szkoda, żeście nie przylecieli piętnaście minut wcześniej — mówił jakiś porucznik, niski chłopak ze śmiesznym, po dziecinnemu podniesionym nosem, kłócącym się z łysiejącą już czaszką. — Mie-liśmy tu atak Tommies.

— Zostawili co? — spytał Köstring.

— Kropnęli jednego z naszych na ziemi — porucznik wskazał ręką stos pogruchotanego żelastwa w kącie lotniska — ale sami uciekli. Mało ich, są jednak diabło starannie wyszkoleni.

Grupa wyższych oficerów na środku lotniska debatowała nad czymś z zapalem. Krótkonosy generał Milch w białych botach na nogach mówił coś, prawie krzyczał do Kerschensteinera, popierając swe słowa jakąś orientalną gestykulacją. Commodore potakiwał prężąc się słuźbiście.

Tymczasem ukazały się nad lotniskiem dwa ciężkie samoloty trans-

portowe. Gdy wylądowały, z ich brzuchatego wnętrza zaczęli się wylądowywać żołnierze z rowerami.

Dowódca eskadry „Much” biegnąc wołał już z daleka:

— Runge! Zarządź lądowanie naszego transportu bomb. Zaraz lecimy. Przekąście sobie na razie coś niecoś...

Wygrzewająca się pod płotem na słońcu obsługa stanęła na nogi. Na małych wózekkach wieziono bomby i doczepiano je do samolotów. Runge wydawał zarządzenia:

— Maurycy, ty nie lecisz. Niech twój obserwator przyjdzie na samolot Faya. Przypilnuj za to całej roboty. My się rozejrzymy za jakimś żarciem.

W sąsiednim budynku wydawano chleb, wędliny oraz napełniano szklaneczki koniakiem. Łykali spiesznie jedzenie, nie żałując sobie alkoholu.

— Uwaga! Uwaga! Nieprzyjacieli!

Artyleria przeciwlotnicza rozpoczęła zawziętą kanonadę. Messerschmitty już się darły stromo w górę, gdzie trzy dwumotorowe Bristole kręciły się niespokojnie na bardzo dużej wysokości. Potem powietrzem targnęła głucha detonacja zrzucanych bomb.

— Startować! Startować! — darł się commodore.

Kończąc spiesznie jedzenie zapuszczano motory. Pierwszy naturalnie śmignął Kostrzewa. Artyleria tymczasem ucichła, bo tam wysoko rozgrywała się zawzięta walka trzech Bristol-Blenheimów przeciwko trzem Messerschmittom.

Jednak nie mieli czasu na nią patrzeć. Wzięli już kierunek z powrotem na Romsdalefiord. Niedaleko ulecieli, kiedy z roziskrzonego nieba wypadły na nich jak dwa złośliwe psiaki — dwa Spitfire’y. Obciążone bombami „Stuki” były prawie bezbronne wobec ataków szybkich samolocików, więc tylko zachowując groźną postawę trzymały się kupy. Tamci wychodzili wprost ze siebie, aby oderwać choć jeden samolot od klucza. Wreszcie udało im się zepchnąć w dół Hubka. Ten widząc, co się święci, rzucił się od razu nurkiem w dół. Oba pościgowce za nim. Porucznik nie dał się jednak spłoszyć. Przede wszystkim — precz bomby. W dole mignęła mu jakaś wieś, więc bez namysłu cisnął je wszystkie między domy. Potem nieoczekiwanie wyrwał się do góry. Uff. Samolot zmienił kierunek pod ostrym kątem, Hubek zaś aż skreślił się w kłębek na swym fotelu, aby oszczędzić sercu strasznego uderzenia. Teraz Spitfire’y zostały w dole, a on gonił swą eskadrę ile sił w motorze. Po chwili dopadł klucza. Natarczywi Anglicy gdzieś się zgubili; może sobie upatrzyli inny cel.

Zaledwie dolecieli do Andalsnes, już ich powitał ogień dział. Angielska armia wylądowywała się w najlepsze. Kostrzewa i Runge próbowali zrzucić bomby na okręty, ale niełatwo było trafić w brońące się wściekłym ogniem cele. Lahm z gniewem cisnął znowu

swój ładunek na dachy osady. Kerschensteiner starał się rozbić stację kolejową. Zresztą bez skutku. Ogień działał był nieoczekiwanie gęsty i nieporównanie skuteczniejszy niż rano. Potem wypadło na nich pięć nieprzyjacielskich pościgowców. Nie można było nie przyjąć walki, więc samoloty zaczęły wokół siebie zawzięty taniec.

Źle by było z eskadrą, gdyby przeciwnicy znaleźli się w większej liczbie i gdyby zamiast przestarzałych dwuskrzydłowych Glosterów runęło na nich pięć Hurricane'ów czy Spitfire'ów. „Stuki” nie ustępowały Glosterom w szybkości, toteż mogły się wymknąć ich koncentrycznie bijącym czterem karabinom maszynowym, a nawet przy zręcznej ewolucji zagrozić samym napastnikom. Kostrzewa zuchwałym zwrotem zmylił goniącego za nim Tommy'ego i podprowadził go pod ogień tylnego karabinu maszynowego. Potem Hubek wsiadł z tyłu na Gladiatora, ścigającego Lahma, aż tamten musiał puścić swoją ofiarę i niby wielką wążką odlecieć. Runge i Kerschensteiner odpierali wspólnie atak innego pościgowca.

Wreszcie gdy do ich grupy doszedł jeszcze Kostrzewa, Anglik znalazł się w pułapce. Wystarczyło, że zwrócił się przeciwko jednemu z nich, a już dwaj pozostali siedzieli mu na ogonie. Przy nagłym wirażu motor Glostera ogarnęły płomienie. Pilot szybko wyskoczył i płynął w dół podtrzymywany przez płachtę spadochronu, samolot zaś zsuwał się spiralami w dół, wlokąc za sobą wstęgę czarnego dymu.

Cztery pozostałe Glostery widząc, że nie dadzą rady eskadrze „Stuk”, zręcznym atakiem odbiły Faya i zagoniły go nad morze. Próżno usiłował wyrwać się z ich szponów. Gnały go coraz dalej w szarą pustkę Północnego Morza, jakby chciały zapędzić go aż do brzegów wyspy. Próżno pozostałe Junkersy popędziły całą siłą motorów za oddalającą się grupą. Tamci lecieli z równą szybkością. Wreszcie Fay zrobił rozpaczliwą próbę wyrwania się: strzelił świecą w górę, lecz w tym samym momencie znalazł się w kręgu ostrzału wszystkich samolotów nieprzyjacielskich. „Stuka” machnęła koźlą w tył i nagle wpadła w korkociąg. Widać było, że nikt już nią nie kieruje. Nad samą powierzchnią morza jedno ze skrzydeł odpadło i samolot zanurzył się w szare fale. Nadlatujący koledzy ujrzeli przez chwilę stojące pionowo skrzydło, przypominające rękę tonącego, beznadziejnie wzywającego pomocy. Było to pożegnanie Faya. Zimna głębia zamknęła się nad nim i nad jego aparatem. Glostery odleciały pomściwszy stratę kolegi, eskadra zaś zatoczyła krąg nad miejscem, gdzie zatonął Fay, i zawróciła w stronę ładu. Przelecieli nad ogromnym fiordem Sogne, dysząc gniewem i pragnieniem zemsty. Zaledwie minęli łańcuch, ośnieżonych gór i znaleźli się nad dolinami, jakby ulegając wewnętrznemu nakazowi zniżyli lot. Ach, te chaty o spadzistych dachach — ileż one budziły w nich krwawej nienawiści. Karabiny maszynowe zaskrzeczały głucho. Nie darowali nikomu: ani bydłu na polach, ani wozom ciągnącym krętą drogą, ani ludziom usiłującym skryć się pod drzewami. I tak póki tylko mieli amunicję w pasach i póki w bakach pluskała benzyna, napełniali doliny krwią. Za śmierć

Faya kazali płacić chłopom norweskim. Dopiero wtedy, pełni zadowolenia, wylądowali na lotnisku w Bergen.

Tu ich czekał rozkaz lotu na Donbas. Kiedy mechanicy i obsługa ziemna oglądali aparaty doczepiając bomby i napełniając baki benzyną, oni w pośpiechu wzięli się do obiadu, który dla nich został przygotowany. Znowu pili koniak z cienkich szklanek. Ogarnęło ich podniecenie bojowe, w którym zatoneły wszystkie dawniejsze niepokoje. Poza Kerschensteinerem i Rungem wszyscy po raz pierwszy brali udział w lotniczym boju. Dzisiejszy dzień mógł ich napełnić dumą i radością. Zwycięstwo szło ich śladem — nie mogło być inaczej. Przekrzykiwali się wzajemnie, opowiadając sobie dzisiejsze wrażenia. Dlaczego tak bano się w kraju Anglików? Przez to oni sami czuli jakby lekki niepokój na myśl o pierwszym zetknięciu się z potężnym wrogiem. Niepokój ten zgasł w chwili, gdy odparli pierwszy atak myśliwców angielskich i gdy ujrzeli rozpraszające się w dole figurki w mundurach koloru khaki. Spłatali wyspiarzom znakomitego figla. Gdy tamci chcieli po cichu zająć Norwegię, oni ich uprzedzili i zepchnęli lądujących do morza. Ci, którzy zdołali wysiąść na ląd, na pewno wpadną także w ich ręce. Jak piękne są zwycięstwa i jak wspaniała jest młodość! Nie mogli oprzeć się chęci wzniesienia norweską wódką zdrowia wodza, potem Göringa, potem Milcha. W końcu zaśpiewali wesoło:

Was unsere Väter schafften, war also bald vertan
Der Führer hat gerufen, wir folgen Mann für Mann...

Skrajem lotniska żołnierze prowadzili jeńców norweskich. W błękitnych oczach jasnowłosych olbrzymów tliło się zdumienie. Poddani króla Haakona, nawykli do walki z surową przyrodą, zapomnieli już — w ciągu całych wieków pokoju — jak się walczy z ludźmi. Dlatego tak szybko ulegli.

Oficerowie eskadry „Much” patrzyli na nich z pogardą, dążąc ku zrywającym się do lotu samolotom. Dla nich tylko siła była cnotą człowieka, zaś zwycięstwo miarą jego wielkości.

XX

Hugo opuścił zaciemniony dworzec i wsiadł do taksówki. Przede wszystkim kazał się zawieźć do hotelu. Tutaj umył się, ogolił, starannie i własnoręcznie oczyścił swój mundur, który zdobila przewleczone przez otwór guzika wstążka EK II. Godzina była wczesna, toteż postanowił jeszcze dziś załatwić część swoich spraw. Wyszedł na korytarz do telefonu. Nakręcił numer, znaleziony w książce telefonicznej. W słuchawce posłyszał męski głos.

- Czy zastałem generała barona von Grote?
- Owszem. Mogę wiedzieć, kto mówi?

— Kapitan Kostrzewa.

Tamten odszedł od aparatu. Hugo czekał. Zdawało mu się, że odróżnia w słuchawce gwar zmieszanych męskich głosów. Potem ciężkie kroki. Wreszcie rozległ się nosowy głos generała.

— Kapitan Kostrzewa? Jest pan w Berlinie? Chciałbym pana zobaczyć.

— Kiedy pan generał pozwoli się odwiedzić?

— No, a ile dni ma pan urlopu?

— Trzy, panie generale.

— Więc może jutro? Dobrze? Czekam pana o czwartej. I niech się pan z nikim na wieczór nie umawia, bo ja chcę pana mieć do późna. Więc — zgoda? No, to do zobaczenia.

Hugo położył słuchawkę. Ale nie odszedł od telefonu. Chwilę zbierał myśli, jakby przygotowując się do następnej rozmowy. Wreszcie zażądał połączenia.

— Halo!

— Czy mogę mówić z panną Gerdą von Recke?

— Przy aparacie.

— Dzwoni kapitan Hugo Kostrzewa, kolega Herberta...

— Och, znam pana ze słyszenia, panie kapitanie. Lecz dlaczego?

— Proszę się nie obawiać. Herbert jest zdrow i cały. Napisał nawet list do pani i prosił, abym pani osobiście wręczył.

— Bardzo jestem panu wdzięczna. Kiedy ma pan czas, panie kapitanie?

— Choćby w tej chwili.

— Wobec tego proszę do nas. Czekam.

Hugo wrócił do pokoju. Jeszcze raz obejrzał się starannie w wiszącym nad stołem lustrze, obciągnął na sobie mundur, przyglądał się szczotką włosy. Upewnił się, że ma w kieszeni list Herberta. Zapalił papierosa.

Nie od razu wyszedł. Kilka razy przespacerował się tam i z powrotem po pokoju z rękami w kieszeniach, głową spuszczoną. Rozważał zawczasu oczekującą go rozmowę i przygotowywał się do niej jak do decydującej bitwy. Wreszcie powziął decyzję. Pogwizdując przez zęby, wyszedł na ulicę.

Szerokie, proste ulice Berlina prowadziły go do celu. Stanąwszy przed drzwiami na Robert Kochstrasse nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu Gerda. Miała na sobie bluzę partyjną z krawatem i czarną spódniczkę.

— Czy to pan kapitan Kostrzewa?

Hugo nie uznawał konwenansów.

— Znam panią z widzenia...

— Właściwie to ja znam pana także...

Starala się być dla niego grzeczna, choć w głębi serca czuła jeszcze gniew, zbudzony w chwili, gdy usłyszała głos Kostrzewy w telefonie. Wprawdzie miło jest dostać list, którego żadna cenzura nie czytała, ale wolałaby, by ktoś inny odegrał funkcję zaufanego pośrednika.

— Proszę tutaj.

Wprowadziła go do małego gabinetu i poprosiła, aby siadł na niskim tapczanie. Sobie przysunęła miękki puf. Hugo, zanim usiadł, przyglądał się wiszącemu nad tapczanem obrazowi przedstawiającemu dwoje dzieci; dziewczynkę z lalką w ręku, siedzącą na fotelu, i chłopca, który pochylał się nad nią i kładł rękę na jej ramieniu serdecznym gestem.

— To pewno pani i Walter? — zapytał.

— Zgadł pan. Zresztą podobno niewiele się od tego czasu zmieniłam.

Spojrzał na nią, potem roześmiał się krótko.

— Doprawdy tak mało się znam na kobietach, że nawet rysy kobiece są dla mnie rzeczą nieuchwytną.

— Czyżby to miało znaczyć, panie kapitanie, że pan nigdy nie patrzy na kobiety?

Podał jej otwartą papierośnicę.

— Jeżeli to panią interesuje, to gotów jestem wyznać, że patrzę jednak czasem na kobiety, unikam natomiast patrzenia na kobietę. Interesuje mnie masa, a nie jednostka. Zgodnie z hasłem, które przed laty wypisywałem na murach domów: „Du bist nichts — dein Volk ist alles”.

— Dziękuję za wyznanie — i za papierosa. Lecz cóż to? Czy mnie oczy nie mylą? Angielskie papierosy?

— Zdobycz wojenna.

Zaciągnęła się z lubością.

— Widzę u pana, panie kapitanie, wstążeczkę Żelaznego Krzyża. Wolno zapytać, czy to dawniejszy, czy też nowy nabytek?

Lekceważącym tonem odparł:

— Norwegia...

— A Herbert nic nie otrzymał?

— Mam nadzieję, że otrzyma. Wyrobił się.

Niepostrzeżenie dla niej samej gniew jej się rozproszył. Właściwie była zawsze ciekawa, jak wygląda z bliska ten jej rywal do serca Herberta. Nie bez pewnej dumy myślała, że jej życie splątało się z życiem człowieka tej miary co Kostrzewa. Niedawno widziała jego fotografię w „Adlerze”, lecz znacznie wcześniej słyszała pełne uznania, a nawet zachwyty słowa, wygłaszane przez poważnych członków partii.

— Eskadra panów nie poniosła wielkich strat?

Zrobił nieokreślony ruch ręką.

— O stratach można przeczytać w komunikacie OKW. Lecz, moim zdaniem, choćby straty były o wiele większe, to przecież opłaciłyby się w zestawieniu z odniesionym sukcesem. Opanowanie Norwegii to wybicie okna na Anglię. Jutro, pojutrze — kiedy padnie rozkaz dowództwa — będziemy mieli skąd wylecieć na Londyn...

Twarz oficera stężała w skurczu zawziętości, a Gerda ze zdumieniem poczuła, że jej serce zaczęło bić mocniej niż zwykle. Doznała uczucia, iż w twardych słowach Kostrzewy jest szczerłość, której nie czuła w wojowniczych pokrzykiwaniach kolegów i koleżanek. W rzeczywistości, czy oni wybierali się naprawdę na Londyn? Raczej nie. Istniało powszechne mniemanie, że wojna powinna się była skończyć na zwycięskiej kampanii wschodniej. Wszyscy mówili, iż Niemcy niczego od zachodu nie potrzebują, prócz zgody na urządzenie spraw Europy wschodniej według własnego uznania. Natomiast w słowach Kostrzewy brzmiała dzika zadzierzystość, niby refleks jakiejś szalonej, nie znającej granic fantazji. Zdawała sobie sprawę, że ten człowiek nie kłamie i że dla niego jutro Londyn, a pojutrze New York czy Rio de Janeiro będą celami zupełnie realnymi.

— Pan się pewno dobrze czuje jako lotnik? — spytała.

— O, tak — przyznał. — Jako lotnik jestem panem własnych dróg i własnej broni. Naturalnie zawsze działam zgodnie z rozkazem, ale ten rozkaz przychodzi tak bezosobowo, jakby go wydawał sam Führer. Nienawidzę sytuacji, gdy rozkaz łamie się w ustach jakiegoś głupca...

— Gotowa jestem sądzić, że pan nie znosi w ogóle pośrednictwa. Nade mną Führer, pode mną wszyscy inni. Czy tak?

Zaśmiał się z zakłopotaniem.

— Może pani ma i słuszość. Czasami człowiek nie umie określić swoich słabości.

— To nie jest słabość — prawie wykrzyknęła.

Podniósł na nią wzrok. Gerdzie poczęło znowu bić serce. W rzeczywistości te siwe, pełne szaleńczej odwagi oczy były jednak bardzo piękne. A także ciemne, smagłe czoło okolone jasnymi włosami i wąskie usta silnie zaciśnięte, jakby dla ukrycia łagodnego, prawie kobiecego wykroju.

— Niestety — powiedział tonem poważnym — nie lubię się do tego przyznawać, ale czuję aż nadto dobrze, ile jest we mnie wewnętrzznego sprzeciwu. Nie pokazuję tego po sobie, ale chwilami mam wrażenie, jakby mnie uwierał ten mundur, w którym się niemal urodziłem... Może dlatego tak byłem — dodał ciszej — przywiązany do Waltera. Rozumiałem nawet jego bunty... Dziwne, prawda?

Zaśmiał się sucho, nieszczerze.

— Ale co innego poczucie buntu, a co innego sam bunt. Buntować się nie wolno. Człowiek ma wolę od tego, aby panował nad

impulsami. Ale ja panią nudzę... — urwał nagle. Podniósł się z tapczanu. — Proszę, oto list Herberta.

Gerda automatycznym ruchem wzięła list z jego rąk. Czuła się jakaś wytracona z równowagi. Czas spędzony na rozmowie z oficerem przeleciał jej jak na skrzydłach.

— Niech pan jeszcze chwilę posiedzi, panie kapitanie. Nic mi pan jeszcze nie mówił o waszym obecnym życiu. Musi pan także spróbować wojennych ciasteczek zrobionych przez Mutti...

Podsunała mu talerz z arcydziełami baronowej, wypieczonymi z mąki, tartych kartofli i innych mało cukierniczych ingrediencji.

— Dziękuję. — Spróbował. — Wyśmienite. A u nas nic nowego. Siedzimy teraz w Bergen. Podła dziura, a ludność dla nas wroga. Jak Polacy. Eskadra składa się z samych miłych chłopców. Dowódcą jest major Kerschensteiner — jeden z instruktorów grupy turyngskiej. Zresztą wszystko ludzie z partii...

Słuchała go pełna zdumienia. Ileż uczuć budził w niej dźwięczny głos Hugona. Jak on to wszystko prosto mówi. Opowiadania Herberta zaprawione były młodzieńczą przesadą — nieomal wykolorywane. Tutaj nie czuło się retuszu. A jednocześnie, gdy zaczął jej mówić o walkach z samolotami angielskimi, usłyszała wyraźnie w jego słowach zuchwałą pogardę dla niebezpieczeństwa. Przebiegł ją dreszcz. Jak on to mówi. Rozkoszowała się samym szmerem głosu mężczyzny. Mogłaby go słuchać godzinami. Zrozumiała, dlaczego jej brat i narzeczony tak bardzo byli przywiązani do Kostrzewy. W tym dwudziestodzieciuletnim kapitanie mieszkał czarodziej, przykuwający do siebie sympatie ludzkie.

Kiedy zęgnął się z nią w przedpokoju, powiedziała:

— Czy pan wie, panie kapitanie, że byłam niemal zazdrosna o wpływ pana na Herberta?

— Była pani zazdrosna? A teraz?

Pokręciła głową.

— Jeszcze nie wiem... Ale w każdym razie już mniej...

— To dobrze — podał jej rękę. — A teraz — zęgnam panią.

— Nie, panie kapitanie: do zobaczenia. I to prędkiego. Przecież chcę skorzystać z pana uprzejmości i wysłać także list do Herberta. Proszę więc nas odwiedzić.

— Kiedy pani pozwoli?

— Ja pozwalam zawsze. Ale to pan ma czas ograniczony, a nie ja.

— Więc pojutrze o tej samej porze.

— Doskonale. Będę czekała. Niech pan tylko nie zapomni.

Zszedł wolno po schodach. Ale już w bramie przybrał swoją zwykłą postawę: niedbałą, a jednocześnie pełną siły. Z głową hardo podniesioną zmieszał się z tłumem berlińczyków.

Gerda po wyjściu Kostrzewy chciała wziąć się do książki, ale jakoś

nie mogła skupić uwagi na kryminalnym romansie. Czuła w głowie szum, w sercu zaś niezłym nie usprawiedliwioną radość. Aż musiała się powstrzymać, aby w tym domu, gdzie wciąż jeszcze królowała żaloba, nie śpiewać na głos. W nastroju pełnym roztargnienia zjadła kolację. Potem poszła do łazienki. Wolno zdejmowała z siebie ubranie, pełna wewnętrznych radości, tęsknot, pragnień, porywów. Zanim stanęła pod szumiącym prysznicem, obejrzała się uważnie w lustrze. Nie, jej gładkie ciało nie nosiło żadnych śladów tamtych dwóch nocy... Przeżycie przeszło i zostało zapomniane. Znowu coś zdawało się w niej narastać. Nagle gorąca fala ogarnęła jej piersi, spłynęła burzą ku biodrom. Próżno starała się ugasić pożar ciała strumieniem wody. Próżno starała się ochłodzić rozszalałą burzę dotknięciem świeżej pościeli. I w ciągu długich godzin nocy, ilekroć budziła się z męczącego półsnu, czuła szybkie bicie serca, a z mroku spoglądały na nią szare, nieugięte jak stal oczy kapitana Kostrzewy.

XXI

Stary kamerdyner o suchej, pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu twarzy, nalewał Kostrzewie wino do szerokiego kieliszka. Było to dobre francuskie wino, jakiego Hugo dawno nie miał w ustach. Jednocześnie von Grote przysunął mu pudełko z cygarami.

Siedzieli od kilku godzin wokół wielkiego stołu, nad którym nisko zwisał szeroki, z wielu lamp składający się żyrandol. Ten dębowy masywny stół, kredens ciągnący się wzdłuż całej ściany z szeroką półką na froncie, ugarnirowany kolekcją kufli, te rapiery skrzyżowane na ścianach poniżej mrocznych sylwetek wypchanych ptaków, wyprawionych głów i czaszek zwierzęcych, wreszcie te krzesła o wysokich, ponad głowę siedzącego wznoszących się oparciach — miały w sobie surowy wdzięk zamierającej przeszłości. Wnętrze jadalni harmonizowało zresztą z postacią gospodarza. Baron miał na sobie tyrolską, szarą kurtę z kościanymi guzikami i z zielonymi wyłogami. W prawym oku nosił monokl, co nadawało jego twarzy wyraz nieporównanej arbitralności. Popijał wolno wino, wyprostowany, uważny, bacznie wsłuchany w rozmowę, do której mieszał się rzadko. Na prawo od generała siedział Kostrzewa, na lewo von Maries, wnuk von Grotego, również kapitan lotnictwa. Wreszcie naprzeciw siebie generał miał małego, ale grubego pułkownika o przyplaszczonym nosie i wielkiej obwisłej szczęce mopsa. Podczas przedstawiania Kostrzewa usłyszał nazwisko von Rathenau, z rozmowy zaś dowiedzieli się, że pułkownik jest dowódcą organizującej się brygady kawalerii.

Głóście jedli z apetytem i popijali doskonałe wino. Nie krępowano się także z paleniem — w domu nie było żadnej kobiety. „Moja żona — powiedział Kostrzewie zaraz na początku rozmowy generał —

umarła przed wybuchem tamtej wojny. Miałem tylko jedną córkę. I ta już dziś nie żyje.” Błękitny dym cygar wznosił się wolno ku górze.

— Więc pan, panie kapitanie — pytał pułkownik von Rathenau Kostrzewę — jest zdania, że obecnie zbliża się chwila rozstrzygająca uderzenia na zachodzie? I w tej walce powinny paść Anglia i Francja?

— Naturalnie, że tak. Nie można, panie pułkowniku, prowadzić wojny na raty. Przypominają mi się słowa lady Asquith, która gdzieś pisze w swoich pamiętnikach, że Anglia zawsze rozpoczynała wojnę, nie będąc do niej przygotowana. Również Churchill powiada, że Anglia tylko dlatego wygrywała wszystkie wojny, że przeciągała je na długi ciąg lat. Nie twierdzę, że musielibyśmy paść, gdyby przyszło nam zmagać się z nią przez czas dłuższy. Ale na nas czekają nowe zadania i długą mamy jeszcze drogę do przebycia. Dlatego sprawa musi być załatwiona szybko.

— Jestem wręcz przeciwnego zdania — odezwał się von Maries. Hugo od pierwszej chwili poznania tamtego czuł do niego dziwną niechęć. Wnuk von Grotego mógł mieć trzydzieści kilka lat. Jego długa, wąska twarz, wydatny orli nos i suche ścignięte usta miały niewątpliwie arystokratyczne piętno. Czarne oczy i czarne włosy, zresztą mocno już nad czołem przetarte, mówiły o jakimś takim, protpłaście, którego na pewno posiadał każdy niemal potomek znamienitszych rodów niemieckich. W długich palcach trzymał niedbale papierosa. — Jestem przeciwnego zdania, panie kolego. Pośpiech przynosi nieobliczalne szkody, jak ten miecz, który spadając zbyt szybko tylko rani, a nie zabija.

Kostrzewa zmarszczył brwi. Już kiedyś słyszał to zdanie, ale nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć z czyich ust.

— Pan kolega był łaskaw zacytować tu pamiętniki Churchilla. Ten sam Churchill pisze także o uznaniu, jakie miała Anglia dla polityki niemieckiej w czasach, gdy jej ster spoczywał w rękach Żelaznego Kanclerza. To był czas, gdyśmy mogli załatwić wszystkie porachunki na kontynencie europejskim bez przeszkód ze strony Londynu. Od tamtej wojny sytuacja się zmieniła. Myśmy pozostawili nasz problem wschodni na uboczu, ten problem, panie kolego, który powinien być punktem centralnym wszystkich naszych myśli — a rozpoczęliśmy politykę kolonialną. Wszystko skończyło się klęską. Zawracając na szlak wschodni, mogliśmy pozycję naszą naprawić. Tymczasem nieoczekiwanie zawarliśmy na wschodzie najfatalniejszy z paktów. Obawiam się, że przyjdzie nam słono za to zapłacić... Pan wie, co było w historii Nibelungów najtragiczniejszym zdarzeniem? Moim zdaniem przymierze Krymhildy z Attylą.

Hugo umoczył usta w kieliszku.

— Dlaczego, panie kapitanie?

— Pan się o to pyta, panie kolego, pan, wyznawca rasizmu, znający niewątpliwie wszystkie wywody Chamberlaina i Gobineau?

— Wierzę w mit rasy, panie kapitanie. Sądzę jednak, że chwilowego zwycięstwa Mongołów nad burgundzkimi rycerzami nie należy podnosić do rozmiarów klęski. Nasza historia zna wiele bitew, w których padał kwiat narodu, co nie oznacza wcale, aby drzewo życia Niemiec zostało zagrożone.

— Zgoda, zgoda, panie kolego. Tylko jedna poprawka. Po przeciwnej stronie byli także Burgundowie...

— Była tylko jedna kobieta.

— Burgundka.

— To się nie liczy.

— Dlaczego, panie kolego? Przecież w psychice każdego narodu istnieją zarówno elementy męskie, jak i kobiece.

— Elementem kobiecym jest słabość charakteru.

— A jednak potrafimy być słabi.

— Trzeba z tym walczyć. Trzeba wychować człowieka.

— Ależ to pan, panie kolego, rozumuje jak... Krymhilda. Mężczyzna nie wychowuje, a tylko zmusza do posłuszeństwa.

Zły błysk zapalił się w oczach Kostrzewy.

— To są słowa, panie kapitanie. Ruch narodowo-socjalistyczny podjął się trudu utworzenia nowego człowieka. Potępiamy jezuickie „trupie posłuszeństwo”. Nie przyjmujemy niczego bezkrytycznie. Dążymy do posłuszeństwa, które płynie ze świadomej służby światopoglądowi.

Powiedział to z siłą i twardym wzrokiem obrzucił siedzących przy stole mężczyzn. Dzisiejsza rozmowa była dla niego zawodem. Z szacunkiem myślał o generale von Grote i ani mu przez głowę nie przeszło, że w jego domu mógł usłyszeć słowa krytyki narodowo-socjalistycznego ruchu. Opanował wewnętrzne wzburzenie i spojrzał pytająco w stronę von Grotego.

Ten widać zrozumiał wymowę oczu Hugona, bo rzekł:

— Kapitan Kostrzewa gotów pomyśleć, że jesteśmy przeciwko wojnie i nauce wodza. A przecież wcale tak nie jest. Podziwiamy opatrnościowy — ruchem głowy podkreślił ten wyraz — geniusz wodza, zaś w walce z niebezpieczeństwem, które grozi Rzeszy, żaden z nas nie poskąpi życia. Ale my kresowcy — z upodobaniem używał tego zwrotu — zdajemy sobie sprawę z tego, że wojna na wschodzie Europy nie została jeszcze skończona. Błyskawiczne Feldzugi nie zgniotą niebezpieczeństwa, które wciąż podnosi głowę.

— Po zwyciężeniu Anglii będzie dosyć czasu na likwidację jakichkolwiek wschodnich niebezpieczeństw.

Generał potrząsnął głową.

— Oby tak było, kapitanie. Lecz powiedzmy szczerze, że na wschodnim pograniczu czas pracuje na naszą niekorzyść. To chyba nie jest dla pana żadną tajemnicą. Wymieramy. Próżno wzywa się

Niemki, by rodziły więcej dzieci; próżno państwo ofiarowuje małżeństwom pożyczki, stwarza kasy pomocy. Mimo korzyści materialnych i mimo nawoływań propagandy, wciąż mamy deficyt. Trzeba płacić za przegraną wojnę i lata rozprężenia. Tymczasem, gdy my wciąż płacimy dawne grzechy, kobiety słowiańskie rodzą dwukrotnie więcej dzieci niż nasze żony. Im przybywa zdolnych do pracy ludzi, nam — starców...

— Wiem o tym, panie generale.

— Więc widzi pan. Na wschodzie urasta groza. Gdy ją schwytny za bary, wtedy jest szansa, że pozbędziemy się rywali i sami podkarmimy się na słowiańskiej krwi. W stosowaniu zasad rasistowskich nie trzeba być pedantem... Natomiast czego możemy oczekiwać na zachodzie? Imperium brytyjskie trzyma w swoich rękach równowagę świata. Niech Anglia runie, wtedy będziemy musieli stanąć w szrankach konkurentów o spadek po niej. Będziemy musieli wyjść z Europy na szerokie wody. W wirze transoceanicznych kłopotów zmaleje wschodni problem... Zaczniemy o nim zapominać. Aż nagle może przyjść chwila, że przy warsztacie przez nas stworzonym stanie zamiast Niemca — Polak, Serb czy Chorwat.

— Czytałem książki pewnego Polaka, który rozumuje podobnie — rzekł Kostrzewa.

— Dmowskiego?

— Tak.

Generał uśmiechnął się i wygodniej usiadł w swym krześle.

— Znamy te książki, kapitanie. I nigdy nie powinniśmy zapominać o roli, jaką w walce z nami odegrał ten człowiek.

Skinął ręką, lokaj zaś przystąpił zaraz do stołu z nową butelką wina.

— Na wschodzie — ciągnął — muszą wydawać decyzje ludzie stamtąd. To, co się dzieje w Guberni... To nie jest metoda, kapitanie. Musimy być surowi, nieubłagani, bez miłosierdzia, ale w metodach bardzo rozważni. Stu zabitych w polskiej wsi zrodzi dziesięć tysięcy mścicieli. Są inne sposoby. Pokłóćmy ich ze sobą. Udawajmy, że gładzimy jednych, by drudzy okrzyknęli tamtych zdrajcami. Doprowadźmy wszystkich do nędzy. Ustanówmy prawa, które ich będą biły na każdym kroku. Odbierzemy im chęć do życia...

Hugo chwilę milczał, jakby oczekując na dalsze słowa. Ale generał już skończył. Wyjął monokl z oka i przecierał go uważnie kawałkiem zamszu. Wtedy kapitan podjął:

— Rozumiem to wszystko. Ale myślę, że nam nie wolno zamykać się w ramach jednej działalności. Kiedy w życiu narodu są chwile równie wielkie jak ta, którą dzisiaj przeżywamy, byłoby lekkomyślnością nie pokusić się o cel najwyższy...

Tak wyglądało marzenie Hugona. Może nigdy kapitan nie wypowiedział go równie wyraźnie i dobitnie. Ten pogład, który tamci

ludzie z takim uporem głosili, zmusił go do stanowczej repliki. Mówił przez chwilę z zapałem, potem urwał. Miał niemiłe uczucie, że właściwie oni go nie rozumieją. Chyba byli naprawdę starzy, gdy w nim szumiała młodość i młodzieńcza energia. Von Grote — rzecz zrozumiała. Ale von Maries z lisim wyrazem Fryderyka Stauffa na ustach, dlaczego on wydaje się taki wyprany z jakiegokolwiek siły?

Wcześniej, niż pierwotnie zamierzał, zaczął się żegnać z gospodarzem. Von Grote odprowadził go aż do przedpokoju.

— Niech pan o mnie nie zapomina — rzekł do Kostrzewy na pożegnanie. — Może pana zaskoczyła dzisiejsza rozmowa. Nie powinien się pan jednak oburzać. Widzi pan, my kresowcy od stuleci mamy ukuty pewien światopogląd... Zmieniały się czasy, ludzie... Myśmy zawsze trwali. Umieliśmy pogodzić sprawy ludzkości z interesem niemieczyny. I trzeba przyznać, że ludzkość służyła naszym interesom. Ale ta praca wymaga wielkiej ostrożności i wysiłków... Trzeba było szukać sprzymierzeńców na całym świecie. Trzeba było zbierać i zrzeszać ludzi naszej sprawie życzliwych...

Z uśmiechem ucisnął dłoń Kostrzewy. Gdy kapitan wyszedł, generał wrócił do jadalni. Przez pewien czas siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się pułkownik von Rathenau:

— Niedogładzony ten pański wychowanek, panie generale.

Stary baron przesunął ręką po białych włosach, krótko ostrzyżonych na skroniach.

— Tak. Słowianin wychodzi z niego na każdym kroku. Rasista... — zaśmiał się złośliwie. — Ale trzeba przyznać, że gdyby im pozwolono, oni by roznieśli świat. Co za rozmach. Boję się, że niełatwo zaprzac ich do naszej roboty.

— I dlatego, dziadku — rzekł von Maries — nie bardzo wierzę w twój eksperyment.

Baron przez chwilę patrzył uważnie na złotą powierzchnię wina na rzuonym kieliszku.

— Być może, że się mylę — odpowiedział. — Trudno. Ulegamy złudzeniom. Ale nie uwierzycie, jaka to radość zaprzac obcą, wrogą nam psychikę do naszego pługa. Ten Kostrzewa to mój homunculus. Wydała mi go matka nienawiść i przyznacie, że jest godny jej dziedzictwa.

Starą drżącą dłonią zaczął wyglądać jakąś niewidzialną fałdę na białym obrusie.

— Bo widzicie — ciągnął dalej ciszej, jakby gdzieś z głębi serca wydobywając każde słowo — panowanie nad światem można kupić lub zdobyć energiczną pogroźką. Lecz oni — spojrzał gdzieś w bok, a błysk jego wyblakłych oczu zdawał się wskazywać kierunek, w którym znajdowało się znienawidzone plemię — nie dają się kupować, na pogroźki zaś odpowiadają zuchwałością. Toteż nie zwalczymy ich póty, póki nie zatrujemy ich duszy nienawiścią, póki nie napeł-

nimy ich serca niewiarą, póki nie zniszczymy ich sił tresurą. Trzeba zabić w nich nieśmiertelność, moi panowie. Trzeba ich wykreślić z wieczności, jeśli mamy być władcami tej ziemi...

XXII

Herbert zniżył błyskawicznie lot maszyny i spośród kłaków mgieł wyprysnął nad nieogarnięty okiem przestwór wodny. Eskadra poleciała dalej, pozostawiając Köstringowi jego zdobycz: mały jednominowy stateczek, prujący wzburzone fale Morza Północnego. „Stuka” zatoczyła nad nim triumfalny krąg, na dostatecznej jednak wysokości, aby uniknąć złośliwego plucia z karabinów maszynowych. Tam, w dole, na chybotającym się pokładzie biegali szybko ludzie przygotowując obronę. Herbert zaśmiał się złośliwie. Był pewien, że przeciwnik mu nie ujdzie. Cztery bomby — dwie pod kadłubem i dwie pod skrzydłami — czekały tylko zwolnienia, by rozpruć brzuch okrętu. Ocenił szybko tonaż skazanego na zagładę parowca i poczuł, jak mu serce bije z radości. Po takim meldunku czeka go niewątpliwie Krzyż Żelazny, parę dni urlopu, ramiona Gerdy...

Nie powinien mu się wymknąć. Tamci na pokładzie nie mieli działek przeciwlotniczych, mógł więc schodzić niżej niż zwykle i z mniejszej wysokości rzucać bomby. Przygryzł wargi, by nie drżeć z naglej uciechy. Jeszcze jeden, jeszcze dwa kręgi zatoczył nad parowcem śledząc uważnie, czy nie kryje jakiejś niespodzianki; potem przesunął drążek ku sobie. Junkers z rykiem zaczął się wdzierać w górę.

Od rana Köstring był w doskonałym humorze. Ostatnich kilka dni upłynęło pod znakiem niecierpliwego oczekiwania na powrót Kostrzewy, który otrzymawszy tygodniowy urlop przed pięciu dniami wyjechał do Berlina. Sam ofiarował się oddać list Gerdzie. Mógł więc napisać ukochanej wiele serdecznych rzeczy, o których zwykle w listach czytanych przez cenzurę Herbert krępował się wspominać. Hugo miał urlop na tydzień, ale zapowiedział, że powróci wcześniej. Trzy dni miał zabawić, nie więcej. „Bo i cóż bym robił cały tydzień?” — powiedział Herbertowi na pożegnanie. Tymczasem pozostawał dłużej. Toteż cierpliwość Köstringa była wystawiona na ciężką próbę. Wreszcie urlop począł dobiegać końca i Herbert z ulgą stwierdził, że jutro Hugo musi już nieodwołalnie powrócić. Jutro więc czytać będzie list od Gerdy. Jutro...

Znowu jego uwagę przykuł okręcik w dole. Wyrównał lot i ze spokojem zaczął obliczać szanse ataku. Potem z determinacją położył drążek i dał nurka. Wizg motoru nie robił już na nim żadnego wrażenia. Bomby spod skrzydeł wyprzedziły go w locie i kiedy płasko wyrównywał, dwie fontanny dymu i wody strzeliły w górę.

Parowczyk — zobaczył teraz, że nazywa się „Blue Star” — został niewątpliwie trafiony, ale dość lekko. W każdym razie płynął dalej

wyrzucając ze siebie czarną krechę dymu. Załoga z większą niż poprzednio zaciętością strzelała z karabinów maszynowych, utrudniając Herbertowi obserwację. Pilot szybko uciekł ze swoją maszyną w górę. Na jego młodzieńczej twarzy pojawił się wyraz okrucieństwa. Czuł pretensję do okrętu, że nie dał się zatopić od razu pierwszą bombą. Z małej stosunkowo wysokości „Stuka” rzuciła się po raz drugi w dół. Zawziętość i pragnienie zwycięstwa przewyciężyły w Herbercie wrodzoną ostrożność. Zszedł bardzo nisko i nie licząc się z niebezpieczeństwem zestrzelenia rzucił dwie pozostałe bomby prosto na pokład okręciku.

Teraz mógł być pewny sukcesu. Z pokładu wznosiły się ku niebu kłęby dymu, wśród których połyskiwały czerwonożłote języki ognia. Parowiec pochylił się na bok. Nikt z załogi nie mógł liczyć na spuszczenie łodzi — marynarze rzucali się z pokładu w morze. Herbert zataczając kręgi nad płonącym okrętem widział głowy płynących ludzi. Nic go oni nie obchodzili — ich szansę ocalenia były znikome.

Wreszcie parowiec zwałił się na bok i zaczął tonąć. Powoli zanurzał się w morze. Lecz „Stuka” krążyła nad nim aż do końca i dopiero gdy na gładkiej powierzchni rozmazały się bez śladu ostatnie koła wodne, Köstring wziął znowu kierunek na Bergen.

Po szarym ranku wstawał przepiękny, wyłożony słońcem dzień. Herbert lecąc ku brzegom Norwegii czuł, jak go ogarnia przemożna radość życia. List od Gerdy, zatopiony parowiec, oczekiwany krzyż, może awans, wreszcie dzisiejsze majowe słońce ślizgające się lekko po grzbietach zwałionych fal, skrzące się w spokojnych okolicach fiordów i zapalające gorące blaski na śniegiem przysypanych zboczach górskich — to wszystko razem budziło zadowolenie, nieomal szczęście. Motor grał swoją pieśń siły. Posłuszna woli człowieka maszyna zsuwała się miękko z nieba ku prostokątowi lotniska, nasiąkniętemu zielenią świeżej trawy. Po wylądowaniu Herbert zatrzymał motor. Jego obserwator Unterfeldwebel Croll powiedział wesoło:

— A to nam się udało, panie poruczniku.

Dzisiaj życie przedstawiało się Herbertowi w różowych kolorach. Po złożeniu meldunku i oddaniu maszyny w ręce obsługi ziemnej Köstring pogwizdując poszedł do kasyna. Byli tu już Lahm i Hubek, znacznie mniej weseli, bo się im nie udał atak na spotkany torpedowiec francuski. Lahm w dodatku narzekał na spóźnianie się paczki od ciotki Luizy.

— Co też ta stara sobie myśli? — mówił z irytacją, marszcząc swój krótki, lekko zadarty nos. — Brak mi papierosów, nie mam już co pić. Nudno mi, głupio, pusto. Pfuj! Klęliśmy na Warszawę, ale lepiej było nudzić się w Warszawie niż kisać w Bergen.

— Czy cię aby ciotka nie zdradza, Karolku? — żartował Herbert. — Pomyśl, mogłaby teraz machnąć się za męża, a wtedy twoje paczki poszłyby sobie w krainę baśni. No, ale nie martw się, stawiam dziś koniak.

Siedli do obiadu wśród śmiechów i przekomarzań. Z kolei przyszli Kerschensteiner, Schneditz i podporucznik Georg Müller, który wszedł do eskadry na miejsce Faya. Kerschensteinerowi udało się zatopić barkę rybacką. Winszował Köstringowi jego triumfu.

— Wiem, wiem już, czytałem twój meldunek. Będę miał przyjemność pisać wniosek o awans dla ciebie. A propos, Bert — Hugo pewno jutro wróci? Przecież ja także chcę skorzystać z urlopu, a tu takie wonie chodzą w powietrzu, jakbyśmy nie mieli czekać długo na nową wojnę.

— Musi jutro wrócić. I nie sędzę, aby chciał nam zrobić jakąś nie-miłą niespodziankę.

— Pewno łązi teraz po Berlinie. Słońce świeci, niedziela, kupa ludzi wylazła na miasto. Do licha, to mi życie. W rzeczywistości nie chce mi się wierzyć w cnotliwość Kostrzewy. Na pewno uwodzi dziewczyny.

Szurgając nogami weszli do kasyna pozostali członkowie eskadry.

— I cóż — pytał ich commodore — przywozicie?

— Nic — odpowiedział za tamtych Runge. — Włóczyliśmy się parę godzin, ale żywej duszy nie spotkaliśmy poza eskadrą Wellingtonów, której zeszedliśmy z drogi. Wracali pewno z Narwiku. Wygląda na to, że dają szkołę naszym strzelcom górskim.

— Wiecie — mówił Küntze — opowiadał mi jeden typ z eskadry Heinklów, że Tommies wylądowali w Narwiku Polaków.

— A skąd ich wzięli?

— Och, mają ich całe kupy. Wszystko, co mogło zwać z Polski, pędziło do Paryża albo Londynu.

— Byłem przekonany, że już całkiem pogodzili się ze swą nową sytuacją — Schneditz wyraził zdumienie. — W Warszawie wszystko siedziało po cukierniach i po knajpach. Niektóre panienki zaczynały się nawet do nas uśmiechać.

— To tylko do ciebie — drwił Hubek — bo ty jesteś Austriak, a w dodatku katolik.

— Köstring jest także katolikiem.

— A jednocześnie zakamieniałym Prusakiem. On by ich chętnie wszystkich potopił w łyżce wody.

A w ogóle tośmy się tu w eskadrze dobrali. Każdy z innej dzielnicy. Commodore — Turyngia, Runge — Szlezwig, Pfeffer, Lahm i Köstring — Prusy, Kostrzewa — Wschodnie Prusy, Müller — Westfalia, Küntze — Saksonia, Hubek — Sudety, no a ja z Wiednia.

— A stanowimy jedną eskadrę.

— Ein Volk, ein Geschwader und — uno commodore.

— Wobec tego napijmy się. Słońce świeci i jest niedziela. Co będziemy robili po południu?

— Do miasta nie pójde — Lahm wydał wargi. — Dziewczyny rozmawiać nie chcą. Piwo tutejsze niesmaczne.

— Wiecie co? — wystąpił z propozycją Herbert. — Moglibyśmy pojechać na pierwszorzędną wycieczkę. Albo koleją do „Fiösange”, bo tam podobno mają jeszcze dobre jedzenie, albo samochodem do Alversund.

— Może to nie jest najgorszy projekt: mamy przecież wiosnę, trawkę, kwiatki, ptaszki. Dobrze. Jedźmy do Alversund.

— Jak się zabierzemy?

— Sześciu siądzie do auta, trzech na motor.

— Nasi ojcowie chodzili piechotą, z mandoliną lub gitarą w rękę.

— Bo nie mieli KDF-ów.

— I głośników.

— Opowiadali sobie filozoficzne brednie...

— Werteryzowali...

— Cicho, moi panowie, jedziemy.

Wkrótce mknęli doskonałą szosą wzdłuż krawędzi bergeńskiego półwyspu. Z boku mieli ciemną skalistą ścianę wyspy Ask, a za nią w sinej mgle, już na otwartym morzu, archipelag Setry. Ośnieżone szczyty, a u ich stóp zielone lasy, pokrywające bliskie zbocza, cyple i półwyspy wrzynające się w morze, trysnęły pełnią niewypowiedzianego choć surowego piękna. Co prawda nawykli do szybkiej jazdy piloci nie mieli czasu przyglądać się ziemi. Potem przepawili się na Alversund, na sam skraj wystrzępionego przez morze półwyspu Nordlandii.

— Właściwie — stwierdził filozoficznie Runge — tutaj wszystko jest albo wyspą, albo półwyspem, albo zatoką, albo zalewem, albo cyplem. Ziemia z morzem splątały się ze sobą, że nie poznasz, gdzie ręka, a gdzie noga.

— Bardzo sypialniane porównanie — skrytykował Kerschensteiner opinię Rungego.

— Wolałbyś jakieś jadalniane? — odciął się zastępca dowódcy eskadry.

Commodore parsknął śmiechem.

— Właściwie tak. Już jestem głodny.

— Nie nowina, Wiktorze. Wiadomo, że możesz wcinać zawsze i wszędzie.

— Hola, smarkacze! Nie żartujcie ze swego dowódcy.

Zatrzymali się przed białym domkiem, na ścianie którego namalowano napis: restauracja. Weszli do środka. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy był przerażony wzrok gospodarza, starego, chudego mężczyzny w narciarskich spodniach i w pasiastym swetrze oraz niskiej dziewczyny o bardzo krągłych kształtach, która kręciła się wokół jedyne go zajętego stolika. Siedziało przy nim trzech chłopów

norweskich, ciągnąc z fajansowych kufli piwo i wesoło rozmawiając. Dziewczyna wtrącała się co chwila do rozmowy.

Na widok wchodzących oficerów wszyscy umilkli. Chłopi najprzód przelotnie spojrzeli na nowo przybyłych, potem zgarbili się nad swoimi kufkami coś ze sobą szepcząc. Dziewczyna przybrała obojętnie grzeczną postawę kelnerki, gospodarz zaś, który przedtem spokojnie czytał w okiennej niszy, odłożył książkę i fajkę, ubrał się w biały fartuch i podszedł do oficerów.

On mówił po norwesku, oni po niemiecku — trudno im było się dogadać. W końcu zrozumieli, że poza piwem i słonymi bułeczkami nic nie dostaną. Gdy wyliczali staremu wszystko, na co by mieli ochotę, on kręcił głową i odpowiadał jednym wyrazem: wojna.

Usiedli więc przy środkowym stoliku i zażądali piwa. Chłopi tymczasem ulotnili się niepostrzeżenie z sali. Kelnerka wzięła ogromną tacę i wspierając ją na okrągłym łonie przyniosła oficerom dziewięć kolorowych kufli.

— U nas pije się w cynie — twierdził Hubek.

— U nas w szkle — dorzucił Pfeffer.

— Piwo? — skrzywił się Müller. — Wolę reńskie.

A w ogóle każdy z nich miał odrębne gusty. Pfeffer zaśpiewał im jakąś piosenkę w brandenburskim narzeczu, którego wcale nie mógł zrozumieć Müller. Zaczęto kpić z twardego akcentu Hubka, co wprawilo porucznika — a przed dwoma laty zagorzałego heinleinowca — w zły humor.

— Widzę, że nie macie już o czym rozmawiać.

Lahm uszczyptał kelnerkę, która odskoczyła od stołu z twarzą wyrażającą oburzenie. Naturalnie wszystkich to bardzo rozśmieszyło. Oficerowie śmieli się do łez. Życie przecież było takie nudne, że nawet zabawa z tłustą dziewczyną w przydrożnej karczmie wydawała się rozrywką.

Dziewczyna cała czerwona uciekła do sąsiedniej izby. Zamiast niej przyszedł gospodarz. Wołali, aby sobie poszedł, a im przysłał kelnerkę. Ale stary nie rozumiał, a może udawał, że nie rozumie ich krzyków. Wreszcie znudzeni wyszli przed dom.

— Cóż będziemy teraz robili? Nudno, Herbercie, twój pomysł był nietęgi.

— Trzeba było spać w domu, a tu nie przyjeżdżać.

W końcu Kerschensteiner, Runge, Pfeffer, Küntze i Müller usiedli na werandzie do kart. Hubek gdzieś przepadł. Schneditz robił w pobliżu zdjęcia fotograficzne. Lahm z Köstringiem poszli w stronę domków bielejących na tle czarnozielonego lasu.

Mała osada tonęła w zieleni krzewów, drzew i małych ogródków. Na końcu, nad samą wodą fiordu stała niewysoka świątynka z wieżyczką. Gromadka ludzi, przeważnie kobiet, kręciła się na placyku przed wejściem.

Zanim jednak podeszli bliżej, ludzie powchodzili już do środka, skąd dał się zaraz słyszeć dźwięk fisharmonii i zgodny śpiew kobiety.

— No, tam nie mamy po co iść — zauważył Lahm. Pełen znużenia kroczył dalej ścieżką aż na sam brzeg fiordu. Lecz Herbert zatrzymał się na chwilę. Dochodząca z wnętrza kościółka melodia śpiewanej pieśni wydała mu się znana.

Herbert, choć nie od razu uświadomił sobie, co go pociąga w tej pieśni, prawie machinalnie zdjął czapkę i podszedł do otwartych drzwi. Słońce łagodnym dotknięciem pieściło kamienny mur świątynki i przez wąskie okna wślizgiwało się do środka, gdzie zlawszy się w jedno z złotym blaskiem świec tworzyło w głębi rozmigotaną aureolę. Köstring widział plecy stojących w ławkach kobiet, przed pulpitem pastora z książką w ręku. Oficer zatrzymał się w progu i oparł się o framugę drzwi. Zaczęły ku niemu napływać wspomnienia z tych lat, kiedy to stryj Ernest powierzył wychowanie chłopca dalekiej kuzynce, nazywanej ciotką Heleną, starej zasuszonej panie, bardzo pobożnej i mówiącej zawsze szeptem. Stryj Ernest nie był katolikiem i nie mógł zrozumieć swego starszego brata Tomasza, który powróciwszy ze studiów w Anglii przywiózł stamtąd, obok niechęci do Bismarcka, a kultu dla Newmana, mocne postanowienie przejścia na katolicyzm. Ernest jednak, choć był daleki od pochwalenia decyzji Tomasza, nie przekreślił kierunku, jaki zmarły adwokat nadał wychowaniu jedynaka. Wezwano więc do Schwarzenberge ciotkę Helenę z Raciborza i pozwolono jej przez parę lat zajmować się życiem religijnym Herberta. Niedługo to zresztą trwało. W chwili śmierci ojca Herbert miał zaledwie siedem lat, kiedy zaś doszedł jedenastego roku życia, samochód na Alexanderplatz potracił ciotkę Helenę, wskutek czego stara panna zmarła. Na tym skończyła się religijna edukacja chłopca. Stryj Ernest oddał go do szkoły, uważając, że program gimnazjum powinien całkowicie zaspokoić religijne potrzeby młodego katolika.

Ciotka Helena — to było jedyne cieplejsze wspomnienie z czasów dzieciństwa. Stara panna była szorstka, czasem nawet surowa i wcale nie rozpieszczała Herberta. Trwożyła go lekturą żywotów świętych męczenników, kazała mu uczyć się na pamięć dogmatów religijnych, prawd kościelnych i wydarzeń ewangelicznych. Ale czasami udawało się Herbertowi „rozkrochmalić” staruszkę. Sprzyjała temu zwłaszcza pora wiosenna i pierwsze majowe słońce bijące złotymi strzałami w okna domów. Ciotka Helena była bowiem czuła jak kwiat na pieczętotę słońca. Wtedy miękła jej zwykła szorstkość, stawała się rozmowna, prawie wesoła.

Gdy Herbert wracał ze szkoły, mówiła doń tajemniczo: „Może chcesz wyrzeć na łąki”. Potem szła przy nim szybkim, drobnym krokiem, w czarnej, niemal zakonnej sukni. Nieoczekiwanie zaczynała opowiadać o sobie, o swej młodości, o ludziach, wśród których żyła. Mówiąc tak zapominała o celu ich wędrowki. Zbierała wspo-

mnienia jak kwiaty na łące, powołanej do życia obrazem szarych pól schwarzenberskich.

Herbert mógł słuchać jej słów godzinami. Te majowe opowieści ciotki Heleny zdawały się równoważyć w jego sercu zwykłą szorstkość staruszki, brak ciepłej, kobiecej opieki, której nigdy nie znalazł.

Wracając z łąki wspomnień, ciotka Helena prowadziła go do kościoła. Ogarniał ich półmrok świątyni, przetykany tu i tam plamami słońca, napełniony wonią wilgotnych murów i żarzącego kadzidła. Błagalna pieśń do Matki Bożej biła spośród niezlicznej gromadki klęczących ludzi. Lecz w wąskiej nawie kościoła nawet ten wąty śpiew stokrotniał, mnożył się, potężniał, i dla Herberta splełło się już ze sobą na zawsze, nierozdzielnie: złote majowe słońce, pełne blasków, woni i błękitnego kadzidlanego dymu wewnątrz świątyni, krótkie chwile serdeczności i pieśń, która biegnie aż do stóp figury Matki Bożej.

Tyle lat minęło od tego czasu. Potem, gdy umarła ciotka Helena, kościół stał się dla niego miejscem rzadko odwiedzanym, a w jego murach nigdy już nie doznawał tamtych, dziecinnych wrażeń. Póki nie przemógł wpływ kolegów, Herbert bywał niedzielami na mszy tak, jak tego wymagał szkolny prefekt. Lecz już się nie modlił. Nie umiał się modlić. Milczał wsłuchany w ciszę kościoła — i tak stali naprzeciwko siebie, on i kościół — jak dwaj ludzie wzajemnie do siebie uprzedzeni. Potem wracał w nurt hałaśliwego życia. Za drzwiami kościoła pozostawała nie poznana Boskość i nie poznany smak serdeczności, wspomnienia o ciotce i opowieść o życiu świętych.

Ostatni raz modlił się jeszcze przy czarnej, długiej trumnie, w której spoczywała ciotka Helena. Ostatni raz mocniej przemówił do niego kościół, już nie grą światła i harmonią dźwięków, ale surowością ciszy i chłodem śmierci, tam, w Lublinie, nad trumną Waltera.

W uniwersyteckim kościółku w Lublinie przemówiła do niego groza otwartego grobu i złożonej w grób młodości. Dziś jednak już się oswoił z pogrozkami śmierci. A równocześnie — razem ze złotymi promieniami słońca — zakwitła w nim pewność zbliżającego się zwycięstwa i słodki kwiat miłości.

Pieśń się skończyła, a druga, którą norweskie chłopki zaczęły śpiewać, nie budziła już w młodym oficerze żadnych wspomnień. Postać ciotki Heleny zatarła się w licznych marzeniach o Gerdzie, o awansie, o krzyżu, o zwycięstwie. Słońce dzisiejsze okazało się silniejsze niż tamto, dawniejsze słońce, które płonęło nad łąkami dzieciństwa w dalekim Schwarzenberge.

Cofnął się i wyszedł na plac przed zbozem. Oczekiwał tu na niego Lahm, gwizdząc z nudów na spacerujące gołębie. Za drzwiami została śpiewająca świątynia ze swoim życiem, tak obcym życiu Herberta. Przed Köstringiem skrzył się fiord, ujęty w zieloną koronkę drzew. Nad nim królował zębaty grzbiet górski. Oficerowi chciało się

śmiać — śmiać bez końca, beztroskim śmiechem młodości. Gerda, ich miłość, słoneczna majowa niedziela — z błękitnego, bezchmurnego nieba nie mógł spaść żaden grom. Przynajmniej żadnego gromu nie oczekiwała dufna w swe siły młodość. Köstring szedł naprzód szybkim krokiem, ciągnąc za sobą nadętego Karolka.

XXIII

Musieli wcześniej powrócić na lotnisko, gdyż porywisty, zimny wicher naniósł, licho wie skąd, szarych, oślizłych mgieł i ugarniowała nimi horyzont, uniemożliwiając obserwację. Kerschensteiner zarządził kontrolę aparatów, więc umazani smarami i oliwą sprawdzali osobiście każdą śrubę swoich ptaków. Przy sposobności postanowili też ponazywać samoloty i wymalować na nich godła, odpowiadające tym nazwom.

— Moje bydlę otrzyma imię „Ognistego żółwia” — mówił comodore, wysilając się, aby grubym pędzlem umoczonym w białej farbie wymalować pokracznego żółwia z długim oślim ogonem zakończonym kitką.

Hubek z lubieżnym uśmiechem na ustach upiększał bezwstydnym rysunkiem swój aparat, nazwany „Moją Dorcią”. Inni oficerowie, do spółki z obserwatorami, głowili się nad wymyśleniem czegoś oryginalnego. Köstring wziął się do malowania „Aniołka z bombą”. Makabryczny ten pomysł przyszedł mu do głowy jako wynik — a zarazem reakcja — wczorajszych dumań w drzwiach zboru. Ciotka Helena, gdy była w dobrym nastroju, nazywała go „swoim aniołkiem”. Otóż rzecz niezaprzeczalna, że ten aniołek woził bomby i rzucał je na głowy współmieszkańców kontynentu europejskiego. Paradoksalność sytuacji sprawiła, że Herbert postanowił uwiecznić to w formie rysunku na boku samolotu. Schneditz posiadający duże zdolności malarskie nakreślił mu kredą szkic. Należało go więc tylko pociągnąć farbą. Rozbawiony Herbert tak się starannie zabrał do roboty, że nie usłyszał nadjeżdżającego motocykla i dopiero gdy motor zaczął mu strzelać nad samym uchem, a koledzy zawzięcie krzyczeć, podniósł głowę do góry. Z kosza wysiadał Kostrzewa. Zaraz otoczyli go oficerowie.

— Do licha! Ten się wyurlopował. Pokaż się, jak wyglądasz.

— Co słyhać w domu? Kiedy ciąg dalszy?

— Miałeś siedzieć tylko trzy dni, ale dotrwałeś do ostatniej minuty. Co cię zatrzymało? Dyskusje? Koniak? Dziewczynki?

Hugo uśmiechając się podawał rękę kolegom. Köstring trzymał się na uboczu. Teraz, kiedy wiedział, że oczekiwany list jest już blisko, poczuł ogarniającą go słabość. Trudno mu było wołać do Hugona: daj mi go prędzej. Jakieś wewnętrzne omdlenie kazało mu przeciągać w nieskończoność okres oczekiwania.

— A wy co robiliście? — pytał Hugo. — Z zadowoleniem widzę, że żadnego z was nie brakuje. Chyba nie pacykowaliście przez cały czas maszyn?

— Polowaliśmy. Köstring został bohaterem tygodnia, bo zatopił 2000 BRT. Poza tym wyprawiliśmy do Abrahama dwie jakieś baraki...

— A, Köstring? Dzień dobry, Bert. Nie zauważyłem cię w pierwszej chwili. Gratuluję. Aha — list do ciebie.

Rozpiął skórzany płaszcz, wyjął z kieszeni munduru kopertę i podał Herbertowi obojętnym gestem.

— Dziękuję.

Kostrzewa znowu zwrócił się do otaczających go oficerów.

— A moją maszynę ochrzciliście?

— Skądże znowu. Sam ją sobie nazwiesz. Tylko bierz się od razu do roboty, bo do wieczora trzeba skończyć. Schneditz narysuje ci kontur.

— Dobrze. Halo, Wolf! Narysuj rycerza. W hełmie z piórami, z mieczem w rękę. Takiego, rozumiesz, dumnego, zuchwałego rycerza, rycerza-Prometeusza, rycerza-Lucyfera... Rozumiesz?

— Co to będzie, Hugonie?

— Zobaczycie...

— Powiedz, bo ci nie damy narysować. Wolf, żebyś się nie ważył!

— Och, byki! Więc dobrze. To będzie Hagen von Tronje. Wystarczy wam, czy musicie zajrzeć do encyklopedii?

Wziął z motocykla swoją walizkę i poszedł w stronę budynku mieszkalnego. Herbert odłożył malowanie „Aniołka z bombą”. Znalazł między stojącymi blisko maszynami zaciszny kąciok, gdzie go nikt nie mógł obserwować, i tam dopiero rozerwał otrzymaną kopertę.

Lecz wbrew oczekiwaniom list był krótki, suchy, bardziej jeszcze wyprany z treści niż kartki i listy, które mu przynosiła poczta, a które przeszedłszy przez dziesiątki cenzurujących je rąk, utraciły swój dźwięk. Gerda pisała, że jest zdrowa, że pracuje i że ta praca absorbuje cały jej wolny czas. Poza tym — nic więcej. Ze zdumieniem miał kartkę w palcach. Co to było? On w swoim liście pisał tak dużo o miłości, ona odpowiadała mu tonem tak obojętnym, jakby tamto warszawskie spotkanie nigdy nie miało miejsca.

Wzrok Herberta ślizgał się po dużych literach zdradzających stanowczość myśli piszącej. „Drogi Bert” — brzmiało jakoś mdło i bezbarwnie. „Całuję cię” raziło krótkością. Ani słowa o tęsknocie, ani słowa o oczekiwaniu na jego przyjazd. „Wyobraź sobie, nabrałam przekonania do Kostrzewy — pisała Gerda. — To bardzo interesujący człowiek. Rozumiem teraz, dlaczego go uwielbiasz i dlaczego tak bardzo podziwiał go Walter. Umie znakomicie opowiadać o waszych przygodach i gdy się go słucha, można o wszystkim zapomnieć...”

Herbert poczuł bolesne ułknięcie w piersi. Przecież nie był zazdrosny o Hugona. Ale jeżeli zapomina się o wszystkim... Nawet o jego tak wypracowanym, tak pełnym uczuć liście, o którym Gerda nie wspomniała ani jednym zdaniem.

Cóż ten Hugo jej, do licha, naopowiadał? W pierwszej chwili chciał biec za przyjacielem i stawiać mu pytania. Potem wstrzymał się. Nie. Hugo nie był na pewno przyczyną tego dziwnego listu. Cóż by mógł zresztą Gerdzie powiedzieć? Może sama Gerda jest przepracowana, może na inny list zdobyć się nie mogła. Wreszcie... Poczul dreszcz. W pamięci zawirowała mu przystojna twarz z ciemnymi, gładko zaczesanymi włosami. Widział ją w oknie tego samego przedziału, którym odjeżdżała Gerda z Warszawy.

Zagryzł usta aż do bólu, zacisnął dłonie. Wydawało mu się przez moment, że nie zniesie ucisku rozsadzających czaszkę myśli, straszliwych hipotez i podejrzeń. Błyskawicznie stanęły mu przed oczami tamte chwile, lecz tym razem zanurzone w jakimś upiornym świetle. Ta uległość — uległość, którą kładł z taką dumą na karb swej męskości, miała w tej chwili posmak grozy. Jeżeli ona wtedy...

Zrobił olbrzymi wysiłek i odrzucił od siebie fale ohydnych sugestii. Tłumaczył sobie, jakby komuś drugiemu, że Gerda nie napisała nic więcej, ponieważ nie miała czasu. Była bardzo zajęta. Przepracowana. Nie mogła, mimo najlepszych chęci, zdobyć się na żaden wysiłek. On zaś musi w to wierzyć. I będzie w to wierzyć — bo inaczej...

Posłyszał za sobą kroki i zobaczył Kostrzewę w roboczym kombinезonie, z pędzlem w ręku. Kapitan patrzył uważnie w twarz Kōstringa.

— Co słyhać, Bert? Masz twarz chmurną, a wzrok dziki.

— Boli mnie głowa... Głupstwo. Ale czemu tak patrzysz na mnie?

— Patrzę, bo źle wyglądasz. Chciałem ci opowiedzieć o swoich wrażeniach z poznania panny von Recke. Otóż, przyznaję, że byłem mile zaskoczony. To nie jest ktoś chwiejny i niezdecydowany jak jej brat. Panna Gerda wie, do czego dąży... Ale, do licha, nie rób takiej dziwnej miny.

— Powiedz mi, proszę, czy Gerda wydaje ci się osobą bardzo zapracowaną, taką, która nie ma chwili czasu dla siebie i swoich... spraw?

Hugo podniósł spokojny wzrok na przyjaciela.

— Nie. Nie wydaje mi się aż tak zapracowana...

— Nie?

W rozszerzonych oczach Herberta ukazały się łzy, usta wygięły się w bolesnym skurczu. Drżąc cały, chwycił za rękę Hugona, który miękkiem gestem ogarnął go całego ramieniem.

— No, Bert. Bądź mężczyzną...

Ale Herbert nie mógł się opanować. Wybuchnął płaczem. I łkając jak dziecko, wsparty na ramieniu przyjaciela, powtarzał:

— Dlaczego mam być mężczyzną? Dlaczego? Powiedz... Powiedz mi wszystko... Proszę cię...

HUGO KOSTRZEWA

I

Znowu ta okropna Warszawa! Czy w całej Europie nie mogli znaleźć innego zakwaterowania?

Wybuch Köstringa przyjęto uśmiechem. Ostatecznie tam będzie nudno, ale i tu jest nudno. Europa, którą zjeździli wszerek i wzdłuż, nie przedstawiała już żadnej atrakcji. Widzieli ruinę Belgii, Holandii, północnej Francji. Przyglądali się Paryżowi — ogromnemu, nagle opustoszałemu miastu, na którego murach czerwieniły się jeszcze płomienne afisze, wzywające obywateli do obrony granic. Kontemplowali Tuilleries, Louvre, groźną bryłę Conciergerie, rozmach wieży Eiffla, lecącą w dal od placu de la Concorde perspektywę Champs Elysées, zakończoną Łukiem Triumfalnym. Zeszli u Inwalidów spojrzeć na kamienny sarkofag cesarza. Spacerowali po mieście porwani w pierwszej chwili finezją jego murów, o tyle przewyższających ciężką, z grubsza ciosaną masę miast niemieckich, o ile idące do głowy wino francuskie góruje nad wchodzącym w nogi piwskim niemieckim. Zachwyciła ich na moment koronka Notre-Dame, spiętrzona kulista masa bazyliki na Montmartre, amfilada mostów nad brudnoszarą Sekwaną, wdzięk bulwarów, mrowie posągów...

Ale po pierwszym zachwycie nadeszło znudzenie. Próżno starali się uciec przed nim w ciągłym marszu naprzód. Wczesnym rankiem dziesiątego maja zerwały się ich eskadry z prowizorycznych polowych lotnisk, znajdujących się na obszarze Ruhry, i runęły na Francję. Rzucali bomby na dworce i linie kolejowe, drogi, mosty, nieśli zagładę setkom samolotów nieprzyjacielskich, drzemiących na lotniskach w Nancy, Amiens, Dijon, Rommilly, Montmedy, Arras, Metz, Reims. Szybcy jak uderzająca pantera nie dali się nikomu wyprzedzić, nikomu zaskoczyć, wnieśli od razu wojnę w samo serce nieprzyjacielskiego kraju. Wspierana przez nich piechota już pierwszego dnia mogła dotrzeć do Izery i przekroczyć Mozę. Po paru dniach bohaterskiej obrony padła Holandia, zdeptana butem zdobywcy. Zgorzał Rotterdam, gdy skierowała nań swe lufy artyleria niemiecka, a grad bomb spadł z góry na dachy domów. Skapitulowały forty Louvain, Liège, Namur, Antwerpii, a mały forcik Ebel Emael, zdobyty przez lądujących z powietrza pod wodzą Kocha i Witziga skoczków spadochronowych, stał się symbolem nowych metod walki. Poprzez Mozę i przez Dyle maszerowały armie niemieckie, by uderzyć od czoła i przerwać słaby między Maubeuge i Carignan odcinek linii

Maginota. Potem jęzor wdzierającego się na ziemi francuskie za-
lewę zakręcił i doszedł do morza, otaczając grubym pierścieniem
stłoczone wokół Calais, Boulogne i Dunkierki armie sprzymierzone.
Zaczęły się dni pasowań i zacieklej walki.

Praca lotników była wtedy ciężka. Dzień i noc na służbie, w nie-
kończących się lotach nad dymiącym polem walki. Wydobywali
z siebie wszystkie siły. Przez te parę dni prawie nie spali. Kiedy pier-
ścień zacisnął się wokół Dunkierki i oni po pięć, po dziesięć razy
na dobę rzucali w dymiący kocioł — niby w krater wulkanu — nie-
zliczone bomby, z zaciekłością robotnika przykutego do swej pracy,
nabrali przekonania, że żaden opór nie zdoła stanąć na drodze ich
młodej woli i wspaniałości ich maszyn. Po prostu byli bliscy czcze-
nia własnej odwagi i własnych aparatów, jak się czci rzeczy niezemi-
skie, nadludzką mocą obdarzone. A przecież ich zawziętość spotkała
się z równą zawziętością przeciwnika. Ścisnana żelaznymi klinami
armii niemieckiej, rwana dniem i nocą ogniem tysięcy dział, bombar-
dowana dniem i nocą przez setki eskadr, armia angielska ustępowała
tylko krok za krokiem i oddział za oddziałem odsyłała ze straconej
pozycji z powrotem na wyspę. Wściekłe ataki bawarskiej i westfal-
skiej piechoty łamały się w kontratakach. Działa ryczały bez przer-
wy i odpowiadały falą ognia na bezustanny deszcz żelaza, który
spadał na głowy obrońców. Małe Spitfire'y dokonywały cudów bo-
haterstwa. To tam eskadra „Much” straciła Rungego, a jego aparat
rozleciał się w powietrzu, trafiony pociskiem artyleryjskim. Tam zgi-
nął Pfeffer, którego strącił francuski Curtiss. Ale właśnie nad Dun-
kierką zdobył Kostrzewa Krzyż Rycerski, zatopiwszy w niezmiernie
ciężkich warunkach załadowany żołnierzami okręt; inni członkowie
eskadry — Krzyże Żelazne drugiej klasy za brawurowy nalot na
Ostendę i zniszczenie baterii przybrzeżnych.

Atak rozwijał się w dalszym ciągu. Przekroczono Sommę, przeła-
mano „elastyczną” linię obronną, którą stworzył przywołany z Syrii
Weygand; wojska niemieckie zdobyły sobie przejście przez Aisne
i przez Marne, wkroczyły wreszcie do Paryża. Teraz posuwano się
naprzód z taką szybkością, jakby cała armia miała skrzydła. Francuzi
składali broń bez walki.

W końcu przyszło Cpmpiègne i zawieszenie broni. Eskadra otrzy-
mała rozkaz wyjazdu do Warszawy na zimowe leże. Oficerowie sie-
dzieli zebrani w podrzędnej „gargotte” w Jassins, gdzie znajdowała
się ich kwatera, gdy pułkownik Kerschensteiner otrzymał pismo
z rozkazem, przywiezione przez zapyłonego i zlanego potem cy-
klistę. Doskonale wino wprawiało głowy w lekko wahadłowy ruch.
Otrzymała nowina wydawała się wszystkim beznadziejnie głupia.

Jechać do miasta, w którym każdy z nich już był? Do tych gruzów,
do tych ludzi, którzy umierają powoli jak pasożyty? Jeszcze prze-
cież są miejsca w Europie, gdzie nie powstała dotąd ich noga i gdzie
może jest jeszcze coś do zobaczenia, co by pobudziło do żywszego
ruchu ich spętany nudą umysł.

Gdy jednak Köstring wydał okrzyk oburzenia, uśmiechnęli się dobrodusznie. Ostatecznie — nie nienawidzili Warszawy aż do tego znów stopnia... Cała wina tego miasta mieściła się tylko w tym, że było beznadziejnie nudne.

„Umrzeć można z ziewania” — określił to jednym zdaniem Lahm.

Siedzieli tu już trzeci dzień na małym polowym lotnisku, a pracowane „Stuki” odpoczywały, po wszystkich przejściach ostatnich siedmiu tygodni. Żołnierze strzegli samolotów, lotnicy zaś odsypiali noce czuwania i objadali się za dni, w ciągu których nie było czasu na śniadanie, obiad czy kolację. Stołowali się w tej nędznej restauracji, którą jednak musieli zasilać otrzymywanymi z intendentury konserwami, bo inaczej niczego by im nie ugotowano. „Tout manque, tout — powiadał im gospodarz — v’la sacré guerre.”

Gospodarz był to mały, czarny człowieczek. Nosił na co dzień zielonożółty mundur, w którym go wypuszczono z obozu jeńców, i furażerkę o dwóch sterczących do góry rogach. Na nogach miał drewniane saboty, z ust zaś nie wypuszczał fajki. Lubił pić wino, którym się chętnie trącał z żołnierzami, a po wypiciu klepał ich po ramionach i wesoło pokrzykiwał: „Hé, vous, buvez, vite, aujourd’hui c’est moi qui régale”.

A w ogóle próżnował całymi dniami. Od rana wylegiwał się na słońcu, ryczał jakieś piosenki lub pokazywał żołnierzom pornograficzne rysunki, tak straszliwie bezwstydne, że wywoływały prawdziwą rewolucję we łbach wschodniopruskich chłopców. Któregoś dnia zaczął wyśpiewywać na całe podwórze międzynarodówkę.

— Ils sont les farceurs les Sovietses, cam’rades — zakończył uwagą swój popis. — Sacré nom de nom! My się rżniemy, a oni się namśmiewają.

Francuz miał żonę przystojną, czarnooką kobietkę, która w niemożliwy sposób kokietowała oficerów. Była zresztą pełna podziwu dla ich szorstkości, stanowczości i wojowniczości.

— Och, comme vous êtes forts! — powiadała. — Montrez moi vos muscles. Magnifiques! Wszyscy was się boją. To bardzo przyjemnie zmuszać każdego do strachu, n’est-ce pas mon ami?

Przy całej swej zalotności piękna Francuzka знаła się doskonale na interesach i umiała wyciągnąć z oficerów słoną zapłatę za każdą usługę. „La vie est si chère...” Mówiąc to patrzyła w oczy i uśmiechała się kusząco. Woleli ją poklepywać po biodrze, przycisnąć gdzieś w kącie lub przelotnie pocałować, niż spierać się o koszt kolacji.

Po obiedzie Kostrzewa razem z Köstringiem poszli do swojej kwatery, która mieściła się w mieszkaniu proboszcza. Po drodze zaszli na łąkę służącą za prowizoryczne lotnisko, aby rzucić okiem na maszyny. Sześć „Stuk” stało spokojnie na skraju. Dwoch żołnierzy pilnowało ich, przechadzając się w wąskim pasie cienia rzuconego przez sąsiedni zagajnik.

Aparaty były przykryte plandekami. Hugo zatrzymał się przed swoim „Hagenem” i odłożywszy brezent, przypatrywał się chwilę kabini, motorowi, śmigłu. Aparat nosił wiele śladów kul nieprzyjacielskich. Szczególnie na konturze namalowanego rycerza widać było czarne otwory.

Choć na pozór starannie przypatrywał się maszynie, jednocześnie śledził spod oka Herberta. Porucznik stał na środku łąki, uderzając się niecierpliwie po cholewach butów trzymaną w rękę witką. Nawet nie podszedł do swego „Aniołka z bombą”. Jego myśl krążyła niewątpliwie daleko od lotniska i od samolotów.

— Ładny dzień, Bert. — Kostrzewa podszedł do przyjaciela. — Może pójdziemy się wykapać?

— Dobrze — w głosie Herberta nie było zapału. — Poczekaj, przyniosę kostiumy.

Poszedł szybkim krokiem do wsi. Skręcił koło muru otaczającego kościół, wbiegł po schodach na pierwsze piętro białego domku, w którym mieszkali. Pchnął drzwi.

Z niechęcią pozostawał teraz sam w zamkniętej przestrzeni. Wśród łąk i pól zapominał łatwiej o swym bólu, a rozmawiając z kolegami zagłuszał szumem słów potok płynących myśli. Ale w pokoju wszystko nabierało na nowo posmaku tragedii. Otaczała go głucha pustka, w której nie biło dla niego żadne serce. Gerda nie istniała. Nie istniała dla niego. Chociaż może istniała dla innego człowieka i kto wie, czy jej serce nie biło gorącym rytmem, myśląc o bliskości innego serca.

Gdybyż się mógł wyrwać z tego życia, jakie wiódł obecnie. Albo gdyby mógł wciąż walczyć z taką samą szarpiącą nerwy zawziętością, z jaką walczył jeszcze przed tygodniami. Ale po dniach walki nadeszły dni odpoczynku, a wraz z nimi otworzyła się na nowo rana serca. W zamęcie zwycięskiego boju nie miał czasu myśleć o Gerdzie. Czasami tylko, gdy pędził w dół między rozrywające się pociski, w umyśle pojawiało się pragnienie jak jasna błyskawica: „Ja zginę, ale ty poznasz, coś straciła”. I ta myśl pogrobowego triumfu była mu pociechą, żalną zresztą pociechą, bo wiedział, że swego zwycięstwa w takim wypadku nie ujrzy.

Teraz już i tej pociechy nie miał. Zgiełk walki zastąpić miała nuda, łatwiejsza jeszcze do zniesienia tutaj niż tam w Warszawie, gdzie będzie miał zawsze przed oczami wspomnienia tamtych dni szczęścia. Dlatego tak gwałtownie protestował przeciwko wyjazdowi.

Zjął swój kostium kąpielowy z oparcia łóżka i rozejrzał się za kostiumem Hugona. Przeszukując wzrokiem łóżko Kostrzewy zobaczył nagle na poduszce zapieczętowaną kopertę. Widać list przyniósł ordynans podczas obiadu. Koperta nie różniła się niczym specjalnym od innych kopert, używanych zwykle przez kobiety. Natomiast charakter pisma był tak znany Köstringowi, że serce zaczęło bić mu mocniej, a policzki pokryła śmiertelna bladeść.

Wziął kopertę w palce — poczuł wagę włożonych do środka trzech czy czterech arkusików papieru. A więc nie był to krótki list grzecznościowy. Czego chce Gerda od Hugona? Gwałtownie zadał sobie to pytanie, ale nie mógł znaleźć odpowiedzi. Przekładał niezdecydowanie list z ręki do ręki. Potem błyskawicznym ruchem wsunął go do kieszeni.

Kostium Kostrzewy wisiał na ramie okna. Herbert wziął go i wyszedł. Serce wciąż mu biło niespokojnie. Spotkał na schodach ordynansa Kostrzewy, więc siłąc się na spokój zagadnął go niby od niechcienia.

— To ty przyniosłeś list panu majorowi?

— Ja, panie poruczniku.

— Wziąłem go ze sobą, Kurt. Oddam sam panu majorowi.

— Tak jest, panie poruczniku.

Hugona zastał na łące. Bez słowa podążyli ku rzece. Spiekota robiła się coraz większa. Drzewa dyszały od upału, trawa utraciła swoją zwykłą zieloność i soczystość, nabrała szarozółtawego koloru.

Między drzewami płynęła szemrząc rzeczka. Szybko rozebrali się i wskoczyli do wody. Jedno z drzew wyginało się, tworząc jakby małą skocznnię tuż nad powierzchnią wody. Wchodzili na nie raz po raz, by potem rzucić się głową naprzód w bulgoczący srebrnymi banieczkami nurt. Przypatrywało im się z drugiego brzegu kilkoro dzieci, coś do siebie szepcząc, ale tak głośno, że słyszeli wyraźnie:

— Regarde, regarde les Boches. Comme ils sont blancs.

Wykąpawszy się, wyszli na brzeg i położyli się na małej wydmie piaszczystej. Słońce grzało i kłuło w oczy, więc ponakrywali sobie twarze furazerkami.

— Gdy tak leżę i pływę się w ciepłe — rzekł Herbert — przypomina mi się nasz stary Kurz. Pamiętasz go? Był szefem w dziesiątym pułku dragonów.

— Ależ naturalnie, że go pamiętam. I wiesz, mówiono mi o nim niedawno. W tej chwili nie pamiętam, o co chodziło... Aha, już wiem. Był ranny. Znajduje się w szpitalu w Troyes.

— Tu blisko?

— Tak. Można by się do niego wybrać.

Umilkli i leżeli dłuższy czas cicho, nic nie mówiąc. Potem znowu podjął Herbert:

— Właściwie wciąż jeszcze nie wiem, jak dokonało się to zerwanie Gerdy ze mną. Co ci ona powiedziała? Obiecywałeś wszystko powiedzieć, gdy będę zupełnie spokojny... Możesz więc mówić.

Czekał bardzo długo na odpowiedź, a nie doczekawszy się rzekł ze zniecierpliwieniem:

— Nie pojmuję twego milczenia. Przecież ty coś o tym musisz wiedzieć.

— Co ty jej napisałeś?

— Rozmaite rzeczy... Byłem wtedy mocno rozdrażniony i pisałem tak, jakbym co najmniej stwierdził jej niewierność...

— A ona?

— Ani się nie tłumaczyła, ani oburzała. Pisała tylko o nieugiętych prawach miłości, o zmienności naszego serca... Ofiarowywała mi przyjaźń i sympatię — słowem rzeczy, których kobieta nie rozumie i które gotowa jest ofiarować, gdy nic lepszego nie ma do dania...

— Ten cios cię pognębił. Zrozumiałeś nareszcie, czym może być męska przyjaźń.

Herbert zrobił gest wyrażający obojętność.

— Nie zależy mi obecnie na niczym. Zresztą wybaczone. Nie powinienem tak mówić ze względu na ciebie...

— Nie krępuj się, Bert. Rozumiem, że przeżywasz depresję.

— Niestety. I tak długo będę ją przeżywał, póki ty nie wyjawisz mi wszystkich tajemnic...

— Cóż ja ci mam wyjawiać? Poznałem pannę von Recke i stwierdziłem, że jest zajęta kim innym. Zajęta mocno i to w sposób, który byłby dla ciebie trudny do zniesienia. Zresztą, przyznaję, iż postawa jej jest bardziej narodowo-socjalistyczna niż twoja. Ty byś chciał ją mieć na własność. Zaś ona... Ona wydaje im się świetnym materiałem na towarzyszkę człowieka idei i czynu. Podobała mi się. Nawet bardzo. Ale to nieważne. Bronilem twojej sprawy.

— Mówiłeś z nią o mnie?

— Oczywiście. Mówiłem jej, czym będzie dla ciebie jej odejście. Przekonywałem ją, że powinna pozostać przy tobie.

— Aby była przy mnie siostrą miłosierdzia?

— Siostry miłosierdzia współpracują w przywracaniu chorym zdrowia.

Herbert usiadł i zaczął otrzepywać się z piasku. Jego skóra była rozprazona i śliska.

— A ona? — zapytał.

— Stwierdziła, że jej obowiązkiem jest postępować zgodnie z wezwaniem serca.

— I to wszystko?

— Wszystko, Bert.

— A czy Gerda pisała do ciebie?

— Owszem, pisała.

— W jakiej sprawie?

— Nawiazywała do tematów ogólnych, które poruszaliśmy w rozmowie.

— A ty odpisywałeś na te listy?

Twarz Kostrzewy drgnęła i ściągnęła się wewnętrznym napięciem.

— Nie, nie odpisywałem — powiedział.

Wstał z ziemi, strząsnął z siebie piasek i zaczął się ubierać. Po chwili obaj zbliżali się z powrotem ku wiosce. Zobaczyli pozostałych członków eskadry grających pod murem kościelnym w piłkę.

— Chodźcie do nas — krzychał Hubek — oni są silniejsi! Wiktor gra dzisiaj, jakby nic innego w życiu nie robił.

Hugo zdjął frencz, zakasał rękawy.

— Pokopimy trochę.

Ale Herbert pokręcił niechętnie głową.

— Graj. Mnie się nie chce ruszać. Siadę sobie pod drzewem i popatrzę na was z daleka..

Pod wysokimi lipami panował rozkoszny chłód. Pszczoły brzęczały gdzieś w górze, motyle trzepotały się w powietrzu niby unoszone przez wiatr strzępki kolorowego papieru. Porucznik wolno wyciągnął z kieszeni list. Znowu niezdecydowanie przekładał go z ręki do ręki.

Grający krzyczeli, a kopana piłka wydawała głuchy łomot podobny do dalekiego grzmotu. Do gry przyłączało się coraz więcej oficerów i podoficerów należących do kwaterującego we wsi batalionu piechoty. Właśnie Lahm prowadził atak od środka. Nie mógł przebić się przez obronę, więc krzychał ile sił w piersiach w stronę bezradnie biegających na skrzydle kolegów:

— Naprzód! Naprzód! Hugo! Hans! Trzymajcie ich!

Przeczytać czy nie przeczytać? Z jednej strony paliła go boleśnie ciekawość, z drugiej powstrzymywał nie tyle wzgląd na to, że list był nie do niego adresowany, ile instynktowna obawa przed grozą wiadomości, którą mógł zawierać. Tamci grali z coraz większym zapalem; złota kula słońca zsuwała się wolno za las, rzucając na plac długie, czerwienią nasiąknięte płaty blasku. Niepostrzeżenie wśród fanfary żabich rechotów zstępował między drzewa mrok. Gorzały jeszcze wierzchołki i kładły się wydłużone cienie, ale pogodny czerwcowy wieczór ogarniał już wszystko swym płaszczem. A Herbert wciąż nie mógł się zdecydować. Przyszło mu do głowy, że otworzenie listu mogłoby zachwiać jego przyjaźnią do Hugona. W obecnym jego położeniu byłaby to ostateczna klęska — klęska zanurzenia się w samotności, z której nie ma wyjścia. Czuł, że wówczas oszalałby albo musiałby strzelić sobie w łeb. Więc może lepiej zwrócić list Kostrzewie? Jeszcze się przed tym bronił, ale już czuł, że odwaga go odstąpiła. Trzeba więc zamknąć oczy, nie wiedzieć, nie widzieć. Wsunął list do kieszeni leżącego obok munduru Kostrzewy. Wstał i skierował się w stronę domu. Gardło miał ściśnięte przez hamowany płacz. Chciał, aby go w tym stanie nikt nie widział. W pokoju na piętrze panował już szary mrok i ciężka duchota nagrzanego powie-

trza. Zamknął drzwi na klucz — Hugo miał drugi — otworzył okno. Noc zapowiadała się parna, a żaden powiew nie przynosił ulgi pokrytemu potem ciała. Zaczął zdejmować ubranie, a potem rzucił się na łóżko. Nie mógł zasnąć. Teraz dopiero w cieniach nocy wypełzały myśli niby węże ze swych jaskiń. Po tysiącokroć żałował, że nie zerwał tej tajemniczej koperty — i po tysiącokroć przewalczał w sobie tę pokusę. Męczył się okropnie, prowadząc jakieś zawzięte dyskusje z Gerdą, z Hugonem, z tym przystojnym cywilem z pociągu... Czas płynął wśród tykań zegarka leżącego na stoliku. Sen razem ze swym dobroczynnym omroczeniem nie nadchodził, toteż umysł z całą trzeźwością mógł budować hipotezy, prowadzić dyskusje, wyobrażać rzeczy najokropniejsze. Cierpienia ogarnęły także jego ciało. Jak strasznie była mu w tej chwili Gerda potrzebna. Każde jej słowo, każdy gest, każda otrzymana niegdyś pieszczota paliły go żywym ogniem. Miał ją przed oczami całą, powtarzającą wobec drugiego te same gesty oddania, jakich dokonywała wobec niego...

Zegar na wieży kościelnej wybił dwunastą. Już północ? Dlaczego Hugona jeszcze nie ma? Prawda, dzisiaj urodziny Schneditza, więc wszyscy pewno piją w gospodzie. Zresztą po co mu Hugo? Potrzeba mu Gerdy, Gerdy i tylko Gerdy...

Zgrzytnął klucz. Skrzypnęły drzwi, ktoś wszedł do pokoju. Herbert zacisnął szczęki. Nie chciał zdradzić Hugonowi, że płacze. Udawał, że śpi. Ale przybysz usiadł na skraju jego łóżka. Głosem rwanym Köstring powiedział:

— Zostaw mnie...

Lecz w tej samej chwili poczuł miękkie dotknięcie kobiecych ramion i posłyszał szept:

— Pleure pas, pleure pas, mon pauvre. Oh, qui t'a fait mal? Pleure pas. Donne moi ta main. On peut trouver un petit remède...

II

Herbert prosto ze szpitala zajechał do Ortskommandostelle, które mieściło się w kancelarii pułkowej miejscowego garnizonu. Znając klucz stosunków wojskowych wiedział, że tam właśnie należy szukać rozwiązania dręczącej Kurza zagadki.

— Kto się u was zajmuje cenzurowaniem listów? — spytał podoficera w kancelarii.

— Oberscharführer Neun.

Czyżby Willy Neun, kolega Herberta? Składałoby się wyjątkowo dobrze. Zresztą i tak muszą mu powiedzieć.

— Chciałbym się z nim widzieć.

— Pan Oberscharführer jest na obiedzie. Ale zaraz powróci. Może pan porucznik zechce chwilkę zaczekać.

— Dobrze.

Zaczął spacerować tam i z powrotem po kancelarii. Przy zestawionych stołach kilku podoficerów siedziało nad rozłożonymi papierami. W kącie żołnierz pisał na maszynie rozkaz, który mu kolega dyktował półgłosem. Na ścianach wisiały jeszcze jakieś fotografie i obrazki, przedstawiające żołnierzy francuskich, w środku zaś, między oknami, znajdował się herb Francji z czapką frygijską i z napisem: „Liberté, Egalité, Fraternité”. Po raz pierwszy może Herbert uświadomił sobie ogrom odniesionego zwycięstwa. Osobiste zmartwienia i ogromne zmęczenie zasłaniały mu dotychczas obraz sukcesu, będącego wynikiem tych pięćdziesięciu dni zawziętych walk. Wróg został pokonany, rzucony na kolana. Stali obecnie na ziemi nieprzyjacielskiej i z całą beztrząską korzystali z bogactw przez długie lata zbieranych przez skąpych Francuzów. Uczucia, których doświadczył, spotęgowały się jeszcze, gdy wyjrawszy przez okno zobaczył na dziedzińcu prowizoryczny obóz jeńców. Tuląc głowy do muru, pod którym znajdował się wąski pasek cienia, siedziało lub leżało około dwustu żołnierzy. Mieli wygląd opłakany: porozpinane mundury, opadające owijacze, twarze brudne, na których głód, pragnienie, upał i desperacja wyryły swe ślady. W rękach trzymali żałośnie małe menażki — a raczej chochelki — w które dowództwo armii francuskiej zaopatrzyło swoich żołnierzy. Murzyni stanowili połowę jeńców; ich twarze były spopieliałe, oczy przymknięte, wargi obwisłe. Niewątpliwie mieli już dosyć tej wojny, w której cały szacunek, jaki odczuwali dla swoich „Franków”, został pogrzebany bezpowrotnie. Niegościnnie północne niebo groziło im już teraz zamrażaniem. A co będzie potem, gdy odjadą w kraj zimna, do obozów?

Sieg... Twardo, groźnie a jednocześnie radośnie zabrzmiało to krótkie słowo w myślach Köstringa. Gdyby jeszcze mógł odpędzić od siebie wciąż uporczywie czepiające się serca wspomnienie Gerdy, może doświadczyłby tego cudownego uczucia, kiedy pierś rozszerza się dumą, a zachwyt bije do głowy niby wino. Chwilami jakiś ujrzany obraz — choćby jak ta kancelaria zniszczonego garnizonu — wywoływał silne bicie serca. Lecz zaraz wracał melancholijny nastrój, wyrażający się w myśli, która wystukiwała swój refren w skroniach: „Gerdy nie ma... Z czego mam się cieszyć?...”

Znowu przeszedł się kilka razy po kancelarii. Przed oczami stanął mu Kurz. Dziś rano przyjechał tu motocyklem, aby odwiedzić sympatycznego szefa. Sanitariuszka-zakonnica prowadziła go długim korytarzem, aż wreszcie otworzyła przed nim drzwi jednej z sal.

— C'est ici, monsieur — prosiła go, aby wszedł. — Monsieur le sergent repose là — wskazała ręką w kąt pokoju.

Ledwo poznał swego dawnego szefa. Gruba, nalana i czerwona twarz Kurza zbladła teraz i zapadła się w głąb. Policzki oraz broda płonęły szczecinią dawno nie golonego, ryżego zarostu. W błękitnych oczach czaił się niepokój i ból. Na widok Herberta podoficer uśmiechnął się lekko.

— To pan porucznik? Ho, ho i z krzyżem. Bardzo jestem wdzięczny, że pan porucznik zechciał mnie odwiedzić.

— Dowiedziałem się, że pan tu leży... Ale pana, szefie, widzę, nieźle urządzili?

— Starali się, jak mogli. — Kurz zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było wesołości. — Dostałem i tu, i tu...

Wskazał ręką na obwiązaną głowę i na prawe ramię. Potem powiedział głośnym szeptem, łamiącym się od nadmiernego wzruszenia:

— Ale to byłoby wszystko głupstwo. Tylko, pan wie, mego Hansa, mego najstarszego... zabili. Zginął. Wzięli go z oddziałów pracy do strzelców spadochronowych.

— Bardzo współczuję, panie szefie... Ale może pan być dumny z syna. Ci strzelcy padali jak bohaterowie.

Kurz spuścił wzrok, wbił oczy w fałdy koca, usta mu drżały. Powiedział niezdecydowanie:

— Zapewne...

Ale zaraz dodał tak nagle, jakby się bał, że Herbert odejdzie, zanim on zdąży mu się zwierzyć ze swoich zmartwień:

— Nie mam żadnej wiadomości od żony... Od początku Feldzugu...

— Pańska żona zawsze nieregularnie pisała.

— Nie — zrobił minę tajemniczą — ona pisze stale, co tydzień, ale jako kobieta jest nieostrożna...

Herbert wyczytał w jego przekrwionych oczach jakby prośbę. Było mu żal tego człowieka, który sam ranny nie o siebie się lękał, ale o swoich najbliższych. Od razu zdecydował.

— Pojadę do Ortskommando. Może tam znajdę list do pana. Zraz wrócę.

Wybiegł ze szpitala, siadł na motocykl i w parę minut był już przed kancelarią garnizonu. Ale Neun ciągle nie przychodził. Sterczenie w dusznej kancelarii zaczęło już drażnić Köstringa. Sprawa Gerdy znowu stanęła mu przed oczami.

Czy ona żałuje, że tak się skończyła ich miłość? Głupie pytanie: a przecież podświadomie pragnął wiedzieć, że ona cierpi, myśli o nim, wzdycha. Nie dlatego, aby można było jeszcze coś naprawić. Herbert drżał przed możliwością dowiedzenia się, iż w życiu i w myślach Gerdy nie odgrywa już żadnej, absolutnie żadnej roli. Dawniej czuł koło siebie pamięć dziewczyny i przyzwyczaił się do tego. Utonięcie w morzu obojętności wydawało się porucznikowi najstraszniejszą z życiowych katastrof. Jak ona może mówić innemu to, co jemu mówiła, i jak może słuchać z innych ust wyznań takich, jak jego wyznania?

— Herbert! Co ty tu robisz? — posłyszał nagle.

Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą Neuna.

— Przyjechałem właśnie do ciebie.

— Niemożliwe. Bardzo się cieszę. Kupę czasu nie widzieliśmy się.

Od Neuna wiało koniakiem. Wprowadził Köstringa do sąsiedniego pokoju i prosząc, aby usiadł na miękkim fotelu, podsunął mu pudełko z cygarami.

— Czym ci mogę służyć? Nie krępuj się, Bert. Zrobię dla ciebie wszystko. Chcesz szampana? Może dziewczynę? A może jakiś bubek wlał ci w drogę? My to potrafimy załatwić. Mam byczego szefa. Zresztą pewno go znasz. Nazywa się Peuckert.

— Nie znam.

— Z grupy brandenbursko-berlińskiej. Powiadam ci: pierwszorzędny typek. Dla mnie zrobi wszystko. Więc gdyby ci kto przeszkadzał, to powiedz. Usadźmy go tak, że zobaczysz. Choćby był generałem...

— Dziękuję. Przy okazji. Teraz mam do ciebie inną sprawę.

— Zawsze licz na mnie. My, stara gwardia z Abteilungu Kostrzewy, musimy siebie wzajemnie wspierać. A propos: może jesteś blisko Hugona?

— Nawet bardzo blisko. W tej samej eskadrze.

— No, to kłaniaj się mu ode mnie. I powiedz, że ja także dla niego wszystko zrobię. Pal cygara — prawda, że są pierwszorzędne? Prawdziwa hawana. Nudziły się tutaj u jednego grubego Francuza. Ale u mnie nudzić się nie będą. Dam im radę. Słuchaj, Bert, a dlaczego nie starałeś się, aby przydzielono cię do nas?

— Jakoś nie przyszło mi to do głowy.

— Wy tam w pierwszej linii polujecie na krzyże i awanse, ale ja pluję na to. Po cholere mi krzyże? Ot, dobre cygara, winko, koniaczek, czasem dziewczynka się trafi. Ludzie boją się mnie, każdy woli coś dać, aby tylko z gestapo nie mieć do czynienia. Choć Peuckert inaczej mówi: wziąć, a potem faceta i tak można wsadzić. Niezły kawał — co?

Zaśmiał się.

— Więc czym ci mogę służyć?

Herbert chrząknął, bo jakoś zaschło mu w gardle. W ich Abteilungu Neun miał opinię skończonego łobuza. Kostrzewa nie lubił Neuna, a nawet postarał się o przeniesienie go do innego oddziału. Neun tymczasem trafił do SD, gdzie dobił się stanowiska.

— Sprawa drobna — zaczął Herbert. — Leży tutaj w szpitalu pewien Oberfeldwebel dziesiątego pułku dragonów. Mój dawny szef szwadronu z czasów, gdy nie byłem jeszcze w lotnictwie. Biedak zakochany po uszy w żonie. No i brak mu wiadomości o niej. Ponieważ ta jego Penelopa...

— Jak się ona nazywa?

— No nie, tak się ona nie nazywa. Ja tylko mówię o niej: Penelopa. Rozumiesz? Więc ta jego stara podobno pisze regularnie co tydzień, ale listy jej nie przychodzą. Może baba pisze rzeczy niepotrzebne, wy listy zatrzymujecie, a ten biedak się męczy... Chciałbym mu pomóc. Jeżeli tu jest jakiś list, wytnijcie lub zamażcie to, czego czytać nie powinien, a resztę mu dajcie.

— Też zmartwienie. Ja się wcale o moją Eli nie martwię, choć w myśl rozkazu postarałem się dla niej przed wyjazdem o brzuszek. Ale dla ciebie, Bert, wszystko. Jak się nazywa ten stary fioł?

— Michel Kurz. Z dziesiątego dragonów.

— Dobra.

Neun krzyknął, a na jego wezwanie przyszedł z sąsiedniego pokoju Sturmman. Miał cofnięte czoło, małe, głęboko wbite oczy, z ust nie schodził mu okrutny półuśmiech.

— Zajrzyj, Franz, do zatrzymanej korespondencji. Oberfeldwebel Michel Kurz. Tu, w szpitalu.

Pomocnik wyszedł. Neun znowu rozpoczął serię denerwujących przechwałek. „Wy z linii...” Określenie to w jego ustach brzmiało prawie pogardliwie. W każdym razie z nieprawdopodobną lekkością deprecjonował wysiłek każdego rodzaju broni. Lotnicy są zarozumiali i zepsuci awansami. Taki Mölders już się dochrapał majora. To samo Wick... Piechociarze — głupia „swołocz”, artyleria wyobraża sobie, że bez jej mądrości armia nie mogłaby istnieć; pionierzy — filozofy, szlag by ich trafił; tym z broni pancernej siedzenie w stalowych pudełkach uderzyło na mózgowicę. A kawaleria? Szkoda o niej mówić. Nadaje się tylko do zagładania szkapom pod ogon. Śmiał się wesoło.

— Wierz mi, kośćcem armii i partii jest SS.

Tymczasem wrócił Sturmman. W rękę trzymał list w nieproporcjonalnie małej do wypychającej go zawartości kopercie. Stał obok swego zwierzchnika i mówił mu coś do ucha. Neun kiwał głową.

— Miałeś rację — rzekł do Herberta. — Ta gęś pisała do męża o tym, że Tommies latali nad nimi. Trzy listy trzeba było wywalić. A teraz znów pisze jakaś... — przeczytał — Henryka Thill. Jak z listu wynika, Anglicy wyrznęli bombą akurat w dom, w którym mieszkała rodzina twego Kurza, i zrobili z rodziniki marmoladę. Brr! Nikt, pisze, z życiem nie wyszedł. Korespondencji cenzor nie wydawał do czasu, aż skończą się walki...

— Obecnie...

Zwrócił się do Sturmanna:

— Za chwilę zabierają pocztę do szpitala. Włącz tam ten list. Więc widzisz — zwrócił się do Herberta — zrobiłem dla ciebie wszystko, o co prosiłeś. I na przyszłość, chłopie, gdybyś czego ode mnie po-

trzebował, wal jak w dym. Czego nie będę mógł sam zrobić, to załatwię przez Peuckerta...

— Dziękuję — Köstring zagryzł wargi, aby ukryć lekkie drżenie ust. — Dziękuję. Będę pamiętał...

Wyszedłszy przed budynek, stanął niezdecydowanie obok motocykla. Obiecał Kurzowi, że wróci do szpitala, ale teraz zabrakło mu odwagi, aby przed innymi powiadomić go o strasznej nowinie. Postanowił więc odczekać jakąś godzinę, a potem dopiero, gdy już list dojdzie do rąk podoficera, zająć do szpitala.

Dla zabicia czasu skierował się do jadalni, znajdującej się naprzeciw dowództwa garnizonu. Było tam zupełnie pusto i tylko znużone muchy przechadzały się po stołach. Parnota późnocyfrowego popołudnia zlewała się z niemiłą wonią tłuszczu, która napływała falami gdzieś z wnętrza domu. Obsługiwała Herberta młoda dziewczyna o smutnej, bladej twarzy i gospodarz, tęgi, rumiany drab z wąsami jak miotły, w sztywnym kołnierzyku i przydeptanych pantoflach.

— Monsieur... zufrieden? — pytał oficera grubas, gdy już Köstring spróbował kilku specjałów jego kuchni.

Oficer skinął głową. Gospodarz tymczasem lał mu wino do szklanki. Przeplatając słabą niemiecką słowami i całymi zwrotami francuskimi, zapytał:

— Pan oficer nietutejszy?

— Nie.

Twarz tamtego nabrała wyrazu chytrłości.

— Bo my znamy wszystkich tutejszych oficerów i podoficerów. Układaliśmy się z nimi.

— Ach tak? A w jakiej sprawie?

Gospodarz mrugał oczami i znowu lał wino do szklanki Köstringa. W jego oczach malował się spryt.

— Trzeba żyć — rozłożył ręce — i my musimy żyć, i ci panowie... Je les comprends bien. Jeden pan oficer powiedział, że jeżeli damy dziesięć tysięcy franków... Pewno, nikt z nas nie chce siedzieć w obozie koncentracyjnym. To jasne. A że każdy ma jakieś tam grzeszki na sumieniu... Przy winie człowiek nie zawsze zdoła język upilnować...

Köstring zjadłszy obiad wziął ze stołu czapkę i rękawiczki. Nie wiedział, co odpowiedzieć pękatomu gospodarzowi. Tamten nie bez ukrytej myśli mówił mu o transakcji, w której na pewno — dałby za to głowę — maczał ręce Neun. No, ale przecież nie będzie biegł ze skargą na tamtych. Kontrolowanie ich pracy do niego nie należy. Poza tym brzęczały mu w uszach słowa Willego: „Usadźmy każdego, choćby był generałem”. Phi — narażać się dlatego, że z tych bogatych durniów ściągnięto cichą kontrybucję.

Wziął się do zapuszczania motoru. Drogą między domami szedł

w trójkach oddział żołnierzy, wracających prawdopodobnie z kąpeli, bo zamiast karabinów mieli przewieszane przez ramię ręczniki. Ich młode twarze płonęły zadowoleniem, a zdrowe, mocne nogi wybijały grubymi buciskami takt na bruku ulicy. Śpiewali:

Ziemio moja, tęskno mi za tobą,
Muszę jednak iść od ciebie precz,
Bo zły Francuz kradnie dziś nam spokój,
Więc poniosę w jego ziemie miecz...

Po kilku próbach udało się Herbertowi zmusić oporny motor do posłuszeństwa. Zajechał przed szpital i wszedł do środka. Właśnie chciał powiedzieć dyżurnemu podoficerowi, do kogo chce iść, gdy nagle doleciał jego uszu dziki, niemal zwierzęcy ryk. Kto żyw w kancelarii, pobiegł do okien. Na środku podwórza miotało się kilku szepionych ze sobą ludzi. W pierwszej chwili trudno było połapać się, o co chodzi. Dopiero potem Herbert zobaczył człowieka w niebieskim szlafroku, z bandażem na głowie i z siekierą w dłoni. To on właśnie wydawał te straszliwe ryki, skacząc do góry i wymachując siekierą, jakby chciał trafić w coś, co krążyło uparcie tuż nad jego głową. Reszta to byli sanitariusze usiłujący wyrwać szaleńcowi siekierę z ręki. Między nimi biegła siostra szarytka. Ta przemawiała coś do opanowanego furją pacjenta, jakby naprawdę wierzyła, że jej słowa potrafią go uspokoić. Jej głosik przygłuszany co chwila tubalnym i potężnym głosem szaleńca dolatywał aż do okna kancelarii:

— Mon pauvre ami... Il faut croire... Dieu est si bon. Sa misericorde est si grande...

Ale tamten nie słuchał. Szarpał się w ramionach trzymających go mężczyzn, zdierał bandaż z czoła i z ramienia, bił siekierą powietrze w jakimś obłądnym zapamiętaniu. Jego ryk przechodził chwilami w skowyt, będący czymś pośrednim między wyciem katowanego psa a płaczem cierpiącego dziecka. Kiedy spadły mu z głowy bandaż, Herbert poznał rudawą krótką czuprynę i błękitne wybałuszone oczy Michała Kurza.

III

Berlin wyglądał uroczyście. Mieszczanie spacerowali po ulicach pełni powagi, kryjąc pod maską namaszczenia radość, której żaden z nich wyrazić nie potrafi. Wieść o zwycięstwie wywarła na nich piorunujące wrażenie. Wprawdzie czytali z gorączkową niecierpliwością codziennie komunikaty dowództwa i znaczyli szpilkami drogę posuwania się naprzód zwycięskich armii, wprawdzie krzyczeli: w domu, w biurze, w sklepie, na ulicy — że potęga oręża niemieckiego jest niezwyciężona, wroga zaś rozkładła wewnętrzna zgnilizna, lecz w gruncie rzeczy cała ta hałaśliwość głużyła tylko wewnętrzny niepokój. Francja pozostawała dla nich wielką niewiadomą, toteż

mimo zapewnień o rozbiciu francuskiej armii, nie przestali oczekiwać chwili, kiedy znowu jak w tysiąc dziewięćset czternastym roku wróg się odwróci i skoczy do gardła swemu prześladowcy. A gdyby raz zatrzymał się ten imponujący marsz naprzód — nie uwierzyliby nigdy, że potrafią zwyciężać w boju trwania.

Tymczasem przyszła wieść o kapitulacji i podpisaniu zawieszenia broni w Compiègne. Przed pomnikiem zwycięstwa i przed wagonem, w którym niegdyś straszny Foch dyktował swoje warunki, defilowały teraz zwycięskie oddziały. Sam wódz przysłuchiwał się rozmowom. Kiedy już zostały złożone wszystkie potrzebne podpisy, poklepał po tłustym ramieniu siedzącego obok Göringa. Berlińczycy opowiadali sobie o tym z wielkim zaaferowaniem. Niewątpliwie przyjacielski gest oznaczał: „A nie mówiłem, stary, że tak będzie?” — i jednocześnie stał się dobrodusznym wyrzutem skierowanym w ich stronę jako odpowiedź na uporczywy brak ufności, jaki wciąż okazywali wodzowi. Ustosunkowali się przecież do zwycięzcy Polski i Norwegii z dużą rezerwą. Nie mogli przeboleć, że ten czarnowłosy pół-Austriak, pół-Bawarczyk nie ma jak oni białej cery, jasnych włosów, błękitnych oczu i ciężkich, szerokich ramion. Posądzali go także o to, że mimo zapewnień o arcyważności spraw wschodnich, marzy mu się jakiś marsz za Alpy ku słonecznym rojeniom cesarzy rzymskich, przelewających szczerze krew niemiecką za wątpliwą chwałę Rzymu.

Tymczasem ten genialny południowiec okazał się nie tylko tęgim marzycielem i setnym gadaczem, ale także wspaniałym wodzem. Dla jego sukcesów lubili go porównywać z Napoleonem. Tamten nie był Francuzem, a przecież wiódł Francuzów do zwycięstw, ten nie był Prusakiem, a mimo to przewodził narodowi, którego trzon stanowiły zahartowane w twardej szkole Fryderyka Prusy. Co tu dużo mówić — obawiali się, że nie zechce uszanować ich prymatu, bez którego Niemcy nie byłyby nigdy Niemcami. Zbyt długo trzymał się Monachium i Norymbergi, a po „Anschlussie” zaczął głośić chwałę Wiednia, co wcale nie budziło życzliwych ech nad Sprewą. Obecnie jednak wszystko zaczynało inaczej wyglądać. W wodzu budził się Prusak, który choć ma oczy zwrócone na zachód, nie spuszcza dłoni z tętna spraw wschodnich. Rosji — niewątpliwie — trzeba będzie zapłacić za milczenie... Berlińczycy uśmiechali się złośliwie. Teraz rozumieli słowa wodza, który pisał, że po to się politykuje, by mieć czas na wykucie odpowiednio ciężkiego milczenia.

I berlińczyków ogarnęła fala entuzjazmu. Obdarowywali przechodzących ulicą żołnierzy kwiatami, cukierkami, cygarami i papierosami. Czerwona wstążka EK II w dziurce od guzika munduru wywoływała burzę zachwytu. Na widok Rycerskiego Krzyża ludzi ogarniało rozczulenie.

Zaledwie Hugo wyszedł z dworca, spadła mu w ręce wiązanka róż. Obejrzał się. Dwie dziewczyny w wieku szesnastu czy siedemnastu lat uśmiechały się do niego zalotnie. Stojący obok Lahm po-

wiedział: „Dzióbki wcale, wcale...” Tamte w odpowiedzi parsknęły śmiechem. Kostrzewa zasalutował i poszedł dalej zostawiając Karolka razem z dziewczętami na rozgrzanym chodniku.

Wszedł do pierwszej z brzegu cukierni, jaką spotkał na swej drodze. Podczas gdy kelnerka pobiegła przyciężkim truchtem w głąb lokalu, aby mu przynieść zamówioną oranżadę, oficer sięgnął do kieszeni munduru, wyjął z niej kilka listów i położył je przed sobą na stoliku. Listy były nie rozpieczętowane, mimo że większość z nich nosiła ślady dłuższego już wygniatania w kieszeni. Spokojnym ruchem wziął nożyk do owoców i rozciął nim najbardziej zmęczoną kopertę. Jego gesty były wolne, niemal leniwe. Można było sądzić, że treść listu nic go nie obchodziła. Lecz staranny obserwator mógłby zauważyć na jego twarzy charakterystyczne drgnięcie skóry, które zdradza ruch zaciskających się szczęk.

Duże zamaszyste pismo kobiece. Mała ćwiartka błękitnego papieru. Zapalił papierosa i wypuszczał z wolna przed siebie kłęby dymu.

„Panie kapitanie — czytał — nie odpisał pan na mój pierwszy list. Zresztą rozumiem — jest pan wierny danemu słowu. Lecz ja słowa nie dawałam, milczeć zaś nie chcę i nie mogę. Widzi pan, że odkrywam przed nim swoje karty. Przekonana jestem, że tu nie ma już co ukrywać. Powiedziałam panu wprost, że pana Kocham. Pan mi odrzekł, że to omyłka... Z mojej strony na pewno nie. Więc może z pańskiej strony? Ale w takim razie, co jest tą omyłką, panie kapitanie? Postawiłam sprawę jasno i prosto: obce mi są kobiece wykręty, niegodne wolności, jaką nam stworzył nasz ruch. Pan jednak wykręcił się od odpowiedzi niezrozumiałym oświadczeniem, że nie będzie pan pisał listów. Dlaczego? Czy dlatego, że jest pan tak silny i tak pewny siebie? Czy dlatego, że ja pana nic a nic nie obchodzę? Chciałabym wiedzieć. Proszę wybaczyć ciekawości kobiecej...”

Hugo przeczytał list do końca i chwilę zamyślił się nad nim. Nie spodziewanie na jego stolik spadła biała róża. Oficer zwrócił głowę w kierunku, skąd kwiat nadleciał i zobaczył grubego babsztyla w rogowych, amerykańskich okularach. Dziewoja uśmiechała się do niego ckliwie i przesyłała mu ręką całusy. Wywołało to taki skutek, że Hugo poczuł drapanie w gardle. Mimo to przemógł się i odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Potem sięgnął do drugiego listu. Jego wzrok ślizgał się po liniach pisma.

„Panie kapitanie — raczej panie Hugonie. Znowu nie odpowiedział pan na mój list, choć mogłam przypuszczać, że jeśli już nie chcę rozmowy ze mną, to przynajmniej konieczność wyjaśnienia pewnych kwestii skłoni pana do wzięcia pióra do ręki. Pan jednak uporczywie milczy. Czyżby pan był ranny? A może brak panu czasu? Ale ja nie wierzę, aby pan nie mógł się zdobyć w ciągu tych tygodni na napisanie kilku słów. Toteż pozostaje mi tylko sądzić, że trwa pan uporczywie przy swoim zapewnieniu. I ta wytrwałość mnie zastanawia. Byłoby przecież znacznie prościej odpowiedzieć w sposób błahy,

paroma bodaj nic nie znaczącymi słowami. Pan jednak woli milczeć. To milczenie dużo mówi. Zresztą jeszcze wówczas, gdyśmy się rozstawali, czytałam w pańskich oczach... Co? Pan się chyba domyśla, co w nich wyczytałam, panie Hugonie (miałam chęć napisać po prostu: Hugonie, tak obcy jest mi sposób zwracania się do pana z dodatkiem chłodnego »pan«).

Przeczytawszy drugi list Hugo położył go na pierwszy. Dłuższą chwilę siedział nieruchomo, kręcił bezmyślnym ruchem smukłą nóżką kielicha. Stan psychiczny, w jakim się znajdował, nie należał do przyjemności. Czuł, jak z wolna, ale z nieprzewyciężoną siłą, ogarniał go chaos jakichś dziwnych myśli, uczuć, pragnień. Przez pewien czas próżno starał się mu przeciwstawić. Szalejąca fala opasywała go coraz ciaśniej, spychając w otchłań nie znanych dotychczas, sięgających aż do dna jaźni pragnień. Mocno zagryzł usta i dopiero ból ułatwił umysłowi pokonanie tego zamętu. Otrząsnął się, oprzytomniał. Ze zdumieniem uświadomił sobie teraz potęgę uczuć, których dotychczas nie znał, a które miały nim przed chwilą, drwiąc z oporu jego wspaniałej woli.

Pozostały jeszcze dwa listy. Ale Hugo nie spieszył się z ich otwieraniem, jakby chcąc odzyskać najpierw równowagę. Ze zdumieniem poczuł, że mu serce mocno bije. Była to jeszcze jedna nowość.

Wreszcie przeciął fatalną kopertę. Rozwinął kartkę. Jednak już sam tytuł wywołał w nim tak wielki wstrząs, że musiał ukryć twarz za kieliszkiem. Nie chciał, by siedzący przy sąsiednich stolikach ludzie ujrzeli jego nagłą bladeść. Wypiwszy kilka łyków oranżady ochłonął. Mógł teraz przeczytać spokojnie list:

„Hugonie! — pisała Gerda — nazywam ciebie w ten sposób, ponieważ inaczej nie potrafię, nawet w liście. Zresztą tobie jest niewątpliwie wszystko jedno, skoro z taką obojętnością przyjmujesz to, co piszę. Kto wie, czy moich listów nie rzucasz bez czytania wprost w ogień, albo nie rozdierasz na tak maleńkie kawałki, że nikt by nic już z nich nie wyczytał, a ty przede wszystkim. Poznałam cię dobrze, Hugonie. Należysz do ludzi, którzy poczytaliby sobie za słabość, gdyby zakochali się tak pospolicie — w kobiecie. Lecz właśnie dlatego nie przestaję pisać. Gdybyś odpowiedział, powtarzam to i powtarzać będę, wiedziałabym, że nie zależy ci na mnie. Odpowiedziałbyś w celu »odczepienia« się ode mnie. Ty jednak nie śmiesz pisać do mnie, ponieważ nosisz w sobie swoją słabość. Ty, rycerzu! Odkryłam sposób, w jaki można uczynić cię nieszkodliwym. Ty nie umiesz bawić się miłością. Mówiłeś mi, że nie wiesz, co to znaczy kochać. To nieprawda. Ty nie chcesz nic wiedzieć o miłości dlatego, że się jej lekasz. Lecz czy kto uciekł przed miłością? Zwycięży cię ona, Hugonie, wcześniej, niż się tego będziesz spodziewał...”

Odłożył list. W głowie miał szum, a w uszach dzwoniły mu dopiero co wyczytane zdania. Za szeroką szybą cukierni prażył się w słońcu bruk ulicy. Powiewnie ubrane kobiety migają przed oknem, pełne

radości, dumy, oczekiwania. Miasto było już gotowe do święcenia ostatecznego triumfu.

„Właściwie po cóż się opieram?” — szybka jak błyskawica myśl zapaliła się w mózgu Kostrzewy. Zaraz jednak zgasła, a gwałtowny skurcz woli sprężył na nowo zwiotczałe siły. Nie od razu zdołał tego dokonać. Chwilę zmagął się wśród głębokiego milczenia. Po raz pierwszy bowiem w życiu coś przeciwstawiało się nawykłej do karności myśli.

Pozostał jeszcze ostatni list, ten, który znalazł w swej kieszeni przed czterema dniami. Myślał, że Gerda zrazona jego milczeniem przestanie pisać. Ona jednak nie chciała ustąpić.

Zapragnął jak najprędzej skończyć z tą drażniącą lekturą. Niech się już dowie o wszystkim. Instykt go jednak nie zawiódł doradzając, aby tych kopert nie otwierał, póki walka absorbowwała wszystkie jego myśli.

„Mój Hugonie. Nazywam cię moim, ponieważ mam wciąż tę uporczywą świadomość, że mimo wszystko żadna inna kobieta nie posiada cię bardziej niż ja. To także pociecha, jeżeli naturalnie można tu o niej mówić. Mam zresztą po temu powody. Zdaję sobie na przykład doskonale sprawę, że uciekając od korespondencji ze mną, okazujesz większą słabość niż ja wtedy, gdy ci z całą otwartością wyznałam miłość. Może byłam cyniczna — sądź tak, jak chcesz — ale przyznaj, że postąpiłam jak ceniąca swą wolność kobieta naszej rasy. Ty zaś, Hugonie, chronisz się za mur milczenia. Dlaczego nie powiesz otwarcie, że mnie nie kochasz? Bo nie możesz powiedzieć tego — prawda? Więc dlaczego nie chcesz dać mi swej miłości, jak ja ci dałam swoją? Czy nie dlatego, że nie chcesz nawet przed sobą samym przyznać się do swych uczuć? Lecz milczenie ma swoją wymowę, Hugonie. Ja rozumiem je doskonale. Ty byś chciał, aby na ciebie wszyscy patrzyli jak na jakiegoś półboga, który nie skala się żadną słabością. Pamiętam przecież ton twego głosu, gdy powiedziałeś: »Ja nie wiem, co to znaczy miłość«. Brzmiało to niby pokorne wyznanie, ale w rzeczywistości dyszała za tym pycha. Jesteś pyszny, Hugonie, i twoja pycha nie zna granic. »Patrzę na kobiety, nigdy na kobietę« — mówiłeś. Niewątpliwie. Należysz do ludzi, którzy oddadzą miłość za poklask tłumu. Toteż właściwie powinnam w czas odejść. Lecz przyznaję — porwałeś mnie taki, jakim jesteś. Nie odeszłam i nie odejdę. A nawet stawiam żądania. Nie odpowiedziałeś, wierny swemu słowu, na żaden z moich listów. Wobec tego chcę, abyś na moje pytania odpowiedział osobiście. Musisz przyjechać. Wojna z Francją skończyła się. Niewątpliwie otrzymasz urlop i będziesz w Berlinie. Wtedy cię czekam. Ach, Hugonie. Twoja wspałałość posiada moc magiczną, porywającą. Jestem — chcę, czy nie chcę — pod jej urokiem. Widziałam twoje fotografie w »Adlerze« i w »Wehrmachcie«. Stałeś się sławą lotniczą. Opływasz w honory, zaszczyty i pochwały. Dlaczego jednak — nie zrzekając się tej wspałałości — nie potrafisz być człowiekiem jak inni? W tobie jest jakaś

tragiczna powaga, która każe ci wszystko traktować absurdalnie serio. Nałożyłeś na siebie pancierz przymusów. Wyłamałeś swoje skrzydła tak mocno, że utraciły naturalny kształt. Dlaczego, Hugonie? To jest przecież jakaś fatalna pomyłka, za którą kiedyś odpokutujesz...”

Starannie włożył list do koperty i razem z pozostałymi wsunął do bocznej kieszeni munduru. Zadzwoił łyżeczką o brzeg kieliszka, a gdy kelnerka doń podeszła, położył należność za oranżadę na skraju marmurowego blatu. Wyprostowany, właściwym sobie na wpół leniwym, na wpół zuchwałym krokiem skierował się ku drzwiom. Na ulicy znalazł się w złocistym oparze słonecznym i od razu wpadł w objęcia jakiejś korpulentnej dziewczyny, która zaczęła mu wtykać w rękę pudełko cygar obwiązane granatową wstążką oraz sukienną maskotkę przedstawiającą różowego prosiaka.

— To na szczęście, panie majorze. Proszę wziąć... od nieznanej berlinianki... — Uśmiechnęła się tak rozkosznie, jakby oczekiwała, że Kostrzewa cmoknie ją w oba czerwone policzki. Ale on włożył jej tylko w dłoń różę, którą mu babsztył w rogowych okularach rzucił na stół, po czym uciekł, ile sił w nogach. Zaraz za pierwszym rogiem zaczął wpychać otrzymanego świniaka do kieszeni spodni.

— Diabli nadali! — kłął przez zęby, bowiem odporne zwierzę wystawiało do góry cztery nogi i wcale nie miało zamiaru pozbawiać się widoku na świat. Na domiar złego w brzuchu umieszczono piszczałkę, która wydawała rozpaczliwe tony podczas tych prób zgwałcenia świńskiej samodzielności. Kostrzewa kipiał gniewem. Nieoczekiwanie posłyszał:

— Czołem, panie kolego. Czemu pan tak dręczy to biedne stworzenie?

Podniósł wzrok. Akurat musiał zobaczyć przed sobą von Mariesa. Wnuk generała awansował również na majora i również miał Krzyż Rycerski. Gdzie go mógł zdobyć, do licha, ten wymoczek? Gniew Kostrzewy przybrał na sile. Wściekłym szarpnięciem wydarł prosiaka do połowy tkwiącego już w kieszeni i jednym zamachem rzucił go do dziecinnego wózka, który przejeżdżał w pobliżu.

— Do diabła z darami nieznanym berlinianek!

Von Maries śmiał się swoim niemiłym, cichym, pełnym wyniosłości chichotem.

— Nie denerwujcie się, panie kolego. Piękny jest dzień zwycięstwa i oczy kobiet z przyjemnością śledzą waszą szeroką w ramionach sylwetkę... W którą stronę idziecie?

— W prawo.

— Ja także. Pójdziemy kawałek razem, pozwolicie?

— Chodźmy — w głosie Hugona nie było zachęty, ale von Maries zdawał się tego wcale nie dostrzegać. Z papierosem w ustach szedł

u boku Kostrzewy, lekko utykając. Poprzednio Hugo tego nie uważał.

— Przeszkadza panu, zdaje się, prawa noga? — powiedział ze złośliwą otwartością. — Reumatyzm czy ischias?

Von Maries zachichotał znowu.

— Przeszkadza mi ona już od kilku lat. Złamałem ją sobie niegdyś w katastrofie podczas wyścigu szosowego Mediolan-Turyń. Potem było lepiej. Ostatnio wpakowano mi w nią odłamek nad Rotterdamem...

— Co pan teraz robi?

— Mam urlop zdrowotny, a potem jadę objąć którąś z eskadr. Jeszcze nie wiem którą.

„Zarozumiała małpa” — pomyślał Hugo.

Szli jakiś czas w milczeniu.

— A jak pan się czuje, panie kolego? — zaczął von Maries. — Słyszałem i czytałem o pańskich sukcesach. Brawo, brawo! Dziadek aż puchnie z zachwytu, gdy opowiadają o panu.

— Pan generał był zawsze łaskawy...

— Och, dziadek jest wymagający i wcale nieskory do pochwał. Ale pan go zdobył. Boję się prawie, że pan go nawróci na swoją wiarę w zwycięstwo nad światem.

— A pana nawet Francja nie nauczyła wiary w moc narodu niemieckiego.

— Owszem, owszem. Pokazało się, że pan miał trochę racji w swym stawianiu na całego. Wódz, choć szybki w swych posunięciach, widocznie dobrze się nad nimi namyśla. Jego uderzenia, powiedzmy to sobie otwarcie, niefachowca — okazały się skuteczniejsze niż latami opracowywane plany kampanii Moltkego, Hindenburga, Schliffena, Ludendorffa, a nawet — cesarza. Myśmy zawsze byli prędcy w działaniu — natomiast marudni w budowaniu projektów. Tutaj błyskawiczny atak poprzedza błyskawiczna decyzja. I to jest rys nowy w naszej psychice niemieckiej. Dziwnie mało niemiecki.

— Pan major jest na dobrej drodze — w głosie Hugona brzmiała pewność siebie — tylko pan się myli w jednym: to jest bardzo niemiecki rys. Przed dziesięciu laty staliśmy na skraju przepaści. Groziła nam śmierć biologiczna, rasowa, moralna i psychiczna... Przyczyną jej była wąskość horyzontów, jakie mieliśmy przed sobą. Naród, który nie myśli o wielkości, będzie stał zawsze w obliczu śmierci; a naród, który dba tylko o obronę, będzie stale i niepowstrzymanie ustępował z zajmowanych pozycji. Nastąpiła jednak przemiana. Znalazł się czarodziej, który rozpostarł przed narodem bezcenną panoramę rasowych bogactw. Co było myślą u Chamberlaina i Gobineau, przecuciem u Lagarde'a, Fichtego, Lista, krwawą ofiarą Schlagetera i Wessela, stało się czynem Hitlera. Wódz otworzył przed narodem bezkresne horyzonty wielkości. I nie powiedział: „Dotąd sięgniemy”,

ale nauczył, że wielkość nie zna żadnych granic. A to nie jest nienie-miecka nauka.

— Pewno, pewno — Von Maries kuśtykał u boku Kostrzewy jak znudzony łązęgą po mieście poszukiwacz ulicznych piękności. — To wszystko brzmi pięknie. Rozpoczęliśmy niewątpliwie podróż w krainę marzeń, a przy dużej energii marzenia zamienić się mogą w rzeczywistość. Tylko widzi pan, panie kolego, wyruszamy w podróż na bardzo już starym samolocie. Pan przyznał, że staliśmy przed dziesięciu laty na skraju przepaści. Takie rzeczy nie dają się zatrzyć w ciągu krótkiego czasu. Często synowie i wnukowie płacą za długi ojców. Dziesięć lat, panie kolego, to pół pokolenia za ledwie. I pan tak forsownie odmłodzonego staruszka chce zmusić do biegania w zawody z chłopaczkami? Wydaje mi się, że w tym miejscu pańskie rozumowanie zawodzi. Pan także zapomina o sklerozie, bo łyka pan łatwo każdy kęsek. Ale za parę lat zacznie pan trawić z trudnością, powoli. Wtedy...

— Dusza narodu odradza się w jednym momencie.

— A dusza i ciało są jednym — nieprawdaż? Tak przynajmniej nauczacie, a nawiasem mówiąc, ten spirytualizm rzeczy ziemskich, czy jak kto woli: zmaterializowanie rzeczy duchowych bardzo mi odpowiada. Tylko że jedność dwóch odrębnych składników musi posiadać wspólne cechy. Pan mnie rozumie? Albo duch porywa ciało ponad chmury, albo ciało przykuwa ducha do ziemi. Jedno jest prędkie, drugie wolne. A jedność musi maszerować równym krokiem. Mówiąc językiem zwykłym: przemiana ducha musi czekać na przemianę tkanki.

— Boskość jest zarówno w duszy, jak i w tkance.

— Wspaniale. Praktyka nie zna jednak cudownych odmłodeń tkanki. Naturalnie, jeżeli pominiemy cuda katolików...

— W świecie są rzeczy, które czekają na wyzwolenie.

— W świecie są rzeczy, chciał pan pewno powiedzieć, o których się filozofom nie śniło. Brawo! Pan jest nie tylko odważnym pilotem, ale także zuchwałym myślicielem.

— To dlatego, panie majorze, że jestem Niemcem. Przecież to Bismarck powiedział: „Wir fuchten Gott und sonst nichts auf der Welt”.

Ironiczny uśmiech skrzywił usta von Mariesa.

— A wie pan, panie kolego, że kiedy Bismarck mówił te słowa, był mało Niemcem? Bo hymn, z którego są zaczerpnięte, nie jest niemiecki, ale holenderski i wyraża bardzo stare uczucie dumy, tkwiącej wśród nadmorskich Celtów.

— Absurd!

— Dlaczego, panie kolego? Celtowie nie bali się ludzi, ale Boga. Właśnie do państw zbudowanych z celtyckiego elementu powinno było przylgnąć miano: państwo bojaźni Bożej. A myśmy nie bali się

Boga. Uważaliśmy Boga za sojusznika, któremu dochowamy o tyle wierności, o ile On nam swoją wierność okaże: Gott strafe England! Gott mit uns!

Kostrzewa wzruszył ramionami.

— Pan robi z nas ateistów. A tymczasem...

Von Maries przerwał mu:

— Skądże by znowu? Jesteśmy najbardziej religijnym narodem. Nasz Bóg żyć będzie tak długo, jak długie będzie życie narodu niemieckiego. Wracam jednak do myśli zasadniczej, panie kolego: nie jesteśmy już młodzi, a to, co w nas wywołuje złudzenie młodości, nie zawsze jest pochodzenia niemieckiego...

— Jak pan to rozumie?

— Ano dosyć prosto. Na wschodzie graniczymy o miedzę z młodością. Żywsze powiezy przylatują stamtąd, więc i w nas żywiej gra krew. Lecz czy my z tego odmłodzenia będziemy korzystać? Oto pytanie — mówiąc hamletowskim stylem.

— Wątpliwość nieuzasadniona.

— Nie jestem tego pewien. Bo proszę: myśmy stworzyli reformację, lecz narody anglosaskie podbiły z jej pomocą świat. Myśmy wykuli ruch narodowo-socjalistyczny, lecz gdy u nas zgaśnie ten fajerwerk, panie kolego, kto go weźmie w ręce?

Kostrzewa gniewnie wzruszył ramionami. Von Maries samym sposobem prowadzenia dyskusji wytrącał go z równowagi. Toteż nagle z całą brutalnością powiedział:

— Pan tak mówi, bo pan nie ma pojęcia o ruchu narodowo-socjalistycznym.

Odpowiedź przyszła natychmiast, wypowiedziana złośliwie grzecznym tonem.

— Może ja nie znam narodowo-socjalistycznego ruchu, ale pan za to nie zna niemieczyny. W panu ciągle się burzy krew słowiańska, panie kolego.

Siwe oczy Kostrzewy błysnęły złowrogo, pod szarą, obcisłą kurtką zafalował muskularny tors. Głosem zimnym, pod którym kipiała burza, powiedział:

— Ja skrećam w lewo. A pan?

— Ja idę dalej prosto. Do widzenia, panie kolego. Sądzę, że się jeszcze zobaczymy.

Na pożegnanie podali sobie ręce. Hugo szedł teraz prędko, przezuwając gniew. Nie bardzo wiedział, dlaczego sam widok von Mariesa budził w nim uczucie odrazy. Niewątpliwie różnili się poglądami, ale przecież Hugo nieraz w życiu dyskutował z przeciwnikami, nie dając się ich wyglądem czy słowami wyprowadzić z równowagi. Tu natomiast, cokolwiek by von Maries powiedział, Hugo nastawiony był do tego wrogo. Idąc ulicą uświadomił sobie, że między

nim a wnukiem von Grotego leży przepaść odmiennej zupełnie psychiki. Obaj patrzyli na życie z gruntu inaczej. I choć tylko nieznacznie różnili się wiekiem, zdawać by się mogło, że światopogląd Hugona jest światopoglądem młodzieńca pełnego wiary we własne siły, zapału, energii, woli, niewątpliwie bezwzględnego w swym dążeniu naprzód, okrutnego może nawet okrucieństwem młodości, ale nie zaciętego. Von Maries zaś ironią pokrywał zapiekłą złośliwość serca i rad by dokuczyć otoczeniu za dolegliwości zsyłane mu przez trudy życia.

Ani się obejrzał, kiedy stanął przed wielką szarą kamienicą na Robert Kochstrasse. Utkwił wzrok w oknach drugiego piętra. Von Maries zniknął z widnokregu jego myśli. Teraz Hugo skupił się, by powziąć ostateczną decyzję. Wahanie trwało tylko chwilę.

Pchnął drzwi i minąwszy się wszedł na schody; nacisnął dzwonek. Otworzyła mu pokojówka w białym fartuszk.

— Czy jest w domu panna von Recke?

— Owszem, jest. Może pan zechce poczekać.

Wprowadziła go do gabinetu, w którym wisiał na ścianie portret Gerdy i Waltera. Gdy wyszła, Hugona otoczyła cisza pogrożonego w popołudniowej sjeście mieszkania. Gdzieś z końca korytarza dochodziło szuranie nóg i zmęczony głos kobiety, który pytał: „Do kogo?” Potem odpowiedź: „Do panienki”. Stuknęły jakieś drzwi, ktoś grubo zakaszłał, a potem znowu zapadła cisza tak wielka, że słychać było trzaskanie desek w podłodze. Wyraz niezdecydowania, który pojawił się na twarzy Kostzewy z chwilą zatrzymania się przed bramą, już znikł. Nos, oczy, usta, brwi i broda skostniały w kamiennym bezruchu.

Potem posłyszał w głębi kroki i poznał, że to idzie Gerda. Ale nie drgnął. Gdy stanęła w progu, podniósł się, wyprostował, chłodno grzeczny, nieomal odpychający.

— Dzień dobry. Przychodzę, obawiam się, w porze niewłaściwej...

Wzrok dziewczyny wpił się badawczo w jego siwe oczy: zdawał się w nich czegoś szukać. Przez twarz Gerdy przebiegło lekkie drżenie, na policzkach wykwitł czerwony rumieniec. Ale po chwili opanowanie mężczyzny udzieliło się także kobiecie.

— O każdej porze czekałam. Siądźmy, proszę.

Mówiła bezosobowo, jakby nie wiedząc, czy ma korzystać z przywłaszczonego sobie prawa mówienia mu po imieniu.

— Winszuję awansu.

Skłonił głowę.

— Dziękuję. — Patrzył jej prosto w oczy; mówił wolno równym matowym głosem: — Przyszedłem, ponieważ chciałaś ze mną mówić.

Przytaknęła mu ruchem głowy:

— Tak. Tak do ciebie napisałam, Hugonie... Milczałeś długo. Kobieta jak ja... gdy komuś wyzna swą miłość, oczekuje... zawsze bę-

dzie oczekiwać odpowiedzi... Milczenie niczego nie rozstrzyga, zgodzisz się z tym, prawda? — Podniosła ku niemu oczy, w których była niepewność i całą siłą powstrzymywane uczucie... — Ja... — urwała. — Ja chciałam — zmieniła ton prawie na proszący — ja myślałam, że powinnam otrzymać od ciebie odpowiedź...

Nie przerywał jej ani jednym słowem. Złote słoneczne plamy kładły się na wywoskowanej, idealnie czystej podłodze i na biurku, gdzie zapalały się skry w szklanych przyciskach i w kałamarzach. Za oknem huczało miasto swym denerwującym rytmem. Gerda spuściła wzrok ku ziemi i nerwowo obracała pierścionek na palcu.

— Trochę się wstydzę — ciągnęła — za moje listy. Tak natarczywie domagałam się od ciebie odpowiedzi. Jakby już Bóg wie ile czasu od naszego ostatniego spotkania minęło... Ty pewno nawet nie mogłeś odpisać — podniosła głowę i wpatrzyła się w twarz Hugona, jakby oczekując z jego strony jakiegoś potwierdzenia, jakiegoś cieplejszego słowa, które by jej pomogło. Ale oczy Kostrzewy były spokojne jak powierzchnia głębokiego jeziora. Nigdy dotychczas nie wydał się Gerdzie aż do tego stopnia nieludzki, a jednocześnie tak porywający w swym opanowaniu. Może to właśnie sprawiło, że trudno jej było znaleźć właściwe słowa dla wypowiedzenia myśli. — Jestem czasami dziecinna... — ciągnęła dalej. — Postawiłam ci pytanie kategorycznie... Przyznaję... Dziś czuję to... Właściwie już mi odpowiedziałeś... No, tak... Powiedziałeś, że nie będziesz pisał. I ja się z tym zgodziłam. Bo ciebie przecież nie może krępować byle kobieta. Jesteś taki inny, taki... wspaniały... — zaczerwieniła się, mówiąc te słowa. — Rozumiem, że nie chcesz się wiązać. Pisałam ci, że dziwię się, dlaczego nie potrafisz być inny. Teraz jestem przekonana, że nie możesz być inny... Więc, Hugonie, bądź pewien, że więcej nudzić cię nie będę... Chcę ci tylko ofiarować jedno: przyjaźń, Hugonie... Męską przyjaźń. Taką, jaka ci będzie niewątpliwie odpowiadała... Czy ją przyjmiesz? — zapytała nagle niskim, pełnym stanowczości głosem.

Kostrzewa lekko skinął głową.

— Przede wszystkim muszę ci, Gerdo, podziękować. Mówiłem już: nie jestem człowiekiem, któremu można ofiarować miłość... Nie znam miłości... Nie uznaję tego rodzaju uczuć." Natomiast cenię przyjaźń... Prawdziwą. Jak przyrzekłaś: męską. Nie taką, która jest ucieczką. Cieszę się, że właśnie przyjaźń chcesz mi ofiarować. Naturalnie, że ją przyjmę.

Podał jej rękę.

— Powrócę z przeświadczeniem, że mam przyjaciela, z którym będę mógł współpracować, gdy przyjdą dni pokoju. Jeszcze raz ci dziękuję, Gerdo. A teraz wybaczyć, muszę cię opuścić...

— Tak od razu? Tak prędko? Dlaczego?

— Niestety. Pociąg, którym jadę, stoi na dworcu tylko kilka godzin. Czekać na inny nie mogę. Nie mam urlopu.

Powstali oboje z tapczanu. Głos Gerdy drżał, gdy mówiła:

— Ale napiszesz do mnie, choć jeden raz, Hugonie? I będziesz odpowiadał na moje listy?

— Naturalnie — głos Kostrzewy ani przez chwilę nie utracił swego matowego brzmienia — naturalnie, Gerdo. Teraz to co innego. Przecież nie wolno nie odpisywać przyjaciółom.

— Pamiętaj. A na pożegnanie może mnie pocałujesz? Tak jak przyjaciel całuje przyjaciela, mężczyzna mężczyzną...

Pochylił się ku niej. Poczwała chłodne, suche wargi mężczyzny na swych ustach. Dotknięcie to, choć niepojęcie szybkie, sprawiło że przez jej, ciało przeleciała niby iskra elektryczna, która od jednego zamachu zmiadździła w niej wszystkie wewnętrzne hamulce. Poczwała omdłałość w ciele, a krew buchnęła falą na twarz. Och, ten pocałunek był inny niż pocałunek Herberta czy Eugeniusza! Zimny, prawie obojętny, a mimo to odbierał równowagę. Poczwała zawrót głowy, w uszach rozległ się jakby szum wzburzonego morza. Wsparała się rękoma o jego szeroką pierś. Powiedziała cicho, łykając ze wzruszenia słowa:

— Gdybyś chciał, Hugonie... Nie mogę walczyć ramię przy ramieniu z tobą. Ale gdybyś chciał... Gdybyś tylko chciał...

Delikatnie odsunął ją od siebie.

— Nie, Gerdo. Ofiarowałaś mi męską przyjaźń i tylko taką mogę przyjąć. Tamto byłoby nieporozumieniem...

Wyszli do przedpokoju. Hugo mało nie wpadł w korytarzu na starego barona, który w miękkich pantoflach na nogach przechodził właśnie przez przedpokój. Sklonili się sobie w milczeniu. Gerda wyciągnęła jeszcze przez drzwi rękę za Kostrzewą.

— Pamiętaj o mnie. Pisz i przyjeżdżaj.

Zasalutował ku niej z półpiętra. Ale nie od razu wyszedł na ulicę. Chwilę stał w oknie klatki schodowej i obserwował uważnie śpieszący ulicą tłum. Potem kiwnął domyślnie głową. Miał słusność starając się zachować ostrożność. Köstring szedł właśnie po przeciwnej stronie chodnika, spoglądając niby skrycie, a w rzeczywistości aż nadto wyraźnie ku oknom drugiego piętra. Hugo zaczekał, aż przyjaciel minął dom, i skierował się w stronę najbliższego rogu. Wtedy zbiegł na dół i szybko poszedł w przeciwnym niż Herbert kierunku.

IV

Tramwaj zatrzymał się na skraju ulicy. Z jednej strony kiwały się spoza muru drzewa, z drugiej płaski, pozbawiony parkanu skwer prażył się w promieniach sierpniowego słońca. Herbert szedł wolno alejką, rozkoszując się ciszą, która unosiła się nad tym skrawkiem

pokrytej zielonością ziemi. W środku skweru, u stóp paru wysokich lip i kasztanów bawiła się gromada kolorowo ubranych dzieci.

Köstring usiadł wygodnie na ławce. Pod pachą przyniósł gazetę, którą miał zamiar przeczytać w ogrodzie. Ale gdy usiadł, stracił ochotę do czytania. Wiedział, że i tak niczego nowego się nie dowie. Zatopiony okręt, zbombardowane angielskie miasto, nieliczne samoloty nieprzyjacielskie nad Niemcami... Codziennie czytał to samo. Byli jeszcze ludzie, którzy entuzjazmowali się setkami zatopionych ton i zadanymi wrogowi stratami. On niecierpliwie oczekiwał czegoś nowego. Dlaczegoż nie rzucają ich wreszcie na przeciwnika i nie zakończą raz tej wojny? Miał jej już dosyć. Zakosztował dni upajającej walki i długich tygodni nudy; nuda przytłaczała w nim wspomnienia sławy, gasiła ich blask myśl o Gerdzie...

Wprawdzie już teraz znacznie się uspokoił. Przedtem ciągnęły się długie, bezsenne noce, w ciągu których przewracał się z boku na bok, rozpamiętując zdradę kochanki. Po nocach pełnych zjaw i majaków, tak wyrazistych, że zdawały się być samą rzeczywistością, przychodziły dni zanurzone w błękitnym rytmie otumanienia. Wszystko jednak musiało mieć wreszcie swój kres. Skończyły się noce walki z Gerdą i z jej miłością. Nie oskarżał już dziewczyny o zdradę. Wmawiał w siebie, że padła ofiarą podstępny i zadziwiającej perfidii, a odpowiedzialność ponosił za to jakiś nieznany mężczyzna. Nienawidził go z całego serca. Pogardzał nim i poniżał na wszelki sposób.

W końcu jednak sylwetka Gerdy zaczęła blednąć w myślach Herberta. Nadal przychodziły dni nawrotu bólu i czasami czuł się jeszcze niepewnie jak rekonwalescent po długiej chorobie. Ale sypiał już ciężkimi pozbawionymi marzeń snami ozdrowieńców, a dni przestały się ciągnąć w nieskończoność. Jakoś żył i jakoś trwał w ogólnym ośpieniu, które zasklepiło ranę. Tylko nienawiść pozostała w nim żywa jak płomień. Łatwiej mu było zagłuszyć w sobie miłość niż gniew...

Nad wszystkim rozciągnęła się noc pustki. Znał gniew, znał przeżenie, nie znał natomiast afirmacji. Podświadomie szukał jakiegoś blasku, ku któremu mógłby dążyć, i po raz pierwszy w swoim życiu szukał go w sobie. Dotychczas żył jak jego koledzy: hałaśliwie, łatwo, lecz tak bardzo płytko. Teraz nużyło go to wszystko. Szukał oddalenia, ciszy i samotności.

Dlatego przychodził tutaj. W każdej wolnej chwili jechał na skwer, zaszywał się w najcichszy kąt i tu spędzał parę godzin niby nad gazetą, a właściwie na beztreściwym myśleniu.

Za parkanem słychać było grube głosy żołnierzy; gdzieś Filtrową czy Wawelską pędził grzmiąc motocykl. Obok bawiły się dzieci dosiadając kolejno małego dwukółkowego rowerka.

— Puść mnie, słyszysz? Teraz ja — denerwował się jasnowłosy chłopczyk z krótkim noskiem, zadartym po łobuzersku do góry.

— Nie będziemy się z nim bawiły, on niegrzeczny... — pouczała

sześcioletnia dziewczynka młodszą o dwa lata siostrzyczkę, której błękitne oczki aż się skrzyły do roweru.

Inna, trzyletnia może „figa”, stawiała z powagą babki na skraju ławki. Nakładała piasek do blaszanej foremki, potem szybko odwracała ją dnem do góry. Jeżeli babka rozsypywała się, miała natychmiast zmiatała rączką kupkę piasku z ławki. Jeżeli jednak babka wychodziła, wtedy krzykiem zwracała na to uwagę czytającego książkę ojca. Ten podnosił znad rozłożonego tomu z lekka wytrzeszczone oczy.

— Co, kochanie?

— Popatrz, jaka baba. To będzie tort dla Kasi.

— Bardzo ładna. Zrób jeszcze jedną.

Ojciec zagłębiał się znowu w książkę, dziewczynka szatkowała babkę ostrym końcem łopatki. Wzrok Herberta ześlizgiwał się z tłusciutkiej figurki bawiącego się szkraba i biegł ku innym ławkom.

Trawnik w tym miejscu zakręcał pod ostrym kątem, a z nim i rząd ławek stojących na skraju ścieżki. Dlatego też łatwo było obserwować osoby tam siedzące. Herbert trzymając przed sobą wielką płachtę „Deutsche Allgemeine Zeitung” spoglądał często znad niej w tamtym kierunku. Nie po raz pierwszy zresztą.

Siadywała tam codziennie dziewczyna. Miała ciemne włosy, ujmujące jak w ramkę bladą twarz o delikatnych drobnych ustach i dużych czarnych oczach pod łukami wąskich brwi. Zawsze ją widział ubraną w szary kostium z czarną krepową opaską na ramieniu. Przychodziła z małym paroletnim chłopcem. Kiedy chłopczyk bawił się z dziećmi, dziewczyna coś szyła lub czytała książkę, spoglądając uważnie od czasu do czasu na bawiącego się malca. Niewątpliwie nie była piękną. Miała jednak miły uśmiech, w którym błyskały pomiędzy warg białe zęby, a ciemne oczy zwięzały się w pełen wdzięku sposób. Zauważył to, ponieważ uśmiechała się często do dzieci, które znając ją śmiało podchodziły do niej pytać o godzinę.

Oficer nie umiałby powiedzieć, dlaczego zainteresowała go ta nieznaną Polka. Początkowo sądził, że przypomina mu Gerdę. Ale cicha uroda dziewczyny stanowiła raczej przeciwieństwo tamtej. Nieznajoma miała rysy mniej klasyczne niż utracona kochanka, górowała jednak nad nią delikatnością i subtelnością. W ogóle była najwdzięczniejszą postacią w świecie, który otaczał Köstringa, w świecie twardego i nudnego życia, wśród kolegów, z którymi był zagubiony w morzu wrogiego im i ponuro odwracającego się od nich miasta.

Żyli po dawnemu samotni, pozostawieni tylko sobie. Eskadra przybyła na okęćkie lotnisko przede wszystkim dla odpoczynku. Aparaty zostały oddane do remontu, więc nawet nie latali. Mieli tak dużo wolnego czasu, że po prostu nie wiedzieli, czym go zapełnić.

Dowódcą był nadal Kerschensteiner, a na jego zastępcę awansował Kostrzewa. Hubek dobił się stopnia kapitana. Porucznicy: Müller, Lahm, Köstring i Schneditz stanowili resztę dawnego składu eskadry.

Brakujących pilotów uzupełniał nowy narybek: podporucznik Friedrich Löns, podporucznik Peter Zweigle oraz podchorąży Oberfeldwebel Gustaw Esterl. Ten ostatni miał zamiast Schneditza latać na samolocie Kerschensteinera.

Najmłodszy musieli trenować loty codziennie — takie polecenie wydał dowódca eskadry. Poza tym wyklócili się o nazwy swoich maszyn. Była to naturalnie młodzież partyjna. Zweiglego przysłano do eskadry z oddziału SS. Poprzednio pełnił jakąś polityczną funkcję za frontem.

Starsi włóczyli się po mieście odwiedzając dawniej poznane lokale, grali w karty, spali, wreszcie kleli nudę. Strasznie głupie było takie spokojne życie bez wojennego napięcia, bez nalotów, bez polowania na okręty, bez walki z nieprzyjacielskimi pościgowcami. Przyzwyczajali się do ciągłego marszu naprzód. Rozbudził się w nich nomadyczny duch przodków. Już nie umieliby wyobrazić sobie życia przy biurku lub warsztacie — życia, które nie byłoby walką, podbojem, odpoczynkiem na koszt zwyciężonych, romantyczną podróżą w kraj niespodzianek i nieodpowiedzialności.

Nie byli zmuszeni do mieszkania w koszarach, więc znaleźli sobie kwatery na mieście. Na Okęciu mieszkali tylko Kerschensteiner, Kostrzewa, Köstring i Esterl.

Cała eskadra spotykała się w koszarach około południa. Dopytywano się o nowiny, oglądano swoje aparaty w hali napraw, po czym wszyscy zasiadali wspólnie do obiadu. Zwykle ktoś na początku robił uwagę:

— Dziś chyba nie będziemy pili.

Potwierdzali to kiwaniem głów. Ale prawie nigdy nie dotrzymywali tej milcząco złożonej obietnicy. Były przecież dni urodzin członków eskadry, rocznice rozmaitych wydarzeń, święta, które trzeba było uczcić, dni melancholii, kiedy starano się zapomnieć o „psim życiu”, sukcesy kolegów w lotach nad Anglią, przykre nastroje wywołane nalotami angielskimi, nadejście paczek... słowem: okazje do wysuszenia paru butelek koniaku, wina czy też po prostu wódki. Kerschensteiner upijał się na smutno i twierdził, że na pewno nie doczeka końca wojny, Lahm — na wesoło i wtedy opowiadał, co będzie robił, gdy kamienica ciotki stanie się jego własnością. Po krótkiej drzemce jechano do miasta. W czasie jazdy znowu któryś z oficerów wyrokował:

— Dziś chyba nie pójdziemy do żadnej knajpy.

Zgadzała się jednomyślnie. Przecież celem wyjazdu do miasta miał być spacer po ulicach, przyglądanie się zgrabnym warszawiankom. Później jednak stwierdzano, że ulice są nieciekawe, porozwalane kamienice budzą niesmak, a warszawianki nieskore do robienia znajomości. Pozostała więc tylko knajpa, koniak, wino, wódka... Przy stole opowiadano sobie dowcipy.

— Wyobraźcie sobie — gadał Lons, któremu język plątał się już

po trzecim kieliszku — miałem chodzić do polibudy. Ale wolałem iść do wojska, więc nabujałem starym, że mi władze nie chcą dać zwolnienia. Starzy pochlipali, bo rozumiecie: synek bez tytułu inżyniera to rzecz w bardzo złym tonie. Ciocia Kundzia i wujek Maurycy też musieli wtrącić swoje trzy grosze. W końcu, aby mi nie zaślinili munduru, obiecałem, że w wolnych chwilach będę kuł algebrę, fizykę i geometrię.

— Zauważyłem nawet, że to robisz — stwierdził Hubek. — Wciąż patrzysz na butelkę pod światło i sprawdzasz zasadę naczyń połączonych. Tylko ona cię zawodzi, bo w butelce jeszcze pełno, a w twojej głowie już pusto...

Ryczeli tak głośno, że kieliszki i butelki odpowiadały im ze stołu przerażonym dźwiękiem.

— Mogę uczyć cię geometrii — ofiarował się Lahm. — Moja specjalność to półkoliste wypukłości. Jeśli chcesz, mogę zaprowadzić cię do odpowiednich modeli.

Czasami dzielili się uwagami na tematy swoich kwater.

— Moi gospodarze tak mnie się boją — twierdził Müller — że mówią tylko szeptem i chodzą na palcach. Był szczekający piesek, zwróciłem na to uwagę i już nie ma pieska; może go zabili i zjedli, bo nie szczeka, choćbyś miauczał. Był dryblas piętnasto- czy szesnastoletni. Powiedziałem, że wygląda, jakby miał dwadzieścia i raz dwa nie ma dryblasza, może trzymają go pod łóżkiem, bo go nigdzie w mieszkaniu nie widać...

— Powiem wam, jaki ja miałem u siebie wypadek. — Schneditz, mimo już prawie rok trwającej wojny, zachował eleganckie manierę, a zjadliwy Hubek twierdził, że śmierdzi wiedeńskim sklepem z męską galanterią. — Moja gospodyni ma pięcioletniego synka. Śliczny chłopczyk, słowo daję: złote włosy, niebieskie oczy, a mina skończonego łobuza. Przechodzę parę dni temu przez ich jadalnię do łazienki, nagle ten wyskakuje z kąta i celując do mnie z kapiszowego pistoletu krzyczy: „Zabiję cię!” „No — mówię — a dlaczego?” „Bo jesteś Niemcem”.

— Ho, ho — Zweigle łypnął swoimi małymi oczkami. — A co ty na to?

— Zacząłem się naturalnie śmiać. Widzę, matka pędzi blada jak papierek, ojcu bachora zaczynają trząść się ręce. Pytam małego: „Chcesz mnie zabić? Przecież wczoraj pokazywałeś mi swój pociąg i umówiliśmy się, że będziemy się bawić?” „Niemcy zabijają ludzi.” „I chcesz mnie zabić?” Malec się spieszył. Powiada: „Ja nie ciebie chcę zabić, tylko Niemca.” „A ze mną będziesz się bawił?” „Czy w pociąg?” „Naturalnie. Ty będziesz lokomotywą.” „To dobrze — i już się uśmiecha — Ja wcale nie chciałem zabijać, tylko tak sobie pożartowałem. Ty wcale nie jesteś Niemcem.”

— Ładne żarty — kpił Hubek — pod Wolfem już się łydki trzęsły, jak zobaczył pistolet przed sobą.

I tak na gadaniu schodziło im do wieczora. Znowu siadali do samochodów i po kolei rozwozili się po kwaterach. Wieczorem Herbert, Wiktor i młody Esterl zachodzili na czarną kawę do Kostrzewy, który knajp nie odwiedzał, ale siedział nad książkami w domu.

— Śmierdzi od was wodą, stare pijaczyny — żartował.

— Ech, Hugo — Kerschensteiner był już wieczorami całkiem rozklejony — cóż nam innego zostało? Psie życie! Dziś pijesz, jutro zlecisz...

— I pić nie będziesz.

— No widzisz. Sam mi przyznajesz rację.

Hugo patrzył uważnie w oczy Herbertowi.

— A ty, stary, jak się czujesz? Coś dzisiaj robił?

— To co wszyscy — czyli nic...

— I nie żal ci dnia?

Köstring wzruszył ramionami.

— Nie każdy ma twoją energię. Nie mogę wciąż żyć jak ty idea wojny. Chcę się bić i będę się bił, myślę, nie gorzej niż każdy z was. Ale na myślenie o wojnie i wieczne plany nie mam w tej chwili zdrowia. Czuję się po prostu stary.

— Ty to mówisz?

— Tak... Może to zresztą minie... Ale w tej chwili...

W tej chwili nie miał rzeczywiście chęci do rozmyślenia nad sprawami wojny, zwycięstwa, przyszłości. Siedząc tu na wygrzanej słonce ławce czuł, jak ucisza się w nim z wolna wszelki bunt, pozostawiając za sobą szarą pogorzel obojętności. Wszystko się zmieniło, wszystko przyjęło zupełnie inną postać, czekając na nowy zasiew lub śmierć. Wstrząsnął się. Coraz częściej zdarzało mu się teraz drzeć na myśl o śmierci. Jeszcze przed rokiem pojęcie śmierci nie wiązało się w nim z wyobrażeniem czegoś, co realnie mogłoby mu zagrozić. Dziś zdawał się czuć na swych policzkach jej chłodny powiew. Nie bał się. Przeciwnie, nigdy nie miał w sobie tyle odwagi i determinacji. Lecz nie był to ślepy poryw zuchwalstwa. Wiedział, że stoi twarzą w twarz z czarną, otchłanną, niepojętą głębią.

Sylwetka spotykanej Polki była dlań jak słoneczny promień w gęstym, wilgotnym lesie. Pasowała do tego płaskiego skweru wtłoczonego między cienistą ulicę Wawelską a szeroką aleję Filtrową, do dzieci, które porozumiewały się krzykiem, do dalekiego łomotu „osiemnastki”...

Herbert przyzwyczał się myśleć o tej dziewczynie jak o kimś znajomym. Po prostu byłby zdziwiony, gdyby przyjechawszy na skwer nie zastał jej na ławce w tym samym miejscu, w jakim widział ją za każdym razem.

Gdy podnosiła na chwilę oczy znad roboty, by spojrzeć, co robi

mały, widział spojrzenie smutne i aż bolesne. Herbert łączył ten jej smutek z żalobą, którą nosiła na ramieniu. Niewątpliwie musiała utracić kogoś bliskiego, kochanego. Nieświadomie budował hipotezy, interesował się życiem nieznannej dziewczyny, a przez to oddalał się jednocześnie od wspomnień niedawnej przeszłości.

I tego ranka oficer rzucił ciekawe spojrzenie ku ławce, na której siedziała dziewczyna. Nazywał ją w myślach Betti, przekonany, że tylko to imię pasuje do jej twarzy i ciemnokasztanowych włosów.

Chłopiec bawił się piłką. Podrzucił ją niedbale i gapił się na grupę dziewczynek biegnących opodal. W pewnej chwili piłka upadła na ziemię tocząc się pod nogi Herberta. Chłopiec chciał biec po nią, ale spojrzał na oficera, zatrzymał się. Herbert uśmiechnął się zachęcająco, ale mały stał patrząc na niego niepewnie. Wtedy Köstring pochylił się i wzięwszy piłkę rzucił ją chłopcu w ręce.

W tej samej chwili dziewczyna podniosła głowę. Zobaczył, że zbladła. Zawołała ostro:

— Juleczku! Chodź tutaj.

Nie słyszał, co mówiła do dziecka, ale miał wrażenie, że chłopiec w odpowiedzi z czegoś się tłumaczy. Niedługo potem odeszli.

Od tego dnia dziewczyna przestała przychodzić na skwer. Na próżno wypatrywał, czy nie ujrzy jej na zwykłym miejscu. Przychodził tu co ranka, nie mogąc zrozumieć, o co dziewczyna rozgniewała się wówczas na dziecko? Aż wreszcie ją ujrzał. Szła tego dnia sama uliczką prowadzącą wzdłuż skweru. Zapatrzył się i ucieszył, jakby odzyskał kogoś bliskiego, a utraconego.

Nagle został wyrwany ze swej radosnej kontemplacji. Rozejrzał się zdziwiony. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co się stało, choć miał wrażenie, jakby elektryczny prąd przebiegł wzdłuż ławek na skwerze. Nikt nie krzyczał, wszystko odbywało się w głuchej ciszy. Ludzie, poderwawszy się ze swych miejsc, szybkim i czujnym krokiem rozbiegali się na wszystkie strony. Jacyś mężczyźni przemykali się między dziecinnymi wózkami ku Wawelskiej. Kilka kobiet skradało się przez środek trawnika, spoglądając niespokojnie ku murowi filtrów.

Herbert wstał. Ponad niską barierą niewyrośniętych krzewów zobaczył na ulicy dwa wielkie ciężarowe auta nakryte budami. Obok samochodów kręcili się żołnierze zatrzymując przechodniów; jednych odprowadzali ku samochodom, innych puszczały wolno. Grupa ludzi ubranych w feldgrau szła tyralierą poprzez skwer. Köstring zauważył czarne naramienniki i czarne patki na kołnierzach.

Zatrzymywali brutalnie przechodniów, przeważnie mężczyzn — lecz także i młode kobiety. Niby oglądali pokazywane im papiery, ale wyglądało to raczej na pretekst, bo kogo chcieli, tego odprowadzali do samochodów. Próżno ludzie czegoś żywo dowodzili, potrząsając dowodami. Esesman wyjmował im papier z ręki, rozdzierał go i odrzucał obojętnym gestem. Czuło się w postępowaniu tych ludzi

zuchwałą pewnością siebie oraz świadomość całkowitej bezkarności. Gniewnie odpychali dzieci, które im stały na drodze.

— Raus! — padło ostro z ust jednego z nich.

Nagle któryś zauważył młodą Polkę. Dziewczyna była blada; niewątpliwie udawała spokój. Wstrząsnęła się, gdy ją zawołano. Ale musiała zrozumieć pytanie, bo zaraz sięgnęła do swej torebki. Wszystko szło dalej normalnie. Esesman wyrwał dziewczynie z rąk torebkę i przez chwilę w niej grzebał, potem wyjął tekturowy dokument. Porównał fotografię z twarzą stojącej przed nim kobiety. Uśmiechnął się złośliwie. Nie śpiesząc się podarł Ausweis na kawałki. Wziął dziewczynę za ramię.

— Komm!

Rzuciła się gniewnie.

— Pójdę sama — mówiła poprawnie po niemiecku — niech mnie pan nie dotyka.

W oczach tamtego zapłonął gniew.

— Schnell dummer Dreck! — warknął. — Schnell!

Zanim jednak zdążył odprowadzić dziewczynę do samochodu, w sprawę wdał się Herbert. Sam nie wiedział, co go do tego wystąpienia skłoniło. Może była to wdzięczność za chwilę ciszy, jakich zakosztował na skwerze. W każdym razie nie była to reakcja na bezprawie. Nie pierwszy raz spotykał się z nim, ale zawsze zachowywał dyskretne milczenie. Żył pod hipnozą przekonania o słuszności wszystkiego, co robiła partia. Partia była najwyższą racją. Nie jej rozkazywało państwo, ale według własnych słów wodza ona rozkazywała państwu; ona je tworzyła. Była wyrazem niemczyzny.

Oficer zawołał do esesmana:

— Halo! Zostawcie tę kobietę. Ona jest ze mną. — Rottenführer podniósł głowę i bez szacunku popatrzył w twarz Köstringa. Był to człowiek młody i nawet przystojny, ale z tak okrutnym zacięciem ust, że cała twarz nabierała przez to odpychającego wyrazu. Niewątpliwie lekcewał sobie oficera. Wprawdzie gestem podniesionej ręki pozdrowił go, lecz z drwiącą miną czekał na wyjaśnienia Herberta.

— Z panem porucznikiem...? — ironicznie przymrużył jedno oko. — Nic o tym nie wiem — odmierzał wolno słowa.

— Ja wam to mówię.

— No tak, panie poruczniku, ale tutaj są sprawy policji. Policji bezpieczeństwa.

— Jestem członkiem partii.

— Nie wątpię, panie poruczniku.

Herbert poczuł, że tamten wymyka mu się z rąk. Esesman wyraźnie miał nad nim przewagę. Przewagę, którą dać tylko może świa-

domość własnej wszechwładzy. Lecz nagle jakaś myśl przebiegła Köstringowi przez głowę:

— Wobec tego dobrze... Odwołam się do Obersturmführera Peuckerta... — To nazwisko nawinęło mu się samo. O jakimś Peuckercie mówił wtedy Neun.

Efekt był natychmiastowy.

— Już załatwione, panie poruczniku. Proszę... — esesman znacznie sprężyściej niż przy przywitaniu oddał partyjny ukłon Herbertowi. Potem ruszył dalej za towarzyszymi, pozostawiając w tym nagle opustoszałym zakątku Herberta i dziewczynę. Przez pewien czas oboje milczeli oszołomieni. Potem Köstring powiedział niepewnie po polsku:

— Jest pani wolna. Ale musi pani poczekać, aż odjadą...

Podniosła ku niemu swe czarne oczy. Odpowiedziała płynną niemiecką:

— Dziękuję panu. Nie oczekiwałam pomocy.

— Dlaczego? Ale niech pani siądzie obok mnie. Tak trzeba.

Po skwerze wciąż jeszcze buszowali esesmani. Część z nich usiadła, niby niewinnie, na ławce czatując w ten sposób na przechodniów. Herbert wskazał dziewczynie miejsce obok siebie. Ociągając się usiadła.

— Pan się pyta? — powiedziała wydymając lekko usta. — Przecież wystarczy zobaczyć, co się tu dzieje...

Zrobił gest wyrażający niedopuszczalność tego rodzaju krytyki.

— To jest policja, proszę pani. Wykonują swój obowiązek, a jeżeli w swym postępowaniu nie są dość delikatni, to dlatego, że wy, Polacy, sami tę niedelikatność wywołujecie. Spiskujecie, sabotujecie wydane zarządzenia, nie chcecie się pogodzić z sytuacją.

— Rzeczywiście, trudno nam pogodzić się z istniejącą sytuacją. Ale chyba nie ma narodu, który by był zadowolony z tego, że jego losami dysponuje inny naród, i to w taki sposób. Ale gra nie jest skończona. Wojna trwa.

Herbert uśmiechnął się dobrodusznie.

— Więc sądzicie, że Anglicy wam przyjdą z pomocą?

— Anglia, proszę pana, toczy wojnę o swój własny byt. W tej walce wspierają ją oddziały polskie, wierząc, że zguba Anglii równać się może także zgubie Polski, natomiast zwycięstwo Anglii będzie musiało przynieść wybawienie Polski. Chodzi tu o wspólnotę interesów — nie o jakieś sentymenty...

— Ta wspólnota interesów jest tylko w słowach. Dziś was Anglia wspiera, jutro sprzeda.

W jej oczach błysnął płomień.

— Słabo nas pan zna, panie oficerze. Nas nie można ani kupić, ani sprzedać.

Pokiwał głową.

— Jesteście uparci, a w swym uporze zaślepieni. Przecież Anglia już przegrała. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a wszyscy wrócimy do domów. Co wtedy będzie z waszym buntem? Czy nie lepiej uznać swój błąd i przystąpić do współpracy w tworzeniu nowej Europy?

Jakiś mężczyzna wyrwał się z rąk Niemców i zaczął uciekać ulicą Dantyszka. Goniący go esesman wystrzelił raz, potem drugi. Dziewczyna obserwowała rozgorączkowanym wzrokiem to polowanie na człowieka. Lżej odetchnęła, gdy zbieg zdołał się skryć między zabudowaniami. Wtedy zwróciła się ku Herbertowi:

— W tej niemieckiej nowej Europie, proszę pana, nie ma dla Polaków miejsca. Próżno nas chcecie do niej zapędzić wystrzałami.

W jej oczach błysnął gniew, a na ustach pojawił się wyraz zaciętości. To już nie była ta sama twarz, której pogodną słodycz z takim upodobaniem obserwował. Głos dziewczyny nabrał ostrych tonów, z oczu padały iskry.

— Uważacie nas za ludzi, których można strzelaniem i torturami przymusić do posłuszeństwa. Zawiedziecie się na tym. Możemy ulec przemocy, ale nie złękniemy się gróźb, nie przerażą nas Wawry.

W nagłej pasji zwróciła się wprost do niego:

— A może pan się spodziewał, że będę myślała inaczej, ponieważ pan mnie ocalił?

Wzruszył ramionami.

— Ocaliłem panią przed aresztowaniem, nie wchodząc w to, co pani myśli. Ale widzę, że SS ma dużo racji postępując w stosunku do was bezwzględnie. Rozumujecie doprawdy jak szaleńcy...

— Dlatego, że chcemy żyć?

— Dlatego, że chcecie zostać tym, czym być nie możecie. Podobno marzy się wam kraj do Odry, kraj, którym byście ani włądać nie potrafili, ani którego nie zdołalibyście zaludnić. Trzeba uznać wielkość u innych, zaś małość u siebie.

Parsknęła jak atakująca kotka.

— Małość, wielkość — musi być na to obiektywna miara. Uważa nas pan za szaleńców, ponieważ wydaje się panu, że rozumiemy tak samo jak wy. Ale tak wcale nie jest. Wy wmawiacie w siebie, że jesteście ludem wybranym. To jest zwykłe bałwochwalstwo. I to, zobaczy pan, stanie się waszą zgubą.

Köstring wybuchnął śmiechem. Wydawało mu się rzeczą niebywale śmieszną, że ta dziewczyna, zaledwie wydobyta z rąk prześladowców, przemawia doń w taki sposób.

— Ha, ha, ha! Pani mówi o naszej zgubie? Ha, ha, ha! Ależ wystarczyłoby odrobinę mocniej ścisnąć was za gardło...

— Ścisnijcie — powiedziała przez zęby, nie panując już całkiem nad wzburzeniem. — Zobaczymy, kto silniejszy.

Z nagłą determinacją zerwała się z ławki i poszła w głąb skweru. Nie zatrzymywał jej; esesmani ładowali się już na samochody. Polowanie było skończone; życie zaczęło pulsować na wyludnionych ulicach.

Herbert pozostał na ławce i zapalił papierosa; błękitna smuga dymu leniwie płynęła ku górze. Poczul się nagle w doskonałym humorze. Całe to zdarzenie, rozmowa z Polką, zawzięta dyskusja, w której, był o tym przekonany, odniósł pełny triumf, pozwoliły mu zapomnieć o zwykłej melancholii. Miał ciągle w pamięci czarne oczy lśniące od gniewu, wysokie czoło, na którym drżał woal rozwianych włosów. Polka była naprawdę ładna... A raczej nie: mało regularne rysy jej twarzy nie odpowiadały ideałowi kobiecej urody, miały jednak w sobie dużo wdzięku. Teraz dopiero mógł przeprowadzić porównanie między swą buńczuczną przeciwniczką a Gerdą. Tyle razy ją podziwiał, gdy w kusym, białym kostiumie gimnastycznym kręciła się po boisku. Znakomicie rzucała oszczepem. Biegła wtedy równymi drobnymi krokami, trzymając drążek w zaciśniętej przy skroni pięści. Potem jej krok stawał się dłuższy, ciało prostowało się, ręka z oszczepem odchyłała do tyłu, a muskularne ramię wdzięcznym gestem wypychało oszczep. Było to zachwycające widowisko. Po dobrym rzucie wybuchała śmiechem błyskając białymi zębami. Już samym wyglądem górowała nad przysadzistymi o krótkich nogach koleżankami. Ale jej uroda traciła w zbliżeniu.

Dziewczyna, którą dziś ocalił z rąk gestapo, była zupełnie inna. Nie umiałby wyobrazić jej sobie na bieżni czy na skoczni. Nie pasował do niej kostium sportowy i atmosfera szatni stadionowych — to poklepywanie po odkrytych łydkach i ramionach, brutalne karesy powstałe na tle dziwnego koleżeństwa i rywalizacji dwóch płci. W wyrazie twarzy nieznanym Polki charakterystyczny był właśnie ten rys niczym nie skażonej kobiecości. Gerdę trzeba było podziwiać, tamtą kobietę można było tylko kochać. Nie zaimponowała Herbertowi ani urodą, ani tym, co mówiła. Nie tryskała z niej siła, zdrowie czy energia. Czarne oczy promieniowały jedynie pogodą, a w spokojnym owalu twarzy można było wyczytać równowagę i wytrwałość. Zwłaszcza wytrwałość.

Gdyby Herbert spotkał tę dziewczynę przed rokiem, prawdopodobnie nie zwróciłby na nią uwagi. Wtedy pożądał wyłącznie tego, czym mogła błysnąć Gerda. Dziś podobny był raczej do znużonego wędrowca, który szuka miejsca, gdzie by mógł złożyć głowę... Może właśnie dlatego...

Papieros, dopalił się w palcach, długi wałeczek jasnoszarego popiołu osypał się na ziemię, Köstring leniwie wstał z ławki i poszedł w stronę tramwaju nadjeżdżającego zza parkanu filtrów.

W ciągu najbliższych dni Herbert kilkakrotnie przyjeżdżał na skwer, ale dziewczyny nie spotkał. Życie skweru spłoszone odwiedzinami esesmanów wróciło do poprzedniego tempa. Dzieci bawiły się w alejkach jak dawniej, matki siedząc na ławkach żywo o czymś rozprawały lub czytały książki; gdzieś dłużej chłopcy flirtowali w irytujący sposób z chichoczącymi pannami.

Nieobecność dziewczyny pozbawiła Herberta spokoju. Usiłował czytać gazetę, niewiele z niej jednak rozumiał. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna nie przychodzi tu tylko dlatego, żeby się z nim nie spotkać. Mogła jednak znaleźć sobie inne miejsce. Począł więc obchodzić wszystkie alejki oglądając pilnie stojące wzdłuż trawników ławki. W swej wędrowce wyszedł na ulicę Wawelską, w cień pochylonych nad chodnikiem drzew, i znalazł się w bramce dziecięcego ogródka. Na czterech huśtawkach szalała gromadka kolorowo ubranych malców, hałasujących niby stado wróbli. Dalej w betonowym basenie wypełnionym piaskiem płał się niemniej rozkrzyczany tłumek stawiaczy babek. Matki i opiekunki siedzące na ławkach wokół basenu były całkowicie zagłuszone przez gwar i pisk sych pociech.

Herbert przespacerował się przez ogródek, czując na sobie wzrok kobiet. Śledziły go jednocześnie z lękiem i niechęcią. Wiele z nich nosiło żalobę. Może straciły mężów w tej wojnie? Po raz pierwszy Herbert zdobył się na odrobinę wyrozumiałości w stosunku do kobiet podbitego narodu.

Zaraz jednak zaczął myśleć z dumą o Niemcach. Zwyciężywszy wrogów nie uciemieżyli ich. Właściwie tak... Co prawda przypomniała mu się niedawno widziana scena polowania na ludność. Słowa tej Polki dźwięczały mu w uszach: chcecie naszej śmierci, chcecie nas zetrzeć z powierzchni ziemi... Wcale nie — Herbert dyskuutował z nieobecną przeciwniczką — wcale nie. Chcemy tylko, abyście byli tym, czym być powinniście. My, naród młody i mocny, musimy znaleźć dla siebie ziemię na wschodzie Europy. Te ziemie są nam koniecznie potrzebne. Wy zresztą będziecie mogli na nich pracować...

Opuścił ogródek i poszedł Wawelską. Kilkadziesiąt kroków dalej ciągnęło się pole przecięte prostą linią ulicy. Oddział piechurów wracał z ćwiczeń śpiewając; głosy męczyzn wybijały się ostro i dźwięcznie ponad jednolity szum miasta:

Juheirassa, Soldat zu sein,
 Juheirassa, Soldat zu sein,
 Ist deutsche Lust, ist deutsche Lust.
 Wenn der Führer ruft,
 Wenn der Führer ruft,
 Rück ich ein mit stolzer Brust...

Dziewczyny jednak nie było nigdzie.

Herbert wrócił do swego zakątka. Ostrożnie zachodził od strony zasłoniętej przez drzewa, lękając się, aby Polki nie spłoszyć. Ławka była zajęta przez dwie starsze panie, których obfite kształty obciśnięte sukniami dziwnie niepewnie spoczywały na ławce. Obie kobiety podniosły na młodego oficera oczy, po czym gwałtownie zajęły się rozmową. Herbertowi chciało się śmiać.

Spotkał ją wreszcie pewnej słonecznej niedzieli. Suchy wiatr podniósł tumany wapiennego kurzu nad ulicami zrujnowanego miasta. Herbertowi wypadła poprzedniego dnia służba w koszarach, nie mógł więc dłużej spać. Znudzony wszedł rankiem do tramwaju i pojechał na skwer. Ulice miały charakterystyczny niedzielny wygląd. Musiał się przesiąść na placu Narutowicza, przed ogromnym budynkiem zajętym przez policję. Zeskakując ze stopnia tramwaju ujrzał, jak szła przez plac w stronę kościoła. Herbert ruszył od razu za nią, przepychając się brutalnie między gromadkami ludzi. Ale zanim ją dopędził, dziewczyna weszła już na schodki. Zrównali się w progu. Polka jednak nie zwróciła na niego uwagi. Obojętnie skreśliła w prawą nawę i poszła aż pod boczny ołtarz z krzyżem pośrodku. Świece ofiarne drgały złotym blaskiem u stóp ołtarza. Dziewczyna uklękła, wyjęła spod pachy grubą książkę do nabożeństwa.

Köstring zatrzymał się pod ścianą. Nie wiedział, co ma robić. Przepisy zabraniały uczestniczenia w nabożeństwach wspólnie z Polakami. Mniejsza jednak o zakaz. Wiedział, że bardziej przywiązani do katolicyzmu żołnierze chodzili do kościołów. Odruchowo dał kilka kroków do tyłu. Przez dłuższą chwilę stał niezdecydowanie w miejscu. Wreszcie cofnął się wzdłuż chropowatej ściany tak, by móc obserwować Polkę. Rozpoczęła się właśnie msza. Wysoki ksiądz o wyłysiałej czaszce odprawiał ją z powagą, a jednocześnie z jakąś żołnierską sprężystością. Herbert widział twarze nad modlitewnikami i usta poruszające się bezdźwięcznie. Z głównej nawy zalanej masą dzieciarni wznosił się śpiew, może nie dość równy, ale za to pełen siły. W okna kościoła biła fala słonecznego blasku.

W tej chwili zasłonił ktoś Herbertowi dziewczynę. Podeszedł więc do przodu i ani spostrzegł, jak stanął przed kratkami konfesjonału. Dopiero ciche, wypowiedziane po niemiecku słowa zwróciły mu na to uwagę. Wychylony z drewnianej budki ksiądz mówił do niego:

— Jeżeli pan chce, mogę pana wypowiadać. Znam niemiecki...

Herbert prawie odskoczył.

— O nein! nein! Danke...

Ksiądz spojrział na niego spokojnie. Był już stary. Krótka, szpakowata czupryna sterczała sztywno do góry nad wysokim czołem myśliciela i zadartym nosem wesołka. Twarz, którą Herbert miał przed sobą, składała się z samych niemal kontrastów. Żywe oczy i nos здаwały się mówić o pogodnym usposobieniu, ale głębokie bruzdy na

czole i jakiś bolesny skurecz mięsistych ust były dowodem przeżytych cierpień.

Ksiądz powtórzył jeszcze raz, jakby nie słyszał protestów oficera:

— Naprawdę mogę. Mówię po niemiecku...

Jakaś sięgająca aż do głębi siła spojrzenia księdza sprawiła, że młody oficer doznał wstrząsu. Ten kościół wypełniony dziecinnym śpiewem, szeptem wielu ust, huczeniem organów, wydał się nagle Köstringowi portem. Nie mógł, patrząc w stare, lecz pełne blasku oczy księdza, odpowiedzieć jednym z tych słów, którymi uczono ich odpowiadać na pokusy życia religijnego. Kościół wołał swymi światłami i wspomnieniem chwil ciszy — tak bardzo pożądanych; dźwiękiem słów Waltera stojącego na progu rozwalonej przez bombę świątyni: „Tego rozbić nie sposób”.

Tonem tłumaczącego się uczniaka szepnął:

— Dziś nie... Kiedy indziej... Ale chciałbym...

Czy chciał naprawdę? Czy ulegał tylko przemożnej sile murów, do których przecież kiedyś należał?

Ksiądz skinął głową.

— Jestem tu codziennie... Do dziewiątej... A potem od szóstej...

Oficer odszedł parę kroków i oparł się o mur. Przy ołtarzu pochyłał się ksiądz w biało-złotym ornacie. Między klęczącymi ludźmi była ta dziewczyna...

Modliła się schylona nad grubą książką z czerwonymi brzegami. Co mówiła? Jak wyglądała jej modlitwa? Myśli Herberta kołowały jak ptak, który wleciał do kościoła i tłucze się pod sklepieniem, próżno szukając drogi wylotu. Nie pamiętał już, jak wygląda modlitwa, „Vater unser...” — kiedyś przecież odmawiał te słowa. Potem zatarły je w pamięci żarty kolegów i zdania rzucane zręcznie przez instruktorów. Mówiło się: „Nasze życie należy do Führera, serce do dziewczyny, a duszę niech sobie diabli biorą”.

Ona jednak w coś wierzy. Może w czarną Madonnę, która, jak mówili Polacy, da im zwycięstwo? Śmieszna łatwowierność... A jednak...

Nagle ludzie powstali zasłaniając dziewczynę. Rzucił się jej szukać. Wypatrywał wśród wychodzącego tłumu. Ale znikła jak kamień w wodzie.

VI

Szukał jej w dalszym ciągu. Coraz bardziej był przekonany, że dziewczyna przed nim się kryje. Wywoływało to w nim falę gniewu i zawziętości. Teraz szukał jej prawie jak wroga.

W końcu straciwszy nadzieję na spotkanie zaprzestał jeździć na skwer. Lecz i z kolegami przebywać nie mógł. Drażniły go ich wy-

prawy do knajp, pijaństwo i nuda codziennego życia. Drażniło go wszystko. Stał się małowówny i posepny.

Któregoś dnia wsiadł do elektrycznej kolejki i pojechał bez celu gdzieś za miasto. Początkowo przystanki miały charakter osad podmiejskich, z wolna jednak nabierały wiejskiego wyglądu. Wsiadł na większej węzłowej stacji.

Była tu mała budka stacyjna, a naprzeciwko niej cukiernia. Na skarpie ponad torem rósł wysokopienny las sosnowy, przeredzający się dalej od stacji. Herbert minął lasek, willową, tonącą w zieleni osadę, wyszedł między rzyska, a potem drogą w gęsty, dębowy zagajnik. Gdzieniedzie spomiędzy dębczaków strzelała w górę sosna lub kępa białych niby pomalowanych wapnem brzoź. Pachniało mchem, wrzosem i grzybami. W powietrzu unosiło się szumiące gaworzenie lasu, podobne do jednostajnego chlupotu strumyka na podgórskiej hali.

Herbert, który tego dnia opuścił Warszawę w okropnym nastroju, odzyskał nieco humoru. Przypomniało mu się Schwarzenberge, wuj, ciotka Helena, pogodne dni chłopiństwa, kiedy nieraz razila go cisza lasu i jakby na przekór jej snuł bojowe marzenia. Dziś nie chciał myśleć o wojnie. Na pewien czas miał jej dosyć.

Siadł na pniu. O niczym nie myślał. Chłonał w siebie ciszę, spokój i blask słońca, które spływając z wolna po niebie w dół było coraz bardziej czerwone i coraz pełniejsze.

Ktoś szedł ścieżką z głębi lasu. Z daleka słychać było kroki i trzask łamiących się pod nogami gałązek. Herbert zobaczył kobietę z plecakiem na ramionach, idącą energicznym krokiem. Potem doznał olśnienia. Długą chwilę nie wierzył własnym oczom. Kiedy wreszcie uznał, że się nie myli, miał już dziewczynę przed sobą.

— Dzień dobry pani — powiedział po polsku.

Skoczyła przerażona dźwiękiem jego głosu, a jeszcze bardziej widokiem postaci wynurzającej się spośród zieleni. Odruchowo zrobiła rękami obronny gest, jakby chciała go odepchnąć.

— Proszę się nie bać. To ja. Pani mnie poznaje?

Skinęła głową. Trwożna błądź zniknęła z jej twarzy, ustępując miejsca chmurze ściągniętych brwi.

— Tak, poznaję — powiedziała, starając się go wyminąć.

Zastąpił jej drogę.

— Czemu pani ucieka przede mną? Przestała pani przychodzić na skwer. I wtedy z kościoła zniknęła mi pani chyba naumyślnie.

Słuchała z opuszczonymi powiekami.

— A pan myślał, że z tytułu wdzięczności za ocalenie uda się panu zdobyć do kolekcji łatwych przygód jeszcze romans z Polką? — zapytała.

Podniosła oczy. Usta jej drżały hamowanym wzburzeniem.

Köstring zmieszał się.

— Przepraszam... — rzekł i zaczerwienił się — nie chciałem obrazić pani. Chciałem tylko porozmawiać...

Miał tak nieszczęśliwą minę, że mimo woli złagodniała.

— O czym moglibyśmy rozmawiać? Próbowaliśmy i nic z tego nie wyszło. Z Polakami nie jest ani łatwo, ani miło rozmawiać...

— Bo pani nie potrafi mówić zwyczajnie. U pani w każdym słowie cała Polska.

— To trudno. Tak się u nas właśnie czuje.

— Jesteście najbardziej kłótliwym narodem pod słońcem.

— Zgoda. Klóćmy się. Ale tam, gdzie do celu prowadzi tylko jedna droga, tam już nie ma u nas miejsca na kłótnie.

— Ta jedna droga — podjął Herbert — zawiodła was. Ulegliście zaślepieniu.

Wzruszyła ramionami.

— Po pierwsze: nie mieliśmy wyboru, a po drugie: wojna nie jest jeszcze skończona. To tylko w waszych słowach jest ostateczny triumf.

Wydał dumnie wargi:

— Nasze zwycięstwo można zobaczyć...

— Jeszcze nie! — zawołała. — Och, jak wy lubicie sprawę przesądzać. Napisaliście na swych kłamrach u pasów: „Gott mit uns” — i już wyobrażacie sobie, żeście nawet Boga zdobyli...

Próbował obrócić to w żart:

— A przecież mówi się w kościele: „Dominus vobiscum”...

Podniosła na niego zdziwione oczy.

— Pan jest katolikiem?

Skinął głową.

— Wobec tego — dziwię się panu. A w mszy, w odpowiedzi na: „Dominus vobiscum” pada: „Et cum spiritu tuo”. Oba zdania wyrażają pragnienie, aby Bóg był z nami. Ale ani kapłan, ani lud nie zapewniają świata, że Bóg jest z nimi. To różnica: tam pokorna prośba, tu — pewność, tam ufność i nadzieja, tu — zarozumiałość. Pan jako katolik powinien mi przyznać rację.

— Jestem najpierw Niemcem, potem katolikiem. Z katolicyzmu biorę to, co uważam za potrzebne...

— Chyba bardzo niewiele?

Spojrzał na nią oburzony, lecz zamiast gniewać się — roześmiał.

— Może i niewiele. Właściwie wciąż nie widzę, aby katolicyzm miał być na coś w ogóle potrzebny. To religia ludzi słabych, szukających oparcia.

— A pan nigdy nie był słaby? Nigdy pan nie szukał oparcia?

— W naturze niemieckiej — powiedział — tkwi siła.

— I nigdy ona pana nie zawiodła?

— Nigdy — zapewnił.

Ale czuł, że kłamie. Wciąż tkwił w bagnie słabości, w jakie zepchnęło go odejście Gerdy. Na powierzchni utrzymywały go tylko półśrodki: wpływ Hugona, zainteresowanie tą dziewczyną, wojna. Bez nich byłby zgubiony bez ratunku, pochłonięty przez pustkę, która się przed nim rozwarła.

— Do czasu — rzekła. — No, ale muszę już iść. Wszystkie pociągi mi uciekną.

— Rozmawiało się nam jednak dość ciekawie... Może by pani jeszcze chwilę pozostała?

Zatrzymała się z ociąganiem.

— Właściwie, po co? Cóż mamy sobie do powiedzenia?

— A jednak rozmawialiśmy — spojrzał na zegarek — całe piętnaście minut.

— Tak, ale to była rozmowa „zasadnicza”. Podtrzymując ją dalej, pokłócilibyśmy się na pewno. Kiedyś wierzyłam w możliwość porozumienia się. Dziś sprawy zaszły zbyt daleko. Dziś jeden z naszych narodów — my albo wy — musi zniknąć.

— Nienawiść mówi przez panią.

— Niestety, wiem. Próżno staram się ją w sobie przemóc. Krzywd, które na was ciążyą, zapomnieć nie można.

— Ale czy tym trzeba żyć? Każdy z nas powinien umieć się oderwać od powszechnych trosk. Istnieją w życiu sympatie, miłe rozmowy, przyjemne nastroje. Choćby ten wieczór dzisiejszy. Tak cicho tu na wzgórzu. Drzewa szeleszczą...

— Pan słucha szelestu drzew? Myślałam, że dla was jedyną godną uwagi muzyką jest ryk wybuchających pocisków.

— Jest pani zawzięta.

Spuściła głowę i stała tak milcząca. Blask zachodzącego słońca przenikał gąszcz krzewów. Twarz dziewczyny, zwrócona do Herberta profilem, odcinała się miękko na tle gorejącej zorzy, sama zda się promieniejąc delikatną aureolą.

— Jest pani zawzięta — powtórzył. — Czyż każdego z nas musi pani nienawidzić?

Powiedział to głosem łagodnym i cichym. Las szumiał w pierwszym zmierzchu; z dala błyskały światełka w willach osady i gdzieś spoza otwartego okna tętnił tajemniczo fortepian dźwiękami szopenowskiej „Ballady”. Herbert czuł, że ogarnia go nieoczekiwany nastrój. Jakżeby chciał stopić chłód tej dziewczyny. Zależało mu na niej chyba bardziej niż na jakiegokolwiek innej kobiecie...

Dziewczyna stała zgarbiona, ze schyloną głową. Dłuższy czas milczała. Wreszcie usłyszał jej głos:

— Nie... to nie to... Ja wiem, że was musimy nienawidzić... A człowieka nienawidzić nie wolno... — zakończyła zupełnie cicho. Widocznie walczyła ze sobą, aby nie wypowiedzieć jeszcze innych myśli, które ją nurtowały. Potem nagle powiedziała: — Czas już na mnie.

— Pójdziemy razem — rzekł Herbert — ja także wracam.

Potrząsnęła głową stanowczym ruchem.

— Nie. Nie możemy pójść razem... — urwała. — Proszę, niech pan poczeka do następnego pociągu.

— Moglibyśmy jeszcze porozmawiać w drodze... — zaczął Herbert. Lecz nagle zrozumiał: — Pani się wstydzi iść ze mną? — zapytał.

Jej milczenie odpowiedziało mu za nią.

— Rozumiem. Proszę iść... Zostanę do następnego pociągu. — Nie widział już jej twarzy, słyszał tylko szybki, jakby zdyszany oddech. Była widocznie jakaś dająca się wyczuć gorycz w jego słowach, bo dziewczyna spytała nieśmiało:

— Sprawilo to panu przykrość?

— Nie. Jestem przecież tym, którego trzeba nienawidzić.

Stała niezdecydowana na środku ścieżki.

— Jest mi tak przykro...

Przerwał jej:

— Po cóż robi sobie pani wyrzuty?

— A jednak to tak trudno wypowiedzieć... Właściwie, co wybrać? Bo choć krzywdzicie nas, nienawiść jest nam obca... Cokolwiek byśmy mówili...

— Czy dlatego, że jesteście Polakami?

— Nie. Polskość nie obroniłaby nas przed nienawiścią...

Wolno ruszyła w dół ku połyskującej światłami osadzie. Herbert widział ją wyraźnie na ścieżce, zgiętą pod plecakiem, a mimo to smukłą i ponętą. Mignęła mu jeszcze raz i drugi, potem rozmasała się na tle czarnych krzewów.

VII

Tego wieczora miała się odbyć w kasynie oficerskim wspólna kolacja eskadry. Nim Herbert wrócił ze swej wyprawy za miasto, zastał już wszystkich przy stole. Jego wejście powitano wesołym chórem:

— Już jesteś? Niemożliwe!

— A wyspałeś się, Bert?

— Piłeś już dziś, czy jeszcze od wczoraj ciągnąłeś?

— A nie przyprowadziłeś przypadkiem Wolfa ze sobą?

Eleganckiego Schneditza dotychczas nie było. Jego miejsce przy stole zajął mężczyzna o kruczoczarnej czuprynie, gładko uczesanej, tu i tam przetkanej siwizną. Miał na sobie mundur odmiennego kroju i barwy niż lotnicy niemieccy. Po smagłej cerze łatwo było poznać Włocha. Na widok Herberta wstał od stołu i podszedł do niego z wyciągniętą dłonią. Kostrzewa przedstawił ich:

— Porucznik Herbert Köstring, EK II, chłop pierwsza klasa... Kapitan Mario Rossi, gość naszej eskadry...

Oficerowie podawszy sobie dłonie usiedli do stołu. Herbert powiedział:

— Pytałicie o Wolfa? Nie widziałem go od wczoraj.

— Pewno się łajdaczy tak jak ty. Już ja się do was wezmę — burczał Kerschensteiner. — No, ale teraz pij. Wznosiliśmy już zdrowie naszych sprzymierzeńców: cesarsko-królewskiej awiacji faszystowskiej oraz kapitana. Trzy kieliszki musisz prędko odwalić.

— Nie omyl się tylko — drwił Hubek — i nie wypij zamiast wina wody Vichy.

Z końca stołu podniósł się Lahm.

— Wypada nam... W tym miejscu... tutaj... dzisiaj... — język mu się plątał — dzisiaj... wypić... W ręce gościa... zdrowie kobiety... włoskiej... Z których każda, choć niestety żadnej dotychczas nie widziałem... jest podobno tak piękna jak... jak...

— Safona — podpowiedział Hubek.

— Tak. Jak Safona... Jak królowa Safona... Niech żyją! Heil!

Powstali i wypili, trącając się kieliszkami z Włochem. Teraz Hubek judził mocno już zalanego Karolka, aby po wypiciu zdrowia królowej wznosił toast na cześć króla.

— Nie wypiję! — krzyknął tamten tocząc błędnym wzrokiem po kolegach.

— Dlaczego, Karolku?

— Bo to jest pluskwa! Nie wierzycie mi?! — wołał bijąc się w piersi. — Jak ciotkę Luizę kocham! Pluskwa! Widziałem w kinie. Za zdrowie Mussoliniego wypiję, za króla nie!

Löns i Esterl odprowadzili Lahma na kanapkę w sąsiednim pokoju, skąd już mniej szkodliwie, bo przez nikogo nie słyszany, wygadywał okropne głupstwa. Aby zatuszować niefortunne wystąpienie siostrzeńca ciotki Luizy, zaczęto rozmawiać o sukcesach wojny abisyńskiej, Kerschensteiner, który wpadł już w smutny nastrój, wznosił cmentarny toast na cześć tych, co padli w walce o rzymskie imperium. Rossi odpowiedział toastem na cześć poległych w walce o umocnienie narodo-socjalistycznego ustroju. Zgodzono się zresztą bez żadnego sprzeciwu, że największymi wspólnymi wrogami są Anglicy, Żydzi i masoni. Wypito więc za zgubę Anglików, Żydów i masonów.

— Nienawidzimy Anglików za to, że chcieli nas spętać sankcja-

mi. A nienawiść rzymianina można zaspokoić tylko krwią przeciwnika.

— Hura! Słusznie!

— Anglicy nas zdradzili — zsumował swoje powody do nienawiści Kerschensteiner, w którym nagle obudził się członek NSDAP — ofiarowaliśmy im przecież sojusz. Przyznawaliśmy, że mogą panować w Indiach. Anglicy w Suezie są obrońcami Europy przed naporem świata kolorowego. Nie zazdrościliśmy im sukcesów na rynkach zamorskich. Lecz dosyć. W Europie tylko my mamy coś do powiedzenia. Powinni byli siedzieć cicho, gdyśmy robili porządek w Polsce. Tymczasem oni zaatakowali od tyłu. Odplacimy im. Odberzemy wszystkie kolonie.

— Tak, podzielimy się koloniami angielskimi — skinął głową Rossi.

— Ostatecznie wy już macie kolonie. A poza tym nie walczyliście dotychczas...

— Co to znaczy? — zaperzył się kapitan. — Taka była umowa. A nasze kolonie to same piaski. Littoria i piaski — nic więcej. Rozumiecie, panowie?

— Ma pan rację, panie kapitanie — uspokoił go Kostrzewa. — Gdy padnie Anglia, ziemi będzie dosyć. Byłoby rzeczą śmieszną spierać się o jakieś miasto czy port. Świat wymaga przebudowy, zupełnie nowej idei, która by go podniosła z upadku i dała siłę do dalszego trwania. Taką właśnie twórczą ideą jest dla nas ruch narodo-socjalistyczny, dla was ruch faszystowski.

Rossi zapalił się.

— Faszizm obudził wiecznie młode siły Romy. Pamiętam: cóż to była za wspaniała chwila, gdy szeregi czarnych koszul szły żelaznym marszem na Kapitol sięgnąć po władzę. Czarnowłosi chłopcy... Przechodzili przed wodzem i krzyczeli: „Duce e' viva!” On zaś uczynił tylko jeden mały gest, lecz wszyscy wiedzieli, że w tym geście zostało zawarte życzenie zwycięstwa...

— Wielkie to szczęście dla narodu włoskiego — podjął Kostrzewa — że potrafił się w porę obudzić. Musicie jeszcze uczynić krok naprzód, aby się z nami zrównać, gdyż na drodze, po której my kroczymy od stuleci, jesteście nieco spóźnieni.

— My, signor? Ależ Rzym był już mocarstwem, dyktującym starożytnemu światu swą wolę, gdy Niemcy składały się z setki rozproszonych, dzikich plemion.

— Te plemiona jednak miały w swojej krwi wolę zwycięstwa i przywiązanie do wolności. Nie dały się jak poprzednie fale nordyckiego zalewu zakuć w pęta obcej kultury. Przez kilka stuleci walczyły zaciekle przeciwko narzuconemu katolicyzmowi i wreszcie pokonały go w sobie...

Herbert przysłuchiwał się uważnie słowom przyjaciela i podzi-

wiał ich siłę. Po raz pierwszy jednak zauważył, że przekonywający wpływ, jaki Kostrzewa wywierał na otoczenie, zawiera się nie tyle w argumentach, ile w potędze wiary we własne słowa, którą młody major narzucał innym. Hugo mówił w sposób, który nie znosił sprzeciwu. I Herbert przypomniawszy sobie dzisiejszą rozmowę stwierdził ze zdumieniem, że w ten sam sposób mówiła dziewczyna ze skweru. Niczego nie próbowała dowodzić — po prostu w słowa wkładała całą wiarę.

Przyniesiono kawę i likiery. Oficerowie otoczyli się kłębam dymu.

Czarnowłosy kapitan nie dał się jednak w żaden sposób przekonać.

— O, przepraszam, panie majorze — mówił wzmacniając swe słowa żywą gestykulacją — przewyciężenie katolicyzmu nie było żadnym sukcesem Niemczyzny. Raczej życiową katastrofą. Przecież katolicyzm był ściśle związany z rzymskim prawem i italską kulturą, więc kto się wypierał katolicyzmu, wypierał się tym samym najwyższych zdobyczy pierwszej cywilizacji europejskiej.

Szare oczy Kostrzewy błysnęły gniewnie. Herbert przypomniał sobie zadawnioną niechęć Hugona do Włochów, która zrodziła się w Kostrzewie przed kilku laty, podczas parotygodniowego pobytu we Włoszech.

— Katolicyzm — major akcentował wolno każde słowo — był tylko formalnie związany z kulturą i cywilizacją rzymską. Wszystkie cnoty chrześcijańskie są pochodzenia nordyckiego. Natomiast sam kult był sprzęgnięty z syrojsko-judejskim światopoglądem. Nie powie pan chyba, że dogmat o nieomyślności papieża jest „zdobyczą” kultury rzymskiej?

— Dlaczego nie? Papieże byli nie tylko głową Kościoła, ale budzicielami naszej włoskiej jedności. Aleksander VI budował wielką Italię, dzięki Leonowi X zakwitł geniusz Rafaela, Bramanta, Aretina. O Juliuszu II mówi współczesny mu wierszyk: „Dicite, mortales, num quisquam maior Julio est, per quem quod fuit ante Italia — Italia est?”

— Jeszcze więcej zawdzięczamy pewno Piusowi XI? Dzięki niemu powstała Akcja Katolicka, która wam wydziera ludzi z partii.

— Rzym jest wieczny. Rzym przeżył Piusa XI, przeżyje i Akcję Katolicką. Katolicyzm wyrósł, w gruncie rzeczy, z naszej historycznej wielkości i należy do naszego dziedzictwa. Dlatego rozpoczęliśmy marsz na Palestynę, aby wyrzeć ją z rąk żydowsko-angielskich. Bo to, co zyskało dzięki zetknięciu się z nami swoją wielkość, należy do nas.

— Czyżby katolicyzm swą wielkość zawdzięczał jedynie wielkości cywilizacji łatyńskiej?

Herbert sam był zdumiony, że postawił to pytanie. Dotychczas rzadko zabierał głos przy Kostrzewie; zbyt był nieśmiały, aby nara-

zać się na dyskusję, i zbyt przekonany o słuszności postawy przyjaciela. Ale dziś jakiś niewytłumaczony impuls zmusił go do postawienia tego pytania.

— Porucznik Köstring ma rację — podchwycił Kostrzewa. — Siła katolicyzmu leży w jego duchowym związku z judaizmem. Więc to nie Rzym nadał mu znaczenie, które posiada, ale to raczej on wciągnął Rzym w sferę swych wpływów...

— Nie, Hugonie, nie — podjął walkę Herbert. — Nie o tym myślałem. Ja sądzę... mnie się wydaje, że katolicyzm posiada swą własną siłę. Rozumiesz mnie? To jest pewna doktryna, odrębna od innych, lecz dostatecznie mocna, aby się z nimi mierzyć. Nie powinno się jej lekceważyć...

Przerwał mu Rossi:

— My jej nie lekceważymy, panie poruczniku, duch kultury rzymskiej poprzez katolicyzm otworzył sobie okno na sprawy wieczne, pogłębił się, wypełnił. Wszyscy nasi artyści: Dante, Michał Anioł, Leonardo, Machiavelli, a nawet Carducci czy d'Annunzio — niezależnie od ich osobistego życia — tworzyli wewnątrz katolicyzmu...

— Protestując przeciwko niemu — rzucił Hugo.

— Dlaczego protestując? — bronił się Rossi. — Wyznając go. Dla nich katolicyzm był czymś równie naturalnym jak dziedzictwo Wergilego czy Tacyta.

— Nie mógł być naturalny, gdy pamiętamy, że w ich żyłach płynęła krew nordyckich przybyszów...

— Och, dużo krwi germańskiej zmieszało się z krwią rzymską, jednak mimo tych domieszek płynie w nas wciąż krew Scypionów.

— Zdaje się, że zatrąła ją krew bękartów papieskich.

Rossi pobladł.

— Krew bękartów papieskich, panie majorze — prawie wykrzyknął — była także krwią rzymską. Papieże dawali bękartów, lecz także i jedność. Natomiast dziełem krwi germańskiej była — sacco di Roma.

Wargi Hugona poruszyły się, jakby chciał wypowiedzieć jakieś ostre słowo. Ale uśmiechnął się tylko zimno i wolnym ruchem przytknął kieliszek do ust. Herbert pochylił się w stronę Rossiego.

— Mnie się także nie wydaje, by katolicyzm wyrastał z żydostwa...

— Naturalnie — podjął kapitan już spokojniej — nie wyrasta z żydostwa. Jest prawym dzieckiem cywilizacji rzymskiej.

Herbert potrząsnął głową.

— Sądzę, że raczej ma własny początek... — Tak mi się przynajmniej wydaje. Niech panowie pomyślą choćby o tych tutaj Polakach. Przecież oni mają cywilizację niemiecką, nie rzymską, a mimo to...

— Ależ nie, ależ nie, signor. Polaków wychowała cywilizacja

rzymska. Z naszych rąk otrzymywali katolicyzm, pod naszym wpływem wytworzyli swoją kulturę. My ich bardzo cenimy.

— Dlatego pewno powierzyliście ich naszym rękom — powiedział uśmiechając się złośliwie Hubek.

Wszyscy zaśmiali się krótko i okrutnie, tylko w Herbercie zbudził się nagle niezrozumiały sprzeciw.

— Bardzo wątpię, czy nam to wyjdzie na korzyść... — powiedział.

Hugo zwrócił ku niemu na wpół zdziwiony, na wpół gniewny wzrok. Herbert urwał spleziony błyskawicą siwych oczu przyjaciela. Bystre spojrzenie Kostrzewy nie opuszczało już teraz twarzy Köstringa. Młody major był zbyt dobrym znawcą psychiki swoich podwładnych, aby nie spostrzec w Herbercie niedostrzegalnych dla niego samego przemian. I teraz za tym spojrzeniem szła reakcja. Doświadczenie z Walterem było głębszym przeżyciem Hugona, niżby się tego można było spodziewać.

Rossi wzruszył ramionami.

— Polska to jest niemiecki „Lebensraum” — rzekł — nie włoski. My się z tym godzimy jako z życiową koniecznością. Niemniej jednak żałujemy Polaków...

— Amen — parsknął Hubek.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

— Wypijmy nasze zdrowie, zdrowie lotników — Kerschensteiner zdźwignął się ciężko z krzesła. — Życie jest cholernie krótkie... nie wiadomo, kiedy na człowieka przyjdzie koniec. Do diabła z wojną. To jest: daj Boże, prędzej zwycięstwo. Psie życie... Dziś tu, jutro tam... Napijmy się...

Pijackie łyzy błyszczały w oczach commodore. Rozlewając wino trafił się z Rossim.

— Gówno — nie wojna... — stwierdził Esterl przerywanym przez czkawkę głosem. — Tam gdzieś łupią bombami, a my tu siedzimy... Cholera! — Poszedł chwiejnym krokiem do kanapki i siadł na niej ciężko. Esterl miał narzeczoną w Kolonii, od której już dawno nie przychodziły żadne wiadomości.

— Si, si — potwierdził te pijackie narzekania Rossi. — Tyle już lat walczyliśmy. W Abisynii, potem znowu w Hiszpanii...

— Piechociarzom to dobrze — mówił Wiktor wsparty wielką głowę na grubych rękach — jak się nie biją, to leżą do góry pępek. Tylko my harujemy. Tyle naszego odpoczynku, ile mają go samoloty, a potem znowu...

— Ale w piechocie byłbyś ciągle porucznikiem, a Ritterkreutz widziałbyś tylko na obrazku — podrwiwał Hubek.

— Jesteś głupi! — dobroduszny zwykle commodore nagle się rozeźlił. — Jesteś dureń! — każde słowo wypowiadał wolno i starannie. — Tobie nie wolno nic gadać, bo bez nas byłbyś ciągle jeszcze Czechem.

— Ściągnęliby ci z nówek białe pończoszki!

Koledzy wybuchnęli huraganem śmiechu.

— On nawet Czechem pozostał — dowcipkowali inni, mszcząc się za złośliwości Hubka. — Ma słowiańskie rysy...

— Dajcie spokój z głupimi żartami — wtrącił się Kostrzewa — a zajmijcie się lepiej gościem. Löns, ty przecież studiowałeś architekturę. Opowiedz panu kapitanowi o nowych zamierzeniach niemieckiego budownictwa. Czekamy, panie kapitanie, na naszego kolegę, porucznika Schneditza, który będzie mógł powiedzieć o współczesnym malarstwie i rzeźbie...

— Ponieważ jego ojciec „trzyma” sklep z tapetami — powarkował niepoprawny Hubek.

— Spokój, Hans. — Kostrzewa przestał żartować. — A ty, Fritz, opowiadaj. Pan kapitan nie zatrzymał się w Berlinie, nawet nie widział Berliner Haus. A zdaje się, że pana kapitana interesują sprawy budownictwa?

— Ależ tak, signor, ja także jestem architektem. U nas jest wielu architektów. Dziś prawie co drugi Włoch coś buduje.

— Zarówno Duce jak i Führer mają słabość do monumentalnych budowli.

— Bo gmach czy stadion, panie majorze, trwa dłużej niż życie ludzkie. A to są ludzie, którzy nie dadzą się zamknąć w ramach jednego życia ludzkiego.

Löns zaczął opowiadać Rossiemu o projektach nowych dworców kolejowych, które opracowywali młodzi architekci. Kostrzewa nieznacznie mrugnął na Herberta i pociągnął go w kąć pokoju. Zasiadli w dwóch stojących naprzeciwko siebie klubowych fotelach. Hugo podał porucznikowi otwartą papierošnicę.

— Gdzie chodziłeś dziś po południu?

Pytanie było na pozór obojętne, ale pod pokrywką obojętności kryło się twarde żądanie odpowiedzi. Herbert odparł wymijająco:

— Wyjeżdżałem za miasto...

— Masz tu jakieś znajomości?

Wzrok Kostrzewy szukał czegoś uprzejmie w oczach i w twarzy Herberta. Była w nim ciekawość połączona z czujnością, może nawet z gniewem.

— Nie... Właściwie nie... Zresztą, czy myślisz, że mnie zależy obecnie na znajomościach? Uciekłbym od siebie samego... nie tylko od ludzi...

Napięcie wzroku Hugona nie zelżało. Jego twarz była ściągnięta uwagą. Mówił wolno, wypuszczając między każdym słowem kłęb dymu.

— Uciekłbyś? To niedobrze. Niemiec nigdy nie ucieka. Zależy... —

wyciągnął wygodnie nogi i przeniósł wzrok z twarzy Köstringa na sufit — zależy, od kogo chcesz uciekać, względnie ku czemu.

Herbertowi zrobiło się nagle przykro.

— Ja to tak tylko powiedziałem, Hugonie. Przecież nie uciekam. Po prostu muszę oderwać umysł od tamtej sprawy. Muszę się czymś zająć. Ach! — do tego wykrzyknika zmusił się po prostu, bo wydało mu się, że Hugo nie docenia jego ciężkiego położenia. — Wolałbym już wrócić na front.

Wzrok Kostrzewy spętał wolno w dół. Czas jakiś przyglądał się błyszczącym czubkom butów, a potem wpił się znowu w oczy Herberta.

— Wolałbyś? My zawsze jesteśmy na froncie — powiedział, kładąc nacisk na słowo: my. — I zawsze mamy z kim lub z czym walczyć. Z ludźmi i z własną słabością, która często błędnie szuka dla siebie oparcia.

Odwrocił głowę i jakby przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie, jaką prowadzili Löns i Rossi. Potem podjął znowu:

— Chyba nigdy nie interesowałeś się katolicyzmem?

— Nigdy, Hugonie — Herbert potrząsnął głową.

— Nie ciekawił cię jako pewnego rodzaju mistycyzm?

— Nie... Wiem, że hierarchię katolicką powinniśmy naśladować, że elementy katolickiego nauczania...

Kostrzewa przerwał:

— To są moje słowa.

— Prawdopodobnie, Hugonie — przyznał pokornie Herbert. — Tyle razy słyszałem cię mówiącego, że mogłem sobie w końcu przyswoić twoje wypowiedzi. Poza tym wiem, że katolicyzm stara się narzucić nam posłuszeństwo, które jest niegodne niemieckiego ducha, ponieważ dąży do opanowania całego świata. To zdaje się wszystko.

— Och, nie, Berti nie. — Hugo powiedział to z nagłym wybuchem, jakby dając upust jakiemuś niezrozumiałemu oburzeniu. — To nie jest wszystko, jeżeli chodzi o katolicyzm. Czy masz czas w sobotę wieczór? Chciałbym wziąć cię w jedno miejsce. Ester!...

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Schneiditz. Oficer nie zdjął czapki ani rękawiczek, ale zatrzymał się w progu mierząc kolegów roziskrzonym wzrokiem. Nie witając się z nikim zaczął mówić głosem suchym, nadmiernie podniesionym:

— Wyobraźcie sobie, co się stało dziś w nocy. Dzwonią do nas... Kto? Sicherheitspolizei. Rewizja. Mniejsza z tym. Ale potem mego gospodarza i jego żonę biorą ze sobą. Dziecko krzyczy. Mówiłem wam, że tam jest taki mały chłopczyk. Nie chce puścić matki. Odrywają go, pchnęli, aż upadł. Pytam komendanta, dlaczego ich aresztują i czy przynajmniej nie mogą zostawić matki dla dziecka. Odpowiadają, że nie. Dlaczego? Dlatego, że ci rodzice są oskarżeni o wycho-

wywanie dzieci w nienawiści do nas. Macie na to dowód? — pytam. A tak — mówią mi — pewien oficer złożył skargę, iż dzieciak strzelał do niego z rewolweru. Z dzieciennego rewolweru. Ale z intencją zabijania. To znaczy, że jak urośnie, będzie naprawdę zabijał. A za to są odpowiedzialni rodzice...

Zatrzymał się dla złapania oddechu. Nikt się nie odezwał, więc Wolf ciągnął dalej głosem, który coraz wyraźniej przechodził w krzyk:

— Słyszeliście? To przecież ja wam opowiadałem, że malec celował do mnie. Ale ja śmiałem się z tego jak z dobrego dowcipu. I żadnych skarg nie składałem. Więc może dzieciak w każdego oficera celuje? Więc może się znalazł jakiś dureń, który z tego powodu poleciał do gestapo? Matka mi mówiła, że to jeden jedyny raz. Ale mogła kłamać. Postanowiłem sprawdzić. Poleciałem tam do nich na Polizeistrasse. Pytam: kto złożył skargę? Odpowiadają. Wyraźnie napisane, nie ma mowy o pomyłce. Wiecie kto? Pan porucznik Wolfgang Schneditz, pilot, mieszka tam a tam. Zgadza się co do joty. Do miliona diabłów! Miałem ochotę bić ich po opasłych mordach. Wobec tego — powiadam — skoro to ja złożyłem skargę — cofam ją. Uwolnijcie rodziców dziecka. Wolnego — gada taki jeden — więc pan porucznik twierdzi, że takiego zdarzenia nie było? Nie było! O, my tu mamy świadków. Gdzie są ci świadkowie? — pytam. Tajemnica... Chciałbym spojrzeć w twarz tym łotrom. Ci świadkowie łą! — krzyczę, bo już mnie diabli biorą. Niemożliwe — tamten odpowiada — to ludzie pewni. A pana porucznika ostrzegamy, że takich spraw nie wolno ukrywać... Tak powiedział. Dosłownie. Do mnie, co przez całą kampanię polską, norweską i francuską walczyłem, co mam dwa Żelazne Krzyże. Do członka eskadry siedem razy wymienionej w rozkazie, a dwa razy w komunikacie Oberkommando. I co miałem robić? Wyszedłem. I pytam was tu teraz, jaką drogą moje słowa doszły do tamtych bandytów? Odpowiedzcie mi. Czyśmy nie zawarli przyjaźni? Czy już naprawdę nikomu nie mogę ufać? No? No, powiedzcie, bo się we mnie coś przewraca!

Wszyscy milczeli. Ich oczy unikając wzroku Schneditza kierowały się ukradkiem ku porucznikowi Zweigle, jakby w oczekiwaniu, że młody przedstawiciel eskadry wypowie się w ich imieniu. Ale czekali na próżno. Zweigle obojętnym ruchem wyrównywał paznokcie kieszonkowym pilnikiem.

VIII

Pojechali w Aleje Ujazdowskie we trzech: Kostrzewa, Köstring i Esterl. Słoneczny dzień lipcowy dopalał się na szczytach kamienic, a ulice krył niepostrzeżenie szary cień. Wysiedli przed pałacykiem ukrytym za zasłoną drzew i przeszli pod bramą, na której wisiała jeszcze tablica konsulatu jednej z południowoamerykańskich repu-

blik; zadzwonili. Otworzył im esesman w zielonej wojskowej kurtce i wprowadził do zacisznego hallu. Stały tu eleganckie mebelki, na wygodnych krzesłach siedziało kilku mężczyzn i kilka kobiet. Mężczyźni byli w mundurach wojskowych, partyjnych lub urzędniczych, kobiety po cywilnemu, z wyjątkiem jednej, ubranej w szary kostium Nachrichtenheiferin. Oficerowie wchodząc podnieśli ręce gestem partyjnego powitania i w ten sposób im odpowiedziano.

W kącie hallu, przy stoliku, siedział starszy siwowłosy mężczyzna ubrany po cywilnemu, ale w wysokich butach, ze znaczkiem partii w klapie marynarki. Esterl podszedł do niego i chwilę rozmawiał z nim szeptem. Potem zaraz wrócił do Hugona i Herberta.

— Naturalnie, jak wam mówiłem, nikt tutaj nie robi żadnych trudności... Kierownicy „kościół” chcą jedynie wiedzieć, kto przychodzi: nie żyć sobie obcych.

Skinęli głowami na znak, że rozumieją. Esterl dodał jeszcze:

— Będziecie mieli co oglądać: dwa śluby.

Niedługo czekali, bo zaraz dwóch esesmanów otworzyło szerokie zajmujące całą ścianę drzwi i wszyscy powstawszy przeszli do sąsiedniego pokoju. Była to duża sala wyłożona kamiennymi płytami, na których zaczęły zaraz chrzęścić podkute buty żołnierskie. Ściany pokryte pasami krwawoczerwonej materii były puste. W środku na małym podwyższeniu stał stół, a raczej ołtarz, nakryty suknem. Na nim leżał miecz z wygiętymi w dół jelicami oraz książka. Nad ołtarzem rozpinana się czarna swastyka.

Dwie świece na ołtarzu rzuciły żółty pełgający blask na grupę stłoczonych osób. Potem zapłonęły nagle ukryte reflektorki, kładąc krzyżujące się smugi światła na ołtarz. Jeden z esesmanów podszedł z zapaloną szczapą do żelaznej misy i zapalił znajdujący się w niej płyn. Błękitny płomień strzelił w górę; salę napełniła odurzająca woń jakby mocnego kadzidła.

Nagle otworzyły się z dwóch stron ukryte wśród kotar drzwi i rytmicznie wolnym krokiem wszedł z jednej strony szereg chłopców w bluzach HJ i krótkich spodenkach, z drugiej szereg dziewcząt w mundurkach BDM. Wystudiowany krok obu szeregów przypominał balet; twarze chłopców i dziewcząt miały wyraz poważny, ekstazy, tajemniczy, a jednocześnie zdawały się zdradzać opanowane wysiłkiem woli ogromne zmęczenie.

Kroczące w skupieniu szeregi, oświetlone mrugającym blaskiem znicza, musiały wywierać mocne wrażenie na stojących pod ścianą uczestnikach nabożeństwa. Kiedy jeszcze wyszło czterech chłopców z bębnami i zaczęło bić przejmujący, choć ściszy werbel — ten miarowy warkot w purpurowym półmroku sali, u stóp surowego w swej prostocie ołtarza wytworzył nastrój niepokojącego oczekiwania. Herbert czuł, jak wali mu serce, jak dreszcze przebiegają ciało, a czoło pokrywa się zimnym potem. Ciężka woń płonącego w misie płynu mąciła jasność myśli, napełniała głowy szumem i za-

mętem. Spojrzał na swoich towarzyszy. Na twarzy Hugona rysowała się wprawdzie odrobina ciekawości, lecz ponad nią górował zwykły, chłodny, lekko ironiczny wyraz. Jasne, wysokie czoło przecinała zmarszczka, zwartych ust nie poruszało żadne drżenie. Inaczej Esterl. Podchorąży oddychał otwartymi ustami, ciężko i bardzo szybko. Jego oczy płonęły ogniem ponurego zapału, może nawet budzącej się ekstazy, a w każdym razie gorączkowego oczekiwania. Warkot bębnow niespodziewanie umilkł. Nastąpiła cisza. Potem — jak uderzenia młotem — rozległy się kroki i przed ołtarzem stanął na baczność ów siwowłosy mężczyzna, którego widzieli poprzednio w hallu. Herbert mógł teraz dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Było to oblicze surowe, groźne, natchnione. Zaciśnięte wargi przypominały usta kamiennych posągów. Właśnie z tych ust zaczęły padać głośne, ze wspaniałą dykcją wypowiedane słowa:

— Wierzmy w wieczne narodowo-socjalistyczne Niemcy. Wyznajemy narodowo-socjalistyczny światopogląd, który narodził się w sercu Adolfa Hitlera podczas wielkich zmagania niemieckiego żołnierza z wszystkimi narodami świata. Wierzmy, że wszechmogący Bóg na prośbę tego żołnierza oślepionego przez pocisk w dniach wielkiej wojny przywrócił mu wzrok na nowo. Wierzmy, że ten człowiek jest zesłanym przez Niego zbawcą i wodzem narodu, Rzeszy oraz ludów krwią z nami złączonych. Wierzmy bez zastrzeżeń w jego święte dzieło „Mein Kampf”. Wierzmy, że wykonujemy wiernie wszystkie zawarte w tej książce wskazania, toteż powiedzieć możemy z całą śmiałością: „Panie, wolni od grzechu stoimy przed Tobą...”

Mówca urwał, a jednocześnie w ciszę, która po jego słowach zapanała, wpadł stukot bębnow. Biły przez czas dłuższy ani na chwilę nie tracąc równomiernego tempa. Potem, jak na znak magicznej pałeczki, jednocześnie zamilkły. Siwowłosy mówca wstał na podwyższenie, wziął z ołtarza księgę i rozwarł ją w miejscu założonym szeroką wstęgą. Głośno i wolno przeczytał krótki werset:

„Zawsze tłum rozumiał, że kto atakuje bez litości przeciwnika, tym samym stwierdza swoją słuszność; natomiast kto oszczędza swe szeregi, ten wątpi w słuszność swego prawa; poddaje w wątpliwość jego istnienie...”

Odłożył księgę, chłopcy zaś przez dłuższy czas wybijali werbel. Mówca — czy może kapłan — oparł się plecami o ołtarz, odrzucił głowę w tył i zaczął mówić, nawiązując swe przemówienie do treści odczytanego ustępu:

— Litość dla wrogów zna tylko ten, kto nie ma poczucia słuszności swej sprawy. Tak mówi wódz, a jego słowa są święte — położył dłoń na księdze. — My znamy słuszność naszej sprawy. My wiemy, że stoimy moralnie i intelektualnie ponad wszystkimi narodami i nie mamy równych sobie. Niemcy są najznakomitszym dziełem świata. Dlatego też musimy walczyć, bo prawem silniejszego jest panowanie. Świat chce, abyśmy się zmienili. Próżny trud. Niech

się ludzkość przede wszystkim zmieni i złoży broń, wtedy będziemy mogli mówić o zgodzie. Nie ma wątpliwości, że postępując inaczej bylibyśmy skrzywdzeni...

Potem przeszedł do spraw zasadniczych:

— Każdy naród potrzebuje religii i wiary w Boga, ale religia musi być religią narodową i musi wyrastać razem z narodem z historycznej rzeczywistości. Pojęcie Boga odpowiadające rasowo-nordyckiemu pojmowaniu nie opiera się na micie, który zawiera obietnice pozaziemskie, niemożliwe do stwierdzenia, ale na posiadaniu wiedzy o naturze, na pragnieniach duszy ludzkiej, i to duszy zbiorowej. Nasz stosunek do Boga jest sprawą osobistą każdego z nas. Dlatego nic nie może krępować naszych czynów, poza jedną jedyną sprawą, której winny być podporządkowane wszystkie inne, i poza koniecznością zachowania narodu. Naród jest bowiem pod opieką Opatrzności, a my winniśmy posłuszenie pełnić jej wskazania i słuchać ludzi przez nią zesłanych... Byłoby szaleństwem wierzyć w jedno tylko wcielenie Boskości — w jednego tylko człowieka, który by tę Boskość reprezentował. Choćby on był najbogaciej wyposażony, choćby był najpotężniejszy w działaniu, nie potrafiłby wypracować dla nas żadnej możliwej formy religijnej. Nie zwyciężyli Europy ani Jajnavalkya, ani Zaratustra, ani Lao-tse, ani Budda, ani Jezus...

Spokojny dotychczas głos mówcy zaczął nabierać tonów podniecenia i gniewu:

— Niesiemy w świat nowe boskie prawo wolności serc, posłuszeństwa i wierności idei rasy. Katolicyzm i żydostwo muszą przed tym nowym światopoglądem ustąpić, muszą zgasnąć, jak gaśnie lampa w promieniach słońca... Bowiem Kościół i żydostwo dążą do zdobycia władzy nad światem, a drogą do tego jest rozdarcie, skłócenie wewnętrzne duszy niemieckiej. Dlatego bijemy na alarm...

Tym razem werbel wybuchnął z taką siłą, że zadrzały płomienie świec na ołtarzu. Chłopak w ubraniu HJ, stojący na skraju szeregu, wystąpił krok naprzód i zaczął na pół mówić, na pół śpiewać z siłą wyrazu w głosie:

Szturm! Szturm! Szturm!
Niech głos dzwonów rozlegnie się z wieży,
Niechaj każdy w swój dzwon dziś uderzy:
Czy dorośli, czy starcy, czy dzieci,
Aż do śpiących niech głos ten doleci!

Wśród oszołamiających dźwięków werbla zabrzmiał znowu przejmujący w swym natężeniu głos odprawiającego nabożeństwo:

— Zbudźcie się, Niemcy! Zbudźcie się. Do walki. Nie złamaliście jeszcze wszystkich waszych wrogów. Stoją przed wami i grożą wielkości. Chcą was ujarzmić. Ich imię — Rzym. Ich hasło — poddać świat pod stopy kleszej kasty. Ich symbol — papież. Aby tę hydrę z siebie rzucić...

Głosem zdyszczym zaczął wyliczać:

— Trzeba odebrać im wszystkie kościoły i oddać narodowo-socjalistycznemu niemieckiemu kościołowi... Usunąć katolickich księży, biskupów i prałatów spod opieki zbyt dla nich łaskawego prawa... Zerwać z samowolą, która nazywa się niezależnością Kościoła... Zniszczyć wszystkie egzemplarze Biblii i pism katolickich. Zastąpić krzyże na dachach kościołów oraz dzwonnice świetlanym znakiem swastyki...

Mówca umilkł i tylko bębny wybijały długo werbel. Napięcie w sali wciąż rosło. Gromkie słowa mówcy porwały serca słuchaczy. Jakiś fluid nienawiści i zawziętości płynął od człowieka do człowieka, narastał, piętrzył się i nasiąkał osołamiącą wonią kadzidła i mroczną czerwienią ścian, zdawał się wylewać falą na głowy zebranych. Atmosfera stała się ciężka, dławiąca, groźna. Nieustanny łomot bębnowy zdawał się wyzwalać jeszcze inne odgłosy. Herbert miał chwilami wrażenie, że stoi nie w zamkniętej przestrzeni, ale gdzieś na polu, w samym ognisku cyklonu. Bębny na chwilę ucichły, a potem wybuchnęły ze zdwojoną siłą. Chwila ciszy między dwoma wichrami dźwięków sprawiła, że sala zamarła w jakimś przerażającym oczekiwaniu. Köstring czuł, jak mu włosy zaczynają się jeżyć, a czaszkę obiega łaskoczący dreszcz. Bębny znowu zamilkły i znowu były. Rwąca się raz po raz ciągłość łomotu kazała oczekiwać czegoś, co miało nadejść, okropnego w swej nieokreśloności. Atmosfera sali stała się nie do zniesienia. Na czoła ludzi wystąpił kroplisty pot. Herbert miał ochotę krzyczeć całą pierśią, boleśnie i rozpaczliwie jak tonący. Miał wrażenie, że za chwilę będzie musiało nastąpić coś strasznego, bo takiego stanu nikt dłużej nie wytrzyma. Gdyby mu kazano przeciągnąć w nieskończoność kilka sekund trwający moment wyrównywania nurkującej „Stuki”, może nie czułby się aż do tego stopnia źle jak w tej chwili. Tamto uczucie było uczuciem okrutnego rozdarcia, to było miażdżeniem. W uszach brzmiały mu dzwonki. Czasami przymykał oczy, aby uwolnić się od halucynacji tańczącej w takt muzyki bębnowej. Na chwilę oprzytomniał ujrzawszy obok siebie twarz Kostrzewy. W siwych oczach Hugona nie było ani obawy, ani gniewu. Natomiast Esterl dyszał coraz ciężiej, pochylony do przodu, jakby miał za chwilę upaść. Jego szeroko otwarte oczy wyskakiwały po prostu z orbit. Po rozchyłonych wargach ślizgał się drżący blask ognia niby skryty półśmiech.

W końcu werbel się skończył. Próżno czekali, że za chwilę znowu się rozlegnie; Chłopcy stali nieruchomo, wyciągnąwszy martwo wzdłuż ciała ręce, w których trzymali pałeczki. Mówca powiedział zduszonym, ale mocnym głosem:

— Przez nas przemawia Najwyższy. W naszych zwycięstwach ujawnia się dzieło Opatrzności, która strzeże i ochrania Niemcy, aby ich mieczem zbawić ludzkość...

Podniósł dłoń do góry i rzekł:

— Zbliżcie się.

Podeszły do niego dwie pary. Jakiś oficer i kobieta w szarym, płaszczu, czarno ubrany esesman i dziewczyna w mundurze Nachrichthilferin. Obie pary stanęły u stóp podium. Mówca wziął w ręce miecz i wyciągnął go przed siebie.

— Połóżcie prawą rękę na mieczu — powiedział.

Zrobili, jak im kazał.

— A teraz powtarzajcie za mną: na święty miecz niemiecki, będący symbolem naszej wielkości, na chwałę i cześć narodu niemieckiego przysięgamy żyć ze sobą dla rodzenia nowych bojowników naszej sprawy. Przysięgamy wodzowi Rzeszy i jego przedstawicielom bezgraniczną wierność aż do śmierci: so wære uns Gott helfen.

Bębny zaryczały tryumfalnie. Przez salę wionął gorący powiew. Herbert pochylił się ku Hugonowi. Powiedział zduszonym głosem:

— Wyjdźmy, mam tego dosyć...

Ledwo trzymał się na nogach. Czuł, jak wszystkie jego nerwy dygocą. Co to było? Nie umiał wytłumaczyć sobie tej słabości. Lepki pot zraszał skronie: tętna w głowie i w przegubach rąk jeszcze były rytmem bębnow. Co to było? Nagle poczuł na twarzy ożywczy prąd świeżego powietrza — to Hugo otworzył okno hallu. Zza drzwi dochodził wciąż chrapliwy głos celebrującego nabożeństwo mężczyzny. Herbert ciężko usiadł na jednym z krzeseł, odruchowo sięgnął do papierośnicy. Ale nie zapalił papierosa. Wolał oddychać tchnieniem wieczoru, które płynęło doń od parku Ujazdowskiego i od Łazienek. Hugo miarowym krokiem spacerował po pokoju. Po dłuższej chwili zaptał Herberta:

— Odsapnąłeś? Chcesz wrócić?

Köstring potrząsnął głową.

— Nie. W głowie mi się kręci od tego łoskotu, uczestniczyłem w wielu obchodach celebrowanych z prawie religijną pompą, ale czegoś podobnego nigdy nie widziałem...

Zza drzwi doszedł znowu wściekły werbel.

— Bywałeś zawsze na obchodach masowych, Bert. Tutaj natomiast przemówiła do ciebie „kameralność” nabożeństwa. W gruncie rzeczy nie było ono przekonujące... — Kostrzewa starannie naciągał rękawiczki. — Wolę ceremonie mniej hałaśliwe, a za to zawierające więcej treści. Lecz cóż — człowiek jest ostatecznie tylko człowiekiem i często mistycznym wrzaskiem usiłuje pokryć nagą prawdę słów. Osobiście brzydzę się mistycyzmem i wolę po stokroć suchy szcęk bezwzględności od płaczkliwych tłumaczeń „Bóg tak chce. Bóg tak chciał”. Rozumiem jednak, że nie każdy uważa wolę za niezależne prawo życia...

Włożył czapkę.

— Idziemy?

— A Gustaw, Hugonie?

— Zostawmy go. Niech się narkotyzuje swoją wiarą.

Zeszli na dół do auta. Hugo siadł przy kierownicy, nacisnął starter. Ze zwykłą pewnością siebie prowadził samochód przez ludne ulice. Jednocześnie jego wzrok utkwiony za pośrednictwem lusterka w twarzy Herberta ani na chwilę nie tracił wyrazu czujności i przenikliwości.

IX

Remont samolotów był ukończony: teraz należało tylko aparaty oblatać, gdyż rozkaz odjazdu na front mógł nadejść w każdej chwili. Krótkie komunikaty Oberkommando i długie opowiadania przybyłych do Warszawy kolegów z innych eskadr coraz głośniej zapowiadały zbliżające się zwycięstwo. Dni płynęły za dniami zdążając jakby coraz szybciej ku nieuniknionemu rozstrzygnięciu. Rozstrzygnięcie to jednak nie nadchodziło. Natomiast ciągnęła się uporczywa i zawzięta walka lotnicza, do której wciągano coraz to nowe siły. Kurs za kursem kończył w pośpiechu naukę pilotażu na Okęciu, w Boernerowie i na setkach innych lotnisk. Fabryki lotnicze doprowadziły swoją produkcję do zawrotnego tempa. Naród przeżył się w najwyższym wysiłku ufając, że za miesiąc czy kwartał, a w każdym razie przed zimą, nastąpi upragniony koniec. Przecież fachowcy twierdzili, iż zwycięstwo zależy już tylko od jakiegoś miliona ton bomb, które spadną na Londyn.

Po kilku chłodnych bezsłonecznych dniach nadeszła cieplejsza pogoda. Jesień kroczyła ku nim wielkimi krokami, jakby jej także udzieliła się niecierpliwłość narodu niemieckiego, i choć była to dopiero pierwsza połowa sierpnia, koloryt pól nabrał złotopurpurowych barw września.

Członkowie eskadry „Much” stali na polu przed wyciągniętą linią Junkersów.

— Skończymy, czy nie skończymy przed zimą — monologował Müller.

— Musimy skończyć — twierdził Zweigle.

— Pewno, pewno — Hubek, gdy mówił, mrużył zawsze lewe oko. — Piotrusiowi spieszo wracać do pracy w gestapo. Przyznaj, że tam dopiero czujesz się jak ryba w wodzie.

— Tam czuję się dobrze, gdzie mnie rozkaz powoła.

Kilku oficerów parsknęło śmiechem, a Zweigle rzucił w ich stronę złym spojrzeniem.

Zatrzymali się na końcu szeregu maszyn i z przyjemnością patrzyli na błyszczące w słońcu „Stuki”. Widok był rzeczywiście porównawczy: zielone, daleko ciągnące się lotnisko, a na jego skraju dziewięć wyprężonych, gotowych do lotu ptaków, po wierzchu zielonych jak trawa, pod spodem seledynowobłękitnych. Stanowiły one

prawdziwą symfonię współczesności, którą wyrażała spokojna zwarłość kształtów oraz precyzja szczegółów.

— Obraz prosi o malarza — stwierdził Rossi. Włoch miał za parę dni uczęszczać na kurs długodystansowych lotów, ale tymczasem trzymał się członków eskadry „Much”.

— O tak — Schneditz zmrużył oczy i patrzył na samoloty wzrokiem artysty, namyślającego się, z którego miejsca najlepiej ująć dany pejzaż. — Dopiero ta wojna stworzy naprawdę malarstwo lotnicze. Będzie to naturalnie malarstwo wizyjne, zrodzone w ruchu, którego żaden szpicownik nie uchwyci. Kto wie, na jakie drogi wędzie plastyka przyszłości? Może w ogóle przestanie być plastyką? — jeżeli pod tym słowem rozumiemy statyczne ujęcie przemijających wrażeń. Przecież obraz ujrzany z samolotu nie ma żadnej stałości. Plastycznym elementem obrazu pozostanie jedynie samolot, natomiast świat otaczających go zjawisk przekaże swą realność intuicji artystycznej...

— Lub po prostu spostrzegawczości — Rossi zrobił szeroki gest wyciągniętą ręką. — W tym leży przyszłość malarstwa. Nazwałbym ją: zdobyciem umiejętności zatrzymywania przemijających nastrojów.

— Lecz przecież — podchwycił Kostrzewa — plastyka była zawsze chwytnością nastrojów. Rzeczą istotną jest nie treść obrazu, ale uczucie, jakie budzi. W „Ukrzyżowaniu” Grünewalda tylko zaślepiony katolik średniowiecza widział mękę swego Boga. Natomiast my odnajdujemy w tym arcydziele zwycięskie zmaganie się ludzkiego ducha z męką śmierci. Tak samo u Dürera: „Rycerz, śmierć i diabeł” mówi nam o odwadze artysty, którego wola zmusza nawet piekielne moce do służenia świętej sprawie miecza. Nie inaczej u Breughla...

— Zgoda, panie majorze — przerwał Hugonowi Rossi — zgoda. Plastyka chwyta zawsze przede wszystkim odczucia. Jednak są odczucia powszechne i indywidualne. Każdy katolik średniowiecza rozumiał „Ukrzyżowanie”, ale nie każdy człowiek współczesny zrozumie impresję, dajmy na to, bojowego lotu, albo będzie ją pojmował równie dowolnie jak pan, panie majorze, gdy dzieła późnego średniowiecza chce pan tłumaczyć na język współczesny.

— Tłumaczę je na język, w jakim zostały stworzone.

— Och, to są rzeczy niesprawdzalne. Nie wydaje mi się, aby należało zrobić z Giotta czy Michała Anioła — faszystów...

— Prawdopodobnie dlatego, że z nich faszystów zrobić nie można, panie kapitanie. Bliższy jest wam Wergili czy Carducci niż Savonarola.

— Nic podobnego. D’Annunzio, Marinetti czy Papini są w równej mierze Włochami.

— To smutne, panie kapitanie. Dowodzi to, że nie jesteście jednością. Obce wpływy przyjmujecie za wytwór własnego ducha.

— A czy pan nie przesadza, panie majorze, podkreślając jednolitość waszej kultury? Dzieła Goethego czy Schillera wyrastały z wrzeń italskich, z zetknięcia się z cywilizacją rzymską...

Kostrzewa przerwał Rossiemu niecierpliwym ruchem. Jego wąska, szczupła twarz zbladła pod nalotem opalenizny, co było u Hugona oznaką gniewu. Drażnił go ten Włoch swoim zarozumiałstwem. Podjął niby spokojnie, lecz w głosie jego dźwięczał groźny ton:

— Wy, Włosi, wyobrażacie sobie, że cała Europa urobiona została przez was i że to z Rzymu, Florencji czy Neapolu promieniowały na świat przepotężne wpływy. Było inaczej. Państwo rzymskie zawałiło się, uderzone falą ludów germańskich. Przeszliśmy po was, dążąc ku naszemu celom, i na ruinach imperium rzymskiego rozpoczęliśmy budowę naszego cesarstwa. Niepotrzebne nam były wasze zdobycze. Naród niemiecki zawsze potrafił sobie zdobyć wszystko, czego pragnie. Parliśmy ku morzu...

Mówił tak czas dłuższy akcentując niektóre zdania krótkim, lecz stanowczym ruchem ręki. Historyczne wywody przyjaciela przypomniały Herbertowi nagle Filliesa i tragiczny paszтет. Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, co sprowokowało Lahma do przerywania dyskusji, która go okropnie nudziła.

— Po co w ogóle mówicie, panowie, o jakichś tam starych landszaftach? Ja widziałem kiedyś byczy akt, choć nie wiem, kto go malował. Ale oglądanie jakichś twarzy czy scen biblijnych mnie osobiście nudzi. A już najgorsze są te malunki, w których nie wiadomo, o co chodzi. Smaruje taki jak dzieciak umaczaną w farbie łapą — tu jakieś oko, obok noga, tam kawałek samochodu. I to ma być, dajmy na to, ulica. Dlaczego nie katastrofa samochodowa? Czyste małpiarstwo. Na pewno to Żydzi wymyślili...

— Karolku... — Schneditz dyskretnie pociągnął kolegę za rękaw.

— Czego mnie skubiesz? No! Przecież wódz napisał, że cały ten futurizm to barbarzyństwo.

Rossi przygryzł usta i nie bez irytacji powiedział do Hugona:

— Nie każdy musi znać się na malarstwie i nie umniejsza to geniuszu waszego wodza, że wypowiedział zbyt pochopne zdanie o futuryzmie. Ale niedojrzali młodzieńcy nie powinni obrażać wielkich twórców malarstwa przyszłości jak Marinetti czy Picasso...

— Och, Lahm — Kostrzewa wzruszył ramionami. — Nikt go u nas nie bierze poważnie. Nie powinien się pan obrażać, panie kapitanie. To dzieciak. My wprawdzie nie rozumiemy futuryzmu, ale szanujemy faszyzm. A to wyrównuje wiele.

— Niech się pan teraz nie obrazi, panie majorze, ale wy, Niemcy, dlatego nie, rozumiecie futuryzmu, że nie macie lekkości i intuicji artystycznej, tego, co Francuzi nazywają „esprit”...

Hugo nieoczekiwanie skinął głową.

— Zgadza się. My, Niemcy, pojmujemy każdą rzecz głębiej

i czujemy sercem zbiorowym, a te uczucia, rzecz prosta, nie mogą być tak lotne jak uczucia jednostki. Wy natomiast z całym waszym łatyńskim „esprit” ślizgacie się po powierzchni. Chwyacie drobiazgi i rozdmuchujecie je do znaczenia rzeczy wielkich. Znam doskonale przyczynę: jesteście po prostu katolikami...

— Więc to katolicyzm czyni nas powierzchownymi?

— Naturalnie. Robi z was wrogów czynu, zaraża biernością, niezadadnością i słabością, czego najlepszym dowodem wasza powierzchowność. W katolicyzmie zbyt mocno tkwi mit wiecznie się wami opiekującego Boga — Stwórcy. A pan wie, że syn zbyt energicznych rodziców sam jest najczęściej niedołągą. Życie go nie uodporniło, nie nauczyło walki. Wyście sięgnęli głębiej, do przedchrześcijańskich pokładów mocy starożytnej Romy. Ale jednocześnie umiecie się wyzwolić z katolickiego wpływu. I tu leży wasza tragedia. Póty nie zdobędziecie prawdziwej mocy, póki nie zrzekniecie się dochodów płynących z waszego historycznego katolicyzmu.

Rossi kręcił głową:

— Rozumowanie pańskie, panie majorze, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Katolicyzm jest składnikiem naszej kultury i naszej historii. Prawda, myśmy go nie umieli dotychczas dostatecznie mocno wyrazić, I dopiero faszyzm stał się ruchem siły, która niesie w świat całą kulturę rzymską ze wszystkimi jej składnikami. Katolicyzm także znajdzie swój wyraz w waszym ruchu.

— Liczycie na ostateczny triumf?

— I naturalnie go odniesiemy.

— Jako Rzymianie czy jako... katolicy?

— I jako Rzymianie, i katolicy.

— Wy, Hiszpanie i Węgrzy — powiedział Hugo — uznajecie taką hierarchię: naród, a potem Rzym. Tymczasem zawsze w ostatecznym rachunku Rzym będzie na pierwszym miejscu. My przecież nie jesteśmy ateistami. My znamy także naszego Boga, lecz niewątpliwie ten Bóg nie jest Bogiem chrześcijańskim. Wydaje mi się to zresztą rzeczą zrozumiałą, bo nie mógłbym sobie wyobrazić nas walczących z całą bezwzględnością pod sztandarem słabości. Dlatego też wierzę w skuteczność naszego ruchu. Natomiast w was tkwi wewnętrzna niekonsekwencja...

— Przyszłość pokaże.

— Oczywiście, że przyszłość pokaże... Ale już dziś... Niech mi pan szczerze powie, panie kapitanie, jak wy możecie myśleć o dyktowaniu innym swego prawa, gdy jednocześnie potraficie bić się w piersi i powtarzać: „Mea culpa”? Aby panować nad innymi, trzeba mieć silne przekonanie o swej sprawiedliwości, o swej bezwinnie...

Urwał nagle i spojrzał na Rossiego. Kapitan szedł ze zmarszczonymi brwiami, z rękami w tyle.

— Tym razem — rzekł — pański pocisk był celny, signor. Nie odpowiem nań panu od razu. Natomiast zaatakuję pana czym innym: niech mi pan powie, skąd się wzięty w panu te myśli? To, co pan mówi, to rozważania katolika sięgające w samo sedno zagadnienia.

— Więc zgadza się pan na niekonsekwencję?

— Częściowo... tak. I również przyznaję, że wam konsekwencji nie braknie. Lecz to jest konsekwencja tragiczna. Prowadzi bowiem człowieka do negacji...

Rossi urwał i szedł z głową spuszczoną, zapatrzony w migające szpice swych eleganckich butów. Hugo domagał się jednak odpowiedzi:

— Co pan rozumie pod pojęciem negacji?

Włoch, jakby zbierając myśli przed ich wypowiedzeniem, dopiero po chwili podjął:

— My, katolicy, przeżywamy czasami chwile wątpliwości... Pan powiedział, że jesteśmy słabi. I to jest prawda. Ale ta słabość płynie z chwiejności naszego katolicyzmu. Pan mnie pojmuje? Katolikiem trzeba być równie bezwzględnie, jak pan jest bezwzględnie narodowym socjalistą. Lecz my doceniając siłę katolicyzmu czasami właśnie ze względu na to docenianie pozwalamy sobie na małe odchylenia. Uważamy się za usprawiedliwionych dlatego, że wierzymy... W gruncie rzeczy sędzę, iż usprawiedliwiony jest tylko ten, kto wierzy i czyni lub nie wierzy i nie czyni.

— Niewątpliwie.

— Dotknął pan czułego miejsca, przyznaję. Zresztą może to jest tylko inteligentnie czułe miejsce. Kto to wie? Należymy do starego pnia, który cokolwiek czyni, musi to czynić z rozważą. A mądrość wieków tkwi w katolicyzmie. Więc tej więzi nie zerwiemy. Czasami jednak próbujemy sił gdzie indziej...

— Pan pewno ze wstydem myśli o tych bombach na Durazzo w sam dzień Wielkiego Piątku?

— Może...

— Nigdy bym się takiej rzeczy nie wstydził. Pomijam to, że wołałbym obrócić w perzynę dziesięć miast nieprzyjacielskich, niż pozwolić na uszkodzenie jednego własnego. Pomijam argument, że najlepszą formą obrony jest ofensywa, a im jest bezwzględniejsza, tym bardziej humanitarna. To są wszystko truizmy. Sedno leży w czym innym: w wierze, że tylko przez zwycięstwo nasz duch zbliża się do ubóstwienia...

— Panie majorze!

— Czyżby to pana przestraszyło? Och, wy katolicy. Niby to całym życiem macie świadczyć o istnieniu swego Boga, a lękacie się zabrać temu Bogu boskość i na siebie ją przelać. Boskość potencjalną każdy z nas w sobie posiada. Pamiętaj pan: „Duch sam w sobie jest wszystkim, miejsca mu nie trzeba, sam sobie z piekła niebo,

piekło robi z nieba. Nie dbam o to, gdzie jestem, byłem był, czym jestem, i tym, co mi się należy — wszystkim...”?

— Mówi pan słowami Milтона, ale to „wola mocy” Nietzschego przemawia przez pana. A propos: czy pan wie, co o nim powiedział Maurras?

— Wiem. Nazwał go szalonym Słowianinem, który pisał po niemiecku. Lecz co to ma do rzeczy?

— Och, proszę się nie obrażać. Wy tak nienawidzicie wszystkiego, co słowiańskie, że trudno jest czasami dyskutować. Ale w gruncie rzeczy jedno i drugie jest w was dziwnie splecione...

— Bo pan bierze pokrewieństwo za podobieństwo. Niewątpliwie Słowianie są naszymi kuzynami. Cóż z tego jednak! Oni do nas nie dorosli. Czasami chcą zrobić koło siebie trochę wrzawy, więc wykrzykują: Kopernik był Polakiem! Nietzsche nazywał się Niecki! Brauchwitz to zniemczony Brochowicz! Zwyczajny zgiełk, w robieniu którego celują karzełki,...

Doszli do końca szeregu samolotów i zawrócili. Kerschensteiner pogwizdywał.

— Ale chyba dziś pić nie będziemy — rzekł któryś z członków eskadry.

— Ach, nie. Naturalnie, że nie.

Lecz Esterl przeciwstawił się zgodnemu chórowi głosów:

— Dlaczego nie mamy pić? Do diabła! Człowiek by oszalał, gdyby co wieczór łąba nie zaproszył. Wolę pić niż rozmyślać albo filozofować jak Hugo. Wy to może potraficie. Pewno dlatego, że was nic na świecie nie obchodzi.

Podchorąży od pewnego czasu zapadł na ponurą melancholię, która przybrała takie rozmiary, że Kerschensteiner polecił traktować go jak chorego. Naturalnie wszyscy rozumieli, że chłopakiem miota niepokój o tę dziewczynę, w której był zakochany, a która żyła pod grozą sypiących się z nieba bomb. Ale ostatnio niepokój Gustawa zaczął przybierać formę manii samobójczej. Któregoś dnia ni stąd ni zowąd chłopak przytknął pistolet do czoła i byłby rozwalil sobie czaszkę, gdyby zamachowi nie przeszkodził znajdujący się w pobliżu podoficer. W dwa dni potem, podczas ćwiczeń w ostrym strzelaniu z karabinu maszynowego, stanął nieoczekiwanie przed wstęgą pocisków: na szczęście strzelający właśnie kapitan Hubek skręcił błyskawicznie lufę w bok i ocalił podchorążego od poszarpania przez kule. Wtedy Kerschensteiner wezwał chłopaka do siebie, zwymyślał go i zagroził wyrzuceniem z eskadry. Wydawało się, że słowa *comodore* podziałały jak kubeł zimnej wody wylany na głowę szaleńca. Lecz po trzech dniach zupełnego spokoju Esterl targnął się na życie powtórnie, mierząc do siebie z pistoletu. Wtedy Wiktor sprowadza go przed forum wszystkich oficerów i zaczął łagodnie, a zarazem stanowczo wzywać do opamiętania. Działo się to zaledwie przed tygodniem, Podchorąży siedział pod ścianą jak skazaniec u stóp stołu

sędziowskiego, z twarzą mroczną, zaciętą, niechętną. Po jego wąskich wargach pełgał leciutki półuśmiech. Gdy Wiktor skończył swą długą tyradę, z której wynikało, że wprawdzie życie jest psie, ale pozbawiać się go nie wolno, bo przecież co by to było, gdyby każdy, kto przeżywa jakikolwiek niepokój, zapomniał z tego powodu o obowiązku służby dla wodza i strzelał sobie w łeb — Gustaw wzruszył lekko ramionami i utkwivszy wyzywający wzrok w twarzy commodore powiedział sucho:

— Nie miałem zamiaru się zabijać.

— Nie miałeś zamiaru? Więc do cholery jasnej, dlaczego strzelałeś do siebie?

— Przecież nie wystrzeliłem.

— Bo ci nie dali.

— Pistolet nie był nabity.

Herbert musiał zaprzeczyć. To przecież jego obserwator, podoficer Croll, wydarł za pierwszym razem pistolet z ręki Gustawa i razem z parabellum przyniósł wówczas Köstringowi, który tego dnia pełnił obowiązki oficera służbowego, garść wyjętych z magazynku naboju.

— Ja tego smarkacza zupełnie nie rozumiem... — Kerschensteiner wzruszył ramionami. — Dlaczego on łże? No, powiedzcie mi, proszę, dlaczego łże?

— Brak kobiet — zaopiniował Hubek.

Esterla odesłano do jego pokoju z poleceniem, aby nigdzie się nie ruszał. Wyszedł z głową podniesioną, z ironicznym uśmiechem na ustach. Kerschensteiner kazał przynieść dwie butelki koniaku.

— Zapijemy ten kłopot...

— Wiktor ma zawsze powód, aby wypić.

— Ciebie, Hans, nie zmuszam.

— Ale czyżbym śmiał nie naśladować mego commodore?

Naradzali się długo nad tym, co robić z podchorążym. Przeważała opinia, aby o całej sprawie nie meldować jeszcze dowództwu dywizjonu, ale tymczasem uznać Gustawa za chorego, mieć go na oku, a przy sposobności prosić lekarza, aby go zbadał. Oficerowie i starsi podoficerowie zobowiązali się, że zawsze będą zaglądali do pokoju nieszczęśliwego chłopaka. Croll miał spać razem z Esterlem.

W ciągu tygodnia Gustaw zachowywał się bez zarzutu. Pracował w warsztatach, ćwiczył się w strzelaniu, próbował maszyn. Przeważnie cały czas milczał, spoglądając tylko spode łba na towarzyszy, jakby czuł się na nich obrażony za tamto przesłuchanie. Teraz nagle wybuchnął, a jego rozdrażniony głos brzmiał zupełnie obco. Zatrzymali się zaskoczeni. Chłopak, żywo gestykulując, wrzeszczał na całe gardło:

— Nie możecie mi zabronić pić! Nie możecie mi zabronić pić! Ja

tylko wtedy dobrze się czuję, kiedy mi w głowie szumi. Zresztą, czego ode mnie chcecie? Czy źle służę! Ofiarowałem życie wodzowi. To wystarczy. Moje serce ma dziewczyna, a duszę diabeł. Do ciężkiej cholery! Czego jeszcze potrzeba? Zostawcie mnie w spokoju.

Kerschensteiner próbował go uspokoić:

— Ależ cicho, nie krzycz tak. Bzika dostałeś czy co? Kto cię tu niepokoi? Pij sobie czy nie pij — wcale się tym przejmować nie będę...

Urwał, bo Elsterl podniósł na niego oczy, które miały w tej chwili wyraz prawie łzawy i żalony. Ciężko przełknął ślinę. Zupełnie zmienionym, pełnym bólu głosem powiedział:

— Ja wiem, że... was nic nie obchodzi... Pozwólcie mi zginąć... ech... ja wiem...

Prawie szlochając odwrócił się i odszedł w stronę koszar. Wiktor zatrzymał się na środku ścieżki: rozkraczywszy nogi i rozstawiwszy ręce powiedział z miną zafrasowaną:

— Bądźże tu mądry... Ktoś z nas chyba zbzikował...

X

Słońce zanurzyło się w puch wieczornych mgieł, siejąc krwawe blaski na zbałwanionej powierzchni morza. Noc zstępowała zacierając pędzlem zmroku smugi srebrnej piany, które wędrowały sznurkiem po wodnych pagórkach. I tylko biała kipiela rozbijających się o skały fal świeciła jasną plamą na mrocznym tle wody, niby latarnia ślaca pożegnalne blaski odlatującej eskadrze.

Zanurzali się w cichy zmierzch jak w chmurę dymu. Równy, monotony warkot motorów głużył pieśń fal bijących o skaliste wybrzeże oraz pomruk dalekiego morza; tylko świeży oddech przestrzeni ślizgał się po oszklonej budce kabiny.

Przestrzeń. Równinne, drżące falami bezdroże wód. Jeszcze skrzą się fale, jeszcze wytryskują z mroku promienne punkciki — ślady zamierającego dnia. Za nimi pozostał nastrożony, ogromny kształt wybrzeża. Jakieś światła płoną z dala i jeszcze bieje zarys wapiennych wzgórz. Potem wszystko ciemnieje, zlewa się ze sobą. Dyskretna lampka pokładowa rzuca blask na zegary i na rozłożone mapy. Potem znowu oko wpija się z uporem w przestrzeń. Dzień zgasł. Lecz gdy minęło pierwsze, oślepiające przejście z dnia w noc, znowu piloci widzą przed sobą równinę wodną i mogą szukać na niej zarysów lądu.

Jest. Czarny kształt pojawia się przed nimi. Nie płoną tam światła. Trudno zorientować się, gdzie miasto, a gdzie równina, na której tylko z rzadka siedzą małe domki. Ciało pręży się w nagłym oczekiwaniu, serce zaczyna łomotać. Napięty wzrok szuka celu, ręka

zaciska się nerwowo na drążku. Nagle wytryska z ziemi strumień światła, jeden, drugi, trzeci... Niby olbrzymie palce miętoszą pierzynę chmur i obłoków. Eskadra rozlatuje się. Każdy samolot kluczy, unika chwytu reflektorów, a jednocześnie gna w wyznaczonym przez rozkaz kierunku.

Pod nimi biały obłoczek: tutaj i tutaj. I jeszcze tam, i znowu... W łoskot motorów wdziera się stłumiony grzmot wystrzałów. Prędeż — przebić się przez strefę ognia. Ciało „Stuki” drży, motor widać rozpaczliwie wysokim tryłem.

Samolot Köstringa jest przedostatni na lewym skrzydle. Obok niego Hugo — z prawej Schneditz. Przedtem, gdy lecieli blisko siebie w kluczu, Herbert mógł w każdej chwili spojrzeć na boki i zobaczyć w blasku lampki twarze kolegów. Teraz ich nie widzi, ale mógłby na ślepo odgadnąć, że chłodna i zawzięta twarz Kostrzewy nie uwidacznia żadnego uczucia poza pragnieniem zwycięstwa, po delikatnym zaś obliczu Wolfa przemykają cienie niepokoju. Nagle straszliwy pęd powietrza podrzuca samolot Köstringa jak piłkę. „Aniołek z bombą” drży, skrzydła klapią elastycznie. Drążek na siebie. W sam czas. Drugi pocisk rozrywa się w pobliżu, trzeci nad budką. Herbert pcha samolot w górę, potem robi nagły skręt. Pociiski rozrywają się obok, napęliając przestrzeń wichrem odłamków. Trzeba wciąż czuwać nad sterami i nad drążkiem. Inne samoloty eskadry zginęły gdzieś w nocy wśród kłaków mgły. Przeklęty Dover! Znaleźć go nie można. Herbert sprawdza pośpiesznie instrumenty pokładowe, by znowu powrócić do sterów. Potem Croll pochyla się nad nim i woła prosto w ucho: „Sygnalizują: ognia!” A więc jednak Kerschensteiner czuwa i wie, gdzie są. Prędko. Maszynę łbem w dół. Pociiski gwizdzą, huczają, targają nurkującym Junkersem. Ale już przestrzeń zaczyna wyć i rozpoczyna się zawrotna jazda w nocną pustkę. Teraz zapomina się o każdym grożącym z zewnątrz niebezpieczeństwie, a tylko myśl spręża się w oczekiwaniu na chwilę wyrównania. W dole pożar. Czerwonozłote języki ognia liżą kotarę nocy i oświetlają mały wycinek miasta. Tam. Prosto ku płomieniom. A teraz dźwignia bomb. Od razu cały ładunek. Już. Uwolniona od ciężaru „Stuka” podskakuje lekko niby liść podrzucany przez wiatr. Drążek na siebie. Wolno... Nie, mocniej. Tamci czuwają jak złe psy i wsłuchani w jazgot nurkującego samolotu szukają go swymi światłami. Biały snop ześlizguje się po boku samolotu. Manetka. Prędeż, prędeż. Nie zdołali go schwytać, ale już wiedzą, gdzie jest. Nożyce reflektorów próbują się zamknąć wokół niego. Więc gazu i w górę. Serce wali gwałtownie, krew sączy się z nosa, zalewa usta. Jeszcze nigdy tak ostro nie wyrównywał. Znowu bicz blasku smagnął po ogonie „Stuki”, ale nie zdołał się na nim utrzymać. Więc wyrównać i w dół, bo teraz nad nim zamykają kleszcze blasku. Widzieli, że wali świecą w górę, więc przygotowali mu niespodziankę. Ale on ich nabrał. Wymknął się w dół. Stracił na wysokości, ale ich zmylił. Znowo go szukają. On zaś w nowym miejscu zaczyna się wspinać.

Na szczęście Herbert nie jest sam. Inne samoloty mkną ku ziemi, więc naprzeciw biegną smugi reflektorów. Znalazłszy się na wysokim pułapie, wśród kołujących samolotów, Köstring obciera twarz. Kilka eskadr, które biorą udział w napadzie na Dover, pomieszało się ze sobą. Herbert nie widzi swych kolegów. Ale w tej chwili Croll melduje sygnał ostrzegawczy: „Nocni myśliwcy”. Rzeczywiście, artyleria skierowuje cały swój ogień w jedną tylko stronę nieba. Natomiast z drugiej wymykają się z mroku drobne, zwinne sylwetki. Wiać! Wiać, ile sił w motorach. Herbert bierze kierunek południowo-wschodni. Przelatując widzi ogromnego Dorniera, a za jego ogonem angielskiego myśliwca. Karabiny maszynowe napełniają powietrze skrzekiem. Samoloty, wielkie i małe, pędzą teraz w stronę kanału. Fala maszyn przypomina stado spłoszonego ptactwa. W suchy terkot karabinów maszynowych wdziera się poszczekiwanie działek lotniczych. Dornier wpada w korkociąg i niby fajerwerk zapala się w powietrzu. Motory innego stanęły, a samolot miękko i bezwolnie spływa w dół. Nagle seria karabinu maszynowego rozlega się tuż za aparatem Herberta. Croll odpowiada, odgryza się przeciwnikowi, który przyczepił się do ogona. Znowu seria. Pociski biją po skrzydłach maszyny, po kadłubie, drą pokrywę budki. „Stuka” drży. Herbert próbuje nurkować, ale zawzięty Anglik wciąż kołuje mu nad karkiem. Na szczęście przelatują obok innego Dorniera i wtedy pościgowiec porzuca drobnego Junkersa, a śmiałym atakiem uderza w bombowiec. Köstringa nie interesuje już los walki. Pod sobą ma morze i za chwilę jest nad Francją. Swoje lotnisko odnajduje łatwo. Dał sygnał, odpowiedziano mu, że można lądować. „Stuka” lekko siada na miękkiej ziemi lotniska.

— To ty, Herbercie? — słyszy głos Hugona.

— Ja. Czy wszyscy już wrócili?

— Nie. Tylko Schneditz, ty i ja. Samolot Wolfa ma rozwalone podwozie.

— Jeszcze w takim ogniu nie byłem.

Skierowali się do kasyna. W chwilę potem nadlatuje Kerschensteiner. Jest ranny odłamkiem pocisku w prawe ramię, trzeba go wyciągnąć z kabiny. Za nim wyskakuje Esterl. Chłopak ostatnio już się uspokoił i lata razem z commodore. Ledwo zdążył opuścić samolot, gdy nagle rozlega się wściekły ryk syreny alarmowej. Ludzie rzucają się ku schronom. Niebo jest jak zasłona, którą prześwietlają płonące gdzieś z drugiej strony lampy. Na tle tej scenerii migają cienie drapieżnych ptaków. Artyleria przeciwlotnicza zaczyna bić wściekle, gwałtownie. Na niebie ukazuje się najpierw biały obłoczek, później wypada zeń złota gwiazdka rozpryskująca się na kilka drobniejszych. Równocześnie słychać świst bomb i eksplozji. Powietrze drży nawet w schronie, wszystko zaczyna się chwiać. Drugi łomot. Tym razem w morze, między kutry i barki stojące na redzie. Trzeci raz, czwarty raz... Teraz w sam środek lotniska, piąty — i budynek kasyna rozlatuje się jak domek z kart przytknięty palcem — szósty między barki,

z których kilka wylatuje w powietrze, szybują między budynkami portu i padają wreszcie ciężko na ziemię. Artyleria wyje — potem od razu cichnie. Tym razem pościgowce niemieckie dopadają przeciwników. W powietrzu słychać warkot i chrzęst karabinów maszynowych; jakaś maszyna ogarnięta płomieniami leci w dół. Znowu syrena — atak odparty. Piloci wyskakują ze schronu. W środku lotniska lej, na jego skraju roztrzaskany samolot Kerschensteinera. Ale już dzwoni telefon z dowództwa dywizjonu: wszystkie maszyny zdolne do lotu w tej chwili z nowymi bombami na Dover. Startuje Hugo, za nim Herbert. Ani przez chwilę nie ucicha stukot dział tu, na brzegu — niemieckich, tam, zaraz za kanałem — angielskich. Ledwie przeskoczyli cieśninę, wpadają w wir ognia rozrywających się pocisków i krzyżujących się smug reflektorów. Mija ich grupa „Stuk” z innej eskadry, które zrzuciły już swój ładunek i teraz wracają. Prędkiej. Prędkiej. Herbert trzyma się wciąż „Hagena”. Dwa Junkersy wędrują po wysokim pułapie nieba aż do samego Dovru. Miasto znaleźć łatwo, bo otacza je wieniec pożarów. Kostrzewa daje sygnał: ty pierwszy. Więc Herbert koziołkuje w dół, ciska bomby z dużej wysokości i wyrównuje. To samo robi potem Kostrzewa. I już z powrotem. Ale w tej chwili wypada na nich z mroku Hurricane. Lufy jego karabinów maszynowych płoną ogniem. Na szczęście jest tylko jeden, więc wypowiadają mu walkę. Gdy uczepił się ogona samolotu Kostrzewy, wtedy Köstring leci tuż za nim i strzela. Hurricane wzbija się świecą w górę. Jest szybki i zwinny jak diabeł. Machnął kozła i spada z góry jak jastrząb na aparat Köstringa. Strzela. Smuga pocisków rozdziera do reszty budkę pilota, rwie na drzazgi obie burty. Cudem prawie wychodzi Herbert cało; na twarzy czuje gorący wiew pocisków. Nurkuje — lecz zaraz wraca do walki. Śmiertelne niebezpieczeństwo zagraża teraz Kostrzewie. Ale major nie da się zastraszyć. Śmiałym atakiem rzuca „Stukę” na pościgowca, nieulekłą ręką kieruje swoje karabiny maszynowe przeciwko o tyle liczniejszym karabinom przeciwnika. I Anglik nagle się kończy. Jego motor staje w płomieniach, maszyna zsuwa się spiralą w dół. Oba Junkersy pędzą teraz do domu. Po tej i po tamtej stronie cieśniny noc płonie setkami pożarów. Krwawi się morze, wapienne skały Dovru i plaża francuska. Oba aparaty lądują ostrożnie, pamiętając o lejach od bomb.

Lecz mimo to „Aniołek” kraksuje łamiąc podwozie na jakiejś dziurze. Lotnisko jest zryte niby wybieg koło chlewa. Budynki portowe znikły, jakby je zdmuchnął wiatr; na ich miejscu została tylko kupa gruzu.

— Croll, wysiadamy! — zawołał Herbert dziwiąc się przez chwilę sile swego głosu.

Ale Croll nie odpowiedział. Leżał na fotelu twarzą ku ziemi. Obsługa ziemna dźwignęła go, zaświeciła mu w oczy latarkami. Lecz już nie znalazła życia w podoficerze: krwawa dziura w czole, dziura w ustach, w gardle, w piersi co najmniej ze sześć...

— Zabrać ciało do schronu — powiedział Kerschensteiner, który zjawił się na lotnisku z ręką na temblaku — bo coś mi się widzi, że niedługo będziemy czekali na nowych Tommies.

Miał rację. Zaledwie doszli do drzwi schronu, rozpoczęła swój koncert syrena. Zaraz po niej rozpętało się piekło ognia artyleryjskiego. Nie przeszkodziło ono jednak przeciwnikowi prowadzić dalej dzieła zniszczenia. Ładunki bomb zwały się na lotnisko, woda w basenie portowym trysnęła fontannami. Reszta barek poszła w strzępy. Potem jeden z pocisków uderzył w skład benzyny. Eksplozja zachwiała wszystkim, co znajdowało się na powierzchni ziemi. Słup ognia oświecający lotnisko i port ułatwił bombardowanie hangarów, które zresztą były puste, gdyż samoloty wyciągnięto na skraj lotniska i zamaskowano.

Kerschensteiner, Kostrzewa i Köstring umieścili się przy drzwiach schronu, gotowi wyskoczyć zaraz po alarmie.

— Słuchaj, Wiktor — głos Hugona jest jak zawsze opanowany i równy — co się dzieje z resztą eskadry?

— Żyją, a raczej żyli przed godziną. Nie miałem tylko wiadomości od Hubka... Lądowali na innych lotniskach...

— Gdzie Wolf?

— Poszedł zobaczyć zniszczenia w porcie i nie wraca...

Fiuuuu... boom! Fala powietrza odrzuciła ich w głąb schronu. Z worków posypała się ziemia i kurz. Światła zgasły. W ciemności rozległy się jęki i wołania zagłuszane przez nową eksplozję. Mimo łoskotu dział usłyszeli, że ktoś krzyczy w ciemnościach. Znowu wybuch — po czym ciężko spada na ziemię jeden z worków z piaskiem, stanowiących sufit schronu. Czy zostali zagrzebani? Piasek wciąż się sypie na głowy, jakieś deski sterczą ku nim z ciemności. Myśl tłucze się pod czaszką niby ptak w za ciasnej dla niego klatce...

Port, domy, skały, hangary — wszystko płonie. Migające światło wdziera się do schronu i upewnia ich, że jednak nie zostali zagrzebani. Muszą więc cierpliwie czekać, aż minie ten drugi atak. A trwa długo: całe trzy minuty...

Gdzieś bardzo blisko nastąpił wybuch. Nagle do schronu wpada kilku żołnierzy. Rozpychając się brutalnie brną między rumowiskiem częściowo rozwalonego sklepienia. Dopiero ostry głos Kostrzewy przywołuje ich do opamiętania.

— Co tam się stało?

— Bomba wpadła w rów ochronny.

— No to co? Przecież to wojna.

Takim samym tonem mówiła — przypomina sobie Herbert — ta dziewczyna podczas ich ostatniej rozmowy. Gdy ją spytał, czy ludność Warszawy nie miała pretensji do polskiego dowództwa, że narażiło ją na bombardowanie, odpowiedziała, wzruszając ramionami:

„Bombardowanie? Trudno, przecież to wojna. Wojna o życie narodu...”

Wreszcie umilkły armaty i syrena obwieściła gwizdem spokój. W świetle pożaru widać szkody: na portowej redzie leżą szczątki baren i okręcików. Osada portowa i wszystkie budynki na wybrzeżu płoną. Na drodze słychać krzyki — to wojsko zatrzymuje tłum uciekinierów z rozwalonych bombardowaniem osiedli i każe wracać z powrotem. Gdy słowa nie pomagają — padają strzały. Wyjąca ze strachu masa ludzka rozprasza się w ciemnościach.

Trzej oficerowie wyszli na lotnisko pełne lejów. Kupy żółtego piasku znaczą miejsca, z których została wyrwana ziemia. Jedno z takich kretowisk pokrywa częściowo wąski rów ochronny. Na jego brzegach szczątki ciał ludzkich, poszarpanych, krwawych, czarnych... Jakieś części samolotowe chrzęszczą pod nogami.

Kostrzewa gwizdkiem zwołuje obsługę ziemną. Jego samolot jest nienaruszony. Stanowczym głosem wydaje rozkazy.

— Przygotować aparat do lotu... Bomby ciężkie... Wyrównać ten wykop, bym mógł startować..

— Lecisz? — spytał Kerschensteiner.

— Lecę. Przecież rozkaz ataku nie został odwołany. Poza tym chcę się zemścić...

— Lec. A z powrotem nie ląduj tutaj, ale w dywizjonie. Tam podobno są niniejsze szkody, więc większa szansa wylądowania bez kraksy.

Maszyna warczy, ślizga się wąskim pasem między lejami, wreszcie odlatuje w mrok. Mrużenie motoru cichnie w dali; wokół huczy jeszcze ogień i z dala dochodzi kanonada dział. Kerschensteiner i Köstring idą w stronę schronu. Po drodze spotykają Schneditza, którego ubranie pokryte jest gliną.

— Musiałem leżeć w jakimś leju — powiada porucznik. — Walili tak, że nie można było nawet marzyć o przebiegnięciu do schronu...

Sanitariusze znoszą rannych. W ciszy nocnej słychać znowu działka przeciwlotnicze. Czarne niebo nasiąka czerwienią. Na morzu skrzy się krwawy blask.

— Psie życie — powiada Kerschensteiner. — Napijmy się.

W schronie jest kilka butelek, z których jedną zaczynają opróżniać. Nagle telefon dzwoni:

— Halo?

— Tu Hubek. To ty, Wiktorze? Żyję i jestem cały. Podobno niepokoiłeś się o moją osobę.

Uporczywa senność ogarnia głowę i kamieniem ciśnie powieki. Herbert zaczyna się kiwać to w prawo, to w lewo. Widzi kogoś, z kimś rozmawia. Aha — to z tą dziewczyną... Jeszcze w zeszłym tygodniu rozmawiali ze sobą... Kilka dni... Jak prędko zeszły... Mało już sobie przypomina... Ale owszem... I ten ksiądz... Mówił...

— Herbercie...

Otwiera oczy. Jest już szaro. Pierwsze nikłe blaski słońca ślizgają się po równinie lotniska i padają na ścianę schronu. Nad morzem wisi mgła.

Wstrząsa się czując chłód poranku. Krople rosy błyszczą na krawędzi leżącego na ziemi brezentu. Nad Herbertem pochyla się Schneditz.

— Dzwonił Hugo. Prosił, abyśmy przyjechali do Calais, bo tam zbiera się nasza eskadra.

Köstring dźwiga się ciężko. Staje w progu schronu. Patrzy mrużąc niedowierzająco oczami na podziurawione lotnisko, na zdezastowany port, na walające się opodal resztki samolotu Kerschensteinera...

XI

W ten sposób miały odtąd wyglądać ich dni pobytu na francuskim wybrzeżu. Dowództwo sądziło, że uda się zwyciężyć Anglię, sterrowany jej ludność niezliczonymi atakami lotniczymi. Tymczasem spotkała je niespodzianka: zawziętość angielska rosła niemal z każdym dniem ofensywy powietrznej, zaś RAF umiał na naloty odpowiadać nalotami, kierowanymi przeciwko bazom wypadowym we Francji, Belgii, Holandii, Norwegii. Zaciekły pojedynek lotniczy przeciągał się.

Eskadra „Much” poniosła w ciągu pierwszego miesiąca pobytu na wybrzeżu niemałe straty. Zginął Löns strącony nad Dovrem. Kerschensteiner został ranny — zresztą dość lekko. Lahm nie wrócił z wyprawy na wyspę i dopiero w parę dni po jego zaginięciu dowiedziano się, że aparat Karolka uległ katastrofie w pobliżu Dunkierki. Pilota odwieziono do szpitala w stanie — jakoby — beznadziejnym.

Lecz mimo tych strat pozostałych członków eskadry nie opuszczał ani na chwilę entuzjazm i zapał. Może to było dzieło Hugona, który widząc, jak realizują się wypieszczone przez niego plany, i sam żył jak w ekstazie, i drugich pobudzał. Zastępując przez dwa tygodnie Kerschensteinera rzucał eskadrę na najryzykowniejsze wyprawy, powracając z nich stale ze sławą i — rzecz dziwna — zupełnie bez strat. „Hugo ma szczęśliwą rękę” — powiadali koledzy, co im nie przeszkadzało witać radośnie powracającego ze szpitala Wiktora.

Jeden tylko Herbert był zupełnie obcy pełnemu gorączki życiu eskadry. Spełniał dobrze swoje obowiązki: latał, rzucał bomby, wymykał się Hurricane’om i Spitfire’om, utrzymywał maszynę w idealnym porządku. Mimo to Kostrzewa uważał za wskazane nie spuszczać go z oczu.

Młodego porucznika nurtowały zupełnie nowe myśli. Powstały nie tylko przez zerwanie z Gerdą, ale również przez bliższe poznanie Oleńki. Wiedział już, że tak się nazywa, gdyż jeszcze przed wyjazdem eskadry z Warszawy zaszły wypadki, które popchnęły tę przygodną znajomość na nowe zupełnie tory.

Po rozmowie w lesie koło Komorowa nie miał już nadziei na spotkanie dziewczyny. Początkowo potraktował takie rozwiązanie nawet z ulgą: był przekonany, że uchroni go ono przed dalszym rozwojem uczucia, które sprawiało mu wiele kłopotów. Potem jednak przekonał się, że na tego rodzaju rozwiązanie było za późno.

Dziewczyny nie mógł wybić sobie z głowy. Wciąż musiał o niej myśleć, a obecnym najmilszym jego zajęciem było układanie z nią rozmowy. Chwilami wyobrażał sobie, że na swój stosunek do Oleńki potrafi patrzeć okiem panującego nad sytuacją obserwatora. Nie był to jednak pełny obiektywizm. Bo choć Herbert dostrzegał w słowach i w wyglądzie dziewczyny pewne rzeczy, które go raziły i które krytykował, to jednak była to krytyka tylko rozumowa i serce nie miało zamiaru jej podzielać. Dziewczyna była Polką, a przecież jego ta polskość nie raziła. Była fanatyczką katolicyzmu, on zaś na jej fanatyzm patrzył okiem niemal życzliwym...

Rzec by można porwała go rzeka, ale nie umiałby teraz określić, w którym momencie jeszcze panował nad jej biegiem, a w którym porwała go w swoje skręty. Było jednak prawdą, że nie czuł się już na siłach przeciwstawić tej burzy.

Przy tym wszystkim czuł nieprzewyciężoną potrzebę mówienia o dziewczynie. Nie mógł opowiadać o niej wprost, bo choć prawdziwą ulgę sprawiłoby mu wypowiedzenie się ze wszystkiego przed Hugonem, zdawał sobie jednocześnie sprawę, z jakim sprzeciwem spotkałby się ze strony Kostrzewy. Nie bez lęku myślał zawsze o tej dziwnej i nigdy dla niego nie wyjaśnionej roli, jaką odegrał Hugo wobec Gerdy. Jeśli nie zwierzył się konkretnie przed Hugonem, to jednocześnie i jemu, i innym kolegom wspominał o tym tysiącem aluzji i napomknięć. Nie mógł nie wspominać o czarnych oczach, które są najpiękniejszymi oczami kobiecymi, o wdzięku „niektórych” Polek, o finezji ich ruchów, o tym, że wprawdzie Polacy są narodem niekulturalnym i niecywilizowanym, który nic nigdy sam nie stworzył, ale za to Polki są zupełnie inne. Zresztą wyrzywały mu się także słowa krytyki: konieczność bowiem mówienia ciągle o Oleńce, a jednocześnie naiwna chęć zamaskowania swych śladów skłaniały go do stosowania niewinnego podstępu: wolał nawet źle mówić o tym, co kochał, niż milczeć.

W dni szare i pochmurne powiadał sobie, że dziewczyna nigdy już na jego spotkanie nie wyjdzie. Natomiast w każdy dzień pogodny spieszył na skwer przy ulicy Filtrowej, zarzekając się w duchu, że robi to po raz ostatni. Serce mu biło, gdy sądził, że rozpoznaje w tej lub tamtej postaci kobiecej sylwetkę dziewczyny. Nie mógł czytać, nie mógł się niczym zająć, ale śledził wystawiony na działanie słoń-

ca bezdrzewny prawie płat zieloności w okolu murów. W zakątku, w którym siedział, ptaki śpiewały może śmieiej niż gdzie indziej, korzystając z zasłony liści. Za płotem nawoływali się żołnierze, szuręgały łopaty.

Choć pilnie wpatrywał się w krążące po skwerze kobiety, nie uważał jej, gdy naprawdę nadeszła. Zresztą czyż mógł przypuścić, że sama przyjdzie do jego ławki? Wstał stropiony zbyt wielkim szczęściem i niepewnym ruchem podniósł dłoń do czapki.

— Chciałam z panem porozmawiać — powiedziała szybko, rozglądając się wokół siebie. — Czy zechce pan przejść się ze mną?

— Ach, chętnie... — trochę się płątał — naturalnie... Gdzie pani mnie zaprowadzi?

Zawiodła go na małą, zupełnie pustą uliczkę, poprzeczną do Filtrowej. Było tu zupełnie cicho; Filtrową pędziły ciężkie samochody wojskowe, lecz ich łoskot ginął bez echa w wąskiej ujętej w ramkę ogródków ulicze. Jakiś dzieciak w łachmanach przemknął w pobliżu. Spoza otwartego okna doleciał krótki, żalony płacz niemowlęcia, zagłuszony zaraz przez piosenkę matki. Dziewczyna szła obok oficera, zachowując jednak odstęp tak duży, na jaki pozwalała tylko szerokość wąskiego chodnika.

— Po ostatniej rozmowie z panem — podjęła od razu — doszłam do przekonania, że pan musi być człowiekiem uczciwym. Niestety, to, co się u nas dzieje, pogrzebało raz na zawsze jakąkolwiek szansę porozumienia się między nami — nawet z ludźmi uczciwymi spośród was. Dlatego nie pokazałabym się panu i musiałby pan zapomnieć o tamtych naszych spotkaniach, choć pan tak przykładowie przyjeżdża na skwer...

— Pani wie, że tu przychodziłem? — przerwał jej.

Na poważnej i jakby owianej smutkiem twarzy dziewczyny pojawił się przelotny uśmiech. Skinęła głową. Jednak zaraz zaczęła mówić poważnym tonem:

— Dziś zwracam się do pana z prośbą. Zależy mi na jej spełnieniu, lecz muszę pana zarazem zapewnić, że nie odwołuję nic z tego, co mówiłam przedtem. Nic... Czy mimo to zechce mnie pan wysłuchać?

— Tak, proszę pani — powiedział po prostu.

— Dziękuję. Więc... Jest tu w Warszawie pewien ksiądz, bardzo czcigodny. Czasami myślę, że to jakiś święty... Człowiek wiekowy, sterany trudami... Otóż tego księdza wczoraj aresztowano. Nie wiem doprawdy, dlaczego. Chyba dlatego, że jest właśnie księdzem i Polakiem. Proszę pana, czy nie udałoby się wydobyć go z więzienia? I czy nie mógłby pan tego dokonać? Niech mi pan, proszę, powie. Jeżeli pan nie może, to... to... ja uwierzę, że tak jest naprawdę...

Ich oczy spotkały się na chwilę. Coś jakby gorące tchnienie wio-

nęło na policzki Herberta, a jednocześnie poczuł, jak jego serce mocniej i wyraźniej daje znać o sobie.

— Proszę pani — rzekł — nie mogę nic obiecać. Pani rozumie: jestem żołnierzem, a tamto to sprawy policji... Poza tym buntujecie się i nie chcecie pogodzić się ze swym położeniem. Dla pani jednak spróbuję porozumieć się w tej sprawie. Proszę mi powiedzieć, jak się nazywa ten ksiądz?

— Ksiądz Tomasz Gerlecki...

Zapisał nazwisko w notesie.

— Pani jest bardzo przywiązana do tego księdza? — spytał po chwili milczenia.

— Tak, bardzo.

— No, to będę próbował. Ale, proszę pani, ja nic nie robię za darmo...

Spuściła głowę i zagryzła wargi.

— Trudno — powiedziała. — Kto musi płacić, ten płaci. Jeżeli, naturalnie, stać go na zapłatę. Proszę powiedzieć.

— Powiem pani po załatwieniu sprawy.

Potrząsnęła energicznie głowę.

— Nie. Nie. Musi pan powiedzieć od razu.

— A jeżeli nie powiem? — przekomarzał się.

— Wtedy poproszę, aby pan zapomniał o tej sprawie.

— I pani zostawi tego czcigodnego księdza swemu losowi?

— Będę do tego zmuszona.

Powiedziała to krótko i ostro. Herbert poczuł znowu niemiłe ukłucie w piersiach, podobnie jak wówczas w lesie, gdy zrozumiał, że wstydzi się pokazać razem z nim na stacji.

— Wobec tego dobrze. Cofam mój warunek.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Doszli właśnie do rogu Filtrowej i bez słowa zawrócili w przeciwnym kierunku. Znowu podjęła kobieta:

— Wyczułam, że pana uraziłam. Pan żartował mówiąc o tej zapłacie — prawda?

Wzruszył ramionami.

— Cóż pani przyjdzie z mego oświadczenia, że to był tylko żart? Przecież pani mi nie ufa.

Widział, jak bladość załała jej policzki.

222

— Gdybym panu nie ufała, nie zwróciłabym się do pana... — powiedziała to i zaraz bladość ustąpiła miejsca rumieńcowi. Szli jakiś czas w milczeniu. Na rogu ulicy Dantyszka zawrócili.

— Czy pani kiedy kochała? — zapytał nagle Herbert.

Milczała. Dopiero po dłuższym czasie, już prawie na drugim końcu ulicy, rzekła:

— Po co pan o to pyta? Bez miłości żyć nie można.

— A jednak... z pani zawziętością...

Przerwała mu.

— Nie jestem taka znowu zawzięta... Lecz sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się, żąda od nas walki. A pan ma niezrozumiałą dla mnie miękkość..Nie mogę się z tym pogodzić... Jestem jak człowiek, który daje cios i trafia w próżnię.

— Pani chciałaby mnie uderzyć?

— Nie. Chciałabym tylko zasłonić się przed uderzeniem z pańskiej strony...

Znowu zawrócili. Ulicą szła jakaś kobieta w chustce i z koszykiem w ręku. Spojrzała na dziewczynę i mruknęła coś dość głośno. Jej spojrzenie nie uszło uwagi Herberta.

— Widziała pani wzrok tej baby? — zapytał. — Po prostu przeklinała panią za rozmowę ze mną.

— Tak. Może... Czy to pana dziwi? Obawiam się, że i ja patrzyłabym takim samym wzrokiem na inną kobietę spacerującą w towarzystwie Niemca...

— Pani mi zamyka usta. Ja jednak jestem wyrozumiały.

— Łatwo być wyrozumiałym, gdy się jest po stronie krzywdzieli, a nie skrzywdzonych.

— Więc uważa mnie pani za krzywdziciela?

— Tego nie powiedziałam. Lecz należy pan do tych, którzy krzywdzą.

— Będzie to brzmiało śmiesznie po tych słowach, a jednak muszę pani powiedzieć, że ja myślę o pani... przeciwnie... Myślę, jak o kimś, kto mnie obchodzi, komu chciałbym uczynić coś dobrego...

Urwał ujrawszy zachmurzoną twarz dziewczyny. Białe zęby zacięły wargę, oczy błyskały spod przymkniętych powiek.

— Czy pan wie — powiedziała głucho — że człowiek, którego kochałam, padł w walce z wami?

Pokiwał głową.

— Współczuję pani. Jednak my, żołnierze, nie czujemy urazy do naszych przeciwników. Zwłaszcza gdy są to odważni przeciwnicy. Mogę więc tylko żałować, że jeden z takich poległ, broniąc w dodatku straconej sprawy.

— Poległ? Nie, panie oficerze. Zabiliście go bez walki, gdy był waszym jeńcem. Natomiast sprawa wciąż jeszcze żyje. Póki nie pozabawicie życia nas wszystkich.

Mówiła jeszcze przez chwilę podnieconym głosem. Potem zamilkła. W ciszy pustej uliczki słychać było ich miarowe kroki.

— Myli się pani — podjął. — Nie zabijamy jeńców. To tylko kłamliwa propaganda...

Lecz stracił ochotę do przekonywania jej. Czarne, gniewnie zmrużone oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń między murami domów. I Herbert zrozumiał, że przyszła chwila rozstania. Pokonując słabość podniósł rękę do daszka czapki. Powiedział na pożegnanie:

— Pojutrze o tej porze powiem pani.

Dopiero z perspektywy kilku tygodni zaczął sobie zdawać sprawę z tego, jak podejrzaną rzeczą mogło się wydawać to jego zainteresowanie sprawą starego księdza. Ale ci z SS wysłuchali go całkowicie obojętnie. Nie wchodziły tu w grę żadne wątpliwości poza kalkulacją czysto handlową. Tyle a tyle złotych, względnie tyle a tyle dolarów... Wyczuł z tonu tamtych, że proponują mu dobry interes. „Taniej nie można — z cynizmem sprecyzował swoje stanowisko ten, od którego najwięcej zależało. — Polacy musieliby zapłacić dwa albo trzy razy drożej”...

— Jutro — były to pierwsze słowa, którymi powitał dziewczynę — pani ksiądz zostanie wypuszczony. Ale... Musi ktoś zapłacić...

Młodemu oficerowi załamał się nagle głos. Był tak zadowolony mogąc przynieść dziewczynie pomyślną wiadomość, że nie zastanowił się nawet, jak będzie przyjęty warunek okupu. Teraz poczuł się w głupiej sytuacji. Bo jeżeli ona pomyśli o nim tak samo jak tamten drab? Uświadomiwszy to sobie, zamilkł. Bez słowa szedł obok dziewczyny.

Postawiła rzeczowe pytanie:

— A ile trzeba?

Niepewnym głosem wymienił kwotę. Polka skinęła głową. Powiedziała:

— To się zrobi.

Wtedy z całą otwartością wyznał jej swoje skrupuły.

— Ci ludzie, niestety, nie umieją się powstrzymać od robienia na tym interesów. Przyznaję — jestem oburzony...

— Niech się pan nie oburza. To jest rzecz znana.

— Nie. Nie. A poza tym pani gotowa pomyśleć, że w tym mieście się także moja zapłata. Ta, o której mówiłem...

Nie mogła nie wybuchnąć śmiechem na widok jego strapionej miny.

— Ależ nie. Na pewno tak nie pomyślę. Nie. Proszę mi wierzyć. Choć uważa mnie pan za wcielenie zawziętości, umiem ocenić pańską bezinteresowność.

Spojrzał na nią z wyrazem wdzięczności w oczach.

— Dziękuję pani.

Znowu się uśmiechnęła.

— Ależ z pana dzieciak.

Zbuntował się.

— Dlaczego pani tak mówi?

— Och, proszę się nie gniewać. To jest raczej pochwała. Tylko dzieciom wybaczymy krzywdy. — Ostatnie zdanie powiedziała ciszej i poważniej.

— Nie jest przecież pani ode mnie starsza — bronił się.

— Przypuszczalnie jestem. Ale nie liczymy lat — to niezbyt miłe zajęcie. Niech mi pan lepiej powie, kiedy mam panu dać pieniądze.

— Jutro rano najpóźniej.

— Zgoda. Jutro o dziesiątej przyniosę je tutaj.

Sam nie wiedział, dlaczego był po tej rozmowie w tak doskonałym humorze. Wróciwszy do koszar pogwizdywał wesoło. Rozsaadzała go wewnętrzna energia. Jakaś radość unosiła go i porywała ze sobą niby wichur, a cały świat wydał mu się jakiś inny, jaśniejszy, pełniejszy i bardziej niż dotychczas radosny.

Po powrocie z Komorowa doszedł do przekonania, że kocha tę dziewczynę. Otworzyła się przed nim jakby jakaś ścieżka, na której mógł się wprawdzie jeszcze zatrzymać, ale ona kuszyła go swym tajemniczym i nieznanym czarem. Tego natomiast dnia doznał jakby zawrotu głowy. Już nie analizował swych uczuć, już nie stwierdzał, że byłoby niepodobieństwem rozstanie się z tą dziewczyną. Czuł, że kocha ją mocno, do szaleństwa, kocha tak, że tylko z nią wyobraża sobie dalsze życie, a bez niej nie widzi świata. Płonął energią i radością, bo słyszał jeszcze w uszach jej śmiech i wiedział, że jutro rano ją zobaczy. Gdyby tej nadziei nie posiadał, słoneczne sierpniowe popołudnie wydawałoby mu się niewątpliwie pełne smutku i melancholii. Świat dla Herberta miał zawsze barwę jego uczuć.

XII

15 lipca 1940 r.

Dzisiaj mija rok od czasu, gdy ostatni raz widziałam Bohdana. Przyjechał właśnie do Warszawy na dwudniowy urlop. Miał twarz spaloną na brąz; ubrany był w zwykły zielony mundur bez tradycyjnych „proporczyków” na kołnierzu. U pasa wisiał rewolwer złączony z długim plecionym rzemykiem, który owijał mu szyję.

Jak dziś pamiętam: dzień był gorący — ciężki upał drzał w powietrzu. Wybraliśmy się po południu, zabierając ze sobą Władka, do Heniów w Józefowie. Na dolnym peronie dworca czekał tłum ludzi. Między ludźmi kręcili się „lodziarze” w piaskowych lub błękitnych ubraniach, ze skrzynkami na piersiach. Zachwalali krzy-

kiem lody „Miś” czy jakieś inne. „Może zjemy lizaka?” proponował Bohdan. Był tak wesoły, że nieustannie musieliśmy się śmiać z jego dowcipów. Nie pamiętam, abym od tego czasu śmiała się równie beztrudno...

Zawsze był taki. Jeszcze wówczas na obozach narciarskich w Kuźnicach lub letnich tam, na Wileńszczyźnie, kto budził wszystkich jakimś wesołym krzykiem? Bohdan. Kto był pierwszy do śpiewu, do zrobienia innym „kawału”? Bohdan. A jednocześnie, kto z takim przekonaniem zabierał głos w dyskusjach? Znowu Bohdan. Kochaliśmy się w nim wszystkie, on zaś fruwał wśród naszych uczuć niby motyl, który szuka godnego siebie kwiatu.

Dlaczego mnie wybrał? On taki „cudny”, taki inny niż wszyscy chłopcy.

16 lipca

Praca znowu rusza naprzód, lecz teraz staramy się o większą niż poprzednio konspirację. Witek chodził i prosił, aby poniszczyć lub powynosić z domu wszystko, co dotyczy organizacji. Nie miałam jednak siły zniszczyć kilku roczników pisma, gdzie są artykuły Bohdana. Zaniósłam je do cioci Geni. U niej nikt na pewno szukać nie będzie.

17 lipca

Dni takie gorące. Lekcje się skończyły; moje małe woła wygrzewać się na plażach. Nie mogę myśleć o żadnej rozrywce. Ale ja — to ja. Nie powinnam sądzić drugich, gdy inaczej postępują.

18 lipca

W komunikatach milczenie. Z wolna godzimy się z myślą o upadku Francji. Teraz widzę, jak Włodek dobrze umiał wszystko przeczuć. Jeszcze w czasach Monachium powiedział, że Francja dojrzała do klęski. I Europie może zabraknąć katolickiego narodu, jeżeli my nie potrafimy stać się inni, niż jesteśmy.

Od Marysi był „gryps”. Píše, że trzymają się dobrze, ale proszą o codzienną modlitwę o ósmej trzydzieści rano.

19 lipca

Odwiedziłam dzisiaj Zosię i byłam zbudowana jej heroizmem. Zapracowana po uszy, trójka malców wysysa z niej wszystkie siły. Ale ona nie traci ducha. „Dobrze będzie — powiedziała do mnie, śmiejąc się — moje basałyki tymczasem podrosną, to jak Tadzik wróci, nie będą mu swymi piskami przeszkadzały w pracy.” Tak, ona ma nadzieję, że Tadzik wróci...

20 lipca

Musimy wytrwać. Musimy wytrwać. Chwilami jest ciężko i depresja ogarnia człowieka. Wtedy powiadam do siebie ze złością: niecierpliwość płynie z nieróbstwa. Tych kilka lekcji to przecież tyle, co nic. Gdybym tak miała ze dwóch bąków na utrzymaniu, musiały ich wykarmić i wychować, nie miałabym czasu na „depresję”. A tu byle artykułek w piśmie napisany właśnie z tą myślą, by złamać odporność — i już czuję się wyprowadzona z równowagi. Chodzę potem po ludziach i wysłuchuję najpotworniejszych zmyślań, które są zbyt fantastyczne, aby mogły uspokoić.

21 lipca

Czas leci szybko, toteż gdy się od czasu do czasu obejrzymy, aż trudno uwierzyć, że już taki szmat drogi przewędrowaliśmy. Tyle się zmian dokonało, tyle wydarzeń przeszło koło nas, a my już o nich ledwo pamiętamy. Dziś mija miesiąc od chwili nadejścia depechy o śmierci Władka. Mama płakała cicho, a tak boleśnie, jak tylko mama potrafi płakać. Ale nie powiedziała nic, nie krzyknęła. Podziwiam jej hart. Bo we mnie żal przeradza się zaraz we wściekłość. Bohdan, teraz Władek... Właściwie cóż mi zostało jeszcze w życiu? Ze śmiercią Bohdana skończyła się moja wielka i na pewno jedyna miłość. Mój Boże. Czyż można wyobrazić sobie większą harmonię niż ta, jaka między nami panowała? Nasze małżeństwo byłoby wzorem wszystkich małżeństw. Myślę o tym z goryczą, widząc, jak tyle małżeństw, nawet między naszymi bliskimi, ulega zachwianiu. Choćby Jerzy i Wanda... Małżeństwo ich jest tak niepewne. A jednak Jerzy wrócił... Boże, przecież nie zazdroszczę mu tego życia, które wyniósł spod kul. Zastanawiam się jednak: dlaczego? Dlaczego właśnie on wrócił? A Danek...

Mam dwadzieścia pięć lat, więc niby jestem jeszcze młoda... Tylko że wcale tej młodości nie czuję. Widocznie niektóre dni liczą się za całe lata. Choćby tamten wrzesień... Służba w szpitalu na Senatorskiej: sala, na której marli ludzie, operacje za operacjami, bezsenne noce pełne zjaw, łoskot rozrywających się pocisków i głuchy huk bomb lotniczych. Wyprawy do miasta po rannych, wyprawy do rodziców na Filtrową, ciągle zdobywanie się na humor. »Kiedy siostra sypia?» — pytał mnie nasz naczelny doktor, student czwartego roku, który jednak w potrzebie nie wahał się robić najtrudniejszych operacji. »Wtedy, kiedy pan doktor». »No, jak się w końcu kropniemy do łóżek, to żadna bomba nas nie zbudzi». Drogi doktor miał oczy czerwone jak królik i tak śmiesznie mrugał powiekami, jakby obawiał się słonecznego blasku. Ale najwięcej wzruszył mnie wtedy, gdy ten żołnierz powiedział mi w dorożce... Gdzież to było? Prawda — z Mazowieckiej dorożka zjeżdżała w Kredytową. Siedział w niej jakiś plutonowy z krótko ostrzyżonymi włosami i z twarzą o zapadłych policzkach. Pod pachą trzymał wciąż wór od maski,

a w rękę hełm. Wskoczyłam na stopień... „Jedziemy w tym samym kierunku”. Posunął się i z wielkiej troskliwości położył mi dłoń na ramieniu. „Siostra do szpitala?” „Tak, wiozę zastrzyki i muszę uważać, aby się to wszystko nie potłukło”. „Może papierosa siostrze?” „Czemu nie? A pan skąd?” Machnął ręką na znak, że musiałyby dużo opowiadać. Jakos przedostał się do miasta. Walczył pod Brzezinami i pod Bełchatowem. Coś mnie tknęło. „Który pułk?” — spytałam. „Drugi strzelców konnych — odparł — wie siostra, z Hrubieszowa. Morowy pułk...” „A więc to u was...” Obojętnym tonem, na jaki silimy się zawsze, gdy mówimy o sprawach najbardziej obchodzących nasze serce, wspomniałam o Bohdanie. „Wachmistrz-podchorąży. To jego zabili Niemcy pod Brzezinami”... Zdawało mi się, że wszystko, co mnie otacza, przybiera barwę popiołu. Zrobiłam jakiś rozpaczliwy ruch ręką i pudełko z zastrzykami poleciało z kolan. Ale złapał je plutonowy. „Niech siostra uważa”. „To na zakręcie” — starałam się wytłumaczyć. Człowiek zawsze chce ukryć swój ból aż do tego momentu, w którym dalsze udawanie jest niemożliwe. Wtedy gotów jest o nim krzyżeć każdemu spotkanemu na ulicy. Jechaliśmy przez Ogród Saski. „Siostra dokąd?” „Na Senatorską. Ale niech mi pan jeszcze powie...” Tu zaczął opowiadać o jakimś nocnym wypadzie oficerów i podoficerów na czołgi niemieckie, o walce na granaty wśród płonących maszyn, o zuchwałości trzydziestu, którzy atakowali cały tłum wrogów... Kiedy wrócili, okazało się, że brak jednego Bohdana. Jego jednego. Człowiekowi wydaje się, wołałby usłyszeć, iż zginął wśród tysięcy. Ale on zginął sam jeden. Pewno — zginął razem z tysiącami w obronie wolności. Ale... Tak to ciężko powiedzieć, że tylko on nie został zachowany do dalszej walki... Że gdy po męczącej nocy znowu wróci dzień, inni będą, a jego już nie będzie...

„Może jednak nie zginął?” — pytałam plutonowego. Ampułki dzwoniły w pudełku, tak bardzo drgały mi ręce. Potrząsnął głową. Następnego dnia odbili wieś. I chłopci im mówili, że Niemcy nocą rozstrzelali jakiegoś złapanego oficera. Nie było czasu obejrzeć ciała. Ale któż mógł być inny? Zresztą wiadomo, że zdarzały się takie wypadki. Więc chyba na pewno on. „A chłopak był dzielny...” — kończył plutonowy.

Podwiózł mnie do szpitala. Naturalnie, gdy tylko weszłam do gabinetu naszego doktora, zrobiło mi się tak słabo, że mało nie upadłam. Musiałam być blada jak trup, bo doktor wziął mnie za ramię i mocno potrząsnął. Nogi uginały się pode mną. Chciałam wybuchnąć płaczem — i nie mogłam. Dusiałam się tylko swoim bólem. Doktor wyjął mi z rąk ampułki. Prawie siłą rozginał zaciśnięte palce. Powiedział do koleżanki: „Siostrzo Krysiu — siup! Niech pani gazuje na salę”. „Ja pójdę sama...” — wyjąkałam. „Chwilkę — zatrzymaj mnie — niech pani siądzie”. Usiadłam posłusznie na jakiejś kanapce. „Proszę się napić”. Podał mi pół szklanki jakiegoś piekącego alkoholu. „Nie lubię wódki”. „Niech siostra nie rezonuje, tylko pije”.

„Ale...” „Żadne ale”. Wypiłam. „Teraz siostra mi się przyzna, co siostrę spotkało”. Broniłam się. Nie chciałam powiedzieć, kazał mi jeszcze raz napić się swojej wódki. W końcu sucho, bez żadnej łyzy w oku powiedziałam wszystko. Głos mi chwilami nie dopisywał. Nie odrzekł nic. Spojrzał na zegarek. „Zaraz mam operację — powiedział, jakby niczego nie słyszał — siostra Krysią wyszła, więc pani będzie mi asystować.” Spokojnie mył ręce pod kranem. „Siostra wie, ta młoda Zosia, jak się tylko obudziła po operacji, to zaraz pytała o brata. Jakby sama nie miała rozkrojonej nogi od góry do dołu.” „Dzielna dziewczyna” — odparłam. Poszliśmy na salę. Akurat alarm. A myśmy się grzebali wśród ran o sinych brzegach, w krwawych dziurach, w które lało się potoki jodiny, kładliśmy ręce na drżące ciała, wbijaliśmy w nie igły strzykawek. Nie, nie było czasu na myślenie o czymkolwiek. „Siostrze — tampon! siostrze — nożyczki! Siostrze, prędzej”. Nasz doktor był rzeźnikiem, co się zowie. Musiałam się dobrze związać, żeby mu nadażyć. Lecz gdyśmy wreszcie skończyli, uśmiechnął się do mnie, a ja do niego. „Dzielna z siostry pomocnica” — powiedział. A ja w tejże chwili uprzytomniłam sobie znowu wszystko, co spadło na mnie dziś rano. Na nowo poczułam, że zamieram. Ale on krzyknął na mnie: „Słyszała siostra? Siostra jest dzielna pomocnica. Więc siostrze nie wolno stroić min ani udawać umierającego łabędzia. Potem będziemy sobie płakać, mdleć, załamywać ręce. Ale teraz jest wojna. I my jesteśmy żołnierzami. Więc musimy być dzielni, bo to dla...” Stał przede mną w okrwawionym fartuchu, w okularach, które zdawały się ześlizgiwać po zapocynym nosie. Jego rzadkie, jasne włosy skręcały się nad czołem w pierścienie, jakby wyszedł z łaźni. Twarz zastygła w maskę ostatecznego zniechęcenia. „Bo to dla...” Nie wypowiedział tego wielkiego słowa, ale ono zawisło na jego wargach. Mój Boże. Są to słowa, które latami mamy na ustach i wypowiadamy je bez najmniejszego szacunku. Aż wreszcie przychodzi chwila, kiedy zatrzymujemy się spracowani, złani potę, złamani ciosami, które na nas spadły. I wtedy czujemy się sługami nieużytecznymi; wiemy, że skarb nam powierzony przewyższa nasze zasługi. Nie śmiemy wymówić jego imienia...

22 lipca

Nic nowego. Staram się o pracę w SKSS. Przygotowuję się z wolą do egzaminów z wykładów tajnego uniwersytetu.

27 lipca

Dni płyną za dniami, ciężko i beztreściwie. Chwilami czuję wstyd, że spycham je w ten sposób, zwracając się ku przeszłości. Lecz trudno — nie mam siły, aby przełamać się i myśleć o przyszłości. Budzi ona we mnie tylko niechęć. Wydaje mi się chwilami, że lepiej jest pograżyć się w rozpamiętywaniu i powtarzać — wbrew niewątpliwej oczywistości — że przecież żadnego ostatecznego dowodu śmierci

Bohdana nie otrzymałam... I twierdzić aż do ostatecznego zmęczenia, iż człowiek jak Bohdan nie mógł tak po prostu i zwyczajnie zginąć. Mój Danek, któremu tak niedawno mówiłam „panie Danku”...

Gdyby chociaż żył Władek. Lecz Władka także nie ma. Wtedy poszedł jak zwykle do swego pokoju, w którym długo jeszcze coś czytał i pisał przed snem. W nocy obudził nas gwałtowny dzwonek, jeden, potem drugi i mocne stukanie pięścią do drzwi. Już nawet nie wiem, kto im otworzył. Drżałam stojąc boso na zimnej podłodze, w jednej tylko koszuli. Dopiero potem mama narzuciła mi na ramiona szlafrok. Widziałam, jak jeden z nich podszedł do Władka z rewolwerem w rękę. „Pan należy do tajnej organizacji”. Mój brat stał dumnie. „Co pan nazywa tajną organizacją?” Krzyknęli, by milczał. Potem któryś z nich spytał zjadliwie Władka, gdzie ma broń. Odpowiedział mu głośno i wyraźnie: „Nie mam broni”. Wtedy usłyszałam uderzenie i krótki stłumiony okrzyk niby szloch. Biedny Władek. Pewno z myślą o mamie zaciskał zęby, aby nie jęczeć. A jednak słyszeliśmy po każdym uderzeniu bolesny skowyt, dobywający się z głębi piersi. Potem rozległ się ciężki stuk — to ciało runęło na ziemię. Myślałam, że go zabili. Krzyknęłam. Ale zaraz zdusiłam w sobie ten krzyk, bo przecież mama stała obok. Jeżeli Władek starał się milczeć, to i ja powinnam była zagłuszyć całą moją rozpacz,

Gdy go wyprowadzili, szedł z twarzą zielonkawoblada, zgięty w pół. Ręce oparł na brzuchu. Przechodząc spojrział w naszą stronę i uśmiechnął się. Powiedział...

Wszyscyśmy go zrozumieli, chociaż nikt go nie usłyszał. Są słowa, które się czuje sercem. Zresztą znaliśmy Władka. Ja przynajmniej wiedziałam, że zawsze, gdy stawał przed koniecznością rozwiązania jakiegoś zagadnienia, sięgał po swój mały, w czarną skórę oprawny tomik. Gdzie go otworzył, tam mógł czytać. Słowa znalezione stanowiły dla niego punkt wyjścia wszystkich rozważań. Na stole została książka otwarta na zdaniu: „Jeżeli kto zachowa mowę moją, śmierci nie ujrzy na wieki...”

29 lipca

Przeżyłam dziś straszliwe zdarzenie. Dostałam się w łapankę. Jeszcze do tej chwili nie mogę się opanować. Naturalnie bałam się o siebie i byłoby kłamstwem, gdybym się tego strachu wypierała. Ale na szczęście nie było to uczucie najmocniejsze. Ten widok polowania na ludzi napełnił mnie zgrozą i gniewem. Ach, rozumiem dziś mężczyzn, którzy potrafią walczyć z przeciwnikami. Dawniej wątpiłam w głębi ducha, czy Bohdan z całą swoją dobrodusnością i łagodnością będzie umiał walczyć. Teraz jednak pojęłam. Na pewno drogo sprzedał życie mój Danek.

W tym wydarzeniu jest pewien zgrzyt. Może nie powinnam tak myśleć. I choć mogę uważać się za szczęśliwą, że wyszłam cało z dzisiejszej przygody, to jednak nie mogę pogodzić się z faktem, iż

ocalił mnie Niemiec. Nie chcę uznać żadnego szlachetnego odruchu w tych ludziach. Wolę sądzić, że wszyscy są jednakowo źli. Wierzę, że dotknie ich w końcu kara Boża i po prostu lękam się, aby jej nie uniknęli. Podłe, wstrętne uczucie. Wiem... Ale inny sposób myślenia przekracza moje siły. Kiedy uświadomię sobie, że my po tylu dniach męki, po tylu dniach cierpienia i bólu nie mielibyśmy w końcu zatriumfować nad nimi, że mogliby wykipić się od odpowiedzialności jakimś tanim zupełnie sposobem — wszystko buntuje się we mnie. Cóż z tego, że wstydzę się tych uczuć? Wstydzę się, ale tak właśnie myślę. I tak będę myślała. Tak muszę myśleć. Ten Niemiec spodziewał się może, że rzucę mu się na szyję dziękując za ocalenie. Zresztą nie wiem. Choć patrzyłam na niego, nie widziałam go zupełnie. Wystarczy mi ujrzeć człowieka w mundurze żołnierza niemieckiego, aby utracił w moich oczach wszystkie cechy ludzkie.

Chwilami wydaje mi się, że mam żal do niego za to ocalenie.

Danku, mój złoty, mój kochany. Twoja śmierć wykopała między mną a tymi ludźmi przepaść bez dna. Nie wyobrażam sobie, aby mogło ją coś zasypać. Jest wielka jak moje cierpienie, jak moja miłość do ciebie. Danku, czy to możliwe, że cię już nigdy nie zobaczę?

1 sierpnia

Po rozmowie z księdzem Gerleckim czuję się trochę uspokojona i uświadamiam sobie swoją winę. Drogi ksiądz Tomasz. Gdyby nie on, to po śmierci Bohdana i Władka zeszedłabym z drogi prawdy i zatonąłabym z głową w tym morzu nienawiści, jakie się nad naszym życiem rozlało. Ale ksiądz posiada równowagę ducha i potrafi podtrzymywać innych. W jego ustach wersety ewangeliczne — przecież doskonale mi znane — nabierają nowej siły i dają się tłumaczyć na język życia codziennego.

Siedziałam jak zwykle na rogu wygniecionego tapczanu, a ksiądz zasiadł w fotelu obok mnie. Ma po dawnemu ruchy żywe i szybki sposób mówienia, nerwowy, przerywany zadyszką, a uparcie przekonujący. „Czy zastanowiłaś się kiedy, Oleńko — powiedział do mnie — co znaczą słowa: nie zabijaj?” Uśmiechnęłam się gorzko. „Och, doskonale rozumiem, proszę księdza, chyba tak dobrze jak mało kto.” Przymrużył filuternie oko: „Czyżby? Widzisz raczej słomkę — zacytował — w oku brata, a belki pod własną powieką nie spostrzegasz. Zabijaniem nazywam zabijanie dusz, a nie ciał. Cóż z tego, że ten czy tamten człowiek został zabity, jeżeli dusza jego zachowała czystość? Cóż z tego, że ten lub tamten zachował życie, jeżeli kosztowało go to utratę duszy?” Chciałam się odezwać, ale on nie dopuścił mnie do słowa. „Wiem, wiem dobrze, co czujesz. I nie chcę ci mówić rzeczy zbyt prostych, o których wiesz sama doskonale. Ale widzisz, my musimy wczuwać się trochę w mistykę naszej wiary. Jej istotą zaś jest poczucie przynależności do świata, w którym

nie ma ani Żyda, ani Greczyna, ani Niemca, ani Polaka. Cóż uczynił tobie twój brat-Niemiec? Zabił człowieka, którego kochałaś. Sprawił, że Bohdan przeszedł — jeżeli tak można powiedzieć — z piętra żywych na piętro umarłych. Ale w gmachu pozostał. I czego ty się teraz dla zabójcy domagasz? Usunięcia go z życia. Życzyłabyś sobie, aby dusze tamtych stwardniały i aby nie było dla nich powrotu? Zlituj się, Oleńko. Przecież to nie jest już oko za oko, ale życie za oko.” Udało mi się szepnąć: „Nie myślę wyłącznie o Bohdanie...” Znowu zatrzepotał rękami. „Nie ulegaj ich psychozie. To oni rozumują, że sto istnień trzeba wziąć za jedno. My zaś musimy widzieć i rozumieć — mniejsza z tym, czy to czujemy — że nawet za sto istnień nie wolno żądać jednej duszy ludzkiej.”

Zaczęłam szlochać. To, co ksiądz mówił, było takie oczywiste, jasne, prawdziwe. Gdzież — mówiłam sobie — podział się nasz stary idealizm? — Stłumiła go nienawiść. Wyobrażaliśmy sobie, że budujemy Polskę katolicką. A dziś — już dziś — trzeba nam przypomnieć o mistyce naszej wiary.

Jestem pewna, że ani Bohdan, ani Władek tak nie myśleli. Zwłaszcza Władek. Bohdan był bardziej człowiekiem z krwi i kości. Widziałam go, jak wybuchał, jak się gniewał. Władek natomiast panował nad swymi słabościami. Pamiętam go takim z tych przede wszystkim czasów, kiedy interesował się Haliną. Wiedział doskonale, że ta kobieta jest dla niego nieosiągalna. Kiedyś powiedziałam do niego: „Słuchaj, przecież to bezsensowne małżeństwo można unieważnić”. Podniósł na mnie spokojny, opanowany wzrok. Potrząsnął głową. Tak, Władek nie ulegał jak ja odruchom.

2 sierpnia

Mój Niemiec przyłazi codziennie na skwer. Mam wrażenie, że szuka mnie, bo przez cały czas kręci się i rozgląda na wszystkie strony. Obserwuję go z okna, starając się traktować to na wesoło.

Ogromnie smutna jest sprawa małego Julka. Rodziców zabrało gestapo i chłopiec znalazł się od razu bez opieki. Mogłabym z nim chodzić jak dawniej na skwer, ale tam siedzi teraz ten Niemiec i tylko czeka, abym przyszła. Naradzaliśmy się wczoraj w domu, co zrobić z Julkiem. Dzieciak płacze i ciągle pyta, kiedy mamusia i tatuś wrócą. W końcu zdecydowano, że odwiezie się go do jego ciotki na Żoliborz.

3 sierpnia

Staram się konsekwentnie wytworzyć sobie pojęcie o Niemcach. Dziś trafiłam na fragment listu Fryderyka Wielkiego: „Większa część naszego dzieła została już dokonana. Pozwoli to nam połączyć trzy religie: grecką, katolicką i kalwińską przez wspólne pożywanie jednego ciała eucharystycznego, jakim jest Polska, co jeżeli nawet nie

przyniesie pożytku naszym duszom, stanie się niewątpliwie dobrem naszych państw...”

4 sierpnia

Przygotowuję dziś komentarz z Mateusza 21, 12—17. Mimo chęci oderwania się od obecnej sytuacji, skojarzenia ze zdarzeniami dnia codziennego stają przede mną. Zresztą może i nie powinno się ich unikać. Nasze komentarze mają być przecież szukaniem więzi między życiem Ewangelii, i życiem dnia codziennego, Ewangelia zaś jest tak niewyczerpana, że czerpać z niej możemy zawsze i w każdej chwili otrzymamy stosowną odpowiedź. W Ewangelii są wszystkie rozwiązania, wszystkie wskazówki. Bez ksiązek można żyć, bez tej jednej — nie można.

„Czy słyszysz, co ci mówią?” — pytają się Jezusa kapłani i uczni, wskazując na dzieci wołające „Hosanna”. „Słyszę — odpowiada Jezus. — Alboście nie czytali: z ust niemowląt i ssących doskonałą uczyniłeś chwałę?”

Głos niemowląt i ssących — głos dziecka — mówi nam o prawdziwej chwale. Tylko że dzisiejszy świat nie pragnie uznania ze strony dziecka. On dziecko zaledwie widzi. Ale my powinniśmy nasłuchiwać, gdzie się rozlega głos dziecka. I tam biec, i za nim iść. Musimy się stawać prości jak dzieci. A to nie jest łatwe.

5 sierpnia

Wczoraj „mojego” Niemca nie było, ale dziś znowu przyszedł. Siedząc przy biurku widzę, jak idzie przez ogród. Jego wyprostowana sylwetka góruje nad głowami dzieci i matek. Ciekawa jestem, jak wygląda jego twarz. Dotychczas ani razu na nią nie spojrzałam.

Znalazłam w książce Clemensa takie zdanie:

„Niemcy na szczęście nie panują nad porywami swego temperamentu (na przekór sztuce udawania) i są aż nadto szczerzy”. Niemcy ponad wszystko. I to im wystarcza. Gdy się uwzględni powyższe żądania, wówczas pozwolą zażywać dobrodziejstwa pokoju — pod jarzmem...

10 sierpnia

Od wczoraj jestem na wsi, w Lipniku. Chodzę samotnie między stawami szumiącymi od trzciny, spaceruję godzinami wzdłuż grobel obsadzonych wysokimi olchami, patrzę, jak słońce skrzy się na powierzchni wody i roni tysiące złotych kropel. Z podwórza dochodzi muczenie krów, szczekanie psów i sapanie lokomobili wprawiającej w ruch młockarnię. Nie potrzeba tam wcale chodzić, aby drobnym tylko wysiłkiem wyobraźni postawić sobie przed oczy szeroki dziedziec między oborami a wozownią, lokomobilę z długim kominem,

dygocącą niby w paroksyzmie gniewu, czerwoną młocarnię, wirujący wśród drobin słomy pas transmisyjny, zajeżdżające ze snopkami wozy i ten niby leniwy, a w rzeczywistości pełen siły ruch podających snopki dziewczyn... Pamiętam to wszystko z czasów dzieciństwa, a Lipnik tak się niewiele zmienił w ciągu kilku lat... Zbudowano kaplicę wielką jak kościół, zmarli kolejno dwaj starzy kapelani. Sad, po którym błąkałam się niby po lesie, dziś wydaje mi się małym ogródkiem.

Na prośbę tatusia siostry pozwoliły mi przesiedzieć tu jakiś czas. Polowania na ulicach i łapanka, w którą o mało nie dostałam się przed paroma dniami, napełniły nas niepokojem. Okropne uczucie. Nagle wyludnione ulice, kręcące się na rogach grupki żołnierzy, wielkie samochody, na które ładowano schwytanych mężczyzn. Naturalnie, od razu wszyscy w Warszawie wiedzą, co się stało, więc na wszystkich krańcach rozlegają się telefoniczne dzwonki ostrzegawcze. Przybiegłam do domu pełna lęku o tatusia. Ale tatuś już wrócił. Chwała Bogu. Oni jednak więcej się o mnie lękali, więc zdecydowali, abym pojechała na kilka dni do Lipnika. Chodzę teraz po groblach nad stawem, zachodzę do uroczego lasu. Dukty są puste — czasem tylko zając przebiegnie. Cicho — jedynie nad głowami majestatycznie szumią gałęzie sosen. W młodych zagajnikach coś szeleści, a spłoszona jaszczurka rozpaczliwie stara się na mój widok ukryć w zbyt małej dla siebie dziurce.

Czuję wyrzuty sumienia, jakbym o tobie, Danku, zapomniała. Mój ból zastyga. Nie budzę się już z uczuciem: nie ma Danku, po cóż żyć? I nie zasypiam z pragnieniem stłumienia bólu. Żyję... Jakież to wstrętne. Bo już nie chodzi o to, że trzeba żyć. Taka jest widać wola Boża i przed nią schylam głowę. Ale dlaczegoż żyjąc, nie potrafię wyzbyć się pragnienia osobistego szczęścia i miłości? Dlaczego? Dlaczego?

Mówiła mi Halina: „Wolałabym wiedzieć tak jak ty, że to już nieodwołalnie się stało. A tak łudzę się i dręcę, może będzie inaczej”. Mnie się zaś zdaje, że byłabym szczęśliwsza, gdyby było „może”, a nie „na pewno”...

13 sierpnia

Spotkałam się wczoraj z „moim” Niemcem w lesie pod Komorowem.

27 sierpnia

Mam dziwne usposobienie: zapisuję chętnie i dużo wtedy, gdy wydarzenia zwolnią bieg. Ale niech tylko wzrośnie tempo przeżywanego uczuć, nie mogę się zmusić do pisania.

Ten Niemiec musi być jednak uczciwym człowiekiem. Tylko czy Niemiec może być uczciwy? Ma trochę dziecinny wyraz oczu, gdy

patrzy na mnie. Zresztą jest pewno straszliwym dzieciakiem. Biednym dzieciakiem, bo nakarmionym najfałszywymi i najszkodliwymi poglądami, w które bezkrytycznie wierzy. Wyznaje katolicyzm, ale jakiś spętany, bezsilny — taki zresztą, jak i u nas wielu ludzi wyznaje. „Katolicyzm jako jedna z form braku wiary” — według wyrażenia Władka.

Niemniej musi budzić litość. Żal mi go. Nawet są w nim jakieś dobre odruchy. Obronił mnie, teraz załatwił sprawę księdza Tomasa. Zaskoczył mnie tylko wówczas, gdy powiedział, że żądać będzie zapłaty. Byłam speszona. Ale speszyłam się chyba jeszcze więcej dzisiaj. Muszę tę naszą rozmowę zapisać. Mówiłam: „Pan powiedział, że pan nic nie robi za darmo. Później pan się cofnął. Ale czy naprawdę nie mogę się panu jakoś za to, co pan zrobił, odwdziaczyć?” Spojrzał na mnie swymi błękitnymi oczami i spuścił głowę. Może on jest nieśmiały, że tak często unika mego wzroku? „Dobrze — rzekł — postawię tylko pytanie. Ale jeżeli pani nie zechce, proszę nie odpowiadać... Jak pani na imię?” Zaczerwieniłam się. To było głupie. I powiedziałam: Oleńka, zamiast powiedzieć: Aleksandra. Jego widocznie uderzył miękki dźwięk imienia. „Jak ładnie.” Szliśmy obok siebie dłuższy czas bez słowa. Jeszcze raz mu dziękowałam: „Och, zrobiłbym więcej dla pani”. Powiedział to tak serdecznie, że nawet nie dotknął mnie w tym zdaniu jego twardy i niemiły akcent.

„Dlaczego dla mnie?” „Bo muszę wciąż o pani myśleć” — powiedział to z wybuchem. Znowu czułam, że się czerwienię. Ale opanowałam się. Mówiłam możliwie najobojętniejszym tonem: „Powinien się pan pozbyć jak najszybciej myślenia o mnie. To nie ma sensu. Między nami istnieje nieprzekraczalna przepaść”. „Nieprzekraczalna. To znaczy taka, której nigdy przekroczyć nie można?” Skinęłam głową. „Przecież wy, katolicy, nie znacie jakoby słowa: nigdy. Tak mi przynajmniej pani mówiła.” „Mój Boże, pan moje słowa bardzo dowolnie tłumaczy. My wam w końcu przebaczymy. A...” Czułam jednak całą śmieszność takiego tłumaczenia. Cóż warto jest bowiem przebaczenie, jeżeli kończy się tylko na słowach? Zresztą on sam wypowiedział tę myśl najlepiej: „Pani mi przebaczy, że jestem Niemcem, jednak Niemcem dla pani pozostanę, prawda?” Staralam się mu wymknąć. „Pan ulega złudzeniom, sądząc, że ja pana interesuję”. Wzruszył ramionami. „Ależ tak — upierałam się — jestem Polką, mam odrębny, zupełnie inny niż pan pogląd na świat, poza tym prawdopodobnie jestem od pana starsza...” „Mimo to ja wciąż o pani myślę.” „Bo pan pędzi nudne życie koszarowe. Ale niechby pan wrócił do swego życia sprzed wojny...” „Gdybym wrócił — podniósł głowę i popatrzył w moje oczy, jak patrzą ludzie nieśmiali, którzy jednak powzięli mocną decyzję — wtedy powiedziałbym pani, że panią kocham.” To słowo padło między nami jak wystrzał. „Proszę pana, to jakieś nieporozumienie”. „Być może. Być może, że pani nie potrafi zrozumieć moich słów. Katolickie sumienie pani...” „Proszę je

zostawić w spokoju. Wypowiedział pan pewne słowa nie wiążąc z nimi niewątpliwie żadnej treści. Aby jednak nie było niedopowiedzeń, muszę i ja coś dodać. Straciłam człowieka, który był dla mnie wszystkim. Zginął w walce z wami. Został przez was zabity...” „Nie ja go zabiłem”. „Cóż stąd? Zabił pan jednak może stu innych Polaków, którzy zasłaniali ojczyznę przed niebezpieczeństwem. Zresztą nie o to chodzi. Tamtego człowieka kochałam, jak tylko może kochać kobieta. Był snem moich snów. Pan to rozumie? Gdyby został moim mężem, szczęście moje tutaj nie byłoby już niczym zmałowane. To wyście stanęli na mej drodze. Jeden czy może kilku z was — zabiło go. Nie znam ich, lecz odpowiedzialni są wszyscy. I pan chciałby, abym po tym wszystkim słuchała spokojnie pana wyznań?”

Szliśmy długi czas milcząc. Czułam, jak mi bije serce. Oficer partrył wciąż pod nogi. „Rozumiem panią — rzekł wreszcie. — Nie zabiłem pani narzeczonego. Nie pamiętam zresztą, abym zabił jakiegось Polaka w czasie wrześniowej kampanii. Niemniej poczuwam się rzeczywiście do odpowiedzialności razem ze wszystkimi!...” Urwał. Wciąż czułam, że mi bije serce. Jego głos był taki smutny. To Władek mówił takim samym głosem, gdy walczył ze sobą... „Niech pan się nie gniewa — powiedziałam, siląc się na łagodny ton — że wtrącam do rozmowy myśli nie na temat. Ciężar sprawy nie tutaj leży. Ja kochałam bardzo tamtego człowieka...” „I dlatego pani nie może zrozumieć innego człowieka, który kocha?” „Proszę pana, pan wypowiada zbyt pospiesznie rzeczy tak głębokie. Moja miłość tylko dlatego miała taką moc, że ukochany przeze mnie człowiek był mi tak bliski. Moje ideały były jego ideałami, moje myśli — jego myślami. Nasza miłość znajdowała podstawę w uczuciach ogólnych, w wierze w lepszą przyszłość”. Jakoś mocniej stąpnał, aż rozsypany na chodniku żwir zachrząścił pod jego stopami. „Ja także wierzyłem — powiedział — że taka miłość jest najlepsza. Ale takie ideały zawodzą...” „Zależy jakie ideały, proszę pana.” „Chyba każde. Ludzie często tę samą rzecz rozumieją inaczej. Natomiast z miłością jest chyba tak, że podobieństwo kształtu paznokcia przemawia głośniejsz od podobieństwa myśli”. „To jest namiętność proszę pana”. „A czy miłość nie jest namiętnością?” „Nie... A raczej miłość jest opanowaną namiętnością”. „Opanowaną? Któż ją potrafi opanować? Czy pani sama umiała ją opanować?”

Znowu szliśmy w milczeniu aż do końca uliczki. Potem rzekł: „Nie będę już pani prześladował. Wyjeżdżam”. „Będzie pan o mnie myślał z gniewem?” „Nie, proszę pani. Zostanie mi w pamięci tylko żal, żeśmy się nie mogli porozumieć”. Przemogłam się wewnętrznie. „Tak, nie mogliśmy się porozumieć. Ale gdyby pan zadał sobie trud wejrzenia w prawdy, którymi żyję...” „Po co, proszę pani? Nie zbliży nas to do siebie”. „Przecież nie o to tylko chodzi”. „Mnie tylko o to”. „Kto wie? Może kiedyś po wojnie, gdy wypalą się urazy, ten trud podjęty przez pana potrafi nas zbliżyć...” Po co to powiedziałam? Gdy mnie żegnał, ujrzałam błysk w jego oczach.

2 września

A jednak jestem egzaltowana, a taka być nie powinnam. Zarówno egzaltacja jak i obojętność są wrogami chrześcijańskich uczuć. Myślę, że trzeba nam kochać i „czuć” całym sercem, lecz także trzymać to „czucie” na wodzy rozsądku. Tymczasem ja tak zawzięcie walczyłam z sympatią dla tego Niemca, że wreszcie poczułam, jak ogarnia mnie zaciętość. Zniosłam wiele, mogłam przecież cierpieć więcej. Bo to było jednak dobrodziejstwo, że dowiedziałam się o śmierci Bohdana w czasie oblężenia. Wtedy nie musiałam dźwigać sama mego bólu; wsiąkł w morze cierpienia całej Warszawy. Był jak głaz, który złożyliśmy na wspólną taczkę i razem popchnęliśmy przed sobą.

Inne kobiety wciąż czekają na powrót swoich, o których nawet nie wiedzą, czy żyją. Dobrze, jeżeli mają wiarę mocną jak Marta. Wobec takiej ufności Pan Bóg zwykle ustępuje (tak często to widziałam). Ale gdy człowiek przerzuca się od wiary do niewiary, od nadziei do rozpacz, wtedy traci swoich najukochańszych nie raz, lecz sto razy. I wtedy jego cierpienia nie mają sobie równych.

5 września

Rok temu — jeżeli wszystko, co wiem, jest prawdą — miał zginąć Danek.. Przebywał on do końca sierpnia w Strzelcach Wielkich koło Radomska, potem, w ostatnią noc przed rozpoczęciem działań wojennych, pułk jego został przesunięty w okolice Krzepic.

Rok temu. Niby tak długo, a w gruncie rzeczy bardzo mało. Kilka-kaset dni, których szybki bieg nie zmniejszy doznanej straty, kilkadziesiąt długich dni wlokących się bez końca, a obfitujących w tyle przemian. Za mało, aby zapomnieć o wszystkim przez ten jeden rok, za dużo, aby pozostać tym samym co dawniej człowiekiem.

25 grudnia

Drugie święta Bożego Narodzenia w ciągu tej wojny. Rok temu był z nami Władek... Lecz zapomnijmy na chwilę o bolesnych wspomnieniach. Zapomnijmy o tym, co nas dręczy...

Podczas Wilii siedział przy mnie ksiądz Tomasz. Patrzyłam na jego profil pełen energii i myślałam, że nasze starsze pokolenie pięknie kończy swoje życie. Obyśmy i my mieli także na końcu równie pogodne spojrzenie.

Śpiewaliśmy kolędy. Gdy zaczęłam „Cicha noc, święta noc...” tatuś powiedział: „Po co to śpiewać? Przecież to niemiecka kolęda”. Stałam z głupią miną, bo mi żal było tej miłej kolędy. Wtedy rzekł ksiądz Tomasz: „Cóż z tego, proszę pana, że niemiecka? Każda kolęda jest tylko kolędą, to znaczy: powitaniem narodzonego Jezusa. Ludzie pod wieżą Babel zaczęli mówić rozmaitymi językami. Ale

pod stajenką znowu znaleźli wspólny język, będący zaprzeczeniem języka grzechu. Więc trzeba nam pamiętać o tym porozumieniu”.

Zaczęliśmy więc śpiewać: „Cicha noc, święta noc, urodzony Boży Syn, Pan wielkiego majestatu niesie dziś całemu światu odpuszczenie win...” A ze słowami tej pieśni przyszły do mnie wspomnienia Kuźnic i Bukowiny, dni swobody i radości. Był wówczas z nami ksiądz Tomasz i ruchem ręki dyrygował naszym chórem; był Bohdan, był Władek, była siostra Emanuela, był krag bliskich nam twarzy: Hania, Marta, Lilka, Bożenka (podobno teraz przebywa w Kownie?), Zosia, Marysia (wciąż biedaczka siedzi na Pawiaku), Dudka, Zygmus, Kazik, Staszek, Tolek. Wśród nas, na stole nakrytym białym obrusem, niby złom skalny na podściółce śniegu — czarny sześcian Ewangelii. Mój Boże, już wtedy tak mocno czułam, że ta książka jest naszym najcenniejszym łącznikiem. Dziś po roku przemian i powszechnego cierpienia czuję tę prawdę jeszcze silniej. Ludzie mogli mi wyrzec Bohdana. Przez Ewangelię zostaliśmy razem...

XIII

W drugiej połowie lutego Hugo otrzymał kartkę od barona von Grote. Stary generał prosił Kostrzewę, aby postarał się o kilkudniowy urlop i przyjechał do Berlina. „Chcę się koniecznie z panem widzieć — pisał — a obecny stan mego zdrowia każe mi się obawiać, że pewnego pięknego dnia może być na to za późno...” Major obracał w palcach kartkę i rozmyślał nad jej treścią. Von Grotego nie widział prawie od roku. Wtedy po rozmowie wyszedł z domu generała w nastroju takiej irytacji, że postanowił tam już więcej nie wracać. Wprawdzie zachował dla von Grotego dawny szacunek, jednakże postawa starego junkra wywołała w jego myślach żywy sprzeciw. O von Mariesie myślał z jawną złością. Ten wycoczek awansował teraz na podpułkownika i dowodził eskadrą na wybrzeżu francuskim. Hugo spotykał go kilkakrotnie i choć wcale nie miał chęci do rozmowy, von Maries zawsze wszczynał z nim nużącą pogawędkę. Wstrętna kreatura! Za von Mariesa Hugo czuł jakby urazę do von Grotego. Wydawało mu się jednak rzeczą niewłaściwą odmawiać prośbie starca, który, jak sam pisał, musiał być ciężko chory. Poza tym był jeszcze inny powód, dla którego chciałby może jechać do Berlina. Hugo otrzymywał dość regularnie listy od Gerdy i odpowiadał na nie tonem swobodnej gawędy, nie potrącając w najmniejszym nawet stopniu o sprawę uczuć. Z wolna zaczął się przyzwyczajać do myśli, że istnieje istota, która interesuje się jego życiem, a nierzadko wyraża między wierszami pasję namiętności. W tym przymusie, jaki sobie zadawała baronówna, aby dostosować się do narzuconej jej przez Kostrzewę roli, był urok i ten urok opanowywał z wolna myśli Hugona.

Rozmowa, którą odbył z dziewczyną w lipcu, pozostawiła w jego

pamięci niezatarte wspomnienia. Zdusił od razu w sobie wszystkie niepokoje, a w listach pozostał tylko chłodnym, choć czujnym instruktorem. W miarę jednak jak spostrzegł dokonującą się w dziewczynie przemianę, zaczynał odczuwać coraz gwałtowniejszą potrzebę ujrzenia jej znowu. Był to głos tak silny, że nawet górował nad wszystkimi rygorami, których sobie młody major nie szczędził. Hugo musiał się zdobyć na olbrzymi wysiłek, aby go przytłumić; całkowicie jednak zgasić nie potrafił.

Chęć pozbycia się ciągłej myśli o Gerdzie zesłała się z otrzymaniem listu od von Grotego. Zdecydował więc jedno z drugim połączyć. O urlop nie było trudno. Przez całą zimę eskadra szczerbiła się w walkach, toteż nie było przywileju, którego by dowództwo nie ofiarowało lotnikowi za jego zaciekle trwanie na posterunku w czasie tej nieoczekiwanej przedłużającej się wojny. We wrześniu wszystko się skończy... — pocieszano ich, a oni wydobywali z siebie wszystkie siły, bo przecież od uderzeń ich bomb zawisł ostateczny triumf. Gdy Włochy runęły na Grecję, przyszło zapewnienie: sojusznicy nas złuzują. Lecz wystąpienie włoskie nie przyniosło rozwiązania. Przeciwnie: Włosi dostali w skórę, a w grudniu Anglicy rozpoczęli ofensywę afrykańską. Skończy się wszystko za miesiąc — odzywały się głosy. Gdy jednak część eskadr odwołano z Francji i przerzucono na Sycylię, nikt już w to zapewnienie nie wierzył. W styczniu armia libijska nie istniała, a wśród lotników przebąkiwano o konieczności przeniesienia frontu nad Morze Śródziemne. Jednocześnie wzajemne naloty przybrały na sile, a wieści o nich zaczęły się przesączać z kraju do szeregów walczących w pierwszej linii. Uderzenie na Bałkany także nic konkretnego nie przyniosło. Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy, ostatni jakoby rok największej w dziejach świata wojny, nie zapowiadał oczekiwanego końca.

Eskadra „Much” wciąż była w ogniu. Esterl dobił się stopnia oficerskiego. Na miejsce Lahma, którego odwieziono gdzieś do szpitala w kraju, przybył podporucznik Kurt Wiesemann, podobnie jak i Zweigle odkomenderowany z SS. Ci młodzi ludzie z Schutzstaffel wchodzili ostatnio coraz częściej do linii. Poprzednio każdy z nich pełnił jakąś ważną funkcję polityczną lub pracował na tyłach. Obecnie zmieniali zajęcie. Nie stanowili jednak najlepszego materiału, a w każdym razie nie zżywali się łatwo z kolegami, którzy mieli już za sobą rok walk na froncie.

Z otrzymaniem urlopu poszło więc gładko i Kostrzewa znalazł się pewnego ranka w stolicy. W pociągu, który się spóźnił, zmarł i mimo odporności na wszelkie niewygody, nie mógł pokonać drżenia całego ciała. Na wybrzeżu francuskim ciepławy oddech morza przytłumiał ostre podmuchy zimna. Ale tutaj wszystko było wymarzone, wystygłe. W wagonie Hugonowi zdrętwiały nogi, na dworcu — nawet w bufecie — nie było dostatecznie ciepło, by się rozgrzać. Ulice wysuszył lodowaty wiatr. W hotelu, w którym zwykle stawał, z pokoju otworzonego przed nim powiało chłodem. „Mamy trudno-

ści z opałem — powiedziała wprowadzająca go na górę służąca, — No i ta piekielnie długa zima”, Kostrzewa przede wszystkim położył się do łóżka i przespał parę godzin, aby wytrząsnąć z siebie męczącą podróż. Zjadł obiad, potem poszedł do telefonu.

— Czy mieszkanie generała von Grote?

Odpowiedział mu nieznajomy głos męski.

— Tak.. Kto mówi?

— Major Kostrzewa.

— Pan generał pragnąłby pana widzieć. Do telefonu podejść nie może. Kiedy pan będzie mógł odwiedzić pana generała?

— Mogę zaraz... Za jakąś godzinę...

— Pan generał prosi.

Punktualnie w godzinę później Hugo wchodził po marmurowych schodach domu, w którym mieszkał von Grote. W mroku zaciemnionej klatki schodowej nie mógł poznać mężczyzny, jaki mijał go na półpiętrze, ale obrzydliwie miękki głos zatrzymał Kostrzewę na miejscu.

— To pan, panie kolego? Proszę, proszę. Dziadek chciał koniecznie pana zobaczyć. A może potem i my gdzieś się spotkamy?

— Jeżeli pan pułkownik sobie życzy... — w głosie Kostrzewy nie było zachęty. Lecz mimo to von Maries zaproponował:

— Więc dobrze. Niech pan wpadnie o siódmej do Flieger-Palast.

Hugo zastał von Grotego w głębi wielkiego, wypełnionego ciężkimi meblami salonu. Stary baron siedział w fotelu otulony kocami i pledami, na głowie zaś miał barwną włóczkową szlafmycę. Wyglądał źle. Twarz mu zmalała i zapadła się przybierając kształt dziecięcego balonika, z którego uciekła część powietrza. Skóra utraciwszy elastyczność zwisała i piętrzyła się na policzkach, przysłaniając oczy i tworząc ciężkie fałdy na szyi. Dumny kark, jeszcze niedawno po wojskowemu wyprężony, teraz ugiął się bezsilnie. Na widok Hugo na twarz zmarszczyła mu się w grymas uśmiechu, a oczy błysnęły żywej spoza fałd skóry.

— Witam pana, majorze. Dziękuję za przybycie. Cóż tam u pana słychać nowego?

— Ze smutkiem widzę, że pan generał niedomaga...

Von Grote zaśmiał się jakimś żabim rechotem.

— Ho, ho, ho. Niedomagam? Umieram, panie majorze. Dziewięćdziesiąty pierwszy rok — to nie żarty. Jestem nawet starszy od cesarza... W siedemdziesiątym roku byłem już Gefreitem...

Ale zaraz zmienił ton i spoważniałym głosem spytał:

— A jak tam z wojną? Tylko niech pan mówi wszystko, bo Alfred... — zrobił jakiś niezdecydowany ruch ręką.

— Wojna zbliża się ku końcowi. Straty Anglików w okrętach są tak duże, że muszą ich doprowadzić do klęski

— A Ameryka?

— Chciałaby może się bić, ale czuje, że nie ma siły. Demokracja ją zatrzała — na co nie mamy powodu narzekać. Zanim się jednak zdecyduje, Anglia będzie już leżała.

— A wtedy co?

— Wtedy, panie generale — Rosja. Pięć lat wystarczy, aby przygotować ją technicznie do roli naszego zaplecza. A wówczas zbierzemy się do skoku przez Atlantyk. Zapłacimy tym „obrońcom demokracji” za wspieranie Anglii...

Von Grote nagle się wstrząsnął. Począł gmerać na piersi bezsilnymi palcami, by się lepiej otulić.

— Zimno — mrucał — zimno. Marnie pała. Przedwczoraj wyleciały wszystkie szyby i zanim przyszedł szklarz, mieszkanie wyziębło jak psiarnia. Wieczorami trzeba schodzić do schronu, a tam zimno... Jedzenia macie dość? — zapytał nagle i podniósł na Hugona podejrzliwy wzrok.

— Mamy dość, panie generale.

— To... dobrze — spuścił głowę i przesuwając w palcach obszytą skórą brzeg pledu w szkocką kratę. — Więc pan sądzi, majorze, że w przyszłym roku wojnę skończycie?

— Musimy ją skończyć.

Targnął niespokojnie głową i wyrzucił z zsiniałych, wiotkich warg:

— Ja wiem, że musicie... Ale czy tego dokonacie?

Hugo wzruszył ramionami.

— Walczymy o nasz byt, panie generale. Mamy więc do wyboru: wygrać lub zginąć. Ale my nie umrzemy. Jest w nas siła, która zawsze triumfuje.

Chwilę trwała cisza.

— Tak... niewątpliwie... powinniście wygrać... — zaczął von Grote i zaniósł się suchym kaszlem. — Niemcy są wieczne... — wyrzekł to z nieoczekiwaną siłą, akcentując swoje słowa mocnym gestem zaciśniętej pięści. — Tylko pamiętajcie: Anglia czy Ameryka mogłaby was pobić, ale nie zdołają was zwyciężyć. Zaś ich — to „ich” zgrzytnęło w głębi półciemnego salonu niby dźwięk repetowanego karabinu — ich to wy możecie wprawdzie pobić, ale oni potrafią was zwyciężyć... Myślę o nich jak o grozie, która rośnie. Jeśli pozwolicie jej dojrzeć, przytłoczy was swą młodą potęgą...

Dyszał ciężko. Za oknami przysłoniętymi w połowie czarnym papierem dzień zapadał w szarość.

— Różni rozmaicie radzą — głos von Grotego chrząknął w ciszy salonu, przerywany raz po raz klekotem rozrywającego piersi kaszlu. — Żelazny Kanclerz mówi: „Wysłać ich do Monte Carlo, niech tam gniją moralnie. Niech francuzieją... Nie walczyc z nimi terrorem. To ich tylko wzmacnia...”

Wyciągnął dłoń ku Kostrzewie i wzięwszy w swe drżące dłonie jego rękę spytał:

— Czy pan wie, kim są pańscy rodzice?

Chmura przeleciała po twarzy oficera. Sucho odparł:

— Tak.

— Nie chce pan mi nic o nich powiedzieć?

— Skoro pan generał sobie życzy... Moi rodzice są chłopami z Prus Wschodnich. Prostymi chłopami...

— Pochodzenia polskiego?

— Tak — Kostrzewa wyrzucił to twardo przez zaciśnięte zęby.

— Ale pan — von Grote ciągnął bardzo wolno — nie został na ich podwórku...?

— Nie, panie generale, nie zostałem na ich podwórku. Wyszedłem z niego na szeroki świat.

— Dzięki ludziom...

— Dzięki człowiekowi,

— Pan go zna?

Oficer zmarszczył brwi.

— Niestety — nie.

Zapadła dłuższa chwila milczenia. Wreszcie przerwał ją głos von Grotego:

— Tym człowiekiem byłem ja.

Wstrząsnęli się obaj. Zamarli na chwilę w bezruchu i tylko czytali ze swych oczu tę dziwną prawdę.

— Więc muszę panu, panie generale, podziękować — Hugo mówił to głosem bezbarwnym i sztywnym jak chłopak, który się wyuczył niezrozumiałego dlań wiersza. Ale von Grote podjął żywo:

— Dziękować? Nie. Nie. Może to ja powinienem panu dziękować majorze Kostrzewo? Do tego, co zrobiłem, nie popchnęła mnie ani miłość, ani chęć dopomożenia panu. Pan był mi potrzebny jako żywe doświadczenie, jako królik ofiarny, na którym chciałem zaszczerpić wyhodowaną przeze mnie myśl. Panu należy się ta szczerłość. Więc... więc tak. Niemczyzna się starzeje. I my musimy ją ratować, bo świat póty posiada wartość, póki działa w nim niemiecki ferment. Zrobiłem próbę; wziąłem pełną soków gałąź z młodego drzewa — pana, majorze Kostrzewo — i tchnąłem w nią niemieckiego ducha. Byłem jak Stwórca... Lecz Bóg z gliny zrobił tylko człowieka, ja zaś — także z gliny — zrobiłem Niemca. I dumny jestem ze swego dzieła. Śledzę pana, wiem wszystko, co pan robi, z kim pan rozmawia, gdzie pan bywa. Wszystko. Wiem, że nie lubi pan mego wnuka. Ma pan rację. On jest zanadto Niemcem, aby mieć podobną wam energię. Zbyt szybko słabnie. A wy nie słabniecie. Więc widzi pan... Znam pana na wylot. Wiem o wszystkich rozmowach, które pan prowadził.

Znam każde wydarzenie z pańskiego życia. Tylko żadnej słabości w panu nie znam.

Hugo chciał cofnąć rękę, którą starzec trzymał w swoich dłoniach.

— Po co pan to mówi, panie generale? — spytał.

Suche palce barona nie wypuściły swej zdobyczy.

— Mówię, ponieważ należy się panu szczerść. Pan już całkiem wyszedł ze swego wschodniopruskiego podwórka. Pan jest już w pełni Niemcem — i Niemcem pozostanie. Wasz wódz w swej genialnej nauce ma jeden fałszywy ton: głosi czystość rasy. Nie prawda! My, Niemcy, skazani na czystość rasową, wymrzemy po trzech pokoleniach. Trzeba nowej krwi, by wypłukała zwapniałe żyły. A tylko jedna krew jest tego godna. Ta, która w panu płynie majorze Kostrzewo. Jest to krew z zarodkami wielkości. Nie trzeba nam francuskich czy włoskich domieszek. Wystarczy, gdy niemiecką napoimy tą krwią. Wtedy świat stanie przed nami otworem A pan jest dowodem, że to jest możliwe. Pan w swej przemianie której doskonałością nie mogę się nazachwycać. Ma pan wszystko co daje urodzenie, i więcej nawet. Jednego tylko panu brak...

Urwał, Kostrzewa zaś zmarszczył brwi i pytającym wzrokiem spojrzął w oczy von Grotego.

— Słucham pana, panie generale.

— To, czego panu brak, ja mogę panu dać. Ród von Grotów wymiera. Osiemset lat siedzieliśmy na ziemi wschodniopruskiej. Przez osiemset lat ciągnęliśmy po tej ziemi pług niemieckiej. Pradziada zmiotła armatnią kulą na przedmieściach Warszawy. Mój brat legł na stokach wzgórza Świętej Anny, rozerwany granatem śląskiego powstańca. Jestem ostatni z rodu... Nie mam syna. Lecz mam pana, majorze Kostrzewo. Co znaczy nazwisko Kostrzewa? Śmieszne polskie nazwisko bez znaczenia, chrześzczące niby lot trzmiela nad trawami. Ja panu dam nowe: von Grote. Baron von Grote. Czy źle brzmić będzie: Oberst Hugo Fraiherr von Grote? Posiadacz ziem w Prusach i na Śląsku? Kuzyn najprzedniejszych rodów w Rzeszy? Syn mój. Bo ja nie mam syna własnego, ale pan jest mi bliższy niż syn, którego by mi zrodziła kobieta. Więc synostwo ofiarowuję panu. I cóż, Hugonie? Czy chcesz uznać we mnie swego ojca?

Błede starcze oczy szukały odpowiedzi na stęzałej twarzy młodego oficera. Kostrzewa nie rzekł zrazu nic, tylko wysunawszy dłoń z uścisku generała założył obie ręce za siebie. Dopiero po dłuższej chwili rozległ się w gęstniejącym mroku jego głęboki i twardy głos.

— Cóż znaczyło kiedyś imię: Cezar? Zwykle imię łatyńskie. A przecież wódz rzymski podniósł je do takiego znaczenia, że po dziś dzień zwie się tak zwycięskich władców. Albo jakie znaczenie miało na pół włoskie nazwisko: Buonaparte? A przecież wystarczy dziś powiedzieć: Napoleon — i przed oczyma staje wielkość i potęga. Nędzne jest może nazwisko Kostrzewa. To prawda. Tak nazywają się prości wschodniopruscy chłopci, którzy ani pisać, ani czytać

nie umięją, a na wszystkie zmartwienia szukają lekarstwa w drewnianym kościele. Lecz ja nie mam jeszcze trzydziestu lat. Zaś wielkość... Tak, pan odgadł, generale, pragnienie wielkości dławi mnie... Wielkości prawdziwej, nie wypożyczonej, nie wydobytej — proszę mi darować — z lamusa historii. Własnej! Zdobytej w walce z przeciwnościami, wydzwigniętej z głębi siebie. Czystej jak pióropusz dawnego rycerza. Nie chcę nikomu niczego zawdzięczać, panie generale. Ani Bogu, ani człowiekowi. I choć Kostrzewa dziś nic nie znaczy, jutro będzie znaczyć wszystko — albo zniknie całkiem!

— Hugonie!

— Proszę mi pozwolić skończyć, panie generale. O swoich pragnieniach nie mówiłem dotychczas nikomu. Dziś wyrwało się to po raz pierwszy z moich ust. Pan powiedział słusznie: jestem Niemcem. Jestem nim. Jestem nim świadomie i tylko dlatego, że na rodzicielskim podwórku brak mi było powietrza do oddychania. Pan generał był szczery. Ja także chcę być szczery, więc powiem: stałem się Niemcem nie po to, aby utracić własne oblicze, ale dlatego, by móc być sobą, aż do najwyższej przemiany swej istoty.

Umilkł i tylko dwa zadyszane oddechy słysząc było w pokoju. Potem Hugo podszedł energicznym krokiem do okna i szerzej odchylił zasłaniającą je częściowo kotarę. Trochę więcej światła wpłynęło do salonu.

— Hugonie — głos von Grotego drżał lekko — rozumiem ciebie. Lecz kto chce władać narodem, musi w ten naród wsiąknąć do reszty. Nawet imię Buonaparte ustąpiło miejsca francuskiemu już tylko „empereur”. To prawo życia. Na Korsyce przyszedł zwycięzca dusił się, jak ty dusiłeś się tam, na wschodzie. I wiedział, że trzeba zrezygnować z drobiazgów dla sięgnięcia po wielkość.

— Lecz...

— Naród niemiecki może doceni z czasem twoją wielkość. Lecz nigdy nie pójdzie za Polakiem. Zdobędziesz Rzeszę jako von Grote, nie zdobędziesz jej nigdy jako Kostrzewa...

Oficer spacerował niespokojnym krokiem wzdłuż poprzecinanej oknami ściany, a jego profil rysował się wyraźnie na tle zszarzałych prostokątów blasku. Usłyszawszy ostatnie słowa barona zatrzymał się.

— W psychice niemieckiej — zaczął — pokutuje słowo, którego pojąć nie mogę. Brzmi ono: nigdy. A tłumaczy się tak: kto kim był, tym na zawsze zostanie, a raz dokonany czyn już się nie odmieni. Wbrew temu frazesowi twierdzą, że naród potrafi porwać do czynu nawet człowiek, który nie nosi najszlachetniejszego ze szlachetnych nazwiska von Grote, ale który umie swą wolę sprząć i w czyn zamienić. Ja, panie generale, czuję w sobie siły zdolne do przebudowania całego narodu...

Znowu rozpoczął wędrówkę wzdłuż linii okien. Siwe oczy generała szły za nim krok w krok.

— Ależ tak. Któż by wąpił? Lecz pozwól, że ci coś przypomnę: pewne zdarzenie z twego życia. Dlaczego nie zostałeś członkiem SS, chociaż sama natura przeznaczyła się do rycerskiego zakonu?

— Nie chciałem.

— Bo wyczułeś, że możesz spotkać się z odmową. Lecz i w SA pomijano cię stale przy awansach. Inni lecieli — ty pełzałeś. Nie zrobiono cię starszym kursu lotniczego. Nie zrobiono cię dowódcą eskadry. Masz połowę odznaczeń, które zdobią pierś mego wnuka, choć wiem, że twoja odwaga przewyższa odwagę Alfreda...

Kostrzewa stanął przy oknie i wsparł się obu dłońmi na klamce. Patrzył na ulicę drżącą od nerwowego przedwieczornego ruchu.

— Pan generał — rzekł sucho — przypomina mi rzeczy prawdziwe. Tak było rzeczywiście. Widocznie jeszcze nie zdobyłem się na najwyższy wysiłek, jeżeli nawet w tym wąskim kręgu, w którym się dotychczas obracałem, nie umiałem dla siebie zyskać zaufania. Lecz nie jest jeszcze za późno. Mocniej napnę ramiona, zacisnę pięści, dobędę nowych sił. I zwyciężę. Zwyciężę, panie generale. Albo...

Gdy mówił, ciężka mosiężna klamka chrzęściła pod jego palcami.

Przerwał mu nagle drżący głos barona:

— A jeżeli nie zwyciężysz?

— Jeżeli nie zwyciężę — Hugo ważył słowa niby ciężary — wtedy nic tu po mnie...

— Synu — w głosie von Grotego brzmiał ból — synu... Twoja wielkość jest potrzebna Rzeszy.

— Może...

— Więc dlatego przyjmij nowe imię. Zrób to dla mnie.

— Nie zrobię tego dla nikogo.

— Hugonie, synu mój — głos generała zaczął się łamać — nie odrzucaj tak spiesznie tego, co ci ofiarowuję. Patrzyłem na ciebie przez dwadzieścia kilka lat. Początkowo ze złośliwą uciechą, potem ze wzrastającym podziwem, w końcu — z miłością. I teraz wiem, że cię kocham. Jak syna. Jak jedyne go syna. Jak wspaniały twór moich rąk i serca... Czy słyszysz mnie?

— Słyszę, panie generale.

— Mógłbym być twoim ojcem, Hugonie. Gdyby twoja matka... Oficer odwrócił się nagle od okna. W ciszy słyhać, było ciężkie, powolne sapanie barona i szybki oddech Kostrzewy.

— Więc może — major mówił zduszonym głosem — może pan generał jest naprawdę moim ojcem? Proszę mi szczerze na to odpowiedzieć. Moja matka... Ja wiem, że pochodzi ze wsi sąsiadującej z majątkiem pana generała. A teraz ta opieka nade mną... ta propozycja...

Von Grote znowu przesunął rękę po brzegu koca.

— Zapalasz się... Nie, nie jesteś moim synem. Poznałem cię już jako chłopca. Wprawdzie w oczach ludzi mógłbyś nim być. My, Niemcy, nie robimy różnicy między ślubnymi i nieślubnymi dziećmi... A to odmieniłoby całą twoją przyszłość.

Hugo zrobił krok ku fotelowi.

— Nie chcę takiej odmiany mojej przyszłości — powiedział ostro. — Albo swoją własną pracą zdobędę zaufanie dla siebie, albo obejdę się bez tego. Sobą zostanę do końca.

— Hugonie?

— Tak, panie generale. Wolę być synem półpolskich, półniemieckich chłopów niż bękartem pana barona. Bo tamto położenie jest wprawdzie trudniejsze, ale prawdziwe. Ja zaś chcę być sobą i muszę sobą pozostać. Pan generał powiedział: śmieszne słowiańskie nazwisko. Z tym śmiesznym słowiańskim nazwiskiem jestem zdolny wstrząsnąć światem. Zobaczycie: obudzę was.

Skłonił się przed von Grotem i prawie gwałtownie potrząsnął jego zwiotczoną ręką. Z wyrazem zawziętości na twarzy opuścił pokój, w którego cieniach pozostał przygięty do ziemi stary junkier pruski.

XIV

Von Maries siedział pod ścianą w głównej sali cukierni. Uprzejmym ruchem ręki wskazał Kostrzewie miejsce obok siebie.

— Niech pan siada, panie kolego. No co, czy można już w panu powitać mego ukochanego wuja?

— Nie, panie pułkowniku, nie zostałem pańskim wujem.

— Jeszcze nie?

— W ogóle nie.

Usiadł. Przy stoliku pojawiła się kelnerka w białym fartuszk. Z uśmiechem na ustach czekała na zamówienie. Dłonie, w których trzymała bloczek, miały kolor czerwonosiny, a nogi tonęły w grubych filcowych pantoflach.

— Prosimy o kawę — mówił von Maries — ale żeby była bardzo gorąca, liebe Dame. Mnie jest ciągle zimno — zwrócił się do Hugona.

— Najlepiej o tym nie myśleć.

— Być może, ale ja nie lubię przymusu. Jestem na to zbyt wygodny. W narzekaniu jest także pewien wdzięk...

Zapalił papierosa i śledził spod przymrużonych powiek ulatujące ku górze kółka dymu. Miał brzydkie wąskie usta i żółkłe od tytoniu zęby. Jasne włosy były przerzedzone nad czołem, co wydłużało i tak już pociągłą twarz von Mariesa.

— Schön... — zaczął — więc pan nie przyjął nazwiska i tytułu barona? Jestem tym zaskoczony... Co pana do tego skłoniło — wolno wiedzieć? Połowa Niemców...

— Nie mieszczę się w tej połowie Niemców, panie pułkowniku.

— Tym bardziej chyba nie mieści się pan w tamtej drugiej połowie. Bo u nas połowa ludzi wie, czego chce. Do nich właśnie zaliczyłem pana — druga zaś połowa nie umie chcieć. Dla pierwszych każdy środek jest dobry, który prowadzi do celu...

— To zależy.

— To zależy jedynie od skuteczności środka. O ile wiem, pan pragnąłby odegrać jakąś rolę w życiu Niemiec. Tymczasem gdy pan otrzymuje środek, który panu umożliwia...

— Umożliwia mi wiele miłych i przyjemnych rzeczy, pozbawiając trzech czwartych kłopotów, których doświadczam — i koniec. Moim pragnieniom nie daje jednak nic.

— Ach, tak... — Podpułkownik rozduśił papierosa na popielniczce. Właśnie nadeszła kelnerka z kawą. Von Maries objął dłońmi szklanekę, jakby chciał ciepło napoju przekazać swym długim, wąskim palcom. — Jeżeli tak, panie kolego, to naturalnie... — ironicznie uśmieszek nie schodził mu z ust.

Chwilę pili w milczeniu, rozkoszując się ciepłem. Od ścian, od stolików, od obrazów wiało w dokuczliwy sposób. Potem wnuk von Grotego rzekł niedbale i prawie obojętnie:

— Myślę o pańskiej decyzji... To ciekawe... Czyżby pan posiadał pełną świadomość sytuacji?

Hugo chciał mu przerwać, gdy nagle zobaczył coś, na widok czego poczuł niby mocne uderzenie w pierś. Nie mylił się. Była to naprawdę Gerda. Dziewczyna siedziała w towarzystwie dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Towarzystwo wydawało się rozbawione i może niezupełnie trzeźwe. Od strony Hugona zasłaniał Gerdę bardzo przystojny mężczyzna z czarnymi, gładko zaczesanymi włosami. W pewnym momencie położył dłoń na ramieniu kobiety i pochyliwszy się nad nią powiedział coś, co ona przyjęła wybuchem śmiechu.

Uczucie jakiegoś zamierania zaciążyło kamieniem na piersiach Kostrzewy. Nagle z niezrozumiałych powodów ogarnęła go fala gniewu, który obrócił się przeciwko von Mariesowi.

— Pan pułkownik uważa, że postąpiłem jak szaleniiec odrzucając dar pańskiego dziadka? No, naturalnie, trzeba być wariatem, aby nie mieć ochoty na przebranie się — i to na stałe — w skórę bogatego barona. Lecz ja powtórzę panu to, co powiedziałem panu generałowi: jestem człowiekiem, który chce osiągnąć wszystko sam. Oznacza to tyle, że nie wolno mi niczego utracić z właściwości mego — i tylko mego charakteru.

— Och, pan kolega, widzę, ibsenizuje.

— Mniej więcej — powiedział Hugo lodowatym tonem.

— A jednak to zastanawiające. Bo przecież ambicja ambicją, ale cóż pan traci z właściwości swego charakteru? Nazwisko Kostrzewa? Ładne słowiańskie nazwisko, którego żaden Niemiec prawidłowo wymówić nie potrafi. Poza tym — nic. Zgoda, panie kolego?

— Tak jest, panie pułkowniku. Lecz dla mnie strata zawiera się w życiowym handicapie.

— Rozumiem. Pan jest tak dumny, że nie może znieść myśli o jakichkolwiek ułatwieniach. Brawo, panie kolego! Oto jest naprawdę piękna postawa.

Hugo znowu spojrział w bok Tamten stolik trząsł się od wybuchów hałaśliwego śmiechu. Gerda położywszy obie dłonie na marmurowym blacie odchyliła się na chwilę do tyłu. Widział wyraźnie na tle ciemnych tapet jej profil, równą linię wysokiego czoła, leciutko wygięty nos i rozchylone usta nad stanowczą szczęką. Po raz pierwszy — tak, niewątpliwie po raz pierwszy — wzrok jego zatrzymał się z uwagą na szczegółach twarzy dziewczyny. Potem ześliznął się na smagle wysportowane ramiona, na nogę wspartą z chłopięcą fantazją o wiązania stolika. Ale zaraz się przezwyciężył. Jego oczy były od dawna posłusznym narzędziem kierującej wszystkim woli.

— Dziękuję za uznanie — powiedział do von Mariesa.

Podpułkownik skłonił głowę.

— Niemniej jednak — rzekł — może pan kiedyś żałować swojej dzisiejszej decyzji. Pan marzy o wielkiej przyszłości. A jeżeli ta przyszłość zależy od ustąpienia z pana strony?

Hugo milczał. Niby przysłuchując się uważnie wywodom von Mariesa, bacznie nastawiał ucha na odgłosy dolatujące od stolika z drugiej strony sali. Kątem oka zobaczył, jak czarnowłosy towarzysz Gerdy podnosi się ze swego miejsca i idzie w stronę bufetu. Po chwili wrócił; za nim szła kelnerka, niosąc na talerzu kilka pomarańcz. Gerda wzięła w rękę złocisty owoc, drugą zaś uściśnęła dłoń mężczyzny. Hugo znowu doświadczył niemiłego uklucia w piersiach. Bez chęci, a raczej z uczuciem nudy powrócił do rozmowy z von Mariesem.

— Myślę, że pan jednak nie docenia propozycji dziadka — ciągnął swoje wnuk von Grotego. — Naturalnie nie chodzi o nazwisko ani o baronostwo. Jedno i drugie może mieć małą wartość w pańskich oczach. Zupełnie się z tym zgadzam. Chodzi o to, że pan wypuszcza z rąk wyjątkowo dla siebie pomyślną koniunkturę. W Niemczech, panie kolego, nowi ludzie rzadko dochodzą do głosu, decyzja zaś spoczywa zawsze w ręku ludzi starych. W ręku ludzi — położył jakoś dziwnie dłoń na gardle — którzy od stuleci pracowali dla dobra Rzeszy. Ci ludzie są spracowani. Czasami nie mają sił do walki. Ale tylko oni wiedzą, czego naprawdę potrzeba. Więc wybierają sobie pomocników. Składają swą władzę w ręce jednostek wybranych — niech pan daruje — ale nie z tłumu... Pan rozumie, panie kolego.

— Zdaje mi się, że tak.

— Jeżeli mój dziadek ofiarował panu nazwisko, przez które zyskałby pan od razu pełne zaufanie ludzi starych, to pan pojmuje — nie uczynił tego wyłącznie przez miłość dla pana... Są w Niemczech sprawy zbyt ważne, aby je rzucać na szalę sentymentów.

— Tak... Ale... — Hugo zaczął nagle słuchać uważniej monotonej przemowy von Mariesa. Od lat brał udział w życiu politycznym Rzeszy, ale wydało mu się, że dopiero teraz ten niesympatyczny oficer odkrywa przed nim rąbek przesłaniającej wszystko zasłony. — Zaufanie starych i młodych, panie pułkowniku, zaufanie całego narodu posiada; jeśli się nie mylę, jeden tylko człowiek w Niemczech,

Von Maries podniósł spojrzenie znad szklanki i utkwiał w twarzy Kostrzewy. Miał oczy barwy nieokreślonej, raz mieniające się błękitem, raz zielenią, a czasem błyskające złotem. Gładząc wolnym ruchem dłoni starannie wygolony podbródek, powiedział:

— Rzesza niemiecka zawsze darzy pełnym zaufaniem jednego tylko człowieka...

Hugo usiłował wczuć się w groźny sens tych słów, lecz uwaga jego rozpraszała się, gdy tylko spojrzał w kierunku stołu, przy którym siedziała Gerda. Palce dziewczyny rozdzierały drapieżnie mięsistą skórę pomarańczy.

Znowu całym wysiłkiem woli wyrwał się z zaczarowanego kręgu.

— Przypuśćmy, że to ja miałbym stać się kiedyś tym mężem zaufania... Dlaczego jednak mam sztucznymi środkami zdobywać dla siebie ufność? Moja praca...

— Pańska praca — von Maries zapalił papierosa i puszczał spokojnie kółka dymu — pańska praca wcale do tego się nie przyczyni...

— Dlaczego?

— W tej sytuacji, w jakiej obecnie jesteśmy, panie kolego, wszyscy mają obawy. Trudno się nawet temu dziwić... Takie są nastroje w obliczu klęski...

— Klęski? Jakiej klęski?

Hugo prawie wykrzyknął te słowa. Był przekonany, że wnuk von Grotego przebrał miarę. Oni mieliby przegrać? O czym mówi ten głupiec?

— O jakiej klęsce pan mówi, panie pułkowniku? — spytał surowo. — Jesteśmy zwycięzcami. Ostatni wróg dogorywa na swej wyspie. Od września trzydziestego dziewiątego nie wychodzę z pierwszej linii. Widzę, jak nasza broń osiąga triumf za triumfem. Więc?

— Panie kolego, bitwę rozstrzygają armaty, czołgi czy samoloty. Ale wojna to nie tylko bitwa czy bitwy. My z naszym niezdarnym sojusznikiem u boku zaczynamy już dyszeć, i to słyhać. Przeciwnik też dyszy — to prawda. Tylko że jego stać na dłuższe dyszenie. Kiedy on będzie tak zmęczony jak my teraz, nas już nie będzie.

— Padniemy?

— Niestety. I wtedy wszystko będzie polegało tylko na tym, aby nie położyć się całkowicie. Trzeba było wykończyć sprawę wschodnią i wtedy dopiero wracać na zachód. Był czas po temu. Nigdy zachód nie był bardziej obojętny dla sprawy wschodniej. My jednak woleliśmy zdobywać Paryż niż Moskwę. I dziś, gdy już mocno dyszymy, przyjdzie nam rozprawić się na wschodzie.

— Będzie czas na tę rozgrywkę po rozprawie z Anglią.

— Oby pan, panie kolego, był dobrym prorokiem. Ale ja się obawiam, że na wschodzie konflikt dojrzeje wcześniej. A wtedy przegramy wyścig zachodni.

— Ten wyścig już wygraliśmy.

— Jest wręcz przeciwnie. Trudno. Nie pierwsza to przegrana i nie ostatnia. Wielkość Niemiec leży w tym, że nigdy nie dadzą się ostatecznie zwyciężyć. Myśmy się tylko zaczęli, by z nową mocą wystąpić. W siedemdziesiątym zdobyliśmy pozycję w Europie, w czter nastym byliśmy na drodze do założenia imperium. Dziś powinniśmy się tym zadowolić...

Hugo był już tak wytracony z równowagi, że prawie zapomniał o istnieniu Gerdy. Lecz nagle napotkał wzrokiem jej czarne oczy. Wstrząsnął się cały. Zrobił jakiś niezdarny ruch, aby się skłonić, i wyczytał w spłoszonym spojrzeniu kobiety coś jakby lęk, jakby żal i jakby zawstydzenie.

Drażniące słowa von Mariesa zatoneły w gwarze sali. Lśniące włosy towarzysza Gerdy pochyliły się ku dziewczynie. O coś ją pytał. Dziewczyna mu odpowiadała. Przystojny młody człowiek podniósł głowę, odszukał wzrokiem Kostrzewę i chwilę uważnie mu się przyglądał. Potem ujrzał, że Gerda daje mu znak ruchem głowy. Zrozumiał, że chce się z nim zobaczyć. W pustce znowu zawirowały słowa von Mariesa:

— ...Bądźmy szczerzy. Musimy walczyć z całym światem, zamiast odeprzeć napierającą na nas Słowiańszczyznę... Jeżeli padniemy...

— Nie, to niemożliwe — mruknął Hugo, prawie nie myśląc o tym, co mówi.

— Och, trzeba przyjąć różne założenia. Jeżelibyśmy jednak padli, panie kolego, to dokonałby się tak wielki wylew krwi z naszych żył...

Nudny i zawył tok słów, von Mariesa drażnił już Hugona. Początkowo rozumiał tamtego dobrze i zdawał sobie sprawę, że wnuk von Grotego ma naprawdę coś ważnego do powiedzenia. Ale teraz były to tylko mętne wywody bez ładu i składu, wypowiedane nieskończenie wolno.

— Panie pułkowniku — przerwał — przyjmując nawet pańskie założenia, trzeba jednak powiedzieć, że najcięższe rany ulegają zablźnieniu.

— Rany na własnym ciele tak, naturalnie. Ale ja panu dam pewne porównanie. Niech pan sobie wyobrazi starszego jegomościa, który czując, że traci siły, a nie widząc nikogo, komu mógłby przekazać swoją schedę, porywa młodego chłopca na szerokim gościńcu, wychowuje go po swojemu, ofiarowuje mu wszystko, co zdobył w ciągu długich lat życia, przekazuje mu swą mądrość i doświadczenie. Aż tu nagle pojawia się matka chłopca. Zabiera go do siebie do domu. I chłopiec teraz dla niej zaczyna pracować z tym wszystkim, co otrzymał od starego. Koniec, kropka. To samo...

W oczach Kostrzewy zapalił się gniew.

— Rozumiem. Pan pułkownik opowiedział tu bajeczkę o znajomym mi chłopcu.

— Opowiedziałem bajeczkę o chłopcu, którego obaj znamy, panie kolego.

— Więc wy myślicie — Hugo zmrzył oczy — że ja mogę się zmienić? Że mogę wam uciec? A nazwisko barona ofiarowujecie mi po to, by mocniej mnie związać z Niemcami... Czy mam słuszność?

— Niezupełnie, panie kolego, niezupełnie. Zresztą proszę unikać słowa „wy”. To był projekt mego dziadka, nie mój. Dziadek uważa, że pan jest już dobrym Niemcem...

— Już jestem dobrym Niemcem? A czymże byłem przedtem?

— Pan się o to pyta? Proszę darować, ale zostawię to pytanie bez odpowiedzi. Chcę być do końca szczery. Dziadek wyobrażał sobie, że pan naprawdę zechce podjąć wielkie dzieło pracy dla Rzeszy. Ale — pan pojmuje — głos krwi porywa nieraz człowieka. Chodziło więc o to, aby pana uodpornić... Dziadek chciał ustrzec pana przed możliwością zachęty, którą można ująć parafrazą słynnego powiedzenia Marksa: „Polacy z całego świata — łączcie się”.

Zaciśnięta dłoń Kostrzewy zdusiła szklanekę z taką furją, że poplamione krwią odłamki rozsypały się po stoliku. Major przysunął do głowy von Mariesa swą śmiertelnie bladą twarz i powiedział z hamowaną pasją:

— Sądziłiscie, że ja... Gdy wam ofiarowałem całego siebie... wy... Pamiętajcie: prędzej Rosenberg ogłosi się Łotyszem, prędzej Hess Egipcjaninem, prędzej wódz... niż ja... Rozumie pan?

— Aż tak? — z ironią w głosie zapytał von Maries.

— Aż tak. Bo ja... — już nie tylko gniew, ale i pogarda, głucha, wściekła pogarda zabłysnęła w spojrzeniu majora — bo ja... — silił się na spokój — bo ja nie jestem jak wy wszyscy...

Wstał nie odrywając groźnego spojrzenia od oczu pułkownika. Cofnął się o krok w wojskowym ukłonie oddanym z całą starannością jakby na placu musztry. Zimno rzucił przez zęby:

— Melduję posłusznie swoje odejście...

Nie podając ręki zrobił ostry zwrot na pięcie i skierował się ku

wyjściu. Dopiero gdzieś w środku sali przypomniał sobie Gerde. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, że dziewczyna wstawszy od stolika przepycha się także między krzesłami w kierunku drzwi wyjściowych. Prawie razem znaleźli się w wykładanym lustrami foyer. Kręciło się tu zaledwie kilka osób.

— Hugo... — powiedziała zdyszczanym głosem i stanęła przed nim w wyczekującej pozie.

— Dobry wieczór, Gerdo — chłodną grzecznością parowała z mężczyzny burza gniewu. — Cieszę się, że cię widzę. Nie spodziewałem się ciebie zobaczyć...

Milczała patrząc uparcie ponad jego ramieniem. Widział jej twarz w dziwnym skręcie, przez co wydawała się jak zanurzona w bólu. Smagłe palce mięły torebkę z zamszu, która zwisała jej z ramienia na długim pasku.

— Nie mówisz nic? — w słowach Hugona pojawił się ton zniecierpliwienia. — Co ci jest? Chyba bawisz się nieźle w tamtym — zrobił ruch głową — towarzystwie...

Wciąż milczała, tylko jej piersi podnosiły się szybkim, nerwowym oddechem. Stali naprzeciwko siebie, nie budząc zresztą zaciekawienia wśród przechodzących tam i z powrotem ludzi, widać przyzwyczajonych do podobnych scen. Jedyne portier w liberii, siedzący między zszarzałymi palmami, wpatrywał się w nich z wyrazem mdłej ciekawości.

Wreszcie dziewczyna zaczęła mówić:

— Byłam... I jestem zaskoczona twoim przyjazdem... Hugonie. Nie dałeś mi wcale znać... Zjawiłeś się jednak w samą porę — powiedziała niemal patetycznie.

— Służę ci...

Wziął jej rękę w swoją dłoń, Gerda jednak wyrwała mu ją gwałtownym ruchem.

— Nie. Nie. Nie... — zaczęła ostro, prawie wrogo, zakończyła natomiast miękko i bezsilnie. — Nie, Hugonie — powtórzyła i podniosła na niego łzawy wzrok. — To jednak jest twoja wina...

— O jakiej winie mówisz? Nie czuję się winny...

Musiał się dobrze wziąć w garść i już po raz nie wiadomo który stwierdził dzisiejszego dnia, że ponosi go fala nie znanych mu dotychczas uczuć, silniejszych niemal od jego woli.

— Co jest moją winą, Gerdo?

Ruchem głowy wskazała salę.

— Powinieneś to wiedzieć — szepnęła. — Powinieneś to odczuć — dodała.

Hugonowi zdawało się, że poza oszklonymi drzwiami prowadzącymi do sali widzi niezbyt wysoką, ale prostą sylwetkę towarzysza Gerdy. Gładko przyczesane włosy lśniły w blasku lamp, a miękko

stulone usta wymawiały może w tej chwili imię baronówny von Recke. A jednak Kostrzewa pojmował ten tkwiący w głębi niepokój jako słabość i jak zwykle nie chciał się jej poddać.

— Ofiarowałaś mi swą przyjaźń...

Przerwała mu nagłym błyskiem oczu; przez chwilę twarz jej zapłonęła jakby wewnętrznym ogniem. Bez wysiłku mógł wyczytać z jej rysów targającą nią burzę i pragnienie oddania mu się w ręce miękko, ulegle.

— Zwiąrowałaś! Myślisz, że z tym można żyć? Że to wystarczy?

Płomienna pokusa przepłynęła falą obok mężczyzny. O ileż prościej byłoby powiedzieć dziewczynie o tym, co szmerze w głębi serca, o ileż łatwiejszy tyłby gest zezwolenia na wielką eksplozję uczuć. Lecz miałby ulec temu podstępemu wołaniu? Miałby zatracić siebie dziś, gdy odrzucił inną, niemniej pociągającą pokusę, która stawiała go wyżej ponad dotychczasowe życie, a jednocześnie poniżała go we własnych oczach.

— Nie mówiliśmy o niczym innym — powiedział.

— Dlaczego jesteś taki — wybuchnęła kobieta — dlaczego? Przecież...

Przemogła się, zdusiła w sobie płacz.

— Nie jesteś chyba człowiekiem...

Nie odrzekł ani słowa. Tylko ukośna fałda między brwiami i dwie drobne fałdy w kącikach oczu mówiły o wewnętrznym napięciu.

— Będziesz odpowiedzialny za to, co się stanie — mówiła prędko, zdyszczanym głosem przechodzącym chwilami w szept. — Ja nie mogę tak żyć. A kocham tylko ciebie... — wydawało się, że opuszczają ją siły. Zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek: — Tylko ciebie, Hugonie — rzucała urywane słowa — Hugonie... — Hugonie... — zabrzmiało to jak prośba i jak błaganie.

Nie drgnął, choć świat cały kręcił się wokół niego na kształt piekielnego wiatraka. Światła jakieś zapalały się i gasły. Lodowaty chłód wędrował po piersi, podchodził pod przętyk, dławił.

— Wolę żyć złudzeniami niż tą nieczłowieczą obojętnością. To jest potworne, Hugonie! — Już nie ból brzmiał w ustach Gerdy, ale rozpacz, która dodawała siły jej słowom. — Odpowiedz mi, odpowiedz, czy mnie nie kochasz i nie możesz kochać?

Przysunęła twarz do jego twarzy, jakby chciała spojrzeniem wydrzeć prawdę z jego oczu. On zaś matowym, zrównoważonym głosem odpowiedział:

— Mówiłem ci już, Gerdo, że nie wiem, co to znaczy miłość...

Odskoczyła od niego jak kotka. Twarz jej rozjaśnił nagle błysk decyzji. Pierś falowała, dłonie zaciskały się i rozwierały.

— Nie wiesz? A więc zobaczysz...

Szybko poszła w stronę sali. Kiedy stanęła w drzwiach, w jej wy-

prostowanej sylwetce była jakaś zuchwałość i wprost okrutna kokieteria. Chciała odrzucić dumnie głowę, lecz nagle siły ją opuściły i z wyrazem bólu na twarzy wróciła na salę.

Hugo wolno skierował się ku drzwiom prowadzącym na ulicę. Automatycznie wcisnął w rękę szatniarzowi garść monet i pchnął ciężkie wahadłowe drzwi. Powiało na niego chłodem i nocą. Na wydłużonym chodniku słyszał suchy tupot swoich kroków.

Pozostałem sobie wierny — powiedział do siebie cicho. Ale nie było w nim radości. Czuł natomiast, że wszystko w nim się buntuje przeciwko tyranii woli. „Nieludzkiej woli” — jak to powiedziała Gerda, którą po raz pierwszy włókł za sobą jak ciężkie brzemie.

Szedł tak przez kilka ulic zamyślony i posepny. Kiedy posłyszał rwany ryk syren, zaczął iść spieszniej rozglądając się po drodze za schronem.

XV

Vergeltung — z tym słowem na ustach wspinali się po skrzydłach na grzbiet samolotu, potem spuszczały nogi do kabiny i zasuwały za sobą budkę. Serca biły im w piersiach, lecz zacięta woła, pobudzona do czynu przez zręcznie przygotowane wezwanie, rozżarzała w ich myślach pragnienie zemsty. Motory wyły; za nimi drgało powietrze, w którym rozpląwały się gorące spaliny, wyrzucane z rury wydechowej. Przez ciało „Stuki” przebiegały dreszcze. Lecz jeszcze nie padł rozkaz z budki Kerschensteinera. Podpułkownik patrzył na zegarek ze zmarszczoną brwią. Wreszcie dał sygnał...

Wzbili się od razu śmiałym zrywem w górę. Pierwszy naturalnie commodore; Kostrzewa, jako zastępca dowódcy eskadry, na końcu. Toteż wszyscy startując mogli rzucić przelotne, lecz ciekawe spojrzenie na „Hagena”.

Nadszedł wreszcie dzień Hugona. Dotychczas nie użyto ani razu eskadry do lotu nad Londyn i major, który od dawna marzył o wyprawie nad Tamizę, mógł zdobywać laury wyłącznie w atakach na transporty morskie.

Zresztą zdobywali je wszyscy. O oczekiwanych awansach Hugona i Wiktora mówiło się w dowództwie głośno. Köstring i Schneditz zostali kapitanami, Zweigle — porucznikiem. Otrzymywali krzyże. Zdobyli miano najzuchwalszej, a zarazem najbardziej doświadczonej eskadry nurkowców. Przez pewien czas ważył się ich los i rozkaz odjazdu do Syrakuz był już prawie napisany. Zatrzymano ich jednak. I dziś o świcie padło nieoczekiwane wezwanie: o jedenastej pięć odlot nad Londyn. Cel bombardowania: zachodnio-południowa dzielnica. Powiadomić oficerów, podoficerów i żołnierzy, że jest to odplata za ostatni nalot terrorystyczny na stolicę Rzeszy...

Atak dzienny na Londyn w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku nie był już atakiem z sierpnia czy września tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Należało się liczyć z poważnymi trudnościami. Dlatego też dowództwo unikało wprowadzenia do walki ciężkich bombowców, zbyt powolnych potem w ucieczce. Wybrano więc „Stuki” i eskadrę „Much”.

— Hugonie — mówił po otrzymaniu rozkazu Wiktor — powiedz naszym chłopcom coś od serca. Przecież ta wyprawa była zawsze twoim konikiem. No, palnij parę gorących słów. Bo — widzisz — mnie się dzisiaj nie chce. Psie życie... Prędzej czy później postrącają nas wszystkich. Ich coraz więcej, nas coraz mniej...

— Nie gderz, stary.

— Masz rację. Ale w ogóle... Psie życie...

Zanim o godzinie dziesiątej minut piętnaście zerwali się do lotu, Kostrzewa zebrał członków eskadry w kasynie. Major miał twarz skupioną, poważną, a równocześnie promieniejącą. Dawno go już takim koledzy nie widzieli.

Jako pilot był zawsze niezrównany. Otaczał go nimb mistrza sztuki latania na nurkowcach. I gdyby zdecydował się na służbę na pościgowcach, dziś walczyłyby o pierwszeństwo z Möldersem czy Gallandem. Loty na „Stukach” były mniej efektowne, mniej dające pola do zyskania osobistej sławy, mimo to nazwisko Kostrzewy było znane w całym korpusie lotniczym. Nie wymieniano go zresztą nigdy samego, ale w połączeniu z innym, nie mniejszą sławą otoczonym nazwiskiem. Mówiło się po prostu: ci w „Stukach” mają dwóch fajnych pilotów: Kostrzewę i von Mariesa...

Hugo powrócił z Berlina z marszem gniewu między brwiami. Zaraz następnego dnia dokonał samotnego wypadu nad morze, zniszczył jakiś norweski parowiec i wyszedł zwycięsko z walki z kanadyjskim Hurricane’em. Potem, znowu samotnie, dokonał bohaterskiego wyczynu dolatując aż nad Kanał Świętego Jerzego, gdzie rzucił bomby na tankowiec. Teraz ci dadzą eskadrę — mówili wszyscy. Raport za raportem wędrował do dowództwa. Nazwisko Kostrzewy dostało się na listę oficerów, którzy mieli być przedstawieni Führerowi. Każdy inny żyłby oczekiwaniem i nadzieją; u Kostrzewy ponury grymas nie schodził prawie z twarzy.

Z talentem znakomitego mówcy przeszedł od koleżeńskiej pogawędki do porywczej przemowy:

— Lecimy nad Londyn... Nareszcie... Za kilka kwadransów będziecie mieli pod sobą siedzibę wroga, centrum jego woli, uczuć, pragnień. W to centrum zaczną uderzać wasze bomby. Pamiętajcie, że nie wolno wam żadnej z nich zmarnować. Wróg odgrodził się od nas korytem morskim, więc jest to jedyny sposób dobrania się do jego skóry. Skorzystajcie z okazji. Nie żałujcie krwi. Ten, którego bić będziecie, ośmielił się zaatakować stolicę waszej ojczyzny, zniszczył bezcenne dzieła sztuki, pozabijał i poranił ludzi. Odpłaćcie

mu za to. Tamci ludzie usiłowali przeszkodzić nam w drodze do wielkości. Pokażcie więc, że nam w tym przeszkodzić nie można. Naszym prawem jest ład, który niesiemy na ostrzach naszych bagnętów. Kto się temu prawu przeciwstawia, przeciwstawia się dobru ludzkości. I my sami jesteśmy ręką, która wymierzy karę. Jesteśmy najdoskonalszym narzędziem wszechwładnej Opatrzności...

Na końcu wypili za pomyślność wyprawy. Przy sposobności wspomnieli także pierwszy dzień walki o Norwegię. Iluż to dawnych kolegów od tego czasu zabrakło? Pierwszy Fay... Dziś może także...

Ale na lotnisku wyły już motory wzywające do odlotu.

Niskie chmury kłębiły się ciężko nad ziemią, zasnuwając niebo płachtą cienia, tu i tam przeblyskującego blaskiem zagubionego w dali słońca, tu i tam zągęszczonego w płaty mroku. W powietrzu czuć było duchotę nadciągającego z wolna deszczu. Lecieli nisko nad wybrzeżem francuskim, nad błotnistymi drogami, wzdłuż których stoją równe szpalery drzew, nad białymi domkami, nad plażą zlizywaną przez słony jeźor morza. Dopiero gdy rozwarła się pod nimi rozkołysana powierzchnia wodna, a świeży dech morza wionął im w twarz, dźwignęli „Stuki” w górę. Nieprzyjacielska wyspa czerniała w dali niby zwierz przyczajony do skoku. Znali już dobrze, jej białe brzegi i twarde odpryski skalne zanurzone w ukropie morskiej kipieli. Zaraz za nagą łachą wybrzeża rozpoczynały się połacie łąk, lasów i zagajników. Ale tam właśnie czekały na nich nieprzyjacielskie armaty. Świetnie zamaskowane w szarej, przedwiosennej, zmytej przez zimę zieleni, kierowały wąskie lufy w ich stronę. Powietrze grzmiało od wystrzałów. Zresztą huk, o ile go można było słyszeć poprzez łoskot motorów i świst powietrza, unosił się nad ziemią w dole z jakąś zawziętą uporczywością. Lecieli w samo centrum tego hałasu, aż wreszcie przeogromna szara plama miasta, lepiąca się od szeroko w tym miejscu rozlanej rzeki, pojawiła się przed nimi. Tam, w dole, niewątpliwie ryczały w tej chwili syreny obłąkanym zanoszeniem się skatowanego dziecka. Szkarłatno-złote kłęby ognia tryskały tu i ówdzie spomiędzy szarych murów, a czarniaworudy dym wspinał się i rozmazywał nad dachami domów, złączony z mgłą, która delikatną przedzą spinała szare niebo z szarym miastem.

Z furkotem zatoczyli krąg, podrzucani na skrzydłach powietrza falującego od wybuchów niezliczonych pocisków. Zawiśli na wysokim pułapie nieba wypatrując pilnie, z ręką czujnie wspartą na drążku, gdzie mają uderzyć.

Pierwszy runął Kostrzewa, a zaraz za nim Köstring. Cisnąwszy bomby między dachy domów, Herbert uciekł znowu świecą w górę spostrzegłszy, że inne samoloty eskadry „Much” nurkują wśród wiru rozrywających się pocisków. Był świadkiem, jak samolot Wiesemanna trafiony pociskiem rozleciał się w powietrzu na strzępy. Rwali ku górze, uciekając pod opiekuńcze skrzydła niemieckich myśliwców. Ale już i stado pościgowców nieprzyjacielskich leciało ku nim szerokim kręgiem. Messerschmitty usiłowały zatrzymać prze-

ciwników, toteż wokół zmykających eskadr bombardujących rozpoczął się obłądny taniec wzajemnie się ścigających lekkich samolotów. Była tu słynna „eskadra Richthofena”, byli najlepsi piloci: Mölders, Galland, Lützow, Oesau, Phillip, Schellmann. Ale Anglicy mieli przewagę. Przerwali krąg pościgowców odgryzających się zaciekle i dopadli ciężkich samolotów bombardujących. Zaskrzeczały motory nieprawdopodobnie szybkich Spitfire’ów. Zachrzęściły złowieszczo karabiny maszynowe, zaszczekały działa. Köstring trzymał się Kostrzewy. W pewnej odległości od nich leciał Hubek. To właśnie na niego runął Spitfire z oznaką eskadry czeskiej. Przemknął nad ogonem „Stuki” niby bicz nad karkiem uciekającego psa i przez ten niepojęcie krótki moment mijania skierował na samolot kapitana ogień swych ośmiu karabinów maszynowych. To wystarczyło, aby motor samolotu Hubka ogarnęły nagle płomienie. Herbert widział, jak oficer odrzucił pokrywę kabiny i ze spadochronem na plecach miał się rzucić w przestrzeń. W tym samym jednak momencie gwałtowna eksplozja rozdarła „Dorcie”, a widok lecącego w powietrzu koła był ostatnim obrazem, jaki pozostał Köstringowi pod powiekami.

Równocześnie prawie lądował z Kostrzewą. Na lotnisku stał samolot Zweiglego, młody porucznik z zacięciem dłuwał wykałaczką w zębach.

— Musiałem zawrócić, bo mi maszyna nawaliła. Jak tam było? — Nie wyglądał na zmartwionego tym, że ominęła go wyprawa na stolicę przeciwnika. Wyjął papierośnicę. — Co, szlag trafił Hubka? — Nie czuło się żalu w jego słowach. Starannie osłonił się od wiatru, aby zapalić grube cygare, dziwnie nie pasujące do jego tłustych warg. — I Wiesemanna? — Teraz jakby niepokój zapalił się w bładych, bezbarwnych oczach Zweiglego. — To była, widzę, jatka — rzucił przez zęby.

Hugo podszedł do telefonu sprawdzić, czy mają lecieć po raz drugi. Otrzymał odpowiedź, aby nikogo nie wypuszczać, za godzinę zaś zameldować straty eskadry.

Właśnie nadleciał samolot Esterla zwany „Odynem”. Najmłodszy pilot wyszedł z kabiny z twarzą upiornie bladą i z rozdygotanymi ustami. Wyglądał jak człowiek, który ostatkiem sił opanowuje młdości.

— Widzieliście, jak wykończyli Jerzego? — zaczął mówić jakimś nienaturalnym, gorączkowym głosem. Ostatnio Esterl zaprzyjaźnił się bardzo z Müllerem i ta ich przyjaźń była dla niego pociechą w chwilach niepokoju o ukochaną dziewczynę. Podnieśli na niego zdumiony wzrok.

— Jak to? Müllera?

— Ależ to klęska! — zapiał Zweigle.

— Jego samolot rozleciał się na strzępy... Jerzy nie miał czasu

wyskoczyć... Och, to straszne... — oczy Esterla nabrały znowu błędnego wyrazu. Trzęsły go dreszcze, a twarz szarzała coraz bardziej.

Zobaczyli sylwetkę „Stuki” nad lotniskiem. Samolot podchodził do lądowania.

— Pewno commodore — wymienili uwagi.

— Albo Schneditz.

— Może który z tych waszych nieboszczyków — dowcipkował głupawo Zweigle.

Junkers równo wylądował. Był to Wolf. Oficer wyskoczył z kabiny i obrzucił bystrym wzrokiem grupkę pilotów.

— Czy już wiecie, że Müller i Wiesemann strąceni?

Potwierdzili kiwaniem głów.

— Hubek także — dorzucił Zweigle głosem złowróźbnej Kasandry.

— Tommies wałą z jakichś działek, których pociski rozrywają cały aparat. Z Müllera zrobili marmoladę — mówił Schneditz, szukając w kieszeni papierośnicy. Dopiero gdy zaciągnął się dymem, zdołał opanować nerwowe drżenie policzków.

— Wszyscy tak zginiemy! — wykrzyknął Esterl, a głos załamał mu się w spazmatycznym szlochu. — Jerzy... Jeszcze wczoraj cały wieczór gadaliśmy ze sobą... Mówił... — Urwał i wcisnąwszy pięść w usta poszedł zataczając się w stronę baraków, w których mieszkali.

— Zobaczycie, że znowu zacznie szaleć — zauważył Herbert.

— Chodźcie przekąsić coś do kasyna — zakomenderował Hugo. — Nie można stać tu bez końca i wyrzekać.

Siedli. Rozmowa jednak się nie kleiła. Jeden tylko Zweigle gotów był gadać o wszystkim i o niczym, ale innych drażniły jego idiotyczne uwagi. Gdy nie miał zamiaru umilknąć, Hugo warknął na niego:

— Nie było cię nad Londynem, nie masz teraz o czym gadać. Na długo to jednak go nie uspokoiło. Przez chwilę rozmyślał, potem zrobił uwagę:

— Kerschensteinera ciągle nie ma.

Odpowiedziała mu cisza. Piloci byli już tak przygnębieni wypadkami dnia, że nawet nie chcieli dopuścić do siebie myśli o jeszcze jednej ofierze ataku na Londyn.

— Godzina minęła, Hugonie — rozkoszny członek eskadry zwrócił się do Kostrzewy.

— Wiem o tym. Nie potrzebujesz mi przypominać.

— Miałeś meldować o stratach...

— Co miałem zrobić, to zrobię. Ja czy ty jesteś zastępcą komendanta?

— Cicho — Schneditz położył palec na ustach — samolot...

Zastygli w bezruchu, nasłuchując cichego warkotu. Gdzieś w dali pracował rzeczywiście motor. Słyszeli, jak początkowo brzmiał cichą, komarzą śpiewką, potem nabrał niskich tonów niby głos grubego, włochatego bąka, lecz zaraz przeszedł w wyższy, a zarazem łagodniejszy dźwięk, mówiący o oddalaniu się samolotu.

— To nie Wiktor — rzekł Hugo.

Spojrzał na zegarek. Godzina rzeczywiście przeszła. Trzeba było złożyć meldunek. Ale oficer jeszcze się ościągał.

— Zastanawiam się nad tym, gdzie mógł stary lądować. Bo przecież musiał powrócić...

— Tyle lotnisk... Niewątpliwie... Ale czemu nie telefonuje... Jakby obudzony słowami Herberta, zadzwonił w tej chwili telefon. Hugo podniósł słuchawkę.

— Halo. Przy telefonie major Kostrzewa.

W słuchawce skrzeczał głos mówiącego z oddali człowieka, dziwnie nierealny i jakby dziecinny. Kostrzewa pośpieszył z wyjaśnieniami.

— Nie meldowałem dotychczas, panie pułkowniku, ponieważ brak mi jeszcze wiadomości o jednym z samolotów. Pułkownik Kerschensteiner? Nie, nie ma. Tak, to właśnie jego aparat nie powrócił.

Znowu jakieś pytanie popłynęło po drucie.

— Trzy samoloty, panie pułkowniku — odpowiedział major. — Niestety, dużo. Nie, nie liczę. Tak, wówczas byłyby cztery aparaty.

Dorzucił „heil” i położył słuchawkę na widelki. Przez chwilę wstrzymali oddech, bo w dali warczał samolot. Ale gdy się tylko zbliżył, doświadczonym uchem poznali, że to huczy świeżo wprowadzony do służby dwuogoniasty Focke-Wulff. Izbę napęłniły ciężkie oddechy siedzących.

— Która godzina, Hugonie? — zapytał Köstring.

— Trzecia...

Dwie godziny minęły, odkąd powrócił ostatni samolot. Schneditz spacerował tam i z powrotem po pokoju. Köstring rysował coś bezmyślnie ołówkiem na pudełku od papierosów. Nerwy odmawiały oficerom posłuszeństwa. Jeden Kostrzewa zdawał się być zupełnie spokojny i tylko ponura zmarszczka między brwiami mówiła, że zdobywa ten pozorny spokój całą siłą woli.

Wskazówki posuwały się z tą rozpaczliwą szybkością, z jaką mkną zawsze, gdy człowiek chciałby czas w biegu zatrzymać. Znowu zadzwonił telefon. Przyjął go Hugo. Obaj oficerowie — Zweigle wyniósł się znudzony z pokoju — z napięciem patrzyli na twarz Kostrzewy.

— Tak, panie pułkowniku. Słucham... Ach, tak... Ze wszystkich?

Trzeba się więc z tym pogodzić... Dziękuję, panie pułkowniku... Dziś o ósmej?... Będę, naturalnie. — Odłożył słuchawkę.

— Mam odprawę o ósmej — powiedział do Köstringa. — Ty, Herbertcie, musisz mnie zastąpić.

— A... a... — młodemu kapitanowi zabrakło nagle głosu — a Wiktor? — wyjąkał z trudem.

— Nie ma go na żadnym z lotnisk. — Hugo mówił to sucho, prawie obojętnie. — Trzeba więc przyjąć, że...

Nagle posłyszeli tuż pod barakiem ryk motoru. Jednym skokiem dopadli drzwi, zdumieni, że nie słyszeli, jak nadlatywał samolot. Ale zaraz zrozumieli swoją omyłkę. To nie był powracający Kerschesteiner, tylko jedna ze stojących „Stuk” toczyła się właśnie do startu. Kiedy pędziła już w górę świecą, poznali, że to Esterl poderwał swoją maszynę. Spojrzeli na siebie zdumieni, Hugo zaś zaraz krzyknął:

— Zimmermann! Nadaj rozkaz powrotu!

Tymczasem wyzwolona „Stuka” zatoczyła krąg nad lotniskiem, potem drugi, za każdym razem wzbijając się coraz wyżej. Ludzie powybiegali z budynków i śledzili z uwagą ten szalony lot. Herbert zauważył wśród porozbieranych już do odpoczynku podoficerów obserwatora Esterla — Urbacha.

Tymczasem lotnik w górze położył samolot do nurka. Posłyszeli dziki, a tak im znany jazgot aparatu zbiegającego z wysokiego nieba. Junkers rósł w oczach; zbliżał się. Śledzili go, oczekując za chwilę wyrównania. Ale zuchwały pilot zapragnął widać wyrównać nad samą ziemią. Samolot pędził w dół jak strzała i gdy wreszcie wśród huku wybuchającej benzyny wbił się w ziemię na skraju lotniska, patrzący wydali okrzyk zgrozy, a jednocześnie głos jakiejś niezmiernie wprost rozpaczy zadzwonił im w uszach bolesną skargą.

XVI

Odprawa miała miejsce w eleganckim pałacyku zamienionym na kwaterę dowództwa sił powietrznych na francuskim wybrzeżu. Zmrok już wisiał nad ziemią, gdy motocykl Kostrzewy zatrzymał się przed schodami, u których podnóża chodził miarowym krokiem wartownik w hełmie i w szarej kusej kurcie rozchełstanej pod szyją. Świetnie zaciemniony budynek zdawał się spać w mroku i dopiero gdy minęło się obite czarnym papierem szklane drzwi okute artystycznie rzeźbioną kratą, wchodziło się do pełnego ludzi i życia hallu. Gwar panował niebывały, gdyż zebrało się tu ze trzydziestu oficerów — dowódców eskadr. Sine smugi dymu tytoniowego unosiły się w powietrzu. Kilku żołnierzy kasyna, w białych fartuchach włożonych na mundury, roznosiło między zebranymi butelki z piwem lub winem. Kostrzewę powitał szmer sympatii.

— Witaj, triumfatorze dnia.

— Będziesz musiał dziś każdemu coś postawić.

— Żaden na dwóch nogach do siebie nie powróci.

— Ale ci się to należało.

— Ba, sława niemieckiego lotnictwa...

Hugo stał w progu uśmiechnięty i zaskoczony. Wreszcie rzekł:

— Wszystko dobrze, ale powiedzcie mi, o co chodzi. Bo ja nie wiem.

Wybuchnęli śmiechem.

— Skromniaczek. Niby nie wiesz o waszych sukcesach. Przecież, jak mówią, o małości „kinga” Jerzego nie ubili.

Do Kostrzewy podszedł wysoki, chudy jak tyka, o długiej końskiej twarzy podpułkownik Galland, as asów lotnictwa pościgowego.

— Wszystkiego najlepszego, stary — objął Hugona ramieniem i ucałował w oba policzki. — Przyszły dla ciebie Liście Dębowe i awans. Przywiózł je Milch. No, a za dzisiejsze sukcesy pewno otrzymasz swoją eskadrę. Tym bardziej że podobno biedny Wiktor zginął...

— Tak.

— Szkoda chłopca. Ale cieszę się twoim sukcesem. Dogoniłeś nas wszystkich, którzyśmy byli w Hiszpanii.

Do rozmawiających podszedł jeden z wyższych oficerów z kieliszkiem w ręku.

— Zdrowie pułkownika Kostrzewy.

Sala wzniosła wesoły toast.

— Gdy tak pijemy, Churchillowi opadają portki — ktoś rzucił.

Odpowiedział mu grzmot śmiechu. To był najweselszy kawał, który nigdy nie zawodził w towarzystwie. Zatopiono okręt — z Churchilla opadały portki; strącono samolot — z Churchilla opadały portki. Ktoś dostał krzyż — to samo. Dowcip zawsze skutkował.

Czekali już dłuższy czas na odprawę; wreszcie jeden z oficerów sztabowych zeszedł po schodach i zawiadomił, że za chwilę się zacznie. Rzeczywiście otworzyły się drzwi na półpiętrze i do hallu wkroczyło dwóch generałów oraz kilku pułkowników. Dowódcy i podwładni wymienili między sobą ukłony partyjne, po czym wśród szurgotu butów i krzeseł wszyscy posiadali. Zabrał głos niski, przysadzisty generał z krótkim nosem i wydatną szczęką. Mówił spokojnie, rzeczowo, po wojskowemu. W krótkich słowach przedstawił sytuację, a mianowicie: trudne warunki utrzymania blokady Anglii oraz nękających nalotów, wywołane koniecznością wysłania części sił lotniczych nad Morze Śródziemne. Jednak walka w Afryce — zdaniem generała — ma nie tylko wielkie znaczenie — bo kto wie, czy nie tam właśnie zada się śmiertelny cios Wielkiej Brytanii? — lecz także służy przystosowaniu oddziałów niemieckich do przyszłej

walki o kolonie. „Nasze imperium — scharakteryzował to w ten sposób — jest imperium europejskim, ale gospodarstwo niemieckie będzie potrzebowało surowców kolonialnych.” Te trudne warunki walki polepszą się wkrótce, ponieważ w kraju wciąż szkolą się nowe eskadry. Tamci młodzi piloci ożywieni są jak najlepszym duchem, rutynę zaś zdobędą prędko pod kierunkiem tak znakomitych lotników, jacy są tutaj. W tym miejscu generał zaczął mówić z uznaniem o zgrupowanych na francuskim wybrzeżu eskadrach. Wymienił liczbę otrzymanych krzyży, wspomniał o wyczynach poszczególnych eskadr, zacytował straty angielskiego tonażu. Wyraził swą radość z tego, że może zebranim zakomunikować wiadomość o przyznaniu przez wodza Rzeszy odznaki Liści Dębowych do Krzyża Rycerskiego dla pułkownika Kostrzewy — poszukał w tym momencie wzrokiem Hugona i uśmiechnął się doń przyjaźnie, oficer zaś podziękował mu za to sztywnym wojskowym ukłonem — oraz dla pułkownika Alfreda von Mariesa. „Nieobecny” — rzekł głośno jeden z oficerów. Z kolei przeczytał listę odznak i awansów. Po chwili znowu wrócił do oceny sytuacji, zaznaczając, że jednak wymaga ona całego wysiłku ze strony korpusu lotniczego. Wroga, odgradzonego od kontynentu europejskiego morzem, nie tak łatwo zwyciężyć — ale naturalnie należy wierzyć, że gdy padnie rozkaz ataku na wyspę, wówczas Anglia w pięć dni zostanie zwyciężona. Zanim jednak chwila wezwania nadejdzie, winni trwać na swoim stanowisku i walczyć zawzięcie z wszystkimi próbami nieprzyjacielskiej kontrofensywy. Straty w tych zmaganiach muszą być, jednak krew bohaterów nie leje się daremnie. „Dziś dowiaduję się o pewnych ofiarach, które poniosły eskadry — mówił to głosem pełnym żalu — lecz bohaterstwo tych, co padli, wzniosło wieczysty pomnik niemieckiemu żołnierzowi i niemieckiemu lotnictwu... Pamiętajcie bowiem, panowie, słowa z piosenki »Kein schön'rer Tod auf dieser Welt, als wer vor'm Feind erlegen«...”

Uśmiechnął się do słuchaczy. W szyby okienne bił deszcz z wichrem. Na sali nie było zapału. Oficerowie siedzieli zaszepieni, znużeni, źli. Mieli już dość przemówień, podczas których wychwalało się ich bohaterstwo, rozdawano krzyże i awanse, mówiło tyle wielkich słów — prócz jednego i jedynie oczekiwanego. Znowu beznadziejna, nic nie przynosząca walka miała się ciągnąć bez końca, podtrzymywana ofiarą ich krwi. Doszli już do takiego stanu, że nie buntowali się przeciwko dysponowaniu swym życiem. Uważali swoje męstwo za coś zupełnie naturalnego. Lecz wstręt w nich budziły te pochwały, te wielkie słowa, cały ten patos, którym zachłystywali się ich zwierzchnicy.

— Po kampanii polskiej — doleciał uszu Hugona szept — dawali Krzyże Żelazne, po kampanii francuskiej — Krzyże Rycerskie, teraz zaczynają dawać Liście Dębowe...

— Dziękuję panom — generał skończył odprawę. — Poproszę teraz do siebie pułkownika Kostrzewę.

Poszedł po schodach na górę. Za nim udał się Hugo. W hallu po-

wstał szmer. Oficerowie ubierali się w skórzane płaszcze, narzekając na pogodę. Byli zawiedzeni, bo każdy z nich oczekiwał, że ta odprawa przyniesie im coś nowego: jakieś odprężenie w beznadziejnie męczącym dreptaniu w miejscu, jakim była ta walka.

W małym pokoju na piętrze, do którego wszedł Hugo, znajdował się generał, paru wyższych oficerów sztabowych i jakiś starszy mężczyzna w kawowym mundurze partyjnym. Tego ostatniego Kostrzewa nie widział poprzednio na sali.

Generał podał rękę Hugonowi.

— Jeszcze raz gratuluję panu pułkownikowi odznaczenia.

Następnie podszedł do Kostrzewy człowiek w ubraniu partyjnym. Przedstawiając się wymienił nazwisko, które oficer dobrze znał ze słyszenia. On także składał życzenia Hugonowi. Po czym otworzył papierośnicę gestem towarzyskiej zachęty.

— Proszę. Może pan pułkownik pozwoli. Bardzo chciałem oświadczyć pana poznać. Wy, żołnierze frontowi, nie znacie pewno swojej popularności w kraju.

Papierosy były doskonałe. Znakomity turecki tytoń pachniał w gилizie z cieniutkiej jedwabistej bibułki.

— Pan jest świetnym żołnierzem, a przedtem był pan dzielnym członkiem partii...

— Proszę mi nie mówić komplementów.

— Dlaczego? Nigdy się nie powinno pomijać milczeniem zasług człowieka. My, Niemcy, rozumiemy lepiej niż jakikolwiek inny naród wartość cnót i charakteru oraz oceniamy je należycie...

Zmienił nagle temat.

— Niech mi pan pułkownik łaskawie opowie wrażenia z waszych lotów nad Anglią. Jakich doznajecie panowie uczuć? Jak się czujecie w powietrzu? Czy mocna jest obrona angielska? Czy jesteście zadowoleni z naszych maszyn? Wszystko to jest bardzo ciekawe.

Generał podpisywał jakieś papiery przy biurku. Oficerowie kolejno zabierali swoje teczki i wychodzili z pokoju. Rozmawiający z Hugonem mężczyzna osunął się ciężko na wygodny fotel.

— Trudno w kilku słowach odpowiedzieć na pańskie pytania — rzekł Hugo. — Nasze uczucia są skomplikowane... Z aparatów jesteśmy zupełnie zadowoleni. Anglicy zaś bronią się — rzecz zrozumiała — uporczywie i mocno. Tak być musi. Zresztą w nas, żołnierzach, przeciwnik słaby i lękliwy budziłby tylko wstręt.

— Więc panowie cenią Anglików?

— Naturalnie.

— Ale panowie chyba rozumieją, że między nami i nimi toczy się walka na śmierć i życie?

— To zupełnie jasne. I nikt z nas w to nie wątpi. Lecz uznanie

dla przeciwnika, który się dobrze broni, jest czymś zupełnie innym niż sympatia dla wrogiego nam narodu.

— Racja. Lecz czy to nie osłabia waszej nienawiści?

Kostrzewa spojrział uważnie na grube usta mówiącego.

— Do zwycięstwa nad Anglią — powiedział — nie potrzeba nienawiści. Wystarczy nam wiara w słuszność sprawy i hart ducha.

Dostojnik partyjny pokiwał głową.

— Pański zapal zdolny jest każdego porwać. A propos — pan pochodzi ze wschodnich obszarów?

— Tak. Z Prus Wschodnich.

— Nazwisko pana zdradza. Powinien pan starać się o jego zmianę.

— Nie myślałem nigdy o tym. Tak samo dobre nazwisko jak każde inne. Wielu ludzi z Rzeszy ma podobne.

— No tak, niewątpliwie...

— Czyż muszę być gorszym żołnierzem dlatego, że noszę nazwisko Kostrzewa?

— Na pewno nie. Lecz pan ma chyba wyższe ambicje niż inni?

— O człowieku stanowi jego wola. Stajemy się tym, kim chcemy być. Ja, proszę pana, gdy raz sobie wytknąłem pewien cel, nie scho-
dzę nigdy z określonej drogi.

Dostojnik skłonił z uśmiechem głową.

— Rzesza ceni to w panu...

Za oknami lał tak gęsty deszcz, że potoki wody spływały po szybach. Gdy zamilkli, słyhać było plusk i uderzanie kropel, niby pukanie wielu palców w zamknięte okna. Wiatr trząsał gałęziami drzew w ogrodzie. W ciemnej dali huczały baterie przybrzeżne może znowu Anglicy pod osłoną nocy starali się podpłynąć do francuskiego wybrzeża?

Mężczyzna w partyjnym mundurze zwrócił się do generała:

— Dziękuję panu, panie generale, za umożliwienie mi rozmowy z panem pułkownikiem...

Wstał z fotela i pożegnał się partyjnym podniesieniem ręki. W pokoju oprócz Kostrzewy pozostał tylko generał i chudy pułkownik z monoklem w oku, z wysoko podstrzyżoną czupryną.

— Niech pan siądzie, panie pułkowniku. — Generał wskazał Hugonowi krzesło. — Więc jednak eskadra „Much” poniosła duże straty? Biedny Kerschensteiner. Trzeba was na nowo skompletować. Naturalnie, nie potrzebuję chyba panu przypominać, że nie należy rozpowiadać o tych stratach...

— Rozumiem, panie generale.

— Wystarczy, że będziemy musieli opublikować notatkę o strąceniu Kerschensteinera.

Położył na biurku kilka papierów, zrobiwszy przy tym gest, jakby czegoś szukał.

— Za to szczęśliwie udało nam się znaleźć doskonałego dowódcę dla waszej eskadry — powiedział patrząc w rozłożone przed nim papiery. — Pod jego kierunkiem nie zabraknie wam na pewno i roboty, i laurów. A pan powinien być chyba specjalnie zadowolony z tego wyboru...

Urwał, spojrzał na zbladła twarz siedzącego przed nim oficera.

— Nie chcę ukrywać, że pułkownik von Maries i pan jesteście dwoma najlepszymi pilotami „Stuk”. Toteż rywalizacja między wami, gdy znajdziecie się w tej eskadrze, winna przynieść znakomite rezultaty.

— Więc to pułkownik von Maries ma objąć dowództwo eskadry „Much”?

Głos Hugona był zachrypły; nagle skończył język z trudnością obracał się w ustach.

— Tak — generał wciąż patrzył uważnie w papiery, lecz po jego pełnych policzkach pełzała chmurka zająknięcia.

— Zdaje się, panie generale — Hugo mówił mechanicznie i wolno — że nie było dotychczas w praktyce, aby w tej samej eskadrze znajdowało się dwóch oficerów w stopniu pułkownika.

— Możliwe. Lecz jesteśmy, pułkowniku, młodą bronią, która tworzy sobie dopiero praktykę. Zresztą myśleliśmy także o powiększeniu składu eskadr nurkujących. Znajdujemy się przecież ciągle w stadium organizacji.

Spojrzał znad papierów na Kostrzewę i spostrzegł ostry błysk w jego oczach. Twarz Hugona zadrżała i tym groźniej iskrzyły się spoza przymkniętych powiek siwe, głęboko osadzone oczy. Ale Kostrzewa milczał. Generał mówił dalej:

— Przekaze pan eskadrę pułkownikowi von Mariesowi, a do czasu jego przyjazdu pan będzie pełnił jego funkcje. Dlaczego von Maries nie było na odprawie? — spytał siedzącego obok pułkownika.

— Poleciał do Berlina, wezwany do umierającego dziadka. Pan generał wie, o kogo chodzi?

Tamten skinął potakująco głową.

— A więc jak mówiłem — wrócił do przerwanej rozmowy — zajmie się pan eskadrą do czasu powrotu pułkownika. A pana nie wzywano do Berlina? — zainteresował się nagle.

— Nie, panie generale.

— Ach, so... — zwierzchnik począł na nowo przerzucać papiery. — No, nie zatrzymuję pana, panie pułkowniku. Pewno pan będzie oblewać swój awans i odznaczenie. Proszę się nie krępować. Wasza eskadra przez parę dni nie będzie mi potrzebna. Do widzenia. Jestem rad z pańskiego odznaczenia. Przyzna pan jednak, że tylko Niemcy potrafią tak wynagradzać prawdziwe zasługi...

Tylko Niemcy potrafią tak wynagradzać prawdziwe zasługi...

Już drugi raz w ciągu dzisiejszego dnia usłyszał to zdanie. Zresztą i poprzednio powtarzano je niejednokrotnie wobec niego. Ba, on sam często tak mówił. Ale chyba nigdy te słowa nie zabrzmiały równie fałszywie i ironicznie, jak w chwili gdy po szerokich wygodnych stopniach schodził do hallu.

Odetchnął z ulgą zobaczywszy, że już nikogo nie ma. Oficerowie zwołani na odprawę rozjechali się, i tylko żołnierze w białych kurtkach ustawiali krzesła. W sąsiednim pokoju był urządzony bar, gdzie przy stolikach siedziało jeszcze kilku oficerów. Hugo, zanim wszedł, rozejrzał się uważnie, czy nie ma wśród nich kogoś znajomego.

Usiadł z boku. Usługującej dziewczynie rzucił krótko:

— Koniak.

Hugo nie należał do abstynentów, ale też nie zdarzyło się, by pił nad miarę. Nie widziano go nigdy pijanego czy bodaj podchmielnego. Pijaństwem gardził jak każdą inną namiętnością, która wymyka się nadzorowi woli. Dlatego też widok Kostrzewy samotnie siedzącego nad flaszką koniaku wywołał szmer zdumienia wśród znających go z opinii oficerów.

— Oblewa swoją odznakę i awans... — szeptano.

— Ale robi to na ponuro. Wyprawia raczej stypę po Kerschensteinerze.

— Dajże spokój. Dzięki śmierci tamtego dorwie się nareszcie do dowództwa eskadry.

— Aż dziwne, że mu jej dotychczas nie dali.

— Pewnie. Byczy chłop.

Hugo nie słyszał ich słów. Trzykrotnie nalewał sobie złotego i wonnego płynu. Potem zapalił papierosa i śledził roztargnionym wzrokiem ulatujące kółka dymu. Jego dłoń wybijała na kancie stołu niespokojny rytm.

Do baru wszedł podoficer z teczką w rękę. Skierował się w stronę stolika Hugona.

— Czy pan pułkownik nie zechciałby wziąć ze sobą korespondencji do eskadry?

Kostrzewa bez słowa skinął głową i wyciągnął rękę. Wziął paczkę listów. Gdy podoficer odszedł, Hugo zaczął przeglądać otrzymane koperty. Najprzód były dwa listy do Kerschensteinerja — odłożył je na bok. List do Müllera — to samo. Kartka z widokiem Prateru do Schneditza oraz list do Köstringa znalazły się po drugiej stronie. W ten sposób podzielił resztę korespondencji. Na końcu znalazł list do siebie. Wystarczyło mu spojrzeć na adres wypisany na kopercie, by poznać, od kogo list pochodzi.

Nie otworzył go zaraz. Przez dłuższy czas zaciągał się dymem, po-

tem wypił kilka, szybko jeden za drugim napelnionych kieliszków. Przebiegł go dreszcz — koniak budził czasami obrzydzenie.

Kazał dziewczynie zabrać butelkę z francuskim napisem, a na jej miejsce przynieść flaszkę „rosyjskiej wódki”. Był to lekko tylko rozcieńczony spirytus — napój, który cieszył się coraz większym powodzeniem w kołach lotników.

Cóż ona mogła jeszcze pisać? Od czasu ich ostatniej rozmowy we Flieger-Palast korespondencja między nimi ustała zupełnie. Czegóż więc jeszcze chce? Rozerwał kopertę i szybko przebiegł wzrokiem niezwykle krótką treść zawartą zaledwie w paru linijkach pisma. Potem automatycznym ruchem sięgnął do kieliszka... Doznał niemiłego uczucia zawrotu głowy, jak uderzony mocno po czasce. Nurt myśli oficera rozdziwił się: jedne myśli kłębiły się nadal niespokojnie i gorączkowo wokół jakichś trudnych do sprecyzowania ośrodków buntu, inne znowu poczęły się rodzić w pewnym oddaleniu, w postawie śmiertelnej i obojętnej obserwacji tamtego chaosu. Hugo cierpiał, a jednocześnie mógł analizować własne cierpienia, niby cierpienia innego człowieka.

Ciężko wstał od stołu, włożył płaszcz. Nie obciągał go starannie jak zwykle; pozwolił mu się zmarszczyć w tysiące fałd na biodrach. Rozpoczętą butelkę zabrał ze sobą. Należność jednak uregulował starannie układając garść ołowianych fenigów na brzegu marmurowego stolika. Listy do zabitych członków eskadry włożył do jednej kieszeni, listy do żywych do drugiej. Potem wyszedł nie żegnając się z nikim.

Noc była ciemna. Deszcz przestał padać, ale wilgoć wisiała w powietrzu. Drogę oświetlała jedna jedyna niebieska lampka: na zakręcie było pełno kałuż. Na widok Hugona z mroku wynurzył się kierowca motocykla i począł zapuszczać motor. Ale gdy wreszcie rozległo się pykanie silnika, Hugo bez słowa sam siadł na siodełku, dając żołnierzowi znak ręką, żeby wlaź do kosza.

Ruszył od razu szybko. Latarnia w skórzanym futerale rzucała przez poprzeczne wycięcie słaby blask na błotnistą drogę. Lecz pod błotem była twarda nawierzchnia i koła motocykla trzymały się jej mocno. Dłoń Hugona pewnym ruchem obracała manetkę z gazem, a trójkołowy wehikuł ze wzrastającą szybkością mknął naprzód niby pocisk wypuszczony w czarną ścianę nocy.

Wiatr rzucał strzępami mokrej mgły w twarz Kostrzewy, który doprowadziwszy motocykl do karkołomnej szybkości, przestał się nim interesować. Nie myślał zresztą nigdy o szczegółach jazdy, powierając się całkowicie swej wspaniałej intuicji.

Dziś może wolałby zmusić się do uwagi, aby zagłuszyć w sobie szarpającą nawałnicę uczuć. Było to jednak niepodobieństwem. Przeciwnie: miotająca się w sercu Hugona burza dodawała, zda się, tylko pewności jego dłoniom, pozwalając pędzić motocyklowi z obłądną szybkością, bez oglądania się na kałuże, wykroty, zwały błota...

Zrodzone w niepokoju serca myśli nie dawały się wyprzedzić: gdyby się nazywał von Grote, gdyby przyjął dar starego generała, jego życie weszłoby na zupełnie inne tory. Ludzie, którym ofiarował wszystkie swe siły, nie ufali mu. Od lat zdawał sobie z tego sprawę, od lat czuł, że otaczają go podejrzliwe spojrzenia kolegów czy zwierzchników. Lecz choć ideę ruchu pozwolił sobie zaszczerpić głęboko w krew i choć dla niej poświęcił wszystkie swe siły — te nie wyrażone nigdy głośno opory wciąż stawały mu na drodze. Jak niewidzialne nici pajęczych sieci otaczały go ze wszystkich stron, utrudniały mu posuwanie się naprzód, wstrzymywały w locie. Innych — Hessów, Goebbelsów, Lützów, Schirachów, Darrów — wynosiła na swym grzbiecie fala zwycięskiego ruchu, on musiał przebijać się ku górze krok za krokiem, sam tworząc, sam działając, sam zwyciężając.

Rzecz dziwna — początkowo szło mu łatwiej. Tryskający u podnóża Alp strumień zdawał się mieć w górnym biegu klarowniejszą toń i wyraźniej, bezpośrednio, mocniej uderzał w napotykaną na drodze zapory. Przypominał wezbraną rzekę, która rwie nawarstwione przez lata bezładu osypiska przybrzeżne i ukazuje raz jeszcze swą siłę, którą inni uważali za zmarłą, a która przecież — żyje. Potem jednak, już w dolinach, zmaciły się jej wody. Nie był to już szturm od frontu, ale jakby poszukiwanie łatwiejszych przejść i przepływów, staczanie się wolno w stare, wyschłe, lecz głębokie i wciąż jeszcze chłonne koryto. Wtedy to Hugo wyczuł, jak piętrzą się wokół niego trudności. Zawział się w swej pracy instruktorskiej, chciał wykazać, że prawdziwy wysiłek w końcu musi znaleźć uznanie. Był niewątpliwie zbyt młody, aby stracić wiarę dlatego, że niczego dotychczas nie osiągnął. Tyle w nim było jeszcze sił i energii nie dającej się wyczerpać. Wojna znowu przyniosła pewne trudności. Poprzednio przynajmniej jako instruktor na swym odcinku czuł się zupełnie niezależny. Teraz przyszli nieznani ludzie, z których zdaniem musiał się liczyć. Chwilami nawet zadawał sobie pytanie, czy to naprawdę partia tworzyła państwo, czy też może raczej inne siły kierowały wszechwładnie i państwem, i partią...

Na domiar złego nie był pewny, co mu bardziej staje na drodze: trudności zewnętrzne czy też ta jakaś odrębność, którą począł wykrywać w sobie samym. Myślał przecież tak samo jak wszyscy, myślał konsekwentnie aż do końca, do pełnej realizacji mitu. A mimo to fermentowała w nim ta obcość coraz silniej. I coraz głośniej dawała znać o sobie...

Motocykl wyjął wściekle i nie zwalniając swego szaleńczego pędu minął sznur jadących w przeciwnym kierunku ogromnych ciężarówek. Szoferzy głucho warczących kolosów patrzyli ze zdumieniem na mknący jak błyskawica pojazd, który zamiatał koszem po mokrej drodze.

Wszystko to są może głupstwa — dyskutował sam ze sobą Hugo — ale ja mam być pod komendą tego wymoczka von Mariesa? Przypo-

niał sobie rozmowę we Flieger-Palast. Nie. Nie. Nie. Można przewyciężyć stanowisko tych i tamtych, ale postawy wnuka von Grotego Kostrzewa nie mógł znieść organicznie. Bo jeżeli w nim samym wszystko miało kierunek odśrodkowy, a świat jego marzeń był równie szeroki jak zakres jego ambicji, to w von Mariesie tkwiła jakaś skostniała małość, jakieś zamknięcie się w strefie jednych i tych samych, dziś już doprowadzonych do absurdu pragnień. Hugo czuł, że przynależy duchem do świata przyszłości. Wołanie tego świata słyszał w sobie. Poddawał się mu. Należał do nich — a jednocześnie był im dziwnie obcy. Od dawna czuł już tę obcość. Pojmował ją jednak w ten sposób, że on, człowiek zrodzony do władania innymi ludźmi, nie będzie rozumiany przez nawykły do służalstwa tłum. Ale dziś, gdy go odtracono, miał wrażenie, że pod pokrywką buntu płonęło w nim coś więcej niż płomień zawiedzionych ambicji...

Zajechał przed barak, który służył eskadrze za dom mieszkalny. W mglistej dali czerniał kształt hangaru. Przed budynkiem spacerował po błocie żołnierz. Na zakręcie hamujący motocykl prysnął w bok falą rozwodnionego błota.

Barak tonął w ciszy. W jadalni, a zarazem kancelarii eskadry nie było nikogo. Hugo siadł na krześle nie zdejmując mokrego płaszcza ani czapki. Wyjął tylko butelkę z kieszeni i postawił przed sobą na stole. Po chwili w drzwiach stanął podoficer służbowy.

— Gdzie jest kapitan Köstring? — spytał Hugo.

— U siebie, panie majorze.

— A inni?

— Pan kapitan Schneditz pojechał do siódmej eskadry. Pan porucznik Zweigle udał się do kancelarii Ortskommando.

— Dobrze. A reszta?

Podoficer drgnął. Trochę niepewnym głosem zapytał:

— Jaka reszta, panie majorze?

Zapanowała niepokojąca cisza. Kostrzewa patrzył na podoficera dzikim, nieprzytomnym wzrokiem. W pustym baraku ożywionym jeszcze dziś rano dźwiękiem tylu głosów, a teraz zanurzonym w ciszy, to pytanie miało posmak grozy.

Ale oficer odparł głosem nieoczekiwanie spokojnym:

— Pytam, czy pan pułkownik nie wrócił.

— Nie wrócił, panie majorze.

— Rozdzielcie listy.

Podał podoficerowi jedną paczkę. Drugą rzucił na kancelaryjne biurko w kącie pokoju. Butelkę zostawił na stole, a sam wolnym krokiem poszedł korytarzem ku pokojowi Herberta. Bez pukania otworzył drzwi.

Młody oficer siedział pochylony nad otwartą książką. Usłyszaw-

szy skrzyp otwieranych drzwi odwrócił się spokojnie i z uśmiechem spojrział na wchodzącego Kostrzewę.

— Już wróciłeś, Hugonie?

— Już wróciłem...

Kostrzewa, ciągle w czapce na głowie i w mokrym płaszczu na ramionach, siadł na łóżku. Przez chwilę bezmyślnie uderzał obcasem o obcas. Potem spytał:

— Co czytasz?

Herbert nie odpowiedział, więc Kostrzewa wziął w rękę rozłożoną książkę i zakładając w miejscu, gdzie była otwarta, spojrział na tytuł. Na jego twarzy odbiło się zdumienie.

— Adam? „Das Wesen des Katholizismus”? Ty to czytasz, Herbercie?

— Tak...

Hugo odrzucił książkę na łóżko i sięgnął ku innym, leżącym na stoliku. W miarę jak czytał tytuły, zdumienie przeszło w gniew.

— Znowu Adam! Fiedler, Faber, Przywara, Faulhaber, Nowak. I to jeszcze?!

Z wściekłością uderzył w stół małym tomikiem w skórzanej oprawie.

— Nie poznaję ciebie, Bert. Ty tracisz czas na czytanie książki o naśladowaniu Chrystusa?

Herbert wytrzymał jego gniewny wzrok.

— Niepotrzebnie się złościś, Hugonie. Sam przecież mówiłeś nieraz, że trzeba czytać wszystko. Więc czytam. Katolicyzm zaczął mnie ostatnio interesować. Ostatecznie jestem katolikiem. Mój ojciec z całą świadomością wybrał sobie to wyznanie. Zresztą — czyż robię rzecz zdrożną? Sam mówiłeś: trzeba być Niemcem, a potem można być katolikiem...

— Tak — Kostrzewa mrugał bezmyślnie powiekami, jakby niezupełnie rozumiał słowa Herberta. — Tak... Pięknie... Wszystko pięknie...

Lecz nagle nowa fala gniewu pojawiła się na ściągłej twarzy Hugona. Z podkrążonych oczu posypały się skry.

— To jest głupota! — krzyknął niespodzianie. — Nie można być jednocześnie Niemcem i kimś innym! Uderzył pięścią w leżące na stole książki.

— Ci umieją tylko mówić: cierp, męcz się, boleć, znoś... Wstrętne cierpiętnictwo. Znosić upokorzenia, schylać głowę przed czyjąś wolą, zrzekać się swych marzeń i pragnień — i ciebie to interesuje? Nie rozumiesz, że nigdy byśmy nie osiągnęli naszej mocy, gdybyśmy byli posłuszni religii? Krzyż jest godłem słabości. I ten krzyż nosimy w sobie. Lecz zamiast go stamtąd wyrwać i odrzucić — podnosimy naszą słabość aż do godności cnoty.

Hugo mówił zawsze żywo i z energią, ale chyba nigdy Herbert nie słyszał z jego ust równie gwałtownych słów. Mimo to Köstring nie zamilkł — jak to robił zwykle — ale próbował przeciwstawić się spadającej na niego burzy.

Te kilka godzin, które spędził nad książką w pogrążonym w ciszy domu, dodało mu nagle sił i umiejętności argumentacji. To, co przeżył rano, stworzyło podatny grunt do przyswojenia myśli z książek, które swego czasu zakupił. Dziwne to były myśli. Dziwne słowa. Mówiły doń tchnieniem wspomnień, naukami ciotki Heleny, uroczą ciszą kościołów, do których chodził jako chłopak. I nagle wokół Herberta zaczęły się wznosić jakby mury wielkiego gmachu, ogarniające wszystkie konflikty i bóle jego serca. Cześć, honor, wierność, odwaga; wola zwycięstwa, to piękne słowa, lecz przecież żadnemu z tych pojęć nie zaprzeczały owe książki, a jedynie przedstawiały je inaczej i jakby szerzej. Poprzednio pod wpływem swoich nauczycieli Herbert nauczył się gardzić „mistyką bólu” i tym „cierpiętnictwem krzyżowym”, które miało być istotą chrześcijaństwa. Dziś — w ciszy baraku — rozmyślając nie bez lęku nad straszliwą nietrwałością ludzkiego istnienia odkrył nagle porównanie, które mu nieoczekiwanie przetworzyło świat; porównanie umierającego Chrystusa z żołnierzem na posterunku, oddającym siebie samego dla dobra swych braci. Do Herberta przemówiła ta prawda żywiej niż jakakolwiek inna. A jednocześnie z uprzystępnieniem sobie samemu takiej krzyżowej ofiary zapaliło się w jego zmęczonym wojną sercu pragnienie spokoju, ciszy, miłości. Cisza, miłość. Świeże poranki w Schwarzenberge, pogodne wieczory w ogrodzie, gdy z pokoju przez otwarte okna płynęła muzyka Waltera... Oleńka... Wrócić ku temu. Kiedy się rzucił w rozpaczliwym pragnieniu powrotu, widział tamte myśli, słowa, idee, od których można odejść, lecz do których powrócić trzeba.

Próbował o tym wszystkim mówić Hugonowi, ale Kostrzewa ogarnięty furią nawet nie chciał go słuchać.

— Masz zupełnie źle w głowie! — pieniał się bijąc obu dłońmi w stół. — Jesteś szalony! Zabraniam ci tak myśleć, jeśli chcesz, bym nadal był twoim przyjacielem...

— Hugonie... — Herbert próbował go uspokoić zaskoczony tym nieoczekiwanym wybuchem.

— Milcz! — głos Kostrzewy przeszedł w chrapliwy ryk. — Milcz! Albo będziesz mnie słuchał, albo nie chcę ciebie znać. Widziałeś, jak Walter... Ale on źle skończył. I z każdym tak będzie... Bo choćby wszyscy ode mnie... Ja... Zapamiętaj to sobie. Przy mnie siła!

Uderzył się mocno w pierś i hardo podniósł głowę. Ale zaraz wyraz obrzydzenia pojawił się na jego wargach.

— Walter — mruknął — i ta jego siostra... Ładna rodzinka. Ani słowa.

Zaklął i rzucił plugawe słowo, jakim mężczyzna bezcześci kobietę. Herbert wyszedł naprzeciw tej furii:

— Daj spokój, proszę. Ja Gerdzie wybaczyłem...

— Wybaczyłeś? — Kostrzewa zarechotał złym śmiechem. — Więc ty już nawet umiesz wybaczać? Wybaczyłeś? Co ty jej miałeś do wybaczenia, ty, którego ona nigdy nie kochała? To ja mógłbym jej wybaczyć. Ale ja nigdy — uderzył się wściekle pięścią w kolano — nigdy nie wybaczę!

Dźwignął się i pozostawiając w pokoju oszołomionego Herberta wrócił do jadalni. Zabrał ze stołu przywiezioną butelkę, po czym udał się do swojej sypialni. Tu dopiero zrzucił czapkę i mokry płaszcz. Wynałazł na bocznym stoliku szklanekę do płukania ust i użył jej zamiast kieliszka. Po dwóch porcjach zdarł z szyi krawat, zrzucił pas, rozpiął mundur. Dźwignąwszy się ciężko, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Gdy po chwili ktoś zapukał, Hugo nic nie odpowiedział. Zapukano powtórnie. Wtedy wrzasnął:

— Precz! Nie przeszkadzać!

Znowu wypił szklanekę wódki. Pokój zataczał się wokół niego, choć jednocześnie umysł pracował całkowicie swobodnie. Wyciągnął z kieszeni pomięty list Gerdy, rozprostował go na stole. Parsknął śmiechem. O cóż się złości? Że dziewczyna puściła się? Czy po tamtej rozmowie miała go jeszcze raz prosić, aby zechciał przyjąć jej miłość? Wyjdzie teraz za męż... Za jakiegoś Peuckerta... Mniejsza z tym. Nie zależy mu na niej! Więc dlaczego serce bije i dlaczego słyszy w skroniach szum? Gerda... Powiedział wtedy, że nie chce jej miłości. Trudno było o jaśniejszą sytuację. A przecież mógł jedno i drugie wziąć sobie tak łatwo: nazywać się von Grote i pojąć za żonę baronównę von Recke. Wtedy na pewno miałby dowództwo eskadry. Nie oddawano by go pod straż Mariesa... Byłby Niemcem godnym zaufania...

Drżącą ręką nalał resztę trunku do szklanki.

Herbert... Zagryzł wargi. Przywiązał się do tego chłopca, który był zawsze najwierniejszym jego uczniem. Szuka sobie innych dróg — rozmyślał. — Powieściopisarze-mistycy powiedzieliby, że to odwet losu: ja mu zabrałem dziewczynę, a on nie tylko pogodził się z tą stratą, ale jeszcze sam mnie opuszcza. Gardzi tym, co mu dałem z całego serca. Moją... moją... jakżeż nazwać — miłością.

Miłość — odrzucał zawsze to słowo. Miłość przeczyła przecież sile, miłość zabierała w niewolę ducha. Nie kochał nikogo, niktogo! — Tupnął nogą. Walter słusznie zginął. Był młody, a nie żył swoją młodością. Herbert mnie zdradził. Dawałem im swoją pracę... Ale nie kochałem ich. Nie. Nie. Co za głupie słowa płaczą się po głowie. Herbert postępuje jak zły Niemiec. Zdradza ruch. Daje się pociągnąć naiwnej fali uczuć chrześcijańskich. Katolicyzm zabija indywidualizm. A mimo to — ha, ha, ha — Köstringa nikt pilnować

nie będzie. Natomiast nad nim postawiono strażnika. Do diabła! Tego przekłętogo von Mariesa!

Dla kogóż więc poświęcił Gerdę? Inni mieli kochanki, uwodzili dziewczęta, żenili się... On się tego wszystkiego wyrzekł. Odepchnął od siebie dziewczynę, która patrzyła w niego jak w tęczę. I wcale nie dlatego, aby mu była obojętna. Nie, nie. Ona mu odpowiadała jak żadna inna kobieta. Przy niej czuł, że wypoczywa, że wzrastają w nim nowe siły. Gerda rozumiała jego pragnienia. Ona podążyłaby drogą wielkości i po tej trudnej, niewdzięcznej, lecz wspaniałej drodze szłaby obok niego jak najwierniejsza przyjaciółka. Tymczasem... On nie chciał jej dać jednego jedyne go pocałunku... Nie chciał jej niczego obiecać...

Gerda... Hugo patrzy na krótki list napisany dużymi, stanowczymi literami. Za oknem rozpostarła się czarna, mżąca wilgocią noc. Ani jednej gwiazdy nie widać na niebie, tylko ciężkie, białą podszyte chmury kłębią się nad domem. W mózgu kołysze się huśtawka, tam i z powrotem, tam i z powrotem: Gerda... Gerda... Gerda... I on sam ją stracił. Sam ją od siebie odepchnął. Dziewczynę, która go kochała do szaleństwa. I którą on także kochał...

Po cóż zaprzeczać? Kochał ją naprawdę. Próżno starał się zagłuszyć w sobie wołanie serca. Próżno innymi uczuciami płoszył miłość. Życie okazało się silniejsze niż jego wola. Zmusiło go do zdrady najwspanialszych ideałów, tak że nie zdołał uchronić czystości rycerskiego płaszcza. Dowiódł swojej słabości, on, rycerz, nadczołowiek, który marzył o władaniu innymi — całym narodem...

Hugo nagłym ruchem wyciąga dłoń do leżącego na łóżku pasa. Otwiera skórzaną pochwę, trzema palcami obejmuje chłodną kolbę pistoletu. Dobywa broń na wierzch, podnosi ją. Tylko jeszcze zdaje się nasłuchiwać...

XVIII

Herbert nie od razu mógł powrócić do przerwanej lektury. Słowa Hugona wstrząsnęły nim do głębi i nagle wprawiły w zamęt wszystkie jego uczucia. Wprawdzie miłość do Gerdy dawno zgasła, został jednak w sercu czad wspomnień. Nie oczekiwał zmartwychwstania tamtej miłości, nawet nie bardzo już tego pragnął, lecz mimo to wciąż jeszcze nie pozbył się uczucia nienawiści do ludzi, którzy się do odmiany Gerdy przyczynili. Widział w nich bowiem zawsze tylko swoich wrogów, ludzi szkodliwych, którzy dla próżnej gry rozbili ich związek. Nie miał nic na usprawiedliwienie tamtych.

I teraz dowiadywał się, że Hugo... Właśnie Hugo, ten obcy wszelkim słabościom i wszelkiej podłości przyjaciel, miał być przyczyną jego żywiołowej katastrofy? W pierwszej chwili targnął nim gniew i gorzyc zawodu. Przypomniawszy sobie słowa pociechy, jakich mu nie

szczędził Hugo w okresie najbardziej dla Herberta trudnym — podczas pierwszego pobytu eskadry we Francji. Ich przyjaźń dopiero wówczas nabrała pełnego wyrazu. I ta przyjaźń miała być oparta na fałszu i podstępnie?

Wreszcie ochłonął. Tamta zagaśła miłość do Gerdy niezdolna była walczyć z wciąż żywą miłością do Hugona. Przyjaźń Kostrzewy nie mogła być taka, jaka mu się wydawała przed chwilą. Wobec tego inaczej trzeba było tłumaczyć sobie słowa Hugona. Gerda mogła go wprawdzie pokochać — i on mógł o tym wiedzieć — lecz mimo to przyjaźni młodszego kolegi nie zawiódł. Pozostał sobą. Nie skorzystał z odejścia Gerdy, lecz z równą jak dawniej stanowczością bronił swej niezależności życiowej. Przyznał kilkakrotnie głośno że mu się Gerda podobała — to wszystko. Na jej listy prawdopodobnie odpowiadał — nie miał może powodu do zerwania korespondencji — czy jednak, gdyby się z tej pisaniny coś poważnego wykluło, nie doszłaby w końcu ta rzecz do wiadomości Herberta?

Winę ponosiła niewątpliwie Gerda — tylko ona — nikt inny. Herbert wołał tak myśleć. Oskarżając Gerdę potępiał jedynie pustkę, bo za mglistym już tylko wspomnieniem nic nie stało, za to oskarżenie Hugona było równoznaczne z podważeniem najserdeczniejszej przyjaźni. Tę zaś pragnął za wszelką cenę zachować.

Lecz choć sobie wszystko w ten sposób tłumaczył, straconego spokoju nie potrafił odnaleźć. Dzień dzisiejszy przyniósł tyle zmian: najpierw oczekiwana od dawna wyprawa, potem straszliwe straty, jakie poniosła eskadra, samobójstwo Esterla, samotne popołudnie nad książkami, nigdy dawniej nie czytowanymi. W wirze zdarzeń dotychczasowa postawa Köstringa uległa zachwianiu. Nie po raz pierwszy młody oficer stał tak blisko wobec niebezpieczeństwa śmierci, ale nad tym górowało upojenie walką i pewność triumfu. Dziś rozumiał, że triumf nie zawsze kroczy śladem ich oręża. Wróg był potężniejszy, niż się to początkowo wydawało. Łatwo było dawniej zwyciężać żołnierzy w mundurach koloru khaki, lądujących na ziemi norweskiej lub broniących się rozpaczliwie na francusko-belgijskim wybrzeżu. Teraz opór skrzepł i nabrał mocy. Atak na Londyn, który miał złamać imperium, stawał się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla floty powietrznej narodowo-socjalistycznej Rzeszy. Nie chodziło zresztą tylko o aparaty, które produkowały fabryki bez mała całej Europy, ale o ludzi. Straszliwa rzeź pośród najbliższych kolegów wywołała w Herbercie dreszcz niepokoju. Teraz wsłuchany w tykot zegarka na stole i w niespokojne pukanie własnego serca — młody oficer poczuł lęk, jakiego nie doświadczał podczas bitwy. Mógł polec, mógł leżeć zwęglony pod ruinami aparatu na szarej łące podlondyńskiej. Śmierć... Poprzednio prawie o niej nie myślał. Dziś tak blisko otarła się o niego, że nie mógł zapomnieć jej chłodnej bliskości.

Śmierć... Nie wiedział właściwie, czym była. Ludzie odchodzili i znikali w czarnej dali. Nad grobem zabitego koleżdy śpiewali piosenkę, a potem szli z powrotem do życia. Mówiło się: umarli żyją

dalej w swoich dziełach i w pamięci ludzkiej... lecz przecież to nie było prawdziwe życie.

Herbert nigdy nie starał się zajrzeć za próg śmierci. Może wtedy — przy trumnie Waltera — może tylko raz jeden usiłował przebić wzrokiem otaczający go mrok. Lecz zaraz cofał się wystraszony. Z drżeniem opuścił zarzuconą kawałkami tynku kaplicę.

Dziś patrzył. Z parogodzinnej gorączkowej lektury wyniósł przekonanie, że świat tamten musi mieć przecież jakiś sens. Ludzie nie mogą nagle zniknąć z życia niby zdjęte ze sceny marionetki.

A jeżeli tak jest — to przecież ta jakaś wiara w wieczność, którą wyznają katolicy, może mieć swój sens. Herbert dotychczas wierzył w podstawy ruchu narodowo-socjalistycznego jak w dogmat. Ale i tutaj pojawiły się niepokojące rysy. Dopóki ruch porывał go całego, dopóty w myślach Köstringa nie było żadnej szczeliny. Przyszły jednak chwile, kiedy musiał sobie szczerze powiedzieć, że w ruchu, który był dla niego wszystkim, nie ma miejsca dla zwykłej ludzkiej miłości...

Gdyby można było żyć bez niej?! Ale on czuł, że ruch wymaga niepodobieństwa. Może taki Hugo ze swą stalową wolą, może inni, którzy rozmięli miłość na miłostki, nie dostrzegali w życiu żadnych niekonsekwencji. Lecz jemu ta niekonsekwencja wciąż stawiała na drodze.

Może zabiły w sobie te wątpliwości, gdyby nie znalazł ich także w innych. Zbliżywszy się ostatnio do Schneditza Herbert spostrzegł, że tego na pozór wesołego chłopaka dręczy podobna troska. Wolf żył marzeniami o sztuce; dawniej płytkie i niekonkretne — takie marzenia dla marzeń — przeszły z czasem w namiętność. Schneditz zdawał sobie sprawę, że bez tworzenia dalej żyć nie potrafi, a jednocześnie tworzyć nie mógł. Służba trzymała go w wiecznym niepokojach, w gwałnym baraku brakło miejsca na chwilę skupienia. Ideały siły, którymi nakazano im żyć, dalekie były od ideałów piękna.

Herbert nie widział w ruchu miejsca dla miłości. Wolf — miejsca dla sztuki. Wywoływało to w nich uczucie smutku. Taki Esterl reagował inaczej. Jego zapędzone na bezdroża skłonności do mistycyzmu przerodziły się w szaleństwo. Lecz i on należał do tych, którzy stanęli na przątku zwątpienia.

Herbert poczuwszy, że mu się grunt spod nóg usuwa, odruchowo wyciągnął dłoń ku napotkanej podporze. Imponowała mu zawsze mocna wiara i ku niej podążał, może intuicyjnie świadomy, że wiara i miłość są składnikami tego samego uczucia. Mocną wiarę widział ostatnio w Oleńce. I z tą krańcowością natur słabych, potrzebujących zawsze oparcia i umocnienia, zwrócił się do źródła, z którego — niewątpliwie — czerpała dziewczyna. Zresztą pozostała w nim pamięć obietnicy, że to go do niej zbliży.

Ponieważ nie śmiał nikogo o te rzeczy pytać, rozejrzał się za książkami. Ale od momentu kupienia ich do chwili czytania upły-

nęło wiele czasu. I pewno bez tamtych przeżyć, bez tych dni zaczynających się już nie gorączką zapału, ale raczej lekkim niepokojem umiejętnie maskowanym, a kończącym się niemniej wyczerpującym odprężeniem po powrocie z lotu, nie zajrzały prawdopodobnie nigdy do paczki książek, zakupionych w jednej z najmniejszych księgarń w Berlinie. W księgarni wydawnictw katolickich obsługiwał go młody człowiek w wypukłych okularach i z ostrzyżoną głową. „Kilka książek o katolicyzmie?” nie wydawał się zaskoczony tym żądaniem. „Może Karol Adam? Albo kardynał Innitzer? Proszę...” Kładł książki na ladzie. Do stosu dorzucił tomik w skórce: „O naśladowaniu”. „To powinien pan przeczytać” — powiedział. Herbert nie protestował. Przecież chciał naprawdę odnaleźć w tych książkach jakąś treść.

Książki długo leżały w jego walizce, zanim się do nich zabrał. Poza tym Herbert był zbyt młody, aby umieć w lekturze szukać dla siebie lekarstwa na wewnętrzny niepokój; wreszcie i czasu nie miał — tego czasu zużywanego na loty, na wieczne opatrywanie maszyn i wspólne hałaśliwe posiłki.

Dzisiejszy wieczór był wyjątkowy pod każdym względem. Tylko że czar tamtych godzin minął. Rozmowa z Hugonem tak wstrząsnęła Herbertem, że już nie mógłby powrócić do książek. Wciąż miał w oczach zmienioną twarz przyjaciela, niezrozumiały gniew i niespokojną gestykulację. Pomyślał, że Hugo jest chory, i w nagłym porywie troskliwości poszedł do niego. Drzwi sypialni przyjaciela były zamknięte na klucz. Gdy zapukał, usłyszał gniewny okrzyk: „Nie przeszkadzać!”

Wrócił do siebie szczerze zaniepokojony. Odkąd znał Kostrzewę, nie spotkał się ani razu z tego rodzaju wybuchem. Z nadmiaru miłości do przyjaciela począł wyobrażać sobie, że to on wywołał ten stan przez nierozsądny upór. Nie mógł się jednak pogodzić z tym, że wszystko, co przeczytał, można traktować jako bezsens. Prąd obudzonych myśli okazał się silniejszy niż wyrzuty, jakie sobie robił. Powstał w nich chaos. Wreszcie stwierdził, że nie wytrzyma dłużej ze swymi myślami w ciasnej izbie. Wciągnął buty, zawinął się w skórzany płaszcz i wyszedł na dwór.

Deszcz już nie padał, niebo wypogodziło się odkrywając tu i tam platy gwiazdzistego lazuru. Wszystko tonęło w mroku rozświetlonym nędznie przez kilka niebieskich lampek, a rześki, porywisty wiatr dął od niedalekiego morza, rozrzucając włosy na czole oficera i usiłując wdrzeć się pod jego płaszcz.

Zatopiony w swych myślach Herbert szedł przed siebie i ani spostrzegł, jak zawędrował na skraj lotniska. Otrzeźwił go okrzyk:

— Stój! Kto idzie?

Po głosie poznał wartownika.

— To ja, Mayer, kapitan Köstring.

— Ładnie się zaczyna robić, panie kapitanie.

Gefreiter Mayer przytupywał z lekka nogami i zacierał ręce. Mówił zupełnie naturalnym głosem. Żołnierze lubili Herberta za to, że chętnie z nimi rozmawiał.

— Wiosna idzie na dobre...

Nagle żołnierz dał Herbertowi znak ręką, aby zamilkł. Obaj natężyli słuch. Rzeczywiście, wysoko płynął warkot motorów.

— Lecą...

Doświadczonym uchem odróżniali ciężki, dudniący, jakby rwanym pomruk kilkumotorowych bombowców i wyższy w tonie, pełen gwizdu poszum samolotów pościgowych.

— Czy alarmować, panie kapitanie?

Właściwie było już za późno. Nie zostali w porę ostrzeżeni przez posterunki podsłuchowe. Dwa działka na lotnisku mogły tylko podrażnić sunące w górze eskadry, dążące niewątpliwie dalej. Lepiej się przyczaić, przeczekać w mroku przelot, a potem zaalarmować telefonem inne lotniska leżące na trasie lotu.

Stali nieruchomo z głowami zadartymi ku górze. Warkot to cichł, to się wzmagał i trudno było się zorientować, co robią przeciwnicy. Czyżby zataczali koło? Serca nasłuchujących poczęły bić szybciej. Tamci już powinni byli polecieć dalej, a mimo to wciąż rozlegał się nad głowami warkot maszyn. Teraz...

Oślepiająca rakietą zapaliła się nad nimi. Oficer i żołnierz padli na twarze przywierając całym ciałem do ziemi. A tymczasem na mrocznym niebie otworzyła się jazgocąca zapadnia. Gwizd pękających bomb zawisł nad głowami leżących. Potem głucho stęknęła ziemia, by natychmiast rozkrzyżeć się łomotem eksplozji. Znowu gwizd, stęknienie, huk. Jeszcze raz, jeszcze raz. Krwawe języki ognia ogarnęły kotarę nocy. Na skraju lotniska rozszczękała się jedna z armatek, ale zaraz jej irytację stłumiły nowe wybuchy. Ziemia głucho drżała, jakieś drobne i większe przedmioty szybowwały w powietrzu. Nowy wybuch — a zaraz po nim olbrzymia fala blasku załała lotnisko. Obaj ludzie leżący na skraju mieli uczucie, że to właśnie ich oświetlono w ten sposób i że straszliwe niebezpieczeństwo zawisło nad ich przygiętymi do ziemi głowami. Ale przeciwnik ukryty na mrocznym niebie odleciał, pozostawiając za sobą płonące baraki i hangary. Jedno wielkie ognisko huczało przed nimi ziejąc żarem. Wstali nie wiedząc, co mają z sobą robić. Maszyny eskadry „Much” wybuchały i topiły się w żarze jedna za drugą. Potem ten sam los dotknął samochody i motocykle. Z głuchym łoskotem wyleciał w powietrze magazyn bomb i amunicji, rozrzucając wokoło płonące deski i kawały drewna. Potem na budynku mieszkalnym runął do środka ogarnięty płomieniami dach, a pęd stłoczonego nagle powietrza z impetem wyrwał wszystkie otwory okienne. W ich pobliżu padł ciężko na ziemię, podgryziony przez ogień, słup telefoniczny, druty zaś niby złe węże rozlały się złocistymi skrętami wzdłuż kałuż. Drewniane budynki, benzyna, smary — wszystko to razem pożerał ogień z nie-

bywałą łąpczywością. Ani się obejrzeni, kiedy już miejsce mieszkalnego budynku zajęła kupa zgliszczy, od których nie mogli oderwać oczu.

W pobliżu zaterkotał motocykl; wyskoczył z niego Schneditz. Po drodze grzmiały już inne motory niby ćmy zwabione blaskiem ognia. Oficerowie i żołnierze stawali w bezruchu, patrząc w niemej konsternacji na dopalającą się siedzibę najdzielniejszej z eskadr.

Wolf wziął za rękę Herberta.

— Dobrze, że cię widzę. A gdzie Hugo?

Köstring nie odrzekł nic. Miał twarz białą jak papier, usta zaciśnięte, wzrok błędny.

— No, Bert, opanuj się! Hugo jeszcze nie wrócił z odprawy?

Drewnianym, nieswoim głosem Herbert odparł:

— Już wrócił...

— To gdzie jest?

Köstring chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Na gardle czuł ucisk, który mu nie pozwalał wydobyć z siebie słowa. Więc tylko ręką wskazał na stos płonących resztek.

W oczach Wolfa błysnęło przerażenie. Zwrócił twarz w kierunku pożaru i wpatrzył się weń z rozpaczliwym natężeniem, jakby oczekiwał, że z tego ognia wyjdzie ku niemu zaginiony towarzysz, przyjaciel, instruktor, przewodnik. Ale pożar, dyskretny niszczyciel tajemniczych śladów, nie zwrócił tego, co pochłonał. I tylko nagle jakaś nowa eksplozja targnęła dogorywającym barakiem, rozerwała krąg płonących ścian, rozrzuciła rumowisko na wszystkie strony. Rzekłbyś — duch pułkownika Hugona Kostrzewy porywem woli rozwalil wieko swej płomienistej trumny i odszedł w mokrą noc ku wiecznej samotności duchów mocnych; lecz błędzących, tragicznych niby duchy owego janczarskiego wojska formowanego z poturczonych dzieci chrześcijaństwa, które musiały walczyć przeciwko własnej krwi. Żegnaj, bracie Hugonie. Oby Bóg, który patrząc w głębokości serc zna miarę i przyczynę ludzkiego szaleństwa, zechciał cię pokropić hyzopem, byś ponad śnieg stał się bielszy.

SIEG UM JEDEN PREIS

I

— To pan, panie baronie?

Köstring wydał okrzyk zdumienia, natknąwszy się na dworcu kolejowym w Lublinie na barona von Recke. Nie mogli jednak tutaj rozmawiać, gdyż ciągle ich popychano. Młody commodore musiał wziąć ojca Gerdy pod ramię, ażeby wyprowadzić go z tłumu żołnierzy, przebiegających przez mały peron. Chwilę dreptali wolnym krokiem wśród zielonych mundurów, w zapachu wypchanych wszelkim dobrem tornistrów krytych krowią skórą. Podkute buty szargały metalicznie po flizach peronu, a ściana szerokich, niskich okien odbijała przeciągającą wzdłuż wagonów falę ludzką. Baron i Köstring minęli brązową tablicę z jakimś polskim napisem i głową Piłsudskiego, potem znaleźli się w poczekalni. Przez salkę podpartą słupami przeszli do ogrodzonego szklaną ścianą bufetu. Na drzwiach wisiał napis: „Nur für Deutsche”, nad stolikami unosiły się grzmiące głosy rozmawiających oficerów.

Za oknami perony pławiły się w słonecznym blasku, mdłym i dziwnie nieśmiałym, jakby to lato, które już na dobre się zaczęło, wciąż jeszcze czuło się niepewnie. Muchy łąziły po popielniczkach, żeglowały po tekturowych krążkach od piwa i gładkiej powierzchni krytych serwetami stołów.

— Co pan tu robi? — spytał Herbert, gdy rudy chłopak postawił przed nimi dwa kufle piwa.

— Ja? — von Recke uśmiechnął się lekko. — Przyjechałem do mego chłopaka...

Powiedział to takim tonem, jakby naprawdę oczekiwał, że za chwilę będzie mógł się zająć radościami i kłopotami Waltera. Ojciec Gerdy wyglądał źle i nikt chyba w tym wychudłym człowieku, na którym ubranie wisiało jak worek, nie poznałby dawnego okrągłego fabrykanta. Okulary zsuwały się smętnie na koniec nosa, policzki zapadły, a skóra zwiotczała i żółkła. Jasne, rzadkie włosy posiwiały.

Herbertowi zrobiło się przykro, że zapomniał o grobie Waltera i że w tak głupi sposób zapytał barona o cel przyjazdu. Sam także nie był od dawna na cmentarzu, chociaż kwaterując tuż pod miastem, w Świdniku, zajeżdżał niemal codziennie do Lublina. Zakłopotanym ruchem miał w rękę papierową serwetkę. Potem spytał:

— A cóż w kraju?

Von Recke zdjął okulary i przecierał je starannie kawałkiem zam-szu.

— Dla jednych po staremu — rzekł — inni zaś widzą zmiany... Nie wiem, jak ci mam mówić, Bert?

— Jak dawniej, jak dawniej. Pan mnie przecież zna od dziecka.

— No, ale ty należysz do ruchu... Jak wszyscy młodzi — dorzucił szybko. — Ja się zestarzałem... Więc patrzę na wszystko inaczej niż wy... Trudno, nie zmienisz starych... Lękamy się... — zniżył głos: — Głodno... Wszystkiego brak... A ta nowa wojna to nie przelewki...

— Więc wszyscy wiedzą?

Von Recke kiwnął głową. Obaj zamilkli, otaczając się kłębamii dymu.

— Kreta była trudniejsza — rzucił po chwili Herbert.

— Ale to był tylko epizod. Mogliście się pokusić, mogliście za-ryzykować trochę ludzi i sprzętu. Tutaj... — znowu rzucił na boki nieufne spojrzenie — ryzykujecie wszystko...

Pochylił się nad stołem i zaczęli pić piwo. Jakieś mikroskopijne kanapki, które im przyniósł rudy chłopak, od jednego łyku znikwały w ustach. Herbert przypomniał sobie rozmowy sprzed dwóch tygodni zaledwie. Był wtedy w Berlinie. Szedł przez jeden ze skwerów, gdy nagle spotkał Gerdę. Dziewczyna zmieniła się strasznie. Nie-wiele brakowało, a byłby ją minął bez ukłonu. Sama go zawołała. „Przecież chyba możemy ze sobą porozmawiać” — powiedziała. Przytaknął skinieniem głowy, ale nie bardzo wiedział, o czym mają mówić. Z uznaniem przyglądała się odznakom na jego mundurze. „Prędko awansowałeś, Bert. Dogoniłeś prawie Kostrzewę...” Wspomnienie Hugona było jak złowróżbny zgrzyt. „Co ty teraz robisz?” — starał się coś z niej wydobyć. „Ja? Och, nic. Miałam wyjść za męża, ale mojemu narzeczonemu kazali iść na front. Zresztą i tak nic by z tego nie było, a już teraz, po całej tej sprawie...” Nagle ogarnął ją gniew, aż poderwała się na nogi. „Bo to jest świństwo! — krzyknęła — świństwo! Każdy z nas wierzył, a oni jeden z drugim buch w samolot i do Anglii. Wy sobie zostańcie tutaj i karmcie się głoszonymi przez nas ideałami. My wolimy do wrogów. Świństwo! Człowiek nabiera ochoty szukać winnych z nożem w ręku...” Mówiła jeszcze jakiś czas podniesionym głosem. Po jej zszarzałej twarzy przelatywały złe błyski, dłonie zaciskały się gniewnie. Herbert długo jeszcze po pożegnaniu pozostawał pod wrażeniem jej słów. Pamiętał, że potrafiła być zła i zaciekła, ale teraz jej zawziętość w połączeniu z opuszczonym i zaniedbanym wyglądem wywoływała wstrząsające wrażenie. Nie wiedział, co robiła na tym wyludnionym skwerze. Uścisnęła mu na pożegnanie rękę i znowu wróciła ku ławce. Z oddalenia spojrzał na dziewczynę. Wciąż siedziała na tym samym miejscu, uderzając niecierpliwie ręką w oparcie ławki.

Znad szklanki przyjrzał się uważnie von Reckemu. W twarzy sta-

rego barona rysowało się coś, co upodobało go do córki. Dawniej fabrykant miał twarz pogodną, wesołą, z lekka jowialną, natomiast w Gerdzie od razu rzuciła się w oczy wybujała i nieokiełznana zmysłowość. Teraz zarówno czarne oczy dziewczyny, jak i szarobłękitne oczy jej ojca płonęły ponurym ogniem. Ubranie von Reckego było wymięte, zniszczone. Z palca znikł gruby pierścień z diamentem, z krawata złota szpilka.

— Jakże pańska fabryka?

Von Recke uśmiechnął się ironicznie.

— Spodobała się Anglikom. Wymierzyli w nią tak celnie, że nie trzeba było lepiej. Po prostu znikła z powierzchni.

— Aha... — Rozmowa znowu się urwała. Za oknami słońce to się ukazywało, to gasło. Na bocznym peronie wylądowywała się wśród wrzasków artyleria. Trzech młodych żołnierzy, siedząc beczynnie obok, śpiewało:

Den Marsch, von Horst Wessel begonnen
Im braunen Hemd der SA
Vollenden die grauen Kolonnen...

Jakby dopowiadając głośno swym myślom von Recke rzekł nagle:

— Słyszysz? „Wypełniają szare kolumny...” Idziemy dalej...

Köstring nie podjął rzuconej rękawicy. Miał już tyle wspomnień z ubiegłego okresu wojny, które lada słowo powoływało do życia. Choćby rozmowa z majorem Körnerem, starym znajomym z dziesiątego pułku dragonów, którego spotkał w szpitalu. Körner był lekko ranny, ale chorował za to na jakąś paskudną gorączkę. „Każdy się jej tam nabawi — mówił Herbertowi. — Piasek, rozpalony, rozżarzony piasek, w którym grzęzną nogi. I cóż, u licha, czy oni myślą, że z piasku wygrzebiemy wielką Rzeszę?” Albo też inne zdarzenie z tego okresu, gdy był jeszcze w eskadrze „Much”. Otrzymali rozkaz: jutro na Kretę. I wtedy wczesnym rankiem porucznik Zweigle... Jeszcze się oburzał, gdy von Maries przyłożywszy mu pistolet do czoła kazał opuścić samolot. „Cóż to — krzyczał — jakim prawem mnie trzymacie? Mam wszystkiego dość. Zresztą otrzymałem rozkaz!” Wtedy von Maries pociągnął za cyngiel. Żołnierze wywlekli trupa z samolotu. I Zweigle nie poleciał do Ismir...

— Musimy iść dalej — mruknął.

Dopił resztę piwa. Potem zaproponował von Reckemu, że pojedzie z nim na cmentarz. Przed dworcem stał samochód. Potrzęśli się chwilę na kocich łbach, a potem wypadli z wąskiej ponurej ulicy na drogę wiodącą przez zielone pola. Z prawej strony mieli miasto, które obsiadło wyginające się łukiem wzgórze, z lewej płynące lekkim spadkiem w górę łąki przecięte rzeczką. Za mostem znaleźli się znów w mieście. Czarna, zbita zieleń drzew wskazywała, gdzie znajduje się cmentarz.

— To tu — powiedział Herbert.

Kilka grobów rozmytych przez deszcze, Mika krzyży, które czas pokrył patyną starości. Jakieś czerwone dawniej, a dziś wypłowiła wstażki wdeptano w trawę. Plamy słońca — i nic więcej. Nic z tego, co było przed półtora rokiem młodością i życiem... Herbert poczuł się nagle dziwnie stary.

Von Recke przyklęknął. Drżącymi rękami strzepywał z grobu stare liście. Był już tu po raz trzeci, lecz w żaden sposób nie mógł się oswoić z tą zawsze budzącą w nim rozpacz mogiłą.

W sercu starego mężczyzny tlił się głuchy ból, który zwykle krył przed wszystkimi, starając się być po dawnemu pogodnym i równoważonym. Ale w rzeczywistości ani na chwilę nie wygasł w jego piersi płonący tam ogień. Przychodziły dni, że dławił go ten pożar, jakby chciał wybuchnąć na zewnątrz.

Pożegnali się w bramie cmentarza. Herbert proponował, że odwiedzie barona na dworzec. Ale von Recke odmówił:

— Dziękuję ci, Bert. Ja jeszcze zostanę w mieście.

— Wobec tego muszę pana pożegnać. Proszę zawieźć ode mnie pozdrowienia dla pani baronowej i dla Gertie... Po raz pierwszy padło między nimi imię Gerdy.

— Oddam im twoje pozdrowienia. Dziękuję. Gerda... — głos mu się nieco zaciął — Gertie ostatnio przestała pracować w BDM. Jest trochę nerwowo wyczerpana...

Stary samochód odjechał. Von Recke wolnym krokiem wrócił na grób syna. Czuł ulgę, że ten młody oficer w szarym, eleganckim mundurze już mu nie towarzyszy. Wprawdzie kiedyś ci dwaj chłopcy byli przyjaciółmi. Ale co ich dzisiaj łączy? Raczej wszystko dzieli...

Siadł na jakiejś płycie i wpatrzył się w grób Waltera. Z trudem odnajdywał w pamięci jasny wzrok i złote włosy syna. Błądą twarz, delikatne ręce nawykłe do książki i do klawiszy. Ale choć nie widział go już wyraźnie, czuł, że syn wciąż żyje w jego sercu. Ile marzeń sprzęgło się z Walterem; ile dumy ojcowskiej w tym właśnie, w co wciela się z czasem dla mężczyzny dom rodzinny — pełen trosk i kłopotów codziennych, a jednocześnie pełen cichej radości i krzepiącego uroku.

A jednak chłopiec odszedł. Nie, on nie odszedł, wydarto go ojcu, a potem wepchnięto do grobu

Ulicą Lipową szli właśnie żołnierze. Ich pieśń biła w strop gałęzi pochylonych nad cmentarzem:

W mej ojczyźnie, w cichej dolinie
Rośnie lipa, którą znam.
Ukochane oczy błękitne
I usta pozostały tam...
Hej, zielona koniczyno,
Biały śniegu nad doliną.
Samotna żołnierska mogiło...

Tak — oni go zabrali na tę wojnę, z której nie mógł powrócić. Odwieczna dola niemieckiego żołnierza, tęskniącego za swym domem z kraju, który poszedł podbijać. Znowu śpiewali:

W Afryki piasku giniemy,
Lecz cóż tam? Ech, szkoda słów.
Niebo czerwone i jasne,
Dzień wstaje po nocy znów.
Hej, zielona koniczyno...

W dalekiej Afryce, w Europie, od Pirenejów po Bug, od Narwiku po Kretę, w Morzu Północnym, w Bałtyku, w błękitnej toni Śródziemnego Morza leży żołnierz niemiecki. Nie jeden Walter — setki Walterów. Olbrzymia energia jednego z dzielniejszych narodów rozsypana niby garść ciśniętych w piasek pereł. Dlaczego — zapytuje sam siebie von Recke — zamiast tworzyć i budować, idą walczyć? A walcząc giną bez nadziei zwycięstwa? Tragizm dziejów czy odwieczna złośliwość losu?

Za drzewami na ulicy tupią buty. Melodia się zmieniła. Słychać teraz słowa starej piosenki, którą jeszcze śpiewał von Recke, gdy jako rezerwista maszerował w koszarach pod okiem surowego Feldwebela:

Miałem raz kamrata...
Lepszego nie znajdziesz, nie...

Minęła godzina, może i więcej, kiedy wreszcie von Recke wyszedł z cmentarza. Doszedł do Krakowskiego Przedmieścia i począł iść automatycznie w stronę placu Litewskiego. Zjadł obiad w jakiejś restauracji. Po południu poszedł do dawnego Trybunału. Ogromne szerokie schody prowadziły na mroczne piętro, gdzie mieścił się urząd Opieki Społecznej. Sznur wynędzniałych kobiet w fachmanach tłoczył się przy okienku, skąd wydawano jakieś bony. Od brudnych chust, szmat i łachów ział wstrętny zaduch. Nie lepiej pachniała różowa, mętna zupa, którą kobiety niosły w blaszanych puszkach od konserw. Jednak nie miał czasu na przyglądanie się tej nędzy, bo właśnie woźny, wyłamując język, zaprosił go do gabinetu kierownika. Szczupły blondyn w rogowych okularach nieufnym spojrzeniem zmierzył barona. Z drżenia jego rak i ze sposobu mówienia von Recke wyczuł, że tamten jest zdenerwowany nieoczekiwaną wizytą. Naturalnie zaskoczyła go dziwaczna propozycja ojca Gerdy.

— Dziecko? — poddawał słowa tłumaczącemu rozmowę urzędnikowi. — Niewątpliwie. Nędza jest duża... dzieci są... ale...

Von Recke uśmiechnął się łagodnie.

— Chcę panu wszystko szczerze powiedzieć, Herr Leiter. Tu, pod miastem, poległ mój syn. Jedyne dziecko... No cóż, wojna. — Rozłożył wychudłe ręce. — Nikogo tutaj o tę śmierć nie winię... — mocno zaakcentował słowo: „tutaj”. — Ale chcę mieć po synu pamiętkę.

Żywą pamiątkę, Herr Leiter. Pan rozumie dziwactwo ojca: tu, gdzie wsiąkła krew mojego Waltera... Dajcie mi jakiegoś chłopca. Sierotę lub półsierotę. Dam mu utrzymanie... Wychowam go jak własnego syna. — Spojrzał w oczy kierownika. — Nie uczynię go wrogiem Polaków, Herr Leiter...

Kierownik poczuł, że panuje nad sytuacją.

— To będzie trudna sprawa. Każdy przywiązuje się do swego dziecka, proszę pana. Nawet w zakładach... Nie, nie wyobrażam sobie, aby się taka okazja zdarzyła. Przecież panu łatwiej starać się o to na miejscu, w Rzeszy. Są pewno sieroty po żołnierzach...

— Chciałbym stąd...

Kierownik kręcił się na fotelu.

— To będzie niemożliwe...

— Herr Leiter, ja mam pismo od szefa dystryktu, doktora Zöllnera, w którym jest polecenie wydania mi dziecka. Ale ja z tego pisma nie skorzystam. Nie. Chcę załatwić z waszą zgodą. Ustaliliśmy z żoną, że ponieważ mój syn walczył z wami, to właśnie najbiedniejszym dzieckiem spośród was gotowi jesteście się zająć...

— Niestety, proszę pana... Rozumiem. Lecz zadośćuczynić pańskiej prośbie nie mogę. Chyba że otrzymam rozkaz. Wtedy... Wtedy nie będę miał innego wyjścia...

— Dziecko wychowam po katolicku — próbował jeszcze von Recke.

— Mimo to.

— Dam mu wykształcenie.

— Nie, proszę pana.

— Będziecie mogli się zająć innym opuszczonym dzieckiem.

— Och, my będziemy musieli zająć się wszystkimi opuszczonymi dziećmi. One stanowią nasz skarb największy...

Von Recke wstał z krzesła, wziął na rękę płaszcz.

— Jest pan uparty, Herr Leiter. Zresztą trochę rozumiem... Ja już powiedziałem: nie zrobię użytku z polecenia szefa dystryktu. — Skierował się ku drzwiom ciężkim, starczym krokiem. Lecz przed drzwiami zatrzymał się. — Herr Leiter, niech mi pan pozwoli jeszcze porozmawiać z jedną ze stojących tam kobiet.

— Proszę.

Znaleźli się znowu w ciasnej i ciemnej poczekalni. Jedno małe okno w głębi zaledwie oświetlało pokój. Niezbyt wysoki sufit zdawał się ciążyć kamieniem nad sznurem nędzarek, które wciąż tu stały czekając na bony. Jedne były ubrane w resztki jakichś dawnych świetności, inne miały na sobie bezbarwne, przerażające łachmany, które nędza stwarza dla nędzy. Nagie stopy tkwiły w szmacianych pantoflach lub w kłapiących drewnianych chodakach. Stały cicho, niespokojnie, przestępując z nogi na nogę. Ale każde usta, wpadłe,

o fiołkowobrunatnych wargach gotowe były w razie potrzeby wybuchnąć jazgotem oburzenia czy gniewu. W dłoni ściśniętej w pięść trzymały jakieś papiery albo brudną, wymiętą chusteczkę, w której — być może — były zawinięte ostatnie grosze. Nawykły już widać do tego stania. Cóż im zresztą pozostało innego? W domu głód szczyrzył zęby. Świadczyły o tym wynędzniałe twarze. Nie miały nic poza tą zupą, garścią szmat na grzbiecie i możliwością wygadania się w ogonku.

Von Recke wskazał młodą jeszcze kobietę, stojącą prawie na końcu kolejki. Trzymała na rękach paromiesięczne dziecko, a dwoje starszych bawiło się opodal na brudnej podłodze. Dziewczynka o jasnych, polepionych w strączki włosach miała bardzo krótką sukienkę, spod której wyzierały zbrązowiałe od brudu nogi. Mogła mieć sześć lat — nie więcej. Młodszy chłopiec siedział na ziemi i grzebał palcem w szparze podłogi. Twarz malca pokryta była jakimiś wyrzutami.

Tłumacz przedstawił kobiecie propozycję von Reckego. Z wyrazu jej oczu można było wywnioskować, że nic nie rozumiała. Powtórzył po raz drugi. Znowu to samo tępe, trochę wystraszone spojrzenie. Dopiero gdy towarzyszki poczęły jej tłumaczyć słowa urzędnika, pojęła i nagle nasrożyła się. Von Recke nie wiedział, o co kobiecie chodzi, ale już z samego krzyku wywnioskował, że jest bardzo zagniewana. Gestem ręki pokazywała dzieci, które przypadły do niej i trzymały się kurczowo spódnicy. Biła pięścią w wychudłą pierś, wskazywała ubranie, podarte chodaki, swój wygląd. Inne kobiety zgodnie kiwały głowami jakby przytakując tamtej. Potem w potoku słów krzyczącej padł wyraz, który wywołał wybuch śmiechu w ogonku kobiet, dyskretny uśmiech na ustach woźnego oraz pewien niepokój urzędników.

— Co ona mówi? — spytał tłumacza von Recke.

— Nie chce się zgodzić — odpowiedział urzędnik. — Powiada, że potrafi sama utrzymać dzieci przy życiu...

W kobietę tymczasem wstąpił istny szal bojowy. Podparłszy się rękami pod boki krzyczała teraz prosto w twarz barona. Próbowano ją uciszyć. Czując, że jej Niemiec nie rozumie, zaczęła gestykutować; von Recke nie potrzebował już tłumacza, te gesty były aż nadto przejrzyste. Mówiły, że matka wolałaby dzieci zarznąć, niż oddać je w jego ręce. Wyczytał także w oczach malców ponury strach. Nie chcąc przedłużać tej niemiłej sceny skinął urzędnikowi głową i poszedł na dół zgarbiony, przygięty do ziemi.

II

Pod wieczór pracowitego lipcowego dnia eskadra „Wilków” spłynęła na polowe lotnisko obok skraju lasu. Kiedy żołnierze masko-

wali gałęźmi aparaty, commodore, kapitan Köstring, zebrał pilotów na odprawę przy drodze. Dzień ten był ciężki. Otrzymali zadanie: mają zmusić do milczenia artylerię radziecką, która osłaniała swym ogniem jednostkę czołgów operującą na przedpolu. Od rana pracowali nad wykonaniem rozkazu, tańcząc wciąż wśród rozrywających się pocisków dział przeciwlotniczych i odpierając ataki pościgowców zwanych „Rata”. W tej walce stracili dwa aparaty kierowane przez dwóch najmłodszych pilotów eskadry — podchorążego Fricka i podchorążego Bergera.

Oba samoloty spadły w wyniku nieostrożności pilotów, którzy sprowadzili je zbyt nisko. Nieostrożność... Köstring idąc w stronę drogi po szeleszczącym ściernisku zadawał sobie pytanie, czy ten lot niedouczonej młodzieńszków na mocno bronione pozycje nie był w ogóle szaleństwem. Fricka miał w eskadrze od piętnastego czerwca. Bergera zaś przydzielono mu już po rozpoczęciu działań na wschodzie. Ani jeden, ani drugi nie przebył należytego przeszkolenia w pilotażu. Kilka tygodni NSFK, kilka tygodni kursu. Obaj wzięci prosto z ławy szkolnej, a żaden nie miał osiemnastu lat.

Taka zresztą była cała eskadra „Wilków”, którą mu dano po, zniszczeniu nad Heraklionem eskadry „Much”. W walkach o Kretę awansował na zastępcę von Mariesa. Razem dokonywali ataków, które przyniosły młodemu kapitanowi Krzyż Rycerski, von Mariesowi zaś — stopień generała. Podczas przegrupowań organizacyjnych w Grecji nowo sformowaną eskadrę „Much” otrzymał Schneditz, a Köstring został mianowany dowódcą eskadry „Wilków”, z której pierwotnego składu po pierwszym dniu desantu na Kretę nie ocalała ani jedna maszyna.

Piloci usiedli na brzegu rowu, tuż przy drodze. Zza szarych, niskich, chmur wyszło słońce. Ślizgało się ostatkiem sił po polach. Tak było co dzień, słońce widzieli tylko przez chwilę wieczorem, a resztę dnia mokli na deszczu. Paskudna pogoda dziwnie jednak odpowiadała tej paskudnej wojnie.

Köstring był najstarszy w eskadrze, ponieważ ukończył niedawno dwadzieścia trzy lata. Jego zastępca, porucznik Neubert, był o rok młodszy. Wiek trzech podporuczników wynosił razem nie więcej niż sześćdziesiątkę. Reszta to byli całkiem smarkaci podchorążowie.

Drogą ciągnęło wojsko: brudne, obłocone, zapyłone samochody naładowane żołnierzami; zaprzęgi konne; sznur śmiertelnie zmęczonych piechurów. Niektórzy żołnierze szli jak błędni, potykając się i wspierając wzajemnie ramionami. Jakaś kompania stanęła przy spalonej wsi po drugiej stronie drogi. Słychać było kłatwy żołnierzy. Obiecano im kwatery; zamiast nich znaleźli kupę okopconych gruzów. Nie po raz pierwszy spotykali się z całkowitym zniszczeniem dokonywanym z pasją przez przeciwnika. Domy i zabudowania gospodarcze znajdowali spalone, studnie zakopane lub zawalone gnijącym ściervem. Ludzi nie widywano — odpłynęli falą na wschód.

Nie mogli nie kląć za każdym razem. Kiedy nogi mdlały od for-

sownych marszów — świadomość, że i w nocy nie znajdą odpoczynku, stawała się zmorą ich życia. Musieli kłaść. Ta wojna nie przypominała im żadnej innej kampanii i żadna poprzednia nie dorównywała jej grozą. W dodatku dopiero się zaczynała — pod koniec wyczerpującej drogi, którą szli już od dwóch, nie, od ośmiu już lat co najmniej.

Zaledwie mrok począł zsuwać się na ziemię, kiedy z przeciwnego kierunku — z równinnej dali, nad którą zwiślał opar dymu podbity czerwienią pożarów — nadjechały transporty rannych. Między samochodami ciągnęły zwykle chłopskie zaprzęgi, wiozące na słomie jęczących żołnierzy. Ze strzępów mundurów, zielonych lub czarnych, z okrwawionych koszul wyglądały żółte, jakby przysypane popiołem twarze. Jęk unosił się nad nimi, bo wszystkie usta odpowiadały płaczącą skargą na podrzuty, których nie szczydziła im zryta i rozkopana przez czołgi droga. Czasem spośród płaczących głosów, wśród „Jesus”, „O mein Gott”, „Herr Je”, „O Mutti”, wśród podberlińskiego „Herr Jott” i bawarskiego „Maria”, wybuchały przekleństwa i okrzyki wściekłości.

Młodzi lotnicy patrzyli na to widowisko bez mrugnięcia powiek. Parotygodniowy okres zmagania na wschodnim froncie przyzwyczaił ich do oglądania ofiar walki. Jedna i druga strona nie znalazła dla przeciwników litości, a w tym zawziętym pojedynku cena życia ludzkiego spadła poniżej wszelkiej wartości.

Herbert przystąpił do odprawy. Musiał przygotować tych chłopców do jutrzejszej walki; rozkaz czekał już na nich, nim zdążyli powrócić z dzisiejszego lotu. Tym razem mieli zaatakować stację kolejową na tyłach wojsk radzieckich. Piloci słuchali apatycznie jego słów. Było im wszystko jedno, gdzie polecą. Wyglądali na bardzo znużonych. Herbert przypomniał sobie odprawę francuską przed rokiem. Wtedy był także znużony, ale nad zmęczeniem górowało w nim poczucie zbliżającego się triumfu. Teraz czytał w oczach lotników, że żaden z nich o zwycięstwie nie myśli. Odeszło ono w kraj odległych marzeń. Pozostała tylko smętna wola wytrwania.

Herbert rozumiał ich — i w nim walczyła ponura obojętność z tkwiącym gdzieś aż w głębi jego istoty niepokojem. Będąc z natury skrupulatem źle się czuł jako dowódca eskadry, tym bardziej że poprzednio przywykł służyć pod komendą ludzi energicznych. Kerschesteiner i von Maries nie znali wahań, nie potrzebowali szukać u innych moralnego oparcia. Zresztą może dowodzili eskadrą w innym czasie i innych mieli podwładnych. Przecież przed rokiem on sam był wśród kolegów najmłodszy. Dziś ciężar odpowiedzialności za eskadrę spoczywał wyłącznie na jego barkach, a przed sobą widział tylko szereg niemal dziecinnych twarzy, przeżartych apatią, przedwcześnie zniechęconych do wszystkiego.

Herbertowi brakowało kogoś bliskiego, przed kim mógłby się zwierzyć ze swych trosk. Dawniej miał jeszcze von Mariesa. Ten mało sympatyczny z wyglądu oficer nie był przy bliższym poznaniu

złym kolegą. Ale i on nie miał tej potężnej, łamiącej wszystko energii Hugona, połączonej z niezachwianą pewnością zwycięstwa. Von Maries nie należał do zwolenników wojny na wschodzie. W pamięci Herberta tkwiły jego słowa: „Bijmy Anglików — tak powiedział wódz — gdziekolwiek się pojawią, ale nie łudźmy się, że możemy bić bezkarnie każdego, kto się nam pod rękę nawinie” Z Rosją, zdaniem von Mariesa, trzeba się było rozprawić na samym początku. Obecnie było już za późno. „Jeśli się wierzy, że można skończyć z Anglią, należy to uczynić zaraz, nie zwlekając — rozumował wnuk von Grotego. — Jeśli natomiast wydaje się to absurdem, po co wplątywać się w kłopoty z obu stron?”

Ale von Maries, choć pełen wątpliwości w rozważaniach, nie filozofował w życiu codziennym. Był dobrym pilotem i oddanym kolegą. Teraz i von Mariesa nie było. Miał dowodzić dużą jednostką „Stuk” złożoną z kilku eskadr, a między innymi z eskadry „Much” i „Wilków”. Potem coś się zmieniło, bo go już na froncie nie widzieli. Koncepcja „sprzęgu” kilku eskadr została pogrzebana. Może dlatego, że do głosu doszli teraz dowódcy większych jednostek piechoty, którzy chcieli mieć lotnictwo do swojej dyspozycji. Ukształtował się charakterystyczny typ walki: dołem brnęła powoli naprzód piesza armia, w górze zaś płątały się eskadry, wykonując zlecone, a nieefektywne zadania.

Herbert lecąc nieraz kłął w duchu kolumny, które beznadziejnie opieszale posuwały się naprzód ku rosyjskim pozycjom. Później jednak, kiedy lądował i widział straszliwe pobojojiska, musiał tamtych usprawiedliwić. Oni nie mogli iść szybciej...

Dni płynęły za dniami. Wojna wciąż jednak postępowała wchód. Wchodzili w kraj piaszczysty, szerokich dróg, żalonych równin, których nie ożywia żadna wyniosłość, małych, z rzadka rozsianych wsi, zawczasu zamienionych w ruinę. Wszystko tu trzeba było przywozić. Samochody kursowały bez przerwy tam i z powrotem, zwalając w określonych punktach bańki z benzyną i skrzynie z żywnością. Nie zawsze przychodziły regularnie. Były dni, kiedy trzeba było obywać się bez obiadu i skracać czas lotu. Nieprzyjacieli znajdował się także na tyłach. W lasach kryły się oddziały ogarniętych fanatyzmem partyzantów. Nie cenili swego życia bardziej niż życia wrogów. Walczyli zaciekle, rzucając się w pojedynkę na kompanie, bez troski o życie, bez nadziei nawet ocalenia siebie, ogarnięci czymś, co już nie jest odwagą, ale szaleństwem, pragnący tylko jednego: zadania przeciwnikowi jak największych strat.

Wiele kłopotów związanych z eskadrą zatruwało Herbertowi życie. W dodatku i własne zmartwienia dreczyły go nieustannie. Przede wszystkim nie mógł się pozbyć uczucia winy za śmierć Hugona. Wciąż nie miał pojęcia, co wywołało ten wybuch złego humoru u Kostrzewy w dniu jego śmierci. Przywiózł przecież z odprawy awans i najwyższą odznakę wojskową. Niewątpliwie usłyszał przy sposobności wiele pochwał. Mimo to wyglądał jak człowiek dotknię-

ty jakimś wielkim nieszczęściem. Mówił dziwnie i postępował dziwnie — inaczej niż zwykle. Herbert ciągle pamiętał straszny wybuch gniewu Hugona, spowodowany widokiem księżek leżących na stole.

Przeżywał te wspomnienia rozmawiając ze swymi podwładnymi. Zmierzch kładł się z wolna na wykoszone pole. W dali warczały działa i różowy błysk pożarów wisiał na niebie. Droga wciąż i wciąż bez końca maszerowała w jedną stronę piechota, w drugą powoli sunął sznur wozów z rannymi. Commodore skinął kolegom ręką.

— Teraz idziemy spać. A jutro z pierwszym świtem...

Kładli się do snu w namiotach, Köstring długo nie mógł usnąć. Poprzez zbijające z nóg zmęczenie i mgłę zmaconych myśli wołał w nim tego wieczoru jakiś niepokój z taką siłą, że się zastanowił: czyżbym miał zginąć? Wszedł z namiotu i począł spacerować po ściernisku. Musiał się sam przed sobą do tego przyznać: bał się śmierci. Nie mniej bał się okrutnych ran lotniczych.

Czuł dreszcz za każdym razem, gdy przypominał sobie to przerażające widmo z twarzą gruzłowatego kartofla, które zobaczył tam, we Włoszech. Po zajęciu Grecji mieli moment wytchnienia; mogli wtedy spędzić parę dni urlopu na drugim brzegu Adriatyku. Wiosna włoska wyglądała przepięknie; błękitne morze uśmiechało się do błękitnego nieba, a lśniące w słońcu Apeniny czarowały wzrok przybysza z północy. Na jakiejś stacji zaskoczył Herberta niemiecki napis: Oficerskie Sanatorium. Znużony samotną podróżą wysiadł z pociągu. Tonący w zieleni park zsuwał się tarasami ku nadbrzeżnym skałom, w które biło spienione morze. Herbert szedł główną aleją, sam nie wiedząc, kogo szuka w tłumie nie znanych sobie rekonwalescentów. Już chciał wracać, gdy nagle ktoś zawołał go po imieniu. Patrzył na wołającego i nie wiedział, skąd ten nieszczęśnik zna jego imię. Potem w układzie jasnych włosów odnalazł coś znajomego. Z trudem pokonał w sobie chęć ucieczki, wysiłkiem woli zdusił krzyk grozy. Powiedział możliwie naturalnie: „Jak się masz, Karolku?” Ten pociągnął go w stronę ławki, na której zaraz siadł wyciągając przed siebie jedną nogę. „Widzisz chyba, jak się mam, do diabła! Urządzili mnie solidnie.” Potem opowiedział mu swoje wędrówki po szpitalach i uzdrowiskach. „Przeklęcie mocne serce... — w jego słowach była gorycz. — Miałem się żenić z dame de compagnie mojej ciotki. Starsza ode mnie, byłaby raczej moją pielęgniarką niż żoną, ale czego więcej mogłem od niej wymagać? Sądziłem zresztą, że kocha mnie naprawdę. Kiedy jednak Tommies rozwalili dom ciotki i wszystkie jej pieniądze lichy wzięło, to i owa Berta dała dęba. Ja się jej nie dziwię, psiakrew! Wziąć człowieka z jedną ręką, jedną nogą i z twarzą jak małpa opłaca się tylko wówczas, gdy na dodatek jest dom, wartościowe papiery, trochę dolarów i złota. Ale tak? Ciotką zajął się NS Wohlfartwerk, Puffik zdechł, no a ja — strzelił palcami — ja żyję. Podobno nawet rany znakomicie się goją.” Herbert przeprosił przyjaciela, że nie ma czasu na dłuższe pozostawanie w sanatorium:

„Pociąg... rozkaz powrotu...” Wolał posiedzieć parę godzin na małej stacyjce niż pozostać jeszcze bodaj parę minut w sanatoryjnym parku. Prześladowały go zmyry. Kostrzewa, Lahm, Körner, Kurz. Trwożyła jak nigdy przedtem groza śmierci. Często także stawało przed nim wspomnienie Gerdy. Ale najczęściej myślał o Oleńce...

To były kłopoty, które obok trosk natury ogólnej ciążyły mu na sercu. Wśród nich pamięć Oleńki paliła go jak rana. W jego życiu były jakby dwie szale uczuć: na jednej spoczywało przywiązanie do Hugona, na drugiej kolejno miłość do Gerdy i do Oleńki. Każdy nowy poryw uczucia dla jednej z kobiet naruszał harmonię równowagi. Lecz szala Hugona zawsze powracała na swoje miejsce. I dopiero ostatnio Herbert zaangażował się zbyt mocno w miłości. Przyjaźni groziła katastrofa. Lecz Hugo tragiczną śmiercią przerzucił ciężar na swoją stronę. Teraz Herbert nie mógł pozwolić, aby przeciwna szala przeważała. Czuł, że za śmierć przyjaciela on ponosi winę, która polega na miłości do Oleńki... Dlatego musi to uczucie zdusić w sobie i odrzucić. A wraz z nim musi się pozbyć myśli, które wprowadzają niepokój do serca. Nie ma wyboru trzeba pozostać w świecie Hugona, a opuścić świat Oleńki.

Otaczała go noc. Przestrzeń gadała skrzypem wozów, krokami maszerującego wojska, pomrukiem dział, gwarem głosów ludzkich. Gdzieś z niewielkiej odległości zaszczekał karabin maszynowy — pewno znowu jakiś partyzant przygotował zasadzkę. Rozstukały się karabiny. Przez parę minut strzelanina zagłuszyła wszystko. Potem te hałasy ucichły, powracała noc.

Przez Oleńkę stracił Hugona, przez Hugona stracił Oleńkę. To była rzeczywistość. Lecz zbliżywszy się do dziewczyny stracił wiarę w narodowy socjalizm. Czuł, że już teraz nie przemówi doń przekonująco mit krwi. Wprawdzie z drugiej strony czuł wstręt do ksiązek, które czytał w dniu brzemiennym w wypadki. Straciwszy zaufanie do doktryny wodza nie nabrał także wiary w katolicyzm. Oskarżał książki, że oddaliły go od Hugona, a doktrynę winił za jej wrogość dla każdej miłości. Czuł się nieszczęśliwy, bezsilny i sam, szarpany uczuciami, których ani zaspokoić nie umiał, ani nawet poznać nie potrafił. Tęsknił do miłości. Pożądał spokoju, lecz zdawał sobie sprawę, że żadne słowa tego mu nie dadzą. Był jak człowiek, który otworzył oczy i widzi wokół siebie noc — czarniejszą nawet niż noc zamkniętych powiek. Gdzieś musi być dzień... Ale gdzie...?

III

Nie przypuszczał, że eskadra znajdzie się tego dnia w tak ciężkich opałach. Dworzec był znakomicie broniony przez ciężkie karabiny maszynowe i działa przeciwlotnicze. Na dobitkę nadleciały zza lasów aparaty pościgowe, wysmukłe LAGG-3 na długich charcich nogach, w chwili gdy połowa „Stuk” nie zrzuciła jeszcze swego ła-

dunku. Trzeba więc było przyjąć ciężką walkę. Na szczęście piloci przeciwnika nie byli dobrze przeszkoleni — ich ewolucjom brakło śmiałości i zręczności. Próżno więc stukały działka i trzeszczały karabiny maszynowe, aparaty zaś wiły się wokół siebie w skrętach — przez długi czas rezultatu walki nie było. Wreszcie pościgowiec, strącony przez Herberta, zleciał w płomieniach między drzewa.

Młody *commodore* walczył za swą eskadrę niby kokosz zasłaniająca małe. Całą wiedzę lotniczą rzucił na szalę walki.

Przeciwnicy jednak nadlatywali coraz liczniej, otaczając zewsząd eskadrę.

Jedna ze „Stuk” — Herbert nie poznał w pierwszej chwili która — zwała się w dół. Rzucił okiem na zegarek. Walka się przeciągała. Poleciał więc obserwatorowi nadać sygnał odwrotu.

Köstring, mimo że był dowódcą eskadry, sam prowadził maszynę. Zwyczaj ten wszedł do eskadr nurkujących głównie z powodu braku obsługi. Widząc teraz, jak siedem Junkersów bierze kierunek zachodni, zatoczył półkole i umieścił swoją maszynę za innymi „Stukami”. Chciał w ten sposób kryć odwrót kolegów.

Znalazł się w ciężkiej sytuacji: trzy pościgowce runęły od razu na niego. Wymykał się im zręcznymi zwrotami, rzadko, ale celowo dopuszczając tamtych pod ogień karabinu maszynowego. Udało mu się nawet aparat jednego z przeciwników uszkodzić i zmusić do lądowania. Lecz dwaj pozostali nie chcieli odstąpić. Na zmianę to jeden, to drugi zataczali łuk, aby znaleźć się poza nim, szarżując, na aparat Köstringa i kierując nań podczas mijania ogień swych działek i karabinów. Czuł, jak pociski przewiercają kadłub jego „Stuki”. Tylny karabin maszynowy aż zanosił się od skrzeku. Szybko się zorientował, że jeden z przeciwników musi być zwykłym lotniczym żółtodziobem, natomiast drugi — chyba jakiś instruktor — posiada bajeczną wprawę. Atakując, za każdym razem stosował inną technikę. Köstring, skoro go tylko ujrzał w lusterku, napinał całą uwagę, chcąc być gotowym na każdą niespodziankę.

Teraz zaszedł go z lewej strony. Radziecka maszyna o wydłużonym w szpic przodzie zdawała się godzić w bok „Stuki” jak lanca. Herbert przerzucił drążek w prawo, a siedem uciekających przed nim niemieckich aparatów znikło z pola jego widzenia. Przeciwnik nadleciał z góry jak jastrząb i zaraz dał nura pod kadłub Junkersa. Potem wyskoczył z lewa, gotowy do zatoczenia nowego półkola. Po raz drugi szykował się do ataku z tej samej strony i Herbert pojął, że chce go zepchnąć z drogi eskadry. Zorientowawszy się w tym pomknął po cięciwie łuku, który zataczała maszyna przeciwnika, próbując go dosięgnąć ogniem przedniego karabinu. Ale tamten z niezrównaną precyzją wszedł w looping. Równocześnie na samolot Köstringa runął drugi z przeciwników. Karabiny Rosjanina zatrzeszczały za plecami Herberta i dało się słyszeć pykanie rozdzieranej powłoki aparatu.

Zaskoczyło go milczenie własnego karabinu. Kiedy pościgowiec był już pod nim, obejrzał się szybko: obserwator Unterfeldwebel Lars leżał bez ruchu twarzą na podstawie.

Tymczasem groźniejszy z czerwonych pościgowców dosięgnął go z tyłu. Gdy tamten był blisko, Herbert poszedł nagle świecą w górę. Dzięki szybko przeprowadzonej ewolucji skończyło się na nieszkodliwym bębnieniu po pudle kadłuba. Herbert odetchnął.

Znowu ten smarkacz! Za każdym razem podchodził równo od tyłu, co było pozycją niebezpieczną, ale nie zmuszało Köstringa do schodzenia z kursu. Powtórzył manewr z poderwaniem aparatu do góry i gdyby nie powaga sytuacji, byłby parsknął śmiechem, ujrawszy młodą, o szerokich policzkach twarz pilota szarpiącego rozpaczliwie drzątek.

Smukły kształt pościgowca wymknął się przodem spod „Stuki”. Na krótką chwilę Herbert położył maszynę nosem w dół i nacisnął spust karabinu maszynowego. Aparat radziecki zachybotał się z boku na bok, potem przeszedł w niezdarną beczkę. Herbert nie miał czasu obserwować jego katastrofy, bo nagle zobaczył w lusterku drugiego przeciwnika. Mimo grozy położenia czuł dumę: on, pilot zwykłego nurkowca, stracił dzisiaj dwa pościgowce nieprzyjacielskie, uszkodził trzeci i ocalił eskadrę. Jeżeli jeszcze sam wyjdzie cało z tej wyprawy... Nie bardzo wiedział, czego ma oczekiwać. Jeszcze jednego krzyża? Jeszcze jednego awansu?

Zresztą nie było czasu na rozmyślanie. Karabiny żołnierzy radzieckich już łomotały za plecami Herberta.

Przeciwnik nadleciał w ten sposób, że nie można było marzyć o wyrwaniu się w górę. Na szczęście jego atak nie osiągnął rezultatu i Herbert odetchnął z ulgą. Czuł się przez chwilę jak zajęć, nad którym krąży jastrząb. Kiedy już sądził, że jeszcze jeden atak przeszedł bezkarnie, jakieś dziwne drżenie przebiegło wzdłuż samolotu. Mocniej szarpnął drążkiem: stery nie działały. Równocześnie Junkers poleciał martwo w przód, jakby pozbawiony równowagi. Köstring zrozumiał katastrofę: ogon samolotu był strzaskany. Szybko odrzucił pokrywę budki i przełożył nogę przez burtę kabiny. Obok niego przemknął pościgowiec radziecki, już nie strzelając — czerwony pilot nie uważał za właściwe dobijać strąconego przeciwnika. Maszyna bez sterów wchodziła w korkociąg — nie było czasu do stracenia. Herbert skoczył w przestrzeń pociągając rączkę spadochronu.

Nie lubił skoków. Początkowo był to oszołamiający lot głową w dół ku wirującej ziemi. Krew zalewała skronie, serce zamierało w piersiach. Potem następowało szarpnięcie, które „stawiało” skoczka w powietrzu na nogi. Teraz spadał prawie łagodnie, chociaż zawsze wśród wahań. Chwila lądowania nie należała do przyjemnych: olbrzymi parasol, zanim oklapnął, włókł Herberta po ściernisku, wreszcie wciągnął go w kolczasty krzak głogu. Nim zdążył wyplątać się spośród lin i gałęzi, zobaczył żołnierzy radzieckich, którzy biegli w jego kierunku.

Mieli na sobie mundury koloru mlecznej kawy. Wielkie buty człapały po ściernisku, małe płócienne furażerki sterczały na czubkach głów. W rękach trzymali długie karabiny z nasadzonymi na lufę bagnetami.

Żołnierzy było sześciu i siódmy oficer w okrągłej czapce z czerwoną gwiazdą i z pistoletem w ręku. Ten już z daleka krzyczał coś do Herberta. Kapitan zrzucił z siebie pasy od spadochronu i rozpiął kombinezon. Silił się na spokój, choć serce biło mu niespokojnie. Rozejrzał się. Był na ogromnym rżysku. W dali widział tor kolejowy, stację, pociągi. Jego „Stuka” płonęła o kilkaset kroków dalej, nad głową krążył zwycięski pościgowiec.

Żołnierze otoczyli Herberta. Mieli szerokie twarze o mocno zarysowanych kościach policzkowych. Ich błękitne oczy były raczej łagodne. Wsparli teraz na karabinach spracowane ręce, oficer zaś coś mówił, czego Köstring nie rozumiał. Przekonany, że może się nie liczyć z gadaniną, postanowił iść w stronę pociągu. Ale zaledwie zrobił krok, tamci przyłożyli mu broń do piersi. W ich głosach słyszał żądanie.

— Zdaj się. Ruki w wierzch!

Szukając wyjścia ze swego położenia, Köstring powiedział po niemiecku:

— Nie rozumiem...

Tamci nie zmienili postawy. Prawie z gniewem spróbował po polsku:

— Nie rozumiem, co pan mówi.

To poskutkowało. Oficer potrząsnął ze zdumieniem głową.

— Polak? Niemiec nie?

Köstring coś niecoś zrozumiał.

— Nie, nie jestem Polakiem.

Podczas tej rozmowy w pobliżu wylądował pościgowiec. W chwilę potem do stojącej grupki podszedł pilot w futrzanej kurcie. Był to człowiek niemłody o ciemnym, gęstym, źle zgolonym zarostcie. Czarne oczy zdawały się płonąć pod łukami szerokich brwi. Dużymi, nie domytymi rękami mechanika, poznaczonymi tu i tam przez białe blizny, gmerał przy podpince pilota. Pierwszy oficer zaszalutował mu jakby z pewną czołobitnością. Wskazał na Herberta.

— Faszyst, towarzyszu major.

Pilot w milczeniu skinął głową i począł się Köstringowi uważnie przyglądać. Wreszcie spytał go, przechylając charakterystycznie głowę i przymrużając lewe oko:

— Wy byli w Hiszpanii, a?

Mówił wyraźnie, oddzielając słowo od słowa tak, że Herbert rozumiał pytanie.

— Nie, nie byłem w Hiszpanii.

— Nu, pomnijcie... Żeby was tu który z towarzyszy nie poznał. Horoszij piłot — skinął z uznaniem głową zwróciwszy się do swoich: — Jegora Siemienowicza ubił i Paturejkę ubił. Ale nie ze mną mu się mierzyć. Germaniec — wyciągnął rękę i pogładził palcami skórzaną kurtkę Herberta.

Uśmiechnął się drapieżnie i otarł nos wierzchem dłoni. Skinął ręką oficerowi.

— Zaprowadźcie go, towarzyszu poruczniku, na kwaterę.

Köstring szedł przez ściernisko w otoczeniu żołnierzy. Mimo sileńia się na spokój czuł lęk przed tym, co go czeka. Hugo nigdy nie chciał mówić o swych przeżyciach w niewoli. Herbert rozmawiał z żołnierzami, którzy czas jakiś znajdowali się w niewoli francuskiej, i ci twierdzili, że Francuzi byli dla nich uprzedzająco grzeczni. Słyszał także opowiadanie pewnego podporucznika Fallschirmjägrów, schwytanego przez Greków na Krecie. Sądząc z zaciekłości, jaką wykazywali obrońcy greccy, ów podporucznik myślał, że zostanie po prostu zasztyletowany w cieniu gajów oliwnych. Ale ofiarowano mu tylko kilka brutalnych popchnięć, potem zaś, gdy się znalazł wśród Anglików, nie mógł już narzekać na niewolę. Traktowano go grzecznie, prawie z szacunkiem. Podobnie zresztą powiedział mu dowódca konwoju jeńców, kiedy jechali kamienistym gościńcem na południe: „My, Anglicy, szanujemy zawsze tych, którzy potrafią być silni. Ale też — tu błysnął w uśmiechu białymi zębami — wykańczamy tych, którzy zanadto zasłużą na nasz szacunek”.

Taka była niewola francuska, angielska czy grecka. Ale jaka będzie niewola radziecka? Teraz dopiero począł wyławiać z pamięci wspomnienia jeńców rosyjskich, umierających z głodu i pragnienia w obozach niemieckich. Przerażające wizje, straszliwe obrazy.

Szli wzdłuż toru, po którym wolno toczył się pociąg. W otwartych drzwiach towarówki stał tłum żołnierzy. Mieli wielkie hełmy na głowach, długie nie obrębione u dołu płaszcze i czarne owijacze. Bez gestu, bez słowa patrzyli na jeńca. W innych wagonach żołnierze śpiewali tęskną, melodyjną pieśń.

Wprowadzono Köstringa na mały dworzec. Nie czekając na pozwolenie usiadł na szerokiej ławce, czemu się ostatecznie żołnierze nie sprzeciwiali, choć przez chwilę wyraźnie nie wiedzieli, co mają robić. Oficer odszedł, wygłosiwszy przedtem dłuższą przemowę do żołnierza z dwoma czerwonymi trójkątami na kołnierzu. Dworzec był ciemny, brudnawy, od ścian i ławek ziało ostrą, niemłą wonią. Niezrozumiałe rosyjskie napisy zdobiły ściany.

Köstring siedział tak ze dwie godziny, znużony, zły i głodny. Głód dokuczał mu tak, że palił papierosa za papierosem, i dopiero gdy ujrzał pustą papierośnicę, przeraził się swego marnotrawstwa. Wreszcie wyciągnął się na ławce, postanawiając spać. Zasnąć jednak nie mógł. Woń, którą była przesiąknięta stacja, drapała go w gardle. Pocił się niemilosiernie w swym kombinezonie, którego nie chciał

zdjąć. Wreszcie zapadł w stan bezwładu, pełnego rojeń i snów. Nagle poczuł, że ktoś trącił go w ramię. Podniósł głowę. Nad ławką pochyłał się oficer, który wziął go do niewoli. Z gestów Herbert zrozumiał, że ma wstać i gdzieś iść.

Nie bez wysiłku dźwignął się z twardej ławy. Było południe i złote słońce wraz z rojami much wpychało się wszystkimi szparami do budynku. Köstring zdjął z siebie kombinezon i wziął go na ramię. Poczul się trochę lepiej bez tej pierzyny na grzbiecie.

Oficer wyprowadził jeńca ze stacji między opłotki małej osady. Szli brzegiem wąskiej, trochę twardszej ścieżki, środkiem zaś, mieszając nogami piach, sunęła kolumna piechoty.

Weszli do chaty, przed którą dwóch żołnierzy trzymało straż. W ciemnej sieni stało kilku oficerów i żołnierzy. Znowu trzeba było czekać. Potem otworzyły się drzwi do izby i żołnierz stanąwszy w progu zawołał w stronę opiekuna Herberta:

— Wchodźcie! Komendant woła!

Izba była zamieniona na biuro. Jeden stół stał na środku, drugi obok, a na nim maszyna do pisania. Z tyłu dwie skrzynie, widocznie z połową kancelarią. Na ścianie naprzeciw wejścia wisiał wielki portret Stalina, pod nim podobizny trzech dowódców frontu: dobrodusznia, a jednocześnie groźna twarz Budionnego z wąsami jak miotły; mała, trójkątna, z wygolonymi policzkami — trochę do głowy Chińczyka podobna — głowa Timoszenki; suche, poważne oblicze Woroszyłowa. Za stołem siedziało dwóch oficerów. Starszy miał mięsisty nos, grube usta i wyraz ironii w spojrzeniu małych przy-mrużonych oczu. Drugi był młody, przystojny, kruczowłosy i bardzo wysoki. Siedział wyprostowany, a wyraz niebywałej wprost zuchwałości nie schodził z jego warg. Wreszcie przed maszyną siedziała kobieta. Miała lekko piegowatą twarz, bezbarwne, krótko ostrzyżone włosy. Ręce opierała na klawiaturze maszyny. Ubrana była w zwykłą bluzę żołnierską ściągniętą pasem, w wojskowe spodnie. Na widok Herberta wstała i stanąwszy z boku zaczęła mu się uważnie przyglądać. Wtedy zauważył, że była młoda i pięknie zbudowana.

Köstringowi wskazano krzesło i zaczęło się wypytywanie. Pytania stawiał przeważnie starszy oficer, posługując się doskonałą niemiecczyną. Kiedy odzywał się jego towarzysz, twardy germański język zmiękczał śpiewnym rosyjskim akcentem. Kobieta tylko dwa razy rzuciła pytanie. Najpierw:

— Kim jesteście w cywilu?

Drugi raz pod koniec badania, gdy rozmowa zeszała na temat znajomości języka polskiego u Herberta:

— Czy to was Polacy po polsku uczyli? Przyznajcie się.

Po skończonym badaniu oficer, który — jak teraz dopiero zauważył Köstring — był majorem, zdecydował:

— Będzie pan musiał, kapitanie, pójść z transportem do Kaługi.

Bardzo mi przykro, że pana tam wysyłam, bo pan chyba do pieszych wędrowek nie przyzwyczajony. Ale trudno, samochodów tu nie ma. Koleją pana nie wyślę. Zresztą niebezpiecznie kolejną podróżować. Pańscy koledzy lubią rzucać bomby... — zaśmiał się szeroko. — Nie wiele nam to strat przyczynia, niech mi pan wierzy. Ale panu pewnie nic jeść nie dali — zwrócił się po rosyjsku z jakimś poleceniem do porucznika. — Zaraz panu przyniosą obiad. Może i papierosy.

— Chętnie kupię — rzekł Herbert.

— Och, cóż znowu. Mamy dosyć. I dla pana starczy.

Znowu coś powiedział do oficera, ten zaś wyszedł zza stołu, ukląkł na ziemi i otworzył jedną ze skrzyń. Wydobywszy z niej kilka pudełek papierosów podał Köstringowi.

— Niech pan pali, kapitanie. Przyzna pan, że takich papierosów nie ma w Niemczech.

Na tym skończyło się przesłuchanie. Herbert wyszedł z kancelarii przed dom. Zaraz porucznik krzyknął do jednego ze swych żołnierzy.

— Przynieś obiad jeńcowi!

Żołnierz przyniósł w menażce zupę. Herbert siadł na progu jakiejś chaty i jadł pośpiesznie. Nasyciwszy pierwszy głód poczuł budzący się w nim wstyd. On, oficer niemiecki, napycha się z taką żarłocznością na oczach wrogów. Powinien był żądać stołu, obsługi, czegoś lepszego niż ta zupa. Z drugiej strony zdawał sobie jednak sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa takie żądanie wywołałoby tylko zdziwienie wśród żołnierzy radzieckich. Im, idącym do walki, na pewno było obojętne, jak jedzą i co jedzą. Poczul nagle utkwiony w sobie wzrok. Podniósł głowę. Przed nim stała dziewczyna z kancelarii i pałac papierosa w milczeniu go obserwowała.

Nawet niezdarna męska odzież nie potrafiła zakryć proporcji kształtów kobiety. Herbert stwierdził to po raz drugi. Gdy patrzył na jej twarz z dołu, mniej rzucały mu się w oczy piegi: widział natomiast ciężki podbródek oraz szerokie wargi, spoza których błyskały białe zdrowe zęby. Kobieta widząc zwrócony ku sobie wzrok Köstringa uśmiechnęła się i podeszła bliżej. Dłonią rozcapierzoną w kształt grzebienia odgarnęła w tył włosy.

— I cóż — rzekła dość swobodnie po niemiecku — skończyły się wasze błyskawiczne zwycięstwa, odkąd weszliście na ziemię rosyjską?

Odpowiedział patrząc prosto w jej błękitne oczy:

— Wolniej czy prędzej, idziemy jednak naprzód.

— Och, póki my — dotknęła ręką wysokiej piersi — nie staniemy przeciwko wam. My, młoda rewolucja.

Oparła się o płot i przeniosła wzrok z Herberta na maszerujące wciąż kolumny. Na twarzy dziewczyny malowała się wyraźna duma. Obserwując ukradkiem jej spojrzenie odkrył ze zdumieniem, że oczy

dziewczyny miały jakby ten sam wyraz co oczy Hugona i Oleńki: wyraz młodzieńczego zapału, przetworzonego w siłę. Z dali wspomnień doleciały go słowa von Mariesa, wypowiedziane kiedyś, gdy spacerowali we dwójkę po Partenonie. Mówili o wiecznej młodości greckiego ducha. Pułkownik powiedział wtedy: „Duch Grecji pozostał młody. Ale tamci są — ogarnął ruchem ręki zda się cały półwysp aż po jego kraniec — i duchem, i ciałem młodszy. Tylko my staliśmy się starzy, beznadziejnie starzy...” Tu była młodość. Tylko ona potrafi z taką beztróską kryć piękno pod sztywnym kształtem drelichowej bluzy. Była także wiara w twórczą moc podjętego działania i przywiązania do osiągniętych wyników. A jednocześnie zdawał sobie sprawę, że przy całym podobieństwie tej sfanatyzowanej dziewczyny do równie sfanatyzowanego — a dziś już nieżyjącego — przyjaciele istnieje między nimi zasadnicza, przekreślająca wszystkie podobieństwa różnica. Odkrył ją patrząc na stopy dziewczyny tkwiące w wysokich butach, zanurzonych głęboko w pyłe drogi. Ten piasek, te nogi w męskim obuwiu, te kolumny ciągnące drogą z monotonnym śpiewem na ustach, to był obcy nieznany świat. Wstrząsnął się cały. Ależ tak, Hugo żył w ich świecie — w świecie wygody i luksusu. Tutaj było zupełnie inaczej. Tędy szedł groźny pomruk burzy nadciągającej od stepów nadkaspjskich, od tajgi syberyjskiej, od pustkowi mongolskich, od pustyni, od gór olbrzymich, od tajemniczego kontynentu. Azja — matka ludów maszerowała wraz z szeregiem tych wojsk. Słysząc było kroki pod błękitnym lipcowym niebem, kroki huczące jak grom: raz... dwa... raz... dwa...

Kipuczają, mogącują,
Nikiem nie pobledimają,
Strana maja, Moskwa maja,
Ty sama lubimają...

zanuciła dziewczyna w żołnierskich butach.

Skurcz niepokoju ścisnął serce Herberta. Znowu zadzwięczały mu w uszach słowa von Mariesa. „A my jesteśmy starzy.” Tak było rzeczywiście. Tam — po drugiej stronie frontu — widział twarze złe, zniechęcone, zestarzałe w ciągłym napięciu nerwów. Tutaj próżno szukał na twarzach idących żołnierzy piętna zgrzybiałości. Nie było go, rozplynął się bez śladu w pogardliwym choć niezrozumiałym skrzywieniu ust.

Utro krasit nieznyim swietom
Stieny driewniewo Kremla,
Prosypajetsia z razwietom
Wsia sowietskaja ziemia.

Nie rozumiał tego, co śpiewali. Wyczuwał tylko w tonie pieśni jakąś tęsknotę rozległą bez granic, jak te stepy, które zaczynały się tu zaraz, na wschodzie. Lecz była to tęsknota siły, nie słabości.

Herbert zamyślił się posepnie siedząc nad opróżnioną menażką.

Nie słyszał nawet, jak dziewczyna odeszła. Z rozmyślań zbudził go porucznik trąceniem w ramię.

Poszli na koniec wioski. Pod płótem stał konwój: kilka kobiet i dzieci oraz dwóch starych mężczyzn. Pilnował ich żołnierz z pistoletem maszynowym na plecach.

Prowadzący Herberta oficer podszedł do żołnierza i coś powiedział wskazując na Köstringa. Tamten potakując mu zamrugał przekrwionymi oczami. Kapitan zrozumiał, że został oddany tamtemu pod straż. Wzrok jego pobiegł ku nogom czekających ludzi, owiniętym w szmaty. Ach, więc to tak wyglądają transporty w Rosji. Chwycił go za gardło lęk, jakiego dawno nie czuł. Po prostu był przez chwilę bliski błagania porucznika, aby go nie skazywał na tę wędrowną. Ale bardziej niż wstyd powstrzymała go świadomość, że tamten nawet by nie zrozumiał. Miał przecież przed sobą człowieka z innej planety, człowieka, który dla swej sprawy nie zawahałby się wyruszyć w stokroć cięższą drogę.

Żołnierz ruszył z trzema swymi więźniami naprzód. Ludzie z konwoju także wstawali. Rozpoczęto wędrowną wśród piasków szerokiej rosyjskiej drogi. Kiedy mijano śpiewającą kolumnę żołnierzy idących w przeciwnym kierunku, Herbertowi wydało się, że śpiewają na jakąś szyderczą nutę piosenkę żołnierzy niemieckich z kampanii polskiej.

Täglich marschieren wir sieben Meilen
Vorwärts, vorwärts, immer weiter,
Wenn wir siegreich durch Polen eilen
Vorwärts, vorwärts, immer weiter.
Wir stürmen und wir stellen unsern Mann
Am Bug, an der Weichsel und am San...

IV

Przez pierwsze dwa dni Herbert szedł w fizycznym i duchowym ośpieniu: wysiłek zabijał w nim wszelką myśl. Dopiero na trzeci dzień opuściła go apatia i nieczułość. Wspomnienia otaczały go ze wszystkich stron. Nie mógł od nich uciec, nie umiał się z nich otrząsnąć. Spoglądały ku niemu twarze: Hugona, Gerdy, Oleńki, Waltera, Körnera, Lahma. Czasem znów zupełnie nieznane twarze, czasem przypominające swoim wyrazem jakieś widziane przelotnie oblicza.

Aby oderwać się od tych myśli, zaczął się przyglądać swoim towarzyszom. Przede wszystkim zwrócił uwagę Herberta starszy, łysawy człowiek o małej głowie na szerokich ramionach, o oczach jasnoszarych, z siwaworudymi wąsami, spod których wyzierały mięsiste wargi. Podróż znosił ciężko, z trudem wlokąc się noga za nogą. Z każdym dniem twarz mu coraz bardziej bladła i zdawała się maleć, w miarę

jak zapadłe policzki obsypywała szczeciniasta broda. Gdy tylko kolumna stawała, człowiek ten, nazywany przez towarzyszy inżynierem, siadał na ziemi i przez dłuższy czas ciężko dyszał.

Zresztą on pierwszy zaczepił Herberta. Podszedł do niego i w słabej niemczyźnie zaproponował mu zamianę: za dwa papierosy gotów był dać sześć kostek cukru.

Oficer uśmiechnął się przyjaźnie. W trzecim dniu pieszej wędrówki obudziło się w nim jakby poczucie solidarności z tamtymi ludźmi.

— Zgoda — rzekł. — Wprawdzie zostało mi już tylko osiem sztuk, ale mniej teraz palę, a jak gdzieś dojdziemy, to prędzej ja dostanę papierosy niż pan.

— No to dziękuję — inżynier skinął swą małą głową, wziął z naszczeniem papierosy i zaraz włożył jednego do ust. Zaciągnął się z przyjemnością. — Czy pan sobie wyobraża — powiedział — że nie paliłem od dwóch tygodni?

— Współczuję.

— Póki siedziałem w więzieniu, mogłem je sobie co tydzień kupować. Ale teraz i pieniądze się skończyły, i my wciąż maszerujemy. Idę znowu tam, gdzie byłem przed trzydziestu sześciu laty...

— To znaczy gdzie?

— W Rosję. „W step szeroki i bez końca” — jak mówi Lermontow. Byłem tam już w tysiąc dziewięćset czwartym. Daleko, w Mandzurii. Potem na południu: w Baku, w Tyflisie, w Odessie. Mieszkałem całe tygodnie u stóp Araratu — uśmiechnął się. — Rosja niewiele ma już dla mnie tajemnic...

— I pan się nie boi wielkiej Rosji? — w głosie Herberta brzmiał podziw.

Inżynier podniósł głowę i utkwił w oficerze swój spokojny wzrok.

— Bać się? Nie straszy morze tego, kto po nim zwykł pływać. A my jak rybacy stoimy nad jego brzegiem i nieraz już przepływaliśmy je z krańca na kraniec. Mego ojca wieźli w kubitce na Ural... Gdzieś do Szadryńska czy Talicy. Ja sam jako oficer rosyjski musiałem tkwić aż w dalekim Laojanie i brnąć przez błotnistą Sza-ho, gdy nam pociski artylerii Kurokiego wyły nad głowę. Prawda: Rosja to nie naród, to część świata. Lecz nie ma takiej głuszy, gdzie by Polak nie zawędrował. My się żadnej dali nie zlekniemy. Bo wszystko, co nasze, nobiscum portamus...

Wysuptał z węzłka sześć kostek cukru i położył je na dłoni oficera.

— A jak pan ten cukier zdobył? — spytał go Herbert.

— Składając ziarnko do ziarnka. Przez całe miesiące odkładało się na ciężką chwilę. No i dlatego posiadam teraz zapasy. Dla mnie co prawda niewiele z nich pożytku. Cierpię na cukrzycę i na jakieś bóle w stawie barkowym. Pytał pan, czy się nie boję Azji. Nie. Azji się nie boję. Ale droga długa... „It's a long way to Tipperary...” I choć

mnie na jej końcu nie czeka żadna „sweet girl”, przecież lękam się, iż może się dla mnie okazać za długa... A wtedy... Lecz trudno... „Akonczen żyzni wopros, nie nado ni piesien, ni sloz...”

Och — była to rzeczywiście droga bez końca. Herbertowi wydawało się, że nie dojdzie nigdy do jej kresu. W takich chwilach ogarniała go trwoga. Uświadamiał sobie, że chodził dotychczas tylko skrajem życiowych doświadczeń, natomiast prawdy życia wcale nie poznał. Pozostała ona dla niego tajemnicą, zbyt mroczną, by mógł się pozbyć przed nią lęku, zbyt wyraźnie wyczułą — by mógł uważać ją za mrzonkę. Na życiu Herberta legł ciężar oczekiwania połączony z przykrym lękiem.

Szli coraz dalej i dalej, za nimi zaś sunęła wojna. Szła z większą niż oni szybkością, bo gdy wydostali się z pustki bocznych dróg i trafili na szeroki trakt, spotkali na nim zbitą kolumnę cofającego się wojska. I znowu Herbert spotkał się z niespodzianką: on, który ostatnio urobił sobie zdanie o wprost zastraszającej bitności wojska radzieckiego — nagle ujrzał przed sobą szeroką falę ogólnego odwrotu. Kilkakrotnie widział „Stuki” i musiał kłaść się na ziemi, aby uniknąć ognia karabinów maszynowych.

Teraz nakazano im pośpiech, więc ludzie gonili ile sił w nogach, drżąc przed grozą nadchodzących Niemców. Niektórzy ciężko dyszeli z wysiłku. Pewnego dnia — a był to czwarty dzień marszu — inżynier nagle upadł. Od końca zaczęto wołać konwojenta.

Köstring zwrócił się do żołnierza, by pozwolił na krótki odpoczynek. Ten niechętnie wzruszył ramionami, ale zatrzymał konwój. Herbert podążył na koniec kolumny, gdzie na ziemi leżał podtrzymywany przez towarzyszy inżynier. Twarz miał kredowoblada, usta poruszały się ciężko, podrzucając za każdym oddechem wiecheć wąsów. Rysy jego twarzy wyciągnęły się, blade oczy leciały w tył.

Ale niedługo dano im odpoczywać. Nadjechał jakiś oficer na koniu i począł wołać, aby szli i nie tamowali przejścia. Znowu konwój stanął na nogi i ruszył naprzód. Na końcu szedł inżynier, którego prowadzili pod rękę jego towarzysze i jedna z kobiet. Obok postępował Herbert spoglądając wciąż w twarz starego mężczyzny.

Ten miał wargi blade, nie różniące się kolorem od skóry na twarzy. Nie było w nich życia. Jedyne szare oczy rzucały krótkie błyski spod nastroszonych rudosiwych brwi i lekko wypukłego czoła.

— Zostawcie mnie... — mówił do prowadzących. Oni jednak porzysali głowami.

— Jeżeli pan zostanie, czeka pana śmierć. W ogólnym odwrocie nikt nie będzie miał czasu, by się panem zająć. A Niemcy, jeśli na-
dejdą...

Inżynier stapał ciężko, wlokąc za sobą nogi. Znow wyjąkał:

— Nie... nie mogę... już nie...

Herbert widział, jak ludzie prowadzący starego człowieka robią

ostatnie już wysiłki, lecz mimo to nie mogą utrzymać zwisającego ciężko ciała.

— Rzućcie mnie... — głos inżyniera brzmiał jak szept.

— Nie rzucimy pana... — zaszlochała kobieta. — Pan wszystkim pomagał... Oddał pan płaszcz Krysi... Cukier chłopcom... Bieliznę...

— Mnie uratował pan od śmierci głodowej — mówił z drugiej strony mężczyzna. — Przez lata całe jadłem z pańskiej łaski... Mieszkałem w pańskim domu... Dzielił się pan ze mną wszystkim...

— Zostawcie... — przerwał. — Zo... staw... cie... Tamto wszystko...

Całym ciężarem zawisnął im na rękach. Nie mogli go już utrzymać, więc wszyscy razem osunęli się na ziemię.

Pierwsza dźwignęła się kobieta, potem mężczyzna. Pochylili się nad leżącym inżynierem. Cała kolumna przystanęła. Znowu jakiś konwojent nadjechał.

— Dlaczego stanęliście? — spytał.

Wskazali mu inżyniera. Stuknął piętą konia i podjechał bliżej. Przez chwilę obserwował w milczeniu. Inżynier patrzył w niebo spokojnym wzrokiem. Jasne oczy nabrały dzieciennych prawie tonów, jakby na przekór zwichrzonej, kostropatej brodzie i obwisłym wąsom. Mężczyzna, który poprzednio prowadził inżyniera, przyklęknął przy jego głowie i słuchał, co tamten rwanym, cichym szeptem mówił. Do uszu Herberta dochodziły tylko niektóre urywane, pojedyncze słowa.

— Im... ale żeby was... rozumie pan? Mnie... nad jeziorkiem... siostra... Rotniczanka... napisać... — Nagle uśmiechnął się jakimś młodzieńczym, figlarnym uśmiechem. Powiedział: — W ciągłej postawie i czynu postaci rozdawał siebie...

— Ruszaj! — zawołał żołnierz. — Prędej!

Z dała dochodził huk dział nadciągającej niemieckiej armii. Ludzie poczęli się denerwować. Rozumieli, że trzeba iść. Od tyłu wołano na nich niecierpliwie.

Kobieta łkając przywarła do dłoni inżyniera, on jednak delikatnie odepchnął ją od siebie. Potem podobnie odsunął swego towarzysza. Ludzie wracali na swoje miejsca, przy leżącym pozostał tylko Herbert i żołnierz. Konwojent jeszcze raz wezwał leżącego do powstania. Lecz tamten utkwiał tylko w twarzy żołnierza swój spokojny wzrok. Powiedział łagodnie:

— Czyńcie, towarzyszu, co wam każe służba.

Wtedy żołnierz skinął na Herberta i poszli dalej. Przy drodze, którą szła masa ludzka, pozostał umierający człowiek.

I znowu szli. Herbert zauważył, że konwojent stracił orientację, gdzie ma ich prowadzić. Skręcał z traktów w boczne drogi, znowu powracał na trakty, prosił o wskazówki spotykanych oficerów. Tymczasem ludzie do tego stopnia opadli z sił, że zupełnie nie mogli iść. Konwój wyglądał na pochód widm chwiejących się błędnie na nogach. Padał deszcz i Herbert dygotał w przemokniętym mundurze. Zarośnięty, brudny, obdarty, z nogami owiniętymi w szmaty, coraz mniej przypominał eleganckiego oficera, którym był niedawno. Nawet coraz mniej pamiętał o tamtych czasach. Ileż to już dni był w niewoli? Chyba dziesiąty dzień tak wędrował?

Głodował, bo nie zawsze konwój miał jedzenie. Gorączka paliła mu usta, oczy obrzękły i podeszły krwią. Czuł, że długo takiej wędrowki nie wytrzyma.

Któregoś dnia wywiązała się rozmowa między nim a mężczyzną, który towarzyszył inżynierowi. Widać było, że tych ludzi łączyły ze sobą lata przyjaźni, w ciągu których inżynier był zawsze stroną arbitralną i apodyktyczną, natomiast drugi mężczyzna poddawał się jego przewadze. Był to człowiek niemłody. Miał duży, pełen czerwonych, żyłek nos, tym większy, że górował nad wpadniętą, wychudzoną twarzą. Broda miodowego koloru układała się w szpic; tej samej barwy wąsy odstawały od policzków.

Mężczyzna zagadnął Köstringa:

— Pan kapitan, widzę, już trochę zmęczony? Ot, katorga.

— Pan lepiej znosi tę wędrowkę?

— Nu, dlaczego? Nie narzekam.

Mówił po polsku jakimś śpiewnym, obcym Herbertowi akcentem.

— Pan Polak?

— Nie... — podrapał się w głowę pod wielką czapkę. — Jestem Rosjaninem. Białym, pan rozumie? Pułkownikiem carskiej armii. Dlatego mieszkalem przez dwadzieścia lat w Polsce...

— Razem z tym inżynierem?

— Tak. On mi dał mieszkanie w swoim domu, no i utrzymywał mnie właściwie przez ten czas. Zawdzięczam mu bardzo dużo. Co ja bym robił bez jego pomocy? Zginąłbym chyba...

Rozmowa toczyła się w czasie odpoczynku. Siedzieli obok siebie na piaszczystej wydmie przy skraju drogi. Daleko huczały działa, z pobliskiej wioski dochodziło porykiwanie pędzonych krów.

— A przed nimi nie zdążył pan uciec?

Nie odpowiedział. Chwilę gniótł w palcach źdźbło suchej trawy. Potem rzekł wymijająco:

— Skazano nas na więzienie. Siedziałem razem z inżynierem przez długich szesnaście miesięcy. Toteż zatoczyłem się, gdy wyszedłem wreszcie poza mury. Pan rozumie? Po szesnastu miesiącach

móc iść przed siebie bez końca, bez końca, i nie znać żadnych drzwi, które się za człowiekiem zamykają... I widzieć znów równinę bez kresu. Jak ta... — wyciągnął rękę i zatoczył krąg nad polami, po których ślizgały się promienie zachodzącego słońca. — Inni ludzie, panie kapitanie, kochają morze lub góry. Dla mnie żadne góry, żadne morze... Pola bez końca, na których można naprawdę oddychać. Smutne może pola. Ale piękno nie leży tylko w wesołości, prawda?

— Niewątpliwie... — skinął głową Herbert.

— Tyle lat tęskniłem za nimi. W Polsce ładna ziemia, ale nie taka... Nie taka jak tutaj...

Wsparł się wygodnie na kępie trawy, którą miał za plecami.

— Ruska, święta ziemia... — mówił, wciąż wpatrzony w dalekie pola. — Rozległa niby morze i wciąż rozleglejsza, bo nam nigdy ziemi nie dosyć. Jesteśmy jak wiatr, panie kapitanie, który granic swego biegu nie spostrzega. I dlatego wierzę, że właśnie tutaj dokonać się muszą wielkie dzieła Boże. Inni mogą nie myśleć o tym. Wam — ludziom Zachodu — troska o dobrobyt i o zachowanie osiągniętych już bogactw pochłania cały czas. Lecz my dobrobytu nie znamy, bogactw nie pragniemy. Szczęście nasze nosimy we własnej piersi, a tym szczęściem jest nasz niepokój. Niepokój, panie kapitanie. Mówi Kiryłow, jeden z bohaterów „Biesów”: „Wszyscy wprawdzie myślą o tym, ale zaraz ich myśl ucieka ku czemu innemu. A ja nie mogę myśleć o czym innym, tylko zawsze o tym samym. Bóg dręczy mnie przez całe życie”. Bóg dręczy nas wciąż. Bóg każe szukać prawdy, którą całemu światu będziemy mogli obwieścić. Poprzez mękę, ból, poprzez unicestwienie siebie samych, Przez wielkie cierpienia, które sobie sami zadajemy, dążymy ku tej prawdzie. To dla niej raskolnicy podpalali się w swych cerkwiach, to dla niej chłysty zwalczali małżeństwo, to dla niej ludzie popełniali samobójstwo, to dla niej także wylane zostały potoki krwi w wirze rewolucji. Zwłaszcza w niej, bo ona podniosła z uśpienia masy, których my, biali, nie umieliśmy wyrwać z letargu — i wezwała je do dzieła przekształcania świata. To nie marksizm prowadzi Rosję, ale poryw duszy rosyjskiej rozsadza doktrynę...

Herbert przesypywał piasek przez rozstawione palce.

— Uważa się pan za białego, a mimo to głosi pan wielką pochwałę czerwonej rewolucji. Czy to więzienie tak pana zmieniło?

— Życie mnie zmieniło, panie kapitanie — podjął Rosjanin. — Zrozumiałem, że to, co się dzieje, to jest wielka i krwawa ofiara, którą ponieść musimy, aby wypełnić naszą misję. A my, biali, zgrzeszyliśmy trzymając się z dala od ofiarnego stosu. Powinniśmy byli trwać... Bo w cierpieniu i w bólu sobie samemu zadany — jest Bóg. Nie w czynieniu czy nieczynieniu. Istnieje jeszcze stan trzeci, który Rzymianie określali czasownikiem „patior” — cierpieć, znosić, przetrzymywać. Otóż tylko taki stan przynosi ostateczne wyzwolenie ducha...

Urwał i zaczął rysować kijem na piasku jakieś esy-floresy. Herbert także milczał. W jego umyśle obudził się bunt przeciwko apatycznej filozofii. Ten determinizm wydał mu się po prostu sprzeczny z naturą. On sam wychował się w atmosferze uwielbienia czynu i wiary w kaliklesowską zasadę, że jednostka lepsza i silniejsza ma prawo do tego, co jest własnością gorszych i słabszych. Czyn mówił mu o mocy, zaś moc o słuszności, sprawiedliwości. Gdy jednak rozum sprzeciwiał się wywodom pułkownika, serce Herberta broniło się przed echemi tych właśnie głosów. Bo teoria odwracała się sama przeciwko niemu. Czyn, siłę i sprawiedliwość miał przeciwko sobie i wszystko to uderzało w niego falą, kruszyło jego dumę. Kazało mu wybierać między buntem a rezygnacją.

— A co pan teraz zamierza ze sobą zrobić? — spytał w końcu Rosjanina.

Głos doszedł do niego z mroku. Szara cisza wieczorna zasłoniła Herbertowi twarz pułkownika.

— Zrobię to, czego życie będzie wymagało ode mnie. Przez długie lata byłem zbuntowany i nie chciałem patrzeć na przemianę Rosji. Dziś czas zacząć pokutę. Oddałem się im w ręce. Cokolwiek czynią, są mi bliżsi, panie kapitanie, niż ponura zaborczość pańskich rodaków.

Pochwyił rękę Herberta i ścisnął ją w swych suchych kościstych dłoniach.

— Nadchodzi noc przemian — począł nagle mówić przejmującym szeptem — i ostatni blask dnia już zachodzi. W mroku walczyć będziemy ze sobą bez nienawiści, lecz bez możliwości zaprzestania tych zmagañ. W nocnych ciemnościach weszło kiedyś światło dnia prawdy Chrystusowej. Ale ludzie okazali się tej prawdy niegodni. Więc dzień musiał zgasnąć, a ludzi otoczyły nowe mroki. I trwać będą póty, póki z boju i męki nie narodzi się znowu dzień Boży. Lecz nie będzie to już dzień tamten. W głaz, na którym się wspiera stary Kościół Piotra, uderzy grom ducha Jana Boanergesa i z kamienia wytrysnie strumień wody żywej — wody miłości. Po Kościele Syna zbuduje swój Kościół Duch, Rahu — Matka Boskości. Chart przebiegnie ziemię kierując serca ludzi do Pana, który idzie... Jakież wtedy nastąpi wybuch miłości do Chrystusa. Niby gejzer, który wyrzuca strumienie wody aż ponad najwyższe drzewa. I wtedy, panie, Rosja będzie pierwsza. Za jej cierpienia przeogromne, za jej uporczywe trwanie, za wierność bezgraniczną...

VI

W dwa dni później znaleźli się w jakimś mieście. Dudnienie armat, które rozlegało się wciąż za horyzontem, wzmogło się ostatnio. Można było sądzić, że albo front posunął się ku przodowi, albo też oni w swej krętej wędrówce zbliżyli się do linii ognia.

Miasto huczało gwarem i zamętem ciągnących ulicami tłumów. Herbert zrozumiał od razu, że jest to ewakuacja dokonywana z gorączkowym pośpiechem. Obladowana tłumokami ludność pędziła ślepo naprzód. Po zatłoczonych ulicach galopowali kozacy, wzywając do pośpiechu. Na widok tego zamętu żołnierz konwojujący więźniów, z którymi szedł Köstring, wyraźnie stracił resztę orientacji. Zdyszany głosem wypytywał każdego spotkanego oficera lub nawet podoficera o wskazówki. Dawano mu odpowiedzi sprzeczne, a często nie odpowiadano wcale. Robiło się coraz ciemniej; ulica dygotała od tupotu przebiegających ludzi. Cienkie dziecinne głosy zagłuszały chwilami krzyki żołnierzy. Herbert zobaczył mknących ulicami ludzi. Byli to młodzi chłopcy i dziewczyny, ubrani jednakowo w drelichowe żołnierskie bluzy i wysokie buty. Każde z nich miało dwie, trzy butelki pod pachą i parę granatów za pasem. Z trzaskiem rzucali butelki przez okna do domów, potem ciskali granat. Huki głużyły ściany; czerwone języki ognia ogarniały od razu budynek. Młodzi podpalacze biegli od domu do domu. W szkarłatnej łunie pożaru ich twarze wyglądały groźnie. Na ustach dziewcząt osiadł wyraz zawziętości. Gdyby nie obfite piersi kołyszące się pod luźnymi bluzami, trudno by było uwierzyć, że to są kobiety. Właśnie dwie z nich przebiegały tuż obok konwoju. Zatrzymały się przed domem, który opuszczała kupa bab i dzieci. Jedna z dziewcząt wezwała tamte do pośpiechu, druga z rozmachem cisnęła butelkę prosto w szybę, potem wyrwała sznurek z granatu. Błaznana bańka na drewnianej ręczce wpadła do środka chaty. Wybuch wyrwał z okna resztę szyb i kawałki dykty. Płomień tryskał od razu na zewnątrz. Wtedy jedna z uchodzących bab wrzasnęła: „Maruśka!”

Ktoś został w chacie. Stara kobieta rzuciła na ziemię swój tobół i wymachując rękami skoczyła ku domowi, ale hucząca ściana ognia zatrzymała ją na progu. Cofnęła się i zawodząc zwierzęcym zupełnie głosem wczepiła we włosy palce zgięte na kształt szponów. Płomienie strzelały już w górę, ogarniając niski dach chaty i okna facjatek. Może to było złudzenie, a może naprawdę zobaczył Herbert w jednym z okien bladą twarz dziewczyny i błędnie wytrzeszczone oczy. Pożar wspiął się niby koń nad przeszkodą, a potem nagłym rzutem wyskoczył przez poszycie dachu na zewnątrz. Żołnierki dawno już pobiegły dalej, tylko kobieta wyla półleżąc, a półkłęząc w pyle ulicy. Potem dźwignęła się ciężko. Jej towarzyszki odbiegły. Kiedy rozglądała się za nimi, na jej twarzy nie było już rozpacz, a raczej rezygnacja. Zarzuciła sobie tobół na plecy. Jej bose stopy migwały spod długiej wypłowiałej spódnicy. Przeszła w pośpiechu obok konwoju i znikła za zakrętem. Nie obejrzała się ani razu na płonący dom.

Szli ulicami coraz bardziej pustymi, wciąż pożeranymi przez ogień.

Wreszcie wyszli na dworzec. Wokół płonęły domy, ale budynek stacyjny był nietknięty. Na peronie i z boku pod drzwiami skupiali się ludzie. Na trzecim czy czwartym torze stał dyszący pociąg, nała-

dowani ludźmi. Blask ognia odbijał się w szybach wagonów i wystraszonych oczach wyglądających przez okna pasażerów. Byli to Żydzi niemieccy i dostatnio ubrani Żydzi z Polski; tutejsi nie wyróżniali się niczym z szarego tłumu. Prawdopodobnie przyjechali tu pchani wciąż na wschód falą posuwającej się wojny i strasliwą trwogą przed hitlerowskim okrucieństwem. Nie mogli doczekać się chwili, kiedy nareszcie ruszy pociąg i zabierze ich z zasięgu nadciągającej nawałnicy. Odjazd zależał od tych kilku oficerów, którzy stali na peronie i nad czymś z ożywieniem dyskutowali. Ku nim właśnie przepychał się żołnierz-konwojent. Herbert widział go, jak służbiście wyprostowany mówił coś do wysokiego oficera. Potem zrobiło się jaśniej. Köstring poznał w wysokim oficerze tego samego przystojnego komisarza o hardej, dumnej twarzy, który go badał w dniu ujęcia. Obok niego stała także tamta dziewczyna. Miała na sobie skórzaną kurtkę, spod której widać było jej nogi w długich buciskach. Znanym już Herbertowi ruchem odgarniała włosy. Mówiła coś ostro do stojących przed nią żołnierzy. Jakby dla mocniejszego zaakcentowania swych słów uderzyła się dłonią po pistolecie w skórzanym pokrowcu, który jej zwisał z prawego biodra.

Właśnie stanął przed nią konwojent. Dziewczyna i oficer rozmawiali z nim przez chwilę, potem rozepchnąwszy otaczający ich tłum podeszli do konwojowanych. Zatrzymawszy się o kilka kroków patrzyli milcząco na zmęczonych ludzi. Drgające plamy blasku tańczyły na ich znieruchomiłych twarzach. Herbert pomyślał, że oficer musi być Gruzinem. Tylko gdzieś na zboczach Kaukazu mógł się narodzić ten orli, delikatny w rysunku nos, wąskie usta ocienione czarnym wąsem i wysokie czoło. Żaden muskuł nie drgnął na twarzy mężczyzny, gdy spokojnym wzrokiem przyglądał się stojącym. Kobieta za to uśmiechnęła się na widok Herberta. Niewątpliwie poznała go, bo powiedziała coś do towarzysza i oboje zwrócili wzrok na Köstringa przyglądając się kolejno wyrudzialemu mundurowi, spodniom w strzępach i gałganom na stopach. Potem komisarz podeszedł do pułkownika i mierząc go wzrokiem spytał:

— Wy kto?

Chudy człowieczek w łachmanach wyprężył się jak struna. Czerwony nos i spiczasta broda nabrały nagle dziwnej powagi i dystynkcji. Stuknęła piętami, jakby na nich zamiast szmat miał lakierowane buty z ostrogami.

— Siemion Iwanowicz Wasiljew, pułkownik drugowo regimenta huzarów twierskich. Melduję się do służby. Na wojnę z germańcem.

Wyrzucił to z siebie jednym tchem i zamarł w oczekiwaniu. Może przypomniały mu się czasy słynnej mobilizacji lipcowej, gdy po solidnej „popijawie” meldował swój pułk dowódcy brygady i wznosił zdrowie jego imperatorskiej mości Mikołaja Aleksandrowicza, cara i samodziernicy Wszechrosji. Zrobiła się cisza pełna przejmującego napięcia. Raptem oficer wyprężył się także. Z powagą przyłożył dłoń do czapki.

— Dobrze, towarzyszu — powiedział. — Czekaliśmy na was... — Zwrócił głowę w bok: — Karpow — krzyknął na stojącego żołnierza — karabin, ładownica, pas dla towarzysza! Zostaniecie przy mnie — mówił teraz do pułkownika — jako żołnierz motorowej kolumny. Tymczasem, towarzyszu Wasiljew, pilnujcie jeńca — wskazał Köstringa. — Odpowiadacie za niego. — Poniał?

— Tak, wasze błag... tak, towarzyszu kapitanie. — Wasiljew stuknął kolbą karabinu o flizy peronu. Na jego twarzy, suchej, zwiędłej, wychudłej, nad którą panował cyranowski nos, pojawił się wyraz radości i dumy. Stara dłoń o wylamanych przez artretyzm palcach wsparła się na karabinie, na którego lufie była wyrzyta pięcioramienna gwiazda. Tyle razy złożył temu znakowi. Lecz dziś daleki był od złożenia. Przekreślił on dla niego dumne lata korpusu paziów, petersburskiej szkoły wojennej i życia pułkowego. Ale za to przyjmował jak marnotrawnego syna, który powracał na ziemię rodzinną. Po latach bezpańskiej włóczęgi, po latach życia bez treści i bez miłości tego, co z ziemskich skarbów jest największe, dopuszczał do najgodniejszej służby: do prawa bronięcia własną krwią granic ojczyzny.

W tej chwili na peron wpadł kozak na spienionym koniu. Torując sobie drogę przepychał się ku komisarzowi. „Z drogi — krzyczał — do komendanta! Z drogi, towarzysze!” Na widok wysokiego kapitana osadził konia — kudłatego kuca o grzywie spadającej na złe, czarne oczy. Zakrzyczał coś chrapliwie do oficera. Tamten potakująco skinął głową.

W grupie otaczającej komisarza powstał ruch. Widać było, że wszyscy zbierają się do drogi. Z boku, na skraju peronu, stało kilka samochodów, ku którym zmierzano.

Wasiljew trącił w ramię Herberta.

— Chodźmy, panie kapitanie — powiedział. — Mam pana odprowadzić do samochodu.

Herbertowi kazano wejść na dużą ciężarówkę pokrytą budą. Kiedy przekroczył wysoką burtę, znalazł w głębi gromadkę pięciu czy sześciu ludzi skulonych w kącie. Mieli na sobie poszarpane mundury koloru feldgrau. Na brzegu auta siedziało dwóch strażników.

Herbert osunął się ciężko na ziemię. Po dniach pieszej wędrówki czuł nie bez ulgi, że wiezie go samochód, podrzucając na nierównościach bocznej drogi. Od razu prawie zapadł w stan jakiegoś półsnu. Wypadki, które przeżył w ciągu ostatnich dwóch tygodni, powracały teraz do niego w fali marzeń. Potem zanurzył się głębiej w rzekę wspomnień. Odkąd się znalazł w niewoli, miał wrażenie, że zapomniał o wszystkim, co było przedtem. Teraz fakt po fakcie, wspomnienie po wspomnieniu, wyławiał z dali ubiegłych tygodni... Czuł się stary jak nigdy. Czy naprawdę miał tylko dwadzieścia trzy lata? Szedł w myślach śladami swych triumfalnych marszów. Polska — był wtedy prawie dzieckiem. Jakże beztrąsko żyło mu się

przy boku Hugona czy Kurza. Norwegia — to też zryw młodocianej energii. Francja — triumf nad nią zaćmiło rozstanie z Gerdą. Lecz potem zima oczekiwań na ostateczne zwycięstwo, zakończona uświadomieniem sobie, że zwycięstwo jest jeszcze wątpliwe. Krwawe walki w Jugosławii i Grecji, napad na Kretę. Wreszcie wojna na wschodzie, będąca jakby grobem oczekiwania na triumf. Beznadziejna wojna, która uczyniła ich przedwczesnymi starcami. „Jesteśmy starzy, rozpaczliwie starzy” — zabrzmiały słowa von Mariesa. Czy tylko złudzeniem był ten ich zryw młodości?

Mokra podłoga ciężarówki cuchnęła krwią, głowa Herberta uderzała po kantach burty. W grupie współwięźniów ktoś jęczał rozpaczliwie, inny kłął, jeszcze inny śpiewał przez nos pobożną pieśń odpustową z Albendorfu:

O Maria gnadenvolle,
Schönste Zier des Himmels Aue...

„Maria gnadenvolle... Maria gnadenvolle...” Czegóż chce od Niej ten człowiek jęczący w głębi ciemnego samochodu? Czegóż może chcieć od Niej człowiek? Ze szczytów upojenia zwycięską walką i miłością Herbert staczał się w objęcia zniechęcenia i goryczy, aż wreszcie wylądował w tej otchłani nędzy i poniżenia. Czegóż tu mógł jeszcze oczekiwać? Miłosiernej śmierci? Lecz równocześnie czuł, że mimo swego rozpaczliwego położenia boi się śmierci i chciałby przed nią uciec.

— Kolego... — Herbert posłyszał koło siebie szept. Kierowca prowadził samochód z wielką szybkością, zupełnie nie zwracając uwagi na nierówności terenu. Pędzili przez pole na oślep, łamiąc małe drzewka i krzewy, które wyrastały przed maską motoru. Podłoga ciężarówki drżała. Z grupki jeńców jeden podpełznął na czworakach ku Köstringowi. — Kolego... — powtórzył — kim jesteście? Czy dawno dostaliście się do niewoli?

— Nazywam się Herbert Köstring. Jestem kapitanem lotnictwa. Samolot mój został strącony przed dwoma tygodniami.

— To ty, Herbercie?... Ależ spotkanie. To ja, Willy Neun. Kto by pomyślał, że się w takich warunkach zobaczymy.

— Tak, to prawda, Willy. Ostatni raz widzieliśmy się we Francji...

— Dobrze to były czasy, do diabła. Ale wiesz, od wiosny machnęli nas do pierwszej linii. W Jugosławii my, w Grecji my. Najlepsza ferajna z SS kładła się na tych sakramenckich górach. Pod Olimpem wpadłem w łapy Australijczyków. Morowi chłopcy zresztą. Śmiali się ze mnie i oglądali trochę jak dzikie zwierzę. Za to żarcia i papierosów człek miał, ile dusza zamarzy. Potem, kiedy wiali — to mnie puścili wolno. Wróciłem. Znowu popędzili nas do przodu. Cholera. Co za walka. To było bije się jak stado wilków. Skaczą wprost człowiekowi do gardła. Pchaliśmy się pod Smoleńsk. Potem wszystko stanęło. Deszcz, błoto, huraganowy ogień. Okopaliśmy się. Cholera.

Zaczęły się ich ataki. Jeden za drugim. Prawie bez przerwy. Czy ty rozumiesz? Siedzieliśmy dwie doby z kolbą przy gębie, z granatem za cholewą. Co podejda — to w nich. A oni ciągle naprzód. Jedni padną, zaraz biegną drudzy. Ryk: „Ura! Ura!” nad głową. Granaty lecą, huk, aż dzwoni w uszach, amunicji brak, jeść nie ma co, pić nie ma co... Ech, Bert, to było piekło.

— Dostali was w końcu?

— Jak mieli nie dostać? Lecieliśmy na nos ze zmęczenia. Wpadli do okopu, wywlekli nas, jakbyśmy nie byli żołnierzami, ale ścierwem. Wiesz — ich jeńców tośmy nie żalowali. Zdychali z głodu kupami. Żeby jednak nas...

Samochód podskoczył na jakimś wykrocie i zaraz jeden z jeńców leżących w kącie platformy zaczął jęczeć.

— Zamknij pysk! — warknął w stronę jęczącego Neun. — Słyszysz? Mam dość twoich jęków. Trzepnęli go w nogę — zwrócił się do Herberta — i udaje ważnego. Ale co mnie to obchodzi? Może myśli, że będę się nim opiekował? Głupiec.

— Kto to taki?

— Nazywa się Peuckert. A może ty go znasz? Wiesz — Eugen Peuckert. Zresztą mniejsza o to. Nie warto sobie nim głowy zawracać. Co nas to jednak obchodzi? No, powiedz sam, co nas to obchodzi? W tym piekle każdy sam się musi pilnować. On jest wygodny, „Weźcie mnie na ręce” — powiada, jak nas wyciągali z okopu. Pocałuj psa w tyłek. Pokuśtykał sobie sam. A niech go diabli. Zawsze dbał tylko o siebie. Nieraz bywało, że mogło dwóch byczo zarobić, to on wolał sam kieszeń nabić, a dla innych zostawiał resztki albo nic. Niech go teraz cholera weźmie. Jeszcze ci coś powiem. Moja Eli zrobiła się po ciąży brzydka jak małpa. Potrzebne było dziecko babie? Chciałem ją puścić w trąbę, to on, ten bałwan, nie pozwolił. „Esesmanowi nie wolno rzucać żony” — napisał na moim podaniu. Odwalili, naturalnie. Ale sam dla siebie, jak mu zapachniała baronówna, to rozwód przeprowadził. Powiedział, że jego żona zdradza ślady choroby umysłowej, i że to może źle wpłynąć na potomstwo. Popsuje rasę. Rozumiesz? Klawy numer — co? Tylko że i baronówna ochotę do żeniaczki straciła. Zresztą nie było się na co łakomić. Jakies fabrykanty szpilek czy agrahek...

— Kto?

— No, te barony, mówię. Do diabła z nimi!

Köstring teraz już tylko jednym uchem słuchał trajkotania Neuna. Ogarnęła go burza krzyżujących się uczuć i wrażeń, równie gwałtowna, jak ta ich jazda w cieniach nocy, poprzez bezdroża pól rosyjskich. Wyteżył wzrok, wbił go w czerń wypełniającą głąb auta. Tam gdzie leżał człowiek, który mu stanął na drodze wówczas, gdy on walczył o miraż Wielkich Niemiec. Dziś Gerda była już dla niego tylko obcą istotą, lecz konflikt wewnętrzny pozostał i był wciąż żywy. Fermentowały w nim przemiany, u których podstaw tkwił właśnie

ten nieznanemu Peuckert. On także był przyczyną walki, jaka powstała między Herbertem a Hugonem. On stał się powodem, że Köstring wypłynął na to morze pustki, w którym nie było dlań ani Boga, ani człowieka.

„Sprawiedliwość musi się zawsze dokonać” — przebiegło mu przez głowę. Wróg został poniżony. Wił się teraz z bólu leżąc na brudnej podłodze, opuszczony przez towarzyszy, pozbawiony pomocy. W sercu Köstringa zapłonął ogień zadowolenia. A więc los go pomścił... Lecz krótko trwała radość. W skrętach niosącego pomstę sprawiedliwości losu znajdowali się obaj. Peuckert umrze dzisiaj, a ileż dni pozostało jeszcze Herbertowi?

— Masz rację, Will — powiedział tępo na poły do tamtego, a na poły odpowiadając tylko własnym myślom. Zmęczone ciało osuwało się ku ziemi. Powieki zapadały ciężko na oczy. W kącie Peuckert jęczał. Neun powarkiwał gniewnie i kłął. Gdzieś w głębi auta siedzący śpiewak ciągnął monotonicznie:

Durch Dich hoffen wir zu siegen
Die der Schlange den Kopf zertrat...

Samochód pędził przed siebie rozrywając czerń nocy strumieniem światła, groźny niby zwierz nocny.

VII

Jechali tak całą noc. Na przelaj, poprzez pola, potem jakimiś drogami w ogonie kolumny aut. Mijali wsie i miasta, ciemne, uśpione w mrokach nocy, to znowu skąpane w blaskach świateł i reflektorów.

Kiedyś wpadło w uszy Herberta słowo: Kursk. Lecz nie wiedział, czy tak nazywa się miejscowość, ku której jechali, czy też minęli właśnie miasto o nazwie krótkiej i świszczącej niby kłaśnięcie bicza. Samochód dudnił na mostach, przelatywał nad rzekami, wdrapywał się na wzgórza, zapadał w głąb skarpiastych wąwozów. Nad ranem dopiero wjechali do jakiejś osady.

Była to garść mizernych domków otoczonych niewielkimi ogródkami. Stare płoty chyliły się to na jedną, to na drugą stronę, jakby nie wiedząc, w którą mają się przewrócić. Za właściwą osadą zaczynał się odrutowany obszar z barakami pośrodku. Wiodła ku niemu wysoka drewniana brama, w miarę lekka, z pięcioramienną gwiazdą jako jedyną ozdobą na szczycie. Przy bramie spacerował żołnierz. Ich samochód zostawiwszy resztę aut na drodze wjechał do środka. W kilka chwil potem stanęli przed barakami.

Dzień wstał szary, chłodny, wilgotny. „Dwa lata temu o tej porze — przebiegło przez głowę Herberta — było gorąco, po prostu dokuczliwie gorąco.” Wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Lato

było latem i Herbert pławił się w rozkoszach schwarzenberskiego dolce-far-niente. Obecnie nie było już pory, w której regenerują się siły człowieka, lecz nie kończący się wysiłek. I gdzież kres, gdzie koniec tej wędrówki?

Barak był zбиты z nie heblowanych desek. Obejście ubogie, pozbawione wdzięku. Zaraz za barakiem rozpoczynał się płot z koleczatego drutu. W obrębie większej zagrody znajdowała się druga mniejsza, obejmująca zabłocony plac. Tu i tam na zrytym nogami terenie stały kałuże wody. Zresztą nie wszędzie można je było zobaczyć, ponieważ zagroda była pełna ludzi. Herbert drgnął na widok tego zgromadzenia: poznał zielone mundury swoich.

Jeden z żołnierzy, którzy z nim jechali, wszedł do środka baraku. Herbert uniósłszy skraj budy począł się rozglądać. Po otoczonym drutami placu fazili w tępych otumanieniu jeńcy. Kilku żołnierzy radzieckich chodziło miarowo po zewnętrznej stronie zagrody.

Żołnierz długo nie wychodził z baraku. Za to Herbert posłyszał nagle śpiew w głębi budynku. Ktoś szedł korytarzem ku wyjściu, śpiewając pełnym głosem. Potem z głębi wynurzył się człowiek z rękami w kieszeniach i z podniesioną głową. Miał krótko przyszczyżone włosy i wpadniętą zawiadłą twarz o smagłej cerze. Ubrany był w mundur koloru khaki, mocno sfatygowany, wysokie buty, również ledwo trzymające się, ale za to z fasonem wyszczotkowane i opatrzone dzwoniącymi ostrogami. Na boku głowy siedziała z wdziękiem mała furazerka, w której rwał się do lotu orzeł na podstawie z tarczy. Zresztą Herbert nie potrzebował patrzeć na orła, bo już po słowach piosenki dolatującej z korytarza mógł poznać, z kim ma do czynienia:

Na wysokim zamku,
Siedzi ułan w ganku,
Trzyma dziewczę na kolanku...

Śpiewak urwał, stanąwszy przed barakiem. Gwizdnął przez zęby jak ulicznik i splunął z gracją na ogromną odległość. Potem zagadnął obcesowo szofera:

— Hej, Iwan, kogoś tu przywiózł?

Szofer uśmiechnął się, ale nie odpowiedział na zaczepkę. Nie urażony tym żołnierz z orzełkiem na czapce podniósł róg plandeki i zajrzał do środka. Jeden z wartowników chciał się temu sprzeciwić surowym „zostaw”, na co usłyszał lakoniczne „odknaj się”. Buńczuczny osobnik przyglądał się jeńcom wzrokiem ciekawego obserwatora. Znowu splunął:

— Szkopy — ujął w jedno słowo całą swą obserwację. Potem dorzucił jeszcze tonem naukowca siłacego się na znalezienie należytego określenia dla zjawiska, którego nie można podciągnąć pod żaden schemat: — Rąbanka.

Opuścił plandekę i wrócił na próg baraku, gdzie stał kołysząc się z boku na bok.

— Ty — znowu się zwrócił do szofera — skąd oni?

— Spod Mozyru.

— Aha.

Cicho pogwizdując kontemplował przez pewien czas samochód utyłfany błotem. Tymczasem z baraku wyszło kilku radzieckich oficerów, którzy przyjrzawszy się jeńcom kazali im iść za druty. Peuckert nie mógł się ruszyć. Ale żaden z jego kolegów nie kwapił się wziąć go na ręce. Leżał więc na ziemi i głucho jęczał. Wreszcie Herbert postanowił się przemóc. Podszedł do rannego i dźwignął go pod ramiona. Równocześnie podniósł Standartenführera jeden z żołnierzy niemieckich, niemłody, siwawy już mężczyzna, w którym Herbert domyślił się śpiewaka do Maryi Łaski Pełnej.

Nieśli go z trudnością, ponieważ siły ich, a zwłaszcza Herberta, były zupełnie wyczerpane. Ranny cuchnął okropnie; był to jakiś smród nie do zniesienia, który unosił się nad opuchłą, rzec by można rozdętą od wewnątrz nogą. Podczas niesienia skowyczał i rzucał się nawet wtenczas, kiedy położyli go na ziemi w obrębie zagrody.

— Nic mu nie pomożemy, panie kapitanie — rzekł żołnierz. — Wydaje mi się, że on musi umrzeć.

— Na to wygląda — skinął głową Herbert.

Nie odchodził jednak od Peuckerta, obcierając mu na zmianę złane potem czoło lub delikatnie wachlując. Odór bijący z rany odbierał po prostu oddech. Mimo to Herbert postanowił wytrwać przy rannym. Zmuszał go do tego jakiś wewnętrzny przymus, jakaś świadomość, że tak musi się zakończyć konflikt między dwoma pretendentami do serca Gerdy.

Zajęci Peuckertem nie słyszeli kroków podchodzących ludzi. Dopiero gdy w pobliżu ktoś krzyknął: „A cóż tu tak śmierdzi?” — Herbert podniósł oczy. Zobaczył koło siebie niskiego oficera z czarnymi wąsikami, w mocno powycieranym płaszczu i czworokątnej polskiej czapce. Obok stał żołnierz w furazerce z orłem. To naturalnie on krzyknął.

Oficer z polskimi dystynkcjami kapitana przyłożył dwa palce do daszka czapki, po czym rzekł po niemiecku:

— Przyszedłem pomóc rannemu, jestem lekarzem.

Klęknąwszy przy Peuckercie ściągnął z rannej nogi but i zawiązał spodnie. Cała łydka była poszarpana, pokryta zastygłą krwią i błotem. Poza tym spęczniała jak wypełniona powietrzem kiszka rowerowa. Lekarz delikatnie nacisnął w kilku miejscach opuchliznę, a za każdym razem słychać było cichy trzask podobny do chrzęstu pękającego cienkiego lodu. Z powrotem opuścił rannemu spodnie, wstał i pokręcił fraszobliwie głową.

— Nic z niego nie będzie — rzekł. — Nie mam, niestety, ani suro-

wicy, ani narzędzi dla dokonania operacji. Zresztą rana jest już zabagniona i nawet operacja byłaby wątpliwa. Zakażenie poszło w głąb... W nocy najdalej umrze...

— Dziękuję — powiedział Herbert.

— Nie ma za co. A może panu mogę w czym pomóc, kapitanie? Niewiele wprawdzie mogę... Ale mam pewne doświadczenie. Wysiedziałem się tutaj bez mała dwa lata.

— Dwa lata? A teraz?

— Teraz odjeżdżamy wszyscy do armii polskiej. Zostaliśmy zwolnieni z obozu i wracamy do walki.

— I będziecie się bili u boku bolszewików?

— Tak jest, panie kapitanie. W wojnie, która się toczy, wszystko się zmienia, wszystko się odwraca i tylko walka z wami ani się zmieni, ani odwrócić nie może.

— Tak nas nienawidzicie?

— Wcale nie. My was w gruncie rzeczy cenimy, a nawet pragnęlibyśmy waszej przyjaźni. Może sąsiedztwo sprawiło, że jesteśmy sobie bliscy... Jednak wyście wypowiedzieli nam wojnę, która się toczy nie o spłacheć ziemi, ale po prostu o nasz byt. Więc opór nasz nigdy nie ustanie. Znajdźcie nas zawsze tam, gdzie przyjdzie wam walczyć. Walczyliśmy z wami w Europie, będziemy walczyli w każdej innej części świata. Nie pierwszy to raz zresztą, kapitanie...

— To fanatyzm — uśmiechnął się bladeo Herbert.

— Czy pan naprawdę tak myśli, panie kapitanie?

Herbert nic nie odrzekł. Naprawdę to nie wiedział, co ma sądzić. Wojna przedstawiała mu się w coraz niezrozumialszym świetle. Przerażała go rozpetaną nienawiścią.

Nie powiedzieli do siebie już nic. Polak milcząco zasalutował, Köstring zrobił to samo. Pokapywał deszcz. Tamci poszli w stronę bramy. Ułan trzymał ręce w kieszeniach i gwizdał.

VIII

Zostali przy jęczącym Peuckercie. Ranny wił się, stękał i chrapał. W otwartych ustach widać było zaciśnięte zęby.

Zbliża się koniec — dzwoniło w uszach Herberta. — Jednego tylko mogę sobie życzyć: aby przyszedł prędko.

Jego towarzysz, siwawy żołnierz, tarł gestem rozpaczy swoją krótką, szpeciniastą czuprynę. Miał żółtawe wąsiki, miękkie, flaczaste policzki i nastroszone brwi. Przypominał Herbertowi trochę Kurza. Oficer wiedział już o nim, że nazywa się Wohlfarth i jest Gefreitem sto pierwszego pułku piechoty.

— Koniec — powtórzył Köstring głośno.

Tamten skinął głową z wyrazem głębokiego przeświadczenia.

— Musiał nadejść, panie kapitanie — powiedział. — To kara Boża. Kara Boża. Nie mogło być inaczej...

Wypowiedział to z przejmującym, tragicznym spokojem. I nagle przypomniała się Herbertowi Oleńka. Przed rokiem mówiła do niego podobne słowa, których patos wydawał mu się wtedy śmieszny. Minął rok. Miał ciągle pod powiekami sylwetkę dziewczyny oddalającej się gniewnym krokiem wzdłuż zacienionej alei skweru. Potem ich spotkanie, dyskusje, rozmowy. Kara Boża? Nonsens... Jesteśmy mieczem woli Bożej... Jesteśmy narzędziem Opatrzności... Tak mówili wszyscy... Sam Führer... Herbert pamiętał te porywające mowy. Entuzjazmowały one tłumy, budziły w słuchaczach ślełą wiarę w słuszność sprawy. Kiedyś mowę wodza poprzedziła wypowiedź Himmlera. Rzekł: „Wierzymy w Boskie posłannictwo naszego narodu i w dzieło naszej siły pod przewodnictwem Adolfa Hitlera”. Wszyscy krzyczeli jednym głosem: „Heil!”

Przecież nie chodziło o precyzowanie, jak kto sobie to posłannictwo wyobraża. Religia w Niemczech nikogo nie obchodzi — tyle razy się to mówiło — jeżeli nie staje na drodze narodowo-socjalistycznej nauce. W praktyce jednak okazywało się, że często doktryna chrześcijańska znajduje się w sprzeczności z narodowo-socjalistyczną zasadą rasową. Ich bóg nie był Bogiem chrześcijańskim. Objawiał go opar krwi. W krwi się rodził, krwią żył i krwi pożywał. Nie był bogiem pokoju, był bogiem przemocy i siły. Ucieleśniał radość zwyciężania i powalania.

— Kara Boża, kara Boża... — Herbert podniósł głowę i z błędnym wyrazem oczu słuchał tego, co mówił przejmująco spokojnym głosem jego towarzysz. Była to okropna skarga westfalskiego chłopca.

— Mój syn przebywał od paru lat w Marienthalu, w zakładzie psychiatrycznym. Nie, nie był wariatem, panie kapitanie. Po prostu czegoś mu tam w głowie brakło. Potrafił wyjść z domu i zabłądzić albo wpadał pod samochody. Trzeba go było umieścić w zakładzie, gdzie sprawował się dobrze — wycinał coś z drzewa, nawet pisał w kancelarii, bo przecież chodził przedtem do szkoły. Odwiedzaliśmy go z żoną co niedziela. Przynosiliśmy rozmaite smakołyki, które matka dla niego wypiekała. Jakże się cieszył z naszych odwiedzin. Zawsze wyczekiwał naszego przyjścia stojąc koło budki portiera, a potem biegł na nasze spotkanie, rzucał się nam w objęcia. Lubili go lekarze i służba. Naczelnny lekarz mówił: „Jeszcze może coś z niego będzie. A w każdym razie nauczy się na sobie zarabiać”. Tymczasem wybuchła wojna. Zabrano mnie do obozu pod Lüneburg. Przyjechałem na Boże Narodzenie, to mój Max tak się cieszył, tak skakał jak wówczas, gdy miał dopiero pięć lat... Potem znów wróciłem do obozu. Padnij... Powstań... Czołgaj się... Biegiem... — miałem to całą zimę. W maju poszedłem na Belgię. Biłem się pod Ourthe, pod Givert, potem pod Rethel. Wróciłem cało. Ale urlopu nie dostałem, aż na następne Boże Narodzenie. Dostawali inni, z krzyżami.

Ja krzyża nie miałem... Widziałem jednak żonę, córki — mam oprócz chłopca dwie córki: Zofię i Gustawę — i mego Maxa. Potem odesłali mnie do Polski. Siedziałem w małej wsi pod Warszawą i pisałem listy. Żona uspokajała mnie, jak mogła, bo ich mocno bombardowano. Nagle przyszedł rozkaz: iść na bolszewika. Poszliśmy. Jednocześnie otrzymałem list od żony. Maxa zabrali do Richbergu.

Drżenie przebiegało po ramionach żołnierza. Ale tonu nie zmienił i ciągnął dalej opowiadanie tym samym opanowanym głosem.

— Pan kapitan wie na pewno, co to znaczy. Ja także wiem, choć nie wierzyłem przedtem w możliwość takiej zbrodni. Zbrodni mówię, panie kapitanie, bo to jest zbrodnia. Młody chłopak, który nie był wariatem, mógł wrócić do domu i pracować. Miał rodziców, którzy go kochali. Miał siostry, które by go nie opuściły. Płaciliśmy za jego utrzymanie. Nigdy nie zalegaliśmy. Gdy przez parę miesięcy było nam ciężko, zapłacił za nas parafialny „Caritas”. Ale szpital miał zawsze rachunek uregulowany. Mimo to uznano go za nieproduktywnego członka społeczeństwa”. Pojechał do Richbergu. Nie chciał jechać. Czuł, co mu grozi. „Tu wolę zostać — upierał się — tu przychodzi do mnie moja mama.” Ale go wysłano. Chwilowo tylko — zapewniali. Naturalnie, że nie wrócił. Wróciły jego prochy w drewnianym pudełku. Cóż matce z prochów, które może nawet nie są prochami jej syna?

Zamilkł. Herbert także siedział cicho, z głową opuszczoną nisko. Peuckert rzeził. Przechodzący za drutami strażnicy nucili swoje piosenki. Ciągłe padał drobny, przejmujący deszcz. Herbert zamknął oczy. Z głową wtuloną w rękaw kurtki płakał — równie boleśnie i bezradnie jak przed rokiem.

IX

Dni płynęły i płynęły. Herbert jednak żył, co wydawało mu się bardzo dziwne. Zapadł tylko w jakiś straszliwy bezwład, tym okrutniejszy, że nie zagłuszała go żadna praca. Powitałyby z radością każdą robotę, bodaj najbardziej uciążliwą. Wbrew jednak tym pragnieniom mógł tylko spacerować wzdłuż drucianej zagrody lub kłaść się na ziemi i obserwować płynące obłoki.

Nocami leżał bezsennie długie godziny na swojej pryczy, wsłuchany w charkoczące oddechy śpiących; miał wiele czasu na myślenie. Rozmyślanie przestało być dla niego męką, odkąd nad całą przeszłością zawisł opar tępej obojętności. Coraz mniej obchodziło go własne życie. Przypominał sobie za to treść przeczytanych książek, oglądanych sztuk teatralnych czy filmów. Kiedyś w ciągu długich godzin odtwarzał w myśli projekty wycieczek górskich, jakie robili z Walterem.

Świt wkradał się do baraku i często spoglądał w otwarte oczy Her-

berta, który czuł pod sobą twardą, wąską pryczę, a obok szorstką, raniącą palce ścianę z desek. Wstający dzień wydobywał z czerni nocy nowe kształty, w końcu padał na ścianę czerwonożółtą plamą.

Zwycięsko rozpoczął się marsz na wschód, choć wśród żołnierzy nie było entuzjazmu. Trzy kolumny: von Leeba, von Bocka i von Rundstedta — podobne do trzech kolumn, które przed dwudziestu pięciu laty pod wodzą Hindenburga, księcia Leopolda Bawarskiego i arcyksięcia Ferdynanda maszerowały w tym samym kierunku, wbiły się w ziemię rosyjskie. Najszybciej posuwał się von Leeb i już w początkach września stał pod Leningradem — o czym zresztą jeńcy nie wiedzieli. Niedługo potem armie południowe zajęły Kijów i zaatakowały Perekop. Wojska radzieckie cofały się, pozostawiając za sobą ogołocony ze wszystkiego kraj. Kuropatkina, Ewerta i Brusilowa zastąpili Woroszyłow, Timoszenko i Budionny. Walczyli oni w ten sam sposób jak i ich poprzednicy: Kutuzow, Bagration, Tormassow, jak Mieńskiow lub Piotr. Marsz Karola XII, Napoleona, Wilhelma II czy Hitlera rozpoczynał się zawsze od wkraczania głębooko w ziemię rosyjskie.

W miarę jednak zanurzania się w step czarnomorski impet uderzenia słabł. W końcu października zajęto Stalino. Potem Charków, Symferopol, Kursk... Nadchodził listopad, a z nim pierwsze, przedwcześnie pojawiające się mrozy. Pod groźbą niemieckich bagnatów Rumuni usiłowali zdobyć Rostów.

Jeńcy wyobrażali sobie, że lada dzień przyjdzie wyzwolenie. Tymczasem dowieziono nową partię żołnierzy niemieckich ujętych pod Taganrogiem i ci przynieśli hiobową wieść, że ofensywa już staje „Dalej nikt naprzód nie pójdzie — twierdzili — raczej w tył...” Ludzi, którzy przeżyli w obozie trzy miesiące, ogarnęła nagle panika.

Tylko Herbert bez wstrząsu przyjął wieść o zamieraniu ofensywy. Dla niego ta niewola miała zupełnie inny charakter niż dla współwięźniów. Tamci wyrwali się do powrotu, opanowani gorączką i graniczącą z obłędem nostalgią za rodziną. On za nikim nie tęsknił...

Tutaj dopiero zrozumiał, że jego życie znalazło się na rozdrożu, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Zabrakło mu wiary, zabrakło mu miłości, zabrakło mu przyjaźni. Oleńka nigdy go nie pokocha. Nie wróca już także szczęśliwe chwile ślepej wiary w nieomylności idei.

O ileż szczęśliwszy był Wohlfarth, że mógł w pacierzu zatopić wszystkie swoje troski. Herbert z podziwem patrzył na towarzysza, który zawsze po najbardziej nawet ponurym dniu klękał koło pryczy i z twarzą zwróconą do ściany powtarzał szeptem: „Pomnij, o najlitościwsza Panno, że od wieków nie słyszano...” Twarz starego chłopca rozpogadzała się, wzrok tracił swój niecierpliwą błysk. I Herbert leżąc obok na pryczy szukał w pamięci dalszych słów modlitwy. Uczyła go jej kiedyś ciotka Helena, ale ostatni chyba raz odmawiał ją jako chłopiec, gdy w domu, w którym mieszkał, wybuchł pożar, on zaś śmiertelnie wystraszony prosił Maryję o pomoc. A może jesz-

cze i później ją mówił? W pamięci stawał skraj lasu, gromada biegnących wystraszonych ludzi i on sam w tej ciżbie. Karabiny maszynowe zanosily się od skowytu, pnie drzew odpowiadały przeciągłym stukotem, jaskrawe słońce patrzyło zdumione na tę ucieczkę. Podchorąży zatrzymał się dopiero na szerokiej drodze. Świstu kul już nie było słycać. I wtedy uświadomił sobie, że do zapiekłych warg przywarły słowa odmawianej podświadomie modlitwy:

„Nie gardź słowami moimi, o Matko Słowa Przedwiecznego, lecz racz je wysłycać...”

X

Pewnej nocy obudził Herberta szept:

— Panie kapitanie... Panie kapitanie...

Pochylił głowę ku głowie Wohlfartha.

— Co takiego?

— Panie kapitanie — szeptał tamten — tu szykuje się coś niedobrego. Bolszewicy nie śpią, ale jakby zbierali się do drogi. Oni nas wywiozą z tego prowizorycznego obozu gdzieś w głąb kraju. Nie ma chwili do stracenia. Próbujemy uciekać. Obmyśliłem wszystko...

Herbert bez wahania zsunął się z pryczy. Biernie poddawał się przewodnictwu Gefreitra.

Ten pośpiesznie wyjaśniał mu swój plan:

— Można się wymknąć przez dół ustępowy... Tam wszystko zamarzło... Pan kapitan sam zobaczy...

Na końcu baraku znajdował się ustęp połączony z samym budynkiem wąskim korytarzem. W ustępie okna były pozabijane deskami, tylko w cementowej podłodze znajdowały się cztery otwory. Wewnątrz było całkowicie ciemno, ale gdy stanęli nad otworami, widzieli w dole wąską szparę zielonkawego blasku. Wohlfarth wyjaśnił:

— Noc jest bardzo jasna. Pełnia. Wyrzucali wczoraj gnój, nie domknęli klapy od tyłu. Tamtędy można się precisnąć.

Herbert poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz obrzydzenia. Stał milcząc, aż Gefreiter znowu szepnął niecierpliwie:

— Trzeba się śpieszyć, lada chwila ktoś tu wejdzie. Przecież wszyscy tędy uciekać nie mogą. Prędzej, panie kapitanie.

— Może jest jakaś inna droga... — mruknął oficer, wciąż walcząc z dławiącym go uczuciem wstrętu.

— Nie ma innej. Prędzej...

Köstring zrobił krok naprzód. Otwór był wąski. Aby się przezeń precisnąć, trzeba było zdjąć płaszcz. Zagryzając usta aż do bólu, spuścił nogi w cuchnącą głębię. Potem obsuwał się coraz niżej, w końcu zawisnął na rękach. Wyciągnięte stopy szukały oparcia, ale

trafiały tylko na rozmiękle, z wierzchu zamarźle bagno. Opuścił się w dół, jak tylko mógł, ale nogi grzęzły w śmierdzącej mazi, wciąż nie znajdując oparcia.

— Nie mam gdzie stanąć — szepnął do pochylonego nad nim Wohlfartha. Obaj dyszeli ciężko, dławiąc się okropnymi wyziewami.

— Niech pan próbuje bliżej ściany... — radził Gefreiter.

Herbert wyciągnął nogę w tamtym kierunku. Trafiał palcami na coś twardego. Może był to zrąb cembrowiny.

W tej chwili ktoś wszedł do ustępu. Herbert domyślił się tego z postępowania Wohlfartha, który przykucnął nad otworem i zaczął ciężko stękać. Maż chlupała. Smród jamy doprowadzał oficera prawie do szaleństwa. Bał się jednak ruszyć, aby nie zdradzić swego pobytu w dole. I tak stał wyprężony, z dłońmi uczeponymi brzegów otworu, z jedną nogą wspartą na kancie ułożonego z cegieł ocembrowania.

Nie umiałby powiedzieć, ile czasu to trwało. Kilka razy tracił poczucie, gdzie jest, kilka razy nadchodzące wymioty łaskotały jego przelyk. Przemógł jednak kaszel i zabił w sobie wrażliwość na smród.

Wreszcie postłyszał:

— Już można, panie kapitanie.

Ryzykując upadek równający się utonięciu w ohydnej mazi, przeczucił ciężar całego ciała na prawą nogę. To pozwoliło mu pewnie stać. Teraz wzdłuż ściany przesunął się ku szparze.

Błoto chlupało mu pod nogami. Aby zajrzeć w szparę, musiał zniżyć twarz do jego powierzchni. Otwór był bardzo wąski. Trzeba się było prawie położyć, aby się zmieścić pod nie domkniętą klapą.

Znowu musiał przewalczyć opór całego ciała, lecz ciężką deskę zamknięcia miał już nad sobą. Jednocześnie owiał go rześki powiew mroźnej nocy. Ostrożnie wychylił głowę i w tej chwili ją cofnął. Tuż obok swej twarzy ujrzał miękkie walonki kroczonego wartownika. Zaledwie żołnierz przeszedł, Herbert przysunął się znowu do otworu. Skrzący się w blasku księżyca śnieg kłuł go w oczy. Ostro zarysowane cienie kładły się granatowymi płatami na białej powierzchni. Wartownik odszedł parę kroków dalej wzdłuż ściany domu. Potem nagle zawrócił. Szedł w stronę Herberta. Nie było mowy o przemknięciu się w ciągu tak krótkiego czasu, kiedy tamten znów będzie od niego odwrócony.

Zabulgotało bagno. Wohlfarth był już także na dole. Herbert szepem powiadomił go o sytuacji.

Tymczasem strażnik chodził wciąż wzdłuż krótkiej ściany baraku, nie oddalając się nigdy więcej niż na sześć, siedem kroków od klapy. Herberta znowu opanowało osłabienie. Poczucie zawodu uczyniło

go podatniejszym na smród bagniska i kłujące zimno zięjące z zewnątrz.

Wartownik przeszedł tak pięć czy siedem razy, wciąż nucąc coś pod nosem. Czas płynął. Dwaj ludzie dygotali z zimna, z podniecenia i obrzydzenia.

Nagle żołnierz przystanął. Wsunął się we wnękę twarzą do ściany. Herbert usłyszał trzask pocieranej zapalki.

— Teraz... — zdecydował.

Była to może jedyna chwila, którą należało wykorzystać. Oficer wyczołgał się spod kłapy, potem poderwał się na nogi i skoczył naprzód.

Za nim jak cień pędził Gefreiter. Zdyszani, z bijącym mocno sercem, zatrzymali się w mroku rzucanym przez jakiś budynek. Przykłąkli między ośnieżonymi krzaczkami i obejrzelni się za siebie.

Żołnierz wyszedł już z wnęki i z papierosem w ustach chodził w dalszym ciągu wzdłuż ściany budynku. Uspokojeni kiwnęli sobie głowami. Lecz nagle tamten stanął, pochylił się i począł coś uważnie oglądać na ziemi.

Miejsce, w którym stał, było jasno oświetlone przez księżyc. Im także nie było trudno zobaczyć to, czemu się żołnierz przyglądał.

Ich stopy umazane w błocie porobiły na śniegu wyraźne ślady.

Wartownik wyjął zza pazuchy gwizdek. Ostro świst rozdarł powietrze. Nie było chwili do stracenia. Niby dwa spłoszone ptaki poderwali się do biegu.

Pędzili na ślepo wprost przed siebie, ślizgając się lub wpadając w kupy głębokiego śniegu. Za sobą słyszeli krzyki, gwizdy, nawet strzały. Nie oglądali się. Przemykali między małymi budynkami, wdarli się na jakiś wał, stoczyli się w dół. Po przeciwnej stronie natknęli się na płot z drutu kolczastego, ale przewyciężyli go, zostawiając na nim strzępy swego ubrania. Potem wypadli na pole i gnali dalej ku czarnej plamie lasu, który im zasłaniał horyzont. Wytężony bieg oraz zimno zapierały im dech w piersiach. Za sobą słyszeli krzyki pogoni, tupot kopyt końskich, szczekanie psów, warkot samochodu. Błysk latarni gdzieś z boku na równej z nimi wysokości ostrzegł ich, że goniący chcą im przeciąć drogę.

Tymczasem nogi ich stawały się tak ciężkie, że ledwie mogli je podnosić. Śnieg był tutaj coraz głębszy, z wierzchu podmarzły, ale spodem sytki. Stopy zapadały weń głęboko i z trudem dawały się wyciągać.

Nawoływania goniących zdawały się zbliżać. Samochód był już pod lasem. Zatoczył wielki łuk i stanąwszy przodem do nich wysłał w pole dwie smugi reflektorów.

Przestali biec. Krew tętniła im w skroniach. Razem z ciężkim oddechem wyrzucali słowa:

— Do lasu uciekać nie można...

— Na polu nas odkryją.

— Więc co robić?...

Nieoczekiwanie rozwarł się przed nimi płytki jar. Nie widzieli go przedtem, tak złudnie równe wydawało się pole w księżycowym blasku. Dołem płynęła rzeczka skuta po wierzchu lodem. Otaczały ją jakieś krzaki, bezlistne i sterczące ze śniegu chmurą witek, jakby wsadzone w ziemię ręką psotnego chłopca.

Bez wahania wstąpili na lód i podeszli do drugiego brzegu, który sterczał ku nim niegościnnie twardą szkarpą, najeżony korzeniami i gałęzmi. Herbert zasłaniając twarz rękami skoczył między witki. To samo próbował zrobić Wohlfarth i wtedy właśnie pękł pod nim lód.

— Jezus Maryja!

Stojąc po kolana w dziurze starał się z niej wydostać. Herbert wyciągnął ku niemu rękę. Przez chwilę wazyli wzajem swój ciężar, ale Köstring czuł, że cięższy i większy chłop gotów go w końcu ściągnąć w dół. Na szczęście jednak znaleźli się obaj na brzegu. Znowu zaczęli biec potykając się w głębokim śniegu.

Za nimi huczały strzały. Strażnicy dobiegali już do jaru. Ale zbiegowie poczuli właśnie pod nogami twardą ziemię. Niespodziewanie wybiegli na wydeptaną ścieżkę, tylko że siły ich były już na wyczerpaniu. Zresztą odwagę odbierały te światła pod lasem.

Wohlfarth położył nieoczekiwanie dłoń na ramieniu Herberta. Głosem zamierającym i zdławionym wymamrotał:

— Naszych... śladów... tutaj nie widać...

— Cóż stąd? Wskazał ręką.

— Tam sterta... ukryć się...

Z prawej strony drogi stały sterty siana nakryte czapami ze śniegu. Wiodła do nich równo wydeptana i twarda droga.

Nie mieli ani czasu do namysłu, ani sił na dalszą ucieczkę. Skręcili w bok. Minęli sterty — pierwszą, potem drugą. Dopadli trzeciej.

Gefreiter zaczął gorączkowo rozgarniać suche zielsko. W parę chwil zrobił dość głęboki otwór. Herbert starał się go naśladować.

Lecz w tej samej chwili posłyszeli przy drodze gwałtowne szczenie i trzy ogromne psy wypadły na nich z mroku.

Oczy zwierząt lśniły zielonkawo. Psy szczekały krótko, gardłowo, nie triumfalnie, ale groźnie.

„Zabić” — przebiegło przez głowę Herberta. Wiedział jednak, że taka myśl jest szaleństwem. Bo czym zabiłby wielkiego psa? Gołą dłonią? Niepodobieństwo. A więc próżny był ich trud, próżna wyprawa przez dół kłoczny i ucieczka przez pola. Wszystko na nic. Oparł się ciężko o stóg, obojętny na to, że psy mogą rzucić się na niego z zębami. Było mu już wszystko jedno.

Psy przestały szczekać. Kręciły się obok stojących nieruchomo

zbiegów niby to zajęte wachaniem jakichś rozsianych po ziemi zapachów, ale jednocześnie baczne na każde drgnienie ludzi. Herbert posłyszał, jak Wohlfarth mówi do nich łagodnie:

— Cicho, cicho, pieski. Cicho. Mam tu dla was kawałek chleba.

Ale psy odpowiedziały warczeniem. Przestały wachać ziemię i stały groźnie wpatrzone w żołnierza.

Wtedy nowa myśl przebiegła przez głowę Herberta. Spokojnym głosem zaczął przemawiać do psów po polsku:

— Chodźcie tu... Mam dla was chleb. Chodź, stary, do nogi. Chodź i ty...

Był to prawdziwy cud, bo opuszczone w dół ogony brytanów zaczęły się nagle chwiać niby strzałki taktometrów. Krok psów przeszedł w wesołe skoki. Ten język zmylił ich czujność. Bez lęku wzięły z ręki oficera chleb. A potem — jakby znudzone długą beczynnością — runęły w pole ze straszliwym ujadaniem. Obaj mężczyźni pozostali nieruchomi u stóp stogu. Nagłe odprężenie odebrało im ostatnie siły. Bezwładnie osunęli się na śnieg, niezdolni do wysiłku zagrzebania się w siano. Westfalczyk sapał ze wzruszenia i odmawiał głośnym szeptem „Ojczy nasz”. Köstring milczał. Patrzył w jasne niebo, za którym ledwo, ledwo znać było zgaszone przez blask księżycy gwiazdy.

Potem wsunęli się do swojej nory. Spod siana widzieli żołnierzy, którzy zmyleni zachowaniem się psów szli dalej w pole.

XI

Nie wystarczyło uciec z obozu. Trzeba jeszcze było dostać się do swoich.

Tymczasem nie wiedzieli nawet, gdzie się znajdują. Słyszeli wprawdzie wczoraj jakby huk dział, ale mogły to być tylko złudne hałasy. Wiedzieli także, że huk armat słychać w spokojnym mroźnym powietrzu bardzo daleko. Ku linii frontu musieli zbliżać się powoli i z największą ostrożnością. Wiedzieli bowiem, że każdy spotkany chłop jest dla nich równie niebezpieczny jak żołnierz.

Szli na przełaj w kierunku zachodnim, zacierając zmarznięte dłonie i uderzając się rękami po plecach, aby pobudzić obieg krwi. Mróz przybrał na sile, lecz w złotym słońcu, które wytoczyło się na błękitne niebo i zapaliło tysiące blasków na srebrnobiałej pokrywie śnieżnej, nie czuło się go w sposób zbyt dokuczliwy. Gorzej było, gdy słońce zsunęło się za las, a na ziemię zstąpił lodowaty chłód. Obaj uciekinierzy, którzy szli z dala od ludzkich siedzib, poczuli nieprzepartą potrzebę zjedzenia czegoś i zagrzania się przy ogniu.

Wyszli więc z kopnego śniegu na drogę. Była pusta, zryta płozami

setek sań. Huk dział rozlegał się zupełnie wyraźnie. Wzmógł się on po zachodzie słońca, a potem przeszedł w gorączkowe dudnienie.

Posuwali się uważnie naprzód, gotowi uskoczyć w las, gdy tylko ktoś się w pobliżu zjawi. Lecz nie było tu nikogo. Nad nimi przeleciały tylko dwa gwiazdami znaczone samoloty, potem jeszcze dwa. Od wsi ciągnącej się po prawej stronie szosy dolatywały krzyki i hałasy. Stacjonował tam cały tabor sani i aut, a zbiegowie mogli zauważyć sylwetki kręcących się wokół ognisk żołnierzy w długich płaszczach i wielkich hełmach.

Nie próbowali nawet podejść w tamtym kierunku. Lecz gdy o dobry kilometr za wsią zauważyli samotną w polu chatę, spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Podeszli do obejścia razem z pierwszym mrokiem. Białe w słońcu pola szarzały; stada wron kracząc leciały w zachodnim kierunku. Na ich widok kudłaty mały psiak zaczął szczekać i rwać się na uwięzi. Ale nikt z chaty nie wychodził. Podeszli więc ostrożnie do drzwi, potem z determinacją wtargnęli do środka.

Ogarnęło ich mdłe ciepło izby. Było tu ciemno i tylko czerwony blask padał z otwartych drzwiczek komina. W przedłużeniu czerwonej plamy na podłodze stał tylko brudny barłóg. Ktoś tam leżał bo widać było sterczącą do góry brodę i małą, wespółzymkniętą dłoń. Zdawało się, że w brudnej i ciasnej izbie nikogo nie ma i dopiero po chwili spostrzegli starego chłopca, który siedział zgarbiony na zydlu, wcale nie zwracając na nich uwagi.

Zaczęli grzecznie, w słabym, wyuczonym w obozie języku rosyjskim:

— Dobry wieczór.

Chłop odburknął niezrozumiale.

— Ty grażdanin? — pytali.

Popatrzył na nich nieufnie i wymijająco mruknął:

— U mienia bieda. Wskazał ręką na barłóg.

— Doczka... Choruje...

Wzruszyli ramionami.

— Nic nam do twojej córki. Daj tylko jeść.

Chłop poruszył się apatycznie.

— Nic nie ma.

— Nie masz? — obaj zbiegowie zaczęli mówić groźnie jeden przez drugiego. — Zobaczymy.

Tamten siedział martwo, bez ruchu, kiedy Niemcy zaglądali do garnków na kominie. Po dłuższym szukaniu znaleźli parę zimnych kartofli. Zjedli je od razu, nawet się nie trudząc odgrzewaniem. Poza kartoflami nie było jednak w chacie nic do jedzenia.

Mieli za to ciepło. Usiedli obaj na podłodze i wsparli się plecami o ciepły komin. Czuli, że ich morzy senność.

Wystarczyło jednak, by chłop poruszył się ze swego miejsca, a zewrali się obaj na równe nogi.

— Dokąd idziesz?

— Do stajni.

— Nie pójdziesz nigdzie. Siedz i nie ruszaj się. Bo... — Herbert pogroził mu dużym nożem, który znalazł poprzednio na kominie.

Prawie bez jego wiedzy budziła się w nim bezwzględność. Chciał żyć i dla tego życia mógłby z zimną krwią zarznąć starca. Tamten jednak przerażony przysiadł znów na zydlu. Niespokojnie patrzył na napastników, którzy stwierdziwszy, że piec wygasa, połamali stojącą pod ścianą ławę i wsunęli jej szczątki pod blachę. Czerwone połyski roztańczyły się na ciemnej, brudnej podłodze, a wesoly huk dochodził z głębi paleniska. Oczy zamykały się same. Musieli jednak ze snem walczyć. Jeśli zasną, ten chłop niewątpliwie pobiegnie po żołnierzy. Herbert odruchowo zaciskał palce na rękojeści długiego noża. Wohlfarth nie wypuszczał z dłoni ciężkiej motyki zabranej z kąta sieni.

Czas płynął. To jeden, to znów drugi kiwał się sennie. Wreszcie Wohlfarth zasnął chrapiąc obrzydliwie. Niedługo wyczerpała się i czujność Herberta. Ogarnęła go obojętność na wszystko, nawet na sprawę własnego bezpieczeństwa.

Ocknął się na jęk chorej. Chłop wciąż siedział w tej samej pozie na zydlu i tylko jego oczy biegały niespokojnie po izbie. Rzęzenie chorej wyprowadzało Herberta z równowagi. Powiedział do chłopca:

— Daj jej wody.

Tamten spoglądał nieufnie znad skołtunionej brody i nie wstawał. Trzeba mu było kilkakrotnie powtórzyć zlecenie. Wreszcie sięgnął po drewnianą czarkę i począł się zbliżać do drzwi, nie odrywając jednak uważnego spojrzenia od Niemców. Herbert pojął, że jeżeli chłop wyjdzie, już więcej może nie wrócić. Ale nie miał siły iść za nim. Ogarnęła go straszliwa apatia. Rzucił tylko:

— Gdzie masz wodę?

— W studni.

— Wracaj prędko.

Tamten wyszedł. Skrzyp drzwi obudził Wohlfartha, który patrzył czas jakiś błędnie, mrugając powiekami. Nie poznawał, gdzie się znajduje. Ale czujność przemogła — rozejrział się po izbie.

— Chłopa nie ma?

— Poszedł po wodę.

— Ucieknie.

— Nie — powiedział Herbert bez przekonania.

— Ucieknie. — Gefreiter dźwignął się ciężko na nogi. Lekko zataczając się podszedł do drzwi i otworzył je. Uderzyła go w twarz

fala mrozu i zielonkawy odbłask rozbłyszczonej w świetle księżycy pól.

— Naturalnie, nie ma go.

W środku podwórza znajdowała się studnia z żurawiem. Czarny prostokąt cembrowiny i długi drąg odcinały się ostro na tle śniegu. Lecz w pobliżu nie było nikogo.

— Do licha. Czemu go pan kapitan puścił?

Herbertowi wydawało się, że go żadne niebezpieczeństwo nie obchodzi. Z jednej reakcji wpadał całkowicie w drugą. Pragnął tylko ciszy i odpoczynku w cieple.

— Musimy uciekać — perswadował Wohlfarth. — Niech pan wstaje prędko.

Oficer stęknawszy podźwignął się na nogi. Ale gdy stanął w drzwiach i poczuł w nozdrzach szczypanie mrozu, cofnął się.

— Nie pójdę na to zimno — rzekł.

— Chce pan wrócić do niewoli? Bolszewików tylko patrzeć... — Köstringiem wstrząsały dreszcze. — Gdyby mieć coś ciepłego...

Wohlfarth chwilę się wahał. Potem podszedł do barłogu i podniósł leżący na wierzchu kozuch. Pod nim znajdował się także kobiecy pikowany tułub z surowej wełny. Obie rzeczy były nieprawdopodobnie zniszczone, cuchnęły zastarzałym brudem.

— Nie zabierzemy chyba tego chorej... — mruczał niezdecydowanie Herbert.

— Ależ weźmiemy. Tu ciepło, nie zmarzniesz przed powrotem staro. Zresztą jej nic już nie potrzeba.

Popatrzyli na twarz chorej. Była to młoda dziewczyna. Spotniałe włosy lepiły się strączkami do skroni, twarz nienaturalnie napuchła i pokryta czerwonymi plamami zachowywała wyraz całkowitego spokoju. Rzęzący oddech wydobywał się ze ściśniętych ust, piersi, które widać było spod nędznej koszuli, unosiły się gwałtownie.

— Ubierajmy się i w nogi, panie kapitanie.

Podzielili się odzieżą. Herbert włożył na siebie kozuch. Gefreiter tułub, który się ledwo na nim zapiał.

— Chodźmy...

Jakoś raźniej podeszli do drzwi. Stojąc już na progu Herbert się obejrzał. Chora dziewczyna leżała teraz na słomie prawie naga. Krótka koszula nie sięgała kolan. Spod niej wyglądały długie nogi o stopach dużych, rozdeptanych od chodzenia boso. Nieznaczące ruchy jej nóg przypominały jazdę na rowerze. Po Herbercie spłynęła fala pożądania. Otrząsnął się z tego gniewnie, ale nie mógł pozbyć się uczucia skrepowania, że obdarł dziewczynę z okrycia.

Księżycowa, wysrebrzona od blasku noc zamknęła się wokół nich. Na śniegu pozostała tylko czarna plama chłopskiego obejścia. Dążyli spieszenie naprzód, orientując się w kierunku po gwiazdach. Śnieg

skrzypiał pod nogami i skrzył się tysiącem drobiny, wywołując nie-miłe klucie oczu.

Znaleźli się na skraju małego zagajnika, który szybko starali się mijać, gdyż w drgającym blasku, mrocznym zarazem i niepewnym, każdy kształt zdawał się być obdarzony życiem. W tym fantastycznym otoczeniu nie czuli się spokojni, woleli więc mieć koło siebie pustkę pól. Lasek skończył się zaraz jakimiś rozplaszczonymi, jakby zdeptanymi stopami olbrzyma krzewami. Śnieg tu był skotłaszony; miejscami piętrzył się, miejscami natomiast tworzył leje, na dnie których czerniła się obnażona ziemia. Leżały tu jakieś ułamki, szczątki potraskanej a nie dającej się określić całości. Przeszli w ten sposób kilka kroków. Potem gwałtownie stanęli. Zza rozedrganego oparu blasku wyrzał ku nim ciemny kształt wznoszący się ku górze, jakby ręka, która błaga o pomoc. Mieli ochotę uciekać. Przemogli się jednak i zrobiwszy kilka kroków dalej poznali działko przeciwpancerne o roztrzaskanym podwoziu. Opodał ujrzeni kilka cieni, które leżały bezwładnie na śniegu. Były to zamrożone zwłoki artylerzystów. Za artylerzystami tkwił w śniegu obalony jaszcz, drugie działo, a nieco dalej czołg o rozprutej wieżycze i osmalonym boku.

Kroczyli środkiem tego ogromnego rumowiska. W powietrzu unosiła się cmentarna cisza, w której rozlegał się tylko skrzyp śniegu pod stopami. Wszystko spoczywało w tragicznym bezruchu opuszczenia i martwoty. Ciężkie bryły czołgów utknęły bezradnie w śniegu, czasami powalone na bok, czasami zaplątane w zerwane gąsienice. Sznury aut znaczyły na polu drogę odwrotu. Po bokach widzieli porozbijane działka, rzucone w śnieg karabiny maszynowe, ciśnięte na kupę trupy ludzkie i końskie. Wszędzie walały się białe hełmy, puszki od masek, ładownice, karabiny.

Szli i szli, wciąż mając wokół siebie to ponure pobojowisko. Po niebie płynął księżyc, pochylając nad polem szczątków połyskliwą twarz. Z boku wytoczyły się chmury i zasłoniwszy pół horyzontu dążyły śladem uciekającego księżyca.

Rozwalone ciężarówki, czołgi, armaty, znowu czołgi, sanie, wozy, auta, jaszczce, kuchnie wyrastały z równiny niby las — ruchomy las Birnam, co zbliża się do zboczy Dunsinane...

Nie mówili nic do siebie. Ogarnęła ich straszliwa groza, chociaż lata wojny przyzwyczyły tych dwóch do niejednych okropności.

Idąc środkiem rumowiska Herbert miał wrażenie, że słyszy głos starego pułkownika, deklamującego na wydmie piaszczystej tragicznej wiersz Tiutczewa:

Idzie noc — i już nadchodzi,
Świat ogarnia w sploty mgły...

Czy to tak było, czy też może słowa podszeptuje wiatr, który gdzieś się zbudził i ze świstem sunie po polu pędząc przed sobą pyły śnieżne? Piersz porusza się z trudem, boleśnie łapie oddech. Nogi ciągną

się sennie, błędzą pod powiekami majaki. Przez pola idą ludzie... Na ich czele ta półnaga dziewczyna, którą odarli z kozucha. Za nią Hugo... Widzi wyraźnie twarz przyjaciela, pełną uwagi i jakby oczekiwania. Siwe oczy patrzą poprzez mrok, dosięgając twarzy Herberta. Jesteś mój... Hugonie... Oficer przytomnieje uświadamiając sobie, że głośno wołał zabitego. Zgarnia więc dłonią śnieg z budy rozbitego samochodu i przyciska do warg. Łyka ostre grudki dziwiąc się, że nie mają żadnego smaku. Potem głosem skarżącego się dziecka mówi towarzyszowi, jak bardzo chciałby usiąść. Ale tamten protestuje. Idzie więc naprzód z podniesioną ku górze twarzą, na którą padają płaty śniegu.

XII

Herbert otworzywszy oczy nie wiedział, jak się znalazł w tej jakiejś szopie czy stodole. Prawdopodobnie dowłókł go tutaj Wohlfarth. Przez długą chwilę nie mógł także określić, ile czasu był nieprzytomny. Musiał już być dzień, bo z dworu do środka szopy, poprzez uchylone drzwi i szpary między deskami, padał szary blask dnia, mieszając się ze złotoczerwonymi połyskami rozpalonego ogniska. Z kolei oficer zdał sobie sprawę z głuchego łoskotu, który wstrząsał stodołą. Gdzieś blisko pracować musiały baterie artylerii, bijąc nie miarowo, ale gwałtownie, zagłuszając słyszany tylko w przelotnych chwilach ciszy łoskot karabinów maszynowych.

— Front... — powiedział, patrząc w oczy towarzysza. Tamten z lekkim uśmiechem skinął głową.

— Tak. Musimy tylko uważać, aby do nas nie przyszli. Są blisko...

Wohlfarth bez końca spoglądał przez szparę to na jedną, to na drugą stronę. Gdy Herbert dźwignął się na nogi i podszedł do niego, wskazał mu ręką niedalekie, wyraźnie rysujące się na białym tle śniegu wzgórze. — Tam siedzą...

Padał śnieg, a wiejący wiatr kręcił tumanami białych płatków i ciskał je na wszystkie strony. Lecz wzgórze było widać wyraźnie wskroś śnieżycy. Na jego zboczu czerniły się jakieś przedmioty, które Herbert początkowo wziął za przywalone śniegiem krzewy. Były to czołgi, uczezione pochyłości i bijące gdzieś w dal ze swych działek. Potem widzieli, jak dołem u stóp wzgórza przejechał oddział kawalerii.

— Która może być godzina? — spytał Herbert.

— Południe minęło.

Nie mieli zegarka, czas zaś nabierał jakiejś niepojętej płynności, przestając być zwykłą miarą dokonywających się wydarzeń.

— Może pan kapitan jest głodny? — Wohlfarth wskazał leżące na ziemi zapasy: kawał chleba, puszkę konserw, tabliczkę czekolady. Oficer spojrzął na Gefreitra wzrokiem pełnym zdumienia.

— A to skąd?

Westfalczyk nie spieszył się z odpowiedzią.

— Tam leżą zabici... — powiedział w końcu.

To jednak nie zniechęciło Köstringa do jedzenia. Zaczął się już przyzwyczajać do sytuacji. Bez wstępu jadł zdobyte zapasy, potem ciężko położył się pod ścianą, z twarzą naprzeciwko szpary. Z tego miejsca mógł obserwować toczącą się u stóp wzgórza bitwę.

Strzelanina przybierała na sile zagłuszając wycie wiatru. Padał gęsty śnieg. Czołgi posuwały się wzgórzem naprzód, potem znów się cofały. Jeden i drugi zapłonął nagle, tworząc czerwoną plamę na białej powierzchni śniegu.

Herbert zaczął się z wolna orientować w boju. Ze wzgórza, tuż przed nim, Rosjanie atakowali leżącą w dole drogę i inne pagórki mało stąd widoczne, zasnuwane mgłą śnieżycy. Natarcie wspierane przez gwałtowny i gęsty ogień artyleryjski było potężne, lecz widać napotkało na równie zawziętą obronę. Oficer cały zamienił się we wzrok. Znowu widział kolumnę kawalerii, która spuszczała się na dół. W chwilę potem stuustny krzyk „ura”! obwieścił rozpoczęcie ataku. Lecz okrzyk zgasł, atak zatrzymał się w ogniu.

Herbert powiedział do Wohlfartha:

— Próbujmy teraz się przebić.

— Lepiej poczekać do nocy — perswadował Gefreiter. Ale Herbert nie chciał ustąpić. Ogarnęło go podniecenie. Ręce mu drżały jak w febrze, oczy rzucały nagle błyski. Jego plan był prosty; dojdą do zagajnika na lewo, potem przetną drogę o jakieś dwa, trzy kilometry od miejsca, w którym wre walka. A potem — byle naprzód, muszą się przecież natknąć na swoich.

Początkowo nic im nie stawało na drodze. Zaśnieżeni, brnąc w świeżo spadłym śniegu, znaleźli się wśród krzewów. Wzgórze w tym miejscu urywało się dość stromo.

Ale gdy zapragnęli zejść w dół ku czerniejącej tam drodze, ujrzeli nagle żołnierza, który z karabinem w rękę zbliżał się do nich.

— Stój! Nie trogaj się z miasta, strielat budu!

Przykryty białym płaszczem żołnierz wychynał tak niespodziewanie ze śnieżnej przestrzeni, że obaj uciekinierzy oniemieli, wrosli po prostu w ziemię, nie wiedząc, co mają ze sobą zrobić. Trwało to jednak tylko moment. Obu Niemców poderwała jednocześnie wola czynu. Wohlfarth chwycił karabin, Köstring skoczył jak żbik do gardła przeciwnika. Wszyscy trzej potoczyli się ku zboczowi, a potem pokoziołkowali w dół. Otoczyła ich chmura śniegowego pyłu. Kiedy byli już w dole, zerwali się na nogi i zaczęli biec przed siebie, zostawiając na śniegu krzyczącego wartownika. Wokół nich rozległy się strzały, ale nie wiedzieli, czy to do nich celują. Prawie podświadomie kluczyli jak zające, padali, zrywali się, zaskakiwali za drzewa. Na drodze Herbert pośliznął się i upadł. Gefreiter pobiegł dalej. Oficer

ciężko dźwignął się z ziemi. Nad głową posłyszał długi świst przelatujących pocisków. Wohlfarth zniknął między niskimi drzewami po drugiej stronie drogi. Herbert doznał niemiłego uczucia samotności. Tym żywiej pobiegł śladami towarzysza. Zresztą ten czekał na niego za jakimś drzewem. Przystanęli nie mogąc się zdecydować, w jakim kierunku mają iść. Naraz posłyszeli dźwięk, który zmusił ich do szybkiej decyzji; było to jakby dalekie stęknienie, przechodzące w długi, pełen poświstów szum zakończony głuchym łoskotem. Czarniawy dymek wyleciał w powietrze nad wyszarpniętym z ziemi lejem. Po chwili usłyszeli nowy szum nadlatującego pocisku.

Biegli wprost przed siebie między drzewami, potykając się o ukryte w śniegu pnie. Potem trafili na tafłę lodu, spod którego sterczały ku górze szare i wyschnięte wąsy szuwarów. Pocisk artyleryjski wbił się w lód, wywalając w nim czarną dziurę, zaś wstrząśnięta woda uderzyła od dna w tafłę lodu tworząc tu i tam pęknięcia.

Skęcili w bok na małą groblę i tu stanęli oko w oko z oddziałkiem żołnierzy. Tamci jednak na widok wyskakujących spoza grobli figurek ludzkich rzucili się do ucieczki. Było to dziwne wojsko, które potrafiło spłoszyć dwóch obdartych, bezbronnych ludzi. Herbert ze zdumieniem ujrzał płaszcze i berety wcisnięte głęboko na uszy. Był przekonany, że to nie są Rosjanie. Uciekający odwrócili się właśnie i skierowali broń w stronę nadchodzących zbiegów. Zaczęli coś krzyczeć w nie znanym Herbertowi języku.

Herbert zdołał tylko zawołać w ich stronę:

— Jestem niemieckim oficerem... — i poczuł, że mu się język płacze, a ciemne płatki latają przed oczami. Niemal chwiał się na nogach. Podtrzymywany przez Wohlfartha podszedł do tamtych.

— Jest pan wśród sojuszników. Dwudziesty siódmy pułk piechoty rumuńskiej imienia królowej Marii — poinformował go jeden z oficerów.

Pocisk uderzył w groblę wyrzucając do góry śnieg i stare liście leżące pod nim. Żołnierze cofali się, unosząc ze sobą zbiegów.

— Czy daleko trzeba iść? — spytał Herbert.

Oficer rumuński wskazał dłonią ciemny pas w odległości może pięciuset metrów.

— Tam...

Przerwały mu ostrzegające wrzaski żołnierzy. Z boku ukazała się grupka kawalerzystów. Widząc pluton piechoty zwrócili się do nich frontem i puścili konie w cwał. Próżno oficer wydawał jakieś komendy. Spłoszeni żołnierze zupełnie potracili głowy; niektórzy strzelali na oślep za siebie, inni uciekali jak błędne stado. Herbert pozostał znowu sam z Wohlfarthem. Ale groza niebezpieczeństwa dodała mu sił i wzbudziła chęć walki. Rozejrzał się. Ujrzał rzucony w śnieg ręczny karabin maszynowy. Od razu podjął decyzję. Z kolbą przy policzku położył się na ziemi. Szczęknął zamek, zaterkotała seria.

Dwa, trzy konie runęły w śnieg. Jeźdźcy rozproszyli się na wszystkie strony.

— Nowa taśma — powiedział Herbert przez zęby do Wohlfartha.

Tamten już grzebał w zaśnieżonej skrzynce. Przez ten czas Kōstring śledził kręcących się po białym polu kawalerzystów. Zatoczywszy krąg próbowali podejść z boku broniących się zbiegów. Herbert znowu wysłał w ich stronę serię ognia, po czym kilku jeźdźców runęło na ziemię. Reszta zawróciła i za chwilę znikła za małym pagórkiem.

Po nich na płaszczyznę wysypała się garść piechurów. Ci podchodzili koncentrycznie ku broniącym się Niemcom, osłaniając swój marsz ogniem karabinu maszynowego. Herbert usłyszał świst kul nad głową i stukot uderzeń w ziemię tuż obok siebie.

— Jak tam z amunicją? — spytał Wohlfartha, nie odrywając wzroku od pola walki.

— Kiepsko... Jeżeli ci nie wrócą...

Ale po żołnierzach pułku imienia królowej Marii nawet ślad nie został. Zniknęły gdzieś na białej równinie.

„Wobec tego koniec” — pomyślał Herbert. Ogarnęła go znów fala słabości, zadzwonił mu w uszach wiersz, który kiedyś na postoju deklamował Wasiljew:

Może nas mało?...
Zali od Permu do Taurydy,
Od chłodnych fińskich skał,
Po skwarny brzeg Kolchidy,

Od wstrząśniętego Kremlu wrót
Po Chin znieruchomiałe ściany,
Stalową szczecią rozbłyskany
Nie dźwignie się rosyjski lud?

Więc nam wyślijcie, krasomówco,
Swych rozjątrzonych synów hufce.
Na polach Rosji dość jest miejsca dla nich
Pośród nieobcych im mogiłnych grud...

Pociski biły o ziemię, jakby do wtóru powtarzanym rymom. „Na polach Rosji dość jest miejsca...” O, tak. Nie wątpił w to. Pola Rosji mogły służyć za mogiłę całej Europy. A w każdym razie, on na nich spocznie, kończąc swój żywot krótki, lecz pełen gorzkości. Żegnaj, życie. Żegnaj, Oleńko. Oleńko...

Szeptem powiedział to imię. Mgła marzeń ogarnęła go całego; nie chcąc stracić panowania nad sobą zaczął łykać śnieg. Znowu trzeba było wystrzelić kilka razy, aby zmusić atakujących do wolniejszego posuwania się naprzód. Lecz przestrzeń wciąż malała. Kule gwizdały...

Nie zobaczy już nigdy Oleńki — uświadomił sobie. A przecież może... może by go kiedyś... pokochała... W pamięci zamajaczyła postać dziewczyny, w uszach zadzwonił jej głos...

— Ura! — rozległ się krzyk nacierających. Herbert mocniej przycisnął kolbę do policzka i nacisnął spust karabinu. Seria wystrzałów zagrzecgotała, rozległ się krzyk jakiegoś rannego, tamci podchodzili tuż, tuż. Widział wyraźnie ich twarze.

W tej chwili jakiś przedmiot przeleciał nad głową Herberta i padł pod nogi nadbiegających. Eksplozja targnęła powietrzem. Potem nastąpiły inne, łącząc się w jeden długi łomot. Kłęby dymu zasłoniły Herbertowi przeciwnika.

— Rückwärts! — posłyszał za sobą.

Był to oddziałek żołnierzy niemieckich, cofających się spod wzgórze. Żołnierze mieli twarze sine i wynędzniałe. Ubrani byli w białe hełmy i białe płaszcze, spod których wyglądały jakieś fantastyczne futra. Z granatami za cholewą lub za pasem, z karabinem i nasadzonym na lufę bagnetem wyglądali wojowniczo. Przewodził im niemłody już podporucznik o szczeciniastym wąsie.

— Cofamy się — rzekł do Herberta, nie wiedząc, jak go tytułować. — Chodźcie z nami.

Spiesznie szli do tyłu korzystając z zamieszania, jakie wywołało obrzucenie Rosjan granatami. Ale nie uszli i dwudziestu kroków, po czym znowu usłyszeli krzyk atakujących. Powitali ich ogniem, po czym skoczyli w tył. Tamci jednak nie ustąpili, ale nacierali na bagnety. Walka zamieniła się w zaciekły pojedynek dwóch grup śmiertelnie znużonych i zziębniętych ludzi, grzęznących po kolana w śniegu. Chrzęściły karabiny w ręcznym starciu, rozlegał się raz po raz stuk wystrzałów i łomot wybuchających granatów. Obie strony traciły ludzi. Wreszcie Niemcom udało się oderwać od goniących.

Potem oddział wydostał się na drogę i wzdłuż niej skierował się ku jakiejś wiosce. Żewsząd ścigały go pociski. Byli chyba ostatnim wycofującym się oddziałem. Kiedy wchodzili między chaty, padł strzał zza węgła i jeden z żołnierzy runął na twarz. Jego towarzysze błyskawicznie rzucili się pod ściany. Oficer wydał komendę i żołnierze jednym skokiem wdarli się do najbliższego domu. Herbert widział, jak wyciągają stamtąd starego mężczyznę, dwie kobiety, dziecko. Podoficer trzymał pistolet w rękę i kolejno rozwałał strzałami czaszki ujętych. Potem z innej jeszcze chaty wyciągnięto nowych ludzi. Pistolet ciągle szczekał, ciała waliły się w śnieg. Równocześnie granatami podpalono chaty. W pierwszym, niedostrzegalnie prawie zsuwającym się mroku zaczęły pełzać po śniegu czerwone języki ognia i przeglądać się w kałużach parującej krwi. Mróz szedł srogi i szczypał twarze lodowatym podmuchem. Wiatr na równej powierzchni śniegu pędził białe pyły.

Herbert nie mógł tego wszystkiego znieść. Czuł, jak mu w skroniach wałą tętna, nogi zaś uginają się pod ciężarem martwiejącego

ciała. Ta krew... Ogarnął go lęk przed zwałeniem się w zastygłe lub ciepłe jeszcze kałuże. Obrzydzenie chwyciło go za gardło; to gorące, to znowu zimne dreszcze wstrząsały całym ciałem.

— Dosyć! — jęknął patrząc na oficera piechoty.

— Dosyć? — spod białego hełmu patrzyły na Herberta szare, przerażająco okrutne oczy. — Dosyć?

Ale Herbert zamiast odpowiedzi zachwiał się na nogach. Wiedział teraz, że jest chory. Obrazy prawdziwe i wyśnione tańczyły mu przed oczami szaleńczego walca. Padł na kolana, potem obalił się na twarz. Nie czuł, gdy go dwóch żołnierzy zabrało na nosze, nie widział krwawego odwrotu owego plutonu, którego okrucieństwu zawdzięczał życie.

XIII

Przez kilka tygodni Herbert walczył ze śmiercią. Czuł straszliwe cęgi zaciskające się wokół skroni i wywołujące ból całej czaszki oraz nieustanny szum w uszach. Trząsł się z chłodu lub spływał potem, majaczył i dygotał w malignie albo też leżał martwo, całkowicie pozbawiony sił. Któregoś dopiero dnia zdał sobie sprawę z tego, że słyszy jęki ludzkie. Przez dłuższy czas nie wiedział, co one oznaczają; był jak człowiek, który zasnawszy ciężko w ciągu dnia, stracił poczucie czasu i miejsca.

Znajdował się w szpitalu w Krasnymstawie. Wieziono go tu wolno wlokącym się pociągiem, w wagonie, do którego nikt nie zaglądał. Próżno jęczał, błagając pustkę o kroplę wody, o ulgę dla nóg i dłoni piekących go nieznośnie. Później trafił do szpitala. Przypominał sobie jak przez mgłę kąpiel, w której musiano go podtrzymywać, aby nie utonął, oraz zimne dotknięcie czoła maszynką do obcinania włosów.

Jednak za tym wspomnieniem rozpoczynała się już noc. Migwały w niej cienie białych ubranych ludzi pochylających się nad jego łóżkiem lub kładących mu na czoło zimny okład. W malignie widział się wciąż uciekającym po śniegowym polu. Krzyczał, że chce jeść, że mu zimno, i wymachiwał nad głową spowitymi w bandażę dłońmi. Łóżko skrzypiało cichą skargą, płonąca lampa drażniła oczy blaskiem. Herbert dźwigał się na łokciu i krzyczał wpatrzony przed siebie błędnym wzrokiem:

— Oleńko!

Słowa polskie płątały się ze słowami niemieckimi, ciągle uciekał od Rosjan — i ciągle szukał ratunku u Oleńki.

Wreszcie przyszedł dzień, w którym do jego świadomości doszedł czyjś jęk. Łóżko już nie drżało i nie skrzypiało; poprzez zamalowane mrozem okno wsiąkał do sali biały blask dnia.

Wzrok Köstringa ślizgał się po trzech łózkach, które stały obok, potem zatrzymał się na półuchylonych drzwiach. Jęk przychodził stamtąd; rozbrzmiewał nim szpital. Potem stuknęły drzwi i zatrzaśły się. Jęk ucichł. Do pokoju weszła siostra Czerwonego Krzyża ze szklanką w ręku.

Była niewysoka, przysadzista, o twarzy pozbawionej wdzięku. Ale tego nie widział. Wydała mu się wcieleniem dobroci i piękności. Uśmiechnął się. Siostra zobaczywszy otwarte oczy Köstringa podeszła szybko do jego łóżka.

— Jak się ma nasz wojak? — powiedziała tonem, który wydał się Herbertowi pieszczotliwy i miękki, lecz w rzeczywistości brzmiał rubasznie. Wykręcił ku niej głowę i odpowiedział jakimś nieswoim, zmatowiałym głosem:

— Możliwie... Ale kto tak jęczy?

— Och — dość obojętnie kręciła głową — przywieźli dziś nowy transport. Cała fura odmrożeń... Ale może pan kapitan ma ochotę na herbatę? — skierowała rozmowę na inne tory. — Mam dobrą, gorącą i prawdziwą. — Zatarła lekko zsiniałe dłonie. — W sam raz na dzisiejszy mróz.

— Jest zimno?

— Coś około dwudziestu stopni. No, napije się pan kapitan? — Mówiąc wciąż do Köstringa pochyliła się nad sąsiednim łóżkiem. Zanurzyła rękę pod nasuniętą wysoko kołdrę i wydobyła termometr. Chwilkę oglądała go uważnie, ściągając usta tak, jakby paliła papierosa. Potem zapisała temperaturę chorego na wiszącej w nogach łóżka karcie.

— Niedobrze — słyszał, jak mówiła cicho do siebie. Zsunęła kołdrę z głowy leżącego człowieka i Herbert zobaczył krótkie, siwe włosy, wysokie czoło, zamknięte oczy, wpadnięte policzki i usta drgające w niespokojnym, gorączkowym oddechu. Siostra szła dalej. Podała basen leżącemu na następnym łóżku choremu przemawiając do niego żartobliwie.

Herbert chciał się dźwignąć, lecz nie miał siły, aby się poruszyć. Natomiast spostrzegł, że obie jego dłonie spowite są grubo bandażami. Uczuł także bandażę na nogach. Wtedy straszliwa myśl przebiegła mu przez głowę. Dzikim głosem krzyknął:

— Sostro! Sostro!

Podeszła do jego łóżka.

— Czego pan sobie życzy, panie kapitanie?

— Czy ja, sostro... czy ja... mam... — nie śmiał wypowiedzieć okropnego słowa — czy ja nie mam już nóg?... Sostro. Proszę mi powiedzieć...

Położyła mu palec na ustach.

— Niech pan kapitan tak nie krzyczy. Nie, nie. Tak źle nie jest. Stracił pan tylko po jednym palcu u każdej nogi. To przecież głup-

stwo... Nawet nikt o tym wiedzieć nie będzie. A poza tym wszystko dobrze. Nogi i ręce już się goją, po tyfusie zostało tylko osłabienie...

— Po tyfusie? Więc miałem tyfus?

— Czegóż pan nie miał? Bronchit, płuca, tyfus, paskudne odmrożenia. Ale mocne serce wszystko wytrzymało. Sześć tygodni pan kapitan leżał nieprzytomny.

— Sześć tygodni?

— Tak. Nie widział pan Gwiazdki ani Nowego Roku.

— A wojna?

— Skończy się niedługo. Z wiosną. Przyniosę panu ostatni numer „Völkischer Beobachter”. Führer przemawiał...

Trzepała mu jeszcze nad głową parę minut niby pozytywka, która nie może zamilknąć przed całkowitym rozkręceniem się sprężyny. Potem obiecała przynieść herbatę i wyszła. Przez krótki moment, kiedy drzwi były otwarte, dobiegł znowu uszu Herberta jęk ludzki, niby buczenie pszczoł w wielkim ulu.

Popatrzył na towarzyszy. Na sąsiednim łóżku leżał ów siwy człowiek i zdawał się spać. Na następnym kręcił się młody jasnowłosy chłopak, mieszając łyżeczką kawę w kubku i oglądając ryciny w ilustrowanym piśmie. Poczuwszy na sobie wzrok Herberta zwrócił twarz w jego stronę i skinął mu głową.

— Jestem porucznik Joachim Stresau. Z dwudziestego pancernego pułku. Oberwałem pod Tułą. Rana w nodze i poparzenie całego boku. — Wskazywał palcem swe obolałe miejsca. — Dobry kawał. Jedni zamarzają na sopelek, a mnie poparzyło.

Herbert uśmiechnął się do Stresaua. Humor tamtego podziałał zaraźliwie na Köstringa.

— Ja jestem dowódcą eskadry „Wilków”. Nazywam się...

— Wiemy wszyscy — przerwał mu porucznik. — Był tu przecież generał u pana kapitana.

— Generał?

— Tak. Generał graf von Maries. — Chłopak z lubością akcentował tytuł gościa. — Specjalnie chciał się dowiedzieć o zdrowie pana kapitana. Ale pan kapitan był wtedy nieprzytomny.

— Szkoda — pomyślał głośno Herbert.

— Pan generał pojechał na front — ciągnął porucznik zachwycony, że może wyładować swoją gadatliwość.

Na ostatnim łóżku leżał jakiś niemłody człowiek o długiej czaszce i pisał coś zawzięcie, opierając blok papieru listowego o podniesione kolano. Nie mieszał się do rozmowy, a nawet rzucał na gadatliwego porucznika spojrzenie jednocześnie gniewne i pogardliwe. Widać gadanina tamtego przeszkadzała mu w pisaniu.

W końcu Stresau zmęczył się i zamilkł, zdążywszy jednak wpierw opowiedzieć Herbertowi o „zasranej” Ameryce, która zaczęła z Niem-

cami wojnę, o sukcesach japońskich, o nowym typie samolotów radzieckich, o pewnej młodej dziewczynce, którą młody oficer tutaj poznał, o walkach w Libii, o mrozie, o zbiorce ciepłej odzieży, o siostrach w szpitalu, o lekarzach, o teźże samej co poprzednio przystojnej dziewczynce, która była „wcale-wcale”, o złym jedzeniu i słabym paleniu w piecach, o zastrzykach, które otrzymują ranni znajdujący się w beznadziejnym stanie, znowu o owej dziewczynce, która miała nóżkę akurat taką, w jakiej gustował porucznik, o braku tytoniu, o lekarzu Żydzie, który mimo swego pochodzenia urzędował w szpitalu, i jeszcze raz o tej małej, „o której pan kapitan już wie”, był to bowiem temat interesujący chłopaka ponad wszystko.

Kiedy ucichł grzechot słów Stresaua i w sali zrobiła się cisza, wpadła na chwilę siostra. Przyniosła Herbertowi herbatę, leżącemu zaś w kącie sali rannemu list. Tytułowała go „panie poruczniku”, na co tamten odpowiedział znad rozłożonego bloku ponurym chrząknięciem.

Herbert leżąc na poduszkach, ze wzrokiem utkwionym w ścianę, zatonał w morzu myśli. Ten wielki przeskok między ucieczką z niewoli a chwilą obecną wywołał w jego umyśle nieopisany zamęt. Starzał się więc poskładać wydarzenia w całość, ale umysł odwykły od pracy przeskakiwał lekkomyślnie z tematu na temat. Herbert począł bezmyślnie wodzić wzrokiem po ścianach. Przed nim wisiała fotografia wodza w mundurze partyjnym, z dłonią podniesioną gestem pozdrowienia. Patrzył na tę fotografię tak, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Potem starał się czytać tytuły artykułów w gazecie leżącej na stoliku pod oknem. Wreszcie ze znużenia sięgnął ku książkom leżącym na szafce między jego łóżkiem a łóżkiem siwowłosego człowieka.

Była tam naturalnie „Mein Kampf”, jedna z ciężkich powieści Jüngera, kilka głupawych, sensacyjnych romansów. Wszystkie te książki stanowiły niewątpliwie własność sali — może były nadesłane z ojczyzny jako dar rodaków dla cierpiących żołnierzy.

Ale bliżej głowy siwowłosego rannego znajdował się tomik oprawny w bardzo zniszczoną skórę; żółtkłe, stare kartki nosiły ślady palców. Herbert sięgnął po książkę i wzięwszy ją z trudem w poowijane ręce otworzył na pierwszej stronie.

Książka była wydana w Królewcu w tysiąc siedemset trzydziestym trzecim roku, staraniem akademicko-dworskiej drukarni. Jej tytuł brzmiał: „Ewangelien und Episteln, welche auf alle Sonntage und gewöhnliche Feste durchs ganze Jahr werlesen und erklärt werden” i był w połowie strony uzupełniony tytułem polskim. Tomik wydrukowano w dwóch językach: niemieckim i polskim, ze względu na potrzeby obszaru, dla którego był przeznaczony. Herbert spojrzął jeszcze raz na rok i miejsce wydania książki, a potem uśmiechnął się lekko. A więc w Prusach Wschodnich trzeba było przy głoszeniu Ewangelii posiłkować się językiem polskim.

Otworzył książkę na chybił trafił i wzrok jego padł na następujący werset:

„Da das Jesus hörete, sprach Er zu ihnen: die Starken bedürfen des Arztes nicht, sondern die Kranken. Gehet aber hin und lernet was das sey: Ich habe Wohlgefallen an Barmherzigkeit und nicht an Opfern. Ich bin gekommen die Sünder zur Busse zu rufen und nicht die Frommen...”

Zatrzymał się. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mu się czytać prozy ewangelicznej. Dawniej od czasu do czasu słuchał słów Ewangelii w kościele; później i tego w jego życiu zabrakło. Tutaj nagle ogarnął go rwący strumień wersetów ewangelicznych i z niepohamowaną siłą pociągnął w głąb, w której myśli muszą się rodzić i zapalać niby rakiety na czarnym tle nieba. Wzrok ślizgał się po dalszych zdaniach, wydobywał gdzieś spomiędzy zadrukowanych stron odpowiedź na pytania, nie wiadomo skąd stające przed nim.

W miarę jak zagłębiał się w tę książkę pisaną archaicznym, lecz dzięki prostocie rozumiałym językiem, doznawał dziwnych uczuć. Każde zdanie wydawało mu się czymś nowym, mającym po prostu wagę zdumiewającego odkrycia, a jednocześnie czymś znanym niby dom rodzinny, od którego można odejść, lecz w którym — nawet gdy doń po latach wrócimy — umiemy się poruszać.

Herbert już bardzo dawno znał słowa, które teraz tańczą przed jego wzrokiem: „Nauczycielu, powiedz bratu memu, aby się ze mną podzielił dziedzictwem... Człowiecze, któż mnie ustanowił sędzią albo rozdzielcą nad wami?... Strzeżcie się wszelkiej chciwości... I powiem duszy swojej: duszo, masz wiele dóbr zgotowanych na wiele lat... Szalony! Tej nocy duszy twojej zażądają od ciebie...”

Wstrząs i dreszcz. Ten sam wstrząs i dreszcz, jakiego doznawało się u stóp kazalnicy, gdy te właśnie groźne słowa padały z góry z trzaskiem załamującego się stropu. „Szalony... coś nagotował, czyż będzie?” Któż z ludzi nie przeżywał bodaj raz w swoim życiu tego okrutnego, a jednocześnie miłosiernego uczucia pustki, gdy się wejrzało w siebie i nic się tam nie znalazło? Potężna fala wewnętrznego oświecenia przenikała Herberta. W jej blasku ujrzał od razu wszystko, czego dotychczas nie widział lub czego może nie starał się widzieć.

Złożył książeczkę na kolanach i utkwivszy wzrok w suficie zamyślił się głęboko. Był wprawdzie fizycznie bardzo słaby, tak słaby, że nie usiadłby nawet o własnych siłach, lecz równocześnie jego myśl, jakby wypoczęta przez tygodnie bezruchu, pracowała z nie znaną mu dotychczas energią. Nienawykły do samodzielnego myślenia czuł zawrót głowy na widok otwierających się przed nim horyzontów. Lecz nie dał się zastraszyć. Zrozumiał bowiem, że po tym wszystkim, co przeżył, byłoby szaleństwem zatrzymać się.

Znowu sięgnął po książkę. Otworzył ją i wtedy wzrok jego padł na słowa, które od wieków były i po wieki będą najwyższą pociechą

walczących o sprawę Bożą, słowa będące prawdziwym peanem siły, mające w sobie pewność niezbitą, niezaprzeczoną, nieugiętą pewność Tego, który wie: „Ufajcie. Jam zwyciężył świat”.

Tejże nocy zmarł cicho nie odezwawszy się ani razu, nawet nie jęknąwszy, sąsiad Herberta. Ciało zmarłego zostało wyniesione, a na jego miejsce przybył podporucznik piechoty z raną w boku i odmrozonymi nogami.

Köstring wezwał siostrę, pod opieką której znajdowała się ich sala, i zaczął wypytywać o zmarłego. Okazało się, że był to podporucznik Marcin Weizsäcker. Umarł na postrzał w piersi i gangrenę w lewej nodze. Miał EKII. Natomiast nie posiadał żadnej rodziny i tylko franciszkanie z Drezna interesowali się jego zdrowiem. Prawdopodobnie należał do ich grona, ponieważ na ciele pod mundurem nosił twardy sznur franciszkański.

Herbert bez skrupułów zabrał sobie książkę zmarłego. Trudno byłoby mu teraz rozstać się ze starym foliałem. Suwając dwoma palcami, wystającymi spod bandażu, po starych, szorstkich i jakby czymś zaproszonych kartkach, czytał słowa o przejmującej treści: „Jesus kam in die Gegend der Stadt Caesarea Philippi und fragte seine Jünger und sprach: Was sagen die Leute, dass des Menschen Sohn sey?”

Słoneczny gościniec kładł się przed oczy Köstringa, przybierając wygląd kamienistych gościńców kreteńskich, krętych dróg greckich lub malowniczych serpentyn włoskich. Przecież cała Europa zdeptana stopą zwycięzcy dostarczyć mu mogła obrazów, zdolnych do obudzenia właściwego nastroju. Lecz tamte gościńce były inne niż ta jedna jedyna ścieżka, na której nie ciało i nie krew, ale głos Ojca Niebieskiego podszeptną Piotrowi przewspaniałą odpowiedź: „Du bist Christus des lebendigen Gottes Sohn”.

XIV

Po tygodniu czuł się lepiej; mógł już siadać. Z lewej ręki i z nóg zdjęto mu bandaż. Próbował nawet stanąć na nogach, ale przekonał się, że brak mu na to jeszcze sił.

Wtedy to właśnie zjawił się u niego gość. Nazywał się Günter von Schelling. Herbert spotkał się z nim kilkakrotnie przed wojną w NSDAP — gdzie von Schelling miał wysokie stanowisko w dziale propagandy. Bodajże wydawał nawet jakieś prowincjonalne piśmiśko, które raz na rok podawało na pierwszej stronie artykuł samego Goebbelsa. Już w czasie wojny obito się Herbertowi o uszy, że von Schelling został oddelegowany do pracy w radio, co go zresztą nie bardzo zainteresowało, gdyż tamtego znał właściwie tylko

z widzenia. Mocno więc był zdziwiony ujrawszy pewnego dnia von Schellinga na sali, w żółtym mundurze SA (na ramiona miał zarzucony płaszcz podbity wspaniałym futrem), kierującego się prosto do jego łóżka. Na wygolonej twarzy Brigadenführera nie widać było wahania. Powitał rannych pełnym namaszczenia podniesieniem ręki i podszedł do Köstringa.

— Jak się czujesz, kolego? — uściśnął mocno wciąż obandażowaną prawicę Herberta. — Przybyłem tutaj, aby się dowiedzieć o wasze zdrowie. Ale, do licha, nie wyglądacie źle. Mam nadzieję zobaczyć was niedługo w gronie kolegów.

Herbert zdziwiony kordialnym powitaniem zaledwie zdobył się na odpowiedź:

— Proszę, niech pan usiądzie. Z moim zdrowiem chyba trochę lepiej, ale wciąż jestem słaby.

— Głupstwo. Dziewczynki w ojczyźnie prędko was postawią na nogi. Ha, ha, ha! Od razu się w was na ich widok siły znajdują. — Von Schelling usiadł na krześle i wyciągnął wygodnie nogi przed siebie. Potem otworzył papierośnicę:

— Pozwolicie? Prawdziwie tureckie...

— Dziękuję. Odzwyczaiłem się palić przez czas choroby i wołałbym już do palenia nie wracać.

— Cóż za mocne postanowienie! Ale może i macie rację. Gdzieś czytałem, że nikotyna wywołuje raka i źle wpływa na płodność. Co prawda my i tak nic nie urodzimy. Ha, ha, ha. Są jednak tacy, którzy kraczą, że trzeba odzwyczaić się od palenia, bo tytoniu nie będzie. Ale to jest nonsens i wszystek tytoń ojczyzna ofiarowała armii. A tego jest dużo, bardzo dużo. Starczy do zwycięstwa.

Założył nogę na nogę.

— Warn, bohaterom frontowym, trudno jest sobie wyobrazić, jaki entuzjazm panuje w kraju. Cała Europa zresztą zdaje sobie sprawę z tego, że ocaliliście ją od grożącego niebezpieczeństwa. I dlatego cała Europa w geście wdzięczności ofiarowuje wam wszystko: futra, ciepłą bieliznę, obuwie. Naturalnie nikt nie prześcignie w ofiarności Niemiec. Ba, warto to widzieć. Cały kraj spieszy do miejsc zbiórki. Ponad sześćdziesiąt siedem milionów sztuk odzieży i bielizny już zostało złożonych, a jeszcze nie załatwiono wszystkich, którzy chcieli spełnić obowiązek wdzięczności wobec swoich obrońców.

Zatrzymał się, jakby oczekując, że Herbert coś powie. Ale ten milczał. Zapytał więc:

— Słyszeliście już pewno o tym?

— Tak... Mówili mi... I czytałem w „Völkischer Beobachter” Byłem szczerze wzruszony. W kraju pewno także jest zimno...

— Nawet bardzo. Chłód ten jednak nie zdoła zgasić zapału. Zdajemy wielki egzamin. Żołnierze walczą, ludność wszystko ofiarowuje dla wojska. Każdy wypełnia swe zadanie i każdy wypełnia je

dobrze. Staramy się zasłużyć na naszą przyszłość. Bez tej bowiem siły woli, którą wykazaliśmy się, nie mielibyśmy może moralnego prawa do przewodniczenia życiu Europy. Aleśmy to prawo dziś zdobyli siłą oręża i charakteru. Nieprawdaż, kolego?

— Sądzę, że tak... — Herbert mówił wolno, oparłszy się wygodnie na poduszce. — Wprowadzie niewiele wiem, odzyskawszy dopiero przed paru dniami przytomność. Ale to, co pan mówi o ojczyźnie... Jestem zbudowany. A czy nasze cofanie się nie niepokoi ich?

— Nikogo. Każdy wie, że chodzi tylko o strategiczne wyrównanie frontu i każdy rozumie dobrze, iż wódz, gdyby zechciał, poprowadziłby nawet dziś armię do natarcia. Ale Führer ceni życie każdego żołnierza niemieckiego i nie chce go wystawiać bez koniecznej potrzeby na niebezpieczeństwo. Uderzy wtedy, gdy uzna, że właściwa godzina nadeszła. Nigdy wcześniej.

Spojrzał na Herberta takim wzrokiem, jakby chciał koniecznie usłyszeć jakieś słowa. Köstring jednak milczał. Więc von Schelling zapaliwszy nowego papierosa ciągnął dalej:

— Kraj wie dobrze, kto prawdziwą ofiarę ponosi: wy czy ci, którzy pozostali w ojczyźnie. I to zrozumienie jest podstawą ofiarnego stanowiska całej ludności. Kraj także przyznaje, że stoimy w obliczu wielkiej możliwości, jaką łaskawa Opatrzność zechciała nam zesłać. Od nas samych zależy, czy ją dla naszego dobra i dla dobra całego świata zużytkujemy. Spór bowiem, dla którego toczy się ta wojna, nie da się załatwić jakimś tam pokojem. Mieliśmy już pokoje, które do niczego nie prowadziły. Choćby ten bezwstydną Wersal! Ale taki pokój dziś nie nastąpi. Bo gdyby tamci wygrali — co jest naturalnie hipotezą absurdalną, lecz i ją trzeba mieć przed oczami pamiętając, że już raz perfidna angielska polityka otumaniła naród niemiecki i skusiła go do pokoju w przeddzień niewątpliwego zwycięstwa — więc powtarzam: gdyby tamci wygrali, nie zostawiliby nas żywymi. Pojmujecie to chyba, kolego! Jakiś Kaufmann wysterylizowałby naszą młodzież, podczas gdy nasza niewyciężona w boju armia zaprzędana zostalaby w niewolę karlich pupilków Anglii — Polaków, Czechów, Holendrów. Jednakże to my zwyciężymy i nie będziemy się bawić w głupie i drobne rewindykacje. Europa — i świat cały — przybierze zgoła inny wygląd. Nadejdzie chwila, w której niemiecki ład wytworzy nowe koryto życia, podniesie ludzkość na wyższy stopień rozwoju. Zniknie chaos ras i narodów, ale każda zbiorowość będzie pracowała pod kierownictwem przedstawicieli Wielkich Niemiec. Damy wszystkim dobrobyt i szczęście, dostosowane do ich możliwości pojmowania. Przeorzemy ziemię i pozwolimy zakwitnąć drzewu rasy wybranej. Wtedy stanie się rzeczywistością to, ku czemu nieuchronnie prowadzi bieg dziejów. Ponosimy ofiary — to prawda — ale czyż nie powinniśmy ich ponosić dla tak wspaniałej przyszłości? Triumf zmaże wszystkie ofiary, pozwoli zapomnieć o chwilach cierpienia. Tak, kolego. Problem nowej Europy już dojrzał. I dlatego wojna musiała wybuchnąć i wybuchnęłaby, choćby Polska zrzekła

się Gdańska i oddała nam „korytarz”, choćby Francja i Anglia nie wypowiedziały nam wojny, choćby...

Herbert podniósł pytający wzrok na złotoustego retora.

— Więc gdyby się Polska była cofnęła?

— Poszlibyśmy dalej w żądaniach. Świat musi być odmieniony, więc sama Opatrzność wywołała zaślepienie Polaków. Powinniśmy być Jej za to wdzięczni. Sprowadziliśmy ich do właściwych proporcji, a równocześnie uwolniliśmy od Żydów. Co by to było, gdybyśmy się zatrzymali przed czynem, powodowani łzawym i bezsensownym humanitaryzmem? Na szczęście zmieniliśmy się, kolego. Nasze narodowe cnoty przestały być naszymi narodowymi błędami!

Ostatnie zdanie von Schelling powiedział z patosem, a wygłosivszy je rozejrzał się po sali, jakby dla sprawdzenia, czy jego słowa wywierają wpływ na obecnych. Mógł być zadowolony: wszyscy ranni, wraz ze stojącą pod ścianą siostrą, mieli oczy w nim utkwione z wyrazem podziwu i jakby przerażenia.

— So... — postawił kropkę po swym przemówieniu. — A kolega był w niewoli bolszewickiej? — zwrócił się łaskawym, trochę protekcyjnym tonem do Herberta.

— Tak.

— Jakżeż oni?

— Trudno to jednym słowem wyrazić. Są tam ludzie różni... Jedni wydają się wierzyć w swą misję. Inni...

— Nad wszystkim — odpowiedział arbitralnie von Schelling — panuje przerażająca tępota, której wyrazem jest ta ich rzekoma odwaga, będąca w gruncie rzeczy tylko formą szaleństwa. Męczą naszych jeńców?

— Niewola jest zawsze rzeczą przykrą... Meczenia nie widziałem, przynajmniej takiego, jakie my zadajemy jeńcom bolszewickim...

— Żartujecie, kolego — na ustach von Schellinga ukazał się wyraz niesmaku, jakby Herbert powiedział coś nieprzyzwoitego. — Nikt ich jeńców nie katuje. Są zadowoleni, że uwolnili się od swego „raju”. No, dziękuję koledze. Chciałem właśnie napisać artykuł o naszych żołnierzach w szpitalu. A przy sposobności dowiedziałem się, że wy tu jesteście. Połączyłem więc przyjemne z pożytecznym: zebrałem materiał do artykułu i zobaczyłem was. Teraz już muszę iść. Woła mnie praca. Do zobaczenia, kolego. Do zobaczenia, koledzy. Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego. Chętnie przekazałbym całej Rzeszy obraz waszych uśmiechniętych twarzy. Wiem, że rwiecie się znowu do boju. Ale cierpliwości. Przyjdzie ta chwila, jak przyjsć musi godzina triumfu. Napiszę, że jesteście wdzięczni ojczyźnie za jej ofiarność i że za otrzymane dary wywdzięczycie się jej odwagą. Heil Hitler, koledzy!

Majestatycznie przeszedł między łózkami powiewając połami wspaniałego futra. Po drodze uśmiechnął się do siostry Czerwonego

Krzyża i wziął ją figlarnie dwoma palcami za policzek. Drzwi stuknęły. Chwilę panowała cisza. Potem ranny pod ścianą wziął się znowu do przerwane go pisania, porucznik Stresau parsknął bezmyślnym śmiechem, zaś nowo przybyły podporucznik piechoty, którego nogi były w bardzo złym stanie, tak że groziła mu amputacja, warknął głosem ponurym:

— Bydlę.

XV

Znowu wylądował na dworcu warszawskim.

„Ma pan trzymiesięczny urlop zdrowotny — powiedział mu na pożegnanie naczelny lekarz szpitala. — Niech pan z tego skorzysta i pojedzie gdzieś wypocząć. W domu się pan nie upasie. Coś przebakują o zmniejszonych racjach kartkowych. Szczerze mówiąc, radzę panu przesiedzieć ten czas tu, w Guberni. Co tu gadać: nigdzie indziej pan masła, mleka ani świeżych jaj nie będzie mógł jadać.” Herbert uznał radę za słuszną. Zresztą była ona jedyna. Wprawdzie mógł jechać do Schwarzenberge — gdzie go zapraszał wuj Ernest — ale gdy sobie wyobraził, że musiałby siedzieć przez trzy miesiące w pustym zupełnie pałacyku (wuj został ostatnio zmobilizowany i miał wyjechać na front) razem z myślami i w otoczeniu ciszy, nie naturalnej zupełnie po zgiełku dwóch i pół lat wojny, odwracał się od tego z niechęcią. Kuśtykając z lekka, chodził po peronie drewnianego dworca w Krasnymstawie. Potem wlokący się leniwie pociąg zawiózł go do Rejowca. Tu musiał przesiąść się do innego niemniej ślimaczym krokiem podążającego naprzód pociągu. Wagony ziały chłodem — choć był to już koniec marca — za oknem, na szarych polach skrzyły się w bruzdach tafelki lodu. Herbert otuliwszy się w płaszcz zapadł w drzemkę. Wciąż go jednak budziło uczucie zimna. Toteż nie bez pewnej zazdrości patrzył spod półprzymkniętych powiek na dwóch podporuczników piechoty, którzy siedzieli na przeciwległej ławce okutani po uszy w puszyste futra.

Wiedział, że oficerom frontowym przydzielano futra ze zbiórki, którą przeprowadzono w ojczyźnie i w krajach okupowanych — a która dała tak bajeczne rezultaty. Ale on nie był w tej chwili oficerem frontowym. Odczuwał wyraźnie swój upadek w hierarchii. Gdy poprzednio otaczała go troska całego narodu — papierosy, futra, najlepsze jedzenie, wino, tylko dla niego były przeznaczone — to z chwilą gdy przestał być zdolny do służby na froncie, znalazł się w grupie ludzi nikomu niepotrzebnych. W grupie „nieproduktywnych społecznie” — powiedział do siebie z goryczą.

Nawet ci podporucznicy patrzyli na niego innym zupełnie wzrokiem, niż zwykł patrzeć młody oficer na swego starszego kolegę.

Pomogli mu, gdy z trudem wspinał się do wagonu, ustąpili całą

ławkę, aby mógł się wygodnie położyć. Ale w oczach niedawnych Fahnenjunkrów tlił się płomyk pobłażliwości i lekceważenia. Prawdopodobnie mówiąc ze sobą nazywali dwudziestotrzyletniego kapitana „starym”. Może i mieli rację. Między ich dziewiętnastu latami i wiekiem Herberta leżała już przepaść całego pokolenia.

Ocknął się z drzemki, gdy pociąg mijał lotnisko w Świdniku. Wiosenne słońce ślizgało się po polach, roztopiając płyty lodu. Potem od razu, spoza obszernych domków przedmieścia, spoza czarnych, w tę i tamtą stronę biegnących linii kolejowych wychynęła panorama Lublina. Dachy kościołów skrzyły się w słońcu, pas wzgórz na horyzoncie zdawał się otaczać wałem miasto od północy. Herbert wstał i oparłszy czoło o futrynę okna patrzył na ciągnące się przed jego oczami skupienie domów. Tyle razy tędy przejeżdżał. Fala wojny rzuciła go z jednego końca Europy na drugi: od Pirenejów aż po tę jakąś miejscowość za Kurskiem, gdzie mieścił się obóz jeńców, i od Bergen aż po Kretę. Ale choć tyle świata ujrzał, wciąż wracał na ten odcinek między Lublinem a Warszawą.

Pociąg zatrzymał się przy peronie, który zaciemniał daszek. Dalej tory pławiły się w słońcu. Dworzec był pusty, po wyludnionych poczekalniach chodzili żandarmi z karabinami na ramieniu. Herbert odwiedził bufet. Nie było tu rudowłosego chłopaka, który obsługiwał przed rokiem. Brakło także piwa. Stara kobieta w zniszczonym fartuchu ciężko człapiąc rozdeptanymi pantoflami podała mu gorącą wodę z jakąś namiastką herbaty.

Popijał napój małymi łykami, patrząc bezmyślnie w tekturowy krążek z napisem „Browar Vettera, Lublin...” Lublin... Jakżeż wyglądałoby jego życie, gdyby nie przybył pewnego dnia do tego miasta? W Lublinie spoczął w ziemi Walter, a Herbert czasami miał uczucie, że razem z Walterem pogrzebana tu była i Gerda. Gdyby nie dramat jego miłości, może inaczej ułożyłaby się jego przyjaźń z Hugonem, może nie spotkałby nigdy Oleńki... Teraz znowu jechał w stronę tamtego skweru, otoczonego ścianą małych, cichych uliczek. Co na nim znajdzie? Czy miłość — dziwna i tyle sprzeczności zawierająca — zgaśnie bez echa, czy też może nowy ogień zapali?

Lecz mimo tego, co się stało, i mimo tego, co się stać jeszcze mogło, nie mógł myśleć o Lublinie inaczej niż z głęboką sympatią. Tu dojrzał, tu przeżył największy zwrot w swoim życiu, I dziś opuszczając miasto wyjechał zeń inny zupełnie, niż tu przed dwoma i pół laty przybył.

Wrócił do pociągu, który ciężko oderwał się od stacji i fukając gniewnie popłynął po szynach w dal. Pograżone w pierwszym mroku miasto pozostało w tyle. Pochłonęły je zaraz piętzące się wzgórza i cisza pól.

Pociąg stawał, ruszał, znowu stawał, by dalej biec w ciemności. Błękitne lampy stacji zaglądały w szyby wagonów. Jacyś kolejarze klócili się na peronach. Herbert wciąż dygotał.

Noc była, gdy przejeżdżali Wisłę. Miesięczna poświata skrzyła się na tafłach lodu pokrywających rzekę. Warszawa leżała przed nimi spowita w srebrny mrok księżycowej nocy. Potem pociąg dał nurka w tunel i pędził czarniejszą niż noc ciemnią, rozświetloną gdzieś blaskiem lampek.

„Tu kiedyś witałem Gerde” — myślał, idąc po szarym peronie. Ciągle było mu zimno. Wszedłszy na górę znalazł się w hali dworcowej pełnej grup cywilów i wojskowych. Od razu rzuciła mu się w oczy nowa zupełnie postawa żołnierzy. Ukłony wojskowe oddawano opieszale i niezdarnie. Ludzie, których miał przed sobą, byli starzy wiekiem, jakby speszeni swym mundurem. Oprócz tych widział ohydne twarze, jakie pojawiają się zawsze na głębokich tyłach walczącej armii.

W głębi hali brudnej, wstrętnej, oszalonej nie heblowanymi deskami, poprzez duże okno widać było jasno oświetlone wnętrze lokalu „Kommandantur”. Młody Feldwebel stał w środku z miną ugrzecznionego kupczyka, który zachwala swoje towary. Koło budki z napojami cisnęli się ludzie. W kącie obskurne drzwi prowadziły do „Mitropy” — bufetu dla wojskowych. Po przeciwnej stronie, za jeszcze bardziej obskurnymi drzwiami, znajdowała się poczekalnia dla Polaków, mała, półciemna salka, skąpo zastawiona ławami. Obdarty tłum drzemał pod ścianami siedząc na bagażach. Wszędzie leżały worki z ziemniakami, unosił się pył wytrząśniętej z ziemniaków ziemi oraz wagonowego brudu.

Herbert przepacerował się kilkakrotnie wzdłuż hali. Zimno mniej mu w tej chwili dokuczało, a senniści nie czuł żadnej. Jego wzrok pobiegł ku niezgrabnym płaskorzeźbom na ścianach pod stropem. Wtedy także, gdy witał Gerde, zwróciły one jego uwagę.

Blask księżycowy ostro wyświecał czworokąt drzwi wiodących na ulicę. Za nimi dyszało miasto sennym, nocnym ruchem. Wolnym krokiem oficer skierował się do niemieckiej gospody naprzeciw.

Pokój, który otrzymał, podobny był do pokoju zajmowanego wówczas przez Gerde. Takie same meble bez gustu i ładu, garść wystrzępionych pism na stole, nad łóżkiem portret wodza i Göringa. „Pewno tu przedtem wisiał również portret Hessa” — pomyślał Herbert. Wyciągnął się na łóżku, rozkoszując się ciepłem pościeli. Lecz spać nie mógł. Ze wzrokiem utkwionym w sufit śledził na nim grę zwiewnych cieni. Tak samo było wówczas, gdy zasypiał z twarzą przytuloną do policzka Gerdy. Ale tamta chwila minęła bezpowrotnie. I on nawet tego nie żałował. Czuł, że go dziś wzywa wieczna tęsknota przestrzeni i wielka, otchłanna cisza, która staje nad człowiekiem, gdy się w nim przepali burza pragnień i pożądań.

Zaraz następnego dnia Köstring udał się na skwer przy Filtrowej. Słońce świeciło mocno, roztopiając zlodowaciały śnieg, który pokrywał cienkim naskórkiem ścieżki i trawniki. Wszędzie stały kałuże, w których taplały się dzieci. Ich matki stały nieruchomo na jakimś skraweczku suchej ziemi, wodząc wzrokiem za swymi pociechami.

Zakątek Herberta stracił dużo ze swej zaciszności, ponieważ otaczały go nie pokryte liśćmi krzaki, ale suche, wymrożone badyle. Naturalnie Oleńki nie było. Herbert usiadł na ławce i przyglądał się idącym w tę lub tamtą stronę ludziom. Minęły go młode matki zatopione w żywej rozmowie i pchające przed sobą wózki. Potem przeszła kobieta w czarnym futrze, prowadząc paroletnią dziewczynkę, a w drugiej ręce trzymając mocno smycz z szarpiącą się na uwieży parą psów. Niemłody mężczyzna kroczył powoli ze wzrokiem utkwionym w otwartą książkę, podczas gdy — powierzony prawdopodobnie opiece ojca — synek malował wygrzebanym spod śniegu błotem swoje białe boty.

Herbert siedział na ławce długo, zatopiony w próżnym oczekiwaniu. Potem wstał i wolno skierował się ku Filtrowej.

Oleńka nie przyszła.

Włożywszy rękę do kieszeni płaszcza znalazł tam jakiś papier. Zupełnie bezmyślnie wydobyl go na wierzch. Przeczytał ze zdumieniem notatkę na małej kartce: Ks. Tomasz Gerlecki, Kanonia... Ach, tak. Od razu przypomniał sobie, skąd ta kartka znalazła się w kieszeni jego płaszcza. Pisał ją wówczas, gdy Oleńka powierzyła mu sprawę aresztowanego księdza. Kiedy rzeczy Herberta przysłano z eskadry do szpitala, nie szukał wtedy po kieszeniach. Dopiero dziś jego ręka trafiła przypadkowo na zapomniany strzępek papieru.

Uderzył go zbieg okoliczności. Akurat znalazł kartkę w chwili, gdy myślał i tęsknił za Oleńką. Przecież przez tego księdza mógł dotrzeć do dziewczyny i mógł jej raz jeszcze postawić pytanie, na które wprawdzie przeczuwał odpowiedź, lecz które postawić musiał.

Jeszcze tego dnia pojechał na Kanonię. Wsiadłszy z tramwaju szedł obok ruin spalonego zamku. Blask słońca spływał znad niskich dachów Starego Miasta i kładł się na różowym frontonie. W tym tragicznym rumowisku, które zalegało plac, była powaga i niezwykła godność. Spalony zamek nie był podobny do sarkofagu, który mijamy z czcią, ale spieszymy z powrotem do życia. Był sam życiem. Blaski i cienie grały setką barw na powierzchni zamurowanych okien. Herbertowi przypomniał swoim wyglądem rybacki kuter duński, który ujrzał pewnego dnia na redzie w Hamburgu. Przetrawwszy parodniową burzę na Morzu Pomocnym kuter na wpół rozbity, na wpół zatopiony schronił się wreszcie do portu. Wyglądał wprawdzie jak wrak, ale jednocześnie miał w sobie coś z hardości zwycięstwa.

Herbert skręcił obok ściany katedry i wyszedł na Kanonię. Było

tu cicho. Na śpiącej, zda się, uliczce bawiły się mimo chłodu dzieci. Zachodzące słońce płonęło ostatnim blaskiem w szybach kamienic.

Bez długiego szukania znalazł drzwi, na których wisiała kartka z nazwiskiem księdza. Chwilę wahał się: potem zastukał.

Z głębi usłyszał ciężkie kroki kogoś, kto szedł mu otworzyć. W wykroju rozwartych drzwi zobaczył księdza. Spuścił wzrok ku ziemi nie patrząc w twarz tamtego. Czuł się jakby onieśmielony.

— Czy mogę mówić z księdzem Gerleckim? — zapytał po polsku.

— To ja jestem... — głos żywy, z lekkim przydechem, zabrzmiał w mroku przedpokoju. — Proszę, niech pan wejdzie. Ciemno, bo mieszkanie zostało pozbawione elektrycznego światła...

Poprzez mroczny, długi przedpokój wprowadził Köstringa do dużego, dwuokiennego pokoju. Na środku stał stół, na nim stos książek, broszur i notatek. Pod ścianami półki na książki, zastawione wysoko aż pod sufit. W głębi, z prawej strony, wąskie, żelazne łóżko nakryte burym kocem nad nim duży obraz świętej Katarzyny Sieneńskiej, złocona plakieta z Matką Boską, kilka reprodukcji obrazów Fra Angelica... W pokoju blask dnia klócił się z płomieniem karbidowej lampki stojącej na stoliku. Ksiądz wskazał oficerowi fotel, sam zaczął obciążać czarne zasłony na oknach.

— Czas zaciemniać... — powiedział uśmiechając się łagodnie.

Zapadła cisza. Herbert nie wiedział, jak ma zacząć rozmowę.

— Dobrze, że pan zdecydował się... — podjął znowu ksiądz.

Köstring podniósł na tamtego zdumiony wzrok.

— Zdecydowałem się...? Nie rozumiem.

Miał wrażenie, że tę twarz gdzieś już poznał. Siwe włosy księdza zaczesane do góry odkrywały wysokie czoło. Duży lekko zadarty nos zwisał nad wargami. Ksiądz podszedł do stołu i siadł na krześle naprzeciwko Herberta. Patrzył spokojnie na oficera, a w jego czarnych oczach zdawały się błyskać iskierki wesołości.

— Przecież chyba nie myłę się. To pana zaczepiłem kiedyś w kościele Świętego Jakuba i namawiałem na spowiedź. Pan powiedział, że może później...

Wspomnienie tamtego spotkania stanęło przed oczami Herberta.

— Ależ tak. Teraz już wiem, dlaczego twarz księdza wydała mi się od razu znajoma. Ale nie. Idąc do księdza nie pamiętałem nawet o tamtym spotkaniu. Ja... Ja załatwiłem sprawę księdza wtedy, gdy ksiądz był aresztowany.

— Pan? Cieszę się, że mogę dziś panu za to podziękować.

— Proszę nie dziękować. Nie ma za co. Zresztą nie po to tu przyszedłem.

Ksiądz zaśmiał się wesołym, prawie młodzieńczym śmiechem.

— Ale ja z tego korzystam. Było to naprawdę bardzo ładnie z pana strony. Mówiła mi wtedy Oleńka.

Na dźwięk tego imienia oficer drgnął.

— Właśnie przyszedłem — rzekł — aby się dowiedzieć o... tę panią... Bo ja... chciałbym — znowu zaplątał się we własne słowa.

Ksiądz patrzył mu ciągle w twarz swymi łagodnymi oczami i zdawał się mrugać żartobliwie drgnieniem nastroszonych brwi.

— Pan mi ogromnie przypomina moich chłopców — powiedział. — A Oleńka zdrowa. — Zmienił ton: — Pracuje, biedaczka, ma swoje kłopoty...

Urwał i tylko wciąż spoglądał dobrymi i wesołymi oczami na Köstringa. Herbert milczał.

— Pan wraca z frontu? — spytał ksiądz.

— Tak.

— Zdaje się, że toczycie tam, panowie, ciężką walkę.

— Ciężką. — Herbert uśmiechnął się z wyrozumiałością. — To mało nazwać ją ciężką. Tego takimi słowami nie da się określić. Walka na froncie rosyjskim z żadną inną nie da się porównać.

— Panowie jednak wierzycie w swoje zwycięstwo?

— Och, tak. — Herbert powiedział to zmatowiałym nagle głosem.

— Czy nie sądzi pan jednak, panie oficerze, że jest to zadanie zbyt wielkie? Rosja to cały świat. Coś jedna szóstą powierzchni ziemi.

— Rzeczywiście. Lecz jednocześnie to jest dzicz, zaś przeciwko niej stoi cała — prawie cała — kulturalna Europa, duch rasy nordyckiej, chrześcijaństwo...

W oczach księdza zapłonęła iskierka wesołości...

— Proszę mi nie mieć za złe tego, co powiem. Ale opowiadał mi pewien polski oficer, który dostał się do niewoli rosyjskiej, swoją rozmowę z konwojującym go żołnierzem. Zapytał go: „Za co i o co walczycie?” „My — odpowiedział żołnierz — przyszliśmy walczyć za Rusinów, Polaków, Białorusinów, Żydów i za chrześcijaństwo...”

Herbert zmarszczył brwi.

— Czyżby ksiądz brał poważnie te słowa?

— Nie chciałbym nikogo skrzywdzić... Ja tylko widzę w tych dwóch wzajemnie sobie zaprzeczających oświadczeniach prawdę, że chrystianizm jest wciąż fermentem świata...

Karbidówka zaczęła przygasać. Ksiądz nalał ze stojącego na stole kubka trochę wody do zbiornika i biały, kłujący oczy blask nappełnił pokój.

— Fermentem świata... — powtórzył ksiądz. — Ludzie mają swoje idee. Walczą ze sobą ogarnięci tym czysto ludzkim uczuciem, że tylko ta droga jest dobra, którą każdy z nich idzie, a zła — którą wybrał ich sąsiad. Świat jest pełen walki. A wśród tej walki wciąż wypływa sprawa Chrystusa. Czasami jako dobro, którego się rzekomo broni, czasami jako zło, które się zwalcza... I ludzie, sami o tym nie wiedząc, nie mogą o Chrystusie zapomnieć...

Herbert wydobyl z bocznej kieszeni papierošnicę.

— Ksiądz pozwoli, że zapalę? Dziękuję. Proszę księŜa, i ja jestem katolikiem. Dotychczas myślałem, że jest to dziedzictwo, które można nieść nieświadomie. Ostatnio przekonałem się, iż od katolicyzmu niełatwo jest uciec. Tkwi on w człowieku, odżywa, kradnie spokój... Zetknąłem się w szpitalu z Ewangelią. To głębia... Chrystianizm jest niewątpliwie wspaniałą myślą. Ale dlaczego ją zawęŜać i zamykać w Kościele jak w twierdzy? Ja jestem Niemcem, a potem katolikiem. Z katolicyzmu biorę to, co dla mego Źycia religijnego jest potrzebne. Gdy zechcę, pójdę do kościoła, gdy nie będę miał ochoty, doświadcę równie podniosłych uczuć w obliczu przyrody czy dzieł sztuki. Dlaczego jednak Kościół domaga się posłuszeństwa, „trupiego posłuszeństwa”, jak, zdaje się, powiedział jakiś jezuita?

Ksiądz przekładał w swych nerwowych długich palcach mały czarny tomik, oprawny w skórę.

— Pan poruszył wiele spraw jednocześnie. Sam nie wiem, od czego zacząć. Przede wszystkim — Ewangelia. Prawda, to jest głębia bez dna. Choć wypowiedziana zwykłym ludzkim językiem, nie da się objąć przez człowieka. KaŜdy, kto ją czyta, uderza się o ten problem. Ale właśnie dlatego, że jest to rzeka niezgłębiona, trzeba ją ująć w ramy. Rozsądny Źeglarz nie pływa po morzach na los szczęścia, ale trzyma się wytkniętych przez doświadczenie kursów. Bez nich można by krąŜyć po bezdrożach. Dlatego to Kościół jest szlakiem, którym bezpiecznie możemy płynąć po morzu Ewangelii. Ten szlak jednak niczego nie zawęŜa, niczego nie zamyka. JeŜli jego zadaniem jest wytknięcie najpewniejszej ścieŹki, wiodącej do celu, to przecieŜ takŜe wszystkie inne sã jego ścieŹkami. Chrystus powiedział: „Kto nie jest ze mną — przeciwko mnie jest”, i tymi słowami potępił ucieczkę od chrześcijańskiego fermentu. Ale równocześnie wypowiedział inne, pozornie sprzeczne zdanie: „Kto nie jest przeciwko wam — z wami jest”. Z siłą podkreślił, że nie naleŜy identyfikować wysiłku ludzkiego z wolą BoŜą. Bóg zna nieskończoną ilość dróg, które według starego przysłowia prowadzą do Rzymu. Sã to drogi — prawda — róŹne. Jedne wiodã przez ból i przez krwawe doświadczenia, inne wypala grzech, jeszcze inne — szaleństwo. Ale po kaŜdej z nich prowadzi człowieka potrzeba szukania Chrystusa. Wszystkie naleŜą do skarbcza katolicyzmu. Katolicyzm musi być zachłanny, powszechność musi być powszechnościã. Do niego naleŜą myśli Platona i Arystotelesa, do niego rzeźby Fidiasza, obrazy Buonarottiego, Tycjana, Angelica, ba, Picassa i Van Gogha, do niego zwiewna muzyka Chopina, cięŜki rytm wagnerowskich rogów, romantyczna pieśń Schuberta. On jest posiadaczem odkrycia Stevensona, bohaterstwa Wrightów, gorączki Pasteura, poświęcenia Semmelweisa, śmiałości myśli Schrödingera, uporu Edisona. On, zawsze on. Dlatego że jest sobą, czyli powszechnościã. I dlatego takŜe, panie oficerze, że zna najkrótszą z dróg, najprostszą, której jarzmo jest słodkie, a brzemię lekkie...

Ksiądz zamilkł i słyhać tylko było jego oddech niby dyszenie miechów. Herbert chciał coś powiedzieć, ale tamten mu przerwał:

— Świat idzie drogą okrężną, długą i mozolną. Kościół zna szlak najprostszy. Nie robi zresztą ze swojej wiedzy tajemnicy. Mówi o niej, uczy. Ale tej prawdy nie można się tylko nauczyć. Trzeba ją także przeżyć: „Jam jest droga, i prawda, i żywot...”

Papieros Herberta zgasł, lecz Köstring nie zapalał go na nowo; siedział pograżony w słuchaniu i w myśleniu. Nagle wydało mu się, że chwytą w chaosie zdarzeń, które się wokół niego dokonywały, jakąś nić przewodnią. Jakby nie mogąc ukryć dalej wątpliwości zapytał:

— A ksiądz nie myśli, że katolicyzm to niby... niby łańcuch, który trzyma człowieka...? Że raz przyjąwszy go... Trzeba być z nim razem... zawsze... lub...?

— Tak — ksiądz powiedział to z siłą — tak. Katolicyzm został nam dany. To nic, że jesteśmy niegodni. Dopóki nasza niegodność nie przekroczy miary cierpliwości Bożej, dopóty jesteśmy do Jego dzieł przykuci.

Głowa Herberta opadła ciężko na rękę. Powiedział głosem cichym, dobytym gdzieś z głębi piersi:

— Jeżeli tak... Więc chyba... ja najpierw byłem katolikiem... To zaś, że jestem Niemcem... — Głos mu się załamał. Po raz pierwszy wypowiadał tę tajemniczą myśl, która nurtowała go w ciągu ostatniego roku. Dokończył drżącym głosem; — To jest przeciwne temu katolicyzmowi...

Poczuł, że palą go policzki, więc ukrył twarz w dłoniach. Lecz nie zaprzeczył słowom wypowiedzianej wątpliwości. W tej chwili na jego ramieniu spoczęła dłoń księdza.

— Nie, proszę pana, nie. Pan się myli. Nie ma przeciwieństwa między katolicyzmem a niemczyzną. Bóg chciał, aby w samym środku Europy wyrósł naród niemiecki. Kazał go ochrzcić Bonifacemu, włożył w serce tego narodu cnoty, z których słusznie jesteście dumni. Bóg nie cofa tego, co dał, nie depcze tego, co zasadził. Jest we wszystkim. Przeprowadza swą wolę zarówno przez dobre, jak i przez złe uczynki ludzkie. Nawet sam szatan, jak to mądrze powiedział wasz wielki poeta, jest to „ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft”.

Zapadła cisza; słyhać było tylko syk karbidówki i daleki, stłumiony przez grube mury szum miasta. Herbert podniósł głowę. Nad nim pochylała się pełna dobroci twarz księdza, zaś w jego mądrych oczach płonął ogień wyrozumiałości. I nagle wszystko, co go otaczało, wydało się Herbertowi bliskie, jakieś swojskie, proste, zrozumiałe. Ten ksiądz, ten pokój skapany w białym blasku, prostokąty okien zasłonięte czarnym papierem... Gdyby tu mógł pozostać. Na ulicy, zaraz za bramą, czekało na niego znowu tamto życie, od którego uciekał.

Wzrok Köstringa spoczął na przysadzistym, ogromnym piecu z brązowych kafli, który stał w kącie pokoju. Była na nim galeryjka zastawiona fotografiami w ramach. Wśród nich, na pierwszym planie, fotografia Oleńki. Dźwignąwszy się ciężko z krzesła szedł do pieca i wziął w dłonie fotografię. Patrzył na nią w skupieniu. Ksiądz uśmiechnął się lekko.

— Oleńka musiała panu zapaść w pamięć? I w serce...? — zapytał.

Herbert bez słowa skinął głową.

— Biedna dziewczyna — powiedział ksiądz. — Wiele przeżyła. Straciła narzeczonego, potem brata. Ale trzyma się mocno. Dzielna dziewczyna...

— Tak — powiedział Herbert, nie odrywając wzroku od fotografii. — Jest dzielna i wspaniała. Taką kobietę trzeba kochać. Ale ja — skrzywił usta — jestem Niemcem...

Ksiądz poprawił przygasającą lampę.

— To nie o to chodzi, proszę pana — mówił pochylony nad stołem. — Nie, nie. Tylko, widzi pan, ja nie wyobrażam sobie, aby Oleńka mogła pana pokochać. Są rany serca, które uleczyć potrafi jedynie wielka ofiara i wielkie poświęcenie. Oleńka należy do ludzi, którzy małym zaspokoić się nie dadzą. A miłość dwojga ludzi — choć ją rzeczą małą nazwać trudno — jest jednak w obliczu wielkich przemian, które nadchodzą, czymś niewielkim...

— Na miłości dwojga ludzi zbudować można wiele! — prawie wykrzyknął Herbert.

— Pan ma słuszość: można. Ale wówczas, gdy służy ona za podbudowę do rzeczy największych.

— Nie rozumiem tego. Zawsze będę wierzył, że ona odrzuca moją miłość dlatego, że jestem Niemcem...

Powiedziawszy to spuścił głowę i mocno zaciął wargi. Ksiądz podszedł do niego i położył mu łagodnie dłoń na ramieniu.

— Pan naprawdę przypomina mi moich chłopców. Więc pan przypuszcza, że można nie kochać z tego powodu, że ktoś jest tym lub tamtym? Proszę mi wierzyć — a ja znam trochę życie — miłość między ludźmi pojawia się jak burza, która wszystko obala i wszystkie zapory przewycięża.

Köstring podszedł do pieca, aby postawić fotografię na galeryjce. Odwrócony tyłem do księdza rzekł:

— Trzeba mi iść...

W tej chwili ujrzał wśród fotografii twarz, która wydała mu się nie wiadomo skąd doskonale znana. Jasne oczy patrzyły nieugięte, zaś ściągła twarz wyrażała siłę i energię. Ten jasnowłosy chłopak był niezwykle podobny do Hugona. Herbert miał pewność że już się kiedyś z tym człowiekiem spotkał. Z przykrym uczuciem, jakie wywołuje

rzecz przypomniana, a nie uświadomiona, odwrócił się w stronę księdza, który właśnie mówił:

— A czy pan nie miałby przypadkiem czasu we wtorek? Może by pan wpadł do mnie? Akurat będzie Oleńka...

Ulica tonęła w mroku, gdy Herbert opuścił mieszkanie księdza. Ogarnęła go radość i niecierpliwość. Próżno powtarzał sobie, że od tego wtorku niczego oczekiwać nie może. Odtrącał wszelkie tłumaczenia. Wiedział, że niczego nie pragnie i niczego nie oczekuje poza ujrzaniem Oleńki.

Mżył drobny deszcz. Od chodników, od murów domów wiało chłodem. Ale Herbert nie czuł zimna. Z dawną fantazją kroczył naprzód, wyprostowany, gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

XVII

Siedziała na kanapie naprzeciw Herberta bawiąc się mosiężnym nożykiem do rozcinania kartek. Przez długi czas pozwoliła mu mówić, sama nie odpowiadając ani jednym słowem. Po jej delikatnej twarzy pełzał zaledwie dostrzegalny płomyk opanowanej emocji, ze spuszczonej czarnej oczu nie można było nic wyczytać. Dopiero potem powiedziała nie podnosząc głowy:

— Po co pan to mówi?

Mimo to Herbert czuł jakby mniejszy niż poprzednio opór w jej głosie. Skąd się wziął ten rumieniec na jej białych policzkach, gdy zobaczyła go wchodzącego do pokoju?

Ksiądz Gerlecki zostawił ich samych. Siedzieli może z godzinę w dużym pokoju, do którego z ulicy zaglądał szary, nasiąkły chłodem dzień wiosenny. W mieszkaniu było zimno, dziewczyna narzucała na ramiona kożuszek.

— Po co to mówię? — Herbert powtórzył jej pytanie głosem, w którym brzmiało zdumienie. Czyżby ona nie domyślała się, że były w nim uczucia, jakich naprawdę nigdy dotychczas nie doświadczał? Jego miłość do Gerdy była zupełnie inna. W stosunku do niej odczuwał zawsze płochliwą niepewność, którą uważał za wrodzoną delikatność uczuć. To ona musiała go ośmielać. Chociażby jak wtedy, nad rzeką... Stało tam wypalone przez pożar drzewo, pod którym siedzieli oboje, zatopieni w rozmowie. Potem jednocześnie stracili chęć do mówienia. Dziewczyna wyraźnie czekała... Lecz Herbert nie śmiał.

Gdyby nie wojna, w której przedwcześnie dojrzeli, nie byłoby niewątpliwie tamtego zbliżenia. Nawet wówczas nieśmiało dotykał ciała dziewczyny. Delikatność uczuć... Czyż ona potrafiła to ocenić? Herbert nieraz myślał o tym z goryczą.

W stosunku do Oleńki nie czuł tej nieśmiałości. Gdyby wiedział,

że może ucałować jej blade, nie tknięte kredką wargi, uczyniłby to śmiało. Jedno i drugie było miłością. Ale miłość do Oleńki była wolna od obaw. Była miłością spokojną.

Nawet próbował jej to powiedzieć. Wobec Oleńki od pierwszej chwili spotkania odczuwał potrzebę szczerości. Jej mógł mówić o wszystkim. O tym, co boli, i o tym, co cieszy. O tym nawet, co w głębi serca czuwa, niby uśpione, nie nazwane, a przecież żywe.

Postanowili, że nie będą mówili o sprawach ogólnych. Dlatego początkowo między jednym i drugim słowem zapadały długie chwile milczenia. Z wolna jednak zasięg ich rozmowy zaczął się rozszerzać.

Sama nie mogła zrozumieć, co sprawiło, że gniew, którym żyła, opadł z niej. Ten chłopak... Nie! Nie! Cóż stąd, że patrzył na nią wzrokiem tak mile jasnym, jakby nie był jednym z nich? Woląta nie patrzeć na jego twarz. Przywoływała wspomnienie twarzy Bohdana i broniła się nim niby tarczą. Lecz przed czym się broniła? Przed tym Niemcem? A może raczej przed sobą...?

W niej samej tkwił jakiś ferment. Tyle rzeczy musiała sobie stawić przed oczy, tyle męki i tyle bólu wydobywać z otaczającego świata, aby się obronić przed pamiętaniem o — wrogu.

Mówiła sobie przedtem: już osiągnęłam, już zwyciężyłam, jestem wolna. Zagłuszała wątpliwość. Dziś znowu wszystko się w niej zachwiało. Nie była wolna. Coś w niej pulsowało i żyło, podobne do kielka, który się jeszcze nie wynurzył, ale już podnosi grudkę zwilgotniałej ziemi. Pamięta jego słowa: „Nie mogę przestać myśleć o pani...” Doskonale odczuła, co one oznaczały. Zdawała sobie jak najdokładniej sprawę z nie dopowiedzianych słów i myśli. I to było najstraszniejsze, że nie były jej obojętne. Tak samo jak wówczas, gdy to mówił Danek...

Dlaczego jego pamięć nie ustrzegła jej przed niebezpieczeństwem? Przecież Bohdana kochała naprawdę, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę. Tak zawsze sądziła. Czyżby się myliła? Czyżby jej miłość nie była dostatecznie mocna?

Nie. To jest zdrada — zapewniała sobie. Zdrada wobec tych wszystkich, którzy walczą w tej chwili w Anglii, w Syrii, w Libii, w Rosji, którzy cierpią i umierają w Oświęcimiu, w Dachau, w Mauthausen. Zdrada wobec Bohdana. Zdrada wobec samej siebie. Po co z takim poświęceniem pracowała w szpitalu, konspirowała kolportując pisemka, organizując grupki młodzieży, narażając się na tysiączne niebezpieczeństwa? Czy ten wysiłek już ją tak zmęczył? Czy wkrađło się osłabienie, a z nim słabość gnącego się ku mężczyźnie serca?

To w niej było źródło godnej pogardy słabości. Koniecznie musi się przewyciężyć; musi z dumą rzucić na szalę pustkę rozbitego życia i wygrać ją przeciwko mirażowi, który jest tylko złudzeniem i pokusą. Bo tak jest naprawdę. Gdyby było inaczej, gdyby poza

blękitem oczu tego człowieka tkwił jakiś zawiązek rzeczywistości, musiałaby stanąć w tragicznej kolizji z tym wszystkim, czym żyła, i co stanowiło istotę jej życia.

Rzekła:

— Miłość... Już panu mówiłam, że człowiek, którego kochałam nad wszystko, został zabity. Gdyby ocalał, moje osobiste szczęście nie znalazłoby granic. To była miłość, której z żadną inną porównać się nie da. Tylko raz jeden można tak kochać. Lecz on zginął. Ale moja miłość do niego nie umarła. Może, gdyby tamten człowiek przeżył wojnę, miłość nasza kiedyś — choć mi się to wydaje niepodobieństwem — mogłaby doznać jakiegoś zachwiania. Dziś nikt i nic nią zachwiać nie może. Wielkość umarłych przewyższa wielkość żywych.

Wstała z tapczanu, podeszła do galeryjki pieca i zdjęła stojącą tam fotografię.

— Mego Bohdana — powiedziała — mogę oglądać tylko na fotografii. Lecz właśnie — właśnie dlatego jest on nieskończenie mój...

Słowami tymi pragnęła zagłuszyć wewnętrzną wątpliwość. Kładąc przed oczy wroga podobiznę jasnego oblicza swego narzeczonego chciała przekonać go, że powinien odstąpić od walki.

Herbert zobaczył na fotografii młodzieńczą twarz podobną do twarzy Hugona, na którą już poprzednio zwrócił uwagę. Lecz tym razem uświadomił sobie nagle, skąd ją zna. Było to jak słup światła w czarnej głębi nocy. Uderzenie spadło nań tak nieoczekiwanie i tak gwałtownie, że nie od razu poczuł dotknięcie bólu. Raczej doznał tylko oszołomienia niby człowiek trafiony pociskiem. Wszystko inne miało przyjść dopiero później.

To było właśnie wtedy. Pamiętał doskonale pogodną noc wrześniową; wysokie niebo obrzucone gwiazdami, czarne kontury chałup wyrastających z mroku. Szli uliczką wioski obok szeregu czołgów. Nogi ich brnęły w głębokim piasku. Gwar głosów rozbrzmiewał głośno niby brzęk rozdrażnionych szerszeni. Wydawałoby się, że nie zgasł jeszcze całkowicie zgiełk niedawnej bitwy.

Potem Hugo zaprowadził ich pod stodołę. Dziesięciu żołnierzy stało z bronią u nogi. Obok nich motocykl Hugona, zwrócony dziwnie przodem w ślepią ścianę stodoły. Kostrzewa wskazał jeńcowi, gdzie ma stanąć. Wyglądali przez chwilę nie jak dwaj różni ludzie, ale jak człowiek patrzący w oczy samego siebie. Rozległ się warkot — to żołnierz zapuścił motor motocykla i strumień światła zalał ścianę stodoły. Herbert widział wyraźnie ujętego przez Waltera przeciwnika. Stał wyprostowany przed szeregiem żołnierzy. Wymienił z Hugonem ostatnie słowa:

— Nie kazałem wiązać panu rąk.

— Dziękuję.

- Może papierosa?
- Nie, dziękuję.
- Zawiązać panu oczy?
- Nie.
- Jaka jest pańska ostatnia wola?

— Ostatnia wola? — Herbert widział, jak tamten podchorąży uśmiecha się z niedowierzaniem. — Pan pyta o moją wolę? Więc dobrze... Cóż może chcieć człowiek stojący pod lufami wycelowanych karabinów? Mimo to chciałbym... Tak... Właśnie tak, moi panowie... Mówiłem do was słowa złe... O nienawiści i o gniewie. Chciałbym wszystko odwołać. Są rzeczy... Trudno mi o tym mówić. Lecz wybaczenie. A teraz, niech żyje...

Zawołał i prawie równocześnie zabrzmiała salwa. Ryk motoru, huk wystrzałów i to słowo — które wleciało pod lśniące od gwiazd niebo — zlały się w uszach Herberta w jedno. Tamta noc... Utonęła w niepamięci, ugrzęzła wśród tylu innych dni i nocy napełnionych łoskotem walki i grozą krążącej w pobliżu śmierci. Ale teraz znowu wynurzyła z kipieli wydarzeń swoją twarz. „Nie kazałem wiązać panu rąk...” „Dziękuję...” Słyszał chrzęst ładunków wsuwanych do komory karabinów. Szczękała rączka ryglowa. „Zapućć motor...” „Rozkaz, panie poruczniku...” „Jaka jest pańska ostatnia wola?...” „Moja ostatnia wola...?”

Czy tak właśnie powiedział, jak zapamiętał Herbert? Cóż znaczą słowa: te czy inne? Ale on właśnie tak powiedział: Nie groził zemstą... Tylko: „Chciałbym wszystko odwołać.:. Wybaczenie...” Grzmot wystrzałów... Skręcone ciało rzucone pod ścianą stodoły niby łachman. Potem Kling, który z pistoletem w ręku wszedł w smugę światła. Ostatni pojedynczy strzał. Może całkiem niepotrzebny. Dziesięciu ludzi. Krwawe plamy na białych deskach...

I potem: „Nie zabijamy jeńców... To są kłamstwa wrogiej propagandy... Ja go przecież nie zabiłem... Nie pamiętam, abym zabił choć jednego Polaka...”

Oszołomienie zaczęło ustępować. Jego miejsce zajmował drążący ból, podobny do bólu sprawionego przez wyrwanie kawałka żywego ciała. Chłód spłynął na policzki.

— To był pani naręczony? To był ten... ten... którego zabili... którego zabiliśmy?

Czyż mógł powiedzieć inaczej? Czy mógł kłamać? I czy mógł słuchać, jak starała się go zapewnić, że nie ponosi odpowiedzialności za podłość swoich współziomków?

Ale także nie miał odwagi powiedzieć jej wszystkiego. Lepsze jest milczenie, lepsza jest głuchota śmierci niż rozgwar życia. W życiu wszystko przemija, pojawiają się nowe uczucia. Tylko śmierć

panuje nad uczuciami. Tylko śmierć więzi na wieki miłość. Wszak sama Oleńka powiedziała: „Wielkość umarłych przewyższa wielkość żywych...”

Przecież to Hugo, nie ja — próbował się bronić. Przez chwilę myślał o nieżyjącym przyjacielu prawie z nienawiścią. To Hugo! Hugo... Ale on sam, czy nie powinien był zaprotestować, jak to uczynił Walter? Nawet ten miękki chłopak wybuchnął wtedy słowami buntu. On natomiast szedł ulegle za wezwaniem Hugona. Nie rozumował, nie starał się wmyśleć w istotę czynu, który popełnili... Hugo... Mignęła mu w myślach surowa, ściągnięta twarz Kostrzewy, a potem ta sama twarz, taka, jaką widział owego tragicznego wieczoru na francuskim wybrzeżu. Ta sama twarz, ten sam człowiek — a przecież jak bardzo się różniły oba wspomnienia. W Hugonie było jakby dwóch różnych ludzi: jeden urobiony na co dzień, drugi — którego prawdziwe „ja” ujawniło dopiero cierpienie.

Więc i Hugona nie mógł oskarżać. Teraz Herbert uczuł ból, jakby ciało pokryte było jedną wielką raną.

— No tak, rozumiem panią — powiedział. — I przepraszam... Nie powinienem był pani mówić o mojej miłości. Przepraszam. Powiedziałem to ostatni raz... Więcej nie powtórzę. Nie zobaczy mnie już pani...

Wstał z krzesła, na pożegnanie wyciągnął ku niej rękę.

— Nie mówię: do widzenia, ale — żegnam.

Przebiegł go dreszcz, gdy jego dłoń zamknęła się na małej ręce dziewczyny. Jeszcze raz posłyszał w sobie głos pokusy: „Zamilcz, skłamał, nie ustępuj”.

Powiedziała Oleńka:

— Żegnam pana... — Coś chciała jeszcze dodać, ale urwała i tylko rzekła: — Niech Bóg będzie dla pana miłosierny...

Podniósł na nią twarz ściągniętą bólem.

— Powiedział mi pewien Rosjanin, że ich Bóg prześladowuje. Ja myślę, że mnie także Bóg zaczął prześladować...

Gdy wyszedł, Oleńka oparła ciężko głowę na wałku od tapczana. Na dworze przetaił się szary dzień i rozblęskło kwietniowe słońce. Tu w pokoju ciągle wiało wrośniętym w grube mury chłodem. Dziewczynie było strasznie smutno. Żałowała tego chłopca, który wyszedł, i czuła, że jego cierpienia ją także przytłaczają. — On taki biedny... — szepnęła. Lecz doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powiedziała wszystkiego. Tylko tak wyrazić śmiała swą miłość. Nagły szloch targnął jej piersią. Jak wówczas w nocy — gdy nareszcie zrozumiała, że Bohdan już nigdy nie powróci — zaniósła się cichym, zduszonym łkaniem. Płakała bez słów i bez skargi.

Znad stołu patrzył na nią drewniany krucyfiks. Mądre odwieczną mądrością Oczy, które wszystko wiedzą o człowieku, szukały drogi do jej oczu. Usta zdawały się szeptać słowa ciche a przejmujące:

„Płacz, ale nie odchodź. Powołałem każdą z was i każdego z was do cierpienia. Na krzyżu moim jest dużo miejsca: męce mojej wiele jeszcze nie dostawa. Chodźcie. Trzeba wam dać obumrzeć wszystkiemu, co nie jest mną. Wiem, że się rwiecie. Bojowaniem jest wasz żywot. Ale musicie także wiedzieć, że w was jest ziarno moje i chcę, byście temu ziarnu pozostali wierni.

Nieście mój krzyż. Rozdzierajcie serca o długie gwoździe miłości. Bądźcie życiem w pustce, a śmiercią wśród życia. Bądźcie inni niż wszyscy. Chociażby was to kosztowało krew i ból. Choćbyście dla mnie pogrzebali miłość ziemską. Bowiem nie wyście mnie wybrali, ale to ja was wybrałem...”

QUID EST VERITAS?

I

Urlop Herberta miał się ku końcowi i młody oficer przyjechał znowu do Warszawy, by się tutaj zgłosić do dowództwa i otrzymać nowy przydział. Czuł się obecnie lepiej niż wówczas, gdy opuścił szpital, ale tylko fizycznie. Teraz ogarnął go wewnętrzny niepokój. To już nie była pełna melancholii apatia, która go nie opuszczała przez cały czas pobytu w obozie jeńców, w szpitalu i ostatnio w Warszawie. Zniechęcenie zastąpiła niecierpliwość i gorączkowe oczekiwanie czegoś, co miało nadejść i co musiało nadejść. Herbert przeczuwał wyraźnie, że niedługo nastąpią wypadki, niewątpliwie tak głębokie i ważne, iż zmienią całkowicie bieg jego życia. Gnany niepokojem nie mógł wysiedzieć w jednym miejscu. Po ostatecznym rozstaniu z Oleńką wyjechał do Berlina. Potem zdecydował się na miesięczną samotność w Schwarzenberge. Nagle pojawiająca się wiosna zachęciła go do leżenia na zielonej trawie i do leniwego przyglądania się jaskrawozielonym liściom młodych dębów. Wiatr szumiał w szuwarach małego jeziora, słońce wysysało srebrne tafelki wody między kępami trawy, gdzieś w gąszczu wołała kukułka i komary brzęczały monotonna nad uchem. Wszystkie myśli parowały z głowy Herberta. Już nie przeżywał dni wojny i nie powracał wspomnieniem do tragicznego odkrycia, jakiego dokonał tam, na Kanonii. To była przeszłość — przeszłość, o której lepiej było nie pamiętać. Myślał jedynie o przyszłości. Miał przeświadczenie, że jego życiowa ścieżka zawiodła go do stóp wzgórza, na które wypadnie mu wejść, lecz on sam tego dokonać nie potrafi. Z życia wyniósł tyle zawodów... Nie umiał jednak żyć w rezygnacji. Musiał działać, pracować, szukać, musiał wiedzieć, że ku czemuś dąży lub ku czemuś się zbliża. To było istotą jego życia.

Słoneczny, gorący dzień spłynął szklistym blaskiem na miasto. Od murów wiało suchym, zapierającym dech upałem. Niewidzialny, lecz dający się wyczuć kurz czepiał się spoconego czoła i spoconych dłoni. Köstring szedł Chmielną w stronę Marszałkowskiej. Na rogu Szpitalnej mignął przed nim długi wojskowy samochód. Postyszał, że ktoś go woła po imieniu.

Przy chodniku stanęło auto, z którego wychylał się wyższy oficer lotnictwa. Herbert od razu poznał po kształcie głowy von Mariesa. Przyspieszył kroku. Wyprężył się służbiście.

— Panie generale...

— Chodź, stary. — Von Maries wziął go pod ramię i wciągnął do auta. — Jeżeli się nie spieszysz, jedź z nami. Muszę załatwić rozmaite sprawy na mieście, ale jadąc chętnie z tobą porozmawiam. Panie pułkowniku — kapitan Köstring...

W samochodzie siedział starszy pan ubrany po cywilnemu, ale o ruchach i postawie już na odległość zdradzających wojskowego. Miał siwe, krótko przyszyżone wąsy i bladoniebieskie oczy. Wyciągnął rękę do Herberta:

— Rathenau. Bardzo mi przyjemnie.

Samochód ruszył. Von Maries zaczął wypytywać Herberta o jego zdrowie.

— Czuję się możliwie. — Köstring uśmiechnął się blado. — Mój urlop się kończy. Chciałbym już wyruszyć na front.

Generał skinął głową.

— Może będę cię mógł wziąć do siebie.

— Bardzo bym się cieszył...

Von Maries zwrócił się do pułkownika:

— Mój przyjaciel. Razem walczyliśmy w Jugosławii i Grecji. Razem lecieliśmy na Kretę.

— Piękne wspomnienia.

— O tak. Pamiętasz, Bert, Partenon? I port w Atenach? I Mykeny?

— Jak przez sen. Znacznie wyraźniej pamiętam mróz na froncie wschodnim.

— Wierzę — von Maries znowu zwrócił się do pułkownika: — Siedział pół roku w obozie jeńców w Rosji. Potem ciężko chorował. No cóż? Na przyszły rok będziemy lepiej do walki na wschodzie przygotowani...

Pułkownik zaśmiał się zgryźliwie.

— Bert wie — ciągnął von Maries — co myślałem i co myślę o kampanii wschodniej. Wcale mi nie zależy na laurach proroka. Ale niestety, wszystko, co powiedziałem, zaczyna się sprawdzać... Pod Charkowem to Timoszenko był w ofensywie i o mały włos nie złamał naszego frontu między Krasnogrodem a łukiem Dońca. Wyszliśmy cało dzięki ryzykownemu kontratakowi. Tak samo w Starej Rusi. To Scherer był otoczony, a myśmy mu nie mogli dać żadnej pomocy. Nasze bohaterstwo miało dawniej smak radości. Obecnie jest to heroizm w gamie żalostnej. „Sieg um jeden Preis.” Tylko nasza propaganda nie może tego zrozumieć i nazywa takie ucieczki z pułapki „sukcesami”. Gdyby to były naprawdę sukcesy, nie mielibyśmy nalotów na Kolonję, Essen, Emden, Bremę...

Wszyscy trzej pokiwali melancholijnie głowami.

— Zbliża się koniec... — mruknął Herbert.

— Koniec? — na twarzy von Mariesa ukazał się zwykły ironiczny

uśmiech. — Nie, mój stary. To dopiero początek. Naturalnie nie tu, w Europie. Uporządkowana przez nas, a zorganizowana przez Anglików Europa już się skończyła. Nadchodzi Azja. Pamiętasz, co ci mówiłem? Zwaliliśmy mur odgradzający ją od Europy. Otworzyliśmy puszkę Pandory. Popełniliśmy dwa fatalne błędy: uderzyliśmy na Rosję, nie mogąc jej unicestwić, i wplątaliśmy Japonię, chcąc skorzystać z jej pomocy, w tę bezsensowną wojnę. Kto będzie czyim dobrodziejem, jeden tylko wspomniały Wotan wie. Pan pułkownik właśnie stamtąd wraca. Niech ci opowie.

Herbert podniósł wzrok na człowieka w cywilnym ubraniu.

— Pan generał powiedział właściwie wszystko... — rzekł pułkownik. — Siedziałem w Japonii przez pół roku. Starałem się patrzeć na ich zwycięstwa oczami przeciętnego Japończyka. Niech mi pan wierzy, panie kapitanie, tam się nie toczy wojna z Anglią czy Ameryką. To jest wojna z białym człowiekiem. Ich nic nie obchodzi nasze sukcesy. Za to o każdym wzajemnym szlachctwie słuchają drżąc z zachwytu. Bo czyż mogli oczekiwać lepszej okazji? Czasy krucjaty cesarza — tu skłonił głowę — zostały zapomniane. Dawniej wszystkie narody domagały się jednym głosem postawienia pomnika zabitemu niemieckiemu dyplomacie. Dziś — zaśmiał się gorzko — dziś w Singapurze stawia się pomnik na pamiątkę zepchnięcia białego człowieka z kontynentu azjatyckiego.

Köstring próbował przeciwstawić się pułkownikowi.

— Zdaje się jednak, panie pułkowniku, że my wiążąc się z Japonią wyraziliśmy zgodę na oddanie spraw Dalekiego Wschodu w jej ręce. I nie wydaje mi się to rzeczą niesłuszną. Spośród narodów azjatyckich Japonia jest krajem najbardziej europejskim. Czyż nie jest dobrze, że to właśnie ona będzie trzymała ster życia Azji tak, jak my daliśmy do wzięcia w swoje ręce steru życia Europy?

— To łatwo powiedzieć, panie kapitanie. Życie jednak i historia mówią coś zgoła innego. Trwale nie zwyciężają ludy o największym rozmachu militarnym. Trwale także nie zwyciężają ludy oderwane od ziemi. Nad Europą wisi groza Słowian, nad Azją — niebezpieczeństwo Chin.

Musieli się zatrzymać przed jakimś biurem wojskowym. Von Marries wysiadł, pułkownik z Herbertem pozostali w aucie.

— Nie dziwię się zupełnie zdenerwowaniu generała — powiedział pułkownik do Köstringa. — Tyle czasu trzymano go z dala od frontowej roboty. Teraz powierzają mu ogromne zadanie. Teraz... właśnie teraz, kiedy już nie ma nic do zrobienia. Najwyższy czas, aby dyplomaci rozpoczęli robotę. Cały sens, to znaleźć formułę porozumienia z Zachodem.

— Więc pan pułkownik uważa, że już jesteśmy u krańca naszych sił.

— Nie, tego nie powiedziałem. Lecz tym bardziej jestem zdania, że czas skończyć z tą idiotyczną jatką. Tamtych da się nastraszyć

„żółtym niebezpieczeństwem”. Bo gdy wojsko załamie się na froncie, gdy zabraknie nam samolotów i czołgów, a miliony jeńców i obcych robotników rozpoczną rzeź na tyłach — wtedy wszystko przepadnie. Nikt się już z nami liczyć nie będzie.

Von Maries wrócił do samochodu.

— Przepraszam panów, żeście czekali. Ale w biurach zaczynają się porządki wprost skandaliczne. Siedzi sobie taka kupa drabów, nic nie robi, tylko celebruje papierki, których im się nawet do końca przeczytać nie chce.

— Kandydaci do życia pozafrontowego... — mruknął pułkownik.

— Tak. Czuję, że zaczynam tracić panowanie. Miałbym ochotę wypchnąć to tałatajstwo na front pod kule radzieckie i wreszcie powiedzieć wszystkim całą prawdę. Prawdę „wiecznych” Niemiec... Ale cóż? Oni by nawet tego nie zrozumieli. Zaiste — trzeba się modlić: „Lieber Gott mach mich blind, dass ich nicht die Wahrheit find...”

Samochód jechał dalej, mijając szare wojskowe auta, rowerowe ryksze, odrapane ciężarówki, dorożki zaprzężone w wynędzniałe, podobne szkieletom konie.

— Pan pułkownik słusznie powiedział — podjął dyskusję von Maries — nad Europą wisi groza Słowian. Jugosłowianie wciąż z nami walczą. Polacy... To całe szczęście, że mój dziadek nie żyje i nie widzi tej strasznej klęski, jaką ponieśliśmy na froncie walki z polskością. Stary Clausewitz słusznie twierdził, że każdy naród posiada swoją własną strategię. I największa sztuka wojowania polega na tym, aby nie dopuścić przeciwnika do korzystania z jemu właściwej strategii. Tymczasem myśmy Polakom pozwolili na wykucie przeciwko nam tej samej broni, przy użyciu której oni niegdyś wpędzili Rosję w rewolucję. Żadne bohaterstwo czy rozpaczliwe obrony nie są dla nas straszne. Świat może współczuć padającym, ale do nich ręki nie wyciągnie — takie to już prawo życia. Lecz gdy z pobitych zrobiliśmy „diasporę”, gdy Polaków obecnie wszyscy spotykają: i nad Manzanaresem, i w Tobruku, i w Narwiku, i w Rosji; jakiegoś Kwiatkowskiego w Corregidorze, jakiegoś Niedźwieckiego w Pearl Harbour... — tośmy postawili ich sprawę należycie. Nie można było lepiej. Powinni nas błogosławić, bo jeśli staną się mocarstwem — nam to zawdzięczać będą. Tylko nam.

— Może pan generał pozwoli mi tutaj wysiąść — rzekł Rathenau, gdy przejeżdżali koło Dworca Głównego.

— Proszę. Hans, zatrzymaj auto. — Von Maries wyciągnął swoją długą wąską dłoń do Rathenaua. — A więc do zobaczenia, panie pułkowniku. Nie wiadomo tylko kiedy i nie wiadomo gdzie.

— Obyśmy się nie spotkali w dniach podobnych do owego listopada... Pan generał był wtedy dzieckiem. Ale ja...

— Wszyscyśmy wtedy od razu dojrzeli, panie pułkowniku. Ano cóż. Historia musi kroczyć ciągle naprzód. Są drogi, z których nie ma

powrotu. Nawet choćby jakiś zwariowany Słowianin ubrany w skórę Niemca krzyczał wielkim głosem: „Waszą pracą niech będzie walka — waszym pokojem zwycięstwo”.

— Racja, panie generale. Nie dane nam było widzieć pogodnego zachodu i zaznać cichej śmierci w łóżku. Nasza wielkość jest wielkością tragiczną.

— Grecja inaczej umierała.

— Nie tylko to. Grecja siebie przeżyła.

— A myśmy zmarli, zanim jeszcze nadeszła nasza śmierć...

Westchnęli. Mocniej zacisnęła się wąska dłoń obciążona łożoską rękawiczką na szerokiej dłoni pruskiego junkra. Drgnęły czarne oczy von Mariesa, te oczy, w których sprzął się ponury ton głębin Północnego Morza ze słonecznym połyskiem, co skrzy się na powierzchni Śródziemnego.

Samochód ruszył dalej i popędził alejami w stronę placu Narutowicza.

— Opowiedz mi coś o sobie, Bert. — Von Maries ogarnął ramieniem Köstringa. — Jakże się czujesz? Co słyhać z twoim smętnym uczuciem do tej Polki?

Kiedyś u stóp Partenonu zwierzył się Herbert von Mariesowi z tajemnicy swej miłości. Teraz beznadziejnie machnął ręką.

— To już koniec.

Von Maries mocniej ogarnął go ramieniem.

— Niestety. Tak być musiało. Są uczucia tworzone do życia i są uczucia martwe od urodzenia... Lecz nie smuć się. — Skrzywił swe wąskie usta. — Na miłość nie będziemy mieli już niedługo czasu... Wszystkie żale same zgasną... *Panta rei*. Wszystko płynie, odchodzi, przemija... Wszystko jest płynięciem w dal ku nieznanemu końcowi... Warte jest tylko dziś... A dziś to chwila, mgnienie oka, zbyt krótkie nawet, aby się zapomnieć...

— Nie, Alfredzie — Herbert lekko potrząsnął głową — nie, nie... Nie wszystko jest bezpłodnym przemijaniem. Są prawdy...

— Co jest prawdą? — Von Maries uśmiechnął się boleśnie. — Ty mówisz o prawdach. To znaczy, że jeszcze wierzysz w istnienie jakiejś prawdy. Ja i w to wątpię... Co jest prawdą?

— Prawdą? — Köstring oparł dłoń na pręcie biegnącym w poprzek przedniego oparcia. — Prawda to droga w ciemności... to potwierdzenie, że żyjemy...

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed bramą w wysokim murze z nie otynkowanych cegieł. Niby wał górski biegła środkiem ulicy kręta linia murów. Po jednej stronie szare, zmęczone miasto zakamieniałe w swym uporze. Po drugiej — czarna otchłań chaosu kipiącego życiem, otchłań walki wszystkich ze wszystkimi. Von Maries coś powiedział do stojącego przy bramie niemieckiego policjanta.

Tamten posłusznie dał znak, że mogą jechać. Samochód dał nurka w odmęty getta.

— Gdzież szukać tej prawdy? — generał powrócił do przerwanej na chwilę rozmowy. — I jak ją odróżnić od tylu innych dróg, które wiodą w ciemność i potwierdzają to, że żyjemy?

Herbert powiedział nie podnosząc głowy:

— Trzeba wierzyć...

— Może masz rację... — generał zwrócił twarz ku oknu, a jego wzrok przesuwiał się martwo po czarnej, lepiałej się do ścian domów nędzy ludzkiej. — Ale na to trzeba być młodym... Ja zaś mam wieki na barkach. Wszystko, co było buntem Europy, spłynęło w moje żyły. Urodziłem się starcem...

Wziął Herberta za ramię i lekko nim potrząsnął.

— Ty możesz jeszcze ufać?

Kapitan podniósł wzrok na przyjaciela.

— Tak... Ufam. Właśnie dlatego, że nic nie widzę. Przeczuwam...

— Szczęśliwy. — Von Maries uderzył go dłonią po ramieniu. — Bo ja należę do świata, na którego wrotach Dante położył napis: „Lasciate ogni speranza”. Nie ma we mnie nadziei, wiary i ufności. Jestem — nocą...

Samochód stanął, żołnierz otworzył drzwiczki. Na jego twarzy malowało się coś jakby pogarda i obrzydzenie. Ale stuknął twardo ciężkimi buciskami przed wysiadającym generałem. Wszystko tu zdawało się być brudem: i ten tłum, i chodnik, i mury poplamione malowidłami wszy, przed którymi ostrzegano ludność. Pod ścianami leżeli lub siedzieli jęczący żebracy. Nie lepiej wyglądający od nich tłum stał kręgiem. Gdzieś z czarnej masy wychylna cyniczna twarz żydowskiego policjanta.

Von Maries zwrócił się do Herberta:

— Dziękuję, żeś mi towarzyszył. Mój samochód odwiezie cię, gdzie zechcesz. Do zobaczenia, stary. Ja tu mam pewną sprawę.

Podniósł wzrok ku zaropiałym oknom. Spojrzenie Herberta powędrowało tym samym śladem. Za szybą pierwszego piętra mignęła twarz kobieca o czarnych ogromnych oczach.

— Serwus, Bert — uderzył mocno dłonią w dłoń kapitana. — To — wskazał okno ruchem głowy — to jest także uczucie martwo zrodzone... — powiedział tonem wyjaśniającym.

Na powitanie generała wyszedł niemłody Żyd z gwiazdą na białej opasce na ramieniu. Stanął o parę kroków od rozmawiających. Jego poważna twarz nie wyrażała absolutnie nic — chyba tylko przeogromną życiową dojrzałość.

Von Maries poszedł za nim w mrok cuchnącej bramy.

Herbert wrócił do samochodu.

II

Na oślepiająco białej ścianie stacyjki czerwienił się w promieniach majowego słońca zamaszty napis: „Il Duce ha sempre ragione”. Niżej napisane krzywo, niby palcem umaczanym w błocie: „Porca”.

— Jak ci się to podoba? — spytał von Maries.

Kapitan bez słowa skinął głową.

— Coś się psuje w królestwie duńskim — mówił Alfred gryząc nerwowo koniec papierosa. — Widziałem wczoraj w Neapolu na ulicy napisany kredą wiersz Aretina: „Ne me fidai di questa, lor tedesca amicicia e fugi con malicia un giorno ignudo”. To zrobił naturalnie jakiś inteligent. Inteligenci — wszędzie poza Niemcami — są motorem każdej opozycji. Ale słowo „porca” przy słowie „duce” napisał na pewno zwykły „cafoni”. To znaczy jeden z tych, dla których miała być zrobiona rewolucja. W Rosji, jak powiada Sforza, człowiek wierzy w doktrynę, ale we Włoszech wierzy się tylko w trwanie i sukces... Jeżeli tak, to jest się czym martwić.

Szarosrebrne gaje oliwek, czarne cyprysy bodące niebo, parasole pinii, winnice, zielone wzgórza Kampanii — wszystko to migotało przed oknami pędzącego pociągu. Na stacjach pociąg witały grupki żołnierzy w zgrabnych furazerkach i w mundurach bardziej sportowego niż wojskowego kroju. Ciemne twarze żołnierzy odbijały jaszkrawo od białych ścian budynków. Żołnierze uśmiechali się życzliwie do pociągu wiozącego sprzymierzeńców.

Ale w tym uśmiechu była tylko zdawkowo-kupiecka grzeczność. W czarnych oczach malowała się nuda i ospałość. „Ci chłopcy — powiedział von Maries — są już po prostu znudzeni wojną...”

Za odyseuszową Scyllą lotnicy znaleźli się na Sycylii. Pociąg gnał wybrzeżem Morza Jońskiego, przez Messynę, Taorminę, Giarre Aci reale — leżące na zboczach Etny, podchodzących ku błękitnemu morzu — przez Katanę, Lentini, Augustę, ku Syrakuzom. W mieście Archimedesza liczba żołnierzy niemieckich kręcących się na ulicach była znacznie większa niż Włochów. Lotnicy zostali załadowani na mały stateczek cuchnący stęchlą oliwą i z pierwszym zmierzchem odplynęli w kierunku południowo-wschodnim. „Trzeba okrążyć tę przeklętą Malte...” — powiedział im śniady kapitan ubrany w krótkie płócienne spodnie, którymi podrywający się od czasu do czasu wiatr łomotał niby żaglem.

Parna noc wisiała nad morzem; pokład był rozpalony jak blacha kuchenna. Oficerowie i żołnierze leżeli spywając potem, wpatrzeni w roziskrzone niebo nad głową. Dla mieszkańców mglistej północy upalny dech nocy afrykańskiej wydawał się katuszą. A przecież mogli narzekać, mogli kląć — nie zeszliby jednak ze swej drogi.

Von Maries kazał ustawić sobie leżak koło działka przeciwlotniczego. Wnuka von Grotego upał mniej męczył niż jego podwład-

nych — widać krew włoska, którą miał w żyłach, uczyniła go odporniejszym na słoneczny upał. W długich, cienkich palcach trzymał papierosa i zdawał się śledzić z uwagą ulatujące w ćmie nocnej smugi dymu.

Okrętek pozbawiony światła pruć pośpiesznie toń morza. Wzięli kierunek na Pantelarię i na wybrzeże Tunisu, wzdłuż którego, dzięki uprzejmości Lavala, mogli bezpiecznie żeglować ku Trypolisowi. W dwie godziny po odbiciu od brzegów Sycylii zamarli w oczekiwaniu, gdy wysoko nad nimi zabrzączał samolot. Ale signor capitano uspokoił pasażerów swego statku: po dźwięku motorów poznał, że to włoski „Cant Z 506 B”.

Herbert w swym płóciennym afrykańskim mundurze błąkał się jakiś czas po rozkołysanym pokładzie, zanim dotarł do leżaka von Mariesa. Rozesławszy sobie koc na ziemi wyciągnął się na nim i położył ręce pod głowę. Gwiazdzista noc zdawała się drgać i kołysać rytmicznie, podczas gdy statek pozostawał nieruchomym, jedynym punktem stałym rozhuśtanego wszechświata.

— Immer weiter... immer weiter... — refren piosenki żołnierskiej brzmiał mu uporczywie w pamięci, aż musiał go wypowiedzieć. Von Maries zaśmiał się głośno.

— Masz rację. Immer weiter... Ciągłe naprzód i ciągle nie wiadomo gdzie. Przeklęta krew słowiańska, która się pieni w naszych żyłach. Bez niej żylibyśmy dziś senno-słodkim życiem dojrzałości, która bez cierpień przechodzi w starość.

Strząsnął popiół z papierosa.

— Na Sycylii biło niegdyś serce niemczyzny — podjął. — Tutaj kształcił się nasz duch, wchłaniając w siebie słone podmuchy morza i daleki wiew Azji. Bo i cóż? Choćbyśmy zdławili w Dachau i Sachsenhausen jeszcze parę tysięcy księży i zakonników i choćbyśmy spalili parę milionów Żydów — nie uwolnimy się ani od myśli żydowskiej, ani od ducha Kościoła. Sto razy protestowaliśmy przeciwko temu dziedzictwu. Próżne były bunty Eckhartów, Lutrów, Ludendorffów, Rosenbergow... Zawsze przemagał duch Kościoła i myśl żydowska...

— Czyżbyś je uważał za jedno? — spytał Herbert, nie odrywając oczu od mrugających ku okrętowi gwiazd. Von Maries wrzuszył ramionami.

— Nie. Jednak jest tu sprzeczność, a zarazem tysiąc podobieństw... Niby człowiek i cień... Są czymś innym, a przecież cień naśladuje swym kształtem człowieka. Myśl żydowska zawsze uczepia się jakoś idei Kościoła i towarzyszy jego organizacji...

Położył dłoń na obłej lufie działka przeciwlotniczego.

— To nie jest chyba przypadek, że językiem Żydów europejskich jest język niemiecki... Zresztą wystarczy wspomnieć Frankfurt sprzed dziesięciu lat.

— Lecz przyznaj... — zaczął Herbert. General przerwał mu stanowczym ruchem ręki.

— Wiem. Przyznaję. Ale innej drogi nie ma. Ratunek znaleźć możemy albo w symbiozie z najgenialniejszą myślą wschodu, albo...

— Albo? — spytał Herbert nie mogąc się doczekać dalszych słów.

— Jesteś, wydaje mi się, bliższy odpowiedzi niż ja... — mruknął von Maries.

Wyciągnął się na leżaku i zamknął oczy, jakby nagle zasnął. Herbert także nie przerywał milczenia. Uciszyły się zresztą wszystkie rozmowy na pokładzie. Noc zstąpiła na srebrzące się fale morza i szła po nich bezszelestnym krokiem. Niepostrzeżenie, a przecież stale okręcały się na niebie gwiazdy, obojętne dniom i nocom, obojętne biegowi historii.

Tylko maszyny sapały ciężko i pluskała woda rozbijana dziobem statku. Tylko w sercu Herberta wołał ten sam głos nie dający się niczym zagłuszyć...

III

Siedząc pod namiotem na lotnisku w Dernie, Herbert zapoznał się po raz ostatni z całością sytuacji. Od morza płynął rzeński słonawy poryw wbijając się w zgęszczoną upałem atmosferę, która wisiała nad płaskowzgórzem Cyrenajki. Na stole leżała wielka mapa przyściśnięta kamieniami, aby jej wiatr nie uniósł, po mapie suwał się ołówek kapitana Reindla objaśniającego wydarzenia.

— Tam — Reindl wskazał w kierunku południowo-wschodnim wyznaczonym w terenie przez piaszczysty ślad drogi, która przerzywała w tym miejscu zasłany kamieniami płaskowyż i biegła gdzieś ku El Mechili — tam pomaszerował „Stary” z gros sił pancernych. Licho wie, co wymyśli. Jego decyzje są zawsze niespodziewane nawet dla najbliższych współpracowników. Włosi prą brzegiem morza z Tmimi, gdzie został wyznaczony centralny punkt koncentracji ich oddziałów, jak strzelił, wprost na Ain el Cazala. Między Bir Tegeder i Sidi Brigisch wyznaczona została koncentracja rezerw. Nie wiem, co to oznacza. „Stary” miewa pomysły...

Otarł dłonią zroszone potem czoło.

— Wciąż jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do tego piekielnego upału, choć tu już siedzę dwa lata. Z okładem nawet... Wracając jednak do sytuacji... Tommies trzymają linię między Ain el Cazala i Bir Haheim, na południu zaś przedłużyli swój front, tworząc jakieś olbrzymie pola minowe. Podobno ich punkt wypadowy oparty jest o ten mały płaskowyż, o tu... Dżebel Akaba... Mają nad nami przewagę. I lepszy wywiad...

Krzyknął na małego arabskiego chłopca, który był boyem kasyna, aby mu przyniósł butelkę lemoniady.

— Mimo to „Stary” rozpoczął natarcie — ciągnął dalej. — Aż mu się oczy świecą. Widziałem, jak wczoraj odjeżdżał na wywiadow-
czym aucie. Coś z tego musi wynikać...

— Więc jakie jest moje zadanie? — przerwał Köstring wątpliwo-
ści swego informatora.

Tamten położył palec na mapie.

— Bir Haheim i droga ku Acromie. „Stary” chce, abyście izolo-
wali tę placówkę od reszty frontu...

— Rozumiem.

— Zawsze miał kapitalne pomysły. Co za temperament! Pamię-
tam w grudniu... Anglicy wyszli na nas wprost z pustyni w kierunku
na Tobruk. Między Bir el Gobi i Halfają. „Stary” ani przez chwilę
nie namyślał się. Zebrał swe siły pancerne, przerwał się pod Sidi
Razegh i dał nura. Najkrótszą drogą przez pustynię... Chciał mieć
czas. Tommies tymczasem starannie zlikwidowali Włochów, którzy
się wlekli wybrzeżem i nie wiedzieli, co sądzić o wianiu naszych.
Nim pracowicie zawędrowali do Agedabii, już mieli znowu „Starego”
przed sobą. Od jednego zamachu zgruchotał im przednie strażę.

Dalszą rozmowę przerwało szczekanie działek przeciwlotniczych.
Okazało się, że patrolujący samolocik zawędrował aż tutaj. Gdy
zbyt ciekawy przybysz został odpędzony, Köstring wezwał pod na-
miot oficerów swojej eskadry i przedstawił im pokrótce zarys sy-
tuacji.

Spojrzał na zegarek: „Za pół godziny odlot. Proszę sprawdzić
maszynę”. Młodzi piloci szurnęli służbiście nogami. Czuli respekt
przed swoim dowódcą, który miał za sobą wszystkie kampanie tej
wojny wraz z niewolą u Rosjan. Reindl popijał wolno lemoniadę
i ocierał chusteczką opływającą potem pierś. Zapuszczone motory
zaczęły wyć.

— Panu nie gorąco? — Reindl podniósł zdumiony wzrok na Her-
berta.

— Nie... — dowódca eskadry potrząsnął głową, nie przestając
ubierać się w kombinezon lotniczy. Raczej czuł dreszcz chłodu na
ramionach, gdy po skrzydle wsiadał do swojej „Stuki”. Oberfeldwe-
bel Klätz przygotowywał aparat do startu. Junkers drgnął. Köstring
poczuł jeszcze silniej powiew zimna płynącego gdzieś z wnętrza
swego ciała.

Nie mógł się teraz pozbyć niepokoju przy każdym locie. Ciągłe
miał w pamięci tamten jesienny dzień, w którym po raz pierwszy
przeżył katastrofę. Doświadczenie sprzed roku poderwało w nim
zaufanie we własne siły.

Lecieli nad szarą, martwą pustynią, zasłaną odłamkami głazów
i kamieni niby powierzchnia morza rojowiskiem pian. Motory Jun-

kersów grały zgodnym pomrukiem. Ani się obejrzeni, kiedy znikło za wzgórzami morze, a pustynia zaczęła tracić wygląd kamieniami zarzuconej niecki. Przechodziła teraz w piaszczystą, pofalowaną płaszczyznę, którą coraz rzadziej porastały kępy zieleni. Z masywu Cyrenajki spłynęli w dolinę. Przecięli jeden i drugi szlak, gdzie widać było ciągnące kolumny wojska; śmignęli nad pasem no man's landu, dzielącym pozycje angielskie od pozycji wojsk „osi”, znaleźli się wreszcie nad linią umocnień angielskich, a właściwie nad linią umocnionych punktów obrony. Zaraz powitał ich ogień dział — równy, precyzyjny ogień artylerii angielskiej. Herbert pamiętał jego skuteczność z czasów napadu na Kretę. Trzeba było uciec w górę, aby móc bezpiecznie dotrzeć do wyznaczonych celów.

Koło Bir Haheim toczyła się zaciepła bitwa. Herbert zrozumiał sytuację: Rommel chciał zwinąć front angielski, uderzając nań sierpowo spoza pól minowych. Podczas gdy Włosi bili od czoła na linie angielskie, bez nadziei ich sforsowania, główna kolumna pancerna runęła na Bir Haheim. Runęła — ale placówki nie zgmiotła. Natrafiła tam na zaciepły opór oddziałów francuskich gotowych zginąć, a nie przepuścić zachodzącego z flanki przeciwnika. Trzy razy eskadra „Mickeyów” — tak nazywała się eskadra, której dowództwo objął Herbert — wspierała atak niemiecki. Bomby leciały między skąpe zabudowania osady lub rozpraszały kolumny transportowe na szlaku między Bir Haheim i Acromą. Przy załadowywaniu nowych bomb eskadra posługiwała się polowym lotniskiem w Bir Gania. Wreszcie na pustynię spłynął granatowy zmierzch i walkę trzeba było przerwać.

Na lotnisku w Bir Gania lądowały kolejno wszystkie „Stuki”. Nie brakowało żadnej. Piloci wysiadłszy z kabin oglądali aparaty. Wieczór spadał na świat jak ciemna chusta i tylko na północy dopalały się zbocza wzgórz Cyrenajki.

Na lotnisku znajdowały się samoloty różnych typów. Köstring spotkał tu Marseille'a — najlepszego pilota myśliwskiego afrykańskiego frontu — potem został wezwany do von Mariesa, który — jak się okazało — miał tutaj swoją główną kwaterę. Generał siedział pod namiotem oświetlonym elektryczną lampką i pisał coś przy stole. Na dźwięk głosu Herberta meldującego swe wejście podniósł głowę.

— Ach, to ty. Doskonale. Naley sobie kawy. Stoi świeżo zaparzona tam, na stoliczku. Zaraz skończę... — Chwilę jeszcze pisał, potem przeczytawszy zapisaną ćwiartkę odsunął od siebie stertę papierów.

— W porządku. Możemy odpocząć. Jakżeż dzień?

— Dobrze. Bez strat. Francuzi pocą się w Bir Haheim.

— Już ustąpili. W tej chwili była wiadomość. Zrobili to gracko. „Stary” zajął osadę i szykuje się do dalszego skoku.

— Nadzwyczajne. Co za człowiek!

— Nie nowina. Wszyscy mówią tu o nim tajemniczym szeptem

i mają do jego talentów bojowych nieograniczone zaufanie. Jeżeli uda mu się ścisnąć Ritchiego na zachód od Acromy, Anglicy znajdą się w potrzasku i droga na Egipt zostanie otwarta.

Von Mariesowi błysnęły oczy, a jakiś suchy półuśmiech przemknął po wąskich wargach. Herbert znalazł ten grymas: w tym zniewieściałym na pozór człowieku oznaczał on przyływ bojowej fantazji.

— Pójdziemy tam?

— No, na pewno — głos von Mariesa, który brzmiał czyściej i dźwięczniej niż zwykle, zaskrzypiał nagle zwykłą ironią — przecież musimy mieć jakiś sukces. O czymże pisałoby Oberkommando w okresie, gdy ofensywa na wschodzie nie rusza z miejsca?

Do namiotu wszedł żołnierz i podał generałowi list w kopercie. Z dworu powiało chłodem — ta szalona afrykańska aura, składająca się z piekielnego upału w dzień i z lodowatych nocy, wciąż dokuczała przybyszom z Europy. Von Maries rozdarł kopertę i szybko przeczytał małą kartkę.

— Goniec jest?

— Czeka, panie generale.

— Może jechać zaraz?

— Będzie trudno... Noc.

— Dobrze. Wezwijcie tu do mnie oficera służbowego.

Zwrócił się do Herberta:

— Mam dla ciebie pracę. „Stary” prosi o przydzielenie mu oficera ze „Stuk” do pomocy w synchronizowaniu akcji. Liczy się z możliwością walki z głównymi siłami pancernymi angielskimi w rejonie Dżebel Akaba. Jego obserwator lotniczy został ranny czy coś takiego. Chcesz jechać?

— Jeżeli uważasz, że się przydam...

— Myślę, że tak. Poza tym daję ci okazję znalezienia się w boju obok „Starego”, tym bardziej że stoimy na progu jednego z tych zadziwiających posunięć, którymi od dwu lat fascynuje wszystkich. Poleciałbyś na myśliwcu...

Oficerowi, który wszedł do namiotu, wydał rozkaz:

— Niech eskadra „Skorpionów” da jeden aparat kapitanowi Köstringowi, który jedzie do sztabu armii i tam zostaje. Aparat zostanie również aż do odwołania. Pilot niech się melduje tu do mnie za godzinę...

Oficer służbowy napomknął o tym, że eskadra „Skorpionów” poniosła duże straty.

— Ma pan słuszność — von Maries skinął głową. — Wobec tego włosi muszą dać samolot. — Sięgnął ku aparatowi telefonicznemu, zakręcił korbką. Lekko przeszedł na język włoski. — To pan, signor colonello? Potrzebny mi jest natychmiast aparat do dyspozycji oficera, którego przydzielam do sztabu armii... Więc? Grazie... Kapitan

Köstring przyjedzie do panów — położył słuchawkę. Zwrócił się znowu do służbowego: — Niech pan zarządzi, aby samochód odwiózł kapitana Köstringa na lotnisko Włochów. Danke. — Pożegnał wychodzącego podporucznika skinieniem głowy. — Masz jeszcze pół godziny czasu — powiedział do Herberta.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Za namiotem obóz ogarniała cisza, tylko szumiała woda w wadi — kamiennych łożyskach potoków — zwykle suchych, a dziś nagle napelnionych wodą deszczową po ulewie, która spadła gdzieś o dziesiątki kilometrów dalej.

— I cóż, Herbercie — von Maries zapalił papierosa. — Czyś już zapomniał o swej miłości?

Kapitan bez słowa potrząsnął głową.

— Masz rację — rzekł von Maries. — To jest jedyna rzecz, o której warto pamiętać na tym świecie przemijających wrażeń. W gruncie rzeczy miłość także przemija. Ale można się łudzić — i to jest piękne złudzenie...

Rozprostował leżącą na stole mapę automatycznym gestem człowieka, który ruchem palców usiłuje przywołać rozpraszającą się myśl.

— Wszystko jest złudzeniem... — mówił, nie wiadomo czy do Herberta, czy też sam do siebie — wszystko...

W ciszy obozu zabrzmiała nagle pieśń niemieckich marynarzy śpiewana przez idący oddział:

Nasza flaga na maszcie powiewa,
Łopoce w niej Rzeszy siła —
Angielska nas buta znudziła...

— Miłość — snuł swoje marzenia generał — ustępuje miejsca pragnieniu walki. To zaś z kolei przeradza się w wybuch uczuć religijnych. Potem wszystko odradza się w sztuce, potem znowu kobieta... I tak — da capo al fine... Świat jest diablo nieciekawym — trzasnął w palce. — Entuzjasmować się nim potrafi chyba tylko młodzik...

— Robisz się filozofem, Alfredzie — rzekł Herbert.

— Tak. To jest najmądrzejsze lekarstwo na troski tego świata. Ale cóż? Zapić swych myśli nie potrafię. A to by było najlepsze. Bo gdy tylko tyle zostało...

Z jakąś wściekłością wykrzyknął:

— Nie mam wiary Lüttwitzów, Mäckertów i von Seecktów!

Herbert podniósł ku niemu zdumioną twarz.

— Nie rozumiem ciebie...

— Wiem. Ty należysz do tych, co już mają przyszłość w swej krwi. Jaka będzie ta przyszłość, nie mam pojęcia. Obawiam się jednak, że to nie będzie niemiecka przyszłość. Pogodzicie się z nią... Mnie się pogodzić nie wolno.

— Przecież to ty lękasz się przegranej — rzekł Köstring — nie ja.

— Powiedz: lękałeś się. Bo ja się tego lękałem jako człowiek, który będzie musiał podjąć wielki trud. Ale teraz, mój drogi, to mało powiedzieć, że się lękam... Czy wyobrażasz sobie uczucia Herostratesa, gdy się dowiedział, że choć pożar zniszczył świątynię efeską, on wymarzonej wielkości nie osiągnął?

Wsparł czoło na dłoniach i milczał. Po chwili dopiero rzekł zupełnie innym tonem:

— Słyszę samochód. Jedź. Powiedz „Staremu”, że będę się starał przylecieć jutro do niego.

Wstał i mocno uściśnął dłoń Köstringa. Samochód z warkotem zajechał pod namiot. Idąca w mroku kolumna wojska śpiewała.

IV

Samochody gnały na przełaj przez płową pustynię, wyprzedzając długą kolumnę wojska. Rommel stojąc w lekkim aucie zwiadowczym, z dłońmi wspartymi na prętach otaczającej wierzch samochodu galeryjki, to spoglądał na mijane oddziały, to znowu pochylał się nad mapą, którą trzymali przed nim dwaj młodzi oficerowie. Poranny wiatr dał ostro i niosąc drobne ziarenka piasku bił nimi w twarz. Gdzieś w pustyni, obok szlaku wygniecionego przez przednie strażce kolumn pancernych, natrafili na piaskowego koloru namiot. Auta zatrzymały się; spod namiotu wyskoczył oficer włoski, mały, o orlim nosie i z gładko przyczesanymi czarnymi włosami. Podał generałowi jakiś papier. Była to depesza od generała Bastico, dowódcy oddziałów włoskich.

— Dziękuję... — Rommel dał znak ręką, że mogą jechać dalej. Herbert patrzył z boku na wodza. Ta zawsze starannie wygolona twarz, zadarty nos i grube mięsiste wargi — tak obce dominującemu niemieckiemu typowi rysy — przykuwały od wczoraj jego uwagę. Późną nocą znalazł się w kwaterze generała. Został jednak natychmiast przyjęty. „Czarodziej pustyni” nie spał. Siedział w namiocie na płóciennym składanym krześle, z szyją owiniętą muślinową chusteczką. Palił fajkę i popijał wino. Znajdowało się tu również kilku bardzo młodych oficerów; Rommel otaczał się tylko młodymi ludźmi. Köstringa powitał życzliwie: „Ach, to pan? Dobrze, że mi von Maries właśnie pana przydzielili. Pańskie doświadczenie...” Podsunął Herbertowi szklanekę i butelkę. „Niech pan pije. Czekaliśmy na wiadomości”. „Jak pan generał uderzy?” — spytał jeden z oficerów. Rommel uśmiechnął się: „Tak, jak nigdy poprzednio nie uderzałem. Nie lubię się powtarzać”. Rozległy się przypochlebne śmiechy. Ktoś chciał położyć przed generałem mapę. Odgarnął ją ręką. „Dajcie mi spokój — powiedział — będzie na to czas jutro.” Zwrócił się do łącznika włoskiego; „Co robi pański wódz?” „Generał Bastico jest

w Am el Gazala.” „Dobrze. Jutro musi mocno przeć na Acromę...” „Więc to tam?” — dopytywali się oficerowie. „Nie bądźcie zanadto ciekawi” — uciął.

Potem oficerowie, zaczęli opowiadać kawały. Rommel słuchając ich uśmiechał się swym tajemniczym uśmiechem. Nagle zagadnął Herberta przerywając komuś w pół zdania: „Pan ze wschodniego frontu?” „Tak”. „Co tam słyhać?” Herbert wzruszył ramionami. Tyle czasu chorował i wypoczywał poza frontem, że teraz niewiele więcej wie niż oni tutaj. Ale pan zna bolszewików? Russkaja swołocz...” — ostatnie dwa słowa powiedział po rosyjsku. Herbert zastanawiał się: skąd w tym człowieku rosyjskie rysy twarzy, rosyjski, zagadkowy uśmiech, rosyjskie słowa... „Ach — ciągnął Rommel — oni zawsze tacy sami”. Jakiś wyraz okrucieństwa pojawił się na jego wywiniętych wargach.

„Pan generał zna Rosję?” — zapytał Herbert. „Trochę” — Rommel odparł krótko, w sposób nie zachęcający do dalszych pytań. Kiedy zgasała mu fajka, oficerowie na wyścigi podawali zapalone zapalki lub zapalniczki. „Grazie” — powiedział po włosku, ponieważ przyjął ogień od Włocha. „Co robi Stumme?” — zapytał. Generał Stumme był zastępcą Rommla. „Śpi” — powiedział jeden z oficerów. „Niech się wyśpi. Jutro wezmę go do galopu”. Znowu zwrócił się z pytaniem do Herberta: „Pan kapitan w linii od początku?” „Tak, brałem udział we wszystkich kampaniach.” „Brawo — Rommel spokojnym ruchem rozluźnił chustkę na szyi — brawo. Kto przeżyje tę wojnę, ten będzie mógł powiedzieć, że widział historię. Nieprawdaż? Dotychczas tworzyliśmy jedynie fragmenty historii. Bo w historii jest tylko jedna rzecz, która się liczy — to wojna. Reszta nic nie znaczy. To wojny tworzą dzieje. Scharnhorst, Gneisenau, Blücher, Clausewitz — ci ludzie nie umierają. Wprawdzie Clausewitz nie skończył swego dzieła o wojnie, ale ono nawet nie skończone jest ewangelią nie mającą sobie równej w całej literaturze świata. A taki Moltke...?” Otoczył się kłębamii dymu. Oficerowie słuchali go pełni uwagi i uszanowania. „Pamiętacie, co mówi Clausewitz? — podjął znowu: »Der Krieg ist eine blosse Fortsetzung der Politik mit anderen Mitteln«. To reguła ogólna. Bo i Clausewitz wiedział, że są cele, które tylko wojną można osiągnąć. Ba — przeciągnął się — która to godzina?...” „Druga” — pośpieszono z odpowiedzią. „No to pięknie. Niedługo zaczynamy. Będzie to znowu historia. Ta, którą tworzą od trzech lat ludzie tej miary co Rundstedt, Blaskowitz, Bock, List, Reichenau...” — urwał. „I pan, panie generale” — posypało się ze wszystkich stron. Nie zaprzeczył. Siedział wciąż rozparty na składanym krześle, pogrążony w myślach, których nikt z obecnych zgadnąć nie potrafił, uśmiechnięty tajemniczo niby sfinks.

Niespodziewanie na lewym skrzydle wybuchła strzelanina. Rommel spojrzał na mapę. Kazał sobie podać godzinę i określić miejsce, w którym się znajdują. Potem skinął z zadowoleniem głową i wezwał Herberta.

— Wchodzimy w akcję — powiedział.

— Rozumiem, panie generale.

— Ritchie ani przypuszcza, że go zachodzę od tyłu całą masą swych pancernych oddziałów. Koło Acromy zostanie pogrzebana angielska armia pancerna. Nie wypuszczę jej z koła. To będzie prawdziwy majstersztyk. Zgodnie zresztą z zasadą Clausewitza — podniósł palec do góry: „Die Überraschung des Feindes liegt mehr oder weniger allen Unternehmungen zugrunde”.

Strzelanina była coraz gwałtowniejsza. Pociski armatnie ryły pułstynię, podnosząc tumany złotokrwawego pyłu. Nadjechało czoło kolumny i zaraz czołgi — zgodnie z rozkazem Rommla — poczęły przygotowywać się do akcji. Z góry dochodził warkot motorów — to nadciągały „Stuki” spod Bir Haheim i ciężkie eskadry bombardujące od strony morza.

— W porządku... — Rommel nie ukrywał zadowolenia. — Czy pan czytał — zwrócił się do Köstringa — „Wojnę i pokój” Tołstoja? Nie? Tam są podobno kpiny z naszej osławionej pedanterii niemieckiej. Pisze Tołstoj — mówili mi — że generałowie niemieccy układali w ten sposób plan bitwy, aby wszystkie oddziały schodziły się koncentrycznie w jednym punkcie o umówionej godzinie, lecz one nigdy tego nie dokonały. Szkoda, że ten „jurodiwyj” nie dożył naszych czasów. Zobaczyłby, jak się to dziś stosuje z zegarkiem w rękę: „Gebrauch des Gefechts zum Zwecke des Krieges”.

Bitwa rozpełtała się z całą zaciekłością. Rommel, ubezpieczywszy się na drodze do Tobruku i do El Adem oraz obstawiwszy artylerią „via Balba”, przypuścił wszystkimi siłami atak na Acromę. Przy nieustannym wsparciu lotnictwa poczęto zaciskać pierścień wokół armii angielskiej.

W południe upał zrobił się nie do wytrzymania. Blachy samochodu były rozpalone. Herbert podziwiał kierowców czołgów, którzy zamknięci w żelaznych pudełkach, małych i nieprzewiewnych, raz po raz z zapalonym wyruszyli do natarcia. W godzinach popołudniowych Rommel wspaniałym uderzeniem posunął się wzdłuż nadbrzeża i nawiązał łączność z oddziałami generała Bastico. Kocioł został w ten sposób odcięty od morza.

Siedząc na stopniu samochodu zgłodniały Herbert jadł obiad przygotowany dla sztabu. Kucharz w białym fartuchu przyniósł ostrożnie na tacy talerze z zupą. Dla Rommla rozpięto mały namiocik.

W pobliżu wyładowywała się z aut piechota, dla której po złamaniu pierwszego angielskiego oporu rozpoczynała się właśnie robota. Żołnierze niechętnie kładli na spoconą głowę hełmy. Każdy z nich poprawiał wiszące ciężko na brzuchu ładownice, brał karabin do ręki. Szczękały zamki ręcznych karabinów maszynowych i pistoletów automatycznych. Herbert słyszał strzępki rozmów, których treść była mu całkowicie obojętna. Nagle zaskoczyły go słowa wypowiedziane po polsku:

— No co? Idziemy na bagnety, Franek?

Nastawił uszu.

— Jak każą, co im zrobisz? — rozległo się w odpowiedzi.

— A jak trafim na naszych?

— Poznasz, że nasi? Nie poznasz. Pracę będziesz, bo jakbyś nie prał... Wiesz sam...

— Jezu, kiedy się to skończy!

— Nieprędko, bracie, nieprędko. Póki oni — to znaczy my — idą naprzód, póty końca nie widać. Dopiero jak ci atakujący Anglik bagnet w brzuch wsadzi, wtedy krzycz z radości, bo zwycięstwo blisko.

— Jak mi bebechy wypruje?...

— Jak ci bebechy wypruje. Tak już musi być. Trzeba, żeby padli ci, którzy przy Anglikach som, i trzeba, żeby my padli. Wtedy dopiero... Bo my som najważniejsze w całej wojnie...

— To nas już, Franek, nie będzie?

— Będziema. Dzieciaki w domu zostały — to będziema. Nas by nie było? Toż by się świat ze złem pogodził i o sprawiedliwości zapomniał...

Potem zabrzmiała kanonada i kolumna piechoty ruszyła w pustynię. Herbert bez zapalu grzebał w słodkiej owocowej zupie. Z namiotu w pobliżu dochodził głos Rommla, który wydawał rozkazy generałowi von Thoma, dowódcy piętnastej dywizji pancерnej. Samolot myśliwski zrzucił jakiś meldunek. Prowadzono w pobliżu jeńców w płaskich hełmach i miękkich sportowych bluzach.

„Skąd się tu wzięli Polacy? — błędziło po głowie Herberta. — Skąd się tu wzięli? Może to prawda, co mówiono, że się wcieli do wojska ludzi z ziem włączonych do Rzeszy. Byłoby to jednak bezprawie...” — przeciął nurt myśli nagłą refleksją. Czyżby do tego już doszedł, że nazywa bezprawiem zarządzenia własnego rządu? Toczy my walkę na śmierć i życie — mówili przywódcy. — Wróg nie namyśla się nad środkami, których ma użyć, aby nas złamać. Nam także namyślać się nie wolno. Niemcy byli zawsze obiektywni, a obiektywizm jest cnotą tylko w czasie pokoju. W okresie wojny staje się grzechem. W okresie wojny tylko nienawiść popłaca... Tylko nienawiść daje siłę. Trzeba nienawidzić, nienawidzić i jeszcze raz nienawidzić.

Kucharz stanął przed Köstringiem i spojrzął z wyrzutem, gdy ten oddał mu talerz z nie dojezoną zupą.

— Na drugie mamy makaron...

— Dajcie mi, ale niedużo... Lub nie, nie dawajcie wcale. Nie mam apetytu. Gdyby była kawa...

— Jest herbata.

— Poproszę o szklanę.

Słońce utraciło swój żar, zbliżał się wieczór. Od morza nadleciał rzeświejszy powiew. Łomot dział i zgiełk bitwy wstrząsnął pustynią.

Ale walka zbliżała się już ku końcowi. Uderzenie Rommla odniosło pełny sukces. Dwaj oficerowie włoscy szli spiesznie w stronę namiotu generała. Jeden z nich mówił, żywo gestykulując:

— Vittoria! vittoria! Już się nam nie wymkną. Och, que magnifico generale...

„Co oni mówili — przypomniał sobie Herbert — że świat zapominałby o sprawiedliwości?” On sam wojny nienawidził z całego serca. Oskarżał ją o wszystko, cokolwiek go spotkało, A oni — oni, których wojna nie dotknęła chyba mniej niż jego, oderwani od rodzin, by walczyć w obcej sprawie, w szeregach swoich wrogów — mówią o wojnie tak, jakby była ona koniecznym składnikiem życia...

Wspomnienie usłyszanych słów powróciło do niego raz jeszcze w parę dni potem. Przechadzając się w pogodny wieczór wśród fortyfikacji zdobytego Tobruku, trafił na krzyż z polskim napisem: „Stanisław Zalewski, plutonowy podchorąży, zginął za Polskę w obronie Tobruku”. Stał dłuższą chwilę patrząc na drewniany krzyż z zawieszonym na nim przedziurawionym hełmem. Von Maries, który mu towarzyszył, zatrzymał się także. „To coś po polsku napisane?” „Tak.” „Wszędzie ich spotykamy i wszędzie ich spotykać będziemy. To nie jest dobre dla naszej sprawy.” „Na pewno — Herbert nie odrywał oczu od krzyża. — Lecz czy to nie jest potrzebne dla sprawy człowieka?” „Jak ty to rozumiesz?” Nie odpowiedział.

Między bunkrami wracała z pracy kompania robotników Todta. Właśnie padła komenda: „Singen” i zaraz podniósł się twardy, niski mocny śpiew:

Zakwitały pęki białych róż —
Wróć, Jasieńku, z tej wojenki wróć...

Obaj oficerowie drgnęli. Von Maries rzekł: „Pamiętasz? Moltke kazał pod Gravelotte grać polskim oddziałom »Jeszcze Polska nie zginęła«. » Stary« pozwala im śpiewać o białych różach. A nasi politycy powiadają, że problem polski nie istnieje... Szkoda, że ich tu nie ma! Szkoda!”

V

Generał Alfred graf von Maries w połowie sierpnia jeździł do Europy w tajemniczych sprawach, o których nawet z Herbertem nie rozmawiał. Był tam akurat w dniu desantu angielskiego w Dieppe, mógł więc po powrocie o tej sprawie dokładnie opowiedzieć. W jego ustach zresztą cała ta parogodzinna walka nie wyglądała na krotoczwilę, jak ją starały się przedstawić radio i pisma niemieckie. Raczej przeciwnie: von Maries twierdził, że lądując na odcinku wy-

jątkowo mocno bronionym między Borneval i Santa Margherita, w niebywale trudnych warunkach, Anglicy dokonali wielkiego wyczynu, a w każdym razie zdradzili się z umiejętnością dokonywania desantów w skali dotychczas w wojnach nie spotykanej. Pałac cienkiego papierosa wnuk von Grotego wyciągnął ze swego opowiadania nieoczekiwaną konkluzję:

— Wydaje się, że Zachód kończy swe przygotowania do ofensywy. Być może poczekają z nią do wiosny, bo przecież im także zależy na tym, aby się miś rosyjski bardziej spracował, ale gdy ruszą, będzie to natarcie w wielkim stylu.

— Generale — przerwał von Mariesowi Rommel; rozmowa odbywała się przy obiedzie w sztabie armii pod El Alamein — myślę, że przecenia pan ich przygotowania. Jeszcze będą się guzdrali bardzo długo...

— A jednak z bliskością uderzenia trzeba się liczyć. Pan, panie marszałku, znając tak dobrze Clausewitza wie, że żąda on od żołnierzy nie tylko odwagi, ale i rozsądku.

— Mówi także: „Der wiederholte ehrenvolle Kampf gegen die Übermacht erlaubt, berechtigt, nötigt die Deutschen zum Selbstvertrauen”.

— Ufność we własne siły — zgoda. Lecz wojny nie wygrywa się samą ufnością. Nie należy wszystkiego obracać w żart. Chodzi o sprawy zbyt poważne. Anglia i Ameryka powinny to także zrozumieć...

Wieczorem tego dnia von Maries zaszedł do namiotu Herberta.

— Przychodzę do ciebie, stary, pogadać — rzekł siadając na składanym krzeselku i bujając założoną na kolano chudą nogą pokrytą rudawym włosiem. — Dziwnie źle się czuję od czasu powrotu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tam jest niedobrze. Lecz — beznadziejnie machnął ręką — z kim rozmawiać? Kogo przekonywać? Ta chamska sfora słuchać nawet nie chce, gdy się do niej mówi. Oni wszyscy byli niczym, więc stoją przed alternatywą: albo powrócić do niczego, albo stać się czymś. Herostratesami, psiakrew! Byłem zawsze wrogiem proletariackiego smrodu. Ale teraz na wymioty mi się zbiera, gdy na nich patrzę. Zapędzili nas w ślepą uliczkę. Myśmy składali kapitał na długie lata — oni wydali go od razu. Nawet nie wahali się wypuszczać czeków bez pokrycia.

Wieczór był upalny. Herbert pocił się, choć był tylko w koszuli i w króciutkich płóciennych spodenkach. Co chwila sięgał do syfonu z wodą sodową.

Zapadło milczenie. Za namiotem otaczała ich przerażająca cisza pustyni, nad którą wschodził wolno wielki księżyc. Jak okiem sięgnąć widać było faliste piaskowe wzgórza posrebrzone po wierzchu księżycową poświatą. Błede gwiazdy ledwo miały odwagę tlić się w głębinie pogodnego nieba.

Von Maries wstał, podszedł do drzwi namiotu i uchyliwszy je

patrzył długo na czarowny obraz uśpionej pustyni. Wyraz niesmaku przebiegł po jego wąskich ustach, gdy gdzieś w oddali zawarczał samochód. Szybko jednak wróciła cisza.

— Zawsze mi się wydawało, że pustynia jest najpiękniejszym miejscem na świecie... — rzekł.

Herbert stanął obok niego. Zasunęli za sobą kotarę namiotu, aby blask bijący z wnętrza nie psuł im widoku nocy.

— Ziemia faraonów... — mruknął Köstring.

— Tak. Ziemia faraonów i mądrości całych wieków. Przywykliśmy tak sądzić. Może się jednak mylimy? Może za tajemnicami sfinksów i piramid znajduje się tylko pustka? Kto to wie? Kto to wie?...

Olbrzymia przestrzeń napełniona drgającym miesięcznym blaskiem zdawała się dyszeć prędko tym samym rytmem co pierś młodego generała. Von Maries z rękami w kieszeniach postąpił parę kroków naprzód, jakby ciągnęła go ku sobie dal łagodnie wzdętych piaszczystych pagórków. Objął wąskimi palcami głowę, potem ścisnął ją mocno, jakby pragnął zwalczyć tym uściskiem wewnętrzny ból.

— Pustynia woła... — szepnął.

— Pustynia woła? — Köstring podniósł na przyjaciela zdumiony wzrok. — Pustynia? — On nie słyszał jej głosu. Raczej ciążyła mu swą gubiącą się w oddali przestrzenią. Tęsknił za drzewami, za szumem wody, za trawą, co się kładzie pod nogi twardymi kępami, za świeżym zapachem kwiatów, liści, kłosów...

Lecz von Maries zdawał się naprawdę słyszeć wołanie królestwa Seta. Stał zapatrzony w dal, pochylony cały do przodu — nasłuchujący, gotowy do odejścia, zahipnotyzowany.

— Bezwodna przestrzeń... — począł znowu mówić tym obcym sobie głosem, ścisłym, tajemniczym, jakby zalęknionym — bezwodna przestrzeń... Ona jest naszą męczarnią. Ale i odpoczynkiem. I odetchnieniem. Gdyby nie ona...

Nie skończył. Księżyc wciąż wspinał się wyżej i wyżej, gasząc swym blaskiem gwiazdy. Coraz fantastyczniejsza sceneria otwierała się przed ich oczyma. Może te wzgórza bez końca były tylko nie-realnym zwidziskiem, feerią czarodziejskiej nocy? Noc upajała jak wino. Noc kazała mówić słowa, których kiedy indziej może nigdy by nie wypowiedzieli.

Nagle rzekł Alfred:

— Czy wiesz, stary, że w Warszawie zlikwidowaliśmy Żydów? — Położył mocny nacisk na słowo „zlikwidowaliśmy”.

— Co nazywasz likwidacją? — spytał Herbert. — Wywiezienie?

— Nazwijmy to tak. Wywiezienie w kraj wiecznej przygody. Przy użyciu zatłoczonych wagonów z niegaszonym wapnem, komór gazowych, karabinów maszynowych, a także innych zdobyczy współczesnej techniki...

Herbert poczuł na plecach i na ramionach nagły dreszcz.

— A cóż ta?... — zapytał. — No, wiesz, o kim mówię...

— Ona — von Maries mówiąc nie patrzył na Herberta, ale wciąż miał twarz zwróconą ku pustyni, jakby oczekiwał, że stamtąd ktoś ku niemu przyjdzie. — Także pojechała... Na latającym dywanie. W krainę baśni. Nie ubolewaj nade mną! Takie zakończenie nie było najgorsze. Sam ci kiedyś mówiłem: moja miłość była płodem zmarłym jeszcze w łonie matki. Nie ma nad czym płakać...

Zakołysał się na nogach, wciąż gotów do odpłynięcia na falach pustyni.

— Cóż to za szaleństwo ta likwidacja? — zapytał Herbert tak, aby coś powiedzieć. Wiedział przecież, że ta wojna nie przypomina łagodnych pojedynków „do pierwszej krwi”, ale zaciekle, nie znającą pardonu walkę na śmierć i życie.

— Szaleństwo? Być może. Ale i w nim jest metoda. Jak ci już powiedziałem: metoda utracjusza. Jestem może człowiekiem leniwym... Przyznaję... Nie chodzi jednak o moje zasługi czy osiągnięcia. Wydaje mi się tylko, że trzeba myśleć tak, jak ja myślę. Jak myślał mój dziad i mój ojciec. Jak myślą u nas ludzie, którym los Niemiec naprawdę leży na sercu. Lecz tamci przekreślają ten dorobek. I to jest zastanawiające, że gdy myśmy dla naszych planów musieli zawsze zwalczać tysiące trudności i w końcu uciekać się do kompromisu — im wszystko się udaje, wszystko wychodzi... Tak, z tym się pogodzić najtrudniej!

Z rękami w kieszeniach zrobił automatycznie kilka kroków dalej w pustynię.

— Czy jednak oni — Herbert mówił wolno, jakby w głębi siebie szukał treści do wypowiedzanych słów — czy oni nie są wierni naszej tradycji? Kto u nas chciał czego innego niż oni?

Von Maries zaśmiał się hałaśliwie.

— Ach, Herbercie, teraz to ty stajesz się filozofem. Ale może masz rację, że kierunek, który wykreśla jakąś myśl w świecie, jest niezależny od ludzi pracujących nad jego realizacją. Napoleon stał się takim samym francuskim despotą jak Burbonowie. A nasz wódz jest może najprawdziwszym następcą Hohenstauffów i Hohenzollernów.

Oparł dłoń o namiot, jakby bał się upaść.

— Lecz nie... — mruknął. — Dosyć głupstw! Ostatnia chwila... Nie mamy czasu...

Gdzieś w dali rozległo się kilka strzałów i cisza znowu objęła straż nad pustynią.

Ironiczny uśmiech wrócił na twarz von Mariesa. Generał wolno obciągnął koszulę i szorty. Poprawił furażerkę na łysiejącej głowie.

— No — rzekł przez zęby — trzeba wracać. Bądź zdrow, stary. Trzymaj się ciepło.

— Może być został do rana? — proponował Herbert.

— Nie zaraz wracam. Auto na mnie czeka. Nie odprowadzaj mnie, dziękuję. Przejdę sam ten kawałek. Bądź zdrow.

Szedł swym zwykłym utykającym krokiem ścieżką wydeptaną wśród morza piasku. Ale potem porzucił ją i zaczął brnąć wprost przez pustynię. Zamiast iść środkiem między barakami a namiotami, poszedł drogą okólną, skrajem zabudowań. Minął parkan, na którym kończył się właśnie seans wyświetlanego dla żołnierzy filmu. Z głośnika rozległ się tubalny dialog między mężczyzną i kobietą, pełen gorących słów, zniekształconych przez chrapliwe dźwięki aparatu. Szedł dalej. Gwiazdy migotały na wysokim niebie, a daleka pustynia znowu wabiła swym czarem. W pewnej chwili zatrzymał się i przez dłuższy czas patrzył pilnie w dal przed siebie: musiał przezwyciężyć złudzenie, że w blasku miesiąca idzie ku niemu czarnooka kobieta pełna płomienistych uczuć.

Pamiętał te namiętne, oszłamiające pocałunki i dotknięcia jej rąk, nigdy w pieszczotach nieznużonych. Tak musiały kochać wyznawczynie Izidy — kapłanki miłości. W uczuciach nie znały granic... Nie rozumiały życia poza miłością — poza płomiennym oddawaniem siebie ukochanemu, którego jednocześnie czyniły wiecznie swej słodczy spragnionym. Czyż mógł uwierzyć, że nigdy nie potrafi wyrwać się z tego ohydneho pokoju na ulicy Pańskiej — z czarnego, odrapanego pokoju — i że stanie się on dla niego prawdziwym zakątkiem miłości — czy też raczej pieczarą oszłamiających rozkoszy, wiążących go niby Odyseusza ramionami nimfy Kalipso? W życiu zakosztował wszystkiego. Nawet rozpusty. Pamiętał... Och, nie bawiło go w tej chwili przypominanie sobie szalonych nocy w Berlinie, Monachium, Wiedniu. Wiedział jedno: tamto szaleństwo nigdy nie rozgrzało naprawdę jego jakby nie dość gorącej krwi. Spływało po nim falą nudy. Nawet rozmyślna rozpusta w paryskiej tajnej speluncie... Nic nie miało posmaku nowości. Nic, nic... Dopiero ta Żydówka aż dzika w swej zmysłowości. Nigdy nie był pewny, czy nie przegryzie mu gardła mocnymi, białymi zębami. To było takie rozkoszne, gdy czuł jej rozchylone gorejące wargi na swym ciele... Tam, gdzie tętni życie...

Minął wartownika — młodego chłopca — który włókł się sennym krokiem wzdłuż parkanu. Przystanął na chwilę, aby zapalić papierosa. Zaciągnął się łakomie dymem. Nie potrafił żyć bez opiumowanych papierosów. Za grube pieniądze sprowadzał z drugiej strony frontu. To nie było zbyt trudne. Włoscy osadnicy podejmowali się chętnie takiego pośrednictwa. Nie mógł obyć się też bez morfiny — bez rozkosznego podniecenia, które przechodzi w słodką ospałość, w sen pełen zwidzisk. Próbował różnych narkotyków, by uciec codzienności, a może — by uciec wezwaniu...

Dziadek... Krąg starych, wysuszonych twarzy, jakie go stale otaczały... Młodość von Grotego była nie mniej bujna niż młodość wnuka. W rodzinie mówiono o niej z dwuznacznym uśmiechem.

Podobno uwodzicielski czar młodego junkra sięgnął aż na dwór cesarski... Lecz von Grote po latach szaleństw wrócił na drogę obowiązku. Musiał wrócić. Jak wszyscy z rodu. Podjął pracę, którą zostawił ojciec, dziad, pradziad. Potrafił wdziać na siebie twardy pancerz i wziąć na barki trud „ludzi z kresów”.

Póki żył, von Maries nie czuł się do działania zobowiązany. Naturalnie musiał wejść w krąg wskazanych mu przez dziadka ludzi. Nawiazywał stosunki, poznawał sprawy, pośredniczył w szeregu rozmów... Traktował to wszystko z niechęcią. Jarzmo dziedzictwa było ciężkie... Chętnie zepchnąłby je na kogoś innego. Bodaj nawet na tego postrzelonego Kostrzewę.

Teraz nie mógł już być głuchy na rozlegające się coraz silniej wezwania, musiał wejść na ścieżkę von Grotów. A tymczasem jego zmysły wciąż jeszcze nie zaznały prawdziwego upojenia, narkotyki działały coraz słabiej, nawet szaleństwo najzuchwalszych lotów stało się czymś codziennym, nieciekawym. Czyż miał zaśnieść jak dziadek w nie kończącej się walce z hydrą urojeń, zanim świat otworzy przed nim wszystkie drzwi swych tajemnic? Opierał się narzuconemu obowiązkowi ze wszystkich sił. Gdy na koniec wielka namiętność rozpałała ogień w jego przedwcześnie wiotczących żyłach, osiągnął w tym buncie szczyt. Dawniej nie chciał odejść od życia nie znając w pełni tego, od czego odchodzi. Potem zrozumiał, co będzie musiał poświęcić.

Teraz prowadził podwójną grę: robił to, co robić musiał — z coraz głębiej sięgającą goryczą i zniechęceniem — a jednocześnie odwlekał chwilę rozstania z pokojem na Pańskiej. Ciągnęło to się dłuższy czas, aż wreszcie przyszło wezwanie do Afryki. Musiał wyjechać. Dał jednak słowo, że wróci, gdy sprawa będzie tego powrotu wymagała. Nie wstydził się własnej słabości. Miał nadzieję, że wtedy znowu będzie szedł ciemnymi brudnymi schodami, prowadzony przez zawsze tego samego Żyda — może brata, a może męża Elwiry — potem wejdzie w drzwi z korytarza na prawo... Był tam rzeczywiście... Na wyludnionej ulicy wiatr rozdmuchiwał lepiące się do bruku pierze. Okna patrzyły na niego martwo. Twardym stukotem brzmiały jego kroki na tej pustej ulicy. Po przeciwległym chodniku spacerował strażnik, Łotysz, kondotier wojny z bezbronnymi. Spod czeskiego hełmu wyglądały błękitne oczy i zadarty nos. Nogi w brezentowych getrach wytupywały rytm na płytach chodnika. Przeczną szedł esesman z nahajem w rękę, za nim sznurem pięciu obdartusów z gwiazdami Syjonu na ramionach. Przeszli i znikli. Łotysz obojętnie oddał von Mariesowi wojskowy ukłon. Generał stanął w bramie. Była otwarta. Podwórze przedstawiało obraz jakiegoś przerażającego piekła. Aż po pierwsze piętro wznosił się na nim stos zrzuconych z okien mebli, sienników, materacy, poduszek, domowych drobiażków, książek, albumów z fotografiami. Kiedy szedł przez podwórze, musiał deptać po uśmiechniętych twarzach, często z dedykacjami: „ukochanej”, „ukochanemu”; po dziecinnych figurkach, po poważ-

nych obliczach starych Żydów. Jakieś pamiątki miał pod butem, historię istnień, dzieje uczuć — i swoich także. Na schodach nogi lgnęły do wilgotnych gałganów przysypanych pierzem. Drzwi, które dawniej służyście otwierał wprowadzający go Żyd, stały otworem. Zamek był wyrwany. Pokój na prawo przedstawiał jedno wielkie rumowisko. Na poprzek stał tapczan — ich tapczan — z zerwanym pokryciem. Naprzeciw szafa z wyłamanymi drzwiami. Na ziemi, w pyle, pobite i całe butelki, słoiki, figurki. Rozbite lustro na ścianie. Poszarpane tapety. Wywalone ramy okienne, szkło. W kącie książki: wielkie tomiska oprawne w skórę, zapisane po hebrajsku. Powieści: „Mafarka le futuriste” — idiotyczny romans Marinettiego; „Bismarck” Ludwiga, ze stemplem żydowskiej czytelnicy w Sopocie; „Also sprach Zarathustra” Nietzschego...

Spod szafy wyglądała różowa szmata. Pochylił się nad nią. Tak, to była koszula Elwiry. Teraz leżała na brudnej podłodze, wysmolona, postrzępiona, obca wspomnieniom. Nie ruszył jej. Niczego nie chciał dotknąć. Mimo że nie zdejmował rękawiczek, miał uczucie, iż ręce nasiąkają mu brudem. Końcem buta otworzył „Zarathustrę” i pochyliwszy się nad książką przeczytał: „Nagich czy odzianych znieść was nie mogę, współcześni moi”.

Wyszedłszy na podwórze spłoszył człowieka, który grzebał w stosie wyrzuconych rzeczy. Tamten miał ruchy szczura; tuląc do piersi jakiś kandelabr i inne mniej nędzne drobiazgi rzucił się do bramy. Wtedy huknął strzał. Kiedy von Maries wyszedł na ulicę, ujrzał na ziemi wijące się w agonii ciało. Wartownik po przeciwnej stronie ulicy chodził tym samym obojętnym krokiem.

Wprost stamtąd pojechał na spotkanie ze swoimi. Wyrzucił na wszystko zgodę. Sam przyznał, że już czas najwyższy... Oni mu pokazywali cyfry, dane, wykazy — zapowiedzi nieuchronnej klęski. Machnął na to lekceważąco ręką. „Nie ma Elwiry — myślał — nie ma się więc nad czym zastanawiać. Nie ma się co dłużej opierać. Trzeba brać na siebie wielki trud ratowania dziedzictwa von Grotów. Dobrze: zrobi, co trzeba...”

Ale następnego dnia pojechał jeszcze raz na Pańską. Trupa przed domem już nie było. Nie było także koszuli Elwiry. Skradł ją na pewno inny szczur. Von Maries zabrał ze sobą „Zarathustrę”. Tom był pełen chrześzczącego pyłu. Rozwarł go w samochodzie i zaczął czytać z jakąś wewnętrzną złośliwością: „To właśnie niech wam będzie sprawiedliwością, że świat się wypełnia burzami zemsty waszej — tak oto mawiają między sobą. Darzmy zemstą i spotwarzajmy tych wszystkich, którzy nie są nam równi — tak oto ślubują sobie serca tarantul...”

„Może ma rację — snuł swe myśli — ten wiecznie chłopiący Herbert, że i on, i ludzie, i tamci czynią to tylko, co zrodziło się z tradycji? Może te piękne słowa, które tak pasują do ucha sentymentalnego Niemca, są zawsze... Lecz — przerwał sam sobie — oni, von Grotowie czy Bismarckowie, czynili to dla Niemiec. A tamci?...”

Tamci mają własne konto, które uznaje się, ale którego nie można obciążyć. Kto wie zresztą, czego naprawdę chcą? Może to tylko »violence proletarienne« — która zmusza przeciwnika do koncentracji sił i bogactw, by móc z nich samemu po zwycięstwie korzystać?»

Pomyślał z gniewem, że za wiele czytał i że książkowe aluzje psują mu myśli. Ale już znalazł się obok parku samochodowego. Jego auto — wielki zdobyczny Chrysler — stało na skraju. Szofer drzemał koło kierownicy. Trzech ludzi kręciło się w pobliżu. Na widok von Mariesa jeden z nich podszedł do niego.

— Pan generał von Maries?

— Tak...

Przedstawił siebie i towarzyszy. Byli to oficerowie z Sonderdienstu. Mieli wykonać pewne zadanie w bazie, do której właśnie jechał von Maries, ale ich auto zepsuło się po drodze. Czy mogą prosić generała o pomoc?

— Ależ naturalnie, siadajcie, panowie. Nudno jechać przez pustynię. Może opowiecie mi po drodze coś ciekawego?

Zarechotali. Jeden siadł przy kierowcy, drugi przy von Mariesie, trzeci na ławeczce naprzeciw generała. Samochód ruszył. Opony syczały po piaszczystej drodze.

— Jakżeż się czujecie, panowie, w Afryce?

— Zaledwie wczoraj przyjechaliśmy, panie generale.

— Ach tak? W takim razie uważajcie na skorpiony. Strasznie lubią nowo przybyłych...

Znów śmieli się, ale tym razem sucho. Nie wyglądali na ludzi skłonnych do żartowania.

— Piękna noc, panie kolego — zauważył von Maries, zwracając się do siedzącego obok siebie oficera.

— Tak — odparł zagadnięty. Nie spojrział jednak na rozpostarte nad nimi niebo.

Jechali bez świateł przez wysrebrzoną księżycowym blaskiem pustynię. Granatowy cień samochodu mknął po falującej jak woda powierzchni piasku.

— Panowie mają tutaj jakieś zadanie polityczne do wykonania?

— Tak jest, panie generale.

— Mało przyjemna funkcja...

— Dlaczego? Wszystko, co się robi dla ojczyzny, jest przyjemne.

Wzruszył ramionami. Czyżby naprawdę wierzyli słowom najstarszego z ich grona? Począł go nieznacznie obserwować z boku. Chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Jego rysy były grube, prymitywne, lecz dość miłe. Przeniósł wzrok na siedzącego przed nim oficera. Ten chyba nie miał nawet osiemnastu lat. Wąskie ramio-

na wyglądały śmiesznie w obcisłym mundurze. Miał sympatyczną twarz pilnego ucznia.

Spróbował z innej strony.

— Nie ciągnie panów front, życie obozowe, wojna?

Nie odpowiedzieli. Byli jacyś sztywni, jakby czymś speszeni. Sądził, że młodzi oficerowie politycznego wywiadu są skrepowani jadąc z generałem. Postanowił ich ośmielić.

— Wiecie co, panowie, napijmy się. Mam tu butelkę... — Wyciągnął ją z załomów budy. — Oryginalny „Mum”. Wprawdzie bez lodu. Ale chyba i tak warto się napić. Posiadam jeden tylko kubek. Musimy więc pić po kolei.

Korek strzelił. Przewyciężając chyba jadącego samochodu łał musujący płyn do kubka. Pierwszy wychylił sam, drugi podał siedzącemu obok młodzieńcowi.

— Za zwycięstwo!

Wydało mu się strasznie zabawne, że pije z ludźmi, którzy są podporą systemu, jakiemu wypowiedział wojnę. „Byłoby lepiej — przebiegło mu przez głowę — by tych trzech sympatycznych chłopców zastrzelić tu gdzieś na pustyni.” Ale jednocześnie uświadomił sobie, że po prostu nie chciałoby mu się tego zrobić. „Jestem chory na inteligencję — powiedział do siebie, nalewając dla następnego z towarzyszy wino do kubka — nie umiem być bezwzględny, nie ma we mnie nic, co zmusiłoby mnie do czynu. Gdyby żyła Elwira, może...”

Nagle auto stanęło. Von Maries spojrzał pytająco w stronę kierowcy, lecz ten siedział odwrócony tyłem, nieporuszony, jakby przyśtanek był czymś naturalnym.

— Czemu stanąłeś? — zapytał.

Zamiast żołnierza odpowiedział siedzący przy generale oficer:

— To ja powiedziałem, aby stanął. Mamy tutaj pewną rzecz dla ułatwienia. Może pan generał zechce podejść z nami?

— Trzeba było najpierw mnie spytać o zgodę. To jest żołnierz, panie kolego, nie dorożkarz. A poza tym, dokąd chcecie iść?

— Tu niedaleko...

— W pustynię?

— Tak.

— Macie, panowie, dziwne formy zapraszania na nocne wycieczki przy księżycu. Właściwie powinienem was „cuknąć”. Ale ja lubię młodych. Skończmy wino i chodźmy. Nawet chętnie przejdę się z wami. Powiedzcie mi, wy, z waszą świeżością przeżyć szkolnych, co myślicie krocząc po ziemi faraonów? Oczekujecie odkrycia ich tajemnic? To przecież świat, który nie wszystko powiedział naszemu światu o sobie...

Zeszli z nasypu i kroczyli we czterech wprost przez kamienistą pustynię, depcząc swoje cienie, które wyciągały się przed nimi niby

ruchome chodniki. Von Maries znajdował się w środku. Mówił dalej:

— Czy nie przyszło wam, moi panowie, do głowy, że pustynia jest matką najdziwaczniejszych odkryć, najbardziej gorzkich doświadczeń? Był jakiś święty katolicki, który aż tutaj się zapędził w ucieczce przed światem, i właśnie na pustyni spotkały go zmysłowe pokusy, jakich dawniej nawet nie umiał sobie wyobrazić. Ba, na pustyni pono sam Bóg był kuszony — jeżeli wolno temu wierzyć. Jeżeli jednak...

— Milcz! — powiedział nieoczekiwanie najstarszy z towarzyszy generała.

Von Maries stanął jak wryty. Nawet był mniej oburzony bezprzykładnym zuchwalstwem tego smarkacza niż tym, że mu przerwano wół zdania. Oстрыm głosem powiedział:

— Pan kolega, widzę, nie znosi wina. Uderza mu ono do głowy. Toleruję nie wychowaną młodzież, pod warunkiem jednak, że się ona daje wycho...

Wtedy otrzymał cios pięścią, w której tkwił pistolet. Uderzenie było silne i niespodziewane. Von Maries padł na kolana. W ustach poczuł słony smak krwi. Zęby się ruszały, warga puchła.

Sięgnął ręką do lewego biodra po pistolet. Ale wcześniej huknął za nim strzał. Nie był głośny, jednak von Mariesowi zabrakło tchu, jakby mu ktoś ścisnął gardło. Padł na piasek pustyni. Zobaczył nad sobą podniesioną nogę: kopnięto go w brzuch. To zrobił ten o sympatycznej twarzy pilnego ucznia. Von Maries zwinął się z bólu. Nagle myśl jak błyskawica przewinęła się pod czaszką. Kiedyś powiedział mu dziadek o ojcu Kostrzewy: „Kazałem go gdzieś w kącie zatłuc kijami...” Znowu poczuł, że go kopią — tym razem w twarz. Nie widział nic, oczy ogarnął mrok. Piasek oblepiał okrwawione wargi. Czy ją także bili przed zamordowaniem? Elwiro, gdzie twoje ramiona? Nie ma nic poza bólem i pustką. Nic nie ma, nic nie ma, życie jest niczym, złudzeniem, bańką mydlaną, żądzą... Dosyć już. Nie bijcie więcej. Dajcie umrzeć...

Zanim padł ostatni dobijający strzał, stanęły przed nim słowa wyczytane tam, na Pańskiej: „Nagich czy odzianych znieść was nie mogę, współcześni moi...”

VI

Noc była ciepła i pogodna, lecz ciszę pustyni płoszył nieustanny, przerażający w swym natężeniu łomot dział. Dziesiąty już dzień i dziesiąta noc grzmiały bez przerwy armaty angielskie, kierując ogień na pozycje wojsk niemieckich i włoskich pod El Alamein. Z czymś podobnym jeszcze się w tej wojnie nie spotkali. Pamiętali koncentrację ognia artylerii na froncie zachodnim — ale rozpetane

wówczas piekło ognia trwało przeważnie niedługo. Poparty działami atak szedł naprzód, kanonada cichła, zbliżało się zwycięstwo. Tutaj było inaczej. Wróg nie atakował, tylko skomasowawszy jakąś ogromną liczbę dział na niewielkim odcinku pustyni bił bez wytchnienia i litości w pozycje Rommla. Strzelanina ani na chwilę nie słabła. Z dala nad pozycjami niemieckimi unosiła się chmura dymu i krwawy opar, który świecił nocami niby luna nad gorejącym miastem. Nie mieli pojęcia, co się tam dzieje na północy. Tutaj nic nie mąciło ich spokoju. Posterunki angielskie na pobliskich pagórkach zdawały się spać smacznie bez myśli o ofensywie. Od słonej pustyni wiatr nie przynosił żadnych dźwięków. Pasma wzgórz Kattary jak dawniej pławiło się w dzień w promieniach jaskrawego słońca, nocą w gwiazdnej poświacie.

Mimo to potworna strzelanina o kilkadziesiąt kilometrów od nich nie pozwalała im zanurzyć się w atmosferze cichego spokoju, w jakim żyli od czasu podejścia pod Aleksandrię. Dowódca prawego skrzydła, generał Bernard Ramcke, opanowany, o żelaznych nerwach oficer chodził niespokojnie po obozie wzywając stacje radiowe do nawiązania kontaktu z komendą główną. Kontaktu tego otrzymać nie mogli. Początkowo, kiedy jeszcze istniała łączność, zakomunikowano im o rozpoczęciu ofensywy angielskiej, o stratach Anglików, którzy utknęli w polach minowych, o sukcesach armii niemieckiej na Kaukazie... Potem przysłano do Ramckiego majora Herberta Köstringa, łącznika lotniczego przy sztabie armii. Herbert jednak niewiele mógł powiedzieć o sytuacji. „Wściekłe bombardowanie — powiedział tylko. — Tommies mają przewagę w powietrzu, a już co do artylerii, to chyba na każdym czterech metrach frontu stoi działo...” Mniej oficjalnie zakomunikował Köstring generałowi, że Anglicy stosują jakąś nową metodę odkopywania min, co pozwala ich pionierom bardzo szybko wiercić dziury w polach minowych i że oddziały niemieckie, składające się z Polaków zwerbowanych na terenach Warthegau, znalazłszy się w pierwszej linii przeszły z bronią w rękę do nieprzyjaciela. „Było to do przewidzenia — mrucał Ramcke. — Mówiłem »Staremu«, że nie można im ufać. To nie żołnierze...!” „Obawiam się, panie generale, że to wcale nieźli żołnierze. Tylko nie nasi...” „Ech! Mniejsza z tym! Nie ma obawy, abyśmy się mieli cofać.” „Pan marszałek kazał zapewnić pana generała, że zrobi wszystko, aby utrzymać pozycję.” „To w porządku. Rommel nie obiecuje tego, czego nie mógłby obiecać.”

Potem kontakt radiowy zaczął zawodzić. Coś tam jeszcze napłynęło o przewadze wroga, o zawziętych atakach, o konieczności trwania na posterunku. Na pociechę wspomniano o zajęciu Narwiku. Przed dwoma dniami jednak radio zamilkło. Równocześnie ustały wszelkie dostawy, co było zjawiskiem niepokojącym, bo jeśli nawet zapasu amunicji i żywności mieli na czas długi, to wody wystarczyć mogło tylko na parę dni. A już dwa minęły...

Ramcke paląc papierosa obserwował krwawą lunę na horyzoncie.

Jednostajne dudnienie dział trzymało na uwierzy uwagę skupionych obok niego oficerów. W sąsiedztwie, pod namiotem, trzech podoficerów siliło się nad uzyskaniem połączenia radiowego z dowództwem.

— Na jak długo ma pan jeszcze wody? — zwrócił się generał do kwatermistrza.

— Na trzy dni przy normalnym rozdziale.

— Psiakrew! — Ramcke zaklął przez zęby. — Coś się musi przecież wyjaśnić.

Pułkownik włoski zwrócił się do generała z prośbą, aby przy rozdziale wody nie zmniejszać porcji żołnierzom włoskim.

— Cóż to, panie pułkowniku, czy ja krzywdzę pańskich żołnierzy? Jeśli będę musiał zmniejszyć porcje, to je zmniejszę wszystkim, nie wyłączając siebie i pana.

— Jeżeli wszystkim, to tak, naturalnie... Ale czasami mówi się, że zadania powierzone żołnierzom niemieckim są cięższe i dlatego... Mam później kłopot z moimi chłopcami. Pan generał rozumie...

— Nic a nic! — Ramcke parsknął gniewnie.

Zamilkli, wsłuchując się w daleki huk.

— Ależ biją... — ktoś mruknął.

— Mieli się czas przygotować.

— Kto tam teraz dowodzi? Po Wavellu, Ritchiem i Auchinlecku — Montgomery?

— I jemu da „Stary” radę.

— Na pewno. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to Rommla zabiorą na front rosyjski. Od razu przyspieszy ofensywę.

— I bez niego idzie ona naprzód.

— Ale jak wolno.

Nagle spod namiotu wyskoczył podoficer i podbiegł do generała. Na krótkiej, prawie okrągłej twarzy telegrafisty widać było zaaferowanie. Musiał być wstrząśnięty nowiną, którą przyniósł.

— Panie generale, łączność nawiązana. Oto komunikat i rozkaz.

Podał kartkę.

Ramcke pochylił się nad nią, ale choć było bardzo jasno, nie mógł odczytać treści. Któryś z oficerów zapalił latarkę.

— Już widzę... dziękuję... aha... Co? — teraz w głosie generała było zdumienie, może nawet lekki niepokój. — Przeczytam panom. Uwaga: „Nieprzyjacielowi udało się wtargnąć w nasze linie i zająć Sidi Abderakman...” — Ba, to głęboko. Co dalej? „Poległ generał Stumme. Zaginął, a prawdopodobnie dostał się do niewoli generał Thoma... Zarządzam zajęcie nowych pozycji w rejonie Fuka. Oddziałom generała Ramcke rozkazuję zerwać natychmiast łączność z nieprzyjacielem, a nawiązać ją z wojskami własnymi w rejonie wyżej wymienionym...”

Gdy generał skończył czytać, oficerowie w milczeniu popatrzyli po sobie.

— Coś nowego — rzekł w końcu Herbert. — Myślę jednak, że marszałek Rommel zadziwi nas jakimś nowym znakomitym manewrem.

— Na pewno. „Stary” odskakuje do tyłu, by mieć możliwość uderzenia. On chce bitwy w miejscu przez siebie upatrzonym. Taki znawca Clausewitza.

— Dosyć, nie gadajcie tyle, moi panowie, bo ja chcę teraz coś powiedzieć. — Generał podjął sucho, głosem dowódcy: — Zarządzam alarm. Musimy zaraz wyruszyć. Za godzinę odmarsz. Absolutna cisza.

W półtorej, godziny później mała armia maszerowała już pod gwiazdami, ubezpieczona z przodu i z tyłu przez oddziały pancerne. Posiadany zapas wody został troskliwie załadowany na samochody. Środek zajęła piechota włoska i batalion spadochroniarzy niemieckich.

Ramcke zabrał Herberta do swego samochodu, w którym także jechał zastępca generała, pułkownik Rechenberg. Jadąc omawiali położenie.

— Nie lubię niejasnych sytuacji — twierdził pułkownik.

— Dlaczego? Ja je lubię. Mają wdzięk.

— Ach, od czasu jak trwa ta szalona strzelanina, czuję, że bez przerwy trzęsą mną dreszcze. Przecież się nie boję...

— A może?

— Gdyby tak było, proszę mnie ukarać.

— Głupstwa pan plecie, panie pułkowniku. Mnie też coś trzęsie, ale to z emocji, że będziemy się bili — i zwyciężymy.

— Dałby Bóg.

— Psst! Dajcie spokój, pułkowniku, z wołaniem Boga. Lepiej, żebyśmy zwycięstwo zawdzięczali tylko sobie.

Obok brnęły w piasku kolumny. Przywykli do jazdy na autach żołnierze głośno klęli. Nocny pieszy marsz w pełnym rynsztunku — cóż to za nowe wymysły?!

Świt spłynął nagle na płową pustynię falą porannego słońca. Równocześnie prawie usłyszeli przed sobą gwałtowną strzelaninę.

— Straże przednie walczą z czołgami angielskimi! — meldował oficer na motocyklu.

— Dobrze! — Ramcke szybko wydawał rozkazy. — Przebijemy się... Piechota naprzód!

Włosi obsadzili linię wzgórz. Herbert poszedł razem z pułkownikiem Bernardi ku tyralierom. Leżąc na pagórku obserwowali toczącą się bitwę.

Mieli przed sobą szeroką kotlinę zamkniętą na horyzoncie rów-

niez pasmem wzgórz, innych niż te, które zajmowali poprzednio. U stóp mieli drogę, którą ciągnęły angielskie kolumny. Angielski patrol lekkich samochodów pancernych, zaatakowany przez straż przednią, cofał się ku swoim, zostawiwszy na placu jedno płonące auto. Niemieckie czołgi koncentrycznie parły za Anglikami.

— Dobrze się zaczyna... — mówił Bernardi.

Nagle ujrzeni, jak z cienia rzucanego przez tamto wzgórze wysunął się łańcuch nieprzyjacielskich czołgów. Teraz to przeciwnik był w przewadze. Działa czołgów były wściekle, utrudniając odwrót niemieckiej straży przedniej. Włosi szybko ustawili swoje działa przeciwpancerne.

Nad głowami poczęły gęsto świergotać kule. Bernardi położył się na ziemi, dwaj młodszy oficerowie ustawili przed nim peryskop.

— Źle, kiedy nie ma wywiadu lotniczego... — mruzczał Bernardi.

Za pierwszą linią czołgów angielskich ukazała się druga, potem trzecia. Równocześnie artyleria nieprzyjacielska rozpoczęła ogień w ich stronę. Herbert widział, jak jeden z czołgów niemieckich, trafiony pociskiem w samą budkę, stanął w płomieniach. Inny ze zwaloną gaśnicą został opuszczony przez załogę, która chyłkiem uciekła do tyłu. Angielskie czołgi, strzelając bez przerwy, parły naprzód. Artyleria rozbiwszy niemiecką straż przednią skierowała swój ogień na piechotę włoską.

Ani się obejrzeni, kiedy otoczył ich świst i jazgot nadlatujących pocisków. Tuż przed wzgórzem, na którym leżał Bernardi i Köstring, znajdował się inny piaszczysty pagórek, zajęty przez załogę cekaemu. Jeden z pierwszych pocisków artyleryjskich rąbnął właśnie w szczyt tego wzgórza. Wydawało się, że mają przed sobą wulkan. Kłęby dymu i piasku strzeliły w górę na olbrzymią wysokość. Baniasty szczyt zamienił się w lej, w którym zniknęli żołnierze wraz z cekaemem. Herbert czuł, jak sypie mu się na głowę deszcz piasku. Ale już padały nowe pociski. Jeden z nich poderwał zbocze ich pagórka i lawina osypującego się piasku porwała Bernardiego razem z peryskopem, ściągając go w dół do leja. Któryś z adiutantów pułkownika wył z bólu, miał urwaną stopę i poszarpany bok. Nadbiegli sanitariusze z noszami. Położyli na nie młodego porucznika, którego wycie zamieniło się w dziecinny płacz. Znowu kilka pocisków wyrznięto we wzgórze przed nimi, rozorując je aż do powierzchni pustyni. Piasek sypał się na głowy, dym gryzł w oczy, huk ogłuszał i otumaniał tak, że nie wiedzieli, w którą stronę mają się obrócić. Na chwilę, w przerwie między kłębami dymu, Herbert zobaczył kotlinę. Czołgi nieprzyjacielskie podchodziły już prawie do nich i czekały tylko, aż artyleria skończy swe dzieło. Zobaczył biegnących do tyłu żołnierzy włoskich. Bernardi coś krzyczał. Potem upadł. Köstring podbiegł do niego. Ale pułkownik o wielkim garbatym nosie i czarnych przetykanych siwizną włosach dzwignął się już na nogi. Miał rękę zranioną odłamkiem pocisku. Znowu krzyczał:

— Nie cofać się! Avanti!

Żołnierze nie słuchali go jednak. Ogień artylerii ścichł; równocześnie wybuchnął trzask karabinów maszynowych. Czołgi wjeżdżały na pozycje Włochów, zmiatając strzałami tych, którzy nie zdążyli uciec.

Cofali się od wzgórza do wzgórza, zasłaniany bezskutecznie przez włoskie działka przeciwpancerne. Herbert nie wiedział, gdzie się podziewa Ramcke. Do jego samochodu wskakiwali żołnierze w szerokich bufiastych spodniach, wzywając szofera do ucieczki. Inni wspinali się na dwie stojące obok ciężarówki. Na jednej z nich stał wielki zbiornik z wodą. Widząc, że się z nim razem nie pomieszczą żołnierze zepchnęli go na ziemię. Potem trafiły go kule i poprzebiły blachę. Z otworów trysnęła woda, chciwie pochłaniana przez piasek pustyni.

Bernardi znowu upadł trafiony w nogę. Ale teraz nikt się już nim nie zajął. Samochody napchane ludźmi uciekały z powrotem w głąb pustyni.

Herbert byłby pewno został na opuszczonej placówce, zatrzymawszy się przy rannym pułkowniku, gdyby nie stanął przy nim mały zwiadowczy samochodzik. Siedział w nim Rechenberg. Bez ceremonii wciągnął Köstringa do środka.

— Tu ranny pułkownik Bernardi... — próbował opierać się Herbert.

— Do diabła z nim! — krzyczał Rechenberg z wnętrza wozu. — Anglicy już są tutaj! Patrz pan!

Rzeczywiście, czołgi angielskie zsuwały się ze wzgórz i gnały przed sobą resztę rozbitej włoskiej piechoty. Równocześnie z boku wysypali się żołnierze w mundurach koloru khaki. Błysnęły bagnety. Doleciał ich krzyk: „Za swobodu!”

— Znowu jacyś cholerni Słowianie! — warczał pułkownik, kryjąc się za blachą pancerza, bo kulki zaczęły mu gwizdać nad głową. — Prędzej! — krzyczał do szofera.

Na szczęście szlak w piasku był przetarty i mogli prędko uciekać, nawet dognać kolumnę.

— Gdzie generał? — spytał Herbert.

Rechenberg machnął beznadziejnie ręką.

— Próbował natrzeć z prawego skrzydła resztą sił pancernych. Ale go rozbili. Zostawiliśmy w polu prawie wszystkie czołgi. Cofa się jak my. O tam — widzi pan? Jego kolumna zaraz się zejdzie z naszą.

Niedługo obie kolumny aut załadowanych po brzegi ludźmi spotkały się ze sobą. Herbert widział Ramckego, jak szedł wzdłuż łańcucha samochodów, aby rozpatrzeć się w sytuacji. Wyglądała żałośnie. Na horyzoncie za nimi widać było wciąż posuwające się czołgi angielskie, przed sobą mieli nagą pustynię, beznadziejnie rozległą,

sięgającą połowy afrykańskiego kontynentu. Na domiar złego dobiegł ich uszu groźny warkot.

Ze wschodu nadlatywała właśnie eskadra dwumotorowych Martinów „Marylandów”. Zanim zdążyli się rozproszyć na wszystkie strony, mieli już nieprzyjacielskie maszyny nad głową. Posypał się grad bomb między auta. Motory stawały w płomieniach, eksplozje następowały za eksplozjami. Herbert i Rechenberg leżeli obok siebie obserwując krążące ptaki. Wyraźnie nic nie robiły sobie z ognia kilku karabinów maszynowych skierowanych w pośpiechu ku górze. Przeciwnie, to ich właśnie rozdrażniło. Zdawały się łopotać skrzydłami, na których wymalowane były koncentryczne koła, czerwone, białe, niebieskie. Zagrzechotały karabiny maszynowe i zaczęły ciąć ogniem po kulących się w dole ludziach.

Minęło może ze dwadzieścia minut, nim eskadra skończyła swoje dzieło i odleciała. Ludzie rzucili się do aut. Lecz tabor był zdziesiątkowany. Nie było mowy, aby wszyscy mogli się na samochodach pomieścić.

Ramcke stojąc w samochodzie rozkazywał:

— Niech wsiadają tylko strzelcy spadochronowi, reszta pójdzie piechotą.

Jakiś major włoski, z głową obwiązaną bandażem, spod którego sączyła się krew, wyskoczył nagle z cizby swoich żołnierzy.

— Panie generale — wołał porywczo — proszę o zmianę tego rozkazu! Moi żołnierze nie pójną piechotą! Idziemy w pustynię...

Ramcke przerwał ten wybuch niemniej wściekłym krzykiem:

— Pan tu nie ma nic do powiedzenia! Wydałem rozkaz i ma się pan do niego zastosować. Chcę zaoszczędzić moich najlepszych żołnierzy. Nie obchodzą mnie pańscy tchórze!

Tłum Włochów krótko zawył. Major włoski, który z rozdrażnienia zrobił się trupio błądy, wskazał ręką za siebie.

— Anglicy nadchodzą. Pan generał chce, aby Niemcy uciekli, a my mamy za nich ginąć?

Ramcke wzruszył ramionami. Na jego rozkaz spadochroniarze wskoczyli na ocalałe auta.

— Zostawiacie nas bez wody! — krzyknął jakiś porucznik o ciekim czarnym wąsiku i kręcącej się czuprynie.

Nikt mu nie odpowiedział. Kolumna ruszyła, defilując przed rozbitym batalionem. Włosi patrzyli ponuro na odjeżdżających sprzymierzeńców. Niektórzy nie wytrzymali: poczęli biec za autami starając się na nie wskoczyć. Jęczeli żebraczymi głosami: „Kamerad... Kamerad... amico...” Lecz strzelcy kopiąc spychali tych, którzy czepiali się samochodów. Wkrótce szczątki rozbitej kolumny i tłum żołnierzy pozostał daleko w tyle, wśród piasków pustyni.

Straciwszy kontakt z nieprzyjacielem skęcili znowu na zachód. Radiostacja ocalała, starali się więc nawiązać połączenie z dowódz-

twem. Prawie pół nocy przeszło radiotelegrafistom na bezskutecznych wysiłkach. Wreszcie nadszedł rozkaz Rommla: „Koncentracja przeniesiona do rejonu Marsa Matruk. Poleca się grupie generała Ramcke unikać zbliżenia do Fuka, gdzie w tej chwili znajduje się nieprzyjaciół”.

Noc była znowu ciepła, nawet duszna. Kwatermistrz oddziału zrobił przegląd pozostałych zapasów wody. Było jej tak mało, że musiano zmniejszyć do połowy dotychczasową dzienną rację. Żołnierze narzekali, klęli lub leżeli bezsilnie na ziemi, ze spalonymi ustami. Dowództwo z trudem zdołało zmusić pluton mechaników do zrobienia przeglądu aut. Okazało się, że dwie ciężarówki wymagają dużych napraw.

Mimo to trzeba było zaraz, korzystając z mroku, podjąć dalszy marsz. Przed świtem dotarli do littorii na wysokości zatoki Kanais. Przednią straż kolumny stanowiły dwie czynne jeszcze pancerki — na jednej z nich jechał Ramcke, Rechenberg i Köstring.

Z tyłu, od ciągnących za nimi aut, dochodził jeden nie kończący się jęk: „Wasser... trinken...” Przed sobą mieli szeroką drogę pokrytą tu i tam lejami bomb, zarzuconą sprzętem i trupami. Nie mówili do siebie nic, ale te same myśli nurtowały tych trzech ludzi. Odwrót Rommla nie był widocznie strategicznym manewrem — odskakiwaniem w tył dla nabrania rozmachu przed uderzeniem. Tutaj na skraju drogi leżały dziesiątki i setki aut, a obok nich skrzynie z rozsypaną amunicją, z zapasami żywności, środkami opatrunkowymi. Ciała pozabijanych wały się tu i tam wśród pozostawionego sprzętu. Widzieli porzucone armaty, jaszczke, karabiny maszynowe. Broń nie była nawet zniszczona, widać porzucono ją pośpiesznie, ledwie mając czas na to, by ująć z życiem.

— Pamiętacie, panowie — mruknął Rechenberg — tak samo wyglądały drogi w Polsce i we Francji...

— Nawet w Rosji... — dorzucił Köstring. — W czterdziestym pierwszym...

— Tym razem „Stary” oberwał — przyznał Ramcke.

— Znalazł może godnego siebie przeciwnika.

— Bardzo prawdopodobne. Sprzęt sam nie zwycięża.

Jakaś sylwetka ludzka wychynęła z czarnej ściany nocy i trzymając ręce podniesione w górę podeszła do ich auta. Zatrzymali się. Posłyszeli jęczący głos.

— Aqua... Per Christo... Aqua... amici Inglesi...

— Nie jesteśmy Inglesi, durniu!

Na twarzy człowieka oświetlonej ręczną latarką nie wyczytali zachwyty z tego, że spotkał sprzymierzeńców. Był to podoficer włoskich wojsk pancernych. Porozdzierany mundur wisiał na nim w strzępach, głowę nakrywał postrzelany hełm korkowy.

— Anglicy są przed wami — powiedział.

— Gdzie nasze wojska?

— Kto to wie? — wzruszył ramionami. — Rozproszone. Nie ma ich. Dywizja Arlette wybita do nogi. Dywizja Trento to samo...

Nagle zmienił ton. Znowu mówił jęczącym głosem:

— Dajcie choć kropelkę wody... Dio... Cały dzień nie piłem...

Odpowiedź Rechenberga była krótka:

— Precz!

Pojechali zostawiając ślaniającego się na nogach człowieka. Skradali się ostrożnie, czując, że mogą w każdej chwili trafić na wroga. Równocześnie Ramcke oznajmił im swą decyzję:

— Skręcamy do oazy Siwa, Tu zaraz będziemy mieli drogę.

— Ależ, generale, to prawie trzysta kilometrów — oponował Rechenberg.

— Nie mamy wyboru. Jeśli nas świt zastanie tutaj — wpadniemy w ręce Anglików.

— A tam zginiemy z braku wody.

— Na jedno wyjdzie. Czy pan sądzi, panie pułkowniku, że Anglicy zostawią nas przy życiu? Minęły czasy, gdy można było liczyć na jakieś porozumienie między nami. Obecnie toczy się walka na śmierć i życie...

— Psst — Herbert położył rękę na ramieniu generała. Przed sobą na drodze ujrzeni tył jadącej ciężarówki. Przed nią jechała druga, przed tamtą znowu inne. Cały wąż aut.

Nagle znaleźli się w ognie angielskiej kolumny. Żołnierz w płaskim hełmie, siedzący na stosie skrzyń, pochylił się z góry ku nim.

— Hullo, boys — zapytał — you are just back from patrol, aren't you?

— Of course — powiedział Ramcke, wychylając się poza galeryjkę auta. — Been looking for Nazis during all day...

— Damned thing — powiedział flegmatycznie tamten.

— Sure.

Teraz trzeba było szybko działać. Trzej oficerowie, nie zatrzymując pancernego auta, które wjechało na ogon kolumny, zeskoczyli na ziemię. Poczęto budzić strzelców śpiących na samochodach. Za chwilę oddział biegł już z karabinami w rękach wzdłuż ciągnącej wolno kolumny. Potem rzucono się nagle na konwojujących żołnierzy. Powietrzem targnęło kilka strzałów. Ale wszystko nastąpiło zbyt szybko: zaspani żołnierze nie stawiali oporu.

To bezkrwawe zwycięstwo należało jak najszybciej wykorzystać. Błyskawicznie zmieniono roztrzęsione przez jazdę w pustyni auta niemieckie na samochody angielskie. Zabrano beczki z wodą i z benzyną, wyrzucając na drogę wszystko, co nie było strzelcom potrzebne. I zanim zupełnie się rozwidniło, kolumna Ramckiego zjechała z traktu, by na nowo zanurzyć się w pustynię.

Przelotny deszcz pozwolił zbiegom lżej odetchnąć. Ramcke zatrzymał kolumnę dla skontaktowania się telegraficznie z Rommlem: Wiadomość nadeszła szybko — wzywano ich do koncentracji w Ras Haleima. W Marsa Matruk byli już Anglicy.

— Idą naprzód jak wściekli — Rechenberg uderzył pięścią o pięść. — Nigdy nie zdołamy ich prześcignąć.

Jednakże dzięki temu, że mieli wodę i porządne samochody, mogli jechać szybciej. Parli naprzód cały dzień, potem całą noc. Nad ranem podeszli do szosy na wysokości Ras Haleima. O mało nie dostali się pod ogień włoskich samochodów pancernych, które stały na drodze. Była to tylna straż armii Rommła.

— Gdzie siły główne? — spytał Ramcke włoskiego kapitana, dowódcę straży tylnej.

— Prawdopodobnie na przełęczy Halfaja, signor generale.

— Szybki odwrót...

— Trochę za szybki, panie generale. Łatwo uciekać, gdy się jest w aucie, ale co ma robić nasza piechota?

Rzeczywiście, zaledwie o dwa kilometry dalej spotkali śmiertelnie znużone kolumny cofającej się piechoty włoskiej. Ludzie szli bez przerwy dzień i noc i tak nie mogąc nadażyć za trzonem armii. Podczas mijania widzieli gniewny wzrok tamtych. Kilkakrotnie polecał w ich stronę obelżywy okrzyk: w pewnej chwili zobaczyli zaciśniętą pięść podniesioną ku nim gestem pogroźki.

Osobno, bokiem drogi, szła grupa żołnierzy niemieckich. Tych zabrali na auta, lękając się po prostu, że doprowadzeni do pasji sprzymierzeńcy zarzną ich na najbliższym postoju. Wśród zabranych Niemców Herbert ze zdumieniem zobaczył pilota swej eskadry, podporucznika Süskindera.

— Co ty tu robisz, Max? Dlaczego nie w eskadrze?

Młody oficer wyglądał oplakanie. Usta miał spękane do krwi. Włosi nie chcieli im dać ani kropli wody. Zwilżali tylko usta moczem. W nocy trafili na drogę — przedtem błędzili przez całą dobę w pustyni.

— Och, modliliśmy się już, aby spotkać Anglików... — szeptał Süskinder pochylony nad kubkiem wody, jakby nie słysząc pytania..

— Dobrze. Ale gdzie eskadra?

— Eskadra? — Wydawał się zdumiony tym pytaniem. — Ależ eskadry nie ma. Zaraz w pierwszym dniu ofensywy mieliśmy rozkaz zbombardowania stanowisk artylerii angielskiej. Stracono nam dwa aparaty: Berckholza i Klaagego. Potem napadły na nas Hurricane'y i amerykańskie „Martlety”. Straciliśmy znowu dwa aparaty: pańskiego zastępcę, commodore, i Menzla. W nocy przyszedł nalot. Zniszczono nam na lotnisku wszystkie maszyny... Zostaliśmy rozproszeni... Nie wiem, gdzie są koledzy...

Zbliżali się do pasma wzgórz, które tworzą na pograniczu Cyre-

najki i Egiptu spiczasty przyczółek zwrócony ostrzem na wschód i podchodzący blisko do morza. Za nimi zostało Sidi Barani i Bug-Bug. Przed przełęczą Halfaja dogonili główne siły armii Rommla.

Ale na powitanie nie było czasu. Nieprzyjacielskie lotnictwo nadlatywało falami na kolumny. Ten dzień, gdy długi wąż armii musiał się przeprowadzić przez wąską w tym miejscu drogę, należał do najstraszniejszych w życiu Herberta. Ani na chwilę nie ustawał atak lotniczy. Niebo było pełne warkotu i szumu. Mieli nad sobą dwumotorowe Bristole „Beaforty”, Bristole „Blenheimy”, Martin „Marylandy”, Douglas „Bostony”, Vickers „Wellingtony”. Wszystko to waliło bomby na wąską drogę, a potem wymiatało ogniem karabinów maszynowych rozproszonych na pustyni żołnierzy. Noc nie przyniosła poprawy. W świetle palących się rakiet bombardowanie szło dalej. Niemieckich samolotów nikt nie widział od dawna. Artylerii przeciwlotniczej zaczęło brakować amunicji. Przeprowadzenie poszczególnych aut przez przełęcz przypominała okrutną zabawę w kotka i myszkę. Na domiar złego droga w najwęższym swym miejscu była poszarpana przez leje i zarzucona zniszczonym sprzętem.

W Sollum Köstring natknął się na Rommla. Generał siedział w swym samochodzie w cieniu palm i wysłuchiwał raportu oficerów. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— Ach, to pan, panie majorze? — zauważył stojącego Köstringa. — Chodź pan tu do mnie. Podobno przeżyliście kilka ciężkich dni?

Nalał sobie z syfonu wody do kubka. Poprawił hełm korkowy na głowie.

— Prawdziwą epopeję — mruknął Köstring.

— Opowiadał mi Ramcke. Włochów zgubiliście na pustyni? Ja robię to samo. Żadne wojsko. Oni wyobrażają sobie, że bronią tego kraju. Śmieszni ludzie!

Machnął ręką i sięgnąwszy do fajki począł ją starannie napychać.

— Powiada Clausewitz: „Nigdy nie widziano, aby państwo, które w sprawie innego państwa występuje, przejmowało się nią równie poważnie, jak swoją własną”.

— Pan marszałek zna świetnie „Vom Kriege”.

— Tak. To jest jedyna książka, która mnie interesuje. Podobno Montgomery dużo czyta. Nie wiem, czy mu to pomoże w walce ze mną.

— Pan marszałek pozwala mu iść naprzód.

— Pozwalam. Co mi szkodzi? Potem zawrócę. Naturalnie muszą mi przysłać więcej lotnictwa.

Znowu zaszczekały działka przeciwlotnicze; zaczął się nalot na Sollum. Jedna z bomb rozwalila w ich sąsiedztwie samochód wiozący zbiorniki z wodą. Widzieli, jak żar słoneczny zlizuje spiesznie uciekające w ziemię srebrzyste strużki. Krajowcy stojąc w progu

swych chat patrzyli na to ze zgorzeniem. W tej ziemi rozlewanie wody uchodzi za ciężki grzech.

Rommel odjechał. Herbert został sam. Miał do dyspozycji motocykl z żołnierzem i nie posiadał żadnych funkcji. Jego eskadra nie istniała: po „Muchach”, „Wilkach” i „Mickeye” były przeszłością. Nie miał przyjaciół. Kolejno znikali z jego życia Walter, Kurz, Kerscheneister, Kostrzewa, von Maries. Nie miał miłości — nie czekały go ramiona żadnej kobiety. Nie miał wiary, nie ufał w zwycięstwo.

Bolała go głowa i czuł dreszcze. Może przepalił sobie głowę pod promieniami afrykańskiego słońca? Z dała rozlegała się ciągle kanonada — nieprzyjaciel starał się na Halfai odciąć ogon niemieckowłoskiej kolumny. Wojska uciekały w coraz większym popłochu. Znowu nad głowami przemknęła eskadra amerykańskich Curtissów, bijąc ogniem karabinów maszynowych po cofających się oddziałach. Nadjechała ciężarówka z żołnierzami niemieckimi. Zatrzymała się pod palmami, aby zwalić na ziemię jakieś skrzynki. Wtedy podbiegli żołnierze włoscy pragnąc się dostać na samochód. Odpowiedziano na te próby kopnięciami i uderzeniami pięści. Nagle jeden z Włochów odbezpieczył granat i cisnął go do wnętrza wozu. Herbert ujrzał zeskakujących z samochodu ludzi, wybuch, padających żołnierzy... Zaszczekały pistolety automatyczne...

Nie wiadomo, co by się dalej stało, gdyby spoza domów osady nie wybuchnął potężny i niespodziewany ogień dział i karabinów maszynowych. Na ten hałas wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki, przewracając się nawzajem, tratując leżących, krzycząc... Ludzie stanowiący niedawno potęgę, która groziła Aleksandrii i Kairovi, teraz wyglądali jak wystraszona trzoda. Strzelanina wzmagala się. Herbert ujrzał nagle paru Włochów ciągnących armatkę przeciwpancerną i ustawiających ją za węglem murowanego domku.

Podszedł do nich. Ładowali spiesznie nabój do lufy. — Co się tam dzieje? — zapytał. Warknęli coś, czego nie zrozumiał. Ale już nie potrzebował pytać: ujrzał lekki czołg sunący szybko w ich stronę. Armatka huknęła odrzucając za siebie łuskę. Fontanna dymu i piasku wytrysnęła za czołgiem, nieco z boku. Drugi, trzeci, czwarty raz — nie mogli go trafić. Oskoczyli i zarzuciwszy na ramiona pasy od armatki pociągnęli ją na nowe stanowisko. Köstring poszedł za nimi. Placyk, na którym jeszcze przed godziną rozmawiał z Rommlem, był teraz pusty. Motocykl znikł. Z innej uliczki wypadł pluton żołnierzy włoskich z cekaemem. Przypadli za pień palmy i poczęli strzelać w stronę, skąd nadbiegli. Herbert posłyszał koło uszu świst kul. Więc i nieprzyjaciel strzelał. Przyklękawszy ujrzał na końcu uliczki dwa czołgi. Włosi cofali się, potrącając go, bo im stanął na drodze. Jakiś podporucznik krzyknął: „Nie płatać się tutaj!” Pędzili do tyłu, Herbert pobiegł za nimi. Mignęło mu ciężarowe auto niemieckie, na którym stał żołnierz i machał w kierunku nacierających czołgów białą chustką. „Woli się poddać” — przebiegło Herbertowi przez głowę. Biegł dalej. Było mu strasznie gorąco. „Przecież to jest

Afryka...” — powtarzał sobie. Potknął się i upadł. Zobaczył koło siebie arabskiego chłopca, który wylazłszy z jakiejś nory patrzył ciekawie na bitwę. Köstring wstał i biegł znowu. Po chwili znalazł się poza zabudowaniami, w małym palmowym zagajniku. Było tu znacznie więcej żołnierzy włoskich, leżących za barykadami z poprzewracanych aut i spiętrzonych skrzynek. Gdy znalazł się wśród nich, otoczyły go gniewne twarze. Nagle zrozumiał, że ci ludzie nienawidzą go ze wszystkich sił. Nie odzywano się do niego jak do oficera-sojusznika. „Uciekaj, porca tedesca!” — ciskano w jego stronę. Oparł się o pień drzewa nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Wreszcie nad furią żołnierzy zapanował jakiś kapitan w podartej koszuli, spod której widać było śniady tors porośnięty gęstym kręconym włosom. Powiedział bez szacunku, lecz stanowczo: „Niech pan zostanie, majorze”. Zresztą czołgi wysunęły się już spośród domków na pole i szły w ich kierunku. Rozpoczęto przeciwko nim dziką, chaotyczną, nerwowa strzelaninę. Gdy udało się im rozbić jednego pancernego potworka, zaczęli wyć z radości: „Eja! Eja!” Lecz zaraz przycichli: pocisk armatni roztrzącił liście palmy i rozszczyił jej pień. Znowu prasnęło kilka pocisków. Kapitan dał rozkaz odwrotu. W tej samej jednak chwili padł na twarz pławiąc się we krwi. Jakiś porucznik objął komendę. Nie chciano go jednak słuchać. Ludzie rzucili się ślepo do ucieczki, prosto na wyprażoną w słońcu piaszczystą równinę. Oprzytomnieli dopiero usłyszawszy ostry, stentorowy głos, który ich wzywał do pozostania. To mnich w białym habicie, zajmujący się przedtem rannymi, teraz zaczął z niebywałą energią wydawać komendy. Dzięki niemu odwrót nie zamienił się w bezładną ucieczkę. Szli do tyłu, ogniem swych działek utrzymując czołgi w należytej od siebie odległości. Starali się wrócić na drogę i nie dać się zepchnąć na pustynię.

Lecz odzyskany porządek został niespodziewanie zakłócony. Z jakiejś mijanej chaty wyskoczył podoficer włoski z oczami szaleńca, niby diabeł z czarodziejskiego pudełka, nastroszony, z rękami w górze, krzycząc cienkim, przeraźliwym głosem. Nie od razu zrozumieli to, co wrzeszczał. Ale po chwili przyniesiona wieść wybuchnęła między nimi jak mina. Było to coś groźniejszego niż pociski, jakie rozrywały się obok, niż świst kul koło uszu. Dla ludzi walczących na ziemi, którą uważali za własną, wieść ta zabrzmiała jak powiew nadchodzącej tragedii. Rozumieli ją dobrze, choć dotyczyła miejsc odległych o setki kilometrów dalej na zachód. Od razu zamarła w nich chęć do dalszej walki.

Herbert idąc wśród cofających się żołnierzy słyszał teraz ich ponure narzekania:

— Amerykanie wylądowali w Algierze... Amerykanie w Algierze...

Nowa fala ognia targnęła oddziałem. Czołgi podchodziły coraz bliżej. Na niebie ukazała się eskadra „Marylandów”.

Kapitan Wolf Schneditz zszedł po pokrytych lodem schodach, wcisnął się w wąski i niski otwór drzwi, by dotrzeć wreszcie wilgotnym korytarzem aż do piwnicy, która mu służyła za mieszkanie. Całonocna służba zmęczyła bo bardzo. Rosjanie atakowali ich kilkakrotnie, wzmacniając swe natarcie skoncentrowanym ogniem artylerii. Udało im się wdrzeć do narożnego doku, a raczej pod stos gruzu, stanowiący jakby kopiec grobowy wielkiej sześciopiętrowej kamienicy, i wyprzeć stamtąd miotaczami ognia niemiecką załogę. Po upadku narożnika, oznaczonego na planie miasta literą „M”, trzeba się było cofnąć i oddać nieprzyjacielowi około dwustu metrów ulicy. Dopiero nadejście dwóch nowych kompanii zatrzymało radziecki atak na najbliższej przecznicy.

Szary świt zastał ich na nogach, wkopanych w gruz, z kolbami karabinów przy szczękach, z dłońmi przymarzającymi do broni. Z daleka widzieli lodowisko Wołgi. Suchy, mroźny powiew szczyphał twarze i wywoływał dreszcze.

Z oparów nocy poczęły się wysuwać pierwsze promienie słońca. Ale był to blask złudny — nie przynosił bowiem ani ciepła, ani światła,— tylko jakąś rudo-ponurą aureolę, która była udręką dla ich przemarzniętych ciał i pełnych niepokoju serc.

Wolf zapaliwszy świecę zdjął hełm i zastąpił go miękką czapką. Potem ściągnął z siebie biały kitel. Dalej się nie rozbierał; w mroźnej piwnicy musiało być wiele stopni poniżej zera.

Żołnierz przyniósł mu chleb i kawę. To wprawiło oficera w nieco lepszy humor. Parząc wargi pił łapczywie z kubka; poczuł wreszcie, jak mu krew żywiej krąży w żyłach.

Był zmęczony, spać mu się jednak nie chciało. Rozsiadłszy się na stołku nie miał ochoty nawet wstać, aby przejść na łóżko. Ściągnął tylko rękawice i poranionymi od odmrożeń palcami zaczął szukać papierosów.

Piwnica była mała, ciemna, pachniało w niej wilgocią i stęchlizną. Okienko w górze było zasłonięte workiem z piaskiem. Umeblowanie kwatery składało się ze stołu, dwóch stołków i tapczanu.

Świeca paliła się spokojnie, dym z papierosa płynął w górę wąską smużką. Na ścianie przed Wolfem wisiało kilka kart pocztowych z widokami Wiednia oraz fotografia puciołowatej panienki. To była Hedda, narzeczona kapitana. Zaręczył się z nią ostatniego lata, podczas dwutygodniowego urlopu. Rodzice Heddy posiadali restaurację, którą pragnęli przekazać mężowi swej jedynaczki. Był więc i obiad zaręczynowy, zresztą odbyty w skromnym kółku rodzinnym, aby nie budzić zgorszenia i nie pokazywać nikomu, że prócz wiktuałów kartkowych można zjeść gęś i prawie przedwojenny pasztet. Trącali się kufkami piwa. Przyszły teść, również puciołowaty jak jego córka, zapewniał z wylaniem, że jeśli już raz wszystko się skończy,

to młodzi będą mogli zamieszkać u nich, o nic się nie troszczyć. On już im da utrzymanie. Wolf będzie mógł sobie malować obrazy — jeżeli go to bawi — i kochać żonę. Potem otrzyma restaurację, co mu przecież nie powinno chyba przeszkadzać w uprawianiu sztuki. Będzie mógł robić jednocześnie i to, i tamto. Nieprawdaż, chłopcze?

Zupełnie się z tym zgadzał. Hedda była miłą, serdeczną dziewczyną, która patrzyła weń jak w słońce. Czegóż mógł chcieć więcej? Trzeba było jednak pecha, że jego samolot podczas ataków na przeprowadzających się przez Wołgę Rosjan został uszkodzony i przymusowo lądował na lotnisku stalingradzkim. Szósta armia była już wówczas otoczona, ale to chwilowe osaczenie nikogo nie martwiło, Scherer mógł wytrzymać zeszłej zimy w Starej Rusi trzy miesiące, dlaczegoż by oni nie mieli wytrzymać tutaj choćby dwa razy tyle? „Stuki” Schneditza nie dało się już uruchomić, zabrakło też okazji do zabrania oficera. Samoloty przylatujące przywoziły żywność i amunicję — odlatujące brały rannych. Potem nagle wojska radzieckie przypuściły gwałtowny szturm i zdobyły lotnisko. W Pitomniku niektóre samoloty próbowały jeszcze lądować w polu, kończyło się to jednak katastrofami. W końcu zerwał się kontakt lotniczy i Wolf musiał objąć stanowisko zwykłego liniowego oficera piechoty, aż do czasu, gdy będzie mógł powrócić do swoich.

Chociaż Schneditz był przyzwyczajony do walki lotniczej, dawał sobie jednak dobrze radę z obowiązkami dowódcy batalionu, jakie na niego spadły. Nie mógł ich jednak spełniać równie beztrudnie jak jego koledzy. Ci byli święcie przekonani, że otoczenie jest chwilowe i trzeba tylko wytrwać do czasu, aż swoi przerwą pierścień wroga; wtedy na obrońców spadnie deszcz awansów, krzyży i odznaczeń. Zafascynowani tą wiarą nie widzieli strat ponoszonych przez broniącą się armię. Schneditz lepiej znał położenie. Wiedział, że mur Rosjan otaczających szóstą armię jest gruby i rósł z każdym dniem. Jednak i on nie tracił wiary w nadejście pomocy. Ale kiedy nadejdzie? W poczuciu grożącego niebezpieczeństwa myślał z pełną tęsknotą serdecznością o narzeczonej.

Papieros zgasł. Wolf nie zapalił go na nowo. Sięgnął za łóżko i wy dobył stamtąd gładką deskę, do której przypięty był arkusz brystolu. Szkicował na nim obraz, którego pomysł dawno już nosił w sobie. Teraz postawił szkic przed łóżkiem i począł mu się uważnie przyglądać.

Obraz przedstawiał zbocze górskie spadające stromo ku mrocznym dolinom. Droga biegnąca po zboczu przechodziła w skręty i zakosy, gubiąc się wśród rumowiska głazów. Ledwo zaznaczone na rysunku kilkoma szczegółami dno doliny tchnęło opuszczeniem i martwością. Było to niby pole niewidzialnej walki — i niewidocznej, choć dającej się wyczuć klęski. Nad tym wisiał ciemny opar, którego koloryt odpowiadał kolorytowi nieba nad Stalingradem, zasnutego dymem, pyłem miazdżonych domów i mroźno-jaskrawym blaskiem rudawego słońca. Bliżej ku przodowi obrazu niebo się wypogadzało.

Słońce, promienne i jasne rozlewające swój blask w przezroczystym powietrzu, świeciło spoza pleców patrzącego. Tam gdzieś był szczyt i tam była wiosna.

Ku temu szczytowi zdążył sznur ludzi. Pierwsze ich szeregi wyszły już poza obraz, ostatnie gubiły się jeszcze na dole. Drugi wąż ludzki zstępował w dół. Widać było tylko plecy, zgarbione ramiona obwisłe ciężko ręce, schylone głowy. I jedno, i drugie sylwetki były lekko zaznaczone, lecz w samym zarysie postaci, widać było pełen rozmachu i szczęścia poryw tych, co zmierali ku słońcu, i tragiczną apatię zstępujących w mrok.

Na pierwszym planie mijali się jacyś ludzie i dwóch z nich spojrzało właśnie na siebie. Ich twarze, zwrócone ku sobie, wypowiadały swoim wyrazem nastrój szeregu, do którego należały. Zaznaczona tylko charakterystycznymi kreskami twarz człowieka w szeregu idącym w górę była twarzą samego Wolfa: pogodna, gładka, prawie chłopięca, pokryta blaskiem zapału — może nawet szczęścia. Spojrzenie w bok nie zmieniło jej wyrazu; nawet oderwawszy wzrok od blasku ten człowiek był zapatrzony w blask. Pewno też nie widział tamtego, ku któremu zwrócił głowę.

Inaczej wyglądał człowiek z szeregu zstępujących. Miał on także rysy Schneditza: ciężki podbródek, równe czoło. Ale w tym obliczu nie było harmonii. Wzrok z niepokojem wpijał się w twarz mijanego sobowtóra, wygięte usta zdawały się mówić o przeżytej tragedii.

Obaj mężczyźni szli i tylko w przelocie zwrócili ku sobie głowy. Widać było, że żaden z nich nie stanie — żaden stanąć nie może. Za chwilę się rozejdą, by się już nigdy nie spotkać. Jest to ich ostatnie spotkanie...

Wolf długo patrzył na dzieło swych rąk, potem znowu wsunął rysunek za łóżko. Zdjął zegarek z ręki i położył go na rogu stołu. Wyciągnął się na łóżku owijając w koce. Dmuchięciem zgasił świecę.

Leżał spokojnie i próbował zasnąć. Przez szparę obok zatykającego okno worka wśliznęła się do piwnicy smuga blasku. Teraz oficer słyszał — choć było to prawie niemożliwe — łomot dział na powierzchni ziemi. Raz po raz następowały po sobie jakieś bezgłośnie wstrząsy, od których dom nad piwnicą drżał i kołysał się przenosząc targnięcia aż w głąb schronu. W końcu zasnął. Ale niedługo pozwolono mu spać. W dwie godziny później zjawił się w piwnicy podoficer służbowy z wezwaniem na odprawę do dowódcy dywizji. Wróciwszy z odprawy, Wolf siadł znowu przy stole i zapalił papierosa. Armaty były bez przerwy, domem trzęsły dreszcze. Wkrótce goniec z odcinka przyniósł wiadomość, że Rosjanie przy użyciu czołgów przełamali linię niemiecką o trzysta czy czterysta metrów od stanowiska batalionu Schneditza i teraz wykańczają otoczonych piechociarzy. Na skutek odkrycia flanki trzeba było podnieść ze snu zluzowaną po walce część batalionu i wzmocnić nią lewe skrzydło, zanim nie nadejdzie obiecana przez dowódcę odcinka pomoc. Wolf wyszedł

z piwnicy i stojąc w załomie roztrzaskanej bramy obserwował biegnącą na stanowiska kompanię. Jej dowódca, porucznik Krumpelt, przechodząc zameldował się swemu dowódcy.

— Jak tam, panie kapitanie, czy prędko nas odetkają?

— No... nie wiem... — Wolf z trudem przełykał ślinę. — Nie wiem...

— Bo do cholery, mogliby się już nami zainteresować!

— Pewno... Ale niech pan idzie do kompanii. Boję się, że spadnie na nas bolszewickie natarcie.

Porucznik odszedł. Schneditz oparty o ceglana kolumnę patrzył na rozdygotaną od strzałów ulicę. Pytanie Krumpelta zaskoczyło go. Właśnie przed godziną usłyszał na odprawie coś innego: sytuacja beznadziejna. Na pomoc nie liczcie. Macie się jednak bronić do ostatniego żołnierza. Taki rozkaz.

W sąsiedztwie zaszczekało kilka razy działko przeciwpancerne — może rozpoczął się atak czołgów? Batalion Schneditza był obecnie w trudnej sytuacji. Linia pozycji, którą miał za zadanie bronić, biegła wzdłuż zabudowań fabryki cementu, przecinała ulicę, mały skwer, drugą ulicę i tu powinna się kończyć na dużym, stosunkowo mało zniszczonym domu narożnym. Jednak po upadku sąsiadującej z batalionem Wolfa dywizji rumuńskiej trzeba było wypełnić lukę między tym właśnie domem a kompleksem budynków garażowych. Z rozbitej jednostki przeszła do batalionu Schneditza kompania piechoty chorwackiej, ale i tej nie starczyło do zatkania wylotu. Nawet wspólnie z kompanią Krumpelta stanowiła słabą tylko zaporę.

Wolf przemknął się szybko pełną świstów ulicą i wszedł na skwer. Śnieg tu leżał głęboki. W środku skweru porobione były leje dla przeciwlotniczych karabinów maszynowych.

Gdzieniedzie sterczały z ziemi jakieś postrzępione słupki. Wolf nagle uświadomił sobie, że są to rozdarce przez pociski drzewka. Spod śniegu wyglądała także krata ogrodzenia.

Za skwerem była znowu ulica. Zanim ją przekroczył, klęczący pod murem podporucznik pokazał mu rozbity u wylotu ulicy czołg radziecki.

Wszedłszy między stos gruzu Schneditz natknął się na Krumpelta. Porucznik obserwował przez lornetkę ruchy piechoty nieprzyjacielskiej.

— Co się tam dzieje?

— Podciągają... Atak murowany. Jeśli nie teraz, to w nocy.

— Jak się sprawują Chorwaci?

— Nieźle. Tylko że ja nie lubię patrzeć na słowiańskie gęby.

— Tak?

— Gdyby nie to, że nam służą, miałbym ochotę kazać naszym pociągnąć po nich maszynką.

Krumpelt był wielki, tęgi i barczysty. Miał rudą czuprynę i rudy zarost. O wiele starszy od Schneditza — w piechocie nie można było równie szybko awansować jak w lotnictwie — przewyższał go doświadczeniem zawodowego oficera. Toteż choć uznawał nad sobą dowództwo tego spadłego z nieba pilota, robił to z nieukrywaną niedbałością.

— A co było na odprawie? — zagadnął Wolfa.

— Właśnie chciałem panu powiedzieć... Kazali to zresztą ogłosić żołnierzom. Sytuacja ciężka... bardzo ciężka. Ale jest rozkaz: bronić się do ostatniego naboju.

Krumpelt parsknął krótkim śmiechem.

— Bujdy!

— Dlaczego bujdy?

— Bo, panie kapitanie, w to nikt nie uwierzy. Sytuacja ciężka? Może beznadziejna? Bujdy! Że ciężko — to wiemy. Ale że nas odełkają — to także wiemy.

— Kto wie?...

— Co też pan kapitan mówi? My wiemy dobrze: gdyby nas naprawdę nie mogli odełkać, nigdy by się do tego nie przyznawali. Prawda?

Wolfa zaskoczyło rozumowanie Krumpelta.

— Ano może i tak...

— Niech mi pan wierzy, że tak jest. Ja jestem stary wróbel. I nasi żołnierze to też stare wróble. Tak samo będą mówili. Bycze chłopaki. Zaczęliśmy wojnę od zdobywania Warszawy. Pamięta pan? „Festung Warschau”. Diabła tam „Festung”. Taka sama forteca jak i nasz kochany Stalingrad. Ale bronili się... Lubię, jak Polacy czy Rosjanie się bronią. Kiedy ich można zabijać. Żeby tylko nie byli od nas silniejsi...

Spoza zaśnieżonego rumowiska gruzów, zza pogiętych szyn i wodociągowych rur wysunęła się biała sylwetka żołnierza. Sina twarz podwiązana była chustką, ciemne oczy lśniły groźnie. Żołnierz podszedł do oficerów.

Pan porucznik Hölder melduje, że bolszewicy szykują się do ataku na nas. Podciągają czołgi...

— Dobrze. Powiedźcie panu porucznikowi, aby meldował dalej o wszystkim, co spostrzeże.

Żołnierz zniknął wśród leżących na ziemi bloków i polepionych wapnem cegieł powyrywanych ze ścian zwałonego domu. Obaj oficerowie zapalili papierosy.

— Tak właśnie wyglądała Warszawa, gdyśmy do niej wchodzili: kupy cegieł, osmolone ściany, sterczące z ziemi żelastwo... — Krumpelt powrócił do swych wspomnień. — Przyznam się panu kapitanowi, że lubię patrzeć na ruiny. Czuję wtedy w sobie siłę... Nie ma

milszego uczucia jak świadomość, że wszyscy są słabi, a my — najmocniejsi.

— Piękną rzeczą jest siła... — bąknął Wolf, zajęty rozcieraniem zmarzniętych policzków.

— Defilowaliśmy w tej Warszawie przed Führerem. Naturalnie na ulicy nie było żywej duszy. Tu i tam dymiły się jeszcze domy. Na chodnikach były groby.

— A cóż potem robiła wasza armia? — pytał Schneditz.

— Potem? Braliśmy udział w kampanii francuskiej. Łamaliśmy front belgijski. Znowu szło się po ruinach! Cośmy tych domów narozbijali, trudno policzyć. Pamiętam, w jakimś mieście stali ludzie i bezceli patrząc na pożar. Śmieliśmy się z nich...

Nieustanna strzelanina, która rozlegała się wśród gruzów olbrzymiego miasta, nie zwracała ich uwagi. Doświadczonym uchem umieli odróżnić zwykłą, nekającą pukaninę, jaką prowadziły bez chwili przerwy obie strony, od niepokojącego natężenia ognia dział i karabinów maszynowych, gdy rozpoczynało się natarcie.

— W Jugosławii was nie było?

— Nie. Siedzieliśmy w Polsce aż do czasu wojny z Rosją. Dobrze to były miesiące: człowiek miał do żarcia masło, jaja, słoninę, bo chłopci musieli wszystko dawać. Jakby nie dali — kulą w łeb. Za to w czterdziestym pierwszym poszliśmy na Budionnego. W Kijowie — jak pan kapitan wie — trafił Herzschnag marszałka Reichenau. Od tego czasu dowodzi nami Paulus...

Wolf bez uwagi przysłuchiwał się słowom Krumpelta. Właściwie nic go nie obchodziła historia szóstej armii. Był zmęczony, powieki ciążyły mu kamieniem. Nie było rzeczy, która by go mogła w tej chwili porwać do życia. Nawet wspomnienie Heddy. Bo tak naprawdę, z ręką na sercu — nie umiałby powiedzieć, czy bardzo swoją narzeczoną kocha. Była miła, dobra, łagodna... Ale jednocześnie była młoda, trochę hulaśliwa. Kręciła się po restauracji ojca, aż furczały jej plisowane spódniczki. Patrzyła na życie straszliwie niepoważnie. „Wiesz, kupię do kuchni same aluminiowe garnki. A w pokoju firanki będą wisały na długich mosiężnych karniszach. I na każdym oknie ustawię kwiatki. Będzie tak miło... Bo ty to lubisz — prawda? I będziesz malował, a ja będę twoje obrazy pokazywała gościom...” Będzie malował?... Czy dziś potrafiłby jeszcze władać pędzlem? Do tego trzeba zdjąć płaszcz i futrzany kaftan — a czy w ogóle jest na świecie miejsce tak ciepłe, aby można było to zrobić? Zresztą jeśli się nawet rozbierze, to i tak o wojnie nie będzie mógł zapomnieć. I jak tu malować obrazy, wciąż pamiętając o tym, że wróci się na front i będzie się latało nad nieprzyjacielem, ciskało bomby, wracało po nowe, odpierało ataki myśliwców? I ciągle, ciągle tak samo...

— Pan kapitan zasypia na stojąco — posłyszał głos Krumpelta.

Otrząsnął się z morzącego go snu i dreszczów zimna, które trzęsły całym jego ciałem.

— Rzeczywiście. Wie pan co? Nie ma sensu, abyśmy teraz obaj czuwali, kiedy na odcinku spokój. Uderzenie nastąpi nie wcześniej niż po południu albo może i w nocy. Do tego czasu podrzemiemy obaj na zmianę. Ja teraz pójdę, a o dwunastej pan. Zgoda?

— Doskonale, panie kapitanie.

Znowu poprzez pełną świstów ulicę, zaśnieżony skwer i drugą ulicę doszedł do muru fabryki cementu. Wzdłuż muru zawędrował do rozbitego domu, gdzie znajdowała się jego kwatera. Zszedł na dół, rzucił się ciężko w całym rynsztunku na łóżko. Powiedział do sprzątającego w piwnicy ordynansa:

— Obudź mię o dwunastej... albo nie, o wpół do dwunastej. I od razu dasz mi wtedy coś gorącego do zjedzenia...

— Rozkaz, panie kapitanie.

— A teraz tu się nie kręć, bo nie będę mógł zasnąć...

— Idę, panie kapitanie.

Drzwi stuknęły. Wolf zaczął zapadać w sen, ale nie dane mu było tego dnia odpocząć. Żołnierz wrócił nagle do piwnicy.

— Panie kapitanie! Panie kapitanie! Proszę wstać!

— Cóż, u licha? Czyżby to już było wpół do dwunastej?

— Nie, panie kapitanie, ale przyszedł pan generał na inspekcję odcinka.

Jednym podrzutem Wolf zeskoczył z łóżka. Poszedł na górę przecierając klejące się powieki. Stał tam generał i kilku niższych oficerów.

— Obudziłem pana, panie kapitanie...?

— Głupstwo, panie generale... Drzemałem po służbie...

— Dobrze. Proszę, niech mi pan objaśni swoje położenie.

— Rozkaz. Tutaj, panie generale, gdzie ten mur, mamy cementownię. Pozycja dobra. Tyły wspierają się o trzeci batalion. Poza tym fabryka budowana w betonie — mamy tam dobre naturalne schrony...

— A ulice?

— Pan generał pyta o umocnienia? Słabe. W nocy nas wyparto z tamtego odcinka, gdzie były barykady przygotowane przez pionierów. Tutaj mamy tylko zasłony własnej roboty.

— Co to za dom na lewo?

— Jakiś hotel robotniczy. Też dobra, pozycja. Ściany z żelazobetonu wytrzymały wszystkie bombardowania. I póki nasz odcinek zamykał się między cementownią a tym hotelem, nawet przy słabym umocnieniu ulic moglibyśmy uważać, że jesteśmy w położeniu pomyślnym.

— Ale pan utracił jeszcze oparcie na lewo, za tymi garażami, tak?

— Właśnie, panie generale. To jest dziura, dla zamknięcia której musiałem postawić na nogi nocną zmianę żołnierzy.

— Chce pan pomocy?

— Czekam na nią, panie generale.

— Obawiam się, że pan jej nie dostanie. Sił wiele nie mam. Natomiast, kapitanie, mam raport, że Rosjanie szykują się do wielkiego natarcia. Pańska pozycja jest w tej chwili przyczółkiem, na który wszystko się zwali. Musi się pan bronić aż do ostatniego żołnierza. Rozumie pan? Do ostatniego. Dostanie pan amunicję. Podsunę tu panu baterię. Może zresztą wykombinuję jakąś luźną kompanię. I to panu będzie musiało wystarczyć. Resztę zostawiam pańskiemu talentowi. Jako pilot musi pan pokazać talenty swej broni...

— Będzie trudno, panie generale. Skrócę chyba front.

— Niech pan skraca, ile pan chce. Tylko cofnąć się panu nie wolno. Choćbyście tu mieli zginąć wszyscy...

Podał rękę Schneditzowi i poszedł do czekającego nań za załomem muru auta. Wolf wolnym krokiem wrócił do swej piwnicy. Jeszcze miał godzinę czasu na odpoczynek. Ale senność go odeszła. Leżąc w ciemnościach słyszał wyraźnie dwa pukania — serca i zegarka... Teraz był pewny, że nic ich nie uratuje. Żołnierze nie będą wiedzieli... Może to i lepiej... Może lepiej myśleć równie prymitywnie jak i oni: trwać w otepieniu, poddawszy się biernie rozkazom i wierząc im...

Nie żałował Heddy, nie żałował tego wszystkiego, co mu obiecywało małżeństwo. Bez współczucia myślał o rodzicach, gdy się dowiedzą, że ich syn poległ wśród gruzów Stalingradu. Myślał z żalem o jednej tylko rzeczy — o swej sztuce.

Była dla niego marzeniem, ku któremu próżno przedzierał się przez okropności wojny. Mogła być całym życiem, a stała się udręką...

Wejście ordynansa z menażką wyrwało go z tych rojeń. Zwlókł się z łóżka i zaczął jeść wolno, rozkoszując się ciepłem zupy. Płomień świecy drżał od jakichś niedostrzegalnych podmuchów. W ścianach chrzęścił osypujący się tynk.

Odesłał Krumpelta na odpoczynek i sam krążył po odcinku. Godziny płynęły wolno. Ciągłe meldunki i obserwacje wysuniętych czujek mówiły o przygotowaniach po stronie wroga. Żołnierze kolejno szli grupkami na obiad do cementowni. Wracali zadowoleni, ocierając usta rękawami białych płaszczy. Nie czuli niebezpieczeństwa, które się czaiło, nie myśleli o niczym. Piosenka, jaką nucili, była równie bezmyślna jak ich twarze.

Schwarzbraun ist die Haselnuss,
Schwarzbraun bin auch ich, auch ich,
Schwarzbraun muss mein Mädél sein.
Gerade so wie ich...

Kompania mieszcząca się w piwnicach cementowni miała najlepiej. Żołnierze leżeli na ziemi i drzemali. Czuwały tylko posterunki, wyglądające przez powybijane otwory.

— Zaśpiewajcie coś wesołego — powiedział Schneditz znużony tęskną melodią rozlegającej się piosenki.

Zaśpiewali z patosem pieśń von Schiracha:

Vorwärts! —Vorwärts! schmettern die hellen Fanfaren,
Vorwärts! Vorwärts! Jugend kennt keine Gefahren...

Tak samo śpiewali wkraczając do Wiednia. Wolf stojąc na ulicy witał ich oklaskami. Był przekonany, że to połączenie dwóch państw niemieckich otwiera wielką dobę przyszłości.

Ist das Ziel auch noch so hoch,
Jugend zwingt es doch!

Porywała go ta pieśń wówczas. Porywała go także siła kroczących batalionów. Świadoma siebie siła.

Unsere Fahne flattert uns voran,
In die Zukunft zieht Man für Mann.
Wir marschieren für Hitler durch Nacht und durch Not...

„Jak dziś — przebiegło przez głowę oficera — lecz dlaczego?”

...Mit der Fahne für Freiheit und Brot...

„Tylko dlatego? Opadają ręce. Freiheit. Tej wolności zdobywać nie musieli. Ale chleb...”

Unsere Fahne ist die neue Zeit
Und die Fahne führt uns in die Ewigkeit.
Ja! Die Fahne ist mehr als der Tod!

Schneditz spojrzął za siebie, tam gdzie na budynku robotniczego hotelu łopotała czerwona flaga z krzyżem Wehrmachtu, i nagle ogarnęło go zwątpienie. Czy warto walczyć aż tak zacięcie — o nic? O pustkę? O chleb i „Lebensraum”? Bez myśli o pięknie? W tępych porywie burzenia i mszczenia?

Godziny płynęły, płynęły, płynęły. Wolno obracały się wskazówki zegarka. Nadchodził wieczór.

Ten wieczór — wiedział o tym dobrze — będzie ostatni.

Z pierwszym zmierzchem wrócił na posterunek Krumpelt. Wolf poszedł do piwnicy.

Zapalił wszystkie świece, jakie posiadał. Dla kogo miał je teraz oszczędzać? Zdjął ze ściany fotografię Heddy, wyciągnął jej listy i wszystko starannie spalił. Wydobył zza łóżka szkic obrazu. Chciał zniszczyć, lecz nie dokończony dzieło ciągnęło go ku sobie. Zamiast je drzeć, począł dalej rysować sylwetki ludzi obu szeregów. Potem wydawało mu się, że czegoś w obrazie brakuje — coś nie odpowiada prawdzie. Długo szukał. Wreszcie zrozumiał. To rumowisko głązów, ku któremu schodzili jedni, a od którego odchodzili drudzy,

nic mu nie mówiło. Zatarł szkic w tym miejscu. I nagle z całą pasją zaczął rysować. To już nie była owa dzika dolina górską. Obraz się zmienił. Droga wiodła teraz w dół do miasta ruin, do potrzaskanych domów, osmolonych kominów, zerwanych balkonów, pociętych rur, do chrzęszczącego parkietu z pobitych szyb...

Drzwi piwnicy otworzyły się z trzaskiem. Wpadł zdyszany żołnierz.

— Bolszewicy rozpoczęli atak!

Nie potrzebował nawet tego mówić. Przez nie domknięte drzwi wdarł się w głąb piwnicy ryk bijący z dziesiątków dział, wstrząsający, śmiertelny. Schneditz wybiegł. W piwnicy został na stole nie skończony szkic i sześć świec palących się niewzruszenie żalonym blaskiem...

BRANDENBURSKA BRAMA

I

Biały budynek stacyjny, jednopiętrowy, nakryty czerwonym dachem, pławił się w mdłym blasku lutowego słońca. Nad peronem górował taras, z którego zbiegały szerokie schody. Jeszcze niżej rozpoczynała się rzeka torów kolejowych. Bliżej widać było masywne, ciężkie szyny szerokotorowej kolei, dalej cienkie tory kolejki, gdzie fuczła gniewnie, zbierając się do biegu, mała lokomotywa szepiona z ciemnobordo towarówką i żółtozielonym wagonikiem pasażerskim. Spoza brudnych szyb wyglądały twarze poowijanych chustkami bab i starych chłopów. W jednym oknie widać było brodatą twarz popa.

Oleńka rozejrzała się uważnie po peronie. Mała chmurka zasłoniła na chwilę słońce i mrok padł na stację. Niepokój ogarniał serce dziewczyny. Wypadki ostatnich tygodni uczyniły ją wrażliwą na wszelkie niespodzianki, które życie mogło jej przynieść.

Na końcu peronu ukazał się mężczyzna: wysoki, szczupły w brązowej jesionce i narciarskiej czapce. Człowiek szedł szybko w stronę Oleńki. Śledziła go bacznym spojrzeniem. Miał wysoko podwinięte spodnie i buty oblepione żółtym, tłustym błotem, w którym tonie ziemia hrubieszowska przez kilka miesięcy w roku.

Podszedłszy do dziewczyny uchylił czapki. Zapytał grzecznie, patrząc na nią uważnie błękitnymi jak pogodne niebo oczami:

— Czy może panna Aleksandra?

Skinęła głową i wyciągnęła ku niemu rękę. Budził w niej ufność swoim otwartym, jasnym spojrzeniem. Mocno ściskając podaną sobie dłoń przedstawił się:

— Barczyński.

Potem zaraz zapytał:

— Czy pani ma już bilet na kolejkę? Pociąg odchodzi za chwilę...

— Już kupiłam. Możemy wsiadać.

Przeszli przez tory do wagoniku. Stopień umieszczony był wysoko i trzeba było dobrze wspiąć się na palce, aby stanąć na małej platformie. Wnętrze wagonu wypełniał dym i mrok. Ludzie podnosili nieufnie wzrok na każdego, kto wchodził. Rzekłbyś — obawiali się nowych twarzy. Ale towarzysz Oleńki był im widocznie znany. Kilku mężczyzn kiwnęło mu głową.

— Jechałam z lękiem — przyznała się Barczyńskiemu, gdy wreszcie usiedli w kącie wagonu. — Żadnych papierów...

— Tak, to się mogło źle skończyć. W Zawadzie i w Zamościu bywają rewizje. Ale na szczęście jest już pani tutaj. I zaraz ruszamy...

Kolebiąc się na szynach pociąg pobiegł po wielkim łuku okrążając stację. Początkowo lokomotywa pchała ich do tyłu, potem znaleźli się na nastawni koło parkanu. Teraz jechali mając wciąż przed oczami sylwetkę stacji na pół ukrytą wśród drzew, a obok niej białą wieżę stacyjną sterzącą wśród pół niby latarnia morska.

— U nas nie jest najspokojniej — zaczął Barczyński. — Sprawy zamojskie mają tutaj także swoje odbicie.

— Stąd jednak nikogo nie wysiedlali?

— Ale, jakżeż! Wysiedla się Polaków, aby oddać ziemię Rusinom, których wyrzucono z okolic Zamościa.

Zacięła usta.

— Wszędzie to samo...

Wielki chłop w kozuchu i w futrzanej czapce na głowie podszedł do Barczyńskiego prosząc go o ogień. Szare oczy skryte głęboko za fałdami powiek wydawały się całkowicie obojętne, niemal wygaste. Spytał:

— Pan nauczyciel do siebie?

— Do siebie.

— Bo ja do pana nauczyciela będę miał interes. Względem tego Kacprzaka...

— Aha.

— Mogę przyjść? W niedzielę?

— Przyjdźcie.

Stary wrócił na swoje miejsce, rozparł się na ławce i zatonał w kłębach tytoniowego dymu. Barczyński kręcąc obrączkę na palcu i patrząc na wolno przesuwany się za oknem krajobraz powiedział cicho i tak obojętnie, jakby właśnie mówił o tym, co widzi za oknem:

— Jestem przekonany, że donosi...

Widząc zaś, że drgnęła, ciągnął dalej, niby opowiadając jakąś historię z dawnych, spokojnych, dziś już zapomnianych czasów:

— Niech pani na niego nie patrzy... Nie powinien się domyślić, że o nim mówimy.

Blask słońca zgasł i pierwszy mrok spływał na rozmokłe, unurzane w błocie pola. Minęli małą stacyjkę: z prawa szary drewniany domek, na ścianie czerwona skrzynka pocztowa: „Deutsche Post Osten”; z lewa niski mur jakiegoś kościoła czy cerkwi, przyciśnięty do toru kolejowego. Odarte z liści gałęzie drzew nad drogą i nad torem, z dala czarna ściana lasu.

— Nie wiem, czy będzie tu pani mogła dobrze odpocząć — potrząsnęła powątpiewająco głową.

— Żeby tylko miała trochę ciszy...

Znowu kolebali się, jadąc bez pośpiechu krajem równinnych łąk, podmokłych wydm piaszczystych oraz sosnowych lasków. Jeszcze raz stanęli przed stacyjką, bliźniaczo podobną do tamtej, którą minęli przed kwadransem. Na peronie kręciło się kilku mężczyzn w kozuchach i w futrzanych czapkach. Z boku stało dwóch starszych żołnierzy z rękami opartymi na pasach, z których zwisały ciężkie olstry z pistoletami. Pociąg ruszył. Wymknął się z koła szarych chat i postępując biegł ciągle równoległe do wysoko podsypanej drogi; dalej widać było wysokopienny sosnowy las. Ściana lasu nagle się urwała i mignął przed oczami patrzących cmentarz pełen krzyży, figur i kopczyków, potem rozległe pole, znowu mały las — niby wyspa na morzu — aż wreszcie się zatrzymali. Budynkiem stacyjnym był wagon kolejki zdjęty z podwozia i okopany ziemią.

— Wysiadamy — powiedział Barczyński.

Skoczywszy z wysokiego stopnia Oleńka ze zdumieniem spostrzegła, że dzień się jeszcze nie skończył. W wagonie było ciemno, tutaj otwartą przestrzeń wypełniały ostatnie blaski słońca.

Stacja świeciła pustkami. Nikt także poza nimi z wagonu nie wysiadł. Gdy mały pociąg powędrował dalej, poszli na przełaj łąką ku dużym, białym budynkom.

— Siostry czekają na panią — powiedział Barczyński, kiedy stanęli już w obracającej się ruchem wiatracznym furcie.

Podniósł rękę i wskazał na tarasie pierwszego piętra kilka ciemno ubranych kobiet w wielkich, białych kornetach.

— Jestem im taka wdzięczna... — szepnęła. Świadomość, że ktoś na nią czeka, że ktoś o niej myśli, była jej bardzo potrzebna. Poczucie samotności dławiło ją w ciągu podróży. Mieszkanie rodziców na Filtrowej... Dopóki istniało, wiedziała, że tam ma spokojny i bezpieczny port. Dziś odeszła daleko. Z Warszawą pożegnała się przed miesiącem. Oddzielał ją od niej mur wspomnień: Pawiak, Majdanek, Lublin...

Na schodach spotkała się z siostrą przełożoną. Spoza okularów patrzyły na nią czarne, pełne życia oczy; widziała zaciśnięte a jednocześnie uśmiechające się usta.

— Dobry wieczór. — Podała Oleńce rękę. — Chwała Bogu, że pani przyjechała. Modliliśmy się, aby panią nic złego nie spotkało na drodze.

— Dziękuję. To na pewno modlitwa siostr sprawiła, że nikt mnie nie zatrzymał, nikt nie rewidował, nikt nie pytał o papiery...

Szły szerokim korytarzem, na którego końcu znajdowały się oszklone drzwi tarasu. Następnie siostra otworzyła drzwi na prawo i weszły do małego saloniku. W środku stał stół pokryty miękką serwetą, pod ścianą kanapa, obok oszklona szafka, po przeciwnej stronie pokoju drugi stół zaścieniony czarną ceratą, nad nim krucyfiks.

Kilka obrazów na ścianach, między oknami fotografia obrazu Matki Bożej. Chłopak w połatanym welwetowym ubranku, tupiąc butami na drewnianej podszewie, przyniósł do pokoju dzbanek z wodą. Siostra otworzyła składaną umywalkę.

— Pewno pani zechce umyć ręce po podróży?

— O tak. Bardzo dziękuję.

— Nie będę przeszkadzała. Za chwilę przyjdę i zaprowadzę panią do jadalni.

Wyszła zabierając ze sobą tupiącego wciąż berbecia. W pokoju został Barczyński.

— I ja panią pożegnám — rzekł podając jej rękę. — Mieszkam tu w sąsiedztwie, w domku pod lasem. Wieczorem grywamy w brydża z kapelanem albo schodzimy się na gawędę. Ale dziś nie przyjdę. Mam kilka spraw do załatwienia. Pani zresztą powinna wcześniej się położyć. Taka podróż męczy.

Szurgnął chłopięco nogami i wyszedł. Oleńka zanurzyła ręce w miednicy i myła je starannie przez dłuższą chwilę. Wytarłszy się powoli białym ręcznikiem podszła do okna. Zmierch zapadał coraz prędzej. Przez szybę widziała w dole żelazny krzyż na białym kamiennym fundamencie, dalej długi, drewniany budynek kryty gontami, przed nim zaś dwie wysokie brzozy, jeszcze dalej rozległe boisko, zamknięte na końcu murowanym budynkiem, częściowo niższym, z czerwonej cegły, częściowo wyższym, tynkowanym, jedno-piętrowym, z masywnym gankiem na przodzie. Ścieżką między domami szły właśnie dwie dziewczynki dźwigając ciężki kocioł — pewno kolację dla swoich koleżanek.

Nie słyszała, kiedy do pokoju weszła siostra przełożona.

— Patrzy pani na nasze królestwo?

Uśmiechnęła się.

— Rozległe królestwo...

Siostra wskazała palcem na czerwony parterowy budynek:

— Tam są nasze „maluchy”, to znaczy najmłodszy. Obok dziewczynki. W tym małym domku pod brzożami mamy separatkę. A tutaj — chłopcy.

Schodziły tonącymi w mroku schodami. Zegar tykał poważnie na półpiętrze. Z dołu dochodził wrzask kilkudziesięciu chłopców, kłapanie drewniaków, ciężki stukot ław i stołków, szcęk łyżek o blaszane miski. Piętro natomiast tonęło w majestatycznej ciszy. Zeszły aż do suterenu, gdyż jadalnia znajdowała się obok kuchni.

W jadalni powitał Oleńkę kapelan zakładu, wysoki ksiądz o przededzonej już i siwiejącej na skroniach czuprynie, ale równocześnie o dziwnie młodych ruchach. Ci ludzie tutaj wydawali się dziewczynie obdarzeni niepojętą dla niej młodością i energią. Ze zdumieniem dowiedziała się od księdza, że siostra przełożona stoi na czele zakładu od dwudziestu czterech lat.

— Widziała tu wszystko — ciągnął ksiądz. — Ostatnie dni tamtej wojny, rok dwudziesty, okres niepodległości, wrzesień trzydziestego dziewiątego roku, najście Niemców...

— Jestem pełna podziwu, że jej to wszystko nie złamało!

— Niech pani sama osądzi, czy siostra przełożona wygląda na kobietę złamaną?

— Nie. Na pewno nie wygląda.

Oleńka mieszała łyżeczką herbatę. Za drzwiami słychać było głosy kłócących się chłopców.

— Bo ja, proszę księdza — podjęła nagle w porywie szczerości — czuję się zupełnie złamana...

Wyrozumiałe skinął głową.

— Dużo pani przeszła...

— Może. Ale nie tylko to. Ja, proszę księdza, już i przedtem byłam taka. To znaczy, od czasu wojny... Są uczucia... Ale przepraszam: mówię pewnie niejasno...

— To nic. Zrozumiemy się z czasem.

— Chciałabym, żeby mnie ksiądz od razu zrozumiał. Nigdy nie czułam do nikogo nienawiści. Nie dlatego, abym była taka dobra. Nie, nie. Po prostu nie umiałam nienawidzić.

— Bardzo szczęśliwie.

— Nie wiem, proszę księdza, czy szczęśliwie. Chwilami myślę, że lepiej, kiedy człowieka prześladują wielkie namiętności, które może nagiąć do swojej woli. Gorzej chyba, gdy nie spotyka żadnych trudności?

— Czyż ich naprawdę nie spotyka?

Z jadalni chłopców doszedł stukot odsuwanych ław. Potem zrobiła się cisza, a nad nią wyrósł szmer modlitwy odmawianej prędko i niecierpliwie.

— Naturalnie, że wreszcie je spotyka — ciągnęła. — Lecz wtedy nie umie z nimi walczyć. Jest zbyt miękki, zbyt... ustępliwy. Usiłuje ciągle widzieć rację przeciwnika. I w tym się wikła. Żadna siła nie popycha go do działania, więc wyczekuje, oddala decyzję, a w rzeczywistości... ustępuje krok za krokiem...

Ksiądz przysłuchiwał się słowom dziewczyny z uwagą, ale wyraz jego twarzy mówił, że te uczucia są dla niego zbyt skomplikowane. Uśmiechnął się.

— Zmęczyły panią ostatnie przejścia. To dlatego.

— Nie, nie — broniła się. — To nie dlatego. Już i przedtem, zanim poznałam Majdanek, przeżywałam taki właśnie wewnętrzny konflikt. Chciałam czegoś i nie chciałam. Skłaniałam się ku pewnym rzeczom i odsuwałam je od siebie. A teraz czuję, że jestem po prostu stara...

— Mój Boże! A co ja mam powiedzieć, panno Oleńko?

— Kiedy ja naprawdę czuję się stara. Ksiądz się śmieje. Nie mam siwych włosów, to prawda. To tylko „stare” uczucia. Mnie na przykład nic nie cieszy. Niczego nie oczekuję. Jestem jak człowiek, który długo o coś walczył, i gdy w końcu osiągnął zwycięstwo, nie czuje jego smaku.

Oleńka powiedziawszy to nagle urwała. Zrobiła się cisza. Ksiądz pochylił głowę i kręcił w palcach gałki z okruszków gliniastego chleba. Chłopcy poszli już na górę do sypialni. Poprzez grube mury budynku nie słysząc było ich głosów, tylko dyżurni myli w kuchni blaszane miski i przedrzeźniali kucharkę.

— Poznała już pani naszego nauczyciela? — przerwał milczenie ksiądz.

— Tak. O tyle naturalnie, o ile można poznać człowieka jadąc z nim pół godziny zatłoczonym wagonem. Ma sympatyczne spojrzenie.

— Tak. I dużo pogody w usposobieniu. Wszyscy go tu kochamy. Powinna z nim pani porozmawiać.

— Będę rozmawiała. Ale najpierw muszę nacieszyć się spokojem. W Warszawie gonimy bez ustanku za wiadomościami i człowiek w tym wszystkim nie znajduje czasu dla siebie.

Skinął głową.

— Ma pani rację. Nie umiałbym żyć w wielkim mieście. Tutaj rośniemy jak drzewa...

Znowu zapadło milczenie, które tym razem przerwała przełożona wchodząc do pokoju z drugą, młodą, o różowej twarzy siostrą.

— Teraz powinna pani odpocząć. Po podróży trzeba się dobrze wyspać. Siostra Irena już wszystko dla pani przygotowała.

Wyszli na schody, początkowo betonowe, wiodące z suterren na parter, a wyżej drewniane. Na parterze schody zakręcały obok drzwi wyjściowych, przed którymi znajdował się ciemny, deskami obity ganek. W progu stał niemiecki żołnierz, trzymając w ręce blaszany kubek. Miał rozpięty mundur, a pod nim szary sweter lamowany zielenią. Uśmiechając się do sióstr powiedział, że przychodzi po gorącą wodę. Jeden z chłopców dyżurnych wziął od niego kubek i zszedł po wodę do kuchni. Czekając na jego powrót stali razem z żołnierzem przed otwartymi na ganek drzwiami, w kręgu światła rzucanego przez wiszącą karbidową lampkę. Oleńka widziała twarz Niemca: cofnięte czoło, mięsiste policzki pokryte nie golonym dawno zarostem, siwe, podstrzyżone włosy na skroniach. Serce biło jej w piersiach. Pamiętała twarze tamtych z obozu. Ogolone, ohydnie uśmiechnięte, młode, a przecież niemłode. Chłopiec wrócił na górę z kubelkiem i podał go Niemcowi. Ten burknął „danke” i zawrócił na dwór. Zniknął w mrocznym prostokacie otwartych drzwi.

— Łażą po ciemku, aż ich ktoś w końcu sprzątnie — narzekał ksiądz. — Mamy tu w zakładzie posterunek, który stacjonuje w domu

dziewcząt. Jest ich pięciu. Ten jeden przyzwoitszy. Ale reszta... — machnął ręką.

— Zwyczajne Niemczyska — powiedziała przełożona.

W korytarzu na piętrze pierwsze z brzegu drzwi prowadziły do pokoju księdza. Weszli tam wszyscy. Pośrodku stołu paliła się lampa. Pod ścianą stała kanapa, a z drugiej strony biurko. Obok półka z książkami.

Przy stole siedziało dwóch mężczyzn. Kapelan przedstawił ich Oleńce:

— Mój brat... Handluje tutaj w okolicy... A to jest nasz Kostek — to „nasz” zabrzmiało ciepło i serdecznie. — Kostek Godlewski. Także nauczyciel...

Gdy usiedli, ksiądz zwrócił się do Godlewskiego:

— Masz komunikat?

— Mam.

Naftowa lampa paliła się żółtym płomieniem. Gdzieś niewidoczny w mroku tykał zegar. Była głucha cisza, kiedy Godlewski otworzywszy papierosnicę wydobyl spod rzędu papierosów małą, wielokrotnie złożoną kartkę papieru. Rozprostował ją. Zdanie wypisane na niej ołówkiem przez kalkę. Czytał z trudem. „Ofensywa sowiecka rozwija się pomyślnie w kierunku na Woroneż... Roosevelt spotkał się z Churchilllem w Casablance... W nalocie na Berlin brało udział 206 bombowców...”

Gdy skończył, wszyscy mocniej odetchnęli, jakby w czasie czytania powstrzymywali oddech. Zaczęto rozmawiać o usłyszanych nowinach. Ale Oleńkę ogarnęła taka senność, że nie była w stanie przysłuchiwać się dyskusji. Miętko zapadła w oparcie kanapy, tracąc co chwila poczucie rzeczywistości. Przełożona położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała łagodnie:

— My tu sobie opowiadamy, a pani chce spać. Jutro będzie czas na rozmowy.

— Bardzo przepraszam... — tłumaczyła się dziewczyna. — Tak mnie zmorzyło.

— To my powinniśmy przepraszać — podjął kapelan — że odrywamy panią od należącego jej odpoczynku.

Przełożona zabrała Oleńkę i wprowadziła do tego samego saloniku, w którym była zaraz po przyjeździe. Stało tu wniesione podczas jej nieobecności łóżko, bielejące doskonale wypraną i wykrochmaloną bielizną, z wierzchu przykryte kocem białym w czarną kratę. Okna były zasłonięte, na stole paliła się świeca.

Niech pani śpi i jutro nie wstaje zbyt wcześnie — mówiła przełożona obrzucając pokój bacznym spojrzeniem. — Trzeba odpocząć i zapomnieć o tamtych okropnościach.

— O tak, muszę zapomnieć... — westchnęła Oleńka.

— Wszystko pani ma — siostra ostatni raz przebiegła spojrzeniem po łóżku i umywalce — więc dobranoc. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wyszła, zostawiając dziewczynę samą. Nad pokojem zawarła się głucha, aż niepokojąca cisza. Gdzieś na dole trzasnęły drzwi i echo przebiegło wzdłuż murów.

W pokoju było zimno. Od podłogi ział chłód. Oleńka zrzuciła buty, potem pończochy i stojąc boso na dywanie zdejmowała przez głowę sweter. Biała pościel zdawała się mieć temperaturę śniegu. Ale gdy zgasiwszy świecę wsunęła się pod dwa grube koce, znalazła tam butelkę z gorącą wodą. Siostry i o tym pamiętały. Ogarnęło ją wzruszenie. Leżąc z głową opartą na dwóch wielkich poduszkach, patrzyła w ciemność. Spozą szpar zasłony przedzierał się smugami do pokoju księżycowy blask. Znowu gdzieś w dole stuknęły drzwi.

Ta cisza, ta upajająca cisza po dniach rozgwaru i hałasów. Filtrową zbyt często jechały dudniąc tramwaje i pędziły samochody. Pamiętała ulicę w dniu łapanki, ludzi w zielonych mundurach, którzy szli szybko w stronę cofającego się tłumu. Opróżnione tramwaje... Krzyki kobiet... Drżące dłonie z jakimiś papierami... Strzały. I nagle ciężka ręka na jej ramieniu.

Ilekróć przypominała sobie to dotknięcie, ogarniało ją uczucie gniewu i wstydu jednocześnie. Sam fakt przymusu był dla niej i przedtem rzeczą okropną. Tamci mieli także dziwnie brutalny sposób wdzierania się w życie napastowanych przez siebie ludzi. Nie liczyli się z niczym. Przechodzili od razu do grubiańskiej formy „ty”; szturchali, popychali, kopali, nie dlatego nawet, aby było im to potrzebne ze względu na postawę schwytanych, ale po to, aby zmiażdżyć godność swoich więźniów i pozbyć się — tak to przynajmniej wyglądało — jakiegokolwiek szacunku dla nich.

Niemiec szarpnął ją za ramię, wskazał ręką samochód. „Geh!” — wrzasnął. Nawet ten okrzyk brzmiał jak cios szpicruty. Inny znowu pchnął ją, by szybciej wchodziła na platformę auta. Nie musiał popychać, nie opierała się przeciw. Usiłowała być spokojna, bardzo spokojna. Poczowała, jak tęższe w niej nie znana poprzednio siła. Nie bała się niczego. Zgasł nawet ten sentymentalny motyw, który często pojawiał się w niej razem z przeczuciem grożącego niebezpieczeństwa: nie zobaczę już mamy, nie zobaczę tatusia... Teraz mówiła sobie twardo: jeżeli trzeba... Bliskie niebezpieczeństwo uczyniło ją zdeterminowaną.

Jechali stłoczeni pod ciemną budą, w głuchym milczeniu. Twarze były blade, zlodowaciałe. Później miała zobaczyć, jak te twarze mieniały się całą gamą uczuć. Na Majdanku żarła ludzi — zwłaszcza kobiety — przerażająca melancholia. Żyli oni tylko poczuciem beznadziejności swego położenia. Inni znowu wciąż bledli i trzęśli się na widok każdego przechodzącego esesmana. Jeszcze inni mieli na

twarzach zapiekłą żądę odwetu. Były jednostki starające się podłym ugrzecznieniem wobec dozorców i donosicieli złagodzić ciężar swego położenia. Były oblicza pogrążone w modlitwie i twarze, na które właśnie tam, wobec niebezpieczeństwa, występował nagle grymas grzechu, usta zaś poruszały się stekiem plugawych słów.

Nie zważając na chłód wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Podłoga parzyła jej stopy lodowatym zimnem. Namacała ręką związający sznurek i podciągnęła w górę zasłonę z papieru. Blask rozjaśnionej księżycem nocy uderzył w szyby; przez chwilę była nim oślepiona. Potem oczy przyzwyczyły się do tego blasku. Widziała znowu dach izolatki, dwie proste, wysokie brzozy otoczone mgiełką drobniutkich gałązek, dalej rozległy plac, a wreszcie na jego końcu ciemny zwal budynku dziewcząt.

Chłód wędrował po wyprężonych od stania na palcach nogach. Nie zasłaniając okna dziewczyna wróciła do łóżka... Tam było inaczej. Pamiętała wiecznie zimne, przesiąknięte wilgocią sienniki, brudne, postrzępione koce, chrapliwy oddech współtowarzyszek, przerywany jękami, stęknieniami, kaszlem. Tam noc o tyle tylko była odpoczynkiem, o ile można było spać ciężkim snem zgonionego zwierzęcia. Ale jeśli sen odleciał, noc stawała się katorgą lęku. Ileż razy zbudzona przez którąś z wstających kobiet nie mogła potem zasnąć, lecz przewracając się z boku na bok nasłuchiwała żalostnej skargi obozowej sypialni. Każdy głośny jęk wydawał się ostatnim jękiem agonii. Przecież ludzie umierali tutaj tak często — najczęściej właśnie nocą — pozostawieni w tej najokrutniejszej chwili życia tragicznej samotności. Zadrzała w jakimś poczuciu zrozumienia dla ogromu zła, które dokonywało się na jej oczach. Widocznie tak trzeba było. Widocznie był to jakiś sens, najwyższy ze wszystkich, że umierali: na Palmirach — Władek, gdzieś w Oświęcimiu — ksiądz Tomasz...

„Ludzkość — myślała leżąc na wznak, wpatrzona w biały sufit, na którym srebrzyły się jakieś refleksy miesięcznej poświaty — nie jest tylko tłumem ludzi. Stanowi ona jedność splecioną z najdziwniejszych sprzeczności, ze zła i dobra, z upadków i wzlotów, z ohydy i świętości. Nie ma człowieka, który by ginął bez naszej winy. Jesteśmy za siebie odpowiedzialni, wszyscy za wszystkich. I w tym zawiera się racja naszych cierpień, klęsk czy zwycięstw.”

Nagle uświadomiła sobie, że w głuchej ciszy słyszy jakiś monotony dźwięk. Poczęła nasłuchiwać. Niby fala morską, która szumi po piasku, wraca ku morzu, odpływa, znowu wczółguje się na piasek i wciąż na nowo powraca chwilą szumu — tak dźwięk usłyszany rozlegał się i gasł wśród ciężkich murów domu. Pojęła, co oznaczał: to modliły się siostry. Gdy rozpoczynała przełożona, pojedynczy głos ginął, ale kiedy odpowiadał chór sióstr, wtedy ich głosy nabierały siły i niby pocisk przebijały mury swoim dźwiękiem. Ta zbio-

rowa modlitwa miała niezwykłą siłę. Leżąc zaczęła się także modlić. Ale myśli spłoszyły modlitwę. Zdawało się jej, że teraz dopiero rozumiała znaczenie chóralnie odmawianych modlitw. Tam także się modlili, lecz ich gorączkowe wezwania brzmiały jak okrzyk trwogi.

Powieki zapadały ciężko, ogarniał ją sen. Widziała, jak szli ku niej uśmiechnięci: Danek w mundurze koloru khaki, ksiądz Tomasz w wiecznemi zmiętej sutannie, Władek w chłopięcym ubraniu, z okresu gdy chodził jeszcze do szkoły. Potem widziała rannych, którzy umierali obok niej w szpitalu Maltańskim, żołnierzy broniących Warszawy — młodych ochotników w nie dopasowanych mundurach, ginących od granatu gdzieś na Czerniakowskiej czy na Kopińskiej. Obok nich żołnierze armii podziemnej: Janek patrzący na nią czarnymi oczami spod rozwiewającej się siwej czupryny: Leszek — szczupły, o twarzy żółtej, przezroczystej, suchotniczej, Czesiek, Tadeusz... Widziała ich wszystkich: jakby wielki tłum, pełen życia i energii, prący naprzód z pieśnią na ustach, której słów jednak dosłyszeć nie mogła. Potem stanął ktoś obok Danki. Drgnęła. Poprzez bezwład snu przebiegł ją zimny dreszcz. Ten człowiek miał twarz bliźniaczo podobną do jej zabitego narzeczonego, a przecież wisiał na nim w strzępach szary mundur niemieckiego lotnika. Podniósł głowę, którą poprzednio miał spuszczoną; wbił w Oleńkę wzrok stalowych oczu i wyciągnawszy ręce błagał o coś tym gestem. Wciąż czuła dreszcze. Wiedziała, że to tylko sen, a przecież nie mogła się spod jego władzy wyzwolić. Ten człowiek o coś prosił. Nie mówił nic. Prosił milczeniem. Czegoś chciał od niej... Nie знаła go, nigdy go w życiu nie widziała. Czego mógł chcieć? Pragnęła odejść, zanurzając się głębiej w sen i tłumacząc sobie we śnie, że to tylko zjawia. Jednak uciec nie mogła. Tamten stał przed nią z wyciągniętymi ramionami, z szeroko rozwartymi oczami, pokrwawiony, poszarpany, ociekający błotem i wodą niby przerażający upiór. Widziała suche, zapiekłe usta. Nie chciał odejść. Inni odeszli. On stał ciągle w kornej postawie żebraka. Usiłowała krzyknąć: Odejdź! Zrobiła nawet ręką jakiś odpychający gest, ale i to nie pomogło. Upiór czekał i czekał. Mówiła mu milczeniem, aby szedł do swoich. Nie słuchał jej słów. Stał nieporuszony, zbolaty, a równocześnie czujny... Ciężki sen zwałił się w końcu na jej ramiona i strącił w czarną otchłań. Lecz wciąż wiedziała, że on nie odszedł. Przestał jednak budzić w niej lęk. Był podobny do Danki... Chciał ją o coś prosić... Czekał, aż ona zrozumie jego milczenie. Więc i ona postanowiła czekać. Poprzez krainę snu płynęła w towarzystwie tragicznego towarzysza, już nie lękając się tajemnicy, której on nie mógł jej wyznać.

II

Obudził ją dźwięk dzwonka. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest i co ten dźwięk oznacza. W pokoju było szaro; wczesny świt z trudem sączył się przez zapotniałe szyby. Gmach wciąż jeszcze pogrążony był w ciszy i tylko ten dzwonek mówił o odprawianej mszy i o tym, że w kaplicy czuwają modlące się siostry.

W pierwszej chwili chciała prędko wstać i zdążyć jeszcze bodaj na koniec mszy. Ale zaraz zrezygnowała, rozgrzeszając się ze swej opieszałości. W pokoju było bardzo zimno, a w całym ciele czuła wielką omdlałość. Zakopała się znowu pod przykrycie ciepłych koców i na poły drzemiąc, na poły marząc leżała tak czas jakiś. Ale następny dźwięk dzwonka znów napiął jej uwagę. Tym razem była to trzykrotna i z trzech uderzeń składająca się majestatyczna zapowiedź Kanonu.

Usłyszawszy ją Oleńka usiadła na posłaniu. Czuła jakby jakąś niestosowność, że ona tu będzie leżeć zagrzebana w ciepłą pościel, gdy obok, o kilka zaledwie kroków, dokonuje się cud przemiany. Tak bardzo tęskniła za mszą na Majdanku. Wielokrotnie, wyrzucała sobie, że z niedostateczną uwagą uczestniczyła w niej poprzednio. Prawda, iż trudno było o należyte skupienie, gdy chodziło się na mszę do zatłoczonego kościoła Świętego Jakuba. Spóźnieni wierni przepychali się łokciami ku przodowi, inni wychodzili z kościoła przed końcem nabożeństwa; ksiądz upominał z ambony śmiejące się dzieci.

Kiedy opuściła Majdankę, pierwsze kroki skierowała do kościoła. Poważny surowością gotyku biały kościół Wizytek lubelskich przyjął ją w swe mury. Tutaj cichły odgłosy obozu, plugawe wrzaski kercelakowskiej „grandy”, którą miała za towarzyszy, i ryki dozorców.

Kościół Wizytek był o tej porze pusty i cichy. Gdy siedziała w ławce, z trudem mogła uwierzyć, że jeszcze poprzedniego dnia rano była za drutami. Właśnie skończył się ranny apel; grupy szły do pracy. Wywołano ją. SS-man trzymając dziewczynę za ramię prowadził ją na wartownię. Tam zobaczyła wujka Zygmunta w towarzystwie jakiegoś niskiego człowieka o odrażającej twarzy kryminalisty. Mężczyźni rozmawiali ze sobą po niemiecku dłuższy czas. Potem otworzyła się brama. Wyszła razem z wujem. Szli oboje długo, nic do siebie nie mówiąc. Dopiero gdy wsiedli do dorozki, wuj Zygmunt powiedział do Oleńki ogarniając ją serdecznie ramieniem: „No, chwała Bogu, jesteś wolna. Zaraz zatelefonuję o tym do Warszawy”. Nie odpowiedziała mu nic. Dopiero w mieszkaniu wujostwa rozplakała się ze wzruszenia.

Nie wychodziła do miasta, utraciwszy w obozie swoje dokumenty. Jej wypuszczenie kosztowało niezbyt dużo — sześć tysięcy. Nie ciążyło na niej żadne oskarżenie: była po prostu zatrzymana w ławance ulicznej. Lecz gdyby ją złapali po raz drugi bez dokumentów, nie poszłoby chyba tak łatwo.

Kościół miała jednak tuż tuż. Z lewa patrzył na nią zgrabną sylwetką teatr, na prawo był mały placyk, dalej fronton kościoła Wizytek — niby biała schodkowa piramida — jeszcze dalej długi mur, spoza którego wyglądały czuby drzew. Perspektywę ulicy zamykał znowu plac, na którym królowała wieża wodociągowa. Był to jedy-ny widok, jaki mogła oglądać przez parę dni pobytu u wujostwa. Potem zjawił się pomysł wyjazdu do sióstr. Wuj załatwił wszystko, omówiwszy całą sprawę z siostrami. Ktoś miał czekać na Oleńkę na stacji w Werbkowicach.

Myślała o tym ubierając się szybko. Ale kiedy weszła do kaplicy, msza się już kończyła. Kaplica była mała, prawie kwadratowa, w środku ołtarz, którego antypodium malowane ręcznie, prawdopodobnie przez jakąś utalentowaną siostrę, przedstawiało jelenia pochylonego nad źródłem. Nad ołtarzem drewniane tabernakulum, nad nim figura Matki Bożej, z boku dwa skromne wota.

Siostry zajmowały klęczniki ustawione wzdłuż bocznych ścian kaplicy. W środku tłoczyła się gromada starszych dzieci zakładowych — przeważnie dziewcząt. Wysoka sylwetka księdza górowała nad głowami pobożnie schylonych kobiet.

Po mszy Oleńka zeszła na śniadanie. Dzień wstał piękny: zimny, suchy, słoneczny. Wypiwszy kawę postanowiła obejść zakład.

Wzdłuż domu biegł niski płotek obstawiony sągami opałowego drzewa. Najbliższa furtka prowadziła do kościoła drewnianego, otoczonego drzewami. Kościół ten jednak został oddany przez Niemców Rusinom i zamieniony na cerkiew. Minęła więc furtkę, poszła dalej.

Za zakrętem wyszła na izolatkę, której dach widać było z okna pokoju, w którym spała. W środku długiego drewnianego budynku znajdował się maleńki, chłopski ganek. Znalazłszy się za rogiem domu ujrzała cmentarzyk otoczony niskim płotkiem z kamieni. Krzyże stały tutaj równym szeregiem w głowach płaskich kopczyków, mocno już rozmytych przez deszcze. Groby utrzymane były starannie, omiecione z suchych liści i gałęzi.

Poszła dalej szeroką, równą wydumą, służącą niewątpliwie latem dla dzieci za olbrzymie boisko. Z prawej strony odgrodzony od boiska płotem czernił się sad, z lewej płaszczyzna skręcała ku płatom zaoranego pola i ku białemu, jednopiętrowemu budynkowi, w którym z daleka można było poznać szkołę. Drogą ku budynkowi ciągnęła od bramy zakładu dzieciarnia, po dwoje, po troje, opatulona w jakieś gałgany, z płóciennymi torbami na zeszyty. Niektórzy chłopcy prowokacyjnie podnosili na widok Oleńki ręce w górę, naśladując partyjny ukłon Niemców. Inne dzieci przechodziły obok niej bez słowa, obrzucając ją tylko ciekawym spojrzeniem. Jedna dziewczynka, idąc samotnie, dygnęła grzecznie i powiedziała: „Niech będzie pochwalony”.

Dzieci szły drogą w bok, ona zaś poszła boiskiem aż nad brzeg

rzeczki. Wartki, bury w kolorze strumień płynął z energią, podmywając brzegi porośnięte olszyną. Po drugiej stronie ciągnęła się rozległa, widocznie na bagnach rozpostarta łąka. Na horyzoncie wśród drzew rysowały się wieże kościelne i dachy domów małego miasteczka.

Stanąwszy na brzegu zapatrzyła się w płynącą rzekę. Widziała małe wiry, spienioną wokół zwisających z brzegu gałęzi wodę, a w spokojnych, przybrzeżnych zakolach małe rybki, zawieszane nad dnem porośłym czarnym gąszczem podwodnych mchów.

Zawsze lubiła patrzeć na płynącą wodę. Pamiętała błękitny niby farbka Niemen, toczący się majestatycznie u stóp tarasu w druskienickim parku. W głębi ogrodu, w „muszli”, grała orkiestra. Na tarasie szumiała do wtóru fontanna wody mineralnej. Słońce złociło strome brzegi, gdzie siedzieli ludzie z pobliskiej wsi Bałtoszyszki, przysłuchując się lecącej ponad falami muzyce. Wartki nurt Huczwy przyniósł jej jeszcze inne wspomnienia. W wiosenny dzień szli kiedyś — ona i Danek — wiślanym wybrzeżem między mostem Kierbedzia i mostem kolejowym. Było pusto; kwietniowe słońce złociło dachy Powiśla i ślizgało się po powierzchni rzeki. Barki piaskarzy płynęły wolno, a rozkołysana fala klepała o ich burty. Od południa dął porywisty wicher usiłując zderzyć Oleńce kapelusz z głowy. Doszli do schodków zbiegających z bulwaru ku wodzie i usiedli na nich. Wszędzie były śmiecie i brud, ale nawet tego nie spostrzegli. Czuli siebie i to im wystarczało.

Cofnęła się, ale od rzeki nie odeszła. Płynąca woda przypominała jej — chyba przez skojarzenie z tamtym dniem — Dankę. Gdzież się podział ten mężczyzna, którego kochała? Odszedł, zniknął i nic po nim nie zostało — poza coraz bledszymi wspomnieniami, poza uczuciem pustki.

Nagle wyczuła, że ktoś stoi za nią. Odwróciła się szybko i zobaczyła Barczyńskiego. Miał na sobie krótką kurtkę, zielone spodnie i wysokie buty. Ukłonił się grzecznie.

— Zobaczyłem panią z daleka i przyszedłem. Ale nie śmiałem przerywać pani rozmyślań.

— Moje rozmyślenia... — machnęła lekceważąco ręką. — Lubię patrzeć na rzekę — wyjaśniła po chwili.

— Ja także. — Barczyński włożył dłonie w kieszenie kurtki. — Kiedyś urządzaliśmy tutaj znakomite kąpiele. Niestety obecne stosunki z przymusowymi sąsiadami są tego rodzaju, że lepiej im nie pokazywać, iż ma się wolne chwile.

— Tak, ci przymusowi sąsiedzi nie są sympatyczni. Widziałam idące do szkoły dzieci. Chłopcy podnosili na mój widok ręce do góry. Nie wiem, czy to było pozdrowienie, czy prowokacja.

— Naturalnie, że prowokacja. Poza tym zamiłowanie do małego naśladowania tamtych. Oni zresztą nigdy nie naśladowują Niemców w tym, w czym ich naśladować warto. Imponuje im tylko chamstwo

i siła. Czasami myślę, że prymitywne natury szukają w swoich wzorach nie tego, czego sami nie posiadają, ale raczej tego, co stanowi charakterystyczną cechę ich własnego prymitywizmu.

Zawrócili w stronę zabudowań zakładu.

— Odpoczęła już pani po podróży? — spytał Barczyński.

— Fizycznie tak, psychicznie jeszcze nie. W głowie czuję pustkę. Właściwie to mi się zupełnie nie chce myśleć... Czuję nieomal wstręt...

Skinieniem głowy wyraził zrozumienie.

— Znam to uczucie. I ja także przeżywałem podobną depresję. To było w roku trzydziestym dziewiątym. Na wojnę szedłem jak wszyscy: z zapalem, z wiarą w zwycięstwo. To, co widziałem, było przerażające... Musieliśmy uciekać, wtedy nawet, kiedy nie było to potrzebne. W końcu oberwałem kilka razy. Naturalnie nikt się mną nie zajął. Gdyby nie nagła pomoc jakichś chłopów, byłbym wpadł w ręce Niemców — no i siedziałbym od lat w oflagu. — Urwał i szedł przez chwilę milcząc. Nagle zaczął twardo: — Jeszcze i dziś trudno mi o tych dniach mówić. Wydawałoby się, że po trzech latach można już o tym zapomnieć. Lecz nie, nie zapomnieliśmy. Trzeba, by wymarło całe pokolenie tych, co widzieli — i dopiero potem... Prawda?

Nie odpowiedziała od razu. Szła obok niego bez słowa, bawiąc się tylko trzymaną w rękę witką. Wreszcie zapytała:

— Pan sądzi, że trzeba drugiego pokolenia, by zrozumiało słabość? I aby miało odwagę przyznać się do niej?

Potrząsnął głową.

— Nie o tym mówiłem. Powiedziałem, że ludzie, dla których wolność była rzeczywistością, musieliby umrzeć, aby się z jej brakiem pogodzić. Należę sam do pokolenia, które wprawdzie dużo zaczerpnęło z tradycji obowiązującej jeszcze w czasach, gdy się było dziećmi, lecz które potem widziało...

Wzruszyła ramionami.

— I pan do tego przywiązuje znaczenie?

— Naturalnie. Tego dziedzictwa wyrzec się nie można.

Jakiś impuls kazał jej wypowiedzieć słowa zwątpienia. Nie po raz pierwszy zresztą odzywał się w niej. Odkąd opuściła bramy obozu, miała wrażenie, że przemoc wroga nadal ją prześladowuje. Przecież z byle powodu mogłaby znowu pójść za druty. Na samą myśl o tym czuła paniczny strach. Gdyby to miało jej grozić, wołałaby raczej ustąpić, skapitulować...

Wypowiedziała swą myśl z brutalną szczerością:

— A ja, proszę pana, sądzą inaczej. Pokolenie, które widziało — jak pan to nazywa — wiedzieć także powinno, dlaczego już nie widzi. Ci, co po nas przyjdą, może będą idealizowali przeszłość. My powinniśmy znać całą prawdę.

— Znać jej wielkość?

— Jeżeli można — tak. Ale przede wszystkim jej małość.

— Małość? Nie wiem... Gdzież ją pani widzi? — spytał nienaturalnie spokojnym głosem.

— Gdzież? Ależ wszędzie. Ja także, proszę pana, należę do pokolenia, które widziało. Karmiliśmy się wiarą w to, że potrafimy być wyżsi niż inni! I co z tego zostało? Nic, proszę pana. Zgnieciono nas. Nie mogłam i nie chciałam się z tym pogodzić. Ale gdy trafiłam do obozu, zrozumiałam wiele. Tam ludzie umierali za nic. Ot, dziś człowiek żył — jutro umierał. I nie byle kto: inteligencja, profesorowie, artyści, politycy, kobiety, które miały wielkie zadania przed sobą. A zostawała hałastra: szmuglerzy z Kercelaka, kryminaliści, prostytutki, paserzy.

— Ciągłe pani nie pojmuję. Więc co, czy naród nie potrafi odrzucić się nawet z tych prostytutek i paserów?

Wybuchnęła śmiechem.

— No wie pan! Z tego może być tylko banda!

Spostrzegła, że był wzburzony jej słowami.

— O, nie — rzekł ostro. — Pani myśli, że już jesteśmy zgubieni. Los nas dotyka. Ale my jesteśmy jak trawa. Można nas zdeptać. Odrośniemy.

Ściągnął brwi i zacisnął usta. Chwilę pasował się ze sobą, wreszcie podjął nieco spokojniejszym tonem:

— Ja też tak myślałem, gdy byłem ranny. W głowie mi się nie mogło pomieścić, że wojna się kończyła, a został tylko bunt niewolnika. Ach, pani jako kobieta pewno tego nie rozumie. Żołnierza ceni każdy. Ale zostać rebeliantem, zamienić wojnę na dywersję, na uderzenie podstępem — to ponizające.

— Więc widzi pan.

— Nie. W tej chwili mówię o swoich dawnych rozważaniach. Teraz wszystko się zmieniło — każda walka jest dobra. Nie ma hańby w walce z silniejszym, nie ma hańby w walce bez munduru, bez chorągwi — często bez karabinu...

— Z takiej walki wracają najgorsi...

— Jeżeli tak, to trzeba ich zmienić na najlepszych...

— Motłoch w bohaterów?

— Czemu nie, proszę pani. Sprawa zmienia ludzi. Jeżeli podejmiemy walkę...

— Walkę dywersantów, partyzantów, zamachowców...

— Cóż stąd? Los nam nie pozwolił bić się z bronią żołnierza, ale w ręce każdego z nas — nawet szmuglera — włożył życie Polski.

— Czy aby nie przesada?

— Przesada? — głos załamał mu się w pełnym oburzenia okrzyku. — Nie! Wrzesień był dla nas piekącym policzkiem. I wróg chciał,

abyśmy przegraną czuli jak policzek. Pysznił się swą siłą. Nie wystarczyło mu, że nas obalił. Chciał nam jeszcze wmówić, iż tak być powinno. Gdy człowiek znienawidzi swoją hańbę, urastają w nim siły...

— Budzi się nienawiść do wroga?

— Nie, proszę pani. Żołnierz walczy z przeciwnikiem, ale nie musi go nienawidzić.

— Jeżeli go nie będzie nienawidził, nie potrafi walczyć.

— Myli się pani.

Tym razem hamowana burza wybuchła. Wyciągnął przed siebie ręce i chwilę trzymał je tak, jakby szukając jakiegoś oparcia. Potem zacisnął dłonie na sztachetach z taką siłą, że te zaskrzybiały. Zatrzymali się.

— Nie! — krzyknął. — Byłoby nonsensem żyć nienawiścią, gdy to, co jest nam drogie, wciąż żyje. Nie! Dlatego, że nie walczymy w prostym i zrozumiałym boju, dlatego, że zabijają nam najwartościowszych ludzi nie kulą w szarży, ale przysiadem podczas karnych ćwiczeń — dlatego nie jesteśmy gorsi niż inni. Zgwałcona przez napastnika kobieta nie traci swej niewinności. Lecz nam nie wolno myśleć tak, jak chcą nasi wrogowie. Pani to pojmuje? I pani także nie wolno tak myśleć!

Podniosła na niego wzrok pełen zdumienia. Już miała na ustach: „Lepiej odejdę”, gdy nagle ujrzała dziwną zmianę na twarzy nauczyciela. Gniewne jeszcze przed chwilą oczy zmatowiały, na ustach pojawił się pełen zakłopotania uśmiech. Opuściwszy głowę powiedział:

— Bardzo panią przepraszam. Jestem zwyczajnym chłopem, źle wychowanym... Bardzo przepraszam...

To zakłopotanie ujęło ją. Wyciągnęła rękę.

— Nie mam żalu, proszę pana. Nie, naprawdę...

Schwycił jej dłoń i przycisnął do ust.

— Dziękuję. Ja przecież panią doskonale rozumiem. Gdybym był na pani miejscu, też bym na pewno tak myślał.

Budynek dziewcząt, który mieli po lewej stronie, skończył się rzędami zszarzałych, rozmytych przez deszcze grządek. Na tle wysokich olch i brzoź połyskiwał mały stawek. Nieco dalej rozpoczęła się wydma, a na niej rósł pozbawiony poszycia wysokopienny las sosnowy. Wśród pierwszych drzew lasku, przy skraju drogi, stał maleńki domek skryty w bezlistnym gąszczu bżowych krzewów.

— To mój dom — powiedział Barczyński.

Zatrzymali się przy miniaturowej furtecce, prowadzącej do równie maleńkiego ogródka.

— Może pani zechce zobaczyć, jak wygląda? — zapraszał.

Bez rozpierał się tak natrętnie pozbawionymi liści gałęzmi, że

trzeba było się schylić, by obejść dom. Barczyński otworzył drzwi i puścił przodem Oleńkę, Weszła w półciemny korytarz, gdy nagle na jej spotkanie wypadła z radosnym okrzykiem jasnowłosa, może sześciolatnia dziewczynka. Zobaczywszy przed sobą nieznaną osobę zatrzymała się pełna zdumienia.

— Przywitaj się, Krysiu — upomniął ją Barczyński. — Moja córka — przedstawił ją Oleńce.

— Przemiała osóbką. Dzień dobry, Krysiu. Jeszcze się nie znamy, ale możesz chyba podać rączkę?

Dziewczynka patrzyła na Oleńkę z uśmiechem.

— Mogę — powiedziała.

Weszli do małego, ciasnego pokoiku. Stało tu brązowe pianino, stół, kanapa, stolik pod ścianą. Doświadczonym kobiecym okiem Oleńka odkryła zaraz w tym pokoju mało dostrzegalny, a przecież charakterystyczny — prawdziwie męski styl. Rzeczy stały twardo, bez wdzięku, niby wartownicy na wyznaczonych stanowiskach.

— Ładnie tu u pana — powiedziała siadając.

Mówiła to szczerze. Przez okno zaglądały do pokoju witki bzu, ujmując jakby w ramkę prostokąt czterech szyb. Meble w pokoju były nowe, utrzymane starannie. Pomyślała sobie, że wiosną, gdy zazielenią się krzewy pod oknem, może tu być nawet bardzo ładnie.

— Lubię to mieszkanie — przyznał. — Siedzimy tu sobie z Krysią jak u Pana Boga za piecem. Czy nie tak, Krysiu?

— I z panną Zofią. — Dziecko poprawiło informację ojca z prawdziwie dzieciinną potrzebą dokładności.

— No tak, i z panną Zofią. Panna Zofia jest moją daleką krewną — cioteczną ciotką, czy coś w tym rodzaju. Zajmuje się Krysią. Ale wiesz co, Krysiu, idź się pobawić do panny Zofii.

Dziewczynka potrząsnęła buńczucznie głową.

— Nie pójdę. Chcę rozmawiać...

— Jest pan w niewoli u córki — żartowała Oleńka.

— Właściwie, to tak. Ale cóż pani chce? To moje całe życie.

— Pańska żona...

Przerwał jej.

— Moja żona żyje. Mieszka w Zamościu. Doszła do przekonania, że życie wiejskiego nauczyciela jest puste i nudne. Przed wojną były możliwości awansu, przejście do miasta, ale teraz trzeba siedzieć tam, gdzie się siadło. Poza tym nie jest tu bardzo bezpiecznie.

— Mamusia przyjedzie — powiedziała Krysia — jak się wojna skończy... — Dzieciak słuchał uważnie i zdawał się rozumieć wszystko, co mówili starsi.

— Oczywiście, że przyjedzie — zapewnił.

Spojrzała uważnie na Barczyńskiego. Z wyraźną niechęcią musiał wspomnieć o żonie, bo zaraz przeszedł na inny temat:

— Myśli pani często o pobycie w obozie?

Teraz to ona zrobiła niechętny ruch ręką.

— I myślę, i mówię o tym niechętnie. Mam takie dziwne uczucie: złości mnie, że dałam się złapać. Gdybym uważała, gdybym wyskoczyła...

Uśmiechnął się.

— Gdyby... gdyby... Rozumuje pani tak jak ja dawniej. Mnie się też zdawało, że gdyby inni ludzie, gdybyśmy mieli więcej samolotów, gdyby wcześniej nastąpiła mobilizacja... Ale nie na tym polega sprawa.

— Nie chcę się sprzeczać, bo pan znowu na mnie krzyknie.

— Och, czy pani mi tego nie zapomni?

— Będzie to zależało od pańskiego sprawowania.

— A jeżeli będzie dobre?

— To zapomnę... I nie będę się spierała.

— Zgoda. Jeszcze raz proszę o przebaczenie.

— Dobrze. Wobec tego — ad rem. Mówi pan, że już się pan uwolnił od obsesji tego tragicznego „gdyby”. I niczego pan nie żałuje?

— Naturalnie, żałuję. A raczej — nie mogę pozbyć się uczucia żalu, że my musimy walczyć w ten sposób.

— I nie nasuwa to panu podejrzeń, że jesteśmy inni, gorsi?

— Nie. Żałuję tylko, iż nie możemy walczyć tak jak ci, co walczą jawnie z bronią w rękę, ale rozumiem, że aby tak walczyć, trzeba przewyciężyć swoją wewnętrzną słabość. Od innych ich ojczyzna nie wymaga tyle, co od nas. Czyż mamy nad tym płakać?

Wyciągnął rękę i położył na ramieniu córki.

— Jeszcze więcej kocham moją małą, gdy muszę ją rozbierać, myć. Ona mnie potrzebuje. Ja zaś wiedząc o tym, gotów jestem ofiarować jej każdy, nawet taki nieefektywny wysiłek. To zobowiązuje. Jeśli Polska potrzebuje mego poniżenia — nie tylko mojej krwi — wstydzilibym się jej tej ofiary odmówić. Innym sam los zbudował mocną ojczyznę, siła naszej zależy od naszej siły.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Pani to zresztą wie równie dobrze jak i ja. I te sprzeciwy są sprzeciwami dziecka, które spiera się ze sobą. My to znamy z Krysią.

Wstał i przeszedł dwa razy przez pokój. Potem pochylił się nad Krysią, ogarnął ją ramieniem. Dziewczynka znudzona rozmową starszych, której przysłuchiwała się jednym uchem, robiła z chustki do nosa posłanie dla swej lalki. Czując jednak na sobie rękę ojca, przycisnęła się do niej pieszczotliwie jak kotka.

— I cóż mi powiesz, moja przyjaciółko? — mówił cicho Barczyński, dotykając ustami ucha córki.

— Patrz — wskazała na zawiniętą w chustkę lalkę — Basia ma pościel. Połóż ją spać.

— Choć raz się dobrze wyśpi — żartował.

— Nie obudzę jej jutro rano. Niech śpi. Dobrze?

— Ależ naturalnie. — Wyprostował się, spojrzął na Oleńkę. — Widzi pani, my się nawet na lalczynych sprawach rozumiemy.

Dziewczyna nie mówiła nic. Na dworze powiał wiatr i uderzył gałązkami bzu w okna pokoju. Czuła, że ją ogarnia wzruszenie. Widok tego dziecka i mężczyzny z taką miłością przemawiającego do kilkuletniej córki, widok małego, zastawionego sprzętami pokoju, napełnił jej serce nowymi zupełnie uczuciami. Przewyciężając słabość powiedziała:

— Może zechciałby pan coś zagrać.

— Jeżeli pani chce, dobrze. Lecz spotka panią zawód. Jestem samoukiem. To, co gram, na pewno nie odpowiada zasadom sztuki muzycznej.

— Na sztuce muzycznej się nie znam. Natomiast muzykę lubię.

— Ha, to spróbuję...

Podszedł do pianina i podniósł wieko. Przesunął palcami po klawiaturze. Potem od razu zaczął grać. Spod palców wybuchła mu burza dźwięków mocnych, niecierpliwych, targających niespokojnym rytmem cały pokój. Nawet niedoświadczone ucho mogło od razu poznać, że Barczyński był samoukiem. Nie utrzymywał rytmu, splatał z głównym nurtem melodii szereg nieoczekiwanych wariacji. Ale jednocześnie muzyka ta miała moc rozhukanego żywiołu i wypowiadała znacznie wyraźniej duszę grającego niż spętane więzią taktu sonaty i sonatinki. Nie wiedziała, co Barczyński gra. Może to było tylko tango, przetransponowane na wojowniczy marsz? Słuchała oszołomiona tego grania. Krysia podeszła do ojca, stanęła obok niego i patrzyła z ciekawością na palce mężczyzny, bijące w klawisze. Zdawała się ściągać oczami ulatujące w górę frazy.

I nagle zrozumiała, co Barczyński chce wypowiedzieć swoją muzyką. Przebiegł ją dreszcz. Mężczyzna grał z niesłabnącą energią. Widziała jego podniesione ramiona i odsunięte na zewnątrz łokcie. Raz po raz odrzucał do tyłu głowę. Czuła, jak w melodię przelewa się wewnętrzny gniew tego człowieka, bolesne, gorzkie doświadczenie, jak walczy ze swą słabością. Chciał sięgnąć aż do dna rzeczywistości, chciał odnaleźć sens — prawdziwy sens życia, które zdawało się być wszelkiemu sensowi obce.

Oleńka usiadła w głębi tapczanu i oparła się ciężko o ścianę. Co grał ten człowiek o jasnych, ujmujących oczach i kanciastych ruchach chłopca? Tony napełniały mały pokój, dzwoniły po szybach cichą, spóźnioną o pół taktu skargą.

Wraz ze wzruszeniem ogarnął ją smutek. Łzy napłynęły do oczu i zbiegły kroplami po policzkach. Nie ocierała ich. Gdzieś był prze-

cież Danek, choć ona nie widziała go ani nie czuła. Ten Niemiec... ten jakiś Niemiec, jeden z tych, którzy zabili Danka... Ileż spraw jest pomieszanych ze sobą na tym świecie. I czym jest życie? Nieustanną walką między miłością a śmiercią. Ludzie przychodzą i odchodzą, miłość wybucha i gaśnie.

Usiłowała powstrzymać szloch, który targnął jej piersią. Ale w wirze dźwięków westchnienie to zatoneło bez echa. Nikt go nie usłyszał; ani Barczyński pochylony nad klawiaturą, ani Krysia przytulona do ramienia ojca. Oleńka nie pojmowała tego smutku, nie próbowała nawet szukać jego przyczyn. I tylko miała dziwne uczucie że z nią razem płacze jeszcze ktoś drugi...

III

Był to już drugi tydzień pobytu Oleńki u sióstr, kiedy pewnego ranka przyszedł do niej Barczyński. Nauczyciela widywała dość rzadko, bo albo był zajęty w szkole, albo jeździł po okolicznych wsiach. Tylko czasami wpadał wieczorem na chwilę do księdza kapelana. Za to z Krysią zaprzyjaźniła się serdecznie. Odwiedzała codziennie dziewczynkę w domku pod lasem, a mała kilka razy na dzień przybiegała do niej. Było to inteligentne dziecko, bardzo spragnione serdeczności, której nie mógł jej dać ani ciągle czymś zajęty ojciec, ani też jej opiekunka.

Tego dnia Barczyński przyszedł wyłącznie w tym celu, aby zobaczyć się z Oleńką. Dzień był wietrzny i pochmurny. Dziewczyna siedziała w swym pokoju nad „Literaturą francuską”, którą sobie pożyczyła z biblioteki księdza. Poprosiła nauczyciela, aby usiadł, bo stał w postawie interesanta. Przysiadł na brzegu krzesła jakoś dziwnie nieśmiało. Był to tak charakterystyczny chłopski gest, że aż się uśmiechnęła. Ale on zajęty swoją sprawą nie spostrzegł jej uśmiechu.

— Jeżeli się nie mylę, opowiadała mi pani, że pracowała w trzydziestym dziewiątym roku w szpitalu? — rozpoczął.

— Tak... Czemu się pan o to pyta?

— Chciałbym wiedzieć, czy umie pani opatrywać rany, zakładać bandaże, no i takie różne rzeczy.

— Praktykę miałam niezgorszą.

Ujrzała nagle wielkie sale szpitala Maltańskiego, szerokie schody, wysokie okna pozasłaniane czarnym papierem. Któregoś dnia bomba lotnicza spadła tuż obok budynku, w chwili gdy Oleńka szła przez klatkę schodową. Pęd powietrza rzucił dziewczynę na ziemię. Stoczyła się po schodach, słysząc nad sobą gruchot rozbitych szyb. Z jakimż zdumieniem podniosła się na półpiętrze i stwierdziła, że oprócz pokaleczonych szkłem łydek nie odniosła żadnych obrażeń.

— Bo widzi pani — mówił Barczyński — doszliśmy do przekonania, że taki stan dłużej trwać nie może. Niemcy wysiedlają wieś

za wsią. Ludzie giną albo idą na poniewierkę. Nasza bierność wzmaga ich bezwzględność.

— Chcecie wywołać powstanie?

— Nie. Zresztą rozkaz wzywający do powstania winien przyjść z góry. Nie chcemy wywoływać powstania. Uważamy tylko, iż należy zorganizować akcję lokalną.

— Dywersję?

— Nazwijmy to tak.

— A jaki byłby cel tej „lokalnej akcji”?

— Zdobędziemy wieś, którą obsadzono niemieckimi kolonistami. Wysiedlimy ich z ziemi, którą zagarnęli, wypędzając ich właścicieli.

— Czy uważa pan to za słuszne działanie?

Podniósł na nią wzrok.

— Tak, proszę pani — powiedział po prostu.

Potrząsnęła głową.

— Ja mam wątpliwości...

— Słucham panią.

— Będzie to akcja demoralizująca ludzi, którzy się do niej wezmą...

Przerwał jej.

— To będzie wojna.

Skrzywiła się.

— Taka wojna...

— Taka czy nie taka — w każdym razie wojna. Proszę pani, niech mi pani daruje, ale pani nie wie, co się dzieje o kilkanaście zaledwie kilometrów od nas. To są rzeczy przerażające.

Kiedy zaczął dziewczynie opowiadać o tych wypadkach, w słowach jego kipiało oburzenie. Oleńka uświadomiła sobie nagle, że słowo „wysiedlenie”, które dla niej w powodzi tylu innych okrutnych słów niosących śmierć i mękę nie było straszne, teraz nabrało przerażającej mocy. Ten chłopski syn sam nie miał już ziemi, ale wiedział dobrze, czym jest przywiązanie do własnego pola, do własnej chaty, do własnego bodajże śmietnika. W jego słowach nie było roztkliwień nad chłopami, których wpychano uderzeniami kolby na samochód, nad spazmatycznie wyjąłymi kobietami, którym wydzierano dzieci, by rzucić je gniewnie — jak nierasowe szczenięta — gdzieś pod płót, skąd się je potem zabierze wagonami w szeroki świat. Barczyński widział przede wszystkim ziemię, po którą wyciągnął ręce zachłanny najeźdźca — i ta właśnie zbrodnia budziła w nim najsroższy gniew. Nie szkoda lasu, który wyrąbują obce ręce. Las jest po to, aby dawał od czasu do czasu ofiarę z samego siebie. Ale gdy buty wroga poczynają deptać po młodym zagajniku, wtedy...

Zacisnął pięści i oparł je mocno o kolana.

— W tym lesie obok bramy — ciągnął — na dwa lata przed wojną sadziliśmy z siostrą przełożoną małe sadzonki. Były już wysokie na dwa palce, gdy zwała się tutaj za Niemcami rusińska banda. Od razu wleźli z kopytami na sadzonki. Z nienawiści i dlatego, że taki właśnie gest podobał się ich „opiekunom”, wydeptali nam młody lasek. Niby bydło w szkodzie: mało zje, a wszystko zniszczy...

Podniósł wzrok na dziewczynę, ona zaś spuściła oczy ku ziemi. Sama nie wiedziała, dlaczego ogarnął ją wstyd.

— Więc to jest wojna... — pomyślała głośno.

— Tak jest, proszę pani — odpowiedział. — To jest wojna.

— Wyobrażałam ją sobie inaczej...

Nie rzekł na to nic, tylko podniósł się i stał przed nią w wyczekującej postawie.

— Gdzie mam iść? Kim się zająć? — zapytała.

— Więc pani się zgadza?

— Jak pan widzi.

— W takim razie — dziś wieczorem. Dam pani znać.

Uklonił się i wyszedł. Słyszała, jak zachodził do pokoju księdza kapelana, a potem zbiegał w dół po schodach. Wróciła do książki. Ale nie mogła już skupić się na lekturze. Położyła ciężki tom na stole i podeszła do okna. Wiatr — przedwiosenny, porywisty wiatr targał gałęzmi dwóch brzoź rosnących przed izolatką. Jakiś chłopak biegł w stronę budynku dziewcząt, oglądając się raz po raz jak sploszony złodziej. „Może coś skradł naprawdę?” — pomyślała.

Wróciła do kanapy. Spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina dwunasta. Obiad był tutaj zawsze około pierwszej.

Czego oni chcą ode mnie? — zastanawiała się przez chwilę. Zaczęła się już gdzieś ta walka czy dopiero zacznie?... Przebiegł ją dreszcz. Inaczej myślała o wojnie w trzydziestym dziewiątym roku. Wtedy wydawała się jej wielką złowrogą chmurą, niosącą śmierć, lecz także zwycięstwo. Łatwo było w te dni ofiarować życie, miennie — wszystko. Dziś wojna toczyła się z dala od niej. Dziewczyna patrzyła na nią — a z nią miliony ludzi — podczas gdy nielitościwa śmierć ścinała widzów, jednego po drugim. To tak jakby Hamlet zszedł ze sceny ze szpadą w rękę... Tam na scenie, wśród wrzasków mordowali się dalej romantyczni aktorzy dramatu. Na widowni natomiast umierali bez słowa, w pogardliwej ciszy — widzowie...

Zrozumiała, że niełatwo nawrócić się na wiarę Barczyńskiego.

W ciszy budynku rozległ się miarowy dźwięk bijącego na schodach zegara. Miała wrażenie, że to nie zegar wybija powoli południe, ale ktoś nad jej głową woła, wzywa, przypomina. Jakże często czuła w tym pokoju niewidzialną obecność innej, wciąż za nią postępującej istoty. Czego chciała od niej ta zjawa w mundurze niemieckiego lotnika, z twarzą przypominającą twarz Bohdana? Zegar umilkł i teraz gdzieś z dołu popłynął szmer odmawianej modlitwy. Prawda —

to Anioł Pański. Świat zmarłych dopominał się natarczywie tej najdoskonalszej z pociech. Świat zmarłych... Czyż nie był dla niej światem bliższym niż świat żywych, ten świat, do którego należeli już prawie wszyscy, których kochała?

Przyszła do kaplicy, gdzie klęczała tylko jedna z sióstr. Było tu cicho — nie tylko cichością wielkiego, a w tej chwili opuszczonego domu, ale cichością właściwą kościołom i kaplicom. „A Słowo stało się Ciałem”... gdy doszła do tego miejsca, podniosła wzrok na drewnianą szafkę cyborium. W jej wnętrzu kryła się Rzeczywistość, nadająca sens wszystkiemu, co żyje żyjąc i co żyje zmarłszy. Nie mogła w to wątpić. Nie miałaby odwagi wątpić. Bo gdyby drewniana szafka nie zawierała największej na świecie Mocy i gdyby nie czuła, że ta Moc zdolna jest ją zawsze i wszędzie wybawić od każdej grozy — na pewno by utraciła resztę posiadanej odwagi. Życie jest bardzo trudne. Ale nad życiem stoi Chrystus.

— Więc pani ma zamiar wziąć udział w dzisiejszej wyprawie? — pytał ją przy obiedzie ksiądz kapelan, który o wszystkim wiedział i sam się do wyprawy szykował.

— Zostałam zaproszona, jeżeli tak można powiedzieć, w roli eskulapa...

— Mówi pani o tym bez zapału. — Był zdumiony jej chłodem.

— Nie widzę powodu do zapału.

Otworzył szeroko oczy.

— Przecież to wojna z wrogiem.

— Ach nie, proszę księdza, to nie wojna. To bójka o parę chałup czy o stary płot, który i tak się w końcu przewróci.

— Gorzko to pani mówi. Lecz przecież wojna składa się z bitew, potyczek — nawet bójek, jak pani to nazwała.

— Treścią wojny jest wielka myśl, wielka idea...

— Naród ma prawo do wolności!

— Tak... Ale wtedy, gdy tę wolność umie naprawdę ocenić. Myśmy wolność mieli, a przecież... Szliśmy do wojny — jak do świętej wojny. Ludzie, którzy w niej padli, chcieli Polskę, a przez Polskę świat cały zmienić. Dziś pójdziemy rzucić zza płotu granat.

— Kto wie, jakie echo zbudzi huk tego granatu.

— Echo w najbliższym posterunku policji.

— Jakaż się pani zrobiła złośliwa. Nie tylko na posterunku. W sercach. Na przykład w pani sercu.

— Wątpię, proszę księdza.

Zaśmiał się zagadkowo.

— Zobaczysz pani.

Po obiedzie wrócili na górę. Kapelan poradził Oleńce, aby poszła się przespać.

— To dobrze robi. Początkowo człowiek jest trochę nieswój, ale potem w nocy ma lepsze samopoczucie.

Zasnęła prędko i łatwo. Było już późne popołudnie, gdy obudziło Oleńkę niespodziewane wejście siostry przełożonej.

— Jestem niespokojna o was — mówiła zakonnica.

— Nie widzę niebezpieczeństwa — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Jednakże... Lecz Bóg was strzec będzie — przełożona sama siebie uspokajała. — Musi się pani ciepło ubrać. Noce są mroźne. Przyniosłam pani kożuszek. I buty naszej Stefci — podniosła w górę wysokie buty.

— Czy to potrzebne, proszę siostry?

— Bez nich pani nie puszczę. Przecież nie wiadomo, czy będziecie mogli wrócić rano do zakładu.

— Tak siostra myśli?

— Ależ, panno Oleńko, pani mówi jak dziecko...

Nie sprzeczała się już więcej i po chwili była ubrana w przyniesione rzeczy. Zeszła na dół na kolację. Tam już czekał kapelan ubrany po cywilnemu w harcerską kurtkę, zielone spodnie i grube pończochy. Teraz wyglądał jeszcze młodziej niż zwykle.

— Niech pani je dużo — zachęcał ją przysuwając półmisek jajeczniczy. W związku z oczekującą ich wyprawą zamiast skromnej codziennej kolacji miała przed sobą niebywałe przysmaki. Ale jeść nie mogła. Mimo wewnętrznej powściągliwości i przekonania, że wyprawa, na którą idzie, nie jest niczym poważnym, zaczęła opanowywać ją gorączka.

Ksiądz spojrział na zegarek.

— Musimy iść. Czy pani jest już gotowa?

— Jestem. Idziemy.

Wstali od stołu. Ksiądz przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę. Na pożegnanie weszła do jadalni siostra przełożona.

— Już musicie iść? — spytała.

— Tak, proszę siostry.

— No to niech was Pan Jezus...

Matczynym ruchem schyliła się nad ich spuszczone głowy. Ale była opanowana. Na jej stanowczej twarzy nie widać było niepokoju. Jeszcze dorzuciła:

— Którędy ksiądz chce iść?

— Pójdziemy przez gospodarstwo, tyłami. Tak, jakbyśmy szli do pociągu.

Kiwnęła z uznaniem głową.

— To dobrze. Idźcie.

Pierwsze woale mroku zsuwały się z pochmurnego nieba, kiedy minęli długą ścianę budynku folwarcznego i idąc między olchowymi drzewami wyszli na pole. Ludzi nie spotykali, bowiem ostry wiatr dał nieprzyjemnie i nie zachęcał nikogo do spacerów. Zanim przeszli przez puste pole dzielące ogród od toru kolejki, ksiądz rozejrzał się uważnie na wszystkie strony. Nikogo jednak nie było.

Minęli stacyjkę, przeszli przez szyny, zsunęli się z nasypu i weszli na drogę biegnącą między polami. Wiatr był tutaj jeszcze silniejszy i dał prosto w twarz, utrudniając całkowicie rozmowę.

Teren nieznacznie, ale stale podnosił się w górę niby brzeg wielkiej miski, na której dnie leżał zakład. Dzięki temu mieli ciągle za sobą wielki kompleks białych murowanych budynków, z lewej niskie drzewa sadu, z prawej zbity, czarny gąszcz sosnowego lasu. Bardziej na prawo, również wśród drzew, ciągnęła się wieś, a nad nią — na wyniosłości wpółzastłoniętej drzewami — górował biały kościół.

Minęli kępę drzew, otaczających wkopaną głęboko w grunt polną studzienkę. Szli dalej. Tu i tam musieli mijać pojedynczo rozrzucone chałupy. Aż wreszcie po dobrej godzinie marszu stanęli przed gęstym, podszytym dębiną i brzozą lasem. Wiatr tutaj nie dał tak silnie jak na polu.

— Zmęczyła się pani? — spytał ksiądz.

— Troszeczkę.

— Teraz już pojedziemy. Gdzieś tu powinien być Kazik.

Weszli między krzewy i zaraz natknęli się na młodego chłopca w szarej kurcie i granatowej czapce. Ten uśmiechnął się na ich widok.

— Będzie pochwalony... — powitał kapelana.

— Ach, to ty, Janku — ksiądz znał z imienia wszystkich okolicznych chłopaków, którzy kolejno byli jego uczniami. — Na wieki wieków. Gdzie pan Kazimierz?

— Pan porucznik w leśniczówce. — To „pan porucznik” zabrzmiało słuźbiście.

Zaczęli iść ledwo widoczną, wyciśniętą na mchu i igliwiu ścieżką. Nagle wśród drzew pojawił się płot, znad którego wyglądał kryty gontem dach. Weszli do środka zagrody. Dwóch chłopaków siedziało na pniu drzewa, wprost przed drzwiami. Na kolanach mieli karabiny. Poprzez ganek ksiądz z Oleńką przeszli do izby.

Resztki dnia zgasły tutaj całkowicie i tylko karbidówka paliła się białym światłem na środku dużego stołu ze zwykłych, ledwo podheblowanych desek. Przy końcu stołu siedział Barczyński, przysłuchując się temu, co do niego mówił chłop w kozuchu ściśniętym szerokim pasem. Trzech innych wieśniaków siedziało na ławie, paląc spokojnie papierosy.

— Dobry wieczór księzdu. — Barczyński podniósł oczy na wchodzących. — Dobry wieczór pani.

Wskazał na ławę prosząc, aby usiedli.

— Zaraz jedziemy — mówił dalej. — Mamy trzy wozy. W pierwszym jadę ja, Franek i Józek, w drugim pan Tomaszewski — wskazał wzrokiem starego chłopca z dużymi sumiastymi wąsami — a w trzecim ksiądz kapelan, pani i Gościński. My na pierwszy wóz bierzemy tylko pistolety i granaty. Wy weźmiecie erkaem i karabiny. Trzeci wóz jedzie bez broni.

Choć mówił jak zwykle żywym i młodzieńczym, lecz spokojnym głosem, słowa, które wypowiadał, brzmiały niby komenda.

— Daj pani torbę z opatrunkami — zwrócił się do stojącego obok chłopca w kozuchu.

Ten sięgnął na zydel pod ścianą i położył na stole brezentową torbę zawierającą bandaż.

— Ładowanie magazynków skończone? — pytał Barczyński.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Erkaem sprawdzony?

— Tak jest.

— Pokażcie mi go.

Jeden z siedzących na ławie chłopów wstał i poszedł w głąb izby. Po chwili wrócił do światła, niosąc długi ciężki przedmiot. Ustawił go starannie na stole, rozstawiając pod lufą nóżki. Barczyński pochylił się nad erkaemem. Był to polski „Browning” doskonale utrzymany. Oficer sprawdzał najprzód regulator gazu, potem otwór komory, skrzydełko bezpiecznika, spust. Odciągnął sprężynę i wolno ją spuścił, przytrzymując mocnym uchwytem palców rączkę napinającą.

— No, dobrze — rzekł. — Bierzcie maszynkę. A o zasadach celowania nie zapomnieliście?

— Nie, panie poruczniku.

— Pamiętajcie: krótkimi seriami i zawsze z podparcia.

Oddał broń celownicemu. Wszyscy powstali. Barczyński zakomenderował:

— Idziemy.

Wyszli na dwór. Na las spłynęła ciemność, tym większa, że kłębiące się po niebie chmury zasłoniły księżyc. Szli grupką między drzewami i krzakami aż na skraj dużej polany. Stały tutaj trzy wozy.

Mężczyźni podchodzili kolejno do jednego z nich i podniósłszy rozesłaną słomę brali ze skrzyni długie niemieckie granaty. Wsadzali je sobie za pas. Barczyński przypominał:

— Pamiętajcie: odkręcić najpierw zakrętkę, wtedy z rączki wypadnie sznurek z porcelanową gałką. Wyrwać sznurek i zaraz granat rzucać. A sami — na brzuch...

Pierwszy wóz zaturkotał i odjechał w mrok. Po dobrej chwili

odjechał drugi. Wtedy Oleńka i kapelan wspięli się na ostatni wóz. Ksiądz powiedział:

— W imię Boże...

Chłopak zaciął konie.

Jechali długo bocznymi drogami, okrążając niektóre wsie, przez inne natomiast przesuając się wolno. Ale ledwo minęli ostatnie opłotki, konie znowu ruszyły w czujny kłus, zaś chłopak rzucał raz po raz przez zęby gniewnie „hetta... hetta, wio”. Wóz toczył się prędko, podskakując na wybojach, hucząc na uśpionych mostkach, podnosząc za sobą tumany suchego pyłu. Czas płynął. Zjechali w cień lip i olch, na sam brzeg rzeczki.

Woźnica zatrzymał konie i pozwolił im się napić. Schyliwszy głowy dotykały powierzchni wody zmarszczoną, niby ze wstrętu, wargą. Chłopak cicho gwizdał. Potem znowu ruszyli dalej.

Ostrożnie przemknęli się przez las i wjechali na pole. Mieli przed sobą pozornie wielką płaszczyznę przeciętą jasną linią. Woźnica odwrócił się do Oleńki i księdza i powiedział szeptem:

— Teraz ostrożnie. Musimy przejechać szosę.

Konie szły noga za nogą, ale z czujnie podniesionymi głowami. Zdawać by się mogło, że biorą udział w wyprawie.

Z głębokiej ciszy słyszeli wyraźnie szelest piasku przesypującego się przez szprychy kół. Daleko przed nimi czy może blisko — noc bowiem wydłużyła niepomierne przestrzeń — posłyszeli charakterystyczny turkot kół i trzask kopyt na bruku. Dźwięk ten utonął na nowo w ciszy, a czarny cień zamajaczył na białej linii szosy.

— To nasi — szepnął do Oleńki ksiądz.

Skinęła głową. Dreszcz emocji zsuwał się niby chłodne palce wzdłuż całego ciała. Zęby szczękały.

Jeden z koni trzasnął kopytem o kamień. Stukot ten rozległ się jak wystrzał.

Byli już blisko szosy. Z prawej strony ciągnął się pas krzaków, droga podnosiła się nieznacznie ku nasypowi szosy.

Lecz nagle woźnica wstrzymał konie. W powietrzu rozległ się dźwięk niby głos lecącego bąka, niski, huczący. Gdzieś z boku pojawiły się smugi światła. Szosą gnał samochód, za nim drugi, trzeci, czwarty... Oleńka widziała, jak przemknęło obok nich krótkie polowe auto na wysokim podwoziu, ze ściętą linią maski motoru. Dalej pędziły wielkie ciężarówki, wlokąc czasami za sobą przyczepne wozy. Kolumna mignęła i znikła. Po chwili został po niej tylko wiszący w powietrzu pył.

Wolno wtoczyli się na szosę i zjechali z drugiej strony na drogę. Konie szły znowu tegim kłusem. Jakieś uśpione domy pozostały z boku. Po chwili rozwarła się przed nimi czarniejsza od szosy ściana lasu.

Wóz podskakiwał na korzeniach, chrząścił i skrzypiał. Potem skręcili w bok między krzewy. Zatrzymali się na małej polanie.

Oleńka zobaczyła koło wozu ciemne sylwetki mężczyzn. Doszedł ją głos Barczyńskiego, który wydawał rozkazy:

— Wszyscy idą za mną. Tylko pan Tomaszewski z Frankiem będą ubezpieczali nasze tyły.

Ludzi było znacznie więcej niż w leśniczówce, z której wyjechali; widocznie w lesie spotkały się rozmaite grupy. Około dwudziestu poszło za Barczyńskim prosto przez las. Kilku pozostało przy wozach. Książd i Oleńka szli na końcu kolumny.

Dziewczynę ogarnął podziw dla milczącej determinacji tych ludzi. Byli chyba nie mniej niż ona podnieceni, a przecież szli twardo, ścisnąc tylko karabin w garści.

Po chwili ściana drzew została za nimi i znaleźli się na polu. Szli dalej czujnie i pewnie, rozsypując się szeroką tyralierką. Nie trzymali się drogi, ale kroczyli na przełaj poprzez zbrudzone zeszloroczną orką zagony.

Nieoczekiwanie Oleńka ujrzała przed sobą rząd chat. Czyżby to był właśnie ów Cieszyn, który mieli wydrzeć z rąk Niemców? Spojrzała z boku; kapelan szedł o parę kroków od niej. Grupka atakujących chłopców, o ile przedtem była szeroko rozsypana na polu, teraz zebrała się w kupę. Szli prosto na mały budynek z niewielką wieżyczką nad dachem.

Nagle rozległ się okrzyk po niemiecku: „Wer da?” A potem zaraz padł strzał. Był to jakby sygnał do rozpętania burzy. W ciemności widać było to tu, to tam czerwone ogniki. Łomot wystrzałów, świst kul, krzyki ludzkie wdarły się brutalnie w ciszą nocną.

— Naprzód — usłyszała Oleńka głos Barczyńskiego.

Pobiegła razem z innymi, choć sama nie wiedziała, po co biegnie. Walka, która się rozpętała, wciągnęła ją żarłocznie w swój wir. Karabiny łomotały nad głową, potem seria erkaemu — ostra, krótka — kilkakrotnie powtórzona.

Blisko ścian budynku przebiegł jakiś chłop klnąc głośno, wreszcie zamachnął się i cisnął granat prosto na werandę. Instykt kazał dziewczynie paść na ziemię. Głuche, ciężkie stęknienie podobne do tępego uderzenia wstrząsnęło powietrzem. Widziała błysk wybuchu, a potem gęste kłęby czarnego dymu. Dalsze wybuchy następowały raz po raz. Strzelanina rozlegała się ze wszystkich stron. Jednocześnie ujrzała, jak język ognia liże ścianę budynku. Ktoś od wewnątrz pchnął okiennice, w oknie, na tle pożaru, ukazała się czarna sylwetka człowieka, który chciał zeskoczyć na ziemię. Ale zanim zdołał stanąć na parapecie, w otwarte okno poleciał granat. Gdzieś w środku nastąpiła eksplozja. Ogień z nową siłą począł się wspinać ku dachowi, otrzepując na wszystkie strony płomienisty deszcz iskier.

Oleńka podniosła się na nogi. W blasku ognia widać było biegną-

cych ludzi, ale w nieustannej strzelaninie nie mogła odnaleźć kapelana. Natomiast wydało się jej, że rozpoznaje głos Barczyńskiego, który wiódł swoich ku następnej z kolei chacie. Niemcy byli dobrze uzbrojeni i wciąż usiłowali się bronić, jednakże furia natarcia złamała ich opór. Strzelali źle i nie mogli nikogo trafić. Tymczasem polano naftą stojący pod chatą sag drzewa i podpalono. Ani spostrzegła, kiedy i druga chata stanęła w ogniu. Próbujących się ratować z płomieni Niemców powalano wystrzałami.

I tak dom za domem, parkan za parkanem zdobywali i palili. Jedno olbrzymie morze płomieni rozlało się nad wsią. Języki ognia liwały czarne niebo i tryskały na jego tle bukietami iskier. Wrzask ginących rozlegał się coraz głośniej wśród huku pożaru.

Stała jak urzeczona straszliwym widokiem, gdy ktoś ją wziął za ramię. Zobaczyła obok siebie kapelana.

— Panno Oleńko, niech pani pójdzie ze mną. Mamy rannego...

Szła za nim posłusznie między płonącymi zagrodami. Zbliżyli się do jakiegoś opustoszonego domu, jeszcze nie tkniętego przez płomień. Na wysokim progu siedział chłopak trzymając wysoko rękę, z której tryskała krew.

Od razu zorientowała się w sytuacji.

— Musi mi ksiądz pomóc — powiedziała.

— Ależ naturalnie. Po to tutaj jestem.

Z całą starannością opatrywała rannego. Tamten ze spokojem zniósł wszystkie zabiegi. W jego oczach, które wyraźnie widziała w blasku pożaru, nie było bólu, tylko spokój i jakby zadowolenie.

— Daliśmy szkopom, proszę księdza — powiedział z dumą.

— Nieźle ich urządziliście. Może przestaną wysiedlać...

— Chcieli ziemi, naszej ziemi... No, to będóm jom mieli. Już z niej nie pójdóm, zostanóm...

Nie przestając bandażować zapytała:

— A tych ludzi wcale nie żałujecie?

— Żałuję, panienko — zgodził się z nią. — Ale inaczej nie da rady. Matkę mi zabili, bo broniła braci, coby ich nie brali. W łeb jej strzelił „czarny”. Ani się oglądał. Braci zabrały, ich kobiety zabrały, dzieci wywiozły. Trudno. Nie wyjdóm stąd za to z życiem.

— Nienawidzicie ich?

Wzruszył ramionami.

— Iii, co mam nienawidzić? Ludzie są, nie psy. Ale trudno. Może jutro będzie między nami pokój. Dziś nie. Dziś jest wojna.

Krzyknęła:

— Po takiej wojnie pokoju być nie może!

Nie odpowiedział jej, bo właśnie ponad hukiem pożaru rozległy się gwizdy. Ksiądz i chłopak spojrzeli po sobie.

— Zbiórka. Biegnijmy.

Wszyscy troje popędzili przez płonąca ulicę. Huk pożaru zagłuszył ostatnie wystrzały. Ktoś krzyczał.

Widziała, jak partyzanci wycofują się ku lasowi. Kilku prowadziło ocalone z ognia konie. Dwóch niosło bezwładne ciało. Podeszła do nich.

— Opatrzyli panowie rannego? — spytała.

Potrząsnęli głowami. Jeden z nich rzekł:

— Dopiero przed chwilą oberwał. Chciał wziąć konie ze stajni, ale tam ukrywał się jakiś Niemiec i strzelił mu, bestia, z bliska prosto w brzuch. Nic chyba z chłopą nie będzie.

Zobaczyła młodą twarz, zastygłą z bólu. Nieśli go powoli i ostrożnie.

Ich cienie kładły się przed nimi długie, wyciągnięte, drgające. Czarne płyty spalenizny wirowały w powietrzu, las, ku któremu podchodzili, szumiał niespokojnie.

Kiedy rannego położyli na wozie, usiłowała założyć mu opatrunek. Rana nie krwawiła. Oleńka wiedziała, co to oznacza. Zresztą nie było na nic czasu. Barczyński nawoływał do pospiechu.

— Wóz z rannym najkrótszą drogą prosto na Saharyń! — wydał komendy. Pan pojedzie z nimi — zwrócił się do starego, siwego chłopą, którego teraz dopiero zobaczyła Oleńka w grupie partyzantów, — W razie czego mówić, że go postrzelili bandyci albo że chory... Wy na Grabowiec. Lasami... Ja...

W tej chwili seria karabinu maszynowego rozległa się obok na drodze i spłoszyła majestatyczną ciszę lasu. Potem odezwały się pojedyncze wystrzały. Wóz z rannymi zdążył już zniknąć wśród drzew, ale inni partyzanci byli jeszcze na polanie.

W mgnieniu oka zeskoczyli z wozów. Słychać tylko było chrzęst ujmowanych w garść karabinów i przyśpieszone nagle oddechy. Ciemne sylwetki biegły w las ku drodze, na której strzelał do nadciągającego nieprzyjaciela ubezpieczający odwrót karabin maszynowy.

Kiedy rozległy się strzały, Oleńce serce załała nagle fala lęku. Ale trwało to tylko sekundę. Potem stało się coś zupełnie innego: ogarnęła ją chłodna stanowczość i determinacja. Jak wtedy, gdy została schwytana... Ale teraz wiedziała, że obok niej toczy się walka, ona zaś bierze w niej udział. Ta świadomość miała moc wybawienia. Cokolwiek by było, cokolwiek by się miało jeszcze stać, mogła walczyć o prawo do zwycięstwa. Nie poddawała się biernie, nie kapitulowała przed przemocą. Na wozie, którym miała wracać, leżał pistolet ofiarowany jej przez Barczyńskiego. Schwyciła go w prawą dłoń. Zimny kabłąk, ochraniający spust, owinał się na kształt węża wokół jej wskazującego palca. „Ach, tak — przebiegło jej przez głowę — więc to jest wojna...” Biegła przez las za swoimi, którzy zbliżali się do

miejsca, gdzie huczała strzelanina. Ogarnęło ją wielkie, rozpierające uczucie szczęścia. Walka... Nie bierna nienawiść, nie dłoń zaciskająca się w pięść na widok samolotu czy żołdaka w szarozielonym mundurze. Nie — walka! Choćby zginąć! Możliwość walki o rzeczy święte wypięknia wszystko. Zło można zwalczać myślą i słowem do czasu. Potem już tylko oręż oczyszcza atmosferę. Potem już tylko miecz — czy bodaj pistolet. Życie staje się znowu bez znaczenia. Jak wtedy — we wrześnieu. Jak wtedy — gdy słowo „Polska” gasiło łzy i rozpacz po najukochańszym...

IV

Drzwi otworzyły się i wszedł żołnierz z kubkiem gorącej herbaty w rękę. Nie trzasnęła służbiście obcasami, nie wyprężył się na progu, nie wywrzeszczał chrapliwie sakramentalnego „Heil Hitler”, jak to robili ci piętnastoletni chłopcy, których miał w szwadronie całą kupę. Szedł ciężko, niezgrabnie, zaś jego czarne, skośne oczy biegały uważnie po pokoju. Mały nos, jakby wdeptany między puciołowate policzki, czarne gęste brwi, dziecinny nieomal brak zarostu — wszystko to charakteryzowało twarz tego żołnierza. Stanąwszy przed stołem, przy którym siedział porucznik, postawił herbatę, przy czym powiedziało coś pod nosem, czego jednak von Recke zrozumieć nie mógł, choć przyzwyczyił się już do tej rosyjsko-niemieckiej mieszaniny językowej.

— Co mówicie? — zapytał.

Tamten uśmiechnął się.

— Czaj przyniósł — powiedział.

— Dobrze.

Żołnierz zrobił jakiś niezdarny gest, jakby salutował, i zawróciłwszy ku drzwiom, wyszedł. Porucznik westchnął. Nie był służbistą, a w jego wieku patrzy się na niedociągnięcia służbowe wyrozumiałym okiem. Ale jakoś nie miał zaufania do tych żołnierzy zwerbowanych spośród jeńców. Czy mogą być wierni przyjętemu obowiązkowi, skoro dawne tak pochopnie podeptali? Wykonywali rozkazy posłusznie, to prawda, choć nie śpieszyli się nigdy. Uśmiechali się też zawsze tym zagadkowym uśmiechem, który skrywa prawdziwe oblicze człowieka.

A przecież — i to było najstraszniejsze — większe do nich posiadał zaufanie niż do tych chłopaków, którymi ostatnio uzupełniono szwadron. Była to jeszcze bardzo zielona młodzież: jakieś piętnastozesnasto-siedemnastolatki. Gdy wojna wybuchła, byli dziećmi. Dziś uważali się za dojrzałych mężczyzn. Palili papierosy pełnym nonszalancji gestem i leniwie rozkładali się na ławach wartowni, obojętni na wszystko, co nie było jedzeniem, nie zwykłym „fasowanym”, tylko jakimś dodatkowym, które zdobywali sobie po okolicz-

nych wioskach. Umieli wrzeszczeć „Heil’tler” i podnosić rękę do partyjnego pozdrowienia — to był ich styl. Przełożonych mało szanowali. Na dowódcę szwadronu ledwie raczyli patrzeć. Wobec von Reckego ostentacyjnie przeciągali się i każdy jego rozkaz wykonywali z miną wyrażającą znudzenie i zniecierpliwienie. Jedyne z podoficerami mieli jakiś wspólny język, bo razem pili wódkę i uważali tamtych za doświadczonych praktyków w okradaniu ludności oraz w wykręcaniu się od służby.

Istniała wszakże rzecz, dla której gotowi byli w każdym momencie odrzucić nieróbstwo, a zdobyć, się na wysiłek: to była karna wyprawa przeciwko ludności lub też udział w likwidowaniu jakiegoś getta. Wtedy pojawiał się w oczach chłopców ogień zapału i ślepej nienawiści. Dla starego barona było rzeczą niezrozumiałą, skąd w tych synach rozmaitych majstrów fabrycznych, kupców i restauratorów brało się tyle ślepej zaciekłości. Jemu wojna przyniosła same klęski: zginął ukochany Walter; fabrykę zburzyła angielska dwutonówka; przed pół rokiem pogrzebał żonę, chorą już przedtem na ciężki rozstrój nerwowy; Gerda... — O Gerdzie wiedział tylko tyle, że ukrywała się pod obcym nazwiskiem, zdecydowana bojkotować obowiązków pracy i służby dla ojczyzny. Lecz choć skrzywdzony przez wojnę, przyjmował spadające ciosy z cichą rezygnacją. Nie zaciął się w nienawiści, a dla przeciwników potrafił znaleźć współczucie, jakie budziła w nim jego własna samotność.

Ci chłopcy natomiast ukrywali w sobie jakby niewyczerpane złoza dzikiej, okrutnej zawziętości. Życie ludzkie, gdy znalazło się w ich rękach, z góry było skazane na zagładę.

„Walter — myślał von Recke — nigdy nie był taki. A nawet jego koleczy, choć pełni wojennego zapału, nie robili wrażenia zaślepionych...” Teraz miał do czynienia z nowym zupełnie pokoleniem, którego sumienia nikt nie poruszał. Tych chłopców uczono jedynie nienawiści i pogardy. Tamci walczyli o zwycięstwo, ci chcieli mieć zwycięstwo bez wysiłku. Uważali, że ono już się im należy. Gotowi byli mordować przeciwników z bliska i z daleka, z przodu lub z tyłu, bez krzty szlachetności.

Mieszając łyżeczką herbatę i gryząc chleb, von Recke snuł pasmo niewesołych rozmyślań. Nie, nie mógł mieć absolutnie żadnego zaufania do swych żołnierzy. W tych chłopcach nie było nic ludzkiego: ani zrozumienia dla piękna, ani tęsknoty za dobrem, ani pragnienia prawdy. Żyli od lat ohydą, słuchali dzień po dniu apologii zła, karmili się kłamstwem. Ich dzikość była miarą upadku Niemiec. Upadku, który zapowiadały nadchodzące klęski...

Von Recke nie wątpił także, że to będzie upadek ostateczny nie tylko państwa i armii, ale całych Niemiec, których już nic uratować nie zdoła. Zagrali o pole pokryte zbożem, a zapłacili ziarnem siewnym, przeznaczonym na późniejsze lata, swoją młodzieżą.

Oficer skończył kolację, rozpiął mundur. Był zdecydowany iść zaraz spać. Ktoś zapukał w tej chwili do drzwi. Von Recke chciał

powiedzieć „bitte”, ale zdał sobie sprawę, że tego rodzaju grzeczności są tutaj nie na miejscu. Burknął więc surowo:

— Herein!

Wszedł wachmistrz Kling. Baron miał słabość do tego podoficera, który służył w pułku jeszcze razem z Walterem i zachował w pamięci rozmaite szczegóły z życia podchorążego. Czy to były szczegóły dotyczące naprawdę Waltera? Von Recke patrzył na to okiem obojętnym. Obchodziło go jedynie to, że ktoś mu mówi o ukochanym dziecku.

— Co tam słyhać nowego, panie wachmistrzu?

Kling poruszył tajemniczo swą kanciastą głową bawarskiego chłopca.

— Kiepsko, panie poruczniku — rzekł. — Polacy zaczynają się ruszać. Wczoraj w nocy spalili jedną z tutejszych wiosek, w której Komisja Wysiedleńcza osadziła Volksdeutschów z Rumunii. Ani jeden z kolonistów nie wyszedł z życiem. Przybyła nad ranem pomoc: pluton SS. Ale Polacy, panie poruczniku, i ten pluton rozpieprzyli...

— To się już zmienia w prawdziwą wojnę — rzekł von Recke.

— A pewno. Zresztą walki nie ustały. Przyjechał przed chwilą goniec z batalionu SS do pana pułkownika i mówił, że chcą, abyśmy także szli im na pomoc.

— My? A cóż my tam będziemy robili?

— Każą nam się pewnie bić z partyzantami.

Porucznik niechętnie podrapał się w głowę.

— Spodziewam się, że pan pułkownik nie zgodzi się na to.

Właśnie zadzwonił stojący na bocznym stoliku telefon. Kling podszedł do aparatu.

— Ja... ja... jawohl... — zwrócił się do von Reckego: — Pan pułkownik prosi pana porucznika do telefonu.

W słuchawce jęczał i popłakiwał głos dowódcy szwadronu, mieszkającego w budynku szkolnym w samym środku wioski.

— Trzeba im koniecznie pomóc, panie poruczniku... Obiecałem... Oddziały dywersantów są podobno bardzo silne... A ja się tak fatalnie czuję... Pan wie, taki tępy ból głowy z prawej strony...

— Mam iść z pierwszym plutonem?

— Właśnie chciałem to powiedzieć, panie poruczniku. Oni przyślą dwa samochody. Trzeba jednak wszystko dobrze przygotować. Naprawdę dobrze. Czy mogę liczyć na pana?

— Zrobię, co do mnie należy, panie pułkowniku.

— Ach, dobrze. Na drugi raz, jak pana porucznika będzie bolała głowa, to ja pana...

— Dziękuję bardzo, panie pułkowniku.

— Wie pan, dostałem wcale niezły pasztet od żony. Tarta brukiew

i owsiane płatki... Ale smak ma... Gdy pan wróci, chciałbym, aby pan spróbował...

Von Recke położył słuchawkę dość niecierpliwym jak na niego ruchem. Kling uśmiechnął się poufnie i złośliwie.

— Ból głowy czy niestrawność?

Oficer nic nie odpowiedział. Zbierał myśli. Po chwili rzekł:

— Niech pan przygotuje swój pluton do wymarszu. Wziąć zapasową amunicję. Mają tu po nas przyjechać samochody.

Noc była zimna i ciemna, lecz dziwnie przejrzysta. Stanąwszy w progu budynku, baron patrzył na podwórze koszar słabo oświetlone kołyszącą się na drągu lampą z niebieskim szkłem. Dalej, już poza kręgiem światła, chodziło dwóch wartowników twardym, miarowym krokiem. Jeszcze dalej — oplecione drutem kozły. Z rękami w kieszeniach oficer kołysał się lekko z boku na bok.

Zastukały kroki, obok stanął Kling.

I on także patrzył w mrok nocy przez dłuższą chwilę, zanim zdecydował się w końcu powiedzieć do von Reckego:

— Nie lubię takiej wojny, panie poruczniku...

Von Recke nic nie odpowiedział i tylko wyjąwszy z kieszeni pudełko z papierosami podał je podoficerowi. Ten z nieszczerą skromnością wyłowił sobie jednego.

— Bo jak myśmy walczyli z młodym panem baronem...

Nauczył się zmyślać prawdziwe epopeje o tych kilku dniach, które razem z Walterem przeżył. Ale nieraz wszystko mu się płątało. Bo przecież po tylu miesiącach walk, mając za sobą i kampanię polską, i uderzając na linię Maginota, i wojnę bałkańską, i teraz wojnę na froncie wschodnim, można było zapomnieć, że był kiedyś w szwadronie młody, jasnowłosy podchorąży, którego zabito w jakiejś bitwie z Polakami.

— Wtedy była także walka z partyzantami — opowiadał po raz chyba tysięczny. — Zeszli na nas z gór... Takimi wąskimi ścieżkami ukrytymi wśród głązów.

Choć tyle razy je słyszał, von Recke zawsze był gotów słuchać na nowo łgarstw Klinga. Nie psuł mu nawet wrażenia ten fantastyczny obraz okolicy, który wymyślał podoficer. Walter mógł być wszędzie tam, gdzie maszerowały w swej wędrownicy niemieckie armie. A że zginął w Polsce na samym początku ich drogi — może było to jeszcze szczęściem...? Kto to wie? Kto to wie? Nie warto o tym myśleć. Zginął w Polsce. I może dlatego ta gliniasta ziemia była bliska sercu von Reckego jak żadna inna...

W ciemnościach rozległ się warkot, potem ukazały się przyćmione światła. Obiecane samochody zajechały. Przyszedł jakiś Unterscharführer, aby zawiadomić porucznika, że wozy już są, ale wystarczy, żeby pluton wyjechał dopiero przed samym świtem, bo i tak oddziały SS wycofały się z lasu i walkę rozpoczną na nowo dopiero

w dzień. Usłyszawszy to von Recke wrócił do pokoju. Początkowo chciał się zdrzemnąć, ale później jednak pożałował nocy. W szkole, w prywatnym mieszkaniu jej kierownika, którym, jak mówiono, zainteresowało się gestapo, stary baron znalazł bibliotekę, a w niej sporo książek w języku niemieckim. Początkowo z nudów, potem z coraz większym zainteresowaniem zaglądał do wybranych tomów. Niespodziewanie odezwał się w nim pociąg do namiętnego czytania, jakiego przedtem nigdy nie odczuwał. Teraz świat postaci fikcyjnych tracił dla niego swą fikcyjność. Zwolniony od myślenia o rodzinie, żył życiem bohaterów powieści, pasjonując się ich przygodami.

Na samym szczycie sterty książek leżały „Biesy”. Otworzył tom i przeczytał: „Nieszczęście nie jest człowiekowi ani na jotę mniej potrzebne niż szczęście”. Wzruszył ramionami. Znowu otworzył w innym miejscu i trafił na zdanie, które wypowiada Szatow: „Jeśli wielki naród nie wierzy, że on jeden nosi prawdę w sobie (on jeden jedyny), jeżeli nie wierzy, że on jeden jest zdolny i powołany do wskrzeszenia i zbawienia świata w imię własnej prawdy, to taki naród staje się w tej samej chwili materiałem etnograficznym, a nie wielkim narodem...”

Zamknął tomik w granatowej płóciennej oprawie i odrzucił go z niechęcią na bok. Sięgnął po drugi. Był to „Corsair” Conrada. Z przyjemnością zabrał się do studiowania dziejów pełnej tajemniczości i napięcia walki między blokującym zatokę brygiem, a tym jakimś rozbójnikiem morskim, dawnym towarzyszem bohaterskiego Suffrena. W bibliotece było kilka książek Conrada w tłumaczeniu niemieckim lub w oryginale angielskim. Ich czar — dziwaczny czar pełnych słowiańskiej ironii słów i szerokiego tła morza, entuzjazmował von Reckego. Gdyby mógł być tam — w tej argentyńskiej czy chilijskiej zatoce, gdzie na wyspie wierny Nostromo czuwał nad powierzonym mu srebrem, lub na innej nieznannej wyspie mórz południowych, gdzie odbudowywało się człowieczeństwo „lorda” Jima — może mniej boleśnie odczuwałby swoją niedolę i pustkę. Gdyby mógł być posłuszny pełnemu fantazji wołaniu przygody, zamiast słuchać ślepo rozkazów zwierzchnika — lenia i pasibrzucha — może czułby się odrobinę szczęśliwszy i trochę ze swym bólem pogodzony.

Noc biegła szybko i ani się obejrzał, kiedy szary, mdły świt zaczął się przesączać przez szpary między oknem a zasłoną z czarnego papieru. Zawołał służbowego żołnierza i zarządził apel pierwszego plutonu. Póki słyszał tupiące w korytarzu ciężkie buty i chrapliwe nawoływania żołnierzy, póty czytał z zacięciem książkę. Potem dopiero odłożył ją i wyszedł. Powitał go dwuszereg wyprężonych postaci oraz meldunek Klinga.

Zaraz wyjechali. W wilgotnym przedświcie sunęły oba samochody ciężko sapiąc. Masywne koła ślizgały się na gliniastej, roztąjącej ziemi. Von Recke siedział w budce szofera. Obok siebie miał z jednej strony podoficera SS z automatycznym pistoletem gotowym do

strzału, z drugiej kierowcę wpatrzonego z tępą uwagą w zapotniałą szybę.

Jechali tak może godzinę, kiedy wreszcie na skraju małego zagajnika spotkali patrol żołnierzy SS. Droga zakręcała w tym miejscu, ukazując rozrzuconą szeroko wieś. Kilka chałup płonęło. Dowódca plutonu powiedział von Reckemu, że we wsi jest już kompania SS oraz oddział milicji ukraińskiej. Inna kompania posunęła się dalej i prawdopodobnie obsadziła teraz leżącą o dwa kilometry dalej wieś przeznaczoną także na „spacyfikowanie”.

Wjeżdżając do wsi samochód von Reckego zatrzymał się spotkawszy motocykl z wyższym oficerem SS. Ulica wiejska przedstawiała dziwny widok: mężczyźni, kobiety i dzieci stali wzdłuż parkanów, odwróceny tyłem, z rękami podniesionymi do góry. Kilka trupów leżało na ziemi. Żołnierze z karabinami gotowymi do strzału przechodzili między stojącymi, przeraźliwie krzycząc. Milicjanci — tęgie draby w czarnych mundurach i o twarzach odrażających — odprowadzali pojedynczo stojących pod płotem chłopów i brutalnie popychali na ciężarówkę.

— To pan pułkownik Fillies przysłał pana porucznika? — Oficer SS mówił ostro do von Reckego, nie wysiadając z kosza motocykla. — Dobrze. Więc, panie poruczniku, tą drogą, o tutaj zaraz, trzy kilometry dalej jest wieś... — wymienił nazwę. — Jej mieszkańcy na pewno ukrywają dywersantów. Zechce pan tam pojechać. Chłopów spędzić do kupy i wywieźć. Gdyby się bronili, spalić i wystrzełać. Dam panu jeszcze jeden samochód i trochę milicjantów do pomocy...

— Pan me jest jednak pewny, czy to są naprawdę wspólnicy dywersantów? — wyrwało się z ust barona.

— To rzecz obojętna! — Tamten mówił surowo, z naciskiem. — Ci ludzie tutaj wszyscy są dywersantami, od dzieci aż do starców. Wszyscy zasługują na śmierć. Proszę o tym pamiętać, panie poruczniku!

Chwilę patrzył impertynencko w oczy von Reckego. Baron spuścił głowę. Otrzymany rozkaz napełnił go wstrętem, lecz wrodzony instynkt posłuchu nie pozwolił mu przeciwstawić się władzy.

Żołnierze wciąż krzyczeli na stojących w głuchym milczeniu chłopów. Jakaś baba zaniósła się szlochem, jakieś dziecko zawrzeszczało dziko ogarnięte śmiertelnym strachem. Von Recke począł po błocie do samochodu. Zawołał kaprała Schutzego, polecając mu zająć się samochodem z milicjantami.

— Tą drogą, tutaj... trzy kilometry dalej... — gniewnie burczał pod nosem. — Jedziemy! — krzyknął na całe gardło do siedzącego obok szofera, choć pewnie nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego tak krzyczy. Samochody ruszyły. Za wsią droga okrążała niewielki stawek, nad którego powierzchnią wychylały się tu i tam garby zwalnego do wody pnia. Sterczące ku górze miotły wierzb przydrożnych

wyglądały jak żołnierze Arbeitsdienstu, kroczący zamasyżycie bokiem drogi z narzędziami pracy na ramionach. Znowu powiedział przez zęby do szofera: — Prędej!

Tamten automatycznym gestem nacisnął pedał gazu. Pędzili ostro po niepokojąco śliskiej drodze. Baronowi przypomniała się podobna dżdżysta noc — gdzieś parę lat po tamtej wojnie — gdy wracając do domu z pewnej miejscowości, spóźnił się haniebnie na kolej. Było to wtedy, gdy Hedda... Mniejsza o nią zresztą... Był spóźniony i musiał wrócić na czas do domu. Znalazł taksówkę, która podjęła się dogonić pociąg. Wsiadł. Samochód ruszył z miejsca z ogromną szybkością. Pędził wąską, gęsto wysadzaną drzewami szosą, rzucając siedzącymi we wnętrzu ludźmi. To nie była jazda, ale lot w otchłanych ciemnościach nocy.

Warkot pracującego motoru nabrał nagle wyższych, bardziej świszczących tonów. Wśród tego hałasu usłyszał, jak szofer mówi: „Hamulce nie działają...”

Baron poczuł skurcz serca. W domu czekał nań pięcioletni Walter i czteroletnia Gerda. Czekala go także żona — zawsze cierpliwie wybacząca mu wszystkie Heddy i Frydy... Miał świadomość ciążyącej nań winy. Hedda była tak oddana... Dobra dziewczyna. Zwykle nie mógł o niej myśleć bez czułości, a wtedy ogarnął go gniew. Był wściekły na samo wspomnienie jej zbyt muskularnych ramion, które czuł tyle razy na swej szyi. Przecież właśnie przez nią, wbrew zdrowemu sensowi, wbrew niepokojowi musiał ostro popędzać szofera: „Wszystko jedno! Byle prędej!”

Wszystko jedno. Byle prędej!

W szarym świcie przedwiosennego poranka wyjechali wprost na wieś. Ludzie widać ich nie oczekiwali, bo teraz dopiero tłum mężczyzn wybiegł spomiędzy opłotków i zaczął uciekać w stronę za rośli. Zatrzeszczały karabiny. Von Recke nie wydał rozkazu. Żołnierze strzelali z własnej inicjatywy. Samochody stanęły. Stojąc na drodze widział swoich, jak wyskakiwali z aut strzelając w biegu do uciekających. Chłopców oczy płonęły wilczym blaskiem, własowcy zaś rechotali okrutnym śmiechem. Milicjanci biegali z zaciśniętymi zębami, nawołując się swoim śpiewnym językiem. Kilku uciekających padło, kilku zdołało uciec, reszta cofnęła się ku wsi. Żołnierze podchodzili do chat szykiem sierpowym, z karabinami gotowymi do strzału. Von Recke postępował między nimi. Czuł, że porwała go fala, której nie umie stawić czoła. Wchodzili między zabudowania. Ludzi nie było, siedzieli ukryci za zamkniętymi drzwiami. Kiedy żołnierze znaleźli się obok pierwszej z brzegu chaty, krzyknęli na mieszkańców, by wychodzili. Drzwi skrzypnęły. Na ganek wyszedł młody, może osiemnastoletni parobek o wystraszonej i pobladłej twarzy. Przystanął. Raz po raz podciągał niepewnie spodnie. Rycano na niego, wygrażano mu pięściami. Był bardzo wystraszony, bał

się iść. W końcu jednak podszedł do furtki. Wtedy jeden z szesnastoletnich żołnierzy von Reckego uderzył go pięścią w twarz. Tamten odskoczył w tył i chociaż jednym zamachem ręki mógł zgnieść chłopca, stał niezdecydowany u progu ganku. Nagle żołnierz podniósł karabin. Von Recke zamarł w oczekiwaniu. Nie protestował, nie dawał żadnych rozkazów. Wiedział, że nikt go nie posłucha. Część wchodzących do wsi żołnierzy zatrzymała się przy domu niby stado wilków, węszących krew. Znowu z trzaskiem otworzyły się drzwi i wypadły dwie kobiety: stara i młoda. Młoda zatrzymała się na ganku, stara zaś podbiegła do syna i zasłoniła go sobą. Von Recke widział jej pomarszczoną twarz, na którą opadła czarna chustka, perkalikowy kaftanik, trzęsący się na wpadniętym brzuchu, i ciężką samodziałową spódnicę nie zakrywającą szerniałych nóg. Żołnierze śmieli się, lecz mieli twarze zacięte. Mały żołdak, który uderzył chłopca, wszedł do ogródka. Trzymając karabin w pogotowiu, z rozmachem kopnął kobietę w brzuch, aż jęknęła:

— O Jezusie!

Kopnął po raz drugi. Kobieta złapała się za brzuch i padła na kolana. Wtedy syn chwycił karabin za lufę i odgarnawszy go z siłą w bok krzyknął gniewnie:

— Coś zrobił, psia jucho?!

Jeden strzał wyleciał w powietrze, lecz drugi trafił chłopca prosto w głowę. Ten runął na ziemię ciężko jak wór z mąką. Kobieta na ganku wrzasnęła, zaś klęcząca staruszka zaczęła płaczliwie zawodzić:

— Zabili... O Jezusiczku... zabili...

Trwało to zresztą niedługo. Dokonane zabójstwo napełniło stojących żołnierzy jakimś szaleństwem. Pod naporem rąk padł płot; wwalili się do ogródka. Jeden z włosowców uspokoił staruszkę, gruchnąwszy ją kolbą między oczy. Wpadli na ganek. Dziewczyna z krzykiem uciekła do izby. Ale jeszcze w progu jeden z żołnierzy zdarł jej chustkę z głowy i złapał za włosy. Dalszy obraz wydarzeń zniknął sprzed oczu von Reckego. Stał jednak dalej martwo przed chatą, nie zwracając uwagi na resztę plutonu, który tymczasem rozbiegł się po wsi. Z chaty dochodził krzyk kobiety, zdławiony, chwilami rozdierająco głośny. Małe okno mocno pchnięte wyleciało na zewnątrz, rozsypując szkło po zrudziałym, zeszlórocznym zielsku. Teraz von Recke usłyszał wyraźnie zdławiony krzyk dziewczyny: „Nie! Nie! Puście! Zlitujcie się... Lecz zaraz krzyk załamał się w bolesny jęk — niby stęknienie. Równocześnie doszły do jego uszu grube, ordynarne śmiechy. Krzyk dziewczyny zamienił się w szloch. Z chaty wyszedł szesnastoletni żołnierz, ten, który rozpoczął całą awanturę. Von Recke przypomniał sobie, że nazywa się Kettle. Złaził ze schodków wolno zapinając spodnie. Obojętnie minął trupy leżące w ogródku. Z dumną miną przeszedł obok porucznika i powędrował dalej ulicą wioskową, stawiając szeroko nogi. Za chwilę wyszedł drugi z jego kolegów, potem trzeci i czwarty, który zastrzelił chłopca. Przechodząc

koło barona lekko się zaczerwienił; może to był pierwszy człowiek, którego zamordował, i pierwsza kobieta, którą zgwałcił? Potem wchodzili do chaty własowcy. Na ich twarzach malowało się także zadowolenie. Idąc rozglądali się za następnym łupem. „Wot mołodiec Gitler! Poigrat’ dajet...” — wykrzykiwali. Uderzali się z zadowoleniem po brzuchu, po klamrach pasów, z których wciąż jeszcze nie znikło hasło: „Gott mit uns”. Jeden podniósł karabin i ni stąd ni zowąd, wystrzelił do małego chłopaka przebiegającego między chałupami. Chybił. Chłopiec biegł dalej, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy, że jest celem. Wtedy wystrzelił drugi. Również chybił. Zaśmieli się. „Ej ty, Stiepan, mierz dobrze!” Padł trzeci strzał, tym razem z ręki Niemca. Chłopak upadł na ziemię chwytając się za nogę. „Hast du gesehen?” — żołnierz z dumą spojrzął na tamtych.

Von Recke patrzył na to wszystko, stojąc pośrodku drogi skamieniały niby żona Lota. We wsi huczały strzały, wyciągano chłopów, ładowano na ciężarówkę, gwałcono kobiety; strzelano do dzieci. Coraz większe zezwierżenie malowało się na twarzach żołnierzy. Z pierwszej chałupy, przed którą tkwił wciąż nieruchomo porucznik, wylazł wreszcie ostatni własowiec — mały Iszczyk podający zwykle herbatę. Miał po dawnemu filozoficznie uśmiechniętą twarz, lecz w kącikach mięsistych ust czaił się wyraz sadyzmu. Spotkawszy utkwiony w sobie wzrok porucznika uśmiechnął się i pogładził ręką po brzuchu. „Ach, charaszo... Gut... Gut...” Jakby oczekując, że spotka go za to pochwała, zamknął za sobą drzwi izby i podparł je ławą. Potem wyszedł na drogę. Von Recke patrzył uważnie na to, co robi. Żołnierz rozładował karabin i nabił go innymi pociskami. Potem zaczął spokojnie strzelać w słomianą strzechę. Kiedy ukazały się płomienie, jeszcze raz spojrzął na swego dowódcę i powiedział z zadowoleniem: „Gut...”

O, tak. Rzecz była dobrze zrobiona; wieś „spacyfikowano” dokładnie. Świadczyły o tym i ciała zabitych, i ten gęsty czarny dym kłębiący się nad starą, zzieleniałą strzechą. O kilkadziesiąt kroków od oficera leżał jęcząc chłopiec, któremu kula przebiła łydkę. Von Recke przypomniał sobie, jak jeździł do urzędu Opieki Społecznej w Lublinie, by dano mu dziecko na wychowanie. Wtedy wstrząsnęło nim oskarżenie tamtej kobiety. A przecież — ona miała chyba rację. Tu leżał chłopiec, którym on powinien się zająć, ulegając życzeniu dziś już nieżyjącej małżonki. Zamiast opieki dał śmierć. Śmierć za śmierć. Za Waltera. Chciał przecież inaczej, ale nic z tego nie wynikło. To dziwne: najlepsze ich pragnienia, najszczerze chęci kończyły się zawsze w ten sposób...

Miał uczucie, że jest przeraźliwie stary. Życie upłynęło mu dość pogodnie — wieczór przyniósł same zgliszcza. Istnieje widać jakiś błąd w rachunku życiowym podobnych do niego ludzi. Trudno. Skoro nie można tego uniknąć, trzeba iść naprzód i próbować tej jednej jedynej szansy, jaka zawiera się w walce z całym światem. Nie należy litować się nad ginącymi. Niech gina!

Zacisnął zęby, wsadził ręce w kieszenie i począł iść wiejską ulicą. Ranny chłopiec wił się boleśnie — lecz może tak samo cierpiał Walter, zanim w końcu litościwa śmierć nie zgasiła w nim iskry życia? Jakaś okrwawiona w poszarpanym odzieniu dziewczyna leżała w rowie ciężko dysząc. Spłoszył budzący się w sercu odruch współczucia. Czyż nie tak samo leżałaby Gerda, gdyby dostała się w ich ręce?

Niech zginie świat, skoro zginęło wszystko. Bez przekonania, ale z uporem powtarzał to raz po raz. Dosyć! Niech się już wreszcie wszystko skończy. Powrót do normalnego życia jest niemożliwy. Wokół same groby. Więc — niech już będzie jedna wielka otchłań śmierci...

Gwałtowna strzelanina wyrwała go z kręgu tych myśli. Zobaczył swoich żołnierzy uciekających w popłochu. Kilka charakterystycznych świstów rozległo się nad jego głową. Mały Isczyk padł prawie u nóg barona, trafiony w tył głowy. Przeciwpancerny pocisk rozwalił mu czaszkę. Von Recke wydobył pistolet. Twardym głosem zaczął wydawać komendy.

V

Mówiono o nich po prostu: „Chłopcy z lasu”. Mieli w głębi leśnego kompleksu kilka ziemianek, zwanych szumnie bunkrami, ale chronili się do nich tylko w czasie niepogody. Poza tym dzień i noc przebywali pod gołym niebem lub rozchodzili się po okolicznych wsiach. W rodzinne strony nie zaglądali, bo tam każdy Ukrainiec mógł ich wydać albo po prostu strzelić do nich z ukrycia. Ludność polska karmiła ich chętnie i chętnie dawała im nocleg.

Żyli bujnie, szumnie i „równali” świat wzorem podtatrzańskich zbójników. Opiekowali się tymi, którzy musieli ze swoich wsi uciekać, trzymali w szachu ludność ruską, a właściwie tę jej część, która upojona ofiarowaną im ze strony Niemców opieką gotowa była „rizat’ Lachiw”; nie przepuszczali naznaczonym przez Niemców wójtom czy sołtysom, no i palili bezlitośnie wsie zajęte przez kolonistów niemieckich, przybyłych z Rumunii lub z Rzeszy.

O dwa kilometry od nich miał swoje leże oddział desantowców radzieckich. Oba oddziały wiedziały wzajemnie o sobie, nie utrzymywały jednak żadnego kontaktu i zachowywały się tak, jakby każdy z nich był sam na całym terenie. Pewnego pogodnego wieczoru przyszło od Rosjan do obozu polskiego dwóch ludzi, w celu zobaczenia się z komendantem. Barczyński zaprosił ich do stołu ustawionego pod wielkim dębem o szeroko rozpiętych gałęziach. Starszy z nowo przybyłych mógł mieć pod pięćdziesiątkę. Szpakowaty, z krótko przystrzyżonymi wąsami, ubrany był w sukienną kurtę piaskowego koloru bez dystynkcji i wysokie buty. Idąc wspierał się na lasce. Mówił po polsku z wyraźnym akcentem rosyjskim. Drugi, młodszy, mógł mieć lat około trzydziestu. Nosił mundur z oznakami starszego

porucznika; z rąk nie wypuszczał pepeszy. Jego polszczyzna była bez zarzutu.

Przedstawili się: pułkownik Iwan Lublew i starszy lejtnant Atanazy Kołaczenko. Zrazu rozmawiali na tematy nijakie: o pogodzie, o wilgotnej zimie, o wiośnie. Potem sprawę zagaił pułkownik:

— A może byśmy, pan porucznik, co razem zrobili, a? Niedługo będzie na stacji w Krasnymstawie duży transport amunicji...

Barczyński potrząsnął głową.

— Walczmy lepiej oddzielnie.

— Czemu? — wtrącił Kołaczenko. — Mamy tego samego wroga.

— Ale nie bijemy się o to samo.

— Nie o to samo? Wolność naszej i waszej ojczyzny?

— Być może... Ale nie sądzę, byśmy wolność tak samo rozumieli...

Na twarzy Kołaczenki ukazał się wyraz gniewu. Twardo uderzył szeroką dłoń w bęben pistoletu.

— Tak sądzicie? Czy wolność nie jest zawsze wolnością?

— Wolność jest zawsze wolnością. Ale... Tyle było między nami sporów, tyle zrad zaznaliśmy od was...

— Zrad? — rzucił porywczo Kołaczenko. — Kto zdraдлиwy, jak nie wy?! Ech! Szkoda słów. U nas się mówi: zdraдлиwy jak Polak.

— Nu, zostawcie. — Lublew poklepał Kołaczenkę po ramieniu. — Ja wiem — zwrócił się do Barczyńskiego — że zrad było między nami wiele. Kiedy dwa narody obok siebie mieszkają, lubią sobie przygryźć. No, czy nie tak? Ale czy nie myślicie, pan porucznik, że czas by o tamtym, co było, zapomnieć i inaczej wszystko zacząć? No, pomyślcie wy. Teraz wojna z Niemcami: ani wy, ani my Niemcom nie druh. Jak wojna, to wszyscy muszą wroga równo bić. Potem się zobaczy. Warto chyba, pan porucznik, starać się tylko o rzeczy trudne, wielkie, a? Jeśli wy, pan porucznik, o Odrze i szerokim morzu polskim myśleli, to wy wiecie, że do tego tylko zajdziecie razem z nami. Nie z Anglikami ani Amerykańcami, ale z nami. Myśleli wy o tym?

Barczyński bębnił palcami po blacie stołu.

— Któż by nie myślał.

— Słusznie! A o Berlinie wy myśleli?

Błysk w oczach Barczyńskiego był jedyną odpowiedzią.

Kołaczenko nie zdejmując z szyi pepeszy sięgnął do kieszeni i wydobyl pudełko papierosów. Trącili się kieliszkami.

— No i co? — raz jeszcze zagadnął Lublew. — Nie pójdziemy razem?

— Nie, pułkowniku. Osobno.

— Zawsze tacy sami. My do was z sercem, a wy uciekacie jak przed strachem. Jakby my byli Piotr z poematu Puszkina. Znacie, a?

Barczyński potrząsnął głową.

— Nie.

— Szkoda. No, to idziemy. A wy jeszcze podumajcie, pan porucznik. A jak przemyślicie — przyjdźcie do nas. Chodźcie, Atanazy Maksymowiczu. Wy przyjdźcie, choćbyście się zgodzić nie chcieli. Miło z wami porozmawiać. Do swidanja.

Podali Barczyńskiemu ręce i odeszli lasem ku swoim. Przez pewien czas Barczyński myślał, aby do nich pójść, korciło go, by z nimi porozmawiać. Ale nie poszedł. Oni także nie przyszli więcej. Było jak dawniej; tylko poprzez bagnistą łąkę widzieli dym rosyjskiego obozowiska.

Oleńka często odwiedzała bunkry. Dzięki pomocy księdza kapelana znalazła opiekę w kilku majątkach w okolicy i mogła w nich na zmianę przebywać. Brała udział we wszystkich wyprawach i razem z kapelanem, który także się tułał po obcych parafiach — nie mogąc do swojej powrócić, bo go tam szukano — wchodziła w skład sztabu oddziału.

Nigdy jeszcze nie wracali z wyprawy równie triumfalnie jak tego wieczoru. Przyszli na odsiecz „pacyfikowanej” wsi, rozproszyli nieprzyjaciół kładąc kilku Niemców trupem, umożliwili ludności ucieczkę do lasu i wycofali się bez strat, prowadząc nadto ze sobą jeńca — podoficera niemieckiego. Sukces był ogromny. Idąc pogwizdywali z zadowolenia; nawet na poważnej twarzy Barczyńskiego malowała się radość.

Za to podoficer był śmiertelnie wystraszony. Trząsł się, a w jego czarnych oczach szklily się łzy. Złapano go w chwili, gdy rozbijał w chacie kufer i miał kieszeń wypełnioną znalezionymi pieniędzmi. Chłop pleczysty i tęgi od razu zrezygnował z walki i uderzył w pokorę. Gotów był całować swych przeciwników po rękach, aby mu tylko darowali życie. Jeńca zaprowadzono przed dowódcę, który postanowił go zabrać, by dowiedzieć się o nastrojach panujących wśród Niemców, zwłaszcza że podoficer skłonny był wszystko wyśpiewać za samą obietnicę darowania mu życia. Prowadzono go w środku oddziału. Przy wejściu do lasu Barczyński kazał mu zawiązać oczy. Tamten przekonany, że to wstęp do kaźni, rzucił się na kolana i przyczołgawszy się do nóg Oleńki błagał o litość. Bił się w piersi, przysięgał na wszystkie świętości, że jest katolikiem, mówił głośno pacierz, pokazywał jakąś zniszczoną książeczkę do nabożeństwa... W końcu trzeba mu było siłą wepchnąć na głowę worek. Szedł już potem potulnie, tylko spod papierowej tkaniny dochodziły jego histeryczne szloch. Kiedy oddział znalazł się wśród swoich bunkrów, Niemcowi odsłonięte oczy. Przy stole, pod dębem, zasiedli: Oleńka, Barczyński, ksiądz kapelan i Tomaszewski, który pełnił funkcję zastępcy dowódcy oddziału. Barczyński znał trochę niemiecki, kapelan

nieco więcej — bo jako zawołany harcerz był na wszystkich „Jam-boree” i tam się zapoznał z obcymi językami — Oleńka mówiła zupełnie gładko. Najgorzej mówił sam jeniec, bo z wielkiego strachu i z chęci przypodobania się wtrącał sobie znane rosyjskie, polskie, czeskie, serbskie i francuskie słowa.

— Jak się nazywasz? — pytał go Barczyński.

— Kling. Florian Kling.

— Stopień?

— Wachmistrz.

— Pułk?

— Dziesiąty dragonów opolskich.

— Coście robili we wsi?

— Ach, to nie my. Wy ponimajecie? C'est gestapo, Brr! My ich także nie lubimy. Kazali...

— Co znaczy: kazali? Kto kazał?

— Przyszedł rozkaz. L'ordre. Żebyśmy szli do wsi, bo tam są bandyci.

— To wyście w ten sposób szukali bandytów?

— Kazali nam. My niewinni. Te dziewczyny...

— One na was napadały?

— Nie... Ale krzyczały... Odpychały żołnierzy... To wszystko te bolszewiki... Ukraińcy... Niemcy nie zabijają. Zresztą może byli i tacy, co zabijali. Ja nie, niech mi panowie wierzą. Tak, na pewno byli tacy, co zabijali. Ci hitlerowcy. To prawdziwi bandyci. Banditen...!

Barczyński chciał jeszcze o coś zapytać Klinga, gdy nagle rzucając w bok spojrzenie, zobaczył wzrok Oleńki, przywarty do przegubu ręki Niemca. Było w tym wzroku tyle niepojętej grozy, że oficer aż się wstrząsnął. Dziewczyna imponowała mu zawsze swym opanowaniem, widział ją nawet w ogniu walki równą i spokojną. Po dniu dzisiejszym uznanie, może nawet uwielbienie, jakie miał dla niej, jeszcze wzrosło. Pod ostrzałem opatrywała rany i pomagała ludności napadniętej wioski... Jej ciemne oczy, delikatne usta i pełen wyrazu profil od dawna już tkwiły w myślach Barczyńskiego.

Ale teraz w spojrzeniu dziewczyny płonąła gorączka. Wyciągnęła dłoń, ujęła w nią nagle i mocno przegub lewej ręki Niemca. Ten stał nieruchomo, przerażony jej gwałtownością. Barczyński spostrzegł, że to nie ręka jeńca, ale jego zegarek budzi zainteresowanie dziewczyny. Powiedział surowo:

— Zdejm zegarek!

Niemiec odpiął rzemyk i położył zegarek na stole. Oleńka pochyliła się nad nim. Milczała. Nagle Barczyński spostrzegł, że jej usta drżą.

To była tak dobrze jej znana „Cyma”, srebrna, ośmiokątna, z żół-

tostalową tarczą i czarnymi wskazówkami. Poznałaby ją na ladzie każdego zegarmistrza, wśród tysiąca innych zegarków. Z tym zegarkiem na rękę pływała kilkakrotnie kajakiem po Wiśle, gdyż Danek zawsze go jej powierzał twierdząc, iż on nigdy nie wie, czy się nie zapomni i nie wskoczy z zegarkiem do wody. Ten zegarek nosiła wielokrotnie do reperacji, Danek przecież nie miał nigdy na to czasu. Ten zegarek widziała tyle razy nad jego drobną, lecz muskularną dłońią, wyglądający spod rękawa szarego ubrania lub zamiszowej kartki narciarskiej...

Zresztą gdyby był nawet i drugi taki sam — akurat taki sam zegarek, z tą samą wytartą cyfrą siedem i lekko wygiętą wskazówką sekundnika, to przecież nie mogło być dwóch takich samych pasków. Sama ten pasek „wymyśliła” tam, na Bukowinie. Pewnego dnia zerwała się metalowa obrączka, do której zegarek był przytwierdzony. Danek chodził bez zegarka — musiała mu się postarać o nowy pasek. Poszła do sklepu koło poczty. Prosiła górala: „Niech pan zrobi zapinkę do tego zegarka, ze zwykłej surowej skóry, z szeroką klamerką — pan rozumie? — i tu nabitą gwoździkami. W takie kółko, w małe »o«. Zrobi pan?” „Ze co byk ni miał zrobić?” Ten to pasek miała teraz przed sobą. Ten sam! Widziała wyraźnie swój monogram, złożony z główek małych świeczków. Skóra była brudna i wytarta. Ale to była ta sama zapinka, którą na jej zamówienie zrobił góral na Bukowinie.

Wreszcie opanowała się i spytała jeńca twardo, prawie z gniewem:

— Skąd masz ten zegarek?

Teraz na twarz Niemca wystąpiła bladość. Poprzednio już trochę ochłonął ze zgrozy — teraz znowu zaczął się trząść.

— To nie ja... To nie ja...

— Co: nie ty? — spytał Barczyński.

— Nie ja...! nie ja... ja tylko zegarek... ja...

— Nie ty? Więc kto?

Intuicyjnie odgadywał, o jaką to sprawę tutaj chodziło. Głos przecucia wskazywał mu po prostu, jak ma stawiać pytania.

— Mów prędko. Kto?!

Tępa twarz bawarskiego chłopca zdradzała jednocześnie śmiertelną trwozę i pomieszanie. Nie mógł sobie w tej chwili dokładnie przypomnieć, jak to wtedy było. Skąd się wziął na jego rękę ten zegarek? Tak, to się zdarzyło na samym początku wojny. Zaraz... Niech pan dowódca tak nie krzyczy, to on sobie wszystko przypomni. To było... — tu, w Polsce. Jak powiedział: na samym początku działań wojennych. Ich oddział został w nocy napadnięty. Przez bandę... Nie, nie przez bandę. Przez żołnierzy. Nie... zresztą nie wiadomo, przez kogo; wszystko odbyło się w nocy. I kogoś złapali... jakiegoś

polskiego oficera. Gdzie, kto, w jaki sposób — nie, tego nie sposób przypomnieć. Ale dowódca kazał tego oficera rozstrzelać...

— Rozstrzelać?

— Tak, panie oficerze. Zrobili sąd. A potem...

Oleńka gwałtownie wstała. Zaciskając zegarek w rękę odeszła od stołu i zagłębiła się w las. Barczyński słyszał jej szybki oddech, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Nie przerwał badań. Dalej stawiał pytania z surową stanowczością w głosie:

— Co to był za sąd?

— Oficerowie sąd zrobili. Ja nie wiem... To oni... Ja...

— Przestań! Odpowiadaj tylko na to, o co ciebie pytam. Więc był sąd, powiadasz? Kim byli ci sędziowie?

Kling myślał dość długo. Jedno nazwisko — tyle razy wspominał — miał na końcu języka. Ale inne trzeba było wyłowić z mroku zapomnienia. Wrodzona tępota nie pozwoliła mu zmyślić po prostu paru nazwisk, których by nikt nigdy nie sprawdził.

— No, gadaj! — naciskał Barczyński.

— Podchorąży Walter von Recke... — wykrztusił Niemiec.

— Co się z nim stało?

— Zginął...

— Kto więcej?

Twarz Klinga rozjaśniła się. Przypomniał sobie drugie nazwisko.

— Kostrzewa... Wtedy kapi... nie, porucznik. Zresztą nie pamiętam...

— Mniejsza o to. Co się z nim dzieje?

— Pan oficer nie wie? — Kling wytrzeszczył ze zdumienia oczy. — To był najdzielniejszy oficer armii... Dostał od Führera Krzyż z Brylantami...

— Zginął?

— Tak. W katastrofie samolotowej. Podczas przelotu...

Barczyński machnął ręką. Nic go nie obchodził nieżyjący już człowiek. Pytał dalej:

— A kto jeszcze?

Teraz wachmistrz musiał długo sobie przypominać. Ale w końcu znalazł nazwisko ostatniego z kompletu sędziów, to był podchorąży Köstring... Tak, tak, podchorąży Köstring, Herbert Köstring, przyjaciel pana barona.

— Jakiego znów barona?

— No, właśnie barona von Recke. O którym mówiłem.

— Nie pytam się o niego. Ten Köstring — gdzie jest teraz?

— Teraz? Nie wiem, został lotnikiem z kapitanem Kostrzewą.

— Może zginął?

— Może... Nie wiem.

Barczyński zapisał nazwisko na kartce. Właściwie należało jeszcze badać, ale porucznika odeszła ochota do dalszego wyłamywania języka i wyszukiwania obcych słów. Zwrócił się do kapelana:

— Niech ksiądz będzie taki dobry i zapyta go jeszcze o to, co u nich słychać w wojsku. Ja chciałbym załatwić kilka spraw...

Odszedł od stołu i nieznacznie skręcił w las. Z pewnych słów, wypowiedzianych w rozmaitych okolicznościach przez Oleńkę, i z tego, co usłyszał dziś od Niemca, odtworzył sobie obraz dramatu. Współczuł dziewczynie gorąco. Sprawa zabitego mężczyzny, którego kochała, stała się po prostu jego sprawą. Idąc wolno po miękkich mchach leśnych, spośród których wydzierał się tu i tam ku górze bezlistny krzak młodego dębu, zaciskał gniewnie pięści. Jeżeli ten Niemiec żyje, on go znajdzie. Wcześniej czy później. Europa zmałała przez tę wojnę! A gdy go znajdzie, przywlecze do kolan Oleńki. Och — może to jest romantyczny gest! Lecz czyż nie romantyczne są czasy, w których żyją? Dziś można by jak dawniej ślubować ukochanej pawie pióra... Ukochanej?... Barczyński zatrzymał się między dwoma jałowcami sięgającymi mu do ramion. W kołących gałęziach pulsowało życie zbudzone pierwszym promieniem przedwiośnia. Zacisnął dłonie, aż trzasnęły w stawach. W sobie czuł także poryw budzącej się razem z naturą siły. Pobiegł myślami ku dniom, w których zaciekłą pracą zabijał dreszcze krwi w żyłach. Gałęzie drzew próżno pukaly do małego okna. Nawet Krysia była w tych momentach tylko wspomnieniem dni złudzeń. Wtedy jeszcze, gdy myślał, że potrafi przekonać Zofię. Złudzenie, złudzenie i jeszcze raz złudzenie! Zofia nigdy go nie kochała. Sama by na pewno nie umiała powiedzieć, dlaczego wyszła za niego za męża. Wyszła, ot, tak zwyczajnie, jak wychodzi tysiące dziewcząt na kuli ziemskiej. Prawdopodobnie nie przesądzała z góry, że chce być złą żoną. Może miała jakieś poglądy na idealne małżeństwo. Nic z tego jednak nie wyszło. Teraz... — uderzył niecierpliwie ręką w gibkie, sprężyste gałęzie jałowca — teraz, gdy od niego odeszła, wszystko się już zerwało. Małżeństwo przestało być małżeństwem. A raczej nie: pozostało jak zła pamięć zawodów i klęsk. Lata nie są latom jednakie. Inaczej liczy się rok w serdeczności skąpany, inaczej rok, w którym wśród wielu triumfów życiowych brak jednego — triumfu serdecznej miłości.

Tego nie miał nigdy. Nie pamiętał nocy, w ciągu której czuje się na ramieniu głowę ukochanej. Zofia... Po cóż miał wracać ku tym dniom szarpaniny? Nie czuł do żony żalu. Jeżeli mu uczyniła krzywdę, prawdopodobnie nie uczyniła tego świadomie. Nie kochała go. To rozumiałe. Ale dlaczego uważała ten brak miłości za jego winę, dlaczego uczyniła go głodnym, nienasyconym, lecz także w swej miłości niepewnym? Znów poszedł kilka kroków naprzód i stanawszy obok sosny przyłożył twarz do szorstkiej kory. A przecież czuł, że taka miłość, ofiarna, oddana, uległa, musi nadejść. W życiu każ-

dego człowieka ma swoją chwilę. Jedną jedyną, niepowrotną, niepowtarzalną...

Ruszył naprzód między drzewa. Las witał go gąszczem bezlistnych chaszczy, ciemnozielonymi kolumnkami jałowca i złotopłomiennymi pniami sosen. Nagle posłyszał szloch i spostrzegł Oleńkę u stóp wysokiego drzewa. Dziewczyna nie widziała go. Miała twarz ukrytą w dłoniach. Podszedł nieśmiało i pochylił się nad nią wyciągając rękę. Ale nie śmiał jej dotknąć. Więc tylko powiedział łagodnie, tym samym tonem, jakim przemawiał nieraz do płaczącej Krysi:

— Niech pani nie płacze... Nie trzeba...

Wstrzymała łkanie, ale siedziała wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Niech pani nie płacze...

Siadł obok niej na ziemi. Milczała. Czas biegł szumem gałęzi nad ich głowami. Potem znowu z jej piersi wyrwał się szloch. Wtedy dotknął lekko jej ramienia i powiedział:

— Niech pani nie płacze... Ja tego człowieka znajdę...

Oderwała ręce od twarzy i uśmiechnęła się gorzko. Ale równocześnie pogładziła jego dłoń.

— Dziękuję — szepnęła. — Lecz jego nie można znaleźć...

— Być może żyje...

— On nie żyje...

— Ja mówię o tym Niemcu, który go kazał zabić.

— Och — lekko poruszyła ramionami — to Dankowi życia nie wróci.

Znowu zapadła między nimi cisza. Lecz palce kobiety wciąż spoczywały na dłoni mężczyzny. Barczyński czuł niespokojny rytm swego serca. Lekko odwrócił rękę i ogarnął jej palce.

— Życie dał za... Polskę — powiedział.

Poczuł, jak jej ręka drży, posłyszał znowu szybszy oddech.

— Tak... tak... — wykrztusiła — a ja...

— Pani? Pani także walczy...

Potrząsnęła głową.

— Ja... zdradziłam... — wpatrzona tępo w gąszcz krzewów szeptała dalej słowa, których nie słyszał.

— Co pani mówi? Pani się myli...

Nie odrywała oczu od bezlistnego krzaka tarniny, jakby należało się mu z uwagą przyglądać. Potem rzekła opanowanym głosem:

— Nie myślę się... Nie pozostałam wierna miłości Danki...

Przebiegł go dreszcz. Tym mocniej ścisnął jej palce.

— Umarli — zaczął — nie są o żywych zazdrośni. Dla nich życie zaczyna się tam, gdzie nasze kończy. Umarli chcą szczęścia żywych...

Wydawało mu się, że wszystko już teraz rozumie. Mocno, zupełnie mocno zamknął dłoń na jej dłoni, ona zaś bezwładnie oparła się o jego ramię. W myśli pojawił mu się obraz żony. „Zofia — myślał — sama jest sobie winna”. To nie on od niej odszedł. Życie jednak musi znać furtkę, którą wychodzi się ze ślepego zaułka. On tego nie chciał; nie był tym, który lekkomyślnie odchodzi od przysięg i obietnic. Ale wszystko ma swoje granice. Wszystko musi mieć swoje granice...

W głębi lasu huknęło kilka strzałów. Potem wróciła cisza oplatająca gałęzie szarą pajęczyną zmierzchu. Oleńka już nie płakała. Jej głowa zsunęła się po ramieniu mężczyzny i ciężko spoczęła na jego kolanie. Tak samo Krysia — z głową wspartą na kolanach ojca — zwykła była wypłakiwać swe smutki. Więc podobnie położył rękę na włosach Oleńki. Siedzieli cicho — bez słowa.

Znowu odezwała się z głębi lasu salwa karabinowa. Była jakby pożegnaniem posłanym ku dalekiemu Monachium, ku matce, która ciężko pracując w fabryce amunicji, modliła się o prawo kupienia za cenę wszystkich trosk — życia syna. Powracająca cisza zaczęła się na nowo skradać ku nim czujnymi krokami mroku. Słyszał, jak oddech kobiety staje się coraz równiejszy. Kiedy schylił się, by dotknąć ustami jej włosów, spojrzał na drzewa czerniejące w ostatnich już blaskach dnia — i drgnął. Wydawało mu się, że widzi między nimi odchodzącą od nich powoli sylwetkę zgarbionego człowieka...

VI

Herbert był zaskoczony tą przemianą. Jeszcze wczoraj węsaty Francuz kłaniał mu się z szacunkiem i odpowiadał na każde jego zapytanie usłużnym „m'sieu”. Dziś go wyraźnie lekceważył. Zaledwie raczył podnieść głowę, gdy Köstring z czymś się do niego zwracał. Szesnastoletni René, który w pewnych godzinach zastępował ojca w kawiarni, by w tym czasie aż do znudzenia poklepywać dwie usługujące Murzynki, dziś sterczał bez przerwy na ulicy, wsłuchany w kanonadę dochodzącą z zachodu. Oficer prędko wypił śniadanie i wyszedł na ulicę, gdzie czekał na niego motocykl. Tu go znowu zaskoczył wyraz żołnierskich twarzy. Spojrzenia ich wybiegały niespokojnie spod głęboko wciśniętych na oczy hełmów, obserwując podejrzliwie zbierające się na ulicy tłumy. Gdy Köstring usiadł w koszu, motocykl ryknął i pomknął przez białe uliczki Tunisu.

Przyjechawszy wczoraj rano do miasta, Herbert zastał sytuację bez porównania gorszą, niż mu się to wydawało podczas pospiesznego odwrotu wzdłuż wybrzeży zatoki Hammamet. Wprawdzie odkad Freyberg zuchwałym zajściem od tyłu spędził ich z linii Mareth, Köstring przestał wierzyć, że potrafią utrzymać w swoich rękach skrawek afrykańskiego lądu. Gdyby choć znalazł należycie przygotowaną ewakuację oraz oddziały, które by mogły zluzować i zasłonić zdemoralizowane przez ucieczkę wojska armii Rommla, byłoby

to dla niego przynajmniej dowodem, iż zawsze niezawodna organizacja wciąż jeszcze działa. Tymczasem w mieście zastał najokropniejszy bałagan. Rommel już odleciał do Europy, z czego szydzili Włosi i na co oburzali się Niemcy. Słyszał na własne uszy, jak grupa żołnierzy z dywizji pancernej rozprawiła o tym głośno na ulicy. Nie zwrócili na niego uwagi. Przywykł już, że żołnierze nie spieszyli się z oddawaniem honorów swoim oficerom. W samym środku chrypiał jakiś piechur w piaskowej koszuli kolonialnej, a jego słowem wtórowali basowym „ja” otaczający go żołnierze. Do uszu Köstringa dolatywały słowa:

— Kazali bić się do ostatniego żołnierza... Żołnierz ginął, a generałowie po piwnicach siedzieli... Wszyscy generałowie, ilu ich było, poddali się bolszewikom w Stalingradzie, ale przedtem wysłali na śmierć dziesiątki tysięcy! Powiadają, ścierwa, że jesteśmy proletariackim wojskiem. Gówno! Teraz Rommel wywiął do Europy, a nam każą walczyć do ostatniego! Gówno! Będiesz się bił, aż ci Amerykanie czołgami na łeb wjadą! Gówno! Gówno!

Od strony portu wyły syreny — to rozpoczął się atak samolotów nieprzyjacielskich. Motocykl Köstringa stanął przed białym pałacikiem w stylu mauretańskim. Przed domem w cieniu palm kręcili się oficerowie, podoficerowie i żołnierze. Przez otwarte okna słychać było brzęk telefonów.

Po białych marmurowych schodach Herbert wszedł na piętro. Zapukał w pierwsze drzwi na prawo. Nie usłyszawszy odpowiedzi wszedł do środka.

Powiało pustką. Kancelaria, w której jeszcze wczoraj żądał pozwolenia na sformowanie eskadry z niedobitków wałęsających się po tuniskim moło, była zwinięta. Gniewnie uderzył pięścią w stół. Od pół roku był świadkiem ciągłych odwrotów i stale rosnącego bezładu. Nie było samolotów, nie było załóg, nie było benzyny! Żądał, aby go jakoś zatrudniono. Mówiono: ależ naturalnie — a potem wszyscy uciekali nie oglądając się na młodego majora, pozbawionego własnej eskadry. Zaklął. Pozostało mu tylko jedno — przedostać się przez morze do Włoch...

W progu zobaczył włoskiego pułkownika lotnictwa. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka o pięknych rysach twarzy, z mocno już szpakowatą czupryną. Potem nagle przyszło ku niemu wspomnienie Warszawy.

— Pan pułkownik Rossi, nieprawdaz? Pan pułkownik mnie poznaje?

Tamten zamrugał powiekami, jakby nagle obudzony z ciężkiego snu. Potem lekko się uśmiechnął.

— Ależ tak, panie majorze. Eskadra „Much”...? Varsávia? Pan był wtedy znacznie młodszy...

— Pan pułkownik też się nieco zmienił...

— Wojna nie odmładza. Niestety, nazwiska pana majora nie pamiętam...

— Köstring.

— Tak, tak, teraz sobie pana przypominam! Świetnie się czułem u panów w eskadrze. Pamiętam — był signor Kostrzewa i signor. Kerschensteiner i taki młody, wesoły signor — signor Lahm, jeśli się nie mylę...

— Byli, ale już ich nie ma. Eskadry także nie ma...

Rossi zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: co tam jedna eskadra! Wszystko przepadło...

— Pan już wie, że Andersen przełamał nasze pozycje pod Tebo-urba.

— Nic o tym nie wiem!

— No, tak — Włoch spojrział na zegarek — czasu wiele nie mamy. Zaraz tu mogą być.

— A von Arnin?

— Generał von Arnin wyjechał przed godziną gdzieś w rejon Zagonau. Niemcy zrobili zeń ofiarnego kozła... Sapristi! Bardzo pana przepraszam, że tak mówię.

— Sytuacja wobec tego wygląda nietęgo?

— Bizerta skapitulowała.

— Do diabła! Mogą nas lada chwila zagarnąć.

— Bardzo możliwe. Mój samolot leży rozbity na lotnisku.

— Ja także nie mam na czym lecieć. Ale dotrzyjmy do portu. Może uda się coś skombinować.

Mocna eksplozja wstrząsnęła pałacikiem. Z brzękiem posypały się szyby.

— Wyszadzają składy... — mówił Rossi, gdy wyszli na schody.

Korytarzami biegali oficerowie i żołnierze wzajemnie się potracając. Wszystkich ogarnęła panika. Z warkotem przeleciał nad dachami domów angielski Spitfire.

— Niech pan pułkownik siada do przyczepy motocykla.

— Grazie. Skoro pan ma motor, może dojedziemy jakoś do portu.

Ruszyli sprzed bramy pałaciku. Po ulicach biegali żołnierze niemieccy, włoskich zaś nie było prawie widać. Za to bramy i ulice pełne były krajowców. W pewnym momencie ujrzeli grupkę może dwudziestu żołnierzy niemieckich, stojących bez broni pod ścianą. Przed nimi płątał się młody Francuz w białych tenisowych spodniach i żółtej koszuli bez rękawów. Trzymał w ręku karabin. Na widok motocykla podniósł broń do ramienia.

— Hé vous!... Halt!... Poddajcie się!

Herbert poznał syna właściciela kawiarni, w której dziś jeszcze jadł śniadanie. Sto metrów dalej stał jego ojciec z pistoletem w ręku.

Niemcy podchodzili do niego jeden za drugim i składali broń na chodniku. Motocyklista spojrzął pytająco na Köstringa, ale widząc zmarszczone brwi oficera, dodał gazu. Gdyby nie obecność dwóch oficerów w koszu, poddałby się bez oporu wężatemu Francuzowi.

Wystrzelono za nimi. Pędzili ile sił w motorze nadbrzeżnym bulwarem. W chwilę potem zatrzymali się koło molo.

Powietrzem targały eksplozje. Ludzie biegali wokół. Na twarzach Niemców odbijał się dziki strach. Włosi trzymali się lepiej: widać było, że są gotowi poddać się jak najszybciej.

Obaj oficerowie, stojąc nieruchomo wśród gorączkowo biegającego tłumu, rozglądali się bezradnie. Podszedł do nich niewysoki, krępy chłopak, porucznik marynarki włoskiej. Spod białej czapki wyglądały końce kręcących się włosów, zaś twarz była ciemna, prawie czarna. Powiedział coś szybko Rossiemu, wskazując ręką na koniec molo. Wśród białych pian bijących o wybrzeże morza lśnił smukły kształt torpedowej łodzi.

Rossi odpowiedział jakimś niezdecydowanym ruchem, wskazując wzrokiem na Herberta. Na twarzy porucznika ukazał się wyraz niechęci. Znowu coś mówił żywo, szybko gestykulując. Podniósł palec do góry.

— Ma uno... solamente uno...

Teraz mówił także i Rossi. Wymachiwali sobie przed oczami rozcapierzonymi palcami, krzyczeli, jakby się o coś kłócili.

Tymczasem zaczęły ryczeć syreny: zbliżała się fala amerykańskich Marauderów.

Musieli przeczekać w jakimś schronie. Na szczęście nalot trwał krótko. Samoloty zwały szybko ładunek, ostrzelały z karabinów maszynowych biegających żołnierzy i zaraz odleciały. Znalazłszy się znowu na molo, wśród szczątków rozwalonego przez bomby dźwigu ładunkowego, Rossi rzekł do Köstringa:

— Jest tu nasza łódź torpedowa. Niestety już bardzo przeciążona. Mogą mnie wziąć, dla pana nie ma miejsca...

Köstring kiwnął głową. Od pewnego czasu czuł, że los zupełnie wyraźnie stawia go w sytuacjach trudnych, prawie beznadziejnych.

— Skoro nie ma miejsca...

— Bardzo mi przykro, panie majorze, ale nic na to poradzić nie mogę... Jest jeszcze jedna możliwość: mówi mi właśnie porucznik, że grupa oficerów i podoficerów niemieckich miała ukrytą w zatoce w Sidi bon Said łódź motorową — taką małą łódź pokładową z benzynowym motorkiem, ale dobrze zaopatrzoną w prowiant. Łódź tę przed godziną przewieźli przez zatokę do La Goulette. Pan ma motocykl...

— Dziękuję. Będę próbował. Bardzo mi przykro...

— Cóż robić, panie majorze. I tak nie wiadomo, czy się zdołamy

stąd wyrwać. Niebo jest pełne samolotów nieprzyjacielskich... Ciężkie chwile.

- Obawiam się, że mogą przyjść jeszcze cięższe.
- Och, ja też. Przekłeta wojna!
- Do zobaczenia, panie pułkowniku.
- Addio, signor Köstring.

Podali sobie ręce. Porucznik zasalutował tylko z dala; w jego oczach zdawał się tlić ogień złośliwego zadowolenia.

„Nienawidzą nas” — myślał Herbert idąc w stronę motocykla.

Znowu nalot... Huk bomb i tumany kurzu złączonego z czarnym dymem. Jedna z bomb rozwalila ciężarowy samochód, który jechał w stronę portu.

Motocykl stał ukryty pod palmą. Kierowca, siedzący w pobliskim rowie przeciwlotniczym, na widok oficera podszedł do motoru.

- Jedziemy, panie majorze?
- Jedziemy do La Goulette. Do dworca, a potem wybrzeżem. A gdzie wasz towarzysz?
- Wrócił do miasta, panie majorze.
- Wrócił, aby się poddać?
- To Austriak, panie majorze. On nie chciał walczyć...

Pojechali. Mknęli szybko równym nadbrzeżnym bulwarem, mając po lewej ręce błękitną zatokę i coraz szerzej otwierającą się panoramę miasta pełnego białych domów i smukłych minaretów. Dzień zrobił się piękny, gorący, słoneczny. Na gładkim niebie nie było ani jednej chmurki. Nic także nie zakłócało równej płaszczyzny zatoki i na linii molo widać było białe pręgi przewalających się fal.

Ale ten pozorny spokój i beztrzęsący afrykańskiego wybrzeża zakłócał nieustanny prawie łoskot. To tu, to tam po ścianach ogromnego amfiteatru kartagińskiej zatoki wędrował huk mniejszych lub większych wybuchów. Nalot nadchodził za nalotem; działka przeciwlotnicze poustawiane wśród zagajników na zboczach prawie nie przerywały ognia. Silne wybuchy wstrząsały portem, a nad jego białymi bulwarami, dachami składów i lasem dźwigów wznosił się raz po raz czarny słup dymu; napierające od dołu kłęby sprawiały, że słup rósł z wielką szybkością; dopiero na pewnej wysokości zamierał w bezruchu spokojnego powietrza, rozkładał się niby gałęzie palmy, wsiąkał w błękit.

Szosa była pusta. Tylko w jednym miejscu ujrzeli załogę działka przeciwlotniczego stojącego z boku przy drodze. Żołnierze porzucili swoje stanowiska i kręcili się na skraju szosy. Byli do pasa obnażeni, dwóch z nich podeszło aż do wąskiej plaży i chodziło po niej boso. Żaden z nich nie zainteresował się pędzącym motocyklem.

Na redzie La Goulette Herbert znalazł rzeczywiście szykującą się do odjazdu motorową łódź. Załoga jej składała się z trzydziestu kilku

ludzi: oficerów, podoficerów i żołnierzy niemieckich, należących do rozmaitych oddziałów. Znosili na wyścigi do łodzi paki z żywnością i blaszanki z benzyną. Dowództwo objął jakiś pułkownik artylerii przeciwlotniczej. Od razu przyjął Herberta.

— Doskonale, panie majorze. Niech pan płynie z nami. Chociaż trudno na razie przewidzieć, czy się nam ta podróż uda.

Kanonada to się wzmagala, to znowu cichła. Echo rozbrzmiewało mocno w okolu zatoki. Köstring patrzył na leżące po drugiej stronie miasto. Na lewo, w dolinie Medjerdy, ciągnął się Tunis właściwy — białe skupisko domów o bardzo europejskim charakterze. Gdyby nie smukłe iglice minaretów, można by pomyśleć, że to któreś z miast południowych Włoch. Bardziej ku północy, za białą linią szosy biegnącej ku Bizercie, widać było Kartaginę. Tu już Afryka panowała całkowicie. Małe domki ginęły w morzu zieleności; wyglądały z daleka niby ruiny dokonujące swych dni pod brzemieniem traw i krzewów.

Major położył się na piasku nadbrzeżnym. Szumiały fale, oblizując łakomie płaski brzeg. „Szkoda — myślał — że nie ma tu ze mną Alfreda. Może patrząc na to wzgórze, na którym kiedyś leżało miasto Hannibala, snułby znowu swe dziwaczne myśli o mijającej sławie i o nieuchronnym pochodzie starości... Lecz z drugiej strony kto wie, czy to nie lepiej, że Maries zabił się w wypadku samochodowym?...” Dzień dzisiejszy to dzień pożegnania z Afryką; dzień powrotu na zimną północ. Byli aż u wrót Egiptu, wędrowali przez pustynię tysiąca tajemnic, widzieli własnymi oczami błękitną, odwieczną tęsknotę Germanina. Nigdy już iść nie będą przez wypalony słońcem piach Libii, nie podejda do piramid i sfinksów, chyba jako najemne wojsko innej potęgi...

Był głodny, ale nie chciało mu się wstać. Leniwie patrzył w dal błękitnego morza. W porcie wyły syreny i wciąż słychać było wybuchy bomb. Obojętnie myślał o tym, że czeka ich niebezpieczna wyprawa. Czyż życie miało jakąkolwiek wartość? Uśmiechał się lekceważąco. Nie pociągało go żadną obietnicą.

Oleńka... Przecież od tej kobiety dzieli go wszystko, co tylko dzielić może dwoje ludzi... Gdyby nawet wojna już się skończyła, gdyby nawet jakiś szczęśliwy przypadek zasypał przepaść nienawiści, jeszcze nie byłoby dla nich porozumienia.

Od roku nosił w sobie tę świadomość. To, co się wówczas stało miało szybko znaleźć zadośćuczynienie. Tylko że to nie była jedyna zbrodnia przez niego popełniona. Popęlnił ich wiele, bardzo wiele. Pamiętał, z jaką stanowczością odpowiadał kiedyś na wszystkie zarzuty dziewczyny. Musieli walczyć, zwyciężali w szlachetnym boju... Teraz czuł, że tego kłamstwa nigdy nie potrafi zapomnieć. Lecz to przecież nie było kłamstwem! — buntował się. Nie kłamał, gdy to mówił. Wierzył w piękno wielkiego czynu, wierzył w piękno zwycięstwa. Urocze piękno. Gdyby na początku ich drogi stała klęska, gdyby przegrana była na początku marszu, wówczas może by nie

poszli dalej. Ale zwycięstwa upoiły ich jak wino. Kazały im dobyć z siebie siłę najwyższą, którą oszołomiony człowiek podbija świat. Z tą siłą poszli naprzód. Od zbrodni do zbrodni. Tak, nie było zbrodni, której by nie popełnili. Z całym patosem wielkich słów zstąpili w mrok. I nawet żaden z nich nie spostrzegł, gdzie zawędrowali. Chcieli ukazać światu, ba, chcieli ukazać Bogu — co zdoła uczynić człowiek. I co ukazali? To tylko, że nie było zbrodni, której by każdy z nich popełnić nie potrafił. Wszyscy razem i każdy z nich. Bo zbrodnie Niemców — były zbrodnią każdego Niemca. A więc i jego zbrodnią. To nie jest istotne, że przyczynił się do śmierci tamtego chłopaka. Ale to jest najstraszniejsze, że on dziś dopiero widzi, co uczynił.

Zsunął czapkę na twarz i leżał na piasku obojętny hałasom i krzykom. Czas biegł, ziemia drżała od dalekich wybuchów. Czuł to drżenie całym ciałem wciśniętym w piasek. Czy tak się czuje trzęsienie ziemi?

Dokuczalo mu pragnienie, a głód stał się wprost męczący. Ale i teraz nie ruszył się z miejsca. Udało mu się zapaść w jakiś sen czy tępe odretwienie. Ledwo go zeń wyrwał jeden z oficerów szarpaniem za ramię.

— Ach tak... — nie od razu wiedział, gdzie się znajduje. — Już dobrze...

Było szaro. Słońce schowało się za chmury, które wisiały nisko. Morze utraciło farbkowy kolor i skrzyło się zielenią. Białe piany groźnie podbiegały ku plaży niby linie nieprzyjacielskiego natarcia.

— Odplywamy! — krzyczał tamten.

— Dobrze. Już wstaję. — Köstring ciężko dźwignął się na nogi. Nad zatoką rozległ się huk wystrzałów. Nie był to już ciężki, wstrząsający ziemią łomot bomb, ale skowyczenie karabinów maszynowych.

— Amerykanie wchodzą do miasta. — Oficer uprzedził pytanie Herberta. — Trzeba się bardzo śpieszyć. Czas, na szczęście, pomysłny. Deszcz, mgła...

Motor już huczał, łódź oderwała się od brzegu. Rozfalowane morze uderzało o boki stateczku, czub wyorywał dwie białe smugi rozbiegających się pian. Stojąc na rozchybotanym pokładzie Herbert patrzył za siebie. Miasto leżące głęboko w zatoce znikło od razu z oczu. Jeszcze widać było kartagińskie wzgórze, a latarnie morskie przy wjeździe do portu oraz zabudowania La Goulette białeły we mgle. A zaraz oddalające się wybrzeże ściemniało w czarną pręgę, która roztapiać się zaczęła w smugach coraz gęściej padającego deszczu.

Napadła ich krótka letnia burza. Porywisty wiatr to się zrywał i szarpał gwałtownie płótnami zwiniętych żagli, to znowu przypadał w wądoły wodne i wtedy ogarniała ich niepokojąca cisza; słysząc było tylko kłapanie fal o ściany stateczku. Raz po raz grzmiało.

Deszcz padał, bijąc tysiącem kropel o deski pokładu. Ludzie zeszli na spód łodzi. Na pokładzie pozostali tylko trzej oficerowie: pułkownik — dowódca przeprawy, Herbert i młody porucznik, który obudził Köstringa. Rozmawiali ze sobą urywanymi słowami, rzucającymi poprzez fale deszczu.

— Ten deszcz nas ratuje...

— Nawet wiatr ma dobry kierunek... Jeżeli pójdzie dobrze, nad ranem powinniśmy być przy Pantelarii...

Stali dłuższy czas owinięci w płachty brezentu, ze wzrokiem wbitym w szarą, ociekającą wodą przestrzeń. Deszcz przybrał na sile: lunął falą niby woda wylana z garnka. Potem zaczął ustawać. Wiatr kłębił nad nimi chmury. Ostatni raz gdzieś w dali zagrzmiało i szary mglisty opar powoli się rozstał. Spomiędzy chmur wyjrzało niebo, pełne błękitu pogodnego wieczoru.

— Wypogadza się... — mruknął pułkownik. Wyjąwszy z kieszeni chustkę zaczął przecierać zapocone okulary.

Widnokrąg zdawał się rozszerzać. Był coraz pogodniejszy. Znowu wyłoniła się w oddali ciemna pręga wybrzeża.

— Będziemy mogli rozpiąć żagle! — mówił porucznik.

Powietrze było przejrzyste i tak rześkie, że nawet przygnębieni koniecznością ucieczki oficerowie poczuli w sercu lekkość. Ale ten stan odprężenia trwał tylko przez chwilę. Wprawne ich ucho usłyszało nagle niepokojący brzęk w powietrzu.

— Lecą...

Porucznik skoczył do pokrywy luku.

— Zatrzymać motor!

Sapanie motorka stało się wolniejsze, potem zupełnie ucichło. Łódź, która ślizgała się dość żywo po falach, osiadła teraz ciężko w wodzie. Trzej ludzie przykucnęli koło masztu, niespokojnie patrząc w niebo nabrzmiewające warkotem lecących samolotów. Szły bardzo wysoko. Mogły nie zwrócić uwagi na łódź, którą nietrudno było wziąć za barkę rybaków, wypływających na nocny połów.

— Typhoony... — rzekł Köstring przypatrując się sylwetkom lecących maszyn.

Dwadzieścia pięć lekkich amerykańskich samolotów służących jednocześnie do pościgu i bombardowania szło w szyku bojowym. W blasku wiszącego tuż nad horyzontem słońca, którego ostatnie promienie oświetlały je od dołu, samoloty były doskonale widoczne.

Lecz miarowy pomruk lecącej eskadry zakłócił ostrzejszy, wyższy w tonie dźwięk. Jeden z aparatów oderwał się od stada i popłynął nagłym rzutem w dół, ku łodzi. Może pilota zaniepokoiła barwa mundurów, może zastanowiły go zbyt liczne blaszanki z benzyną — dość, że spłynąwszy z wysokiego nieba leciał teraz ku nim grożąc czarnymi otworami swych dwunastu karabinów maszynowych. Jeszcze mieli nadzieję, że ich nie pozna. Ale rozległ się ostry terkot, nie można

było dłużej wątpić. Oficerowie rzucili się pod wysoką burłę łodzi, zasłaniającą ich od strony nadlatującego nieprzyjaciela. Kule gwizdały, dały deski pokładu, szarpały maszt i żagiel. Wielki ptak przemknął tuż nad nimi — poczuli na twarzach gorący wiew. Zatoczył wśród warkotu ogromny łuk, by zaatakować ich znowu. Leciał na nich mając za sobą słońce, które oślepiało obserwujących go ludzi. Przeczogli się więc po deskach i przypadli do następnej burty. Z bolesnym niepokojem oczekiwali skrzeku kaemów. Wybuchł im w końcu prawie nad samą głową. Drżąc przyciskali się całym ciałem do desek. Pułkownik krzyknął. Jego drelichowe spodnie nasiąkły od razu krwią. Jednocześnie rozległo się wołanie porucznika: — Feuer!

Benzyna z poprzebijanych baniek rozlewała się po pokładzie, a w ślad za ciemnymi jęzorami płynu sunął błękitny chybotliwy płomień. Porucznik zerwał z siebie bluzę i rzucił ją na płonąca benzynę, potem zaczął zdeptywać ogień nogami. Köstring pośpieszył mu z pomocą. Nagle otworzyła się kłapa luku, a spod pokładu wyjrzały pobladłe twarze.

— Chować się! — wołał Herbert.

Lecz nikt go nie słuchał. Wystraszeni żołnierze źle się czuli w ciemnym i ciasnym pomieszczeniu podpokładowym. Od razu z dziesięciu wyskoczyło na pokład. Jedni deptali ogień, inni zrzucali jeszcze nie rozbite bańki do morza. Tymczasem Amerykanin zatoczył łuk i z nową werwą rzucił się do szarży. Tłum ludzi zawirował pod burta, aż cała łódź przechyliła się na jedną stronę. Kilku żołnierzy było rannych. Herbert, który dostał w głowę jakimś odłamkiem drzewa czy rykoszetującą kulą, podniósł się chwiejnie, czując, jak z czoła płynie mu na policzek i na szyję strużka krwi. W głowie miał zamęt, czarne płatki latały przed oczami. Nad pokładem unosił się złotoczerwony opar ognia. Część ludzi skoczyła z nową energią do gaszenia pożaru. Inni opinali się korkowymi pasami i rzucali w wodę. Luk był otwarty. Wszyscy wybiegli spod pokładu.

„Typhoon” po raz czwarty podszedł do natarcia. Słońce stało już równo nad horyzontem, gotowe zanurzyć się w każdej chwili w toń Morza Śródziemnego. Płomienie unosiły się nad łodzią strzelając w górę, prawie na wysokość połowy masztu.

Amerykanin zasypał łódkę gradem kul i znowu trzeba było się kulić pod ścianę burty. Jeden z żołnierzy został ranny, drugi zginął na miejscu trafiony kulą w czaszkę. Jeszcze samolot unosił się nad łodzią, gdy reszta ludzi walczyła z pożarem. Szarżało. Wieczór zachodził, lecz jego ostatnie czerwone blaski nie miały już tej wspaniałej purpury, co blask rozlewającego się po falach pożaru. Porucznik, który najenergiczniej z całej załogi walczył z szalejącym ogniem, wskazał Herbertowi otaczający ich, wodny przestwór:

— Nie wyjdziemy z tego!

Morze ciemniało, nabierało groźnych tonów. W pewnej odległości

od łodzi widać było głowy płynących żołnierzy. Między nimi a łodzią rozlewał się na powierzchni morza pełzający błękitny ogień.

— Morze się pali... Benzyna...

Nie było czasu na przyglądanie się nowemu niebezpieczeństwu, właśnie nadlatywał „Typhoon”. Przypadli pod burzę, wlokąc za sobą jęczącego pułkownika. Rozległ się terkot i języki ognia błysnęły z luf kaemów. Błysnęły i zgasły. Terkot ustał. Samolot przemknął nad ich głowami, oni zaś nie śmieli wierzyć swemu szczęściu. Może mechanizm kaemów zaciął się, a może zabrakło Amerykaninowi pocisków. Zatoczył łuk i znowu przeleciał nisko, ale nie strzelał. Uważał chyba swe dzieło za spełnione. Łódka płonęła, a wokół niej morze, ogarniając starających się odpłynąć żołnierzy. „Typhoon” skreślił na południe i odleciał ku afrykańskiemu wybrzeżu.

Prawie wszyscy członkowie załogi byli ranni i poparzeni. Lecz mimo bólu, potykając się w ciemnościach, deptając jedni po drugich walczyli z żywiołem. Kiedy pożar na powierzchni morza wygasł, zgasili płomienie, liżące pokład łodzi. Teraz zamknęła się nad nimi czarna bezkسیężcowa noc.

Zostali w niej bez ratunku. Kompas był roztrzaskany i nie wiedzieli, gdzie są: czy stoją w miejscu, czy płyną. Z daleka ziemia migiała światełkami, wabiąc ku sobie. Przelotny wiew chłodził rozpalone twarze, ale i ten zaraz ustał. Noc zrobiła się parna i duszna — niemal zabijająca. Ranni jęczeli w ciemnościach i wołali o wodę.

Ich skargom odpowiedziały skargi z dalekiego morza. Ci, co rzucili się w wodę, bładzili teraz wśród ciemności, rozpaczliwie wołając. I oni nawoływali tamtych, ale w mroku nikt nie umiał znaleźć łodzi.

Okolo północy zerwał się wicher, więc porucznik z pomocą dwóch żołnierzy rozpiął żagiel. Nad ranem zrobiło się szaro, wicher zaś dał z coraz większą siłą. Ludzie owinięci w wyciągnięte spod pokładu koce drżeli. Kiedy się rozjaśniło, ujrzeli, że ich łódź płynie na wschód, równoległe do afrykańskiego wybrzeża.

Nad ranem wylądowali na plaży koło Cap Bon. Nie byli już zdolni do dalszej drogi. Okazało się jednak, że zaledwie o kilometr jest lotnisko, obsadzone ciągle jeszcze przez Niemców. Dowlekli się tam z pomocą jakichś krajowców, kusząc ich obietnicą zapłaty. Na lotnisku znaleźli gotowego do lotu Junkersa, w którym były jeszcze dwa miejsca wolne.

W godzinę potem samolot odleciał, zabierając rannego pułkownika i Herberta.

VII

Mrok zapadał coraz gęstszy. Chmury kładły się pasami na dalekim horyzoncie niby palce, przez które przeziiera ostatni blask odcho-

dającego dnia. Dzień był dżdżysty i krople wody wisiały na liściach i gałęziach. Ścieżki nasiąkły wilgocią, zrobiły się śliskie i błotniste. Glina czepiała się butów, plaskała pod stopami.

Szli w milczeniu: Oleńka, Barczyński, Tomaszewski i paru chłopów. Z prawa mieli wieś zasnutą mrokiem, zgarbioną w cieniu wysokich lip. Gdzieniegdzie błyskało leniwie światło. Od chat nadlatywały nieliczne głosy: szczekanie psów, jakieś kobiece nawoływania, skrzyp studziennego żurawia. Z lewa równina pól przechodziła nieznacznie w równinę stawu. Pojedyncze drzewa obrastały krąg wody. Przestrzeń gadała rechotem żab, ledwo dosłyszalnym szmerem liści i pluskaniem deszczu.

Ścieżka skręcała w lewo i prowadziła brzegiem stawu. Przodem szło dwóch chłopów, jeden z pepeszą, drugi ze stenem w ręku. O parę kroków za nimi — Oleńka. Za sobą słyszała spieszne kroki Barczyńskiego i innych. W mroku nocy sierpniowej, parnej i dusznej, opadł dziewczynę rój myśli.

To nie ona sama zorientowała się w sytuacji, ale stary Tomaszewski otworzył jej oczy. Akurat tydzień temu. Wrócili wtedy z tej bajecznej wycieczki na posterunek niemieckiej policji, przywożąc łupy: broń, buty, żywność. W jakiejś chacie przydrożnej wypili dla uczczenia zwycięstwa butelkę zdobytego wina. Chata była pełna ludzi. Na stole paliła się naftówka. Wokół stały rozelane łóżka pełne poduszek i pierzyn, spomiędzy których wyglądały jasnowłose główki obudzonych dzieciaków. Gospodyni — młoda kobieta w długiej koszuli — stała przed Oleńką, trzymając w rękach wielki podlepiony liśćmi bochen chleba. Jej niebieskie oczy patrzyły na stojących przed nią mężczyzn z wyrazem lęku, pokory i podziwu. Mąż kobiety ugrzecznionym ruchem podsuwał wyszczerbiony talerzyk z kawałkiem słoniny. „Weźcie ino — prosił — no weźcie. Spracowaliście się setnie. Moja was zaprasza...” Serdecznym ruchem położył dłoń na ramieniu żony, a ona przeciągnęła się lekko pod tym dotknięciem. Wzrok Oleńki spoczął na oczach tamtej, nie uchwycił jednak jej spojrzenia. Tkwiło ono gdzieś w głębi, odwrócone od tego, co ją otaczało. Nieznacznie — i nieoczekiwanie dla samej siebie — westchnęła. Wtedy posłyszała koło siebie szept. To mówił Tomaszewski — jak to zwykle on: niewyraźnie spoza spadających na usta wąsów, lekko poświstując dziurami po wypadłych zębach: „Ot, miło patrzeć, jak się ludziska kochają. Panienska by też... pokochała”. „Ja?” — ze zdumieniem podniosła na niego wzrok. „Ano, pewno. Nie martwiłaby panienska naszego komendanta. On tak patrzy na panienkę, jakby w jakąś cudność...” Uśmiechnęła się lekko, rozbawiona jego troskliwością. Ale czujność obudzona słowami Tomaszewskiego nie opuściła jej. Nagle innymi zupełnie oczyma spojrzała na te dwa miesiące bojowania i na zachowanie Kazimierza. Zanurzona w coraz głębiej nurtujących ją wspomnieniach, prawie nie spostrzegała codzienności. Nieznacznie podniosła głowę i poszukała twarzy Barczyńskiego. Stał niedaleko z kub-

kiem, z którego pił wino, i patrzył na nią. Zaczerwieniła się. Spuściła wzrok.

Od tego dnia wiedziała, że ją kocha. Cieszyło ją to, a jednocześnie niepokoiło i wzmagало wewnętrzną rozterkę. O ile przedtem słuchała dość obojętnie słów Barczyńskiego, teraz zaczęła uciekać od każdej z nim rozmowy. Poczucie bezpieczeństwa, jakie się w niej zrodziło, od czasu gdy przystała do oddziału, teraz prysło. Po paru dniach postanowiła rozmówić się z Barczyńskim. Chciała powiedzieć mu wszystko, niczego nie ukrywając, nawet tej szaleńczej miłości, o której myślała teraz coraz częściej jak o ciężkim grzechu zdrady. Lecz choć się na tę rozmowę zdecydowała, na rozpoczęcie jej nie miała odwagi. Woląa raczej unikać mężczyzny w naiwnym przekonaniu, że tym sposobem coś się samo wreszcie wyjaśni. Jak dotąd jednak nie było zmian i tylko jej niepokój stawał się coraz większy.

Okrzykli staw i szli dalej gęsieją wąską ścieżką wśród pól. Ostatni blask dnia zgasł, czarne pasy chmur zaczęły wsiąkać w noc. Nad nimi ukazały się tu i tam gwiazdy. Od stawku szły wciąż żabie rehoty.

Teraz weszli między ścierniska. Nierówna twarda szczeć sterczała z ziemi, szeleszcząc głośno, gdy się po niej przeciągnęło nogą. Ścieżka była wąska i gliniasta. Oleńka starała się obudzić w sobie zainteresowanie do rozpoczętej akcji. Odruchowo spojrzała na zegarek. Było jednak za ciemno, by mogła dojrzeć wskazówki. Zegarek Danką obudził w niej nową falę uczuć. Pomyślała ze smutkiem, że życie przestało być proste. Kiedyś wszystkie jej uczucia stanowiły jedność, którą żyła i rosła, dziś odkryła rozkład tej jedności. Nie był to już strumień o jednym nurcie, ale jakaś kipiel wodna pełna wirów.

— Tor.

Posłyszała za sobą cichy głos Barczyńskiego. Rzeczywiście wyrósł przed nimi niezbyt wysoki nasyp, oddzielony od pola płytkim rowem, gdzie na dnie połyskiwało pasmo wody. Stała przed słupem telegraficznym, którego wewnątrz pełne było dźwięków. Mężczyźni zbili się w ciasną gromadkę rozprawiając o czymś. Nie wtrącała się do ich narady. Oparta o słup patrzyła na nasyp, którego jasny grzbiet zdawał się biec w czarną przestrzeń. Coraz bardziej przecierało się; gwiazdy gęściej wysypywały się na niebo. Lekki powiew poruszał krzakami tarniny porastającymi brzeg rowu.

Od toru doleciał twardy, lecz przyciszony głos męski.

— Kto idzie?

Odpowiedział jeden z chłopców:

— Swoi.

— Hasło?

— Tarcza.

— Odzew?

— Tuczapy.

Ktoś przeszedł przez tor — słyhać było, jak o szynę szczęknęły gwoździe butów i zazgrzytały na żwirze nasypu. Potem zeszedł ku nim. Poznała idącego: był to dowódca jednej z drużyn, młody Antek Zaciura. W rękę trzymał pistolet. Podszedł do Barczyńskiego i powiedział:

— Wszystko zrobione. Miny i obstawa.

— Gdzie mina?

Wyciągnął rękę w przestrzeń.

— O tam. Na dwanaście kroków przed mostkiem.

— A zapalnik?

— W krzakach — znowu wskazał ręką kierunek. — Zgódka przy zapalniku.

— Dobrze. Zaraz sprawdzę. Ludzie na stanowiskach?

— Tak.

Przeszli rów i wspięli się na tor. Oleńka poszła za nimi.

Stanął na szynach. Antek pokazywał ręką.

— O, tam widać sygnał. Tor zamknięty.

Bardzo daleko w mroku nocy widać było kilka światełek, między nimi jedno czerwone. Barczyński patrzył chwilę w tamtym kierunku, potem jeszcze zapytał:

— Czy jesteście pewni, że żaden inny pociąg nam tu nie wyjedzie? Gdzie jest Laskowski?

— Laskowski... — Antek zawołał cicho w stronę krzaków po przeciwnej stronie toru. — Laskowski! Chodź tutaj!

Ciemna sylwetka wypłynęła z mroku. Był to młody chłopak o szerokim uśmiechu, ciemno ubrany. Na głowie miał ohydną pruską czapkę kolejarską o wygiętym denku. Z gracją stanął na baczność przed Barczyńskim.

— Na rozkaz, panie poruczniku.

— Słuchajcie — Barczyński położył dłoń na klamrze pasa chłopca — czy jesteście pewni, że tu inny pociąg nie wyjedzie?

— Wykluczone, panie poruczniku. Pasażerski poleciał o dziewiętnastej. A z Lublina telefonowali, że wyszedł tamten.

— Jaki skład? Wiecie?

— Wiem. Za parowozem dwa wagony z żołnierzami. Potem osiem platform z tankami i samochodami, dwa zamknięte wagony — murywane, że z amunicją — znowu dwanaście platform, sześć cystern i znowu trzy wagony z wojskiem. Prosto do Lwowa. „Räder müssen rollen für den Sieg” — powiedział to z zabawnym akcentem.

— A jeśli sanitarkę wypuszczą z Zamościa? — wtrącił Zaciura.

— Ta ty śmieszny chłopak jesteś. Jaką sanitarkę? Taż oni w porzeczności robią ze strachu i w nocy za Boga żaden bez nakazu nie pojedzie. Sanitarkę pchnąć mogą i w dzień. W nocy to tylko broń i amunicję.

— Racja — powiedział Barczyński. — Wszyscy na stanowiska! Panie Tomaszewski, obejdz pan tamtą stronę i sprawdź pan obstawę. Wy — zwrócił się do chłopców, którzy razem z nim przyszli — ubezpieczcie ścieżkę, którą będziemy wrywać. Pani niech tutaj zostanie — wskazał Oleńce kępę tarniny w miejscu, skąd wyszli na tor. — Pójdę sprawdzić zapalnik, a potem wrócę po panią.

Rozeszli się. Oleńka zsunęła się z toru i podeszła do wskazanego miejsca. Znowu oparła się o słup, ale dźwięk, który dochodził od drutów telefonicznych, był tak drażniący, że odeszła na skraj rowu. Zdjęła z ramion pelerynę, siadła na niej. Zaczęło ją ogarniać podniecenie. Był to ich pierwszy zamach na pociąg i to na pociąg obsadzony wojskiem. Wprawdzie Barczyński okazał się jak dotychczas znakomitym dowódcą, ale tym razem gra była poważna.

Wyobrażała sobie, co by to było, gdyby pociągiem, który mają wysadzić w powietrze, jechał właśnie ten Niemiec? Zapobiegłaby zamachowi? Potrząsnęła głową. Tamto uczucie, które kazało jej płakać przed półtora rokiem w mieszkaniu na Kanonii, nie minęło. Ale równocześnie wyrosły jeszcze inne, niemniej potężne, nie zacieraające tamtych, ale się tamtym przeciwstawiające. Czowała, że toczy się w niej walka, o ile potężniejsza niż wszystkie wewnętrzne rozterki, jakich dotychczas doświadczała.

Założywszy ręce pod głową wyciągnęła się na pelerynie. Z pobłażliwością myślała o swoim dotychczasowym życiu. Jakież ono było błahę! Przebiegała pamięcią tamte lata: szkołę, wyjazdy do Zakopanego, do Druskiennik, uniwersytet, życie koleżeńskie, obozy... Danek, Władek, ksiądz Tomasz, ojciec. Nieoczekiwanie jej myśl zatrzymała się na wspomnieniu ojca: mały sędzia z nieodłączną hebanową laseczką mignął jej na tle ich mieszkania na Filtrowej. Żółte mebelki, wielkie okna, biurko w kącie pokryte szklana taflą... Poczowała wzruszenie i tęsknotę. Ojca nie widziała już pół roku.

Rozległy się kroki. Nie podnosząc głowy poznała, że to nadchodzi Barczyński. Zatrzymał się przy niej. Chwilę milczał. Potem siadł obok niej na ziemi.

— Zmęczyła się pani? — zapytał.

— Nie — odparła. — Myślę...

— Myśli pani... — powtórzył. — A o czym?

Nie od razu odpowiedziała. Obserwowała w górze gwiazdy na oczyszczającym się z chmur niebie. Potem dopiero rzekła, wciąż nie odrywając oczu od migających w oddali światów:

— Cóż? Nie wiem... Myślę o sobie i o swoim życiu...

Poczowała, że się nieco pochyla nad nią.

— A czy nie sądzi pani — zapytał — że myśli się o swoim życiu wtedy, gdy staje ono wobec wielkich zmian?

— Nie wiem — szepnęła. I znowu nie wiadomo, dlaczego przypomniała sobie ojca.

— A ja wiem, że tak jest — powiedział. Dotknął lekko jej ramienia. — Ja wiem, że tak jest — powtórzył. — Panno Oleńko, chcę pani coś powiedzieć... Chcę panią o coś zapytać...

Dźwignęła się i siadła. Przez chwilę czuła zawrót głowy, tak ją zamroczyło patrzanie w usiane gwiazdami niebo. Barczyński siedział na wprost niej. Nie zdejmując dłoni z jej ramienia, mówił mocno i stanowczo:

— Czy pani pamięta, jak rozmawialiśmy wtedy w lesie, po schwytaniu niemieckiego podoficera? Powiedziała pani, że zdradziła pani pamięć narzeczonego... Prawda, że tak pani powiedziała?

Szepnęła bardzo cicho:

— Tak...

— I naprawdę pani sądzi, że pani tę pamięć zdradziła? Czy pani się nie myli? Panno Oleńko, jeszcze raz powiem, co powiedziałem wtedy: umarli nie stają na drodze żyjących. Umarli nie są o żywych zazdrośni...

— Być może...

— Nie, na pewno! Życie ma swoje prawa. A miłość jest treścią życia. Nie wolno robić sobie z tego wyrzutów, że się odeszło od miłości do zmarłych ku żywym.

Lekko uwolniła się od dotknięcia jego ręki.

— Tak... może... Ale widzi pan... — plątała się — miłość bywa różna... Miłość... A gdybym, proszę pana, pokochała... jednego z tych...

Zrobiła gest, który zrozumiał. Uśmiechnął się, gdyż to, co mówiła, było nieprawdopodobne.

— To przecież nonsens...

— Dlaczego? — broniła się. — A jeśli to nie jest nonsens?

Wzruszył ramionami.

— Mówmy poważnie, panno Oleńko. Dla tamtych istnieje tylko jedno uczucie...

— Nienawiść?

— Nie... Pogarda raczej — zmienił ton. — Ale nie o tym mówimy. Bo chyba pani mówiąc rzecz tak straszliwie nieprawdopodobną nie miała na myśli, że obecnie każda miłość jest dla pani równie niemożliwa jak miłość do Niemca.

Poczuła, że te słowa przyparły ją do muru. Ale nie odpowiedziała. On zaś zapytał jeszcze:

— I czy na każdego, kto by panią kochał, patrzyłaby pani tak, jak na prześladowającego panią swą miłością Niemca?

Powiedziała: — Nie — i zaraz pożałowała tego słowa, bo nagle ogarnęły ją ramiona mężczyzny. Poczuli twarz Barczyńskiego blisko swojej twarzy, jego usta tuż obok swoich ust.

— Więc czemu tak mówisz? — zapytał. — Przecież chyba widzisz, że cię kocham?

Nie broniła się, ale nie poddawała się uściskowi. Zrozumiała, że zrobiła fałszywy krok, za który musi ponieść odpowiedzialność. Okrutne rozdwojenie, jakie w sobie odkryła, sięgnęło dna.

Nagle posłyszeli głuchy turkot. Szedł pociąg. Uścisk ramion mężczyzny zelżał. Zrozumiała, że ten pociąg przybywa jej na pomoc w sam czas. Zerwali się. Daleki jeszcze turkot nabierał siły. Huczał. Mężczyzna popchnął ją lekko.

— Tędy, prędko! Niech pani biegnie za staw!

Rzucił jej w ręce pelerynę i pchnął na ścieżkę, którą przyszli. Zaczęła biec, ślizgając się na glinie. Ale zaraz przystanęła. Pociąg szedł coraz głośniejszy, coraz bliżej, nie było go jeszcze widać, ale przestrzeń falowała już turkotem. Oglądając się co chwila, szła dalej i dalej od toru. Zobaczyła latarnie bodące przestrzeń i czarny długi kształt. Teraz już nie mogła oderwać wzroku od jadącego pociągu. Przeciągle zagwizdał. Mignęły otwarte lory, na których stały jakieś pojazdy. Nagle oślepiający blask rozświetlił wszystko. Jednocześnie posłyszano huk. Chciała się cofnąć, ale pośliznęła się i upadła. Przestrzeń była pełna błysków, łoskotów i drzeń. Prawie nieoczekiwanie buchnęły ze wszystkich stron wystrzały. Zrobiło się dziwnie jasno. Podniosła głowę i spostrzegła górę żelastwa oraz strzelające wysoko płomienie. Płonęły już pierwsze wagony. Snopy iskier tryskały na wszystkie strony, był ostry żar. Wśród huku strzałów zanosiły się czkawką peemy i głucho wybuchały granaty. Podniosła głowę. Drgający blask to się powiększał, to znowu przygasał. Usłyszała gwizdy przelatujących pocisków i jakieś wrzaski. Ku nagle ściemniałemu niebu poleciała czerwona kula i rozpadła się na kilka mniejszych, które wolno spłynęły w dół. Rakieta. Znowu kula — tym razem biała. Po niebie popłynęły strugi mlecznego blasku oświetlając pole, płonący pociąg, migających tu i tam ludzi. Strzelanina stawała się coraz gwałtowniejsza. Wśród huku Oleńka posłyszła gwizd trójtonowej syreny Barczyńskiego jako sygnał do odwrotu. Musiało być tam ciężko. Doszedł ją krzyk: „Vorwärts!” Stała na nogi i zaczęła biec. Świst kul koło głowy stawał się niepokojący. Zdyszana dopadła drzew nad stawem. Zobaczyła koło siebie twarze ubezpieczających odwrót chłopców. Coraz donośniej grzechotały kaemy — w pociągu musiało być dużo Niemców. Na ścieżce zamajaczyło kilka postaci. Oddział wycofywał się. Chłopcy byli zdyszani i wściekli! Ktoś rzucił: „Cięgiem ich tak dużo! — Trzasnął ręką w pusty magazynek. — Kul na nich braknie”.

— Gdzie pan porucznik? — zapytała.

— Powiedział, że wycofa się na końcu.

Ścieżką znowu szło kilku ludzi. Zobaczyła Stacha Leśniaka z kaemem na ramieniu, a obok jednego z podoficerów oddziału — Piotra Zgódkę.

Zgódka wydawał rozkazy:

— Cofać się, chłopcy, do wsi.

— A porucznik?

— Idzie. Cofać się. Za dużo szkopów, nie damy rady. I tak narobiliśmy im bigosu. Cofać się. Ja tu ze Stachem i z Frankiem zaczekamy na porucznika.

Strzelanina nie cichła. Widocznie Niemcy bojąc się zasadzki wysyłali na ślepo całe serie z karabinów maszynowych. Chłopcy odchodzili do wsi. Zgódka zwrócił się do Oleńki, która wciąż stała oparta o pień wierzby.

— Niech panienka chwilę zostanie. Pan porucznik niesie Tomaszewskiego.

— Pan Tomaszewski ranny?

— Tak. Granatem mu przyiwanieli. O, już idą. Zobaczyła dwóch zgarbionych ludzi dźwigających jakiś ciężar. Pobieгла im naprzeciw.

— Czy groźnie ranny?

Ale Barczyński krzyknął gniewnie.

— Dlaczego pani jest jeszcze tutaj? Pani powinna być już daleko stąd. Niemcy mogą zrobić wypad albo inni zajdą nas od szosy. Nie udało się. Trzeba się wycofać.

Mówił ostro, rozdrażniony widocznie niepowodzeniem akcji. Poza tym zmęczył się niesieniem rannego. Ręce — zauważyła — miał całe we krwi.

— Prędezej! Niech pani idzie! — przynaglał.

— Ale pan Tomaszewski — pochyliła się nad leżącym — trzeba mu pomóc.

— Nic pani teraz nie pomoże. Proszę iść. Zgódka! — zawołał do podoficera. — Weźcie razem z Gościńskim rannego i nieście go także do wsi. Tam go opatrzeć. Niech pani idzie z nimi — znowu zwrócił się do Oleńki. — Ja tutaj zostanę z kaemem jeszcze przez dziesięć minut.

Dwaj mężczyźni podnieśli rannego i ruszyli ścieżką. Oleńka szła obok nich. Tomaszewski nie jęczał. Pochyliła się, aby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Oddychał, ale bardzo słabo. Zrozumiała, że kona. Niemcy wciąż jeszcze strzelali, lecz bez animuszu. Powiedziała do Zgódki:

— Stańmy na chwilę.

Nie zgodzili się. Zgódka mruknął:

— Jemu nic, panienko, nie pomoże. Rozerwał go granat. Ksiądz by pomógł.

Kiedy weszli w ulicę wioski, wciąż jeszcze strzelano. Psy ujadają jak wściekle. Prerażeni mieszkańcy wyglądali spoza uchylonych drzwi. Słyszać było tylko szlochy bab.

— Dojechały jednemu... — mówiła któraś.

— Ale tamtych nasiekły...

— Co z tego! Tamte czorty przyjdą i nas niewinnych skatują!... — lamentowała inna.

— Bić się trza.

— Ale! Jagnie to łatwo gadać, bo swój tylko tyłek ma, to nim zawinie i w las pójdzie... A jak dzieciiska są i krowa, i świniaków parę...

— Nie kolczykowanych... — powiedział drwiąco męski głos.

— A pewnie, że ni. Cóż to ja fojdojczka?

— Ba, bić się trza...

— Cię, jaka mądra...

— A żebyśta wiedziały. Bić się będziem, to nas się boić będą; nie będziewa się bić, to nas gołą łapą jak Żydów wyduszą...

Oleńka i niosący Tomaszewskiego ludzie zatrzymali się na skraju wsi, pod krzyżem. Niedaleko w lesie czekały na nich furmanki. Zgódka zgrzany i zmęczony położył Tomaszewskiego na ziemi. Oleńka pochylając się nad nim zauważyła, że Tomaszewski ma oczy otwarte. Zapytała szeptem:

— Panie Wojciechu... czy pan mnie słyszy?

Nie odpowiedział. Jeszcze niżej pochyliła głowę i zbliżyła usta do ucha leżącego. Powiedziała:

— Zaraz panu zrobię opatrunek.

Teraz potrząsnął lekko głową. Wzniósł oczy. Zobaczyła, że patrzy na krzyż, rozjaśniony pożarem na czarnym tle nocy.

— Chce pan się modlić?

I teraz nie odpowiedział. Nawet nie dał jej znaku żadnym ruchem. Dopiero po chwili spostrzegła, że już nie żyje. Uklękła. Podniosła wzrok na krzyż, który stał przed nią prosty, wysoki, ciemny. Strzały cichły; już tylko odzywały się od czasu do czasu. Pożar przygasał, niebo nasiąkło znowu czernią i gwiazdami. Modlącą się dziewczynę ogarniał coraz większy smutek i niepokój. Biała rakieta wyleciała w górę zapalając na niebie jasne strugi.

VIII

Nad ranem wrócili do swych bunkrów leśnych. Barczyński był chmurny. Trapiła go pamięć śmierci Tomaszewskiego, który był prawdziwym ojcem oddziału i na którego radzie i doświadczeniu sam często polegał. Poza tym był zły, że nie udało mu się zdobyć pociągu. Próżno tłumaczył sobie, że to największa z akcji, jakie dotychczas podejmował, i że siły Niemców były niewspółmiernie większe niż jego oddział. Wbrew perswazjom, coś niby gorycz osiadło na jego sercu. Całe życie stanęło przed nim jak żywe: gorzkie, chłopskie.

Dziecinne lata wśród rodzeństwa. Wędrówki do szkoły, przerywane okresami żniw, zbieraniem kartofli, sianokosami. Potem seminarium nauczycielskie w małym mieście, twardy chleb nauczycielski, małżeństwo. Zofia była córką właściciela sklepu bławatnego. Nosiła w sobie sentymenty i ideały. Później z niej to wszystko opadło. Chciała koniecznie miasta, spacerów w sobotnie i niedzielne popołudnia po zatłoczonych ulicach. Tęskniła za wystawami sklepowymi, za warokotem samochodów, za targiem, za gwarem, za nowinami, które sto razy przychodzą i są zawsze barwne i interesujące, za mszą niedzielną, na którą trzeba włożyć najlepszą sukienkę i najlepszy kapelusz, za lodami w tej cukierni koło kościoła garnizonowego, którą się zna od dziecka, ale zawsze wydaje się nowa, za zabawami tanecznymi u dawnych koleżanek — słowem za tym życiem, którym żyje się w Siedlcach, w Hrubieszowie, w Radzyminie czy Lubartowie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Barczyński trafiwszy — zresztą zupełnie przypadkowo — do tej szkoły obok zakładu sióstr, był zupełnie zadowolony z życia w małym domku, do którego tylko raz na dzień mógł zapukać świat gwizdem nadjeżdżającej z Werbkowic kolejki. Domagała się od niego starań o przeniesienie. Później przyszły jeszcze inne zatargi i manewry hrubieszowskiego pułku strzelców konnych; spotkanie Zofii z porucznikiem Kosuckim, dowódcą plutonu łączności. A potem wybuchła wojna i nagle wszystkie nieporozumienia urosły do ogromu tych największych.

Barczyński czuł po powrocie z kampanii wrześniowej, że jego życie, nagle oderwane od toku z góry kierowanych prac nauczycielskich, nabiera jakiejś nieoczekiwanej dynamiki. Obudziła się w nim potrzeba naśladowania odwiecznego rytmu dobywającego się z podglebia, z ziemi żytem i gryką rosnącej. Nigdy może przedtem — chyba tylko w latach pasania krów — nie żył tak bardzo intensywnie na ziemi. Ten instynkt prowadził go bezbłędnie, ostrzegał przed niebezpieczeństwem.

I dzisiaj miał uczucie, że został ostrzeżony. Z dziwną siłą narzuciło mu się przekonanie, że popełnił błąd i ten błąd — w ostatecznym jakimś skojarzeniu faktów — spowodował niepowodzenie akcji. Nie nawykły do analizowania swych uczuć nie zastanawiał się, na czym ten błąd polega. Lecz miał zaufanie do swego instynktu.

Barczyński milczał i milczała Oleńka. Po powrocie z wyprawy przespała się kilka godzin w jednym z bunkrów. Potem jedząc obiad, który ugotował kucharz oddziału, powiedziała do siedzącego obok Barczyńskiego:

— Dziś chciałabym wrócić do zakładu...

— Czuje się pani zmęczona?

— Tak... Zmęczyła mnie ostatnia wyprawa. Chciałabym odpocząć. Poza tym w zakładzie mogą być listy do mnie...

Nie patrzyła na niego. Ze spuszczoną głową grzebała łyżką w mis-

ce z fasolą i gulaszem. Milczeli czas jakiś. Potem nagle zapytał Barczyński:

— Ale pani do nas wróci?

— Naturalnie... — powiedziała. Ale nie była pewna, czy odpowiada szczerze. Nie wiedziała, co stanie się następnego dnia. Żyła oczekiwaniem.

Po południu wyruszyła. Barczyński pocałował ją z szacunkiem w rękę, partyzanci, obok których przechodziła, powiewali jej na pożegnanie rękami.

— Do widzenia! — wołali. — Niech panienka prędko wraca! Znowu pójdziemy na szkopów! Teraz to im damy, pani zobaczy!

Odprowadzili ją do skraju lasu Barczyński, Zgódka i jeszcze kilku.

Po drodze rozmawiali o sprawach obojętnych i dopiero przy rozstaniu Barczyński powiedział:

— Jestem o panią jakoś niespokojny...

— Och... niech się pan nie niepokoi. Odpocznę i... — chciała dodać „wrócić”. Ale tego nie powiedziała. Jeszcze raz pocałował ją w rękę.

Odchodziła spieszenie, jakby lękając się, że trzeba będzie coś jeszcze powiedzieć. Poprzez miedzę zbiegła na drogę — szeroką, rozciętą koleinami. Znowu ścieżka między zbożami. Po jakimś kwadransie marszu doszła do małego pagórka, gdzie na szczycie rosło kilka brzoź. Było tu tak pięknie, że musiała się zatrzymać. Za sobą w oddaleniu miała las pełen wszystkich tonów zieleności — od szmaragdowej barwy sosen aż po jaskrawą zielen liści dębowych. Przed sobą — pola zbóż, pełne mrugających cieni i blasków, między które wcisnął się ciemną plamą długi ogród dworski. Na lewo wśród gałęzi — dachy chałup.

Wszystko, na co patrzyła, tonęło w ciszy i miękkich blaskach nadchodzącego wieczoru. Straciła chęć do szybkiego powrotu. Oparłszy się o pochylony pień brzozy wchłaniała szeroko otwartymi oczyma piękno okolicy.

Liliowe cienie pni drzew stawały się coraz dłuższe. Gładkie niebo zdawało się zniżać i kłaść na gałęziach. Mocniej przedwieczornym drzeniem szumiały liście brzoź.

Na chwilę zapomniała o swoich strapieniach. Z tym pogodnym wieczorem spłynął na nią kojący promień Łaski — ten promień nigdy nie oczekiwany — zawsze niezasłużony — i zawsze wszystko rozjaśniający. Chciała uklęknąć na ziemi i ucałować stygnący piasek, po którym pełzły cienie, lub biec w pole i przyciskać do policzków kanciaste kłosa pszenicy. Za to piękno, za to wszystko, co widziała koło siebie, i za ten spokój, jaki zapanował w jej sercu, musiała w tej chwili dziękować. Osunęła się na kolana. Modliła się wraz z polami — ciszą. Modliła się za wszystkich. Za żywych i za umarłych. Zwłaszcza za tych ostatnich.

Z fioletem nasiąkającego pola, które z wolna układało się do snu, patrzyły na nią bolesne oczy. Cheiwie, jak wędrowiec w pustyni czyha na kropelkę wody, tak upiór czyha na słowo modlitwy — tę jedyną ochłodę duchów cierpiących, których karą jest wędrowka po śladach własnego szaleństwa.

Szarzało już mocno, gdy zobaczyła przed sobą białe budynki zakładu. Kiedy szła między w ich stronę, wytoczył się spomiędzy drzew i domów pociąg i fukając sunął równolegle do parkanu bielejącego na tle drzew. Zatrzymał się zasłaniając na chwilę domy. Podchodziła coraz bliżej. Nasyp toru wyrastał przed nią z zielonej łąki. Potem dym zaczął znów buchać z komina lokomotywki, początkowo wolno, potem prędeż, zlewając się w jeden ton ze szczękiem toczących się wagoników. Niby odsłaniająca się kurtyna odjeżdżający pociąg odkrył przed Oleńką zakład. Bielały domy, wysuwał się ciemny zrąb drewnianego kościółka. Na stacyjce kręciło się kilka figurek ludzkich — to byli chłopcy zakładowi. Uderzali długimi witkami po puchu przydrożnych ostów. Na widok Oleńki stanęli. Ich okrągłe wygolone głowy niby małe księżycy zdawały się rzucać nikły blask w narastającym mroku. Szurgnąwszy nogami powiedzieli bardzo głośno i bardzo grzecznie:

— Dobry wieczór pani.

Uśmiechnęła się do nich. Ten mały, puciołowaty, z lekko zadartym noskiem, to był Józio Troć, wielki jej przyjaciel. Na ogół nie należał do rozmownych. Dotykając lekko jego ramienia powiedziała:

— Dobry wieczór, Józiu. Dobry wieczór, chłopcy. Cóż tam u was słyhać nowego?

— Pani przyjechała pociągiem? — Władek Ławecki, piegowaty jak indycze jajko, mały, krępy chłopak podniósł na nią swe jasne oczy. — Bo myśmy nie widzieli, jak pani wysiadła.

— Nie. Idę z Perespy.

— Aha. To pani pewno nic nie wie?

— Co mam wiedzieć?

— Byli tu Niemcy.

— Niemcy?

Rozgadali się jak stado wróbli. Krzyczeli jeden przez drugiego.

— Ale! Trzy samochody przyjechały! I „czarni” byli, i żandarmi! Szukali pana Barczyńskiego.

— Barczyńskiego? Kiedy byli?

Ławecki uciszył kolegów.

— Proszę pani, ja powiem. Wczoraj wieczór przyjechali i szukali Barczyńskiego, i szukali księdza kapelana, i pana Godlewskiego... a pana Barczyńskiego tu nie było, to oni szukali w całym domu,

i w piwnicy, i na strychu, i wszystko poprzewracali, i bili tę panią Zofię, i złamali jej rękę, proszę pani.

— Ale najpierw byli u siostr...

— Nie gadaj! Najpierw to do pana Barczyńskiego pojechali...

— Ale, źle mówisz!

Uspokoila ich.

— Poczekajcie. Niech Wladek mówi.

Chłopak przełknął ślinę i gestem spracowanego robotnika podciągnął opadające spodenki.

— Więc... bo ja mówię, a oni mi przeszkadzają, proszę pani. Więc złamali rękę tej pani, a tę małą Krysię, proszę pani, to tak popchnęli, że upadła na piec...

— Stało się jej coś?

— Rozbiła głowę, ale nie bardzo, nie, nie — pocieszał ją z powagą — nic jej nie będzie. A potem to szukali księdza kapelana i ksiądz uciekł, i starsi chłopcy uciekli, a oni strzelali i zabili Franka...

— Jezus, Maryja!

— Tak — wyrwał się Jurek Oleszczuk, jasnowłosey, mały chłopak o tragicznej, nigdy nie uśmiechającej się twarzy — i pana Godlewskiego zabili!

Zatrzymała się przerażona.

— Co ty mówisz? — Pochyliła się nad nim, położyła mu rękę na ramieniu. — Co ty mówisz? Jak to było? Powiedz.

— Ja powiem, proszę pani — prawie krzychał Ławecki, ciągnąc ją za rękę. — Bo to oni wszystkie siostry wygoniły przed dom i kazały stać z rękami w górę. I nas wygoniły, nawet ubrać się nie dały. I dziewczyny też, nawet maluchy. I krzyczeli, że zabijają, i ciągle strzelali. A jeden ich starszy to chciał dziewczyny ciągnąć...

— Gdzie ciągnąć? — nie zrozumiała.

— No, pani wie — Ławecki powiedział z godnością. — Ale siostra nie dała i zaczęła krzyżeć, i powiedziała, że on może strzelać, i może ją zabić, ale ona mu dziewczyn ruszać nie pozwoli. To on strzelał i krzychał, ale już dziewczyn nie ciągnął. A potem chcieli brać starszych chłopców. To oni uciekali za Huczwę, a Niemcy i „chachły” strzelali i zabili Franka. A to było już rano. I wtedy znaleźli pana Godlewskiego...

— Znaleźli?

— Tak, bo pan Godlewski był u księdza w mieszkaniu i tam się schował, i nie wyszedł. Tak oni poszli na górę, zaraz go zobaczyli. To oni zaczęli krzyżeć, że on jest polskim oficerem, i przyprowadziły go na podwórze. A wtedy pan Godlewski zaczął uciekać. Biegł prędko i przewrócił jednego Ukraińca. Wtedy Niemcy zaczęli strzelać...

Pamiętała dobrze twarz Godlewskiego — spokojną, poważną,

usta, po których błąkał się miły uśmiech. Kiedyś go spytała, czy nie boi się nosić ze sobą wszędzie radiowego komunikatu. Odpowiedział wtedy żartobliwie: „Raz kozie śmierć”. Stojąc koło budynku patrzyła na mroczny plac między domami. Usiłowała sobie uświadomić te wszystkie wypadki: krąg ludzi w hełmach, z granatami za pasem, z bronią w ręku. W środku siostry i dzieci. Mężczyzna uciekał koło płytkiego jeziorka za budynkiem dziewcząt. Dopiero gdy dopadł pierwszych drzew, zaczęto do niego strzelać. Władek pokazywał palcem: w tym miejscu upadł. Zerwał się jednak i biegł dalej. Ale już nie tak szybko. Wtedy rzucili się za nimi. Biegnać strzelali. Znowu upadł. Chciał się podnieść, ale wtedy dopadł go jeden ze ścigających. Od razu butami skoczył mu na piersi. Inny podbiegł i kopnął leżącego z całej siły w twarz. Nie strzelali, bili tylko kolbami, kłuli bagnietami, kopali. Widzieli to wszyscy: wszystkie siostry, wszystkie dzieci... Dziewczęta zaczęły płakać w głos, ale wtedy żołnierze i Ukraińcy zaczęli je bić kolbami. Jeden oficer ze szpicrutą chodził przed szeregami i walił w twarz każdą, która płakała. Niemcy uderzyli także dwie siostry, a jeden zerwał siostrze Konstancji kornet z głowy. Kilku zaczęło strzelać do figury świętego Józefa przed domem. Inny poszedł z granatami do psich bud i pozabijał wszystkie psy.

— A ten ich dowódca — opowiadał Władek — to nic, tylko stał w środku i palił papierosa za papierosem. Jak go siostra Irena zapytała, dlaczego pozwala znęcać się nad dziećmi, nie odpowiedział, tylko odwrócił się tyłem. Był stary i nawet wyglądał na dobrego, ale swoich nie wstrzymywał...

Skinęła głową i zaczęła iść wolno w stronę domu. Czują, jak w skroniach biją jej mocno tętna. Jeszcze zapytała, przechodząc koło budki ogrodnika:

— A ciało... pana Godlewskiego?

— Pochowalim — odpowiedział Oleszczuk. Powiedział to takim głosem, że aż spojrzała na niego. Duże, pełne jakiejś żalości oczy ściemniały, małe usta ścisnęły się mocno. Wyciągnął rękę: — Tam na wzgórzu — powiedział. — Krwi było tyle, że trzeba było ziemię z krwią zbierać. I każdy z nas — powiedział to jakby nagle zmieszany — tę ziemię z krwią... sobie... zabrał...

Szli już w milczeniu aż do samego zakładu. Dom po staremu huczał setką głosów i rozsiewał ostry zapach chleba. Zatrzymała się w progu. Poczowała dreszcz zaciekłości. Zdawało jej się, że gdyby ci najeźdźcy ukazali się znowu, rzuciłaby się na nich z gołymi rękami. Chłopcy chwilę stali obok niej, potem tręcili się wzajemnie, szurgnęli nogami i poszli w głąb budynku. Została sama. Na schodach w głębi był zegar. Posłyszała czyjeś kroki. Z czarnych drzwi klatki schodowej wysunął się biały kornet, śmiesznie w kształt dzioba spięty pod brodą.

— Kto tu? — posłyszała znany głos.

— To ja, proszę siostry przełożonej — rzekła. — Wróciłam...

— Panna Oleńka?

Ogarnęły ją suche ramiona w szerokich rękawach czarnego habitu, poczuła twarde usta na swoim policzku. Małe palce zacisnęły się mocno na ramionach dziewczyny.

— Chwała Bogu, że panią widzę... Odpowiedziała na uścisk uściskiem.

— Opowiadali mi chłopcy o tym, co tutaj się działo.

— Tak. Było o czym mówić, prawda? To już pani wie, że zabili Kostka i Franka. — Prowadziła Oleńkę po schodach w górę. — Ja już myślałam, że wszyscy pójdziemy razem do Boży. Całe szczęście, że sobie poszli. A ten dowódca... Starszy, siwy. Podeszłam do niego, aby go poprosić o opiekę nad dziećmi. Spojrzał na mnie dziwnie i powiedział cicho: „Ich mag nichts...” Potem odwrócił się ode mnie i zaczął krzyczeć jak inni: „Los, Los! Los!” Wszyscy krzyczeli i strzelali...

Szły korytarzem pierwszego piętra. Siostra zatrzymała się na wprost drzwi kaplicy. Było ciemno. Oleńka nie widziała twarzy przełożonej, która mówiła jakimś zmienionym i drżącym głosem:

— Tak... Nawet najlepsi z nich są tacy... — Dziewczyna posłyszała ciche westchnienie. — A może pani zechce wejść do Matki Bożej? Przywitać Ją?

— Dobrze — odpowiedziała.

Siostra przełożona otworzyła przed nią drzwi. Kaplica była pusta. Oleńka uklękła i podniosła wzrok na ołtarz. Czerwony kaganek drgał na małym stoliku z boku. Białobłękitna figura na tle mrocznych okien wyglądała jak żywa. Wszystko zasnuwał coraz gęstszy cień. Dziewczyna oparła głowę na dłoniach, zmusiła myśl do uwagi. Wyśiłkiem woli odmawiała twardo słowa znanych modlitw. Skrzypnęły drzwi, posłyszała koło siebie ciche kroki. Przełożona pochyliła się nad klęczącą i powiedziała szeptem:

— Były dwie depesze do pani...

Położyła na oparciu klęcznika dwie kartki wielokrotnie złożone, potem cofnęła się i uklękła w innej ławce. Dziewczyna z biciem serca wzięła do ręki ćwiartki papieru. Jeszcze oddalała od siebie na chwilę czytanie. Modliła się: „Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...” Stanął jej w oczach tak dobrze zapamiętany z lat szkolnych obraz Skrzetuskiego siedzącego na ruinach Rozłogów. Więc to tak... Trzeba się zgodzić na wszystko. Nie patrząc na papier rozprostowała go. Potem nagle przeczytała biegnące sznurem litery. „Ojciec poważnie chory...” Podpis: „Matka”. Aha — chory... Przeleciało jej przez głowę: na co może być chory? Zawsze był zdrow. Potem spojrzała na drugą depeszę. Poczuła ból w piersi. „Ojciec zmarł.” W jakimś ogromnym wstrząsie zrozumiała wszystko. Zobaczyła czerwony afisz na zszarzałej ścianie rodzinnego miasta.

„Sie sind erschossen...” Szereg nazwisk. Płytkie dziury w ceglanej ścianie. Sznur ciemnych aut. Przerażający dźwięk klaksonu. Podniosła wzrok na ołtarz. Usta odnalazły zgubione słowa modlitwy: „Jako w niebie, tak i na ziemi...” Nie od razu je wyrzekła. Ale kiedy je powiedziała, odczuła jakby ulgę. Od paru dni coś ją dławiło. Dopiero ten ból pozwolił jej lżej odetchnąć.

IX

I znowu podróż jak przed rokiem: wzdłuż wybrzeży Sycylii ku Messynie. Szare gaje krzewów oliwnych, palmy, kaktusy, błękitne morze bijące hukiem o nadbrzeżne skały. Ale także ruiny i pożary, łomot dział przeciwlotniczych, eskadry nieprzyjacielskich samolotów, zaciśnięte pięści, kamień ciśnięty w szybę jadącego pociągu, teatralny gest podrzynania gardła. Znikły pogodny uśmiech, znikła nuda i zniechęcenie. W czarnych oczach ogień namiętności, smagłe dłonie zaciśnięte na karabinach. To już nie sojusznik, ale wróg.

W Neapolu niemieckie samoloty. Nad Wezuwiuszem chmurka dymu, na brukach wywalone z okien szkło, w porcie połamane żurawie, zerwane mosty, pogruchotane dźwigi. Na szosach tłuma ludzi uciekające w głąb Kampanii. Znowu zaciśnięte pięści, przekleństwa. „Morte!” — ktoś woła. Ludzie biegną, gwizdzą kamienie, człowiek wali się w błoto. Policja wydziera go z rąk szalejącego tłumu. Widać twarde, kręcone włosy, smagłą pokrwawioną twarz, czarną koszulę. Faszysta śmiał się ukazać w mundurze!

Odlot. Ziemia leci w głąb. Łańcuch Abruzzów w dole, zielone pola poprzecinane białymi drogami. Potem błękitny Adriatyk — Adriatyk po raz ostatni, potem już będzie tylko Jadran, jeżeli wierzyć ponurym przepowiedniom Alfreda. Znowu nadbrzeżne szmaragdowe łąki. Laguny. Wreszcie lądowanie. Wenecja.

Krótki postój. Herbert błądzi nad kanałami. Kanały cuchną, wstrętna woda bulgoce u chodników. Pałac dożów. Oficer podnosi wzrok na koronkę murów. Nagle słyszy straszliwe przekleństwa miotane przez dwie megiery siedzące pod ścianą, za koszami kwiatów. Chude pięści, w których tkwi koślawy parasol, podniesione w górę, włosy zsunięte na twarz. Czemu one tak krzyczą? Köstring nastawia ucha. Mało zna włoski, ale zaczyna rozumieć pełną mimiką i akcentów mowę. „Santa Madonna! — drze się jedna — niech idzie precz ten zapowietrzony Tedesco. Niech go ziemia pochłonie! Santo Antonio! Spraw, niech go prędko zabiją! Czego on tu chce?! Czego on tu wypatruje? Zaraz za nim przylecą te wściekłe diabły. Zburzą pałac. Zburzą Rialto i Most Westchnień. Do czego będą przyjeżdżać turyści? Kto kupować będzie kwiaty od starej Julii? O Dio! O Madonna! Niech tych przeklętych barbarzyńców z północy spali piorun. Niech zaden z nich nie wyjrzy z piekła!”

Herbert oddała się. Wraca na lotnisko. Ma uczucie, że jego wzrok przynosi nieszczęście.

Junkers dudni. Lecą dalej. Morze zniknęło, samolot wspina się coraz wyżej po pogodnym niebie. Ale i ziemia zaczyna się garbić, rosnać szczytami. Gdzieś mignęło w dole Caporetto. Czy Sacco di Roma i kłęska nad Isonzą okażą się mocniejsze niż uścisk dłoni dyktatorów? Lasami — niby mchem porośłe wzgórza, potem nagie szczyty, płaty śniegu, białe tafle lodu. Dolina Sawy. Klagenfurt, Graz, Semmering, zielona wyżyna austriacka, wstęga Dunaju. Wie-deń.

Tu otrzymał rozkaz meldowania się u szefa sztabu. Generał Jesionek. Pisze się Jeschonek, wymawia się rozmaicie, oczy patrzą twardo, ściska mocno i długo rękę majora.

— Niech pan siada — wskazuje na klubowy fotel obciągnięty czarną skórą, podsuwa pudełko prostych, żołnierskich papierosów. — Odmeldowuje się pan z południowego frontu, czy tak?

— Tak jest, panie generale.

Generał przewraca jakąś teczkę. Niewątpliwie teczka spraw personalnych Köstringa. Chrząka.

— Dziwne... Pan był najlepszym kolegą, a zdaje się i przyjacielem słynnego Kostrzewy? Z generałem von Mariesem też łączyły pana węzły przyjaźni? Ma pan za sobą piękny staż. Ostatnio był pan oficerem sztabowym, prawda?

— Tak jest, panie generale.

— Nie rozumiem... — Generał coś mruczy pod nosem, patrząc w rozwartą teczkę. — Pan jest członkiem partii?

— Jestem, panie generale.

Ciche, ledwie dosłyszalne przekleństwo. Potem:

— Stawiałem wniosek, aby zrobiono pana komendantem szkoły lotniczej. Dowództwo nie zatwierdziło, mojego wniosku. Pozostaje wschodni front...

Herbert nie mówi nic. Milczy.

— Chcę, aby pan objął dowództwo dywizjonu „Stuk” — ciągnie dalej generał. — Wróci pan na linię, to panu dobrze zrobi. — Żle zatemperowanym ołówkiem napisał swoją decyzję. — Zamelduje się pan w Smoleńsku. Powodzenia, majorze. W gruncie rzeczy zazdroszczę panu odejścia na pole walki.

Sprawna machina administracji wojskowej wciąga w swój wir Herberta. Rozkaz wyjazdu, pieniądze, wskazówki. W godzinę jest już na ulicy z załatwionymi formalnościami. Zostawił walizki w Soldatenheimie. Płacze się po ulicach. Nigdy tu nie był. Powinien rozzejrzeć się po osobliwościach stolicy Marchii Wschodniej. Ale to go

nie bawi. Woli iść skrajem czystego chodnika i patrzeć na mijających go ludzi lub na witryny sklepów.

Na Kärtnerstrasse znajome nazwisko na szyldzie. Herbert staje. Czyta raz jeszcze, by się upewnić: Schneditz. Przypominają się dni w eskadrze „Much” i jeszcze dawniej: szkoła lotnicza na Okęciu. Wchodzi do środka. Ten gruby wiedeńczyk z łysiejącą czupryną, ułożoną w misterny przedziałek, jest podobny do Wolfa. Wychodzi na powitanie oficera. Elegancki ukłon, zamaszysty gest ręki, zawodowy uśmiech na wargach. Ale tylko na wargach. Oczy się nie śmieją. Są poważne i zmęczone.

— Czym mogę panu majorowi służyć? Pan major pewno z frontu? Może z Afryki?

— Dziękuję. Czy pan Schneditz?

— Tak, ja sam. Do usług pana majora.

— Jestem kolegą i przyjacielem Wolfa. Byliśmy razem w szkole w Warszawie. Potem w jednej eskadrze.

— Ach... Jakże się cieszę! Może pan major wie coś o moim chłopcu? — błysk ożywienia w oczach. — Pozwoli pan, zawołam żonę. Tilly! Bądź łaskawa przyjść tutaj.

— Nie, o Wolfie nic nie wiem. Nie widziałem go przez ostatnie dwa lata. Raczej myślałem, że tutaj czegoś się o nim dowiem.

Nadchodzi matka Wolfa. Utlenione włosy, okrągła twarz wymalowana jak twarz lalki. Pulchne dłonie, na których dzwonią pierścionki. Dobrze niebieskie oczy.

Para grubasów patrzy na Köstringa z żalością. Myślą, że wreszcie dowiedzą się czegoś o synu.

— I my nic nie wiemy — mówi Schneditz. — Wolf został w tym przeklętym Stalingradzie. Nikt nie wie, czy żyje. Żadne listy nie przychodzą.

Herbert milczy. Nie wie, co ma powiedzieć. Po chwili rozmowy chce się zegnać.

— Ależ nie — zatrzymują go oboje. — Niech pan zajdzie do nas na skromny obiad.

Obiad rzeczywiście bardzo skromny. Kartoflana zupa, kartofle w łupinach z sosem, jakaś jarzyna, chyba brukiew.

Schneditz przynosi dwie flaszki piwa. Wyraża się o obiedzie z entuzjazmem. Dawno nie jadł tak smacznie. Jego żona ma na tydzień zwolnienie lekarskie z fabryki. Może się zająć domem. Normalnie pracuje w fabryce, nie ma na nic czasu.

Gdy rozmowa ze wspomnień o Wolfie przechodzi na sprawy ogólne, Schneditz wybuchą:

— Kiedyż się wreszcie skończy ta diabelska wojna?! Mamy jej dosyć. I tych złodziei — robi gest w stronę ulicy, gdzie na skrzyżowaniu stoi policjant w błyszczącym kubelku na głowie.

— Wojna jest ciężka — łagodzi Herbert. — Ale nie wolno tracić odwagi... — Mówi to jednak bez przekonania. Powtarza frazes, który gdzieś wyczytał. Grubas nie panuje nad oburzeniem, wybucha:

— Nie jesteśmy Niemcami! Cierpimy okupację jak cała Europa. Więzienie jest pełne. Gestapo podsłuchuje pod drzwiami. Chcemy żyć.

W małych oczach półprzykrytych powiekami płonie ogień gniewu.

— Chcemy żyć — powtarza. Ręce mu drżą, butelka dzwoni po brzegu kufła. — Chcemy żyć... — powtarza kilkakrotnie.

Podróż pociągiem w mrokach nocy. Herbert nie śpi, tkwi w otwartym oknie. Noc jest chłodna, pełna wilgoci, mgły zawieszono nad polami. Jakaś stacja. Lokomotywa dyszy. Poza tym cisza; słychać wyraźnie, jak kolejarz wymyśla jakiemuś obdartusowi. Harkot przekleństw, potem twarde klaśnięcie policzka. Skarcony odchodzi pchając przed sobą żelazny wózek. Coś mruczy pod nosem. Gdy mija otwarte okno, w którym stoi Herbert, słychać:

— Pierona. Sakramenckie Szwaby. Doczekota się...

Pociąg rusza. Köstring widzi przesuwającą się przed nimi białą tablicę z nazwą stacji: Tschechowitz.

Kraków. Las kościołów. Tor na wysokim nasypie. Z okna widać dachy domów. Tłum ludzi kręci się po peronie.

Herbert wyszedł z wagonu i spaceruje po mieście. Kolorowy przewodnik, który mu sprzedano na dworcu, aż zachłystuje się opisem praniemieckich pamiątek Krakowa. Altdeutsche gotische Burg, Marienkirche. Dawniej był tutaj Viet Stoss's Altar — Kunstwerk. Pojechał do Norymbergi. Stare kramy noszą dawną nazwę niemiecką: Suchennütze...

Herbert stoi na rynku i podnosi głowę, aby ogarnąć wzrokiem cały front Mariackiego kościoła. Podziwia wdzięk Barbakanu i Bramy Floriańskiej. Wraca na dworzec.

Odjazd. Oficer kładzie się na ławce, chce zasnąć. Ale serce bije niespokojnie. Jeszcze raz sprawdza wynotowane godziny przyjazdu i odjazdu pociągu. Będzie miał na Warszawę cały dzień.

Z oficerskiego hoteliku idzie się najpierw wzdłuż czerwonego muru, potem skręca się na prawo, znowu między dwoma murami, wreszcie wychodzi się na Raszyńską. Nad ogrodzeniem Filtrów zwieszają się gałęzie kasztanów. Słońce rozgrzewa asfalt na jezdni. Chodnikiem idzie patrol policji. Dwóch, potem znowu dwóch. Twarze czujne. Spod wielkiego hełmu widać tylko szeroką szczękę. Herbert skręcił w Filtrową. Teraz w lewo. Domy otoczone ogródkami. Apteka. Wreszcie skwer.

Tak samo wyglądał wtedy — przed trzema laty — gdy na nim spotkał Oleńkę. Znowu słycać gwar dziecinnych głosów.

Kręcą się kobiety z wózkami, na ławkach drzemią starsi panowie.

Skierował się do „swego” zakątka. Siadł na ławce. Rozłożył gazetę. Jak dawniej. Znad gazety patrzył uważnie na skwer. Ale nie — Oleńki nie było. Siedział w cierpliwym oczekiwaniu ze dwie godziny, zanim wreszcie zrezygnowany wrócił na ulicę. Nadjechał tramwaj. Herbert powziął nagłą decyzję. Postanowił pojechać do śródmieścia.

W wagonie było coraz ciasniej. Z jednej strony cywilna ludność polska, z drugiej biodrzaste Niemki z pakami i koszami, niemiecki kolejarz, dwie siostry niemieckiego Czerwonego Krzyża. Potem żołnierz, niski, o śniadej twarzy i skośnych oczach. Własowiec. Ludzie utkwili w nim oczy. Burknął niechętnie w stronę najbliższego:

— Nu, co tak smotrisz? Giermańskiego żołdata nie widział?

Spostrzegł Köstringa, ale nie zwrócił na oficera żadnej uwagi, nawet nie oddał mu wojskowego ukłonu. To podrażniło Herberta. Powiedział surowo:

— Nie wiecie, jak się należy zachować wobec oficera?

„Giermański żołdat” wytrzeszczył na Köstringa oczy. Powiedział:

— Nie ponimaju...

— Nie rozumiecie po niemiecku?

— Nie ponimaju... — powtórzył tamten i uśmiechnął się.

Rosyjskiego Herbert nauczył się trochę w niewoli i w czasie marszu przez równiny Rosji. Wtedy mu często mówił ten inżynier, który potem umarł z wycieńczenia: „Niech się pan uczy po rosyjsku. Niech się pan uczy tego języka, bo przyjdzie czas, że będzie się go uczyła cała Europa...” „Tak pan sądzi? Pan siedział u nich w więzieniu...” Inżynier zrobił ręką niedbały gest: „To cóż? Więzienie? Każdy się tam może dostać, jeśli sąsiad złoży fałszywe oskarżenie. Co to ma do rzeczy, panie kapitanie? Ja panu mówię: niech się pan uczy...”

Mógł żołnierza skarcić, ale wolał zmilczeć.

Własowiec wzruszył ramionami. Powiedział do ludzi, którzy cisnęli się obok:

— Nu tak nie wiem, czego się złościł. Czort z nim!

Rozległy się śmiechy.

Wysiadł. Szedł przez plac Zamkowy ku Świętojańskiej. Potem skrzył w Kanonię. Owiał go znowu zapach starych murów, rozgrzanych słońcem tynków i wciąż wirującego w powietrzu popiołu z ruin. Zanurzył się w ciemną sień niby w studnię. Stanął przed drzwiami. Nie od razu zastukał. Namyslał się dłuższą chwilę. Wreszcie wziął za klamkę.

Otworzył mu drzwi młody, jasnowłosy ksiądz. Na widok gościa w mundurze twarz księdza zrobiła się kredowo blada. Ciężko przełk-

nał ślinę. Köstring tak bardzo przez ten rok zapomniał języka polskiego, że z wielkim trudem formułował pytania:

— Ksiądz Gerlecki... Czy jest?... W domu?

Ksiądz bez słowa potrząsnął głową. Był tak wystraszony, że nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Czy będzie? — pytał dalej Herbert.

Znowu gest wyrażający przeczenie.

— Pojechał daleko. Tak?

Tym razem ksiądz zdobył się na odpowiedź. Głos mu drżał, łamał się. Powiedział po niemiecku:

— Ksiądz Gerlecki nie żyje.

— Umarł? Czy dawno?

— Gdzieś w lutym czy w marcu. Nie wiem dokładnie. Nie umarł tutaj.

— Był może w więzieniu? — domyślnie spytał Herbert.

— Był w Oświęcimiu...

Oficer skinął głową i zawrócił ku schodom. Ksiądz stał dalej w progu, jakby oczekując, że Niemiec jeszcze powróci. I Herbert rzeczywiście zawrócił. Stał przed księdzem, chwilę zbierał myśli, wreszcie zapytał niepewnie:

— Tu była taka panienska... Panna Oleńka... Przychodziła do księdza Gerleckiego...

Jasnowłosy ksiądz był już całkowicie opanowany. Stanowczym ruchem potrząsnął głową.

— Nie wiem nic o niej.

Trzeba było opuścić ciemną klatkę schodową i wyjść na wyłożoną słońcem ulicę. Herbert spojrział na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, postanowił wrócić na skwer. Zjadł obiad w wojskowej jadłodajni, po czym pojechał na Filtrową. Siedział znowu na skwerze dwie godziny. Oleńki jednak nie zobaczył.

Ciężko dźwigając się z ławki poszedł w stronę placu Narutowicza. Kramy na lewo były już pozamykane i tylko na skraju chodnika siedziały przekupki z koszami kwiatów oraz kręcili się chłopcy sprzedający papierosy. Po przeciwnej stronie, u stóp wysokiej kamienicy, kłębił się tłum sprzedawców białego pieczywa. Tramwaje dzwoniąc objeżdżały plac. Ludzie wychodzili z kościoła, który jak czerwona baszta czuwał nad ulicą, oparty o ciemnozielone tło drzew.

Między tymi ludźmi dziewczyny także nie było. Leniwie skręcił w Grójecką. Zatrzymał się na przystanku naprzeciwko małego domku, którego koniec był jakby obcięty nożem. Stał tu drewniany krzyż otoczony płotem z niskich sztachet.

Tramwaj nie nadchodził. Herbert z nudów spacerował po przystanku i przyglądał się sklepowym wystawom. Nagle rozległ się trzask, niegłośny, podobny do stukotu małych bomb, stanowiących ulubioną

zabawę uliczników. Herbert odwróconą twarzą do jezdni ujrzał plecy uciekającego człowieka i drugiego, który walił się na chodnik. Z łysej głowy spadł kapelusz i widać było, jak z dziury na czole płynie strużka krwi.

Ludzie rzucili się do ucieczki. W mgnieniu oka wokół leżącego była pustka. Ale po chwili tłum zaczął wracać na ulicę. Ruch nabrał znowu normalnego tempa. Zabitym nikt się nie zajął, aż nadszedł w końcu stary policjant z wąsami jak miotły, trzymający w trzęsącej się ręce pistolet. Tramwaj Herberta nadjechał i oficer wsiadł. Ludzie stali w oknie przyglądając się trupowi. Köstring słyszał głosy: „Zabity... Już nie żyje... Nie rusza się... Codziennie kóregoś zabijają... Na pewno denuncjant... albo szpicel...”

Tramwaj piszczał na skrawie. Ludzie powracali na swoje miejsca. Życie płynęło na nowo ciche, prawie senne, ale kipiące wewnątrz gwałtownym rytmem nadchodzących wydarzeń.

X

Pod wieczór było cicho i pogodnie, jakby przez cały ranek nie szalała okropna wichura, niosąca na zmianę tumany pyłu i krople deszczu. Niskie chmury, które przedtem kłębiły się po niebie, zapadły za horyzont. Jaskółki szybowały nisko, wpadając na idących ludzi.

Samochód wiozący Herberta opuścił miasto. Za nimi zostały czerwone mury, ciężkie, masywne domy, niezrozumiałe rosyjskie napisy, małe domki zbudowane z desek i z gliny, a zamieszkałe przez brodatych dziadów w „rubaszkach” i obdarte baby. Pędzili teraz drogą pośród monotennie równych pól, tu i tam upiękuszonych kępą drzew. Przy szoferze siedział żołnierz z pistoletem maszynowym gotowym do strzału; dwa pistolety leżały na siedzeniu, w pobliżu oficerów.

Herbert objął dziś swój dywizjon. Oglądał samoloty, sprzęt techniczny, ludzi. Potem był na obiedzie wydanym na jego cześć przez oficerów. Siedząc w środku ustawionego w podkowę stołu przyglądał się uważnie nowym podwładnym. Byli to chłopcy osiemnasto-, dziewiętnasto- i dwudziestoletni. Ci z nich, którzy mieli już za sobą pół roku szkolenia w pilotażu i kilka miesięcy frontu, mogli uchodzić za element doświadczony. Obok nich byli młodszy, wzięci prosto z ławy szkolnej, którzy front mieli dopiero zobaczyć, zaś wyszkolenie przeszli tak słabiutkie, że Herbert nie mógł sobie po prostu wyobrazić, jak będą latać.

Dywizjon składał się z dwóch eskadr, każda po dziewięciu pilotów. Pierwszą eskadrą — „Kaczek” — dowodził dwudziestoletni kapitan Bethke, kawaler Rycerskiego Krzyża. Była to eskadra silniejsza, bo składająca się z młodzieży już nieco zaprawionej w walkach. Druga

natomiast eskadra — „Pajaców” — składała się z zupełnie nowych żółtodziobów. Dowodził nią jak gdyby dla kontrastu jedyny starszy wiekiem trzydziestosiedmioletni porucznik Józef Koogler. Było to indywiduum, które od razu zwróciło na siebie uwagę Herberta. W eskadrze nazywano go „Vati”, i rzeczywiście wyglądał na ojca pośród tej roześmianej młodzieży. Miał szpakowate włosy, na ciemieniu nieco przerzedzone, wzrost wysoki, plecy zgarbione, nerwowy tik w ustach, które nieustannie przygryzał. Był asystentem przy katedrze historii starożytnej i autorem szeregu prac. Zmobilizowano go dopiero przed półtora rokiem. Na własną prośbę dostał się do lotnictwa. Przeżył zimę na froncie wschodnim, otrzymał Krzyż Żelazny, awans i dowództwo eskadry. Herbert, dowiedziawszy się o tym wszystkim, zapytał Kooglera, czy zna Filliesa. Dowódca eskadry machnął lekceważąco ręką:

— To ten, co napisał parę broszurek o wykopaliskach jomsborskich? Wiem, nudny facet. Tytuł radcy i niewątpliwa przynależność do wysoko uprzywilejowanych kół. Poszedł do wojska jako ochotnik na początku wojny, potem wrócił na dwuletni urlop, obecnie pełni gdzieś służbę na tyłach.

Początkowo w czasie obiadu panował sztywny nastrój; młodzi oficerowie nie wiedzieli, jak się mają zachowywać wobec nowego dowódcy. I Köstring czuł się między nimi trochę dziwnie. Czy to nie było nadzwyczajne, że spośród tak licznego grona pilotów, z którymi kolegował kolejno w szkole na Okęciu, w eskadrach „Much”, „Wilków” czy „Mickeyów” pozostał sam jeden? Tyle niebezpieczeństw czyhało na niego w czasie walk o Norwegię, Francję, Bałkany, Afrykę, Rosję. Wyszedł z nich obronną ręką, ale trudno mu też było znaleźć dzisiaj wspólny język z młodszymi kolegami.

Z wolna jednak nastrój się poprawił. Ci chłopcy byli naprawdę bardzo mili. Pili na umór gorzką, źle destylowaną wódkę i śmieli się serdecznie z każdego dowcipu. Herbertowi przypominali Lahma. Nie mieli żadnych zainteresowań poza dziewczynkami i alkoholem. Wojna ich nie obchodziła. Nie wiedzieli, że może być inne życie niż to, jakie obecnie wiedli. Żyli napięciem zmysłów, w oparze nie kończącego się zamroczenia. Nie planowali niczego na dłużej niż dzień. Za niczym nie tęsknili, niczego nie pragnęli.

— Carpe diem! — powiedział Koogler do Herberta przy nie wiadomo już której kolejce. — Świat żyje drgawkami. Drgawki dłuższe — to tworzenie się epok, drgawki nagłe, spazmatyczne — to ich koniec.

Lecz choć żyli drgawkami, ci chłopcy zachowali jeszcze ostatni ślad swej młodości: śmiech. I on to sprawił, że Herbert poczuł się dobrze w ich gronie.

— No, panowie. Za pomyślność grodu, w którym gościmy!

— Hura! Brawo, commodore! Wystawimy panu pomnik w Smo-

leńsku. Gdzie pan woli: przed domem partyjnym — czy na cokole przed szkołą techniczną?

— Dajcie spokój. Tylko nie w Smoleńsku...

W końcu wrzaskliwy śmiech nappełnił salę, aż zaczęły drżeć szyby w oknach. Hall dawnej robotniczej jadłodajni chyba nigdy takich hałasów nie słyszał.

Koogler pił dużo, lecz ciągle był trzeźwy. Herbert z przerażeniem patrzył na to morze alkoholu, jakie wlewał w siebie historyk, W miarę jak pił, Koogler stawał się coraz bardziej rozmowny.

— Poruczniku, czy pan nie pije za wiele? — zapytał go.

— Za wiele? Cóż to jest wobec tego, co pili starożytni w czasie świąt dionizyjskich. I właściwie dlaczego nie mamy pić? Lekarze? Głupie zrędy. Grożą nam krótkim życiem. A przecież życia nie mierzy się latami, ale jego intensywnością. Starość zaś jest tylko wtedy zła, gdy przychodzi sama z latami. Być starym a jednocześnie młodym — w tym tkwi mądrość. Znać wszystko, co dać może kobieta i wódka, i cygaro, i — czy ja wiem jeszcze co... Ach, panie majorze, pan jest bajecznie młody. Oni są starsi od pana.

W sali zrobiło się tak gorąco i duszno, że trzeba było przerwać pijatykę i wyjść na dwór. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, kiedy bractwo wytoczyło się na podwórze. Zaczęto robić projekty na wieczór. Spać — nie warto. W sali teatralnej występuje trupa cyrkowa.

— Byczo! — Najmłodszy członek dywizjonu, siedemnastoletni Kurt Weidemann, klasnął w dłonie. — Chodźmy tam. Lubię patrzeć, jak się kłowny biją po mordach i tłuką talerze. Będą także nagie tancerki.

— Ja panu zaproponuję coś innego — Koogler zwrócił się do Herberta. — Pan nie był w Katyniu? Pojedziemy tam. Przejazdźka dobrze panu zrobi. A to zobaczyć warto.

Trzęśli się teraz w szybko mknącym aucie. Równa jak stół płaszczyna uciekała do tyłu; przed nimi wyrosły małe wzgórki.

— Kozie Górki — rzekł Koogler. — To tam...

Minęli wieś, wjechali w brzozowy las. Na prawo droga skręcała pomiędzy białe pnie, opięte delikatną korą. Małe listki szumiały i trzepotały żałośnie — niby rączki płaczącego dziecka. Samochód zatrzymał się koło szlabanu, przed którym chodził żołnierz w naciśniętym na oczy hełmie. Wysiedli i poszli między drzewka wąską ścieżką. Minęli chatę strażników. Lasek brzozowy kończył się u stóp pagórka, dalej rozpoczynało się królestwo drobnych świerczków. Ścieżka była w tym miejscu wydeptana szeroko. Nogi idących grzęzły w piasku. Tu i tam widać było pojedyncze kępy brzoź białych i drżących, a poprzez ich zielonosrebrne liście słońce siało na ziemię złoty blask. Szczyt wzgórza przypominał krater wulkanu. Kupy wydartego z głębi żółtego piasku przywalały małe świerki. W lesie pano-

wała głucha cisza, tylko ptak jakiś zanosił się w gąszczu namiętym świergotem.

Jeszcze przeszli kilka kroków i stanęli na skraju leja. Pierwszego wrażenia nie można było z niczym porównać. W łagodnym blasku przedwieczornego słońca, w ciszy szykującego się do snu lasu, w głębi wyłoczonego od piasku wykopu leżała masa ciał. Dziesiątki, setki, może tysiące. Ludzie ubrani w płaszcze koloru khaki, takież spodnie, wysokie buty. Cichy, ogromny grób.

Herbert zatrzymał się niby osaczony w miejscu. Czytał już o tym, wiedział, co zobaczy. Ale co innego było czytać, a co innego stać tu nad brzegiem leja i patrzeć w jego głąb. Targnął nim dreszcz i przejęło takie zimno, że nie mógł opanować nerwowego drżenia szczęk. Wzrok miał wbity w mrowie ciał szepionych ze sobą niby pszczoły z wyrojonego ula. W nim, który już tyle okropności widział, nie ciała budziły grozę, ale to ich zgęszczenie i to, że wszystkie, bez wyjątku leżały twarzą do ziemi, jakby kryjąc jakąś straszliwą tajemnicę.

Przedwieczorna cisza wisi nad rozkopanym wzgórzem. Tylko ptak śpiewa na gałązce brzozy. Tylko piasek sypie się z szelestem w głąb wykopu... Czasami widać ręce skrępowane na plecach. Głowy wtulone w ramiona. Musieli spadać do wykopu na twarz. Na oczy.

Ciszę zmaćcił Koogler. Powiedział:

— Ci ludzie powinni byli umierać z okrzykiem Edypa na ustach: „O słońce, bodajbym cię już więcej nie oglądał!”

Herbert nie odpowiedział. Nagle zrozumiał, dlaczego ci w dole spoczywają wszyscy tak samo, twarzą do ziemi. To nie dlatego, że nie śmia jak Edyp patrzeć w blask słońca. Nie dlatego nawet, aby zawstydzić swoich morderców. Nie! Ci ludzie z przestrzeloną czaszką, zmumifikowani w piaskach Kozich Górek, innego oczekiwali odkrycia. Miało ono przyjść pożarem zwycięstwa ich sprawy, powrotem do rzeczywistości, która była dla nich droższa niż samo życie. Tymczasem odsypano zwalony im na głowy piasek i ukazano rzeczywistość tak straszłą jak chwila ich śmierci. Po raz drugi legli przynięceni, bardziej niż lasem posadzonych na ich grobie świerków, brzemieniem ohydy. I od tego brzemienia nie uwolnił ich nikt; ani ci jacyś Polacy, zwiezieni tu pod przymusem, czy też po prostu zdrajcy, ani lekarze całego świata, badający skuteczność strzału w potylicę. Do nich przyjść mógł tylko polski żołnierz, jeden z tych zielonych ułanów, którzy ginęli pod ogniem plutonów Waltera i Herberta. A skoro to nie oni tu przyszli, nie oni odrzucili ziemię kopca barbarzyństwa, to lepiej, aby zabici pozostali w ziemi, pod wystruganym z brzeziny krzyżem, postawionym przez polskiego chłopca, którego aż tu zapędził najeźdźca. Zmarłych zbudzono za wcześnie. Nie słońce zaświeciło im w oczy, ale księżyc, kompan obdzieraczy grobów. I to miał być dla tych zmarłych dzień powrotu do życia? To wtedy musiało się poruszyć mrowisko ciał. To wtedy każdy z zabitych odwrócił się twarzą do ziemi, w niemym proteście, który mówił, że lepszy piasek śmierci niż ohyda cynicznego wyzwolenia...

I nagle, wraz z tymi myślami, powstało w Herbercie gwałtowne, podobne do burzy uczucie. Zrozumiał, że tutaj, na tle rozwartego grobu, nie pomoże krzykliwe usprawiedliwianie siebie i wskazywanie na drugiego palcem. Nie domyje się rąk w wodzie wszystkich rzek Europy. Istnieje kres szaleństwa. I ten kres nadchodzi, wyjąc głucho nad ziemią. Los się dokonał. Teraz nie ręce i łopata, ale wszechmocne Słowo rozewrze ziemię i pokaże tysiące trupów nie zżartych przez piasek, wapno czy ogień. I choćby wszystkie boje z żywymi wygrali — boju z umarłymi nie wygrają. Oni go już przegrali. Przegrali aż po wieczność.

Co mówił Koogler? „O słońce, bodajbym cię już więcej nie oglądał!” O słońce, pogodne, letnie słońce, które zachodzisz z wolna za brzozowy las, zgaśnij prędzej! Teraz jest noc, noc, w której umierają ludzie i narody.

Rozpacz dławi gardło. Trwoga targa sercem.

Pamiętasz, co woła Mefistofeles w więziennej celi? „Potępiona!”

Temu okrzykowi nie odpowie miłosierdzie Boże: „Zbawiona”. Nie odpowie na pewno. I tylko: „Prędzej, zalotniku! Do broni! Walcz dalej o swoją nędzę! Walcz o swoją przegraną! Ja ci to mówię, ja, który cię odmłodziłem i który za tę młodość kupiłem twoją duszę...”

XI

Upalny słoneczny dzień wciąż jeszcze płonął żarem. Samochód przemknął zielonymi ulicami Szczecina i wpadł na szosę biegnącą wzdłuż rzeki. Odra płynęła w dole głębokim parowem, wielka i poważna, bura i szeroka. Z dala widać było przeciwległy brzeg, początkowo równinny, niski, pełen białych domków, potem wspinający się wysoko w górę zielonym, porośłym lasem zboczem, na którego ciemnym tle widać było serpentyny autostrady. Mały samolocik krążył niby rybitwa nad szeroko rozlaną rzeką. Ostra tarnina porastała zbocze. Upał dokuczał bardzo. Koogler wachlował się trzymaną w rękę furazerką.

Dojechali do autostrady. Skręcili na most. Był szeroki, imponujący rozmachem, a zarazem pozbawiony wdzięku i lekkości. Ciężył łukami nad płynącą w dole dwoma ramionami rzeką, rozpychał brutalnie jej brzegi. Nie zwalniając mknęli naprzód. Na drugim brzegu autostrada skręciła łukiem w lewo. Leżała przed nimi, przytłaczając swą monotonią piękno otoczenia. Mignęły białe domki uczipione wzgórze. Szosa łukami zaczęła się wspinać w górę. Jechali wśród lasu, który porastał zbocze, chwilami wypadali na miejsca odkryte i wtedy lepiej mogli objąć wzrokiem skrzącą się w dole wodę, białe miasto na przeciwległym brzegu oraz wciąż rozleglejszy horyzont ziemi i wody. Na jednym ze skrętów Herbert polecił szoferowi stanąć. Obaj oficerowie wysiedli z samochodu i podeszli do skraju szosy.

Rzeka płynęła u ich stóp niby podwójna klinga rozcinającą zielone wzgórza. Jej lśniący pas rozlewał się za miastem w szarą chmurę wiszącą w rozedrganej blaskiem przestrzeni, która nie wiadomo, czym była. Koogler wyciągając rękę w tamtym kierunku powiedział:

— Morze Thalassa. Dobrze powiedział Plutarch: „Navigare necesse, vivere non est necesse...” — Sięgnął do pudełka z papierosami. — Zapali pan, commodore?

— Nie, dziękuję.

Köstring patrzył przed siebie. Samolocik warcząc kręcił się w błękitnej przestrzeni leniwie płynącej rzeki. Czwarty już dzień był w drodze. W Rouen zaskoczył go rozkaz przeniesienia od Rundstedta do Guderiana. Powiedziano mu: „Wojska inwazyjne rozpoczęły natarcie. Amerykanie uderzają od Saint Lô... Sytuacja jest poważna. Lecz na pewno będzie opanowana. Znakomity system defensywy nie zawiedzie. Natomiast niebezpieczeństwo grozi na wschodzie. Wojska sowieckie przekroczyły Bug. Padły Lwów i Wilno, ostatnio Lublin. Czerwona Armia maszeruje ku Jassom...”

Znowu był bez eskadry. „Pajace” i „Kaczki” podzieliły los innych zniszczonych eskadr. Kazano mu zająć się teraz pracą organizacyjną. Pracował na wybrzeżu francuskim od dnia rozpoczęcia inwazji. Obecnie miał odjechać na wschód. „Grupa generała Reinhardta — mówiono — potrzebuje kogoś, kto jej odbuduje lotnictwo. Ponieśli tam duże straty.” Wyjechał z Rouen do Boulogne, licząc, że tam złapie jakiś samolot, który go przetrzuci na front wschodni. Na lotnisku pokręcono głową: „Nie ma przelotów pasażerskich. Każdy samolot jest w walce”. Morze Północne szumiało głucho i groźnie. Jeden z oficerów w porcie pokazał mu na falach wielką, opalizującą plamę. „Ciągle to fale niosą — objaśnił półgębkiem. — Jakiś tłuszcz czy cholera wie co. Coraz tego więcej i więcej. Kanał jest pełen nieprzyjacielskich transportów. Nie dałbym głowy, czy nie przetrzucają na kontynent rurociągów.”

Wybrzeże było jednym pasmem umocnień. Lecąc wzdłuż pól minowych i betonowych palisad Herbert uświadomił sobie potęgę uderzenia, które zgruchotało wszystkie te zapory. Zresztą wiedział z własnych doświadczeń, jaką groźną siłą stanowili wyładowani z okrętów żołnierze w krótkich, sięgających do pasa kurteczkach. Drogi były zavalone autami i czołgami, powietrze pełne rozpedzonych Spitfire’ów i Mustangów. Herberta strącono dwukrotnie, zanim zdołał dolecieć do pozycji nieprzyjacielskich.

Morze zdawało się huczeć grozą. Z daleka przemykały angielskie ścigacze, rozcinając w dzikim pędzie powierzchnię wodną. W Antwerpii czuło się wojnę nie mniej żywo niż na zachodnim brzegu Francji. Ludzie gapili się na ciągnące samochody. Śledzili uporczywie niebo, rozmawiali ze sobą gorączkowo. Niepokój i czujna przebiegłość ustąpiły miejsca zapałowi i z trudem tylko hamowanej radości. Gdzieś pod powierzchnią życia zapłonęło ognisko gorączki. Spojrzzenia stały się zuchwałe i drapieżne. Wszyscy wiedzieli, co się dzieje

na froncie: już się o to starały samoloty alianckie, zrzucając co noc komunikaty bojowe. Nie było siły, która by utrzymała w spokoju ociężałych Flamandów. W Holandii napięcie stało się jeszcze bardziej widoczne. Ani się spostrzegli, gdy dwóch bawiących się niewinnie chłopców przerznięto scyzorykiem oponę tylnego koła w ich aucie, podczas krótkiego postoju na ulicy jednego z miasteczek. W Düsseldorfie, w Essen, w Dortmundzie kopano umocnienia. Czuło się niepokój połączony z niedowierzaniem... Za ponurą lüneburską puszcą wyjechali na ujście Łaby. Pod Sade załadowano samochód na mały stateczek i przewieziono pod Wedel. Na szeroko rozlanej w tym miejscu rzece kręciły się niespokojne łodzie podwodne, jakby nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić. Ciągłe wybuchały alarmy lotnicze. Gdy wjechali do Wedel i przejeżdżali koło karykaturalnego pomnika króla, nagły wrzask syren zmusił ich do opuszczenia auta i zejścia do schronu. Nalot trwał zaledwie kwadrans, ale ziemia drżała niby pokład ciskanego przez burzę okrętu. Koogler, stojąc na środku schronu, zaczął deklamować:

...nasz statek niedługo jeszcze miał płynąć,
Bo wtem nań wtargnie zawodząc Zefir z sosemnym orkanem,
A obie przednie obceje z masztu nam zerwie chaica...
Maszt się przewalił i wszystkie takle i liny upadły
Na dno okrętu zalane wodą...

Jakaś kobieta zaniósła się dzikim wrzaskiem: „Cicho! Cicho! Prze-
stańcie! I tak wiemy, że nas urządzili!” Mąż pobiegł, aby ją uspo-
koić. Wdał się w to także komendant schronu i policjant. Byli groźni
i bezwzględni. „Zur Polizei! Ordnung muss sein!” Kobieta popła-
kując błagała o zapomnienie jej porywczych słów. Mąż uderzył ją
w twarz. Później bombardowanie przybrało na sile i cały schron za-
czął się huścić niby wstrząsany wiatrem balon. Wydano rozkaz, aby
wszyscy padli na ziemię i otworzyli usta. Kiedy nalot się skończył
i ludzie wyszli na ulicę, zobaczyli nad Hamburgiem czarną chmurę
dymu, zaś na ulicach i na placach tysiące białych ulotek. Nikt ich
zresztą nie zbierał, choć wszyscy byli ciekawi treści. Ludzie oglądali
się z niepokojem jedni na drugich.

Poprzedniego dnia Köstring i Koogler nocowali w Lubece. Miasto
dyszało ciężko po nalocie, po którym legło w gruzach historyczne
śródmieście. Spaliła się stara katedra i, częściowo, słynny ratusz.
W mieście nie było co robić, więc pojechali do Travemünde. Plażę
mimo gorąca znaleźli pustą. Spokojnie toczyły się fale Bałtyku. Her-
bert i porucznik postanowili się wykapać. Rozgrzany piasek parzył
stopy. Rybacka barka płynęła ciężko o pół kilometra od brzegu. Jak
okiem sięgnąć, był to jedyny ślad życia ludzkiego. Przez pewien
czas pływali, potem zmęczony się wypoczywali na piasku. Zapa-
lili papierosy.

— A jednak nie jesteście ludźmi morza... — powiedział Koogler,

leşąc z twarzą obróconą w niebo. — Churchill ma rację, nazywając nas „szczurami lądowymi”.

— Cóż znowu! Mamy doskonałą flotę. Tradycje: Skagerrak, Emden.

— Tak, to prawda. Ale nie mamy morza we krwi. Widzi pan, commodore, stosunku narodu do morza nie oddaje liczba posiadanych okrętów. Ten tylko, kto ogarnął morze bezinteresowną miłością, zdobywa jego wzajemność. Włóczędzy morscy jak Gerbault albo piraci jak Drake, Hawkins, Surcouf, Jean Bart... Odyseusz...

— Ba, zaprzecza pan sobie. Odyseusz nie pływał tylko dla pływania.

— Ale na pewno morze go ciągnęło. Nie wędrówka po falach go smęciła, ale gnucie na stałym lądzie. Dlatego wyrwał się z objęć Kalipso, choć niewątpliwie były rozkoszniejsze niż uścisk podstarzałej Penelopy. Już co bogini to bogini. Nieprawdaż, commodore?

Herbert usiadł i podparty na rękę zapatrzył się w biegnące ku brzegowi białe linie pian. Słońce ciągle piekło.

— Nie wiem... — powiedział po chwili. — Może właśnie ta podstarzała Penelopa...

Koogler wybuchnął śmiechem.

— O właśnie! Dla nas Niemców „Odyseja” to sprawa Penelopy. Wierność! Dla Greka Penelopa była dodatkiem, a treścią morze. Ostatecznie z morza zawsze się do kogoś wraca, toteż i Penelopa ma swoją rację bytu. Sens morza jest jednak wtedy, gdy się ziemię poświęci dla niego. Wie pan, commodore, jak ten — Conrad...

Major wzruszył ramionami. Nie pamiętał, czy kiedyś przeczytał coś Conrada.

Niedługo potem wrócili do Lubeki. Po drodze na autostradzie, tuż za Bad Schwartau, u stóp zarośniętego gęsto wzgórza, Herbert kazał szoferowi zatrzymać auto.

— Chwileczkę — powiedział do Kooglera — tu gdzie jest ten słynny cmentarz.

Znaleźli go łatwo. Leżał przy drodze na zboczu. Był to rozległy park, zarosły drzewami i krzewami wszelkich gatunków: sosnami, świerkami, piniami, lipami, olchami, brzoźami, klonami, bukami, dębami, wiśniami... Drzewa tworzyły spletaną ścianę barwy wszystkich odcieni zieloności. Między drzewami były groby. Szli między nimi szybko. W jednym miejscu leżeli lotnicy, w innym dziewczęta z BDM zabite podczas angielskiego nalotu na Lubekę — rząd tabliczek z politurowanego drzewa w ponurej, ciemnej alei — gdzie indziej, znaczone runami, małe kamienie na grobach członków partii, jeszcze gdzie indziej jeńcy z pobliskiego francuskiego stalagu. W rogu cmentarza kilka grobów z krzyżami. Na jednym z nich napisane wielkimi literami: „S.P. Kaszkowiak...”

— Polak... — Herbert wskazał grób Kooglerowi. — Generał von Maries mówił często, żeśmy stworzyli polską diasporę.

— To niegłupie powiedzenie. — Koogler obcierał chustką głowę zroszoną potem. — I bardzo niebezpieczna prawda. Zwłaszcza że gdzie Polak, tam zaraz krzyż. Dobrze, jeżeli tylko na grobie... Był raz w historii człowiek, który chciał odbudować piękno starożytności. I co? Zatlukli go jacyś dzikusci, ale on wiedział, że nie od nich naprawdę ginie. Podobno krzychał umierając: „Galilae vicisti”.

— Pan sądzi, że chrystianizm zabił piękno?

— Jeżeli nie zabił piękna, to na pewno zabił radość. Cóż za potworny wynalazek ta wieczność. Brr! Życie może być przyjemne tylko wtedy, gdy wiadomo, że koniec jest końcem. Pamięta pan, co zmarły Achilles mówi Odyseuszowi?

— Nie, nie pamiętam... Homera czytałem tylko w szkole, fragmentami.

— Szkoda. „Odyseja” to mądra książka. Otóż Achilles powiada: „Nie zachwalaj śmierci, ty, oświecony Odysie! Wolałbym raczej jak najemnik iść na służbę, byle ludzką, i mieć lichą strawę, niżli tu, pośród umarłych, królować umrzykom!” Rozsądny Grek nie myślał o wieczności.

Stojąc teraz na wysokim brzegu Odry i patrząc na rozpościerającą się daleko w złotym przedziwie słonecznych blasków zatokę przypomniał sobie Herbert słowa, które mówił Koogler tam, na plaży przy ujściu Trave. Oparłszy się ręką o pień sosny, nie patrząc na towarzysza, ale wciąż jakby zahipnotyzowany widokiem morza, powiedział:

— Pan mówił wczoraj na plaży, że Conrad poświęcił ziemię dla morza. To ciekawe... A czy pan słyszał, że Conrad to miał coś podobno wspólnego z Polską?

Posłyszał za sobą śmiech.

— Ha, ha, ha, commodore! Pan jest rozkoszny w swojej niewiedzy. Conrad był nawet bardzo Polakiem. I to jest symptomatyczne...

— Co pan uważa za symptomatyczne?

— No to, że Polak odkrył morze. Po Whitmanie i Longfellowie rodzi się Mac Artur, Niemitz... Bardzo niedobrze... On ich nauczył, jak smakuje sól morską. Po Wersalu byli skromni. Chcieli tylko morza dotknąć. Mówili o tradycji, o prawach historycznych, o koniecznościach ekonomicznych. Dziś nie. Dziś gotowi są powiedzieć: morze jest nam potrzebne i basta!

Stali jeszcze jakiś czas milcząc, potem wolno zawrócili do samochodu. Ściany auta były rozgrzane, poduszki gorące. Benzyna śmierdziała. Las natomiast kusił chłodem. Ale Herbert się przemógł i jakby chęć się wytłumaczyć rzekł głośno:

— Jutro musimy meldować się w Olsztynie...

Żołnierz zapuścił motor. Köstring rozpierając się wygodniej na siedzeniu powiedział jeszcze:

— Oni do tych ziem, tutaj nad morzem, nie mają żadnego prawa. Ostatecznie — „korytarz”, ostatecznie — Gdańsk...

Pomknęli znowu bardzo szybko. Autostrada wyginała się na wszystkich zakrętach. Znowu białe domki migały między drzewami.

Koogler wyjął wargi:

— O prawie mówić nie umiem. Jestem historykiem. Można twierdzić, że historia tworzy prawo. To jest dobry argument. Zresztą, gdy trzeba, można go odwrócić i powiedzieć, że prawo będzie tworzyło historię. Zawsze jest jakiś sposób. Ale najgorzej, gdy ktoś jakąś rzecz w swoje łapy weźmie. Wtedy jego prawo jest najlepsze...

XII

Jechali przez Stargard, Wałcz, Piłę, Bydgoszcz, potem na północny wschód wysokim, lasami porośniętym brzegiem Wisły, przez Świecie — to w tym miejscu przed sześciu laty przeprowały się przez rzekę rozbite brygady kawalerii — przejechali most pod Grudziądzem — długi, kryty belkowaniem, podobny do tunelu. Zapadł wieczór. Miasto wznosiło się przed nimi na wysokim brzegu, wtłoczone między wzgórza, porośnięte czarnym lasem. Światła były wygaszone, na czystych ulicach panował ruch niewielki. Zjedli kolację, przedrzemali się trochę w oficerskiej gospodzie. Z szarym świtem pojechali dalej: Łasin, Jędrzychowo, Hława, Ostróda.

Dzień wstawał znowu pogodny i upalny. Jechali krajem falistym, pełnym olch i wierzb, gęsto jeziorami pokrytym. Koło Bieży przejechali most nad sennie toczącą się Pasłęką. Herbert wyjął z kieszeni mapę, chwilę się jej przyglądał, spojrzął na zegarek i rzucił szoferowi rozkaz, aby zatrzymał samochód. Kiedy ustał warkot motoru, zrobiło się na szosie bardzo cicho. Tylko w listowiu słychać było świergot ptaków. Köstring zwrócił się do towarzysza:

— Jest wcześniej — powiedział — za pół godziny będziemy w Olstynie. Chciałbym na chwilę zajechać do małej wsi, w bok od drogi. Nazywa się ona — przeczytał z mapy — Skaibotten...

Koogler przeciągnął się leniwie.

— Z panem, commodore, zawsze i wszędzie. Zdaje się, że jest tu bardzo ładnie. Uch! Bolał mnie wszystkie kości. Jedźmy, naturalnie, że jedźmy. Zwłaszcza jeśli mnie pan przy sposobności poczęstuje jakimś solidnym alkoholem. Czy można jednak wiedzieć, co pana prowadzi do tej pięknej miejscowości?

Köstring, zanim odpowiedział, dał znak szoferowi, aby skręcił w boczną drogę. Wiodła ona wąską groblą wśród wilgotnych łąk.

Samochód zaczął podskakiwać na wybojach. Herbert trzymając się pręta za oparciem przedniego siedzenia powiedział:

— To mała wieś, zapadła dziura... Nie byłem tam jeszcze nigdy — Podniósł wzrok na Kooglera. — Czy pan znał pułkownika Kostrzewę?

— Tego słynnego Kostrzewę z Luftwaffe?

— Tak.

— Tylko z fotografii...

— Ja go znałem dobrze. Był moim przyjacielem. Skaibotten to jego wieś rodzinna...

— Rozumiem. Trzeba przyznać, że trochę tu odludnie i dziko. Ale cóż? Ostatecznie Sulmona też była dziurą. Nie to jest małe, co jest małe, ale to jest wielkie, co potrafi wyrosnąć. Z Ajaccio też można było zrobić pępek świata...

Samochód podskoczył na jakimś wykrocie. Szofer zaklął, Koogler ciągnął dalej:

— Ten Kostrzewa był podobno diabelnie ambitny. Gdyby dłużej żył, Skaibotten stałaby się sławna...

— Jak Braunau? „Aus glückliche Bestimmung gilt es mir heute, dass das Schicksal mir zum Geburtsort gerade Braunau am Inn zuwies...”

— Do licha! Pierwszy raz słyszę dowcip w pana ustach, commodore. Ale racja, wtedy na pewno zbudowano by tutaj lepszą drogę...

Grobla skończyła się, droga była tutaj szersza, piaszczysta, pokryta koleinami. To z prawa, to z lewa spośród morza zieleni przebłyskiwały małe jeziora. Potem las, gęsty, podszyty krzewami, prawdziwa puszcza. Ponad listowiem wystrzelały wysokie, u góry dopiero rozcapierzone sosny. Co kilkaset metrów w głąb lasu biegł dukt, gubiący się zaraz jednak za festonami nisko zwieszających się naręczy liści. Ten las, przytulony do drogi bladą zielonością dębów i migotliwą zwiewnością liści brzoźowych, był siłą pierwotną, mocną i nieustępliwą. Trwał tu od wieków. Rósł tu już wówczas, gdy drogą ciągnęli z najazdem na zamek olsztyński rycerze krzyżacy. Ludzie nie opierali się sile najazdu — las trwał. Pozornie łatwo było go zwyciężyć; wystarczyło tylko trochę wysiłku, by wybić przezeń drogi aż na brzeg niegościnnego morza. Stało się inaczej: wybrzeże zarastało lasem coraz gęściej i dziczało. Zniechęceni ludzie uciekali. Kto tu przychodził — ten wracał: za Wisłę, za Odrę lub w meklemburskie piaski.

Köstring był tutaj po raz pierwszy w życiu. Dziś dopiero, jadąc prędko po nierównej drodze, pod nisko zwisającymi gałęziami, które ocierały się o dach auta, uświadomił sobie tajemniczą prawdę tej prowincji. Ze zdumieniem odkrył, że kraj tutejszy jest krajem nie znanym, obcym, opierającym się.

Jeden z duktów był szerszy i zastawiony biało-czarnym szlaba-

nem. Przy szlabanie stał człowiek z psem. Mężczyzna był stary. Gdy Herbert zatrzymał auto i przywołał go do siebie, zobaczył twarz suchą, obciążoną cienką skórą, pod którą widać było ruchy szczęk i kości policzkowych. Mężczyzna szedł z trudem, utykając na nogę. Małe, lekko wyłupiaste oczka spoglądały ciekawie spod wielkiego daszka. Na szyi miał zawieszoną dubeltówkę, na sobie szarą, zniszczoną kurtkę z zielonymi wyłogami i kościanymi guzikami. Tuż przy jego nogach szedł czujnie kudłaty, biało-czarny psiak. Nie szczekał, ale patrzył wyczekująco na samochód.

Człowiek podszedł do auta i uchylił czapki. Jego twarz nie wydawała się bardzo stara, to małe zeschnięte dłonie mówiły o podeszłym wieku. Z bliska widać było na myśliwskiej kurtce dwie baretki EK z tamtej wojny.

Köstring zagadnął starego:

— Nie wiecie, gdzie tu jest wieś Skaibotten?

Człowiek w myśliwskiej kurtce zaśmiał się ukazując bezzębne, sine dziąsła.

— Hi, hi, hi — ten śmiech wyglądał na szyderstwo. — Hi, hi, hi, Skajboty — nein? To blisko. Niech pan major jedzie dalej, prosto. Gerade, gerade, nein? Tylko droga zła. Hi, hi, hi. Tam dalej chyba nie przejedzie.

Herbert skinął głową.

— Jakoś damy sobie radę. Ale jedziemy dobrze?

— Dobrze. Hi, hi, hi — stary oparł nogę na błotniku auta, jakby miał ochotę na dłuższą rozmowę. Sięgnął do kieszeni, wydobył misternie skręconą fajkę z bursztynowym cybuchem. — Pan major tytoniu nie posiada?

Kiedy Köstring podał mu otwartą papierośnicę, w jego oczach błysnął płomyk chciwości. Małe palce zdawały się przebierać między papierosami. Łapczywie zaciągnął się dymem.

— Tak... — podjął — dobrze jedziecie. A pan major do kogo w Skajboty? Hi, hi, hi. Mała wieś.

— Wiem. A wy może stamtąd?

— Nie, ja od dworu — ruchem głowy wskazał kierunek. — Ale wieś znam. Ja tu od lat. Dobrze znam. Hi, hi, hi.

Wypuszczał wielkie kłęby dymu — palił spieszenie i chciwie jak człowiek, który dawno nie widział papierosa. Małe oczy wświdrowały się ciekawie w twarz Köstringa.

— Jak znacie, to wam powiem — Herbert wychylił się z auta przez rozwarte drzwiczki. — Tam mieszka rodzina Kostrzewów...

— Jo — potwierdził tamten, kiwając głową. — Hi, hi, hi. Znam. Jest stary — zastanowił się chwilę — jak mu tam? Aha, Mateusz... Jest żona jego brata, Katarzyna... Jej syn był oficerem, lotnikiem. Dostał dużo krzyży, medali...

— Właśnie mi o nią chodzi.

— Hi, hi, hi — nie przestawał się głupio śmiać i świdrować oczami. — To pan major do niej? To może znowu jaki krzyż pan major wiezie?

— Nie. A jej mąż nie żyje?

— Nie żyje, dawno. Wiele lat — coś błysnęło w oczach starego. — Nie żyje. Hi, hi, hi. — Nieoczekiwanie wyciągnął chudy palec zgrubiał w stawach. O tu, w tym lesie — znowu mu oczy błysnęły — umarł...

— Umarł w lesie?

— Jo. Hi, hi, hi — stary wyciągnął dłoń niby szpony ku papierośnicy, którą otworzył Koogler. Wzrokiem poprosił o papierosa. — Pan major — podjął — wie, że tego młodego Kostrzewę wychowywał nasz pan?

Herbert słuchał gadania z zaciekawieniem. O życiu przyjaciela wiedział w gruncie rzeczy niewiele. Hugo sam nigdy o tym nie mówił i nie lubił mówić. Czasami wyrywały mu się jakieś wspomnienia, trudne zresztą do złożenia w całość.

— Kto jest waszym panem? — zapytał.

— Hi, hi, hi. Nasz pan nie żyje. To był baron von Grote...

Oficer drgnął. Od razu przypomniał sobie wszystko, co mu opowiadał von Maries.

— Więc to on wychowywał Hugona?

— Właśnie. A ojciec, głupi człowiek, słowo daję, nie chciał. Ukrywał syna przed panem baronem. Hi, hi, hi.

Herbert podniósł wzrok i uważnie popatrzył w twarz człowieka. Małe oczka błyszcząły, duże spiczasto zawinięte uszy odstawały od łysej czaszki. Przebiegł go nagły dreszcz.

— Daleko do wsi? — zapytał jeszcze.

— Nie. Hi, hi, hi...

Prawie gwałtownym ruchem zatrzasnął drzwiczki. Dał rozkaz odjazdu. Znowu gałęzie biły o dach samochodu, a koła podskakiwały na dołach i rozkopiskach.

Na wieś wyjechali niespodziewanie. Las kończył się nagle i przeszedł w podmokłą równinę, pokrytą krzewami i szuwarem. Znad krzewów widać było chaty pokryte zszarzałą słomą. Wieś była tak nędzna, że Koogler przytknął palcem w wierzch papierośnicy i powiedział:

— No, no, nie sądziłem, że w Niemczech są wsie równie zaniedbane.

Samochód zataczał się po porytej drodze. Przydrożne wierzby, otwierające wnętrza swych spróchniałych pni, sterczały smutnie nad błotnistym rowem.

— Wie pan co, commodore? Przypomniało mi się, że wielki Fryc

nazywał tę ziemię Kanadą, a tubylców Irokezami. Dziś Kanada jest synonimem bogactwa i porządku; Irokezi zostali ucywilizowani, czyli wystrzelani. Ale tych tutaj, obawiam się, nie dość jeszcze ucywilizowano. Gotowi zażądać naszych skalpów.

Stanęli przy pierwszej z brzegu chacie. Dalej trudno było jechać. Wysiedli. Na ulicy wioskowej kręciło się kilkoro dzieci. Herbert zawołał na chłopca w krótkich majtkach i zapytał go o Katarzynę Kostrzewa. Malec poprowadził oficerów do chaty w samym środku wsi. Chata była stara, zgarbiona, otoczona zaśmieconym podwórzem, po którym wzdłuż kałuż spacerowała kaczka z kaczkętami. Przed chatą klomb obrosły malwami, dalej mały ganeczek i strome, wąskie schody. Na ganku siedziała kobieta ciemno ubrana, z głową okrytą czarną chusteczką. Na oczach miała okulary, a na kolanach książkę, którą czytała z uwagą. Gdy mężczyźni podeszli do schodków, podniosła na nich wzrok.

— Dzień dobry — powitał ją Herbert. — Czy pani Kostrzewa?

Właściwie nie potrzebował pytać. Spoza oprawnych w drut okularów spojrzały na niego szare, znane mu dobrze oczy Hugona. Syn był bardzo podobny do matki. Spokojnym ruchem odłożyła książkę na ławkę.

— Jo — powiedziała — nazywam się Kostrzewa. Czego sobie życzyacie, panowie?

Niemczyzna brzmiała w jej ustach twardo. Choć mówiła słowa proste, wymawiała je powoli jak wyuczoną lekcję.

— Nazywam się Köstring. — Herbert zsalutował. — Byłem przyjacielem Hugona. Do ostatniej chwili byliśmy razem. Chciałem tu przyjechać...

Właściwie nie wiedział, dlaczego chciał tu przyjechać. Kobieta nie spuszczała z niego wzroku.

— Pan był z moim synem? Aha... — nie wydawała się tym ani wzruszona, ani zaciekawiona. — Zginął. Pisali, że mu się zepsuł samolot.

Herbert zdziwiony potrząsnął głową.

— Nie. Było inaczej. Hugona zabiły angielskie bomby.

Po spokojnej twarzy kobiety przemknął błysk. Ale od razu zgasł. Powiedziała spokojnie:

— Ja zaraz myślałam, że było inaczej...

Położyła dłoń na książce i gładziła karty miękkim ruchem. Milczała długą chwilę.

— A teraz... — zaczęła. Splotła dłonie i wtedy zauważył, że ma jedną z nich owiniętą różańcem. — Czego jeszcze panowie pragną?

Uśmiechnął się zakłopotany.

— Nic... Chciałem tylko zobaczyć...

Z podwórza doleciał ich nagle głos dziecięcy. Herbert spojrzął

w bok i zobaczył dziesięcioletniego może chłopca stojącego boso na środku zagrody. Miał wielką czapkę wepchniętą na uszy, jedną rękę w kieszeni spodni z kogoś starszego, bo mu do pół łydki prawie sięgały. Wołał:

— Babka! Babka! A gdzieście to gablo położyli? Mama pyto.

Odpowiedziała mu:

— A dy u konio. Posukaj.

Chłopak odwrócił się i poszedł w stronę zabudowań. Szedł tak dobrze znanym Herbertowi krokiem — pozornie niedbałym, a przecież czujnym i prężnym. Köstring aż dotknął dłonią oczu i czoła, by się upewnić, że nie śni. Nagle usłyszał:

— Chciał pan zobaczyć? To niech pan patrzy. Tu się urodził, tu żył... I byłby tu umarł, gdyby go nam nie zabrali...

Drgnął. Kobieta mówiła dalej wolno, a przez to może dziwnie dobitnie: — Mój nie chciał go dać, to go ktoś w lesie zabił. Wtedy zabrali. Daleko do szkoły. Przyjeżdżał potem całkiem inny, obcy. Oficer... A w końcu — ironia zabrzmiała w głosie — samolot się zepsuł... Medali i krzyży przysłali. — Niespodziewanie zmieniła ton. Powiedziała ostro i twardo, jak ostro i twardo potrafił mówić Hugon: — A może teraz tego chcecie wziąć? Ma dziesięć lat. Nada się, nie?

Była tak gwałtowna w tych słowach, a jednocześnie tak bardzo przypominała syna, że Herbert cofnął się o krok. Powiedział:

— Ja nikogo... Ja chciałem tylko zobaczyć...

— Od tego waszego patrzenia przychodzi śmierć! — rzekła.

Zapadło milczenie. Słysać było, jak chłopak wołał na podwórze w stronę sąsiedniej zagrody:

— Wojtek, te Swoby, co kroftem przyjechali, som u nas...

— Widzieliście już wszystko? — zapytała kobieta.

Dotknął ręką furazerki.

— Tak, dziękuję.

Zawrócił i wyszedł na ulicę wioski. Koogler mruknął:

— Irokezy...

Bez słowa doszli do auta, które szofer wprowadził w cień drzew. Otaczały one krzyż przydrożny. Ledwo stał, taki był już stary. Powierzchnia drewna stała się gąbczasta. Gdzieś w połowie wysokości widać było część napisu wrytego szwabachą, ale po polsku: „Wybaw nas...” Köstring przyglądał się chwilę krzyżowi, potem wsiedli. Pojechali.

Znowu tłukli się po drodze na grobli. Mignął im stary gajowy idący ścieżką brzegiem drogi. Kudłaty psiak podniósł głowę i ze zrozumieniem przyglądał się samochodowi. Znowu gałęzie uderzały o dach, czarny, gęsty, nabity podszyciem las stał murem. Herbertowi opar-

temu o poduszki samochodu wydało się, że jeszcze lepiej niż przed godziną rozumie tajemnicę tego lasu. Ten las był progiem...

Dotarli do szosy i pędzili teraz prosto ku Olsztynowi. Nie minęło pół godziny, gdy wjechali w ulice starego miasteczka. Mignął zamek: ciężka budowla z gotyckimi dachami osiadła w głębi mrocznego parowu. Miasto pełne było wojska; kwaterował tu sztab frontu. Ulice rozbrzmiewały pykaniem motocykli, hukiem ciężkich samochodów, wrzaskami żołnierzy. Ludność znikła, prawie jej nie było widać wśród mundurów. Czekając na przyjęcie w kwaterze Köstring spotkał dawnego kolegę szkolnego, Meschkego, kapitana łączności. Był on oficerem sztabu głównego. Ponieważ oczekiwanie przeciągało się, Meschke zaprowadził Herberta do jadalni oficerskiej. Przy piwie rozmawiali.

— Co na zachodzie?— pytał kapitan. — Wracasz stamtąd...

— Ofensywa amerykańska ruszyła spod Saint Lô. Ale to się będzie ciągnęło.

— Ech, to wiesz mniej niż ja! Ofensywa poszła całą parą. Mówię ci naturalnie w zaufaniu. Trzecia armia amerykańska dochodzi pod Brest i Saint Nazaire...

— Jak się to stało?

— To ja pytam, jak? Ale czekaj. Doszli także pod Angers. Rozchodzą się we wszystkich kierunkach. Najgorsze jednak na koniec. Pierwsza armia amerykańska z Saint Lô sierpem uderzyła na Argentan, zaś druga angielska całą siłą na Falaise. Nie wygadaj tego nikomu, ale tam jest miazga z naszych.

— No wiesz, to niespodzianka. Cztery dni byłem w drodze...

— Co chcesz? Blitzkrieg.

— A co bolszewicy?

— Forsują Wisłę koło Sandomierza.

— Na Warszawę nie idą?

— Nie wygląda na to. Odrzuciliśmy ich koło Siedlec. Cztery dywizje pancerne SS poszły w tamtą, stronę. W Warszawie komuniści i bandyci zaatakowali Wehrmacht.

— Coś poważnego?

— Licho wie! Tam w Guberni zrobiło się w ogóle bardzo niemiło. Wszędzie partyzanci. A na naszych sojuszników, psia ich mać, nie można liczyć. Całe to tałatajstwo gotowe przejść na drugą stronę...

Przyszedł podoficer dyżurny, wzywając Herberta do generała. Przechodząc przez rynek Köstring rzucił okiem na szyldy sklepowe i zdumiała go ilość nazwisk na „-ski”. Ze zmarszczonym czołem wszedł do kancelarii, a stamtąd do gabinetu generała.

— Heil Hitler! — dowódca wyciągnął ku niemu rękę na powitanie. — Cieszę się, że pana widzę. Spada pan nam po prostu jak z nieba. Co na zachodzie?

— Kiedy wyjeżdżałem, panie generale, rozpoczynało się uderzenie.

— Wiem, teraz nabrało „gazu”. Ale to, co się dzieje na zachodzie, to kpiny. Tutaj mamy coś zupełnie innego. Czy pan rozumie, co to znaczy wielka ofensywa rosyjska? Zdaje się, żeśmy ją osadzili na miejscu. Ale pytanie — na jak długo? — Palcem kreślił na blacie biurka sytuację. — Sprawa ciężka, ale trzeba jakoś lato przetrzymać. — Powtórzył to kilkakrotnie. — Pan wie, jak wielkie straty zadajemy Anglikom pociskami VI i V2...?

Köstring skinął głową.

— A w ręku mamy jeszcze cios groźniejszy — V3...

— Tak — potakiwał major, nie myśląc zresztą o tym, co mówi. Jego uwagę przykuwała inna sprawa. Odruchowo bawił się popielniczką. — Tak, tak... — powtarzał.

Nagle usłyszał pytanie.

— Niech pan powie, panie majorze, czy woli pan akcję, czy organizację. Bo ja sądzę, że raczej akcję. Pan taki młody...

Jeszcze raz skinął machinalnie głową.

— Naturalnie, panie generale.

— Bo widzi pan, mam dla pana ciekawe i poważne zadanie. W Warszawie wybuchło powstanie czy coś takiego...

Herbert podniósł głowę.

— Chyba nic poważnego?

Generał wzruszył ramionami.

— Nie wiem jeszcze, co o tym sądzić. Były telefony nawet do kwatery głównej. Podobno tam walczy masa ludzi. Mogą to być wieści panikarskie. Ale Warszawa jest ważnym zapleczem frontowym. Poza tym stolicą Polaków. Powstanie może się rozszerzyć. To zły przykład. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby powstańcy odcięli bodaj na dobę dostawę na wschodni brzeg Wisły?

— Rozumiem. Kto tam dowodzi, panie generale?

— Nikt, a jednocześnie wszyscy: Rohr, Reinefarth, Fischer, Berger. Kłóca się między sobą, wydają sprzeczne rozkazy. Są bez lotnictwa. Oświadczyłem telefonicznie przed godziną, że będą mieli trzy „Stuki” i parę innych maszyn, które biorę z zapasu. Dziesięć aparatów powinno wystarczyć. Chciałbym, aby pan się tym zajął. Mianuję pana szefem Luftwaffe na obszar Warszawy. Operacyjnie musi pan podlegać Rohrowi... Nie wiem, czy pan go zna. Tępy i głupi: mentalność kaprała. Niech się pan porozumiewa telefonicznie ze mną.

— A gdzie są samoloty, panie generale?

— Jeden tutaj, i niech pan zaraz na nim leci. Inne mają zgłosić się jutro na Okęcie. Stańcie do pracy szybko. Poszły ostre rozkazy. Wódz powiedział, że mają skończyć ze wszystkimi i ze wszystkim.

Bardzo słusznie. Gdybyśmy Warszawie darowali, mielibyśmy zaraz powstanie w każdej dziurze. Więc ostro i prędko. Do zobaczenia, panie majorze.

Wyszedłszy od generała Herbert wysłał Kooglera na poszukiwanie pilota i samolotu, a sam wstąpił do gospody oficerskiej i znowu pił piwo. Ale czuł się podniecony, nie mógł usiedzieć na miejscu. Udał się na miasto. Znowu zszedł nad opływającą zamek rzeczkę. Było gorąco, słońce piekło prawie boleśnie. Stare, gotyckie mury, otoczone gęstwą zieloności, piętrzyły się przed nim. Stał i patrzył na nie z uwagą, jakby koniecznie chciał coś dostrzec. W końcu jednak zawrócił ku rynkowi. Kupił „Deutsche Allgemeine Zeitung”, ale nie czytając włożył do kieszeni. Kupił „Koralle” i porywczo przerzucił fotografie. Na progu budynku dowództwa spotkał Kooglera.

— Gotowe — powiedział porucznik. — Czekają na pana, comodore. Możemy lecieć.

— Dobrze. Idę.

— Zaczynamy, co? „Caeterum censeo Varsoviam delendam esse...”

— Pan wie, że nic nie pamiętam z łaciny — mruknął.

Doszli do samolotu. Był to zwykły nurkowiec. Pilot zameldował się Herbertowi, po czym zapuścił motor. Wspięli się po skrzydło. Śmigło już warczało, pęd prawie obalał ludzi z ziemnej załogi. Potem pośliznęli się po równej łące. Od razu wzięli ostry skręt, wlatując ponad las zielony i gęsty. Między drzewami przebłyskiwały jeziora o wyraźnie rysującym się dnie.

Nad tą masą drzew samolot doznawał wstrząsów, jakby uderzany raz po raz pięścią od dołu. Potem las się skończył i łagodnie spłynęli nad rozległe pola zbiegające dwiema falami. Na dnie kotliny widać było domki.

— Tannenberg... — powiedział pilot, odwracając głowę.

XIII

Żyła jak w gorączce. Dni bieły w nieprawdopodobnym napięciu, rozdygotane, zbyt pośpieszne, by je mogła zapamiętać, i zbyt bogate w przeżycia, by o nich można było nawet we śnie zapomnieć. Noce nie były zresztą nocami snu; to były noce walki czerwone od pożarów, białozielone od rakiet spadochronowych. Pamiętała ten szary wtorkowy ranek, kiedy się wszystko zaczęło. Była w kościele. Wysoki ksiądz sprawnie, prawie wojskowymi ruchami, odprawiał mszę przed ołtarzem w prawej nawie. Potem wracała do domu. Na ulicach było pusto, dziwnie i cicho. Na rowerze jechał Staszek. Nie przystając, uklonił się szerokim, chłopięcym ruchem. Wróciwszy usiadła w oknie. Skwer zapełniał się z wolna dorosłymi i dziećmi. Chciała się zająć jakąś pracą, ale wewnętrzny niepokój nie dał jej

na niczym skupić uwagi. Zaczęła przerzucać naprzód jedną książkę, potem drugą. Dwa auta naładowane uzbrojonymi żołnierzami przejechały Filtrową. Czyżby się coś działo? Pomyślała, że Niemcy mogli wykryć koncentrację: niektóre bataliony nie rozpuściły od piątku swoich ludzi. Stuknęły drzwi — to matka wróciła z miasta. Oleńka słyszała, jak krząta się po kuchni, rozpala ogień. Żyły teraz tylko we dwie. Spojrzała na fotografię ojca stojącą w ramkach na pokrytym szkłem biurku. To nagle jego zniknięcie miało w sobie coś przerażającego. Zanim wróciła, już było po wszystkim. Nawet czerwony afisz z nazwiskiem ojca został zaklejony przez inne. Wiedziała tylko, że to było na Senatorskiej. Jedna z pierwszych egzekucji. Potem nie było już trzech — czterech dni bez nowej „rozwałki”. Ludzie opowiadali o tym rozstrzeliwaniu z okropną dokładnością: podobno przywożono skazanych w białym, bladych, z ustami zalepionymi gipsowym plastrem. Ustawiano pod murem. Seria z rozpylaczy. Krew na bruku i na ceglach; potem, gdy już Niemcy odjadą, kwiaty... Ciała są jakoby palone w ruinach getta...

Tak trwało aż do wiosny. I z tym zaczęli się oswajać. Nie było trwogi, z którą by się nie nauczyli żyć za pan brat. Wiedzieli już, że najstraszniejsze jest czekanie na egzekucję — dzień czy dwa w ciasnej celi, jedni na drugich, bez jedzenia, bez wody, wśród skowytu tych, co poszaleli. Ale ostatecznie na końcu jest tylko śmierć, a sama śmierć nie wydawała się wcale straszna.

Nie wierzyli w to, że przeżyją. Ale starali się o tym nie myśleć. To nie było ważne. Ważne było czekanie na walkę, bez której nie chcieli przyjąć śmierci.

Zegar tykał... W kuchni matka nalewała wodę do garnka. Wstała z krzesła, zaczęła chodzić po pokoju. Kilkakrotnie usiłowała czytać książkę, ale byle dźwięk odrywał ją od czytania. Ruch samochodowy stawał się gwałtowny. Stanąwszy w oknie patrzyła na skwer, mniej ludny niż zwykle. Nagle zobaczyła Hanke. Dziewczyna szła spieszonym krokiem. Była czerwona, zgrzana, chwilami podbiegała kilka kroków. Jasne włosy miała roztrzęsione. Na szyi kolorową chustkę, którą pociągała nerwowym ruchem to za jeden, to za drugi koniec. Oleńka uśmiechnęła się z okna do małej łączniczki. „Do mnie?” — zapytała gestem. Dziewczyna zrobiła potwierdzający ruch ręką i zniknęła w sieni.

Idąc ku drzwiom Oleńka słyszała na schodach prędkie kroki. Nie spodziewanie zaczęło bić jej serce. Szybko otworzyła drzwi, wpuściła Hanke do mieszkania. Chciała wziąć dziewczynę do pokoju, ale ta potrząsnęła głową. „Nie mam czasu... — odsapnęła. — Zaraz koncentracja... Ogrodowa dziewiętnaście... Dziś... zaczyna się.” Stały na wprost siebie, rozgorączkowane i tylko prędko oddychały. „A więc...” — zaczęła Oleńka. Hanke przerwała jej: „Muszę dalej lecieć. Daj mi trochę wody. Tylko zimnej.” Oleńka poszła do kuchni. Podstawiła szklanke pod kran. Zdziwiła się zauważywszy, że jej ręka drży. Matka podniosła głowę znad stołu pokrytego okrawkami

jarzyn. „Kto to przyszedł, Oleńko?” zapytała. „To Hanka.” Kobieta przerwała szatkowanie marchewki. Szeroko otwartymi oczami popatrzyła w twarz córki. Oleńka skinęła głową. Przez krótką chwilę w oczach matki błysnął lęk, rozpacz, może prośba. Ale zaraz zgasł. Wszystkie matki tego dnia były takie same. Nie powiedziała nic. Oleńka zaniósła wodę małej łączniczce. Dziewczyna połknęła ją szybko i chciwie. Potem skinęła głową. „Dziękuję — powiedziała. — Zobaczymy się...” Oleńka zamknęła za nią drzwi. Chwilę stała w przedpokoju wsłuchana w gwar miasta, który teraz wydawał się jej warkotem nadciągającej burzy. Weszła do kuchni. Matka starannie ocierała ręce w fartuch. Zapytała spokojnie i bardzo rzeczowo: „Kiedy masz iść?” „Zaraz.” „Zjesz co?” „Chyba nie. Nie zdołałabym nic przełknąć.” Kobieta odwiązała fartuch i odrzuciła go na stołek. W jej spojrzeniu, w jej ruchach, w jej słowach nie było nic poza nieprawdopodobnym spokojem. „Przygotuj się — powiedziała — nie możesz się spóźnić...” Szła za córką do pokoju. Oleńka wzięła swą obozową torbę, od paru dni spakowaną. Chwilę zastanawiała się, czy nie zmienić butów na lepsze, ale zaraz wzruszyła ramionami; przypomniała sobie zapewnienie: trzy, cztery dni... Włożyła płaszcz. Spojrzała na matkę. „To idę, mam...” Objęły się. Znad ramion matki obrzuciła spojrzeniem pokój. Znała go tak dobrze, że mogłaby z zamkniętymi oczami znaleźć bez namysłu każdy mebel. Matka odsunęła ją od siebie pierwsza. Raz jeszcze spojrzały sobie prosto w twarz. W oczach matki nie było ani śladu łez. Podniosła rękę i nakreśliła krzyż na czole Oleńki.

Pamiętała dobrze drogę. Na rogu Filtrowej i Raszyńskiej minęła dwie kobiety, popychające przed sobą dziecinne wózki. Dobiegły ją słowa: „Bo ja sama nie wiem, czy nie kłamią. Ciągłe mówią, że coś będzie, a potem nic nie ma...” Szła dalej. Szkoła na rogu Niemcewicza otoczona była kozłami z kolczastego drutu. Trzech wartowników z bronią pod prawym łokciem, w hełmach, z granatem za cholewą, stało za parkanem. Minęła ich. Raszyńską pędziły auta to w jedną, to w drugą stronę. Doszła do rozdroża Grójeckiej, Towarowej, Alei Jerozolimskich. Skręciła w Aleje. Ruch wyraźnie przybierał na sile. Aut było coraz więcej — ale i więcej było spieszących chodnikami ludzi. Zaczęła obserwować i nagle zauważyła niezliczoną ilość młodych chłopców w płaszczach, w wysokich butach, idących przeważnie grupkami. Później zauważyła kilku mężczyzn w robotniczych kombinezonach, ale o twarzach inteligenckich — dziwnie z ich strojem nie harmonizujących. Dwóch z nich niosło podłużne przedmioty owinięte w papier. Pomyślała, że trzeba być ślepcem, aby mimo opakowania nie poznać stenów. Doszła do rogu Żelaznej. Na przejeździe stały po staremu baby z kwiatami i z bułkami. Zauważyła jednak zwiększone posterunki wojskowe przed WIGiem. Im dalej szła, tym gwałtowność ruchu zdawała się wzmaczać. Zwłaszcza na przecięciu Żelaznej i Złotej czuło się gorączkę. Szła dalej Żelazną, wciąż odkrywając czujnym spojrzeniem spieszących na koncentrację ludzi. Mijając Sienną rzuciła okiem na plac Kazimierza — ruch na targo-

wisku był mniejszy niż zwykle. Przyspieszyła kroku. Z prawej strony miała teraz mur „małego getta”, a za nim szkielety spalonych domów. Pamiętała, jak szalał tutaj pożar... Biło jej serce. Doszła do rogu Chłodnej. W narożnym domu był posterunek żandarmerii. Obok przypartego do muru bunkra stało dwóch wartowników z bronią gotową do strzału. W bramie widziała auto policyjne i kilku Niemców w jaskrawo zielonych mundurach. Jeden z żandarmów — grubas z nie nakrytą, jasnoryżą głową, stanął na długim balkonie ciągnącym się wzdłuż całej ściany domu i patrzył z uwagą w kierunku kościoła Świętego Karola. Po przeciwnej stronie ulicy była cukiernia. Zapamiętała dobrze napis: Karol Sommer. Nad cukiernią na balkonie stał karabin maszynowy, a przy nim siedział żołnierz. To skrzyżowanie trzymane było bardzo mocno.

Minęła Chłodną. W głębi widziała wychodzący z Leszna mur getta i bramę z bunkrami, zastawioną kozłami hiszpańskimi. Nad murem widać było gmach kliniki Świętej Zofii. Ogrodowa zdawała się spać cicho na uboczu. Z lewej strony ciągnął się wysoki mur fabryczny. Nad bramą był napis: Leszczyński. Potem domy małe obok wielkich kamienic. Śmiesznie cicha, brzydka, bez ogrodów, a przecież wdzięczna ulica. Patrzyła po numerach. Wreszcie miała przed sobą mur: sztachety na tle cegieł. Do wnętrza prowadziła mała furtka. Pchnęła ją. I zaraz zobaczyła Zyndrama stojącego na wprost wejścia, ubranego z całą zuchwałością w czarną, krótką bluzę niemieckich Panzergranadierów.

Potem zaczęło się oczekiwanie. Godziny mijały za godzinami. Upchnięci w lokalu przedszkola, siedząc na małych ławeczkach i przy maleńkich stolikach patrzyli na leniwie wlokące się wskazówki zegarków i na broń, którą nareszcie będą mogli użyć. Ciągłe przybywali z miasta nowi ludzie. Wiedziano, że już wszystko wre. Łącznicy do upadłego jeździli na rowerach, dorożkach, rikszach. Chwila decydująca nadchodziła. Ktoś powiedział, że już słyhać strzały. Sprzężyli się w nasłuchiwanie. Rzeczywiście rozległo się ich kilka, ale potem zapadła cisza. Z gniewem patrzyli na ogłuchły w kancelarii telefon. Znowu rozległy się strzały blisko Chłodnej czy na Żelaznej. Potem znowu — tym razem na Solnej. Potem nagle seria z peemu — tuż na Ogrodowej. Nie mogli już wysiedzieć. Gdyby nie rozkaz, wypadliby na ulicę. Otworzyli tylko okna i drzwi. Miasto hucało wystrzałami. To za dużo powiedziane: stukot wystrzałów tonął w labiryncie ulic. Ale nagle warkot motorów ucichł i w tej nieoczekiwanej ciszy słyhać było gorączkowe postukiwanie kabe i szybkie trzaski peemów. Wartownicy od furtki rzucali nowiny: posterunek przed gmachem Sądów uciekł do środka, jakaś trójka zuchwalców z bramy naprzeciwko podeszła z peemem w rękę do drutów. Teraz! Ach — usłyszeli nagle, jak zamarła w oczekiwaniu ulica rozdarła się krzykiem i oklaskami. „Co tam takiego? Stach? Zyndram? Powiedz!” — wołano. „Nic — Zyndram cofnął za furtkę wychyloną głowę — idzie jakiś oddział z bronią i opaskami.” A więc już! Ogar-

nęł ich szął radości. Teraz i oni chwycili za opaski. Na lewą czy na prawą? Spodnie w skarpetki! Pasek od spodni na wierzch! I broni! broni!

Byli pijani zapalem. Gdy jeden z plutonów poszedł na rozpoznanie przed gmach Sądów, oczekiwano z drżeniem zachwytu pierwszych strzałów. Ale zwycięstwo było bezkrwawe: Niemcy z gmachu uciekli. Budynek został opanowany bez wystrzału. Znaleźli w nim hełmy, mundury, setki bezcennych dla żołnierza rzeczy. Od Chłodnej i Żelaznej dochodziła coraz gwałtowniejsza strzelanina. Podbiegli łącznicy do dowódcy odcinka. Już wiedziano, co się dzieje. Ze szpitala przyniesiono aparat radiowy i uruchomiono go. Dwa plutony poszły na rozpoznanie na Chłodną. Chłopcy wrócili z wiadomością, że broni się szkoła na roku Walicowa i że spotkali niemiecki czołg, który obrzucili butelkami zapalającymi, ale żadna się nie zapaliła. Dowódca kompanii popędził z pretensjami do pięciu pirotechników, którzy nieprzytomni z pośpiechu „nabijali” o dwa domy dalej setki butelek zapalających. Główny ich mistrz, chłopak o spalonej dłoni, w gumowych rękawicach, podniósł na oficera przekrwiony od wysiłku wzrok. „To moja wina, że są kretyny? Proszek musi się połączyć z płynem, inaczej wyjdzie gówno. A jak im torebka zostaje w łapie, to pewno, że się nic nie zapali!”

Pierwsza noc powstania rozpląkała się rześystym deszczem. Wśród plusku ciężkich kropel budowali barykady w poprzek Ogrodowej. Wyrywano z jezdni okrągłe kamienie i rzucano na stos. Rozległ się szcęk żelaza, słychać było sapanie pracujących. Jakieś kobiety przyszły z gorącą kawą. Podawały ją w kubkach. Słychać było głosy: „Franek! Przestań! Już cały jesteś mokry...” I gniewne odpowiedzi: „Daj, matka, spokój. Dla Niemca pracuję czy co? Odknajta się”. Dzwonił łom wbijany między kamienie. Warszawa żyła braterstwem.

Barykady, barykady. Budowano je całą noc. Stały dwie na Ogrodowej, jedna na Solnej. Nie przeszkodziło to wjechać na ulicę niemieckiemu czołgowi. Plunął ogniem z cekaemów na ludność, która pracowała przy budowie. Potem wycofał się spieszenie, chrzęszcząc żelastwem. Na Chłodnej łomotały wciąż kaemy, walka toczyła się o gmach szkoły. Wieczorem budynek ewakuowany przez Niemców wyleciał w powietrze. Zdobywano z zawziętością posterunek żandarmerii na rogu Żelaznej i Chłodnej. Grubego policjanta — był to komendant posterunku — zastrzelono na balkonie. Spadł z piętra niby ciężki wór. Kompania „Kostki” poszła bić się o bramę getta na rogu Leszna i Żelaznej.

Na piąty dzień rozpoczęto walkę o Wolę. Poszły patrole w tamtą stronę. Z jednym Oleńka dotarła nocą aż poza Towarową. W dzień byli tutaj włosowcy, teraz się cofnęli. Domy płonęły wysoko w czarne niebo. Cienie biegały wzdłuż ścian. Posuwali się niepewnie, gęsiego — dwunastu zuchwalców i dwie dziewczyny. Ich dowódca, młody podporucznik z wijącymi się czarnymi włosami i delikatnymi wargami, trzymał gotowego do strzału bergmanna. W oddziale był

tylko ten jeden peem, a poza tym jeden karabin i cztery pistolety; reszta miała granaty lub butelki. Chcieli za wszelką cenę zbadać sytuację. Posuwali się ostrożnie, lękliwie, a przecież nieustępliwie. Na ulicach leżały trupy, niektóre z nich były popalone. W jakiejś bramie ujrzeli cały stos ciał. W drgającym blasku pożaru, w przerażającej ciszy miasta przerywanej tylko hurgotem ognia i pojedynczymi strzałami, wzrokiem pełnym grozy patrzyli na zabitych. Leżeli stosem, jedni na drugich: mężczyźni, kobiety, dzieci. Najwięcej chyba dzieci. Było dużo krwi i ta krew tworzyła wciąż na ziemi lepkie błoto. Straszliwie wyglądały rozszarpane głowy, zaciśnięte spazmatycznie dłonie. Szli dalej, skradali się wzdłuż muru. W następnej bramie były znowu trupy rozrzucone, porozwlekane po sieniach i schodkach. Ogień trawił już dom. Znowu kobiety, dzieci... Tutaj przeważnie kobiety. Leżały w dziwacznych pozach, poobdzierane z ubrania. Oleńka nie od razu uświadomiła sobie, co przeszły, zanim dosięgła je w końcu dobroczynna kula. Jej towarzyszka trąciła ją w ramię. Aż się przerażała wyrazem twarzy tamtej. Palce dziewczyny zaciskały się na dłoni Oleńki. „Słuchaj... — szeptała — tylko nie to...” Wtedy uświadomiła sobie wszystko i ją także ogarnął lęk. Wydało się jej, że śmierć, zwykła, męska śmierć, była rzeczą, której najwięcej pożądała. Nie czuła ślepej wściekłości, jaka ogarnęła chłopców patrzących na trupy. Oni myśleli tylko o zemście. Zaciskali dłonie na swych butelkach, wymieniali między sobą krótkie słowa. „Ależ bym tłukł! A ja? Cholera! Gdyby tak mieć stena! O rany! Nie mówcie nic, chce mi się rzygać, że nie mogę iść i strzelać im prosto w mordy...”

Jeszcze minęli dwie bramy, obie pełne ciał. Mężczyźni leżeli na kupie, gdzieś w kącie, dzieci i starsze kobiety w środku. Tylko rozdarte ciała młodszych kobiet walały się wszędzie. Ile było tych trupów? Setki? Tysiące? Nie umieliby zliczyć. Szli zamroczeni tym widokiem. Jakiś cień mignął na skapaniej w czerwieni ulicy. Któryś z chłopców nie wytrzymał i strzelił. Ale to był tylko złamany słup od latarni. Za to posypały się strzały z głębi ulicy. Światłne pociski przelatywały smugą na tle wypalonych ścian. Zapłonęły rakiety.

Wrócili rano ledwo przytomni. Wola płonęła. Gęste dymy spowity Ogródową. Wściekłe ataki niemieckie odpierano na Karcelaku. Ludzie, którzy zdołali uciec z Wolskiej, opowiadali przerażające historie. Własowcy mordowali dzieci i mężczyzn od razu, kobiety dopiero po wielokrotnym zgwałceniu. To samo zresztą robili Niemcy. Kamiński i Reinefarth szli ze sobą w zawody.

Nocą atakowano wciąż na nowo bramę getta. W końcu padła. Teraz walczone o gmach szkoły. Broniło się tam dwustu własowców uzbrojonych po zęby. W krwawej łunie płonącej Woli szalała zaciekle walka.

Lecz szóstego sierpnia w niedzielę oddział, w którym była Oleńka, otrzymał rozkaz odejścia na Stare Miasto. Przemaszerowano Elektoralną, placem Bankowym, Rymarską, Przejazdem, Długą. Wszędzie pełno ruin i pożarów. Od trzech dni latały nad miastem samoloty nie-

mieckie. Na Starówce zajęto dom przy Kilińskiego. Na tyłach domu było duże podwórze u stóp wysokiego, ślepego muru pokrytego winem. Pod tą ścianą ustawiono ołtarz polowy. Ksiądz Stefan codziennie wieczorem odprawiał na nim mszę. Na podwórzu zaczęto grzebać pierwszych poległych...

Pierwszy dzień po przejściu z Ogrodowej upłynął pod znakiem ciszy. Oleńka oprzytomniała. Chodziła po Długiej, po Freta, po Rynku. Wysoko na niebie warczały i kręciły się niemieckie samoloty, ale nie rzucały bomb. Poczula się tu nagle jak w obłożonym, ale wolnym mieście. Żandarmeria z żółtymi opaskami, składowa praca przy budowie barykad, ruch w sklepach, cała masa pism. Słuchali wiadomości radiowych: wojska alianckie zajęły Rennes... Amerykanie dotarli do Loary... Le Mans uwolnione... Na końcu krótko: na froncie wschodnim walki na północny wschód od Warszawy... Nic, prócz wiadomości o tych walkach.

Raz po raz wzmagala się strzelanina od strony Krakowskiego Przedmieścia. Wieczorem zaczynały bić armaty spod mostu Kierbedzia. Przez dwa dni żyli jak żołnierze, którzy o jutro się nie troszczą. Czerwone wino znalezione w niemieckim magazynie na Stawkach lało się strugą. Były także niemieckie konserwy, tygrysia bluza, hełm i upajające wieści z frontu na Świętojańskiej, Miodowej, placu Teatralnym. Chłopcy chodzili na stanowiska, ostrzeliwali niemieckie pojazdy. Chodził tam także ksiądz Stefan z brewiarzem na piersi, ubrany jak wszyscy w tygrysią bluzę. Żyli wojną i wiarą, że jutro lub pojutrze nadejdzie zwycięstwo. Modlono się o broń, entuzjastycznie się nocnymi zrzutami.

Nagle po dwóch dniach ciszy — Niemcy uderzyli na Starówkę. Po raz pierwszy usłyszano ryk miażdżących wszystko „szaf”. Szpital na Kilińskiego zaczął wypełniać się rannymi. Nieprzyjacieli usiłował wtargnąć przez Miodową. Tylko odwadze Zyndrama należało zawdzięczać uratowanie otoczonej barykady. Rozpoczęły się gwałtowne naloty. Gdzieś koło ósmej rano nadlatywały pierwsze samoloty — przeważnie trzy nurkowce. Wynurzały się zza domów na Barokowej. Leciały wzdłuż Długiej. Rzucały bomby — każdy aparat po dwie, razem sześć bomb. Bomby nie wybuchały od razu, ale dopiero po kilku sekundach. Samoloty zawracały. Po godzinie nadlatywały znowu. Były bezkarne, nie im nie można było zrobić. Mogły zamiatać ogonami dachy. I tak trwało do zmierzchu.

Bronili się zaciekle. Liczba rannych i zabitych rosła. Amunicji ciągle brakowało. Przyłoty kanadyjskich lotników skończyły się po dwóch nocach. Czuli, że tak być musiało, wiedzieli bowiem, jakimi ofiarami opłacono zrzut tych kilku „kontenerów” na Rynek staromiejski. Aż wreszcie groza sytuacji zaciążyła na ich entuzjastmie. Broń przechodziła z rąk do rąk. Jedni dziedziczyli ją po drugich. Lecz wielu było takich, którzy polegli, zanim doczekali się karabinu lub pistoletu.

Oleńka była zajęta całym dniem; nie miała czasu na myślenie. Przede

wszystkim ranni. Było ich tylu, że sił brakło, by wszystkich obsłużyć, by zmieniać opatrunki, pomagać w operacjach, rozdzielać lekarstwa. Lekarze wychodzili z siebie. Z podziwem patrzyła na nich, sama kręcąc się koło wysokiego doktora Morwy, którego twarz każdego dnia zapadała coraz głębiej, oczy zaś zaczynały gorączkowo błyszczeć spoza okularów. Oprócz ciężej rannych byli tacy, którym trzeba było robić każdego wieczoru tysiące drobnych opatrunków. Dwoiła się, troiła, zapominała o śnie, o jedzeniu, o wszystkim. Godziny biegingy, aż nieoczekiwanie przychodził wieczór, o czym dowiadywała się od jednego z małych łączników-harcerzy, który przychodził po nią ze słowami: „Siostrze, ojciec Stefan szuka siostry”. Wtedy odkładała rzeczy mniej pilne i szła przygotować ołtarz do wieczornej mszy. O tej porze robiło się ciszej. Pierwszy zmierzch zstępował na miasto, dymy pożarów spływały nisko, na niebo oczyszczające się z pyłu i dymu występowała luna. Pożary otaczały ich wieńcem ze wszystkich stron; najwięcej było ich od strony Woli. Ksiądz Stefan szedł po Najświętszy Sakrament, który przechowywał w korytarzu piwnicznym, w załomie muru. Na podwórze wychodzili ranni, ludność, żołnierze, nie będący na posterunkach.

Od mostu grzmiały armaty. Pomiedzy poszczególne wystrzały wdzieraly się coraz dłuższe chwile ciszy, niby oddechy przestrzeni. Ksiądz mówił od ołtarza: „Dominus vobiscum”, oni śpiewali po mszy: „Boże, coś Polskę...”

W ciągu mszy ogarniał Oleńkę spokój. Zacierały się ślady walki, znikalo zmęczenie. Klęcząc z twarzą zwróconą do wysokiego muru z cegieł modliła się jak nigdy przedtem. Właściwie nie modliła się, rozmawiała. Mówiła prosto, zwyczajnie, jak się mówi do innego człowieka. Stawiała pytania i dawała na nie odpowiedzi. Odpowiadała sama, a przecież czuła, że odpowiedź przychodzi tak jasna jak-by dawał ją ktoś inny.

Wciąż odpierali ataki, brali jeńców, zdobywali broń. Pierwszej niedzieli na Starówce, kiedy kręciła się przy rannych, przybiegł mały harcerz, Leonidas, ten, który ją zwykle wzywał do ojca Stefana, z wielkim krzykiem: „Niech siostra idzie! Niech siostra idzie! Nasi zdobyli czołg!” Pobiegła. Wszyscy zresztą biegli do drzwi lub pchali się do okien. Mieszkańcy opuścili domy. Biegła z tłumem przez podwórze. Popędzał ich entuzjazm. Dzieci wyrwawszy się z głębi czarnych piwnic, rozkrzyczane, z chorągiewkami w rękach, wpychały się między starszych. Wołano: „Słyszycie? Nasi zdobyli czołg! Nasi chłopcy...” To brzmiało jak muzyka. Ulice były pełne cywilów i żołnierzy. Czołg sapał za barykadą. Wrzeszczano: „Hej, no! Podjedźcie tutaj!” Tamci odpowiedzieli z czołgu: „Dobra! Zaraz. Tylko zwali się kilka płyt”. Wreszcie płyty zwalono, stalowy potworek zaczął się wspinać na barykadę. Stanawszy na niej chybnął się i dość gwałtownie ześliznął na bruk. Wszyscy biegli ku niemu. Radość wyzwalała się krzykiem. Jadący na czołgu chłopcy machali rękoma.

Nagle — słup ognia uderzył w górę. Oleńka czuła, że leci w tył

a wraz z nią leci wszystko: ludzie, domy, barykada. Piekący żar owiał jej policzki. Nieoczekiwanie uderzyła całym ciałem o mur. Wtedy zwinęła się i padła. Otoczyła ją głucha, po prostu śmiertelna cisza. Nie zemdląca, czuła zbyt wielki ból w piersi. Rozszerzonymi z przerażenia oczyma widziała wszystko — ten stos ciał nie-ciał, który zaległ jezdnię i chodniki.

Ciągle jeszcze nic nie słyszała, nawet własnego jęku. Ale cisza się skończyła. Otoczył ją przerażający krzyk, nieludzkie wycie. Może zresztą nie wszyscy wyli. Ujrzała obok siebie rękę dziecka. Dalej leżała kobieta, naga, tylko w staniku na piersiach, ale bez głowy. Jeszcze dalej dwie nogi w wysokich butach i rozszarpany brzuch. Chodnik wokoło był jedną kałużą krwi. Na obdartym z liści drzewie wisiały krwawe ochłapy. Straszliwy smród wypełnił ulicę. Poczowała zawrót w głowie. Ten smród był blisko niej. Pomyślała, że ma rozdartą pierś. Ale pierś była cała. Chciała się dźwignąć i wtedy przeszył ją okropny ból. Zobaczyła, że lewe biodro i lewa noga ociekają krwią. Strzępy sukienki i bielizny były szerniałe, zwęglone. Jeszcze raz zrobiła jakiś niepotrzebny ruch. Ból przeszył aż do głębi. Osunęła się twarzą na krwawy bruk. Zemdląca.

XIV

Leżało ich potem dziewięć w małym pokoiku na parterze. Wszystkie były ranne podczas tego tragicznego wybuchu. Dni stawały się coraz cięższe. Co godzina nalot. Co dziesięć, co piętnaście minut zgrzyt nadchodzący z jakiegoś nieokreślonego kierunku, niby skrzygnięcie szafy „o piętro wyżej”. Na ulicy wszyscy gwałtownie rzucali się do bram, w mieszkaniach przyciskano się do ścian, mrużono oczy. Mówiło się: „Nakreca”. Potem z łoskotem otwierała się nad głową zapadnia, pęd powietrza wzbijał tumany kurzu. Pozbawione od dawna szyb ramy okienne drżały boleśnie. Leżąc na siennikach na ziemi unieruchomione dziewczęta patrzyły w niemej grozie na pękający w kilku miejscach sufit. Usiłowały opanować lęk, gdy nad domem kręciły się samoloty, pikując co chwila z ostrym świstem. Zostawały wtedy same, bo kto mógł chodzić, uciekał do piwnicy. Modliły się tylko. Modliły coraz więcej.

Oderwana od pracy Oleńka modliła się i myślała dużo. Jeszcze raz przechodziła w pamięci dzień za dniem swoje dotychczasowe życie. Odkrywała winy. Nigdy dotychczas nie potrafiła patrzeć z równą jasnością na swoje postęпки. Teraz, gdy uświadomiła sobie, że śmierć może nadejść lada chwila — ta śmierć, której nie czuła nawet tam, w partyzantce — zaczęła inaczej patrzeć na życie. Sprawy dawniej obce nabrały teraz wspólnego sensu. Jedne uzupełniały się innymi. Po raz pierwszy wszystkie jej wątpliwości znikły. Wszystko było jasne, oczywiste.

Miłość, wydawało się jej teraz, jest zawsze miłością i nie można

jej zabijać nienawiścią. Tak postępując nie przewalczyła miłości, lecz tylko zatrąła siebie. Stworzyła w sobie niepokój, którego niczym zagłuszyć nie mogła. Miłość, której przyjąć nie można, da się przewyciężyć tylko wyrzeczeniem.

Odwiedzał ją codziennie Leonidas i stojąc w progu opowiadał nowiny dnia. Przynosił pozdrowienia od Zyndrama, któremu wybuch czołgu połamał nogi i który leżał na dole w piwnicy, od innych rannych, od lekarzy, od sióstr, a także pozdrowienia od wszystkich kompanii batalionu: od „Anieli”, „Anny”, „Harcerskiej”. Czytał dziewczętom gazety, mówił o rosnącym zniszczeniu. Kiedyś przybiegł rano z wielkim krzykiem:

— Słyszycie?!

Podniosły na niego zdziwiony wzrok. Było cicho, jeszcze się strzelanina nie rozpoczęła.

— Co takiego? Nic nie słyszemy.

— Ależ słuchajcie! No? — wskazał ręką na okno.

Nastawiły bacznie uszu. Dopiero Basia leżąca najbliżej okna powiedziała:

— Nie wiem, ale jakby coś bulgotało...

— No właśnie — powiedział z dumą. — Wałą za Wisłą.

— Ale kto, Leonidas? Rosjanie czy Niemcy?

Tego nie wiedział.

— W każdym razie grzeją... — mruknął.

Ale dalekie „bulgotanie” zagłuszyła bliska strzelanina. Pod wieczór, choć łowiły czujnym uchem wszystkie odgłosy, nie usłyszały już nic. Rozlegały się sapania i gwizdy lokomotyw, na kolejowym moście; pociągi niemieckie wciąż chodziły i to mogło przyprawić o wściekłość.

Innego ranka Leonidas przyszedł z wiadomością o grupie „chłopców z lasu”, którzy przedarli się na Starówkę od Żoliborza.

— Przebiegli przez tory — mówił — a potem koło Cytadeli. Ale w nich walili! Jeden to zupełnie bzika dostał od tego walenia. Klawe typy. Uzbrojeni byczo. Każdy ma karabin. I widziałem u nich sowieckie peemy. Nazywają się pepesze.

— Skąd są? Nie wiesz? — pyta Oleńka.

— Wiem, naturalnie, że wiem. Rozmawiałem z nimi. Wyobraźcie sobie, aż spod Zamościa!

— Spod Zamościa? — poruszyła się niespokojnie na posłaniu. — Słuchaj, Leonidas, a jakie ma pseudo ich dowódca?

— Porucznik Kazba.

O mało nie krzyknęła. Kazba! Pamiętała, kiedy wymyślił sobie ten pseudonim. Było to parę dni po spaleniu wsi Cieszyna, gdy musiał porzucić podwójne życie i przenieść się na stałe do lasu. Patrząc na sufit, z którego poodpadał tynk i widać było trzcinę, myślała, że

dziwnym wydarzeniem jest przybycie Barczyńskiego do Warszawy. Nie pożegnała się z nim wtedy. Odeszła tylko na odpoczynek do zakładu, a otrzymawszy depezę o śmierci ojca najbliższym pociągiem wyjechała. Barczyńskiemu zostawiła kilka niewiele wyjaśniających słów. Przez całą zimę nie wiedziała, co się z nim dzieje i nagle odnalazła go tu — na Starówce.

Długi czas milczała, przebijając tylko nerwowo palcami po brzegu koca. Leonidas siedząc na brzegu posłania Basi czytał im „Biuletyn Informacyjny”. W Śródmieściu zdobyto gmach „Pasty” na Zielnej. Dziennik podawał triumfalne opisy szturmów. Na pierwszej stronie wydrukowano fragment pamiętnika jednego z wziętych do niewoli Niemców — pełen akcentów rozpaczki, beznadziejności i niewiary w zwycięstwo.

— No co, jakże się wam podobało? — obrzucił dziewczęta bystрым spojrzeniem. — Mają Szwaby pietra? — Kiedy miał wychodzić, Oleńka zawołała go do swego kąta.

— Słuchaj, Leonidas, a może byś zapytał tego Kazbę, czy przypadkiem mnie nie zna. Bo mnie się zdaje, że ja go znam...

— Znasz go?

— Tak mi się wydaje... Powiedz mu moje prawdziwe nazwisko.

Znowu były skrzypy „szaf”, naloty jedne za drugimi, huk artylerii, coraz bliższy jazgot peemów. Krwawa różowość łun zaglądała do okna. „Pali się Nowe Miasto” — mówiono. Na Hipotecznej spadł samolot niemiecki. Podobno nie trafiono go nawet, ale po prostu nisko lecąc zaczepił o komin. Opowiadano sobie o tym długo w noc. „Będą teraz latali wyżej, cholery...” Każda taka historia wywoływała nową falę entuzjazmu. Dziewczęta z „Harcerskiej” śpiewały na dole z całych sił „Szturmówkę...”

Oleńka czuła się źle. Morwa pocieszał ją, że wszystko jest na dobrej drodze. Przez pierwsze dni wahała się sprawa amputacji nogi. Obecnie groza amputacji była zażegnana, stan ropny ustępował. A mimo to wyciekały z niej siły, a wraz z nimi ufność w powrót do zdrowia. Modliła się coraz zawzięciej. Sens tamtej „szalonej” miłości stał się dla niej w końcu zupełnie jasny. Widocznie trzeba było, aby przyszło to uczucie i spadło brzemieniem próby. Lecz ona załamała się. Chciała walczyć z tym uczuciem. Dziś wiedziała, że to był błąd. Jednak nie czuła o to do siebie pretensji. Coraz większy opanowywał ją spokój. Kiedyś uświadomiła sobie nagle, że każda miłość jest jakimś odbiciem tamtej...

Nie spostrzegła, gdy wchodził. Ujrzała go dopiero przy posłaniu. Basia musiała na nią zawołać: „Oleńka! masz gościa!” Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. „Jak się cieszę, że pan przyszedł, panie Kazimierzu.” Wyciągnęła rękę, którą pocałował. „Przyszliśmy do Warszawy — zaczął. — Był rozkaz nadany przez radio.” Skinęła głową. „Wiem.” „Mieliśmy ciężkie przejście z Żoliborza — ciągnął. — Gościński zginął. Zgódka dostał pomieszania zmysłów. Ale —

na chwilę zatrzymał się — chciałem koniecznie dotrzeć do miasta. Wiedziałem, że pani tu jest...” Lekko, serdecznie ścisnęła jego dłoń. „Tylko mi psuje humor pani rana. Ale rozmawiałem z lekarzem, mówi, że wszystko będzie dobrze.” Znow zamilkł, potem podjął: „Teraz mi pani nie ucieknie jak wtedy...”

Znowu był nalot, ale on siedział przy jej posłaniu. Opowiadał o losach ich oddziału, o Zamojszczyźnie mordowanej przez własowców i esesmanów. Powtórzył: „Teraz mi pani już nie ucieknie...” Jak za pierwszym razem chciała jego słowa pominąć milczeniem. On jednak żądał odpowiedzi. Pochylił się nad nią i szepnął: „Przecież ja panią kocham”. Patrzył w jej oczy natarczywie. Oleńka jednak czuła, że jest silniejsza niż wówczas na kolejowym torze. Odpowiedziała cicho, lecz stanowczo: „Pan ma żonę...” Szarpnęła się gniewnie: „Nie wiem, czy ją jeszcze mam. Pani wie, że ona odeszła ode mnie. Rzuciła dziecko. A co robi — o tym nie mam najmniejszego pojęcia!” „Pozostała jednak pańską żoną...” Opuścił bezradnie ręce, chwilę siedział osowiały. „Pani mnie nie kocha”... — szepnął. Położyła dłoń na jego dłoni, „Panie Kazimierzu — powiedziała — ja pana tak bardzo cenię, że nie mogę kłamać. Proszę mi wybaczyć. Tak... Kocham innego...” Uśmiechnął się gorzko. „Innego...” — powtórzył. „Innego — mówiła dalej. — Kocham złudę.. Coś, czego nie ma i co nie może być... Tej miłości wstydziałam się zawsze, nawet wobec samej siebie...” Podniósł na nią zaniepokojony wzrok. „A dziś?” — zapytał. „Dziś się nie wstydzę, bo wiem, że się jej wyrzekłam.” Zapytał głucho: „Wyrzekła się jej pani? Czy wolno zapytać, dlaczego? Dla kogo?” Uśmiechnęła się lekko. Brwi mężczyzny zbiegły się w zmarszczkę. Myśl pracowała pod szerokim, chłopskim czołem. „Więc było prawdą to szaleństwo, które pani powiedziała? Ja pamiętam...” Wzrok Barczyńskiego palił, zmuszał do wstydliwego spuszczenia oczu. Ale przemogła słabość. Z całych sił podniosła głowę i popatrzyła mu śmiało w twarz. „Tak. Pan mnie potępia?” Rozłożył ręce gestem niewiedzy. Bez słowa siedział tak jeszcze chwilę. Potem wstał. Nic nie mówiąc pocałował ją na pożegnanie w rękę. I wyszedł.

Nie przyszedł żadnego z następnych dni. Oleńka leżała na swym posłaniu, próżno nasłuchując jego kroków. Dopiero w parę dni później powiedział jej Leonidas, że oddział Kazby otrzymał rozkaz przejścia kanałami do Śródmieścia. Zaczęły się już podróże kanałowe, ogonki ludzi domagały się prawa odejścia z zagrożonej dzielnicy. Wiara w utrzymanie Starówki zaczęła maleć. Dni płynęły za dniami, przynosząc coraz bardziej hiobowe wieści. Batalion krwawił się w ruinach katedry, na Kanonii, ustępował dom po domu wzdłuż Świętojańskiej, wreszcie wrósł w mury staromiejskiego Rynku. Padło Nowe Miasto. Wróg wdzierał się w ulicę Bolesć. Zaczęły chodzić wersje o ewakuacji Starówki. Brakło jedzenia. Brakło wody. Brakło środków opatrunkowych, a przybywało rannych...

Oleńka zdawała sobie dobrze sprawę z sytuacji, a mimo to myślała

o niej coraz mniej. Wciąż modliła się. Ksiądz Stefan wpadał do niej rzadko, ale nie zatrzymywała go. Nie potrzebowała nikogo.

Którejś nocy miała sen. Przyszli do niej ksiądz Tomasz, Danek i Władek. Przeprowadzili za rękę jakiegoś człowieka ze schyloną głową. „Kto to taki?” — pytała. Wtedy tamten podniósł głowę i ona go poznała. „Ty wiesz — mówił Danek — on nas zabił.” Skinęła głową. „I ciebie także zabije.” Zamyśliła się. Ona i tamci stali wśród prędko lecących obłoków. Zdawało się jej, że widzi między nimi płonąca Warszawę. Wyciągnęła rękę. Powiedziała: „Weź moje życie zamiast miłości...”

Obudziła się późno. Był to dwudziesty dziewiąty sierpnia. Front na Rynku staromiejskim huczał strzałami. Nalotów tego ranka nie było. Przyszedł ksiądz Stefan z Najświętszym Sakramentem.

Dopiero koło południa posłyszały warkot. Zdrowi zeszli do schronów, one leżały spokojnie na swoich posłaniach. Samoloty krążyły nad ich głowami. Potem z wizgiem poszły w dół. Zdawały się lecieć prosto na ścianę domu. Wielkie cienie przemknęły nad ulicą niby unoszone wiatrem płachty. Czarny kształt mignął przed oknami. Nagle wszystko się zatrzęsło. Zobaczyła, jak ściana pokoju leci wprost na ich posłanie. Białoczerwony tuman ogarnął je zewsząd. Podłoga ustępowała, toczyła się gdzieś w głąb. Jeszcze któraś krzyknęła głosem zdławionym przez pył: „Mamusiu!” Odpowiedziała jej ostatnim oddechem: „Maryjo!”

XV

Przerazający łomot artylerii nie cichł ani na chwilę. Baterie radzieckie były w dzień, ale w godzinach nocnych kanonada osiągała najwyższe natężenie. Zdawać się mogło, że wielkie miasto zostało ogarnięte szaleństwem drgawek i wstrząsów, które miażdżyły jego przysadziste cielsko. Jęczało, jak jęczy skazany na śmierć, a świadomy swoich zbrodni człowiek. Czasami po huraganie eksplozji następowała krótka cisza i wtedy słychać było nieustanny prawie zgrzyt ładowanych „katusz”. Był to dźwięk napelniający ludzi febrycznym drżeniem.

Czerwone łuny nie gasły, ale każdej nocy rozlewały się szerzej. Dym pełen iskier i płatów zużła wpychał się w ulicę, dławił gardła. Noce były jasne niby noce pełni, kiedy to każdy cień kładzie się ostrą plamą mroku na powierzchniach drgającego blasku. Różnokolorowe rakiety zapalały się na czerwonym niebie, a zielone pociski artylerii przeciwlotniczej wędrowały w górę łańcuszkiem kulek. Powietrze falowało i dudniło, jakby ktoś szarpał naprężonymi kawałkami płótna.

Dwóch ludzi stało w załomie murów pałacu Kancelarii Rzeszy. Obaj niezbyt wysocy, obaj ubrani w skórzane płaszcze. Pierwszy

z nich, wyższy, miał czapkę głęboko wciśniętą na oczy. Poruszał się gwałtownie jak człowiek szarpany wewnętrznym niepokojem. Nie wiedział, co zrobić z rękoma: to je zaplatał z tyłu, to wkładał do kieszeni, to znowu zaczynał nimi żywo gestykulować. Drugi, niski, prawie karzeł, nie miał nic na głowie. Była to dziwna głowa, niby głowa ptaka na długiej szyi. Przypominała ona także głowę mumii Ramzesa II o wielkim czole, drapieżnym nosie i szerokich ustach. Ten człowiek miał ruchy opanowane. Ale naprawdę i on nie był spokojny. W jego oczach błyszczały niespokojne ogniki, mięśnie policzków co chwila się naprężały. Mówił pokazując kierunek ruchem ręki:

— Szpandawa zajęta... Poczdam i Tempelhof... Ta armia, która przebiła się dziesięć dni temu przez Odrę i wyszła na Eberswalde, doszła w tej chwili do Łaby. Rozumiesz, co to znaczy?

— Co to za armia? — ten wyższy pytał chrapliwie i gwałtownie.

— Właśnie chciałem ci powiedzieć: armia polska.

— Stworzona przez bolszewików?

— Stworzona przez bolszewików. Ale to nieważne. Wiesz, że Polak jest zawsze Polakiem. Wiesz, jak się bije, gdy pragnie zemsty...

— Cóż stąd?

Niższy sięgnął do kieszeni i wyciągnął papierośnicę. Nie odpowiadając na pytanie podsunął ją towarzyszowi.

— Chcesz?

Człowiek w czapce chwycił porywczym gestem papierosa z brzegu i chciał go wyrwać spod przyciskającej gumki. Niższy jednak stanowczym ruchem odwrócił papierośnicę.

— Tego nie bierz. Weź z tamtych...

— Dlaczego?

— Te są zatrute...

Mężczyzna w czapce cofnął gwałtownie rękę. Jego oczy błysnęły spod naciśniętego na czoło daszka.

— Zatrute? Dlaczego? Dlaczego, Sepp?

Niższy wzruszył ramionami. Patrzył nie na towarzysza, ale na niebo, czerwone, pełne łun, blasku i kolorowych świetlnych kul.

— Pytasz się? Bolszewicy dotarli do Łaby. Nie możemy liczyć na nasze rezerwy między Hamburgiem a Hanowerem. Siedzimy na dnie.

— Nie kracz! — krzyknął drugi. — Obronimy się. Żołnierz niemiecki jest niezwyciężony! Nie ustąpi! Każdy dom będzie fortecą. Możemy się bronić latami. Będziemy się bronili tak długo, aż Amerykanie zaczną wojnę z bolszewikami...

— Zaczną albo nie zaczną — niższy mówił zimno, głosem zmatowiałym. — Przez dwadzieścia lat uczyłem ciebie nieufności do

tych burzujów zza oceanu. Nie nauczyłem cię, widzę, wiele. Nawet Göring...

— Nie mów mi o tej małpie!

Mężczyzna bez czapki zaśmiał się okrutnie:

— A jednak wierzyłeś mu bez zastrzeżeń. Urzekł cię! Tchórz jak ty...

— Milcz! — krzyknął wyższy. — Zabraniam ci tak mówić! Jestem wodzem!

Jakiś charkot dobył się z jego gardła. Niski mężczyzna cofnął się o krok. Utykał lekko. Mrużąc pogardliwie oczy, powiedział:

— Nie. Tobie się tylko wydawało, że byłeś wodzem.

Mężczyzna w czapce rozpiął płaszcz, potem mundur, zdjął czapkę i z wściekłością rzucił ją na ziemię. Czerwony blask padł na jego kwadratową twarz znaną z tyłu portretów i fotografii, z kępką włosów pod nosem, z czołem na w pół przykrytym pasmami włosów. Oczy wyszły mu na wierzch, jakby się dusił. Chrapliwie zawołał:

— Milcz! Kłamiesz! Opatrzność zrobiła mnie wodzem. I dlatego wiem, że zwyciężę. Byłem już panem całej Europy!

Towarzysz wodza zaśmiał się kostycznie.

— Byłeś, lecz nie jesteś. A dziś pozostał ci w ręku tylko Berlin. Drugi raz nie zrobisz historii.

— Zrobię!

— Nie zrobisz!

— Milcz! Jeżeli nie będziesz milczał, zawołam Bormanna i powiem mu, że mnie zdradziłeś. Ty wiesz, Bormann jest jak pies; wystarczy, że krzyknę: „Weź go”, a zagryzie. Zobaczysz: jeszcze zwyciężę!

Niski mężczyzna sięgnął po papierosa. Palił jednego po drugim. Z ironią zapytał:

— Jak chcesz to zrobić?

— Nie wiem jeszcze w tej chwili... Ale zwyciężę! Zawrę sojusz z bolszewikami i pójdziemy razem na Amerykanów. A potem się odwrócę i znowu pójdę na Moskwę. Albo inaczej: pogodzę się z Churchillem i Amerykanami. Razem pójdziemy zdobywać Rosję. Będę udawał przyjaźń dla Anglików i Jankesów. A potem wyprodukujemy bomby, które całą Anglię obrócą w popiół. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a będziemy mieli bombę, którą wystarczy rzucić na Londyn i fiuu! — Londynu nie będzie. Zwyciężymy, Sepp!

Chwycił Goebbelsa za ramiona, potrząsnął nim. Gdzieś blisko w ogród Kancelarii trafiło kilka pocisków artyleryjskich. Zapał Hitlera zgasł. Drżąc przytulił się do towarzysza, rzucając wokół niespokojnym wzrokiem.

— Słuchaj — szepnął — mogą nas tu zabić... Lepiej zejdźmy do schronu...

Ale zaraz odepchnął od siebie tamtego, wyprostował się. W kącikach ust miał pianę, w oczach szaleństwo. Znowu zaczął krzyczeć swym przerażającym głosem:

— Nie! Nie zejść do schronu! Wódz jest zawsze przy żołnierzach. Opatrzność nie da mi zginąć! A tam jest ta wściekła kobieta, która mnie zadrecza... — włożył ręce w kieszenie i nagle zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż kawałka muru. Przeszedł tak kilka razy, zatrzymał się przed Goebbelsem. — Widzisz — powiedział — ja się niczego nie boję. — Nagle schwycił towarzysza za kłapy płaszcza. — Słuchaj, powiedz: czy ja mam Ewę zabić? Nienawidzę jej! Ale pożądam! Och, jak ja jej pożądam!

Urwał i dyszał wciąż, trzymając palce wczepione w zamszowe kłapy płaszcza Goebbelsa. Szef propagandy stał niewzruszony. Lekko odsunął się od Hitlera. Policzki mu drżały, po szerokich ustach przewijał się uśmiech.

— Pożądasz... — powiedział przez zęby — burżujskich kochanek, którym ofiarowuje się złote kolczyki i jedwabne majtki!

Hitler skrzywił się.

— Czego chcesz ode mnie? — jęknął. — Drażnisz mnie... Jesteście bez litości. Czego ty chcesz?

— Ja?! Niczego... A raczej nie: chcę od ciebie, abyś na końcu okazał się większy, niż byłeś... Abyś na pięć minut przed śmiercią przestał być komediantem i błaznem...

Łomot strzałów nie ustawał ani na chwilę. Feeryczna noc kolorowych gwiazd i czerwonej łuny rozpinała się nad pałacem kanclerskim — noc barw, niby kolorowa karta tomu historii. Hitler odskoczył. Krzyknął głosem wysokim, rozdzierającym:

— Co ty mówisz? Na pięć minut? Kto ci powiedział, że ja mam umrzeć? Nie umrę! To nieprawda!

Goebbels odpowiedział twardo:

— Musisz umrzeć!

— Nie!

— Musisz się zabić!

— Ja?

— Tak!

— Dlaczego?

— Musisz zginąć jak wódz. Niemcy nie mogą przeżyć zawodu. Musisz dla Niemców pozostać symbolem tego, czym nigdy nie byłeś. Rozumiesz?

— Nie!

— Więc wolisz, aby ciebie zabito?

Oparty o mur, zapytał dławiąc się własnymi słowami:

— Mnie zabiją? Nie żartuj, Sepp...

— Musisz zginąć. Jeśli nie masz odwagi, ja sam ci strzelę w łeb.

— Nie! — wrzasnął. — Słuchaj, nas uwolnią...

— Nikt nas nie uwolni.

— Więc się ukryj! Wiesz, że Himmler przygotował konspirację...

— Konspiracja będzie miała tylko wtedy sens, gdy ty żyć przestaniesz. Tchórzliwy wódz skompromitowałby wszystko. Musisz umrzeć w aureoli bohatera.

— Jestem człowiekiem zesłanym przez Opatrzność. Mnie zginąć nie wolno.

— Twoja śmierć będzie opatrnością Niemiec.

— Nie! Nie! Ja ucieknę...

— Nie uciekniesz. Ostatni samolot został rozbity w Tiergartenie.

— Słuchaj... — Hitler położył dygoczącą dłoń na ramieniu swego ministra. — Jesteś porządny, dobry chłop. Sepp... Jeżeli mówisz, że trzeba koniecznie. No, to dobrze... Ale dlaczego zaraz, teraz? Może się jeszcze co zmieni...

— Nic się nie zmieni! Jutro może być za późno. Bolszewicy przygotowują generalny szturm. Jakieś nowe oddziały weszły do akcji na linii ulic Franklina i Leibniza. Widać przygotowania na Spittelmarkt i na Schlossplatz. Jutro jest pierwszy maja. Oni będą chcieli uczcić ten dzień zwycięstwem. Trzeba kończyć. Moja rodzina już nie żyje...

— Co ty mówisz!

— Tak. Godzinę temu potruli się wszyscy. Żona, dzieci...

Twarz karłowatego ministra okryła straszliwa błądź. Zaciśnął szczęki, aż na policzkach widać było gwałtowny ruch mięśni. Myślał w tej chwili o dwojgu najmłodszych dzieciach, którym dano truciznę w mleku. Umierały w jego oczach. A on — patrząc na to — myślał o dzieciach, które umierały w obozach. Myślał z zaciętością. Kochał każde ze swoich dzieci, ale każde z nich poświęciłby jeszcze raz bez syknięcia, gdyby za tę cenę można było kupić zwycięstwo. Życie ludzkie? To nie było ważne... Ileż to milionów wymordowali Polaków, Rosjan, Holendrów, Greków, Żydów... Nie czuł z tego powodu najmniejszych wyrzutów. Jego nauczyciele dzieciństwa z rodzinnego Rheyd uczyli, że droga do wielkości wiedzie przez ofiarę, przez świętość, przez miłość. Ale on odszedł od nich. Postawił przed sobą wielkość, do której idzie się także ścieżką wąską i twardą, ale której horyzonty są wytknięte na miarę wzroku ludzkiego. Dziwaczną rzeczą wydawało mu się szukać Boga na niebie, skoro można Go było stworzyć sobie na ziemi. „In principio erat Verbum...” Inaczej uczył Goethe: „Am Anfang war die Tat...”

— Musisz się śpieszyć — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Jeżeli ci tak pilno, to... nie widzę powodu... abyś na mnie czekał...

— Będę na ciebie czekał. Zabiję się dopiero po tobie.

— Nie mogę się zabić, Sepp. Samobójstwo...

— Masz skrupuły?

— Mam!

— Ja ich nie mam. Zresztą powiedziałem: mogę cię zabić, abyś nie miał... wyrzutów sumienia!

Harkot czy jęk wydarł się z piersi Hitlera. Osunął się ciężko na kolana.

— Miej litość! Ja nie chcę umierać...

— Musisz!

— Ja nie mogę! Chcę żyć! Chcę żyć!

— Śmierć to jedyna szansa, abyś żył.

— Nie! Słuchaj!... — Ogarnięty furją zerwał się na nogi. — Nie! Zawołam Bormanna. Obroni mnie przed tobą!

W tej chwili błysnęło. Huk rozrywających się granatów ogłuszył ich. Kilka pocisków trafiło w pałac kanclerski. Od Bellevue doleciał trzask karabinów maszynowych. Wściekły łoskot, który rozlegał się bez przerwy, nabrał jeszcze większej mocy i gwałtowności. W łomocie dział i w jazgocie karabinów maszynowych można było słyszeć twarde stukoty Panzerfaustów.

— Słyszysz?! — krzyknął Goebbels. — Zaczyna się!

— Nie! — jęczał Hitler. — To zwyczajna strzelanina...

Goebbels powoli sięgnął do kieszeni płaszcza, ale Hitler skoczył ku niemu, przycisnął jego dłoń.

— Słuchaj! — szeptał wśród febrycznego drżenia. — Słuchaj... Dobrze... Powiedziałem ci... Zabiję się... Ale... Wiesz, że wierzę w Opatrzność... Więc widzisz... nie mogę tylko ciebie słuchać. Zrobię, czego wymaga Opatrzność... Jeśli Opatrzność powie...

— Gdzie są usta tej twojej Opatrzności, aby nam powiedziała, co masz zrobić? — lodowatym tonem zapytał Goebbels.

— Usta? Opatrzność? Słuchaj: słowa pierwszego żołnierza, którego zobaczymy, będą dla mnie jej głosem. Pierwszy żołnierz powie mi, co mam uczynić. Pierwszy żołnierz... Poczekajmy na pierwszego żołnierza!

Strzelanina narastała.

— Pierwszy żołnierz... — skamlał wódz.

— Dobrze. Oto masz pierwszego żołnierza — powiedział Goebbels.

Przez rozświetlone luną podwórze szedł oficer w hełmie.

Goebbels popchnął Hitlera.

— Chodź! Zapytamy go.

Spod muru wynurzyła się żałosna figura w skórzanym płaszczu. Hitler zawołał ku idącemu oficerowi.

— Stać!

Oficer zatrzymał się, potem poznał, kto go woła, i ruszył naprzeciw. Stojący w tyle Goebbels widział dwie zbliżające się ku sobie postacie. Zapalił nowego papierosa. Cokolwiek miało wynikać z rozmowy tamtych, był zdecydowany zastrzelić człowieka, który przed paru jeszcze dniami panował nad życiem milionów.

XVI

Losy wojny rzuciły Köstringa do Berlina. Zimą był przydzielony do sztabu von dem Bacha, następnie po rozpoczęciu ofensywy radzieckiej, brał udział w walkach powstrzymujących marsz nieprzyjaciela. Stracono go pod Kostrzyniem. Musiał przeleżeć w stołecznym szpitalu luty i część marca. Opuściwszy szpital został przydzielony do dowództwa obrony miasta.

Jak mu się to ostatnio zdarzało, coraz częściej nie brał udziału w walce jako lotnik. Początkowo kierował obroną przeciwlotniczą w Tiergartenie, potem znalazł się w sztabie w roli oficera do specjalnych poruczeń. Wojska radzieckie wdzierały się z niepohamowaną siłą w głąb miasta. Po paru dniach zażartej walki obrona została stłoczona pomiędzy Szprewą a Kanałem Landwerskim. Potem padł plac Aleksandra. Straszliwy napór Pierwszej Gwardyjskiej Armii Pancерnej szedł wzdłuż Unter den Linden i Leipzigerstrasse. Bronił się każdy dom, ale furia zdobywców przewyższała zawziętość obrońców. Ani na chwilę nie słabło napięcie szturm. Herbert cały ranek trzydziestego kwietnia kręcił się na zagrożonym odcinku. W pewnej chwili znalazł się na Kochstrasse. Tutejszy odcinek nie był chwilowo atakowany, mimo to jego obrońcy siedzieli na stanowiskach ponurzy i zniechęceni. Dzisiejsze wiadomości radiowe, które nie wiadomo jakim sposobem dotarły do wszystkich żołnierzy, były deprymujące: trup Mussoliniego, zastrzelonego przez powstańców, wisi na placu w Mediolanie; Anglicy zajęli Wenecję; Tito był w Trieście; Patton zajął Monachium. Köstring stojąc oparty o framugę bramy naprzeciw tak dobrze mu znanego domu von Recków uswiadamił sobie rzeczywistość w całej przerażającej jasności. Pojmował, że teraz walka trwa i trwać będzie jeszcze już nie siłą bohaterstwa czy wiary w zwycięstwo, ale siłą straszliwego lęku wszystkich Niemców przed tym, co miało w chwili ich załamania nastąpić. Dotykając ramieniem ściany domu i czując trwożny dygot miasta wiedział, że takie właśnie uczucia żywią wszyscy. Przed chwilą rozmawiał z podporucznikiem Wiese, dowódcą pozycji na Anhaltstrasse. Widział przed sobą wystraszone oczy w kredowo-białej twarzy chłopca.

— Jak wygląda sytuacja, panie majorze? — dopytywał się głosem pełnym gorączki.

— O ile wiem, bez zmiany.

— Ale przecież coś się chyba zmieni, prawda? No... bo... tak... tak być nie może...

— A co pan myśli, że się zmieni?

Chłopak z wysiłkiem opanowywał drżenie. Zdjął hełm z głowy; spocone tłuste włosy lepiły mu się do skroni. Miał oczy jasne, prawie przezroczyste, policzki obsypane nie golonym od kilku dni zarostem.

— No tamci... Anglicy... Amerykanie... Przecież chyba nie pozwolą, aby nas bolszewicy wyrznęli?

Oddychał ze świstem, gorączkowo. Miał mundur rozpięty pod szyją. Z kołnierza — Köstring zauważył to od razu — zniknęły czarne kwadraty.

— Przecież oni nas wymordują!

Herbert wzruszył ramionami. Wracał wolno Anhaltstrasse do Kochstrasse. Posłyszał nad sobą wycie, a po chwili bliską eksplozję. Nie drgnął. Opanowała go w tej chwili wielka obojętność na sprawy życia i śmierci.

Dom von Recków otrzymał kilka potężnych ciosów. Stał wprawdzie, ale tak jak stoi ranny, niepewnie, na chwiejnych nogach. Okno pokoju Gerdy było wywalone. Spoza wyrwanej ramy widać było czarne, okopcone wnętrza. Jasny budurek płonął. Dalej ściana była wybita i widać było wnętrza dawnego pokoju Waltera. Nad uciętą podłogą piętrzył się stos mebli.

Herbert patrzył na dom, z którym wiązało go tyle wspomnień. Lata całe tu przybiegał, wchodził na chłodne marmurowe schody. Wołał na przyjaciela, by z nim szedł na zbiórkę. Potem zdawało mu się, że dom odżył po raz drugi, gdy zrodziła się w Herbercie miłość do Gerdy. Wtedy nie wbiegał tupiąc hałaśliwie po schodach. Przychodził cicho. Ostatni raz przechodził przed tym domem podczas krótkiego pobytu w Berlinie, gdy po zwycięstwie nad Francją przeniesiono ich na odpoczynek do Warszawy. To było latem tysiąc dziewięćset czterdziestego. Teraz była wiosna tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

Pod wieczór wrócił na Wilhelmstrasse. Strzelanina przewalała się falami nad walczącym miastem. Powiedział do niego generał: „Panie majorze, chcę pana prosić o mały wypad rozpoznawczy na Charlottenburgerstrasse i na Salzufer. Jakież nowe oddziały weszły tam do akcji. Chcę coś o nich wiedzieć w kwaterze Führera. Zdaje się, że sam minister Goebbels”...

Było ciemno, kiedy dotarł na zachodni skraj Tiergartenu. Za sobą miał park pełen połamanych drzew i poszarpanych trawników — wielką, ciemną plamę mroku. Przy kolejowym przejeździe zobaczył ciała zabitych. Zwrócił się do oficera, który dowodził odcinkiem:

— Co to takiego?

— Przed chwilą odparliśmy natarcie. Szli jak szaleni — zniżył

głos, który stał się bardzo poważny. — Czy pan wie, panie majorze: to Polacy!

Köstring skinał milcząco głową. Minął umocnioną barykadę, wyszedł na zrujnowaną ulicę. W pobliżu płonęły domy. Oficer powiedział mu na pożegnanie: „W bramie na rogu jest nasz patrol rozpoznawczy. Proszę nim dysponować...” Znalazł go rzeczywiście. Trzymali przyciśnięte do piersi bergmany. Każdy miał granaty za pasem i za cholewą. Patrzyli ponuro przed siebie. Robili wrażenie wystraszonych. Dowodził nimi jakiś Feldwebel, niski, czarny, z dzikim wyrazem twarzy. Gdy mu Herbert powiedział, że chce wyjść z plutonem nieco dalej naprzód, parsknął gniewnie:

— Do przodu? Pan major chyba nie wie: tam są Polacy!

— Więc co?

Tamten burknął gniewnie pod nosem:

— Ja tam nie chcę wpaść w łapy Polaków. Lepiej niech mnie już bolszewik złapie. Polacy... — z gorączkową gwałtownością zaczął mówić o tych ludziach w czterorożnej, przez nikogo poza nimi nie używanej czapce. Spotykał ich w Afryce, we Francji, w Rosji. Aż tu wreszcie przyszli. Strasznie mordują. Obdzierają ze skóry. W końcu się nieco opamiętał. Powiedział: — Jeżeli koniecznie pan major chce, to tam, trzy domy dalej, leży jeden z tych Polaków zabity czy może ranny. Warto by się do ciała przysunąć. Niech pan major weźmie dwóch ludzi...

Wyznaczył:

— Pójdziecie wy i wy...

Wybrani mieli twarze jak skazańcy. Nie śmieli się jednak sprzeciwić. Wysunęli się z bramy i zaczęli iść za Köstringiem wzdłuż muru.

Szkoło i gruz chrzęściły pod butami. Trzech Niemców minęło przecznicę i posuwało się tłumiąc oddech w piersiach. Ściskali broń w rękach i patrzyli niespokojnie na wszystkie strony. W pobliżu płonął dom i czerwone blaski pożaru zdawały się tańczyć na zarzuconym gruzem asfalcie. Zabity leżał na środku ulicy. Widać było głowę przykrytą rosyjskim szerokim hełmem. Ubrany był w drelach i w wysokie buty. Obok niego leżał rosyjski pistolet automatyczny z magazynkiem w kształcie krawka. Köstring dał znak towarzyszom, żeby prędko podeszli do leżącego, ale w tej samej chwili jakieś dwa cienie wyskoczyły z mroku kamienicy naprzeciw. Trzasnęła salwa peemu, błysnęły języki ognia. Jeden z niemieckich żołnierzy padł ciężko, drugi zawrócił i zaczął uciekać. Znowu trzasnęła salwa. Ludzie wyskakiwali niby laleczki na sprężynkach z magicznego pudełka. Herbert podniósł pistolet, ale w tym samym momencie ogarnęły go jakieś ramiona. Upadł na ziemię, a przeciwnik zwałił się na niego. Poczul szeroką dłoń na gardle. Tamten przygniótł mu kolanem piersi i pochyliwszy się syknął groźnie prosto w twarz:

— Leż, ty szkopie!

Ulica rozhuczała się; to patrol niemiecki w bramie zaczął strzelać na oślep. Padło kilka granatów, zaterkotał karabin maszynowy na barykadzie. Żołnierze, którzy obezwładnili Herberta, leżeli bez ruchu między gruzami. Dopiero gdy strzelanina nieco się uspokoiła, zaczęli uciekać do tyłu.

Polak szarpnięciem zmusił Köstringa do powstania. Szepnął mu groźnie w ucho: „Komm!” i poparł to uderzeniem w pierś lufą pistoletu. Herbert dość obojętnie poszedł w głąb płonącej ulicy, czując opartą o łopatkę lufę. Ale nie uszli daleko. Wepchnięto go w jakieś gruzy. Była tu cała gromada żołnierzy polskich. Otoczyli jeńca ciekawie, wymieniając między sobą uwagi:

— Patrzcie, oficer...

— Ot, fryc.

— Nie fryc, a szwabska mordą.

— No to i fryc.

— Powiadam ci, nie żaden fryc. Po polsku: szwab i szlus. Zrozumiałeś, byku?

— Dla mnie, bracie, to on fryc...

Wśród ruin był jakiś zakątek osłonięty tak dobrze, że z zewnątrz nie można było zobaczyć zapalanej w środku świecy. Do tej izby wepchnięto Herberta. Zobaczył przed sobą oficera. Miał on na głowie hełm, na szyi zawieszony automat.

— Jeniec, obywatelu poruczniku — powiedział żołnierz.

Oficer podszedł do Köstringa. Patrzyli na siebie spokojnie. Polak przyglądał się uważnie Niemcowi, dotknął dłonią jego naramienników.

— Major — powiedział głośno — gruba ryba. Wer sind Sie? — zwrócił się do Herberta.

— Oficer niemiecki.

— Na... Ich weiss... aber... — szukał słów.

— Rozumiem nieco po polsku... — powiedział Köstring.

— Gut... dobrze... Nazwisko?

— Major Herbert Köstring.

Wtedy stało się coś niezrozumiałego. W Polaka jakby trafił grom. Spokojny, opanowany, w jednej chwili poderwał się z miejsca niebywale podniecony. Skoczył do przyklepionej na murze świecy, chwycił ją w dłoń i podsunawszy się do Herberta, zbliżył mu ją do twarzy.

— Herbert Köstring...? — zapytał, jakby nie dowierzając. — Ach, tak... Góra z górą... — gniewnie zgrzytnął zębami — dobrze... dobrze... — zwrócił się znowu do Herberta. — Świetnie... Pan jest lotnikiem?

— Tak.

— Ale przedtem był pan w innej broni?

— Tak. Byłem w innej.

— Gdzie pan był w trzydziestym dziewiątym roku?

— Na wojnie.

— Więc w Polsce?

— Tak.

— Jeszcze nie w lotnictwie?

— Tak. Jeszcze nie w lotnictwie.

Polak sięgnął do kieszeni. Wyjął z portfela starannie złożoną karteczkę. Rozwinął ją. Pytając dalej patrzył na nią.

— Pan był wtedy z podchorążym Walterem von Recke i porucznikiem Hugonem Kostrzewą? Czy tak?

— Tak.

— Więc zgadza się wszystko! Wobec tego pan nie zaprzeczy, że pod Bełchatowem pewnej nocy kazaliście rozstrzelać polskiego podchorążego, schwytanego z bronią w rękę. Niech mi pan powie, czy to prawda, panie majorze?

Herbert milczał chwilę. To nieprawdopodobne spotkanie wyglądało jak jakaś fantastyczna bajka. Chwilę trwał zanurzony we wspomnieniach i w przeżywaniu raz jeszcze całej życiowej klęski.

— Tak — powiedział wreszcie. — Rozstrzelaliśmy tamtego człowieka... Ale ja... zostałem już za tamto ukarany...

— Któż to pana ukarał? — szyderstwo zabrzmiało w słowach pytającego. — Czyżby pańskie władze wojskowe?

Potrząsnął głową.

— Nie... — rzekł i zamilkł, jakby mu jakaś dłoń ścisnęła gardło.

— Zbyt tanio chciałby się pan wykupić... — wybuchnął Polak. — To była zbrodnia! Zbrodnia wobec praw! Zbrodnia wobec kogoś, kto na tamtego człowieka czekał.

Ruchem głowy potakiwał słowom tamtego.

— Wiem... Ta dziewczyna cierpi...

Polak rzucił gorzko:

— Ona już nie cierpi. I ją zabiliście...

Zatrzymał się ujrzawszy szeroko otwarte oczy więźnia i wyraz rozpaczony na twarzy.

— Co panu?

— Więc ona... nie żyje? — zapytał Köstring.

Kanonada rosła. Dokonywał się los Berlina. Historia szła naprzód z szybkością szturmu, rodziła się w dźwięku wystrzałów i zgrzycie „katusz”.

— Nie żyje.

— Gdzie zginęła?

— Zabiły ją wasze samoloty. Pańscy koledzy, lotnicy, obrzuca-

jący bombami Warszawę... Była ranna, leżała w szpitalu. Rzucono bomby na szpital.

O mało nie krzyknął. Z całych sił zacisnął zęby, ale mimo to głuchy jęk wydobył mu się z piersi. Świat zawirował mu przed oczami w piekielnym tańcu; serce biło aż w gardle. Poczul na skroniach krople potu. Zdawało mu się, że dłużej nie wystoi, że runie nieprzytomny na ziemię.

— Pan był przy... jej... śmierci? — zapytał szeptem.

Barczyński nie pojmował, dlaczego odpowiada temu Niemcowi. Ból tamtego obudził w nim nie życzliwość, lecz jakby poczucie wspólnoty. Rzekł:

— Nie. Walczyłem gdzie indziej. Powiedziano mi tylko... Wtedy, gdy trzeba było powziąć decyzję...

— Decyzję?

Zapomniał zupełnie o swoim jeńcu. Wpatrzony w drgające cienie mówił:

— Tak. Trzeba było zadecydować. Każdy z nas miał to zrobić sam. Trudno jest czasem wybrać... Ale tak się zdaje, że tylko wtedy, gdy zawierza się krew i życie, może coś wyrosnąć. Wchodząc w Wisłę, mówiłem sobie: robisz inaczej, niż się robiło... A przecież jest coś w człowieku, co mówi, że trzeba było. Właśnie tak.

Köstring nie rozumiał tych słów. Zresztą nie chciał ich, nie mógł słuchać. Półprzytomnie patrzył na rozświetloną ogarkiem świecy ścianę.

Barczyński ciągnął dalej:

— Powiedziałem sobie, że trzeba, abym zawierzył krew... I zawierzyłem...

Wyprostował się. Wyprężył ramiona.

— A dziś walczę w Berlinie! Pół życia byłem gotów dać za tę chwilę!

Opamiętał się. Urwał. Zawołał jednego z żołnierzy.

— Odprowadźcie jeńca do dowódcy batalionu.

Znowu Herbert znalazł się na ulicy. Dwóch żołnierzy z automatami w rękach pokazało mu, gdzie ma iść.

— Tam!

Nagle wypowiedział całą rozpacz, która go dławiała:

— Zabijcie mnie!

Wytrzeszczyli oczy na tego Niemca, który mówił po polsku tak dziwaczną propozycję. Jeden popatrzył na drugiego.

— Słyszysz, co gada? Pomyłony czy co...

— Nie jestem szaleńcem — powiedział gwałtownie. — Ale jestem Niemcem. Zabijcie mnie!

Znowu popatrzyli na siebie. Jeden z nich powiedział:

— Nie zabijamy bezbronnych...

Wtedy rzucił się przed siebie w ciemność. Podświadomie chciał, żeby żołnierze go zabili. Ale serie z peemów poszły w próżnię. Biegł pustymi ulicami, słysząc wokół strzały. Pociski gwizdały mu koło uszu. Zadyszał się, z trudnością łapał oddech. Potykał się o leżące na ziemi kawały gruzu. Upadł. Podniósł się. Nagle posłyszał tuż przed sobą przerażony głos: „Halt! Ich schiesse...” „Nie strzelać!” Mimo to kule gwizdały mu koło uszu. Odruchowo przypadł do ziemi.

To był znowu patrol rozpoznawczy prowadzony przez zarośniętego Feldwebela. Poznano go i wskazano mu drogę do tyłu. Minął barykadę. Wracał przez czarny, pełen lejów i wybuchów Tiergarten. Strzelanina nabierała ciągle mocy. Karabiny maszynowe zanosiły się seriami. Szło natarcie: jedno na stację kolejową przy Charlottenburgerstrasse, drugie na blok Politechniki. Köstring minął Gwiazdę Pruskiego Zwycięstwa. Szedł dalej mało przytomny, nie zważając na pociski, które rozrywały się obok niego. Cały świat zniknął. Otoczyła go pustka głucha i dręcząca.

Park skończył się, Herbert przeciął Sieges-Alee. Przed nim wyrósł na tle purpurowego nieba łuk Brandenburskiej Bramy. Był odpychająco dumny, a jednocześnie jakiś nie po ludzku tragiczny. Kilka pocisków rozerwało się w pobliżu kamiennego olbrzyma i pokryło jego kolumny ospą szczerb. Köstring znał dobrze Bramę. Przechodził obok niej całymi latami w okresie dzieciństwa i chłopiństwa. Bramę mijał także, gdy szedł Kochstrasse do von Recków. Ta Brama była dla niego symbolem Berlina i sercem Rzeszy. Nie była piękna. Miała przysadzistą, brutalną ciężkość. Mimo tej brzydoty był jednak do kamiennego łuku przywiązany.

Dziś znów miał Bramę przed sobą — czarną na tle czerwonego nieba. Wydała mu się nagle złamaną swastyką, rzuconą na płachtę sztandaru. Robiła wrażenie symbolu klęski. Teraz nie można jej było kochać. Była wyjąca, zmiądzoną nienawiścią.

Niebo wciąż płonęło. „Katusze” biły niestrudzenie.

Skreślił w Wilhelmstrasse. Zameldował generałowi swój powrót. Ten mu powiedział:

— Niech pan idzie z meldunkiem do Kancelarii Rzeszy. Tam chcą się dowiedzieć o sytuacji. Więc to Polacy? Psiakrew! Ci nas gotowi urządzić!

XVII

Pociski padały gęsto na pałacyki wśród zieleni. Fontanny ognia wytryskiwały spośród drzew. Herbert dotarł wreszcie do głównego budynku. Przechodził właśnie przez mały dziedziniec, gdy nagle ktoś zawołał do niego. Zobaczył człowieka, który machając ręką szedł

w jego stronę. Robił wrażenie niezgrabnego pająka. Czerwona poświata padała mu na odkrytą głowę i twarz. Herbert od razu poznał, kogo ma przed sobą.

Zatrzymał się, sprężył na baczność. Führer stanął przed nim. Znała z fotografii i z oficjalnych wystąpień twarz zdradzała najwyższe podniecenie. Czarne oczy rzucały niespokojne błyski.

— Kim jesteś? — zapytał chrapliwie.

— Major Herbert Köstring.

— Z czym pan tutaj przyszedł?

— Z meldunkiem z zachodniego odcinka Tiergartenu.

— Aha... — Hitler nie wydawał się ciekawy wiadomości z frontu. Podeszedł jeszcze bliżej do Köstringa, położył mu ciężką rękę na ramieniu. Wświdrowywał się palącym wzrokiem w twarz oficera. Powtórzył: — Major Herbert Köstring... — Nagle zapytał gwałtownie: — Ile pan ma lat, majorze?

— Dwadzieścia siedem.

— Ma pan odznaczenia bojowe?

— Tak jest... — Köstring wymienił je kolejno.

— Ach tak... — Twarz wodza rozjaśniła się. — Więc jest pan bohaterem... — powiedział. — Walczy pan nieugięcie od sześciu lat. Znakomicie... — Teraz oparł jeszcze drugą rękę na ramieniu Herberta. Przybliżył twarz do jego twarzy. — Chcę panu zadać jedno pytanie.

— Tak jest, mój wodzu.

Palce zacisnęły się na ramionach oficera. Na twarzy Hitlera pojawił się grymas, jaki widniał na niej podczas wszystkich wystąpień publicznych. — Więc niech pan słucha, majorze. Czy jest pan szczęśliwy służąc ruchowi narodowo-socjalistycznemu? Czy jest pan szczęśliwy służąc mnie?

Zapanowała cisza i tylko naokoło huczało szturmem miasto. Herbert nie odpowiadał. Hitler powtórzył niecierpliwie:

— No, jakże? Dlaczego pan nie odpowiada?

Köstring zagryzł wargi. Patrzył pod nogi unikając wzroku Hitlera. Powiedział:

— Nie. Nie jestem szczęśliwy...

— Nie jest pan szczęśliwy?!

— Nie...

Twarz Hitlera utraciła resztę spokoju.

— Dlaczego? Mówisz tak dlatego, że ci — zatoczył ręką krąg — są tutaj? Oni stąd pójda! Zobaczysz...

Herbert podniósł wzrok. Przemógł się. Posłuch kazał mu stać na baczność i milczeć. Ale po wstrząsie, jakiego doznał, coś się w nim

załamało. Rozpacz wyrwała go z kręgu martwego posłuszeństwa. Powiedział:

— Nie. To nie dlatego, że oni... Ale narodowy socjalizm... My już nie potrafimy nie zabijać!... My musimy zabijać...

Z rozedrganej czerwonym blaskiem przestrzeni doleciał go chrapliwy krzyk:

— Jesteś głupcem! Jesteś głupcem! Zabijać trzeba! Nienawidzić trzeba! Inaczej nie zwyciężymy! Słyszysz? Słyszysz? Ty, głupcze!

Hitler zatoczył się w paroksyzmie szału. W wywalonych na wierzch oczach gorzał płomień śmiertelnego lęku. Trzymając się za gardło wył:

— Głupcy! Psy! Łotry! Chcą mojej śmierci!

Chwiał się jak pijany.

— Precz!

W furii zasłonił twarz dłońmi i począł je kęsać. Nagle coś sobie przypomniał. Odstłonił oczy, rozejrzał się. Krzyknął:

— Majorze! Gdzie jesteś?

Ale Köstringa już nie było. Berlin huczał setkami wybuchów. Z cienia wyszedł ktoś i szedł wolno, utykając. Na ten widok Hitler wydał dziki wrzask obłąkańca i rzucił się do ucieczki.

Na czerwonym niebie wciąż tryskały fajerwerki. Huk dział, moździerzy, kaemów i pistoletów zlewał się z oszołamiającą symfonią. Huczały pożary. Miasto tonęło w jeziorze ognia niby apokaliptyczna bestia. Deptały je buty zdobywców.

Pisałem od sierpnia 1940 r. do czerwca 1946 r.

OD AUTORA

Pomysł „Najeźdźców” przyszedł mi do głowy pewnego jesiennego dnia 1940 roku. Ukrywałem się wtedy w małej leśniczówce zagubionej wśród lasów, po wpadce, która dotknęła pewne podziemne pismo. Byłem jego jednym z redaktorów i kierownictwo organizacji wydającej gazetkę poleciło mi, abym wyjechał z Warszawy i nie ruszał się z mego leśnego schronienia, póki nie zostaną wezwani.

Po pełnym napięcia okresie znalazłem się w samotności i w ciszy. Spacerując po duktach leśnych wysnuwałem z wolna kanwę przyszłej powieści. Zadanie, które przed sobą postawiłem, nie było łatwe. Rozpocząła się dopiero wojna, a ja chciałem pisać powieść o wojnie. Kto wiedział w 1940 roku, jak się ona skończy? Poza tym moimi bohaterami mieli być Niemcy. A ja nie byłem wcale pewny, czy moja znajomość natury niemieckiej jest dostatecznie duża.

Moje własne doświadczenia wojenne zaprowadziły mnie do polany pod wsią Mokra, na której w pierwszym dniu wojny nasza Brygada Wołyńska stawiała czoło dywizji pancernej, poprzez walkę pod Konopnicą (ta walka znalazła się potem w książce), poprzez obronę Lublina, bitwę pod Krasnobrodem i Tarnawatką — do pieszego powrotu — w cywilnym ubraniu — do Warszawy. Znalazłem się w Warszawie 10 października. A 4 grudnia 1939 roku byłem już współredaktorem podziemnego pisma.

Dzięki redagowaniu pisma sytuację polityczną i wojskową znałem wcale nieźle. Tkwiłem w centrum wojskowego, podziemnego ośrodka. Dysponowałem specjalistycznymi nasłuchami. Chodziło jednak, by zobaczyć wojnę „od drugiej strony”. Ponieważ wciąż polecano mi być z dala od Warszawy, znalazłem sobie pracę robotnika nocnej zmiany w suszarni jarzyn. Suszarnia sąsiadowała z koszarami, a ponieważ w fabryce pracowały dziewczęta, żołnierze niemieccy ciągle kręcili się po halach fabrycznych. Szkoliłem w rozmowach z nimi mój niemiecki, i moją znajomość niemieckiej psychy.

Po paru tygodniach wróciłem do pracy w Warszawie. Wolno, w ciągu pięciu lat, powstawała książka. Posuwała się „skokami” od wydarzeń do wydarzeń, które najpierw obserwowałem jako dziennikarz, potem jako twórca powieści. Moi bohaterowie nabierali niezależności. Kostrzewa miał być w zamierzeniu kim innym. W parę lat po wojnie dowiedziałem się od profesora Forst Bataglie, że podobno mój bohater był udanym portretem kogoś, kto istniał naprawdę. Ale ja tego kogoś nie znałem. Mego Kostrzewę wymyśliłem, on się jednak zbuntował i stał się kimś innym, niż początkowo myślałem.

Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, powieść była „dociągnię-

ta” do momentu, który powstanie poprzedzał. Gdy ja walczyłem na Starówce i Mokotowie, maszynopisy powieści spalały się jeden po drugim. Ocalał tylko jeden, wywieziony w roli materacyka w wózku z niemowlęciem. Znalazłem go po powrocie do kraju już w maju 1945 roku.

W ciągu kilku miesięcy skończyłem powieść i poszedłem z nią do cenzury. Taka była praktyka w tamtym czasie. Cenzor skrzywił się zobaczywszy, że mu przyniosłem tak wielką powieść. Ale przeczytał ją w trzy dni. Otrzymałem stempel do druku.

Powieść ukazała się nakładem Oficyny Księgarskiej, która należała do księgarza, Piotra Hniedziewicza. Ale Oficyna dała tylko firmę, na wydanie książki trzeba było znaleźć pieniądze. Składana była ręcznie, korektę — pożał się Boże, co to była za korekta! — robili znajomi. Miała za to ładną okładkę, zrobioną przez J. Knothego. Wyszła na przełomie 1946 i 1947 roku.

Frontalny atak na książkę podjęła „Kuźnica”. Posunięto się do tego, że recenzentka podała kłamliwą informację o tym, co zawiera książka. Atak przyczynił się do niezwykłego zainteresowania powieścią. Ale książka była już sprzedana. Natomiast nie można było myśleć o nowym wydaniu. Ukazało się dopiero w 1955 roku.

Ukazała się potem kilkanaście razy. Nigdy nie leżała na półkach księgarskich. Moi drodzy Czytelnicy są łaskawi dla moich książek, ale „Najeźdźcy” byli szczególnie życzliwie czytani. I — jak się mogłem przekonać — czytani wciąż przez nowe szeregi młodych, którzy szukali w książce prawdy o tamtych czasach.

„Najeźdźcy” są — obok „Listów Nikodema” — moją książką najpopularniejszą. Kilka razy były tematem prac maturalnych i dyplomowych. W pewnym momencie filmowcy wysunęli projekt sfilmowania powieści. Ale nic z projektu nie wyszło. Powieść tłumaczona była na francuski w Belgii i na holenderski.

Jak patrzę dzisiaj, po niemal pięćdziesięciu latach, na „Najeźdźców”? Czy gdybym teraz pisał tę książkę, napisałbym ją w taki sam sposób?

Oczywiście pisarz po tylu latach nie jest tym samym, kim był wtedy. Między pierwszym i drugim wydaniem „Najeźdźców” dokonałem w książce dość dużych skrótów, które wydęły mi się potrzebne, i wielu wygładzeń literackich, które uważałem za konieczne. Książka była pisana w warunkach bardzo specjalnych, często nie miałem możliwości wrócenia do kart, które zostały napisane. W 1946 zastanawiałem się, czy w ogóle nie należałoby zachowanego rękopisu potraktować jako brulionu i napisać powieść na nowo. Odrzuciłem ten pomysł także dlatego, że wydało mi się, iż przy takim przepracowaniu ulotniłaby się z utworu niepowtarzalna atmosfera bezpośredniej reakcji na wydarzenia wojenne.

Ale myślę, że gdybym dziś pisał „Najeźdźców”, nie przedstawiłbym Niemców inaczej, niż przedstawiłem wtedy. Przez te lata pogłębiłem moją znajomość Niemców i problemu niemieckiego. Bywałem w RFN

i w NRD. Mam przyjaciół w Fuldzie, w Esslingen, w Daun, w Dreźnie, w Berlinie. Zostałem uznany za „przyjaciela miasta Fuldy”. Pisałem książki o Niemcach: „A znak nie będzie mu dany”, „Dośćgnięty”, „Spalone mosty”, „Tak biały jak czerwona jest krew”. Myślę, że Niemcy w tych późniejszych książkach są postaciami pogłębionymi, ale są tacy sami w swej niemieckości.

Moja powieść nosi jako motto słowa Modlitwy Pańskiej: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...” Wyrzucano mi nieraz w listach i artykułach, że położyłem je na książce pisanej o „niehumanicznych” czasach prześladowań. Za jakie winy mamy żałować — pisano — my, napadnięci i skazani na zbiorową zagładę?

To, co przeżyła Polska w latach okupacji jest czymś, czego nie sposób usunąć z pamięci. Nie ma rodziny polskiej, która by kogoś nie utraciła w wyniku hitlerowskich prześladowań. Strat ludzkich nie wynagrodzi nic. Straty materialne tylko w nieznacznym stopniu zostały wyrównane.

Nie wolno nam jednak ograniczać się do sentymentów i odruchów. Problem stosunków między Polską i Niemcami jest problemem naczelnym naszej historii.

W ciągu tysiącletniego okresu sąsiedztwa z Niemcami spotykaliśmy się wiele razy ze złem. Najazdy niemieckich cesarzy, okrucieństwa krzyżackie, rozbiory Polski, rugi pruskie, hitleryzm... Walczyliśmy, aby móc przeżyć, a gdy przychodziło zwycięstwo, żądaliśmy sprawiedliwości. Nie wolno nam jednak było — jako chrześcijanom — ulegać nienawiści. Jest to rzecz niezmiernie trudna: walczyć o swoje prawa — a nie dać się ponieść nienawiści.

Także i moja książka nie jest pochwałą nienawiści. Chcę, aby człowiek wyciągał rękę do człowieka. Aby starał się pojąć, że zło jest często wewnętrzną klęską tego, kto to zło czyni.

J. D.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza	
VON RECKOWIE.....	4
Część druga	
HUGO KOSTRZEWA.....	148
Część trzecia	
SIEG UM JEDEN PREIS.....	276
Część czwarta	
QUID EST VERITAS?.....	352
Część piąta	
BRANDENBURSKA BRAMA.....	401
OD AUTORA.....	522